

BESTSELLER „THE NEW YORK TIMES”



Paranoja

LISA

JACKSON

AUTORKA 30 MILIONÓW
SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

LISA
JACKSON
Paranoja

Tłumaczenie: Agnieszka Kalus



Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Od autorki

Przypisy

Tytuł oryginału
PARANOID

Redakcja
Monika Orłowska

Tłumaczenie
Agnieszka Kalus

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcia na okładce
©Marco/Unsplash

Copyright 2019 by Lisa Jackson.
First publishing by Kensington Publishing Corp. All Rights Reserved
Polish edition copyright © 2022 Agencja Wydawniczo-Reklamowa Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
Polish translation copyright © 2022 Agnieszka Kalus

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-52-7



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 25 19

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Teraz

Pacjentka: Widzę go. Widzę Luke'a. On... on żyje i się uśmiecha. Mówi – o Boże – mówi: „Wybaczam ci”.

Terapeuta: Gdzie on jest?

Pacjentka: W magazynie, to znaczy w wytwórni konserw rybnych... tej opuszczonej na nabrzeżu, która stoi na pomoście nad rzeką.

Terapeuta: Wiem, o którą chodzi. Już wcześniej mi o niej mówiłaś.

Pacjentka: Od dawna jest przeklęta.

Terapeuta: Wiem. Jest tam ktoś jeszcze?

Pacjentka: Tak. O, tak. Wszyscy tam jesteśmy. Ci, którzy byli tam tamtej nocy... kiedy umarł Luke.

Terapeuta: Tamtej nocy, kiedy trwała ta zabawa?

Pacjentka, marszcząc brwi, odpowiada szeptem: Tak... to miała być taka zabawa. Mieliśmy zabawkowe pistolety. Chodziło o to, żeby do siebie strzelać.

Terapeuta: Do przyjaciół?

Pacjentka jeszcze bardziej ściąga brwi, przekrzywia głowę na jedną stronę: Nie. Nie wszyscy byli przyjaciółmi. Byli tam też inni.

Terapeuta: Widziałas ich?

Pacjentka: Było zbyt ciemno. Ale tam byli.

Terapeuta: A teraz? Wrócili?

Pacjentka głośno przełyka ślinę: Nie wiem. Ale tak mi się wydaje. Jest tak ciemno.

Terapeuta: Ale jesteś pewna, że znajdujesz się w wytwórni konserw?

Pacjentka: Tak. Tak! Słyszę rzekę płynącą pod podłogą – czuję ją – i słyszę głosy innych dzieciaków, ale nie rozumiem, co mówią. Jest zbyt głośno. Trzaski broni i odgłosy kroków.

Terapeuta: Widzisz Luke'a?

Pacjentka: Tak! (Na ustach pacjentki pojawia się nikły uśmiech). O Boże! On... on żyje!

Terapeuta: Rozmawiasz z nim?

Pacjentka: Tak, mówiłam ci. (Pacjentka milknie na chwilę. Jej uśmiech znika). Ale ledwie go słyszę. Inne dzieciaki ciągle coś mówią i się śmieją; słychać wystrzały z ich pistoletów i powielające je echo. Ten budynek jest taki duży. Taki ciemny. Taki...

Terapeuta: Jaki?

Pacjentka z wahaniem odpowiada szeptem, poważnie, niemal ze strachem: Zły. Jakby... jakby w tym starym budynku było coś jeszcze. Coś kryjącego się w ciemności. (Jej głos drży). Coś... złego. (Ogarnia ją panika. Jak zawsze). O Boże. (Głos pacjentki nagle staje się całkowicie spanikowany). Ja – my – musimy uciekać. Musimy stąd wyjść. Teraz! Musimy uciekać. Musimy!

Terapeuta, spokojnie: Już czas. Wstajesz. Wychodzisz z wytwórni. Zostawiasz za sobą budynek i zło.

Pacjentka: Ale Luke! Nie! Nie mogę go zostawić. O mój Boże. Został postrzelony! Krwawi! Muszę go ratować!

Terapeuta: Robisz się coraz bardziej świadoma.

Pacjentka: Nie! Nie! Nie! Nie mogę go zostawić. Muszę pomóc! (Pacjentka wykazuje objawy paniki). Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Terapeuta: Musisz się wynurzyć. Zostawić na razie to miejsce. Opuszczasz budynek. Musisz się ratować. (Terapeuta jest stanowczy, sprawuje kontrolę). Odliczam.

Pacjentka panicznie: Dobrze! W porządku. Ale... ale muszę się pospieszyć! I zabrać Luke'a...

Terapeuta: Trzy. Wychodzisz z wytwórni Sea View i ze swojej przeszłości.

Pacjentka: Luke umrze, jeśli go zostawię. Znowu. Nie mogę...

Terapeuta stanowczo: Dwa. Już prawie się obudziłaś.

Pacjentka: Ja... muszę z nim porozmawiać. Wyjaśnić. (Pacjentka zaczyna godzić się z sytuacją).

Terapeuta: Jeden.

Pacjentka otwiera oczy i widzi niewielki, zaciemniony pokój, w którym unosi się subtelny zapach jaśminu. Gdy leży na kozetce i wpatruje się w sufit, jej oddech się wyrównuje. Powraca spokój, pacjentka patrzy terapeutę w oczy.

– Wróciłaś – mówi terapeuta łagodnie i z dobrotliwym uśmiechem.

PROLOG

20 lat temu
Północ
Edgewater, Oregon

Upadłaś na pieprzony łeb?

Zrzędlawy głos w głowie Rachel nie odpuszczał, gdy biegła przez zeschnięte chwasty wyrastające z liżącego wiele dziesiątków lat asfaltu. Wieczór był ciemny, na niebie wisiał jedynie blady skrawek księżycy, a jego nikły blask co chwilę zniknął za chmurami przetaczającymi się po niebie. Niedługo chmury zawisną nad rzeką, mgła przesaczy się przez zapomniane pomosty i wespnie się po palach, żeby otulić ten opuszczony budynek i przejść na stały ląd, gdzie przykryje miasto. Przez rzadką mgłę słabo przedzierało się światło jedynej latarni, Rachel potknęła się dwa razy, zanim dotarła do ogrodzenia z siatki otaczającego nieczynną wytwórnię konserw rybnych.

Nie dasz rady, Rachel. Serio. Zastanów się tylko. Twój tata jest gliną. Cholernym detektywem. Zatrzymaj się!

Nie zatrzymała się. Zamiast tego przeszła przez dziurę w płocie, jej plecak zahaczył o coś ostrego i się rozdarł, gdy podążyła za przyjaciółką. Cóż, raczej była przyjaciółką. Rachel sama już nie wiedziała. Drobną, energiczną Lila była bardziej zainteresowana jej starszym bratem Lukiem niż nią.

– Pospiesz się! – rzuciła przez ramię Lila, biegnąc jakieś dwadzieścia metrów przed Rachel. Jej blond włosy odbijały słabe światło, gdy pokonywała wąską, sypaną się kładkę zbudowaną na pomoście nad wodą.

Rachel przyspieszyła kroku.

Tak jak wiele razy wcześniej. To Lila zawsze coś wymyślała, a Rachel poddawała się jej woli.

– Nie wiem, dlaczego to robisz – powiedział Luke jakieś sześć miesięcy temu, gdy jechali ze szkoły do domu, a Rachel siedziała na miejscu pasażera. – Jakbyś była jakimś usługowym pieskiem, który wszędzie za nią biega. – Niebieskie oczy zerknęły znacząco w jej stronę.

– Wcale nie – zaprzeczyła, wyglądając przez okno na szary oregoński dzień, po szybie spływał deszcz, a ona poczuła lekkie ukłucie prawdy w jego słowach. Luke miał rację, chociaż nie chciała się do tego przyznać.

A teraz sytuacja uległa zmianie: on i Lila stanowili „coś”. Co było zapewne jeszcze gorsze.

– Rach! Chodź! – zawołała Lila przez ramię. – Już jesteście spóźnione!

– Tak, na własny pogrzeb.

– Co... och, zamknij się! – Lila zbyła wątpliwości Rachel machnięciem ręki i parła naprzód. Według matki Rachel Lila była dobrą dziewczyną, która zeszła na psy, taką, która zmieniała chłopaków jak rękawiczki. Melinda Gaston często powtarzała: „Jest zbyt bystra i zbyt ładna, żeby jej to wyszło na dobre. Zawsze prosi się o kłopoty. To taka dziewczyna, która wie, czego chce, i sięga po to, nie przejmując się tymi, których przy okazji rozdepcze”.

W dużej mierze taka jest prawda. Nie, to w stu procentach prawda.

– Chodź!

Rachel przyspieszyła, kierując się w stronę słabego światła odbijającego się od odblaskowych pasków na sportowych butach Lili. Znowu podążyła za nią. Zawsze podążyła. W tym sęk. Popracuje nad tym, ale nie dziś wieczorem.

Rachel dogoniła przyjaciółkę przy największym z budynków, ogromnej, przypominającej stodołę konstrukcji stojącej na spróchniałych teraz palach, gdzie słonawy zapach rzeki stał się bardziej inten-

sywny. Wznosiła się nad nimi ciemna i onieśmielająca, potężna, chyląca się ku upadkowi budowla, która została opuszczona wiele lat temu.

– Świetnie. – W głosie Lili slychać było zniesmaczenie. – Wszyscy już tu są.

– Skąd wiesz? – zapytała cicho Rachel, bojąc się, że ktoś może ją usłyszeć. Rozejrzała się po nierównym terenie otaczającym opustoszałe od dawna budynki, ale nikogo nie zauważyła. Mimo to niepokój sprawiał, że przeszły ją ciarki.

– Po prostu wiem. – Umiłkła na chwilę. – Słuchaj... Słyszysz?

Dźwięki przenikały przez stare, drewniane ściany. Stłumione głosy, bieganina, a nawet przerywany odgłos strzałów: *Pif! Pif! Pif!* niepodobny do wydawanego przez prawdziwą broń. Tylko głośny stukot.

Wiatrówki.

Bezpieczne.

A mimo to denerwowała się. Ścisnęło ją w żołądku.

Kolejna seria z automatu.

Z walącym głośno sercem Rachel przyglądała się, jak Lila rozpina suwak plecaka i wyjmuje pistolet, który lśni w niebieskawej poświacie rzucanej przez słabe światło pojedynczej lampy.

Głośno przelknęła ślinę. Wiedziała, że broń Lili jest repliką, z której strzela się kulkami, nie nabojami, ale wyglądała tak prawdziwie. Podobnie jak ta należąca do niej.

– Nie wiem...

– Czego? Stchórzysz teraz? – powiedziała Lila, nie kryjąc dezaprobaty. – Po tym, ile się nagałaś, że chcesz zrobić coś „niezwykłego”, co zaszokowałoby twoich starych?

– Nie, ale...

– Jasne. – Lila nie dawała się nabrać. – Super. Rób, co chcesz. I tak zawsze robisz. Ale ja muszę pogadać z Lukiem.

– Tutaj?

– Gdziekolwiek.

Paf! Paf! Paf! Paf! Paf!

– Co jest, do cholery? – Rachel zdziwiła się, słysząc szybkie wystrzały. – Prawdziwa broń?

– Nie, nie sądzę.

– To co?

– Jajco. Być może Moretti. Nate mówił, że chcą z Maxem przynieść petardy, żeby zrobić klimat. Jakby tu nie było wystarczająco strasznie.

– Co?

– No wiem. Powariowali, co nie? – Lili to chyba nie zniechęcało. – Nate to zjed! Nie uznaje półśrodków. Wiesz, że ma nawet takie coś, żeby broń głośniej strzelała i miotała iskry?

Z każdą chwilą harmider stawał się coraz głośniejszy. Rachel знаła Nate'a. Był synem lekarza i najlepszym kumplem Luke'a, chociaż chodzili do innych klas w liceum.

– Wydaje mi się, że powinniśmy sobie odpuścić...

– Nie mogę. Muszę się spotkać z Lukiem. – Zanim Rachel wymyśliła kolejne argumenty, Lila wślizgnęła się do środka przez uchylone drzwi stodoły. Rachel ze ściśniętym żołądkiem podążyła za nią.

Wewnątrz ogromnego budynku było jeszcze straszniej. Może to jej umysł płatał figle, ale Rachel miała wrażenie, że czuje zatęchły zapach rybich wnętrzności i łusek, które po oprawieniu ryb wyrzucano do płynącej poniżej rzeki przez specjalne zsypy w podłodze, gdzie foki, lwy morskie, mewy i inni padli-nożerzy czekali na krwawe kąski.

To tylko twoja wyobraźnia. Pamiętaj. To miejsce stoi puste od lat.

Ta myśl wcale nie ukoili jej napiętych nerwów.

Znalazłszy się w środku, Rachel stanęła przy drzwiach, żeby zorientować się w sytuacji. Nikt o tym nie wiedział, nawet Lila, ale przyszła tu już wcześniej w dogasającym świetle letniego dnia, żeby rozejrzeć się po wnętrzu i zyskać odrobinę przewagi. Próbowała zakodować sobie w pamięci mapę niebezpieczeństw, groźnych dziur w podłodze, stosów porzeczonych beczek, drabin i krząków linowych. Teraz nikogo nie widziała, ale słyszała ich głosy. Szeptane rozmowy, kroki łomoczące o starą podłogę. Stukot metalowej drabiny, po której ktoś wchodził, i szuranie na kładce na górze. Dźwięki te ledwie się przebijały przez szaleńcze bicie jej serca.

To są przyjaciele, przypominała sobie, te same dzieciaki, z którymi chodziła do szkoły, i ci, którzy niedawno ją ukończyli. Nie ma się czym przejmować...

Pif! Paf! Pif, pif pif!

Gdzieś za nią niespodziewanie wystrzeliła wiatrówka. Pociski przeleciały obok niej.

Wzdrygnęła się. Odwróciła. Włosy opadły jej na oczy, gdy uniosła pistolet i wycelowała w... nic. Sukinsyn! Zmrużyła powieki, jeszcze mocniej zabiło jej serce, bo zdawało jej się, że widziała jakiś cień w pobliżu uchylonych drzwi. Może... Ścisnęło ją w gardle, gdy wycelowała. Może jednak nie... Palec znieruchomiał na spuście. Kropelka potu spłynęła po jej twarzy.

Naprawdę mogłaby to zrobić? Wystrzelić do kogoś z pistoletu? Po tylu ostrzeżeniach i przestroгах rodziców? Serce jej waliło, pot wypływał przez pory, gdy przez ściśniętą krtań z trudem przelknęła ślinę. To jakieś szaleństwo. Idiocyzm!

Opuściła broń.

– Lila, chyba nie... – zaczęła, ale ledwie było ją słychać pośród szurania nóg i szepców innych osób. Ale Lila zniknęła. Oczywiście. Poleciała szukać Luke'a.

Powoli przesuwala się wzdłuż ściany, przypominając sobie wznoszącą się pośrodku klatkę schodową, kładki łączące podesty na górze, wysokie krokwie przy suficie, rozpięte ponad taśmociągami niczym w katedrze. Pod nimi były regularnie rozmieszczone zapadnie w podłodze, gdzie znajdowały się zamykane zsypy, choć teraz wszystkie były otwarte.

Kolejna seria z automatu. Rachel odruchowo się pochyliła, pobiegła pod schody i rozglądała się, zerkaając pomiędzy metalowymi stopniami.

Lup, lup, lup! Ktoś szybko wbiegał na górę. Rachel błyskawicznie się cofnęła, potknęła się i o mały włos walnęłaby głową o fragment połamanej barierki.

– Cholera – mruknęła pod nosem, po czym usłyszała serię wystrzałów, szuranie butów biegnących ludzi, oddalających się od niej, czyjs śmiech, jakieś szepty. Serce jej waliło, w skroniach pulsowało i chociaż powtarzała sobie, że nie ma się czego bać, nie potrafiła się uspokoić. Była pewna, że jej rodzice odkrywają, że obie z Lilą skłamały, mówiąc, że będą spały u przyjaciółki. Mama Lili może je kryć, ale rodzice Rachel, mimo zbliżającego się rozwodu, wspólnie przeciwstawia się nieposłuszeństwu i kłamstwu córki. A gdyby zostały przyłapane na tym, że nielegalnie weszły do budynku przeznaczonego do rozbiórki... Nie, w ogóle nie powinna tu przychodzić.

Paf! Paf! Paf!

Rozległa się kolejna seria wystrzałów.

– Och! Jezu! – krzyknął ze złością męski głos. – Cholera! Nie w twarz! Cholera! Nie żyjesz, Hollander! – Nate Moretti. Zły jak diabli. Kolejne strzały. Głośniejsze. A może to petardy? Biegające osoby. Odgłos szybkich kroków za nią. – Wyjź! – krzyknął ktoś.

– Reva? Gdzie jesteś? – Jakaś dziewczyna... O, nie, chyba Violet. – Reva! Mercedes! – Dziewczyna histerycznie krzyczała.

– Vi? – wyszeptala Rachel. – To ty? – Uniosła broń, która drżała w jej ręce.

Ktoś wbiegł na górę, jego buty zadudniły na schodach.

Strzały... i jakieś rozblyski.

To wszystko nie miało sensu!

– Rachel! – ponownie Violet. Tym razem bliżej. *Trzask!* – O, cholera! Aaaaaach! Szlag! Cholera.

– Co?

– Wpadłam na coś. Boże, ale boli! Moja noga! Chyba... chyba leci mi krew. Aua. – Głos jej drżał, jakby miała się rozpłakać. – Tak tu ciemno!

Nagle znalazła się obok Rachel, kryjącej się za metalowymi schodami.

– Nic nie widzę. – Pociągała nosem, na tyle głośno, że mogła zostać usłyszana mimo ciągłego dudnienia kroków, wystrzałów i krzyków ofiar. – Powinnam była założyć okulary.

– Nie założyłaś? – Rachel wpatrywała się w ciemność pomiędzy stopniami. To nie miało sensu. Bez okularów Violet była ślepa jak kret, poza tym wiele innych osób miało ochronne gogle.

– Nie. Nie chciałam ich porysować.

Zapewne kłamała. Violet wstydziła się swoich okularów, ale Rachel nie chciała teraz jej tego wytykać.

Łup! To z pewnością nie była wiatrówka.

– Wyjdźmy stąd – poprosiła Rachel i nie czekała na odpowiedź. Nie zamierzała czekać na Lilę i ryzykować, że coś jej się stanie. Obeszła schody i ruszyła w stronę głównego wyjścia. Jeśli będzie musiała, wróci do domu na piechotę, sama w ciemności. Kolejny wyrzut śrutu. Latające iskry, petardy niczym prawdziwe wystrzały.

– Idę – odpowiedziała Violet. – O, cholera, moja noga – Aua! Cholera! Przestańcie!

To było jakieś szaleństwo. Wolną ręką Rachel złapała Violet pod ramię.

– Pospiesz się – powiedziała, ale nagle znalazły się na linii ataku, rozległy się strzały, poleciały iskry, wybuchały petardy i pozostawiały po sobie dym. – Ruszaj się! – krzyknęła do Violet, gdy obok nich przeleciała kolejna seria śrutu, jedna kulka musnęła jej ramię, inna uderzyła w policzek. Zapiekło. – Szlag.

Kolejna salwa.

Bez namysłu wystrzeliła i ruszyła w stronę drzwi.

Łup! Łup! Łup!

Petardy i wystrzały z broni odbijały się echem po budynku.

– Aaaaaach! – krzyknął jakiś męski głos. – Co, do cholery? O Jezu! Ja... Dostałem!

Luke?

Zamarła. Coś w jego głosie.

Violet krzyknęła – głośno, z przerażeniem.

Rachel odwróciła się i w ciemności ujrzała brata. Miał poszarzałą twarz, szeroko otwarte oczy, krew przesiąkała z przodu przez jego koszulę.

Ugięły się pod nim kolana.

Upadł na podłogę, a krzyk Violet wypełnił całe wnętrze.

Rachel upuściła broń.

ROZDZIAŁ 1

Edgewater, Oregon

Teraz

– Czemu nie? – Violet Sperry nalała sobie kolejny kieliszek wina i padła na poduszki na łóżku. Zadała to pytanie swojej suczce, Honey, jedwabistej spanielce Cavalier King Charles, która przyglądała się ze swojego posłania, jak Violet osusza butelkę. Jakby pies mógł zrozumieć. Ale lepsze to niż mówienie do siebie. Przynajmniej tak jej się wydawało. A może mówienie do psa było równie szalone? Zostawiła uchylone jedno okno, więc lekki wiosenny wiatr unosił firankę i niósł ze sobą zapach wiciokrzewu, który mieszał się z idącym do głowy aromatem merlota.

Zakręciła kieliszkiem i uśmiechnęła się do wirującego czerwonego płynu, zanim pociągnęła kolejny łyk gładko wchodzącego wina. To będzie ostatni kieliszek. Niezależnie od wszystkiego. Nie zejdzie na dół i nie otworzy następnej butelki. Nie, nie, nie. Odstawiła pustą obok lampy na stoliku nocnym. Późbędzie się jej – „dowodu” – jutro przed powrotem Leonarda.

Leonard.

Jej mąż od ponad piętnastu lat.

Dawniej skory do uśmiechu szczupły sportowiec z gęstymi, brązowymi włosami, który chciał podbić świat. Naprawdę zawrócił jej w głowie i dzięki niemu udało jej się wyjść z traumy związanej z nocą, gdy zginął Luke. Była tam dwadzieścia lat temu. Widziała, jak umierał. Boże, to było straszne. W ogóle nie powinna była iść do tej przeklętej wytwórni konserw. Wymknęła się z domu tamtego wieczoru, żeby zaskarbić sobie względy Luke'a Hollandera. Czy naprawdę zamierzała powiedzieć mu, że go kocha? Wyśmiałyby ją tak, że z płaczem wypadłaby z tego okropnego, starego budynku. Nie była jedyną, która podkochiwała się w bracie Rachel Gaston, a raczej przyrodnim bracie czy jakoś tak.

Woda pod mostem. A może pod pomostem, na którym postawiono ten paskudny, rozpadający się budynek.

Na szczęście to było dawno, dawno temu.

Potem poznała Leonarda, człowieka z marzeniami.

Żadne z nich się nie spełniło.

Tak, przeprowadzili się do Seattle, gdzie zamierzał zostać artystą i kupił nawet galerię sztuki, ale to przedsięwzięcie napędzane górnolotnymi ideałami okazało się, wybaczenie grę słów, przelotne. Oczywiście. Podobnie jak jej rola wokalistki garażowego zespołu, który nigdy nie wybił się poza sceny lokalnych pubów.

Nie wyszło. Żadnemu z nich.

Po kilku latach Leonard chętnie, nie, niemal *gorliwie*, odciął się od swoich marzeń i wrócili do rodzinnego miasta, Edgewater, gdzie podjął pracę w sklepie z meblami należącym do jego ojca. Toczyły się rozmowy o tym, że zostanie partnerem w interesach, a kiedyś przejmie Ładne Meble u Sperry'ego, ale jak na razie do tego nie doszło. Jego ojciec nadal codziennie przychodził do sklepu, patrzył Leonardowi przez ramię, gdy ten z całych sił starał się sprzedawać stoliki, lampy i krzesła skąpym przegrywom, którzy wciąż tu mieszkali.

Kolejny łyk wina, żeby rozwiązać niezadowolenie, gdy mościła się pomiędzy poduszkami na łóżku, najlepszym z wszystkich modeli z „oddychającym”, lecz twardym materacem i ustrojstwem, które podnosiło jego górną i dolną część po wciśnięciu guzika.

Jedna z zalet związku z Leonardem Sperrym, znakomitym sprzedawcą mebli.

Cholera.

Zerknęła na komórkę, gdzie wyświetlała się wiadomość od Lili. Zmrużyła oczy i przeczytała ją ponownie: **Nie zapomnij. Zjazd klasowy. U mnie w domu. Jutro o 19.30. Do boju, Orły!**

Akurat.

Nie ma mowy, żeby Violet poszła na zjazd klasowy w dwudziestą rocznicę ukończenia szkoły średniej, a już na pewno nie dołączy do komitetu organizacyjnego. A ta gadka o drużynie z liceum? Dwadzieścia lat po maturze? *Fuj!* Pociągnęła duży łyk z kieliszka, a potem skasowała wiadomość. Nie lubiła Lili, kiedy chodziły ze sobą do klasy, a teraz lubiła ją jeszcze mniej, odkąd dawna koleżanka wspięła się po drabinie społecznej i została ważną osobistością w Edgewater. Jakby małżeństwo ze starszym prawnikiem i spełnianie dobrych uczynków w tej malutkiej społeczności mogło coś znaczyć. Poza tym facet, za którego wyszła, stary jak świat, był ojcem ich wspólnego kolegi z klasy. „To obrzydliwe”, powiedziała z ustami przy kieliszku.

A teraz Lila chciała, żeby Violet włączyła się w organizację zjazdu. Stąd brała się tylko część jej irytacji. Ta głupia Mercedes Jennings... nie, zmieniła nazwisko... Wyszła za Toma Pope'a. A zatem ta głupia Mercedes *Pope* została cholerną dziennikarką i chciała przeprowadzić z nią wywiad na temat śmierci Luke'a Hollandera.

Po dwudziestu latach. Temat retro dla lokalnej gazety.

Nie ma mowy.

Nie ma pieprzonej mowy.

Szkoła średnia i te wszystkie dramaty, łzy i tragedie dawno się skończyły, dzięki Bogu, a ona była teraz żoną Leonarda i miała troje pięknych, futrzastych dzieci i... Wyjrzała przez okno na ciemną noc. Boże, jak to się stało, że jej życie zmieniło się w coś takiego?

Honey zeszała z posłania i skamlała przy łóżku.

– No co tam? – zapytała Violet i na widok zadowolonego psa poprawił jej się humor. – Nie możesz spać? To chodź. – Poklepała kołdrę, a Honey bez wahania szybko na nią wskoczyła, jakby spodziewała się, że Violet zmieni zdanie. Mało prawdopodobne. To Leonard zabraniał zwierzętom wchodzić do łóżka. – Proszę bardzo. – Poglaskała miedzianą sierść psa.

Gdy mała Honey zwinęła się obok niej na wysokiej poduszce, Violet zaczęła przelać kanały, żeby zdążyć na wyświetlany późnym wieczorem program. Chociaż za nic by się do tego nie przyznała, źle sypiała, kiedy Leonard wyjeżdżał. To było naprawdę głupie, że czuła się bezpieczniej, słysząc obok jego chrapanie. Tak, miał trzysta kilo nadwagi, a jego niegdyś bujne włosy przerzedziły się do tego stopnia, że resztę przyciął blisko skóry. Len nie pochwalał jej pociągu do wina – to znaczy *naprawdę* nie pochwalał – ale znosił jej kaprysy. Nie protestował, kiedy powiedziała mu, że nie chce mieć dzieci.

Stąd obecność psów. Jej maluszków. Trzech spanieli Cavalier King Charles czystej krwi. Honey z nią na łóżku i dwa pozostałe śpiące na swoich posłaniach w kącie koło szafy. Chciała odstawić kieliszek na blat, ale się wyslizgnął i rozlała wino na łóżko i do uchylonej szuflady szafki nocnej.

– Nie! – Przez chwilę czuła panikę, ale postanowiła, że bałaganem zajmie się rano. Na kołdrze było tylko kilka płamek; odwróciła ją na drugą stronę. Gdy jutro wstanie, wytrze wino z szuflady przed powrotem męża. Leonard nawet się nie domyśli.

Trochę się wstawiła, cóż, może bardziej niż trochę, ale jakie to miało znaczenie, skoro Leonard wyjechał z miasta i wróci dopiero jutro? A jej ciało i kości tak rozkosznie się rozplywały. Zamknęła oczy i niemalże nie zarejestrowała, że gospodarz programu zakończył swój monolog i teraz prowadził wywiad ze swoim pierwszym gościem, aktorką, gwiazdą filmu, który właśnie wszedł na ekrany i...

Honey się poruszyła, a z jej gardła dobiegło warczenie.

– Ciii – uciszyła ją szorstko Violet. Odpływała.

Ostre szczekanie.

Violet otworzyła oko i zerknęła na posłania, gdzie spały pozostałe psy. Bez okularów musiała mrużyć oczy. Piesek z lśniąca czarna podpalana sierścią patrzył na drzwi.

– Che, dość! – Rany, co się z nim działo? Nie tylko z nim. Trix, zwykle nieśmiała trójkolorowa suczka, warczała na swoim posłaniu, wbijając wzrok w drzwi do sypialni.

Violet poczuła niepokój ściskający jej wnętrzności. A jeśli Leonard wrócił wcześniej? Kurwa! Gdzie ma schować kieliszek, butelkę i...?

Chwila! Gdyby wrócił Leonard, psy by nie warczały... Nie, raczej piszczałyby z ekscytacji i skakały, by go powitać. Poza tym nie słyszała łomotu otwieranych drzwi garażu.

Zerknęła na zegarek. Lśniące cyfry były trochę niewyraźne, ale udało jej się odczytać godzinę.

00.47.

Nie, jej mąż nie przyjechałby o tej porze bez uprzedzenia. Na szafce nocnej znalazła komórkę i sprawdziła wiadomości. Nic od Leonarda.

Lup!

Stanęło jej serce.

Czyżby coś usłyszała?

Jakiś hałas w korytarzu?

Ale przecież wszystkie psy były tu razem z nią.

Przelknęła ślinę i ściszyła telewizor. Na ekranie gospodarz i jego gość śmiali się do rozpuku, chociaż odbiornik nie wydawał żadnego dźwięku. Violet wytrzymała słuch i próbowała usłyszeć coś poza biciem swojego serca.

Nic nie słyszała.

Zupełnie nic.

Ale czuła, że coś jest nie w porządku. Bardzo, bardzo nie w porządku.

Nie pozwól, żeby władzę nad tobą przejęły nerwy.

Żadnego dźwięku.

Honey zeszczywniała, wbiła wzrok w drzwi.

Jezu, cholerne psy sprawiały, że traciła zmysły.

Che obnażył kły.

Trix ponownie warknęła.

Działo się coś złego. Coś cholernie złego.

Pewnie nie ma się czego bać.

Na pewno nie.

Oblizała usta, stłumiła strach. Dom był zamknięty na cztery spusty. Miała co do tego pewność. Sama sprawdziła drzwi i okna. Prawda? Nikt nie mógłby wejść... no chyba że wślizgnąłby się przez wejście dla psów w kuchennych drzwiach albo... o cholera! Drzwiami do garażu. Zwykle były zamknięte na amen, ale czasem Leonard zapominał je zamknąć, gdy wynosił śmieci i, oczywiście, wewnątrz drzwi łączące dom z garażem zawsze były otwarte.

Przyspieszył jej puls, ale starała się uspokoić wzbierający w niej niepokój.

Nie ma powodu do paniki.

Jeszcze.

Ponownie oblizała usta, powoli otworzyła szufladę nocnej szafki, znalazła okulary, założyła je na nos, mimo że były pochłapane winem. Następnie cicho wyjęła pistolet. Przez chwilę powróciło wspomnienie pierwszego razu, gdy trzymała broń. Tamtej nocy. Dwadzieścia lat temu. Ale wówczas była to wiatrówka. Ta prawdziwa broń była cięższa, półautomatyczny smith & wesson 9 mm shield, który mógł wyrządzić prawdziwą krzywdę. Odbezpieczyła go, objęła palcami nieco lepką rękoność.

O Boże.

Głośno przelknęła ślinę, próbowała odzyskać jasność myślenia, po czym wyszła z łóżka. Honey ruszyła za nią, ale Violet szeptem powiedziała „zostań”, i popatrzyła na pozostałe dwa psy, które teraz stały na swoich posłaniach, i do nich też syknęła „zostań!”.

To nic takiego. Pewnie usłyszały sąsiadów... albo mysz... albo coś, to nie żaden intruz. Proszę, Boże, żeby to nie był jakiś włamywacz.

Wsunęła gołe stopy w kapcie i poszła w stronę drzwi, o mały włos upuściłaby ten cholerny pistolet, gdy się potknęła.

Weź się w garść.

Kolejne szczeknięcie Che.

– Ciii!

Draaaaap.

Po drugiej stronie drzwi.

Powinna wezwać policję.

Kogo by to obeszło, gdyby odkryli, że jest podpita – nie, nawalona – i ma naładowaną broń? Bez sensu, skoro zapewne tylko wyobraziła sobie cały ten scenariusz z włamaniem.

Ale przecież psy.

Wszystkie czujne, wpatrzone w te pieprzone drzwi.

Nic tam nie ma. Nic tam nie ma.

Wyciągnęła lewą rękę, w prawej trzymała broń. Wypuściła powietrze i nacisnęła klamkę, po czym otworzyła drzwi do środka i wyjrzała na przedpokój, gdzie słabe nocne oświetlenie ledwie rozpraszało ciemność na klatce schodowej.

Zamrugła i zmrużyła oczy.

Nic.

Żadnych poruszających się cieni.

Nikt się nie zaczął.

Wszystko sobie wyobraziłaś.

Chwileczkę.

Drzwi do drugiej sypialni wyglądały na uchylone. Na pewno były zamknięte, gdy mijają je w drodze do swojego pokoju.

A może nie?

Poczuła unoszenie się włosków na karku, gdy podeszła bliżej, delikatnie pchnęła drzwi i usłyszała ciche skrzywienie zawiasów. Zrobiła krok, by wejść do środka, ale dostrzegła jakieś cienie, które światło ulicznej lampy rzuciło na łóżko dla gości. Sięgnęła do włącznika.

Lup!

Drzwi ją uderzyły.

Ból eksplodował na jej twarzy.

Pękła jej chrząstka w nosie.

Okulary się połamały i spadły na podłogę.

Wszędzie była krew.

– Aaaa! – krzyknęła Violet i uniosła broń.

Silne palce ujęły i wykręciły jej nadgarstek.

Ból nie do zniesienia objął całą rękę, miała wrażenie, że zaraz rozpadnie się jej łokieć.

Zmusiła własne palce do wysiłku.

BUM!

Pistolet wystrzelił z ogłuszającym hukiem. Skuliła się, gdy ten, kto ukrył się w pokoju, wyrwał jej broń i wykręcił rękę tak mocno, że na pewno ją złamał. Krzyknęła z bólu i próbowała się wyrwać, ale napastnik pociągnął ją do siebie. Poślizgnęła się. Psy – jej dzieciątka – szczekały jak oszalałe i drapały w drzwi sypialni.

Ciągnięto ją, bosc stopy ślizgały się po dywanie, oczy zaszyły jej krwią.

– Nie! – krzyknęła, gdy plecami uderzyła w barierkę. Zamrugęła, próbowała wyostrzyć wzrok, ale miała wrażenie, że coś zasłania jej oczy. Opaska? Och, Jezu, czy ten potwór zamierzał ją gdzieś zabrać i nie chciał, żeby widziała, gdzie jest i kto ją atakuje?

Poczuła strach. Ten szaleniec chciał ją zgwałcić lub zrobić jej coś złego, na pewno chciał ją zabić.

Walczyła jeszcze zacieklej. Rozpaczliwie drapała się po twarzy, żeby zdjąć maskę, która solidnie przylegała, jakby przyklejona do skóry.

O Boże.

Spanikowana, zupełnie oślepią, rzuciła się na napastnika, próbując go podrapać, zdobyć jakąś przewagę, ale wszystko na nic. Wciąż była pod wpływem alkoholu, jej ruchom brakowało precyzji, serce waliło jej z bólu, dziko wymachiwała rękami, ale nie była w stanie trafić, aż wreszcie poczuła, że napastnik z trudem ją podnosi.

Nie!

– I jak to jest być całkiem ślepa? – zapytał chrapliwy głos.

Co?

A potem już leciała w powietrzu i spadała, zahaczając dłonią o żyrandol, który zabrzęczał kryształkami. W ułamku sekundy uświadomiła sobie, że marmurowa podłoga holu błyskawicznie się do niej zbliża.

Krzyczała ile sił w płucach, ale zamilkła, gdy rąbnęła o kamienną posadzkę.

Lup!

Uderzyła w nią z impetem, ciało roztrzaskało się o marmur.

Połamała kości, czaszka pękła w zetknięciu z podłożem. Oddychała jeszcze z wysiłkiem przez połamane i obluźwane zęby. Cicho jęknęła, z jej wypelnionych krwią ust dobiegł bulgot.

O Boże.

Próbowała się poruszyć.

Nie mogła.

Na szczęście była przytomna tylko przez chwilę potrzebną, by stwierdzić, że ma połamane niemal wszystkie kości.

ROZDZIAŁ 2

Paf! Paf! Paf!

Strzały odbijają się echem w całej wytwórni konserw Sea View.

Rachel rozpłascza się przy ścianie. To brzmi tak realistycznie. Nie przypomina klikania wiatrówek na śrut, ale wystrzały z prawdziwego pistoletu. Tutaj, w tym przestronnym, rozpadającym się budynku przesyconym odorem gnijących ryb i potu.

Paf! Paf!

Ktoś krzyczy.

Patrzy w dół, widzi pistolet w swojej ręce.

O Jezus!

Z dudniącym sercem wyrzuca tę cholerną broń, a ta sunie po podłodze i wpada do otwartego zsyphu, którym zsuwa się do rwącej rzeki pod budynkiem.

– Rachel? – Dociera do niej głos Luke’a, widzi go: blady, zatacza się, dłoń ma zaciśniętą na piersi, krew wypływa mu pomiędzy palcami. – Dlaczego? – Jest zdziwiony, gdy upada. – Dlaczego...?

O, Boże. Nie!

Tym razem to jej krzyk, gdy chłopak pada na plecy, a jego twarz zmienia się w papkę pożeraną przez robaki.

Nie! Nie! Nie!

Rachel otworzyła oczy i okazało się, że wpatruje się w sufit własnej sypialni, oświetlonej jedynie niebieską poświatą cyfrowego zegara.

Za cholerne dwadzieścia trzy szósta rano.

Uspokój się. To był tylko sen. Koszmar. Ten sam, który nawiedza cię dwa lub trzy razy na tydzień.

Święty Boże. Długo i głęboko odetchnęła i rozedrgana odgarnęła włosy z oczu. W domu było cicho. Spokojnie. Jedynie piec wydawał jakieś dźwięki, ale i tak słyszała niewyraźne strzelanie gaźnika starego auta dostawcy gazet gdzieś na sąsiedniej ulicy.

Gdyby tylko potrafiła to opanować!

Przynajmniej nie pobudziła dzieci, pies też chyba jeszcze spał. Płowy, długowłose kundel Reno miał pysk boksera, choć sierść na jego łapach sugerowała, że wśród przodków przewinął się jakiś owczarek. Był ich psem od dnia, gdy Cade się wyprowadził. Rachel przygarnęła niezbornego szczeniaka, który pomógł im przetrwać początkowe trudne tygodnie i miesiące po rozpadzie rodziny. Od pierwszego dnia miał swoje miejsce w nogach jej łóżka, a ona nigdy nie znalazła w sobie siły, żeby kazać mu iść spać do budy na parterze. Wynikało to też z tej prostej przyczyny, że czuła się bezpieczniej z psem w pokoju, odkąd nie było w nim Cade’a. Porzuciła już pomysł, by Reno spał na dole, a poza tym miała ważniejsze sprawy na głowie lub też „nie wiedziała, w co ręce włożyć” jak zawsze mawiał jej ojciec. Może wciąż tak mówił, nie miała pojęcia, bo od pewnego czasu rzadko z nim rozmawiała.

Kolejna sprawa do załatwienia.

Jakby nie miała co robić. Naciągnęła kołdrę na głowę i zakopała się głębiej w poduszkach. Mogła jeszcze poleżeć z zamkniętymi oczami, a jeśli uda jej się zasnąć, być może pospać, nie śniąc koszmarów. Skoro już miało jej się coś przyśnić, to dlaczego nie coś przyjemnego? Wakacje na Bahamach? Święta z dziadkami? Albo namiętny seks z jakimś przystojniakiem? Mogła wymienić kilku, o których z chęcią by pofantazjowała...

Prawdziwe życie zrujnowało jej próby zaśnieć i po kilku niespokojnych minutach sięgnęła po komórkę leżącą na stoliku nocnym, a przy okazji straciła szklankę z wodą.

– Cholera! – Cudowne rozpoczęcie dnia. Zerknęła na telefon i zobaczyła, jaka jest data. Nic dziwnego, że koszmar był tak prawdziwy. – Cholera, cholera, cholera!

Równe dwie dekady.

Właśnie tego dnia przed dwudziestu laty skłamała rodzicom, że spędzi noc u Lili, i poszła do starej wytwórni konserw.

Największy błąd w jej życiu.

– Pogódź się z tym – powiedziała, wpatrując się w sufit w ciemności jak tyle razy wcześniej. Zdarzało się to zbyt często. Wiedziała, że już nie zaśnie. Ziewając, włączyła lampkę nocną. Ciepłe światło zalało mały pokój z pochyłym sufitem, sypialnię, którą kiedyś dzieliła z Cade'em. Zakłuło ją w sercu, co z kolei ją wkurzyło. Nikt nie potrafił jej tak wkurzyć jak jej były.

Nie myśl o nim!

I co z tego, że razem kupiliście ten dom i że tutaj urodziły się twoje dzieci, zanim wyremontowaliście ten pokój, który kiedyś był strychem? Skończyło się. Już dawno temu.

– Idiotka – wymówiła na głos, a potem zmusiła się do myślenia o nadchodzącym dniu i tym, co oznaczał.

Jakby ta – jak to nazwać, rocznica? Boże, strasznie brzmi – ale jakby ten dzień nie był okropny sam w sobie, na wieczór Lila zaplanowała ostatnie zebranie komitetu organizacyjnego do spraw zjazdu.

Przecież to było chore.

Kiedy Rachel poruszyła temat daty i zaproponowała, żeby spotkać się innego dnia, Lila zachmurzyła się na chwilę.

– Wiem – odparła, a czoło jej ładnej twarzy poprzecinały zmarszczki. – Ale to jedyny wieczór, który mi pasuje, i ostatni weekend, który mam wolny przed zjazdem. Może to dziwne, ale – posłała Rachel niepewny uśmiech i wzruszyła ramionami – ale co zrobić? Minęło tyle czasu, Rach. – Odwróciła wzrok.

Stały na szerokim ganku położonego na wzgórzu domu Lili, cienie wydłużały się, bo zachodziło już słońce. Lila przeniosła spojrzenie z Rachel ponad dachy domów i jeszcze wyżej na zimne, szare wody Kolumbii, po której pływało kilka kutrów rybackich.

– Dla mnie to też trudne, sama wiesz – przyznała, a z jej twarzy na chwilę zniknęła maska radości.

Rachel wiedziała. Lila najwyraźniej nigdy nie zapomniła Luke'a, a powód tego stał się oczywisty nieco później, gdy przed Bożym Narodzeniem tamtego roku urodziła jego syna.

– Ale trzeba żyć dalej, Rach – ciągnęła teraz, znowu patrząc na przyjaciółkę; jej jasne włosy lśniły w zachodzącym słońcu. – A skoro ja mogę, to wszyscy inni też. Prawda? – Przekrzywiła głowę. – Także ty.

Rachel nie oponowała. Bo niby jak? Lila nie tylko żyła dalej, ale na dodatek się przeprowadziła i w końcu poślubiła ojca Cade'a, mężczyznę dwa razy starszego od siebie. Mimo że urodziła syna Luke'a, chłopca, którego on nie miał szansy zobaczyć.

Przez ciebie.

Przez to, że zabiłaś swojego brata.

– Nie – powiedziała na głos.

Za niecały miesiąc ten cholerny zjazd przejdzie do historii i może wtedy – o, Boże, proszę – weźmie się za swoje życie. Dzisiaj był po prostu kolejny dzień. Po prostu. Kolejny. Dzień. Wobec tego wieczorem pójdzie na zebranie, nawet gdyby miało ją to zabić. Nie może pozwolić, by ten jeden okropny błąd prześladował ją przez całe życie.

Dwadzieścia lat to wystarczająco długo.

Zerknęła na emitujący niebieskie światło zegar cyfrowy na szafce przy łóżku.

Jeszcze nie ma szóstej.

Każdego przekłętego ranka budziła się mniej więcej o tej samej porze. Kilka minut przed budzikiem nastawionym na jej ulubioną stację radiową, żeby mogła wstawać do muzyki. Co było jakimś ponurym żartem. Odkąd kupiła budzik, jakieś dwa lata temu, w dniu, gdy Cade się wyprowadził, nigdy nie obudziła jej muzyka, wiadomości czy raporty o ruchu ulicznym, nawet reklamy. O nie. Zbyt często śniła swój cholerny koszmar, który sprawiał, że od razu się budziła, czasem przy dźwiękach strzelającego gąźnika o świecie.

Z przyzwyczajenia wyłączyła alarm, żeby zegar na pewno nie zaczął nadawać jakiegoś hitu z lat osiemdziesiątych lub wieści o korkach na drogach, zanim wróci z przebieżki. Następnie zeszła z łóżka i prawie nadepnęła na Reno, podchodząc do okna, gdzie uchyliwszy zasłonę, spojrziała na tylne podwórko.

Ogrodzone.

Bezpieczne.

Wszystkie drzwi i okna były pozamykane. Wiedziała o tym. Wczoraj wieczorem jak zawsze obeszła cały dom i wszystko sprawdziła. Policzyła rygle w drzwiach. Cztery. Drzwi frontowe, drzwi od podwórza, drzwi przesuwne i klatka schodowa. I wszystkie okna. W sumie szesnaście, licząc te w piwnicy, które też sprawdziła. Każde było szczelnie zamknięte.

W ciszy przedświt na podwórzu było ciemno. Omiotła je wzrokiem przez szybę, mrużąc oczy, żeby mieć pewność, że nikt nie czai się w krzakach i między drzewami otaczającymi nierówno rosnącą trawę.

Nie zauważyła, by ktoś obserwował ją przez gałęzie przerośniętej jodły, nikt nie przyłgnął do ściany wiaty dla samochodów.

Weź się w garść.

Ale to była część jej porannej rutyny.

– Czysto – powiedziała na głos z ulgą, a potem zwróciła się do psa, który już wstał i właśnie się przeciągał. – Gotowy na rock and rolla? – spytała i poszła do łazienki, gdzie ochlapała twarz wodą.

Zerknęła w lustro i zobaczyła, że jak zwykle ma włosy w nieładzie, dzikie loki w czerwonawym odcieniu brązu związane na czubku głowy gumką, ale tak rozczochrane, że kilka pasm się wymknęło podczas niespokojnej nocy. Związała je mocniej i skrzywiła się do swojego odbicia.

Nagle pojawiło się nieproszone wspomnienie. W wyobraźni przeniosła się o kilka lat w przeszłość i przypomniła sobie, jak stała w samym staniku i majtkach przed dużym lustrem wiszącym nad podwójną umywalką. Ciepła para wypełniała łazienkę, a Cade, zaraz po wzięciu prysznicą, stanął za nią. Wciąż nagi objął ją w pasie, jego palce wsunęły się pod gumkę jej stringów, zapuszczały się coraz niżej, podczas gdy on sunął nosem po jej karku.

– Serio? – zapytała ze śmiechem.

– A jak sądzisz? – Uniósł czarną brew, widziała to w zachodzącym parą lustrze. Wyższy od niej o głowę, ze skórą w ciemniejszym tonie niż jej karnacja, z wyraźnie widocznymi mięśniami i rysami wyostrozonymi przez cień zarostu, patrzył na nią, jego cienkie usta uniosły się w uśmiechu, a piwne oczy pociemniały z namiętności.

O. Święty. Boże.

Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz.

Seks.

Brakowało jej tego.

Drażniło ją to.

Co gorsza, brakowało jej Cade'a.

Doprowadzało ją to do furii, choć nie chciała się do tego przyznać. Za nic. Nie może sobie pozwolić na żałosne pragnienie, by wrócił. Wzięła szczoteczkę do zębów, wycisnęła na nią pastę i umyła zęby

z taką werwą, że gdyby się nie powstrzymała w porę, mogłaby zetrzeć z nich szklivo. Po co właściwie myśli o Cadzie?

– Przegryw – powiedziała z ustami pełnymi piany. – Oszust. – Wypluła usta, po czym splunęła do umywalki. Stojąc, ponownie popatrzyła w lustro i zobaczyła jedynie własne odbicie. Wyrzeźbione rysy Cade'a oraz wspomnienie na szczęście zniknęły. – I dobrze. Trzymaj się z daleka. – Ściągnęła brwi i uświadomiła sobie, że mówi do swojego byłego. Ponownie. – Idiotka! – Teraz mówiła do siebie. Rany, to chyba niewiele lepiej? Nic dziwnego, że wciąż chodziła do psychoterapeuty, musiała, odkąd odszedł Cade.

A raczej ty go do tego zmusiłaś.

Niepokój uniósł wstrętny łeb, gdy otworzyła szafkę z lustrem, z górnej półki zdjęła fiolkę xanaxu i odkręciła zakrętkę. Wytrząsnęła tabletkę na dłoń, w buteleczce było jeszcze kilka, po czym przeliczyła, ile pozostało. Całe pięć. Czy nie powinno być więcej? Czy opakowanie nie było prawie pełne, gdy przestała je zażywać? Przygryzła wargę. Nie pamiętała. Tak, według etykiety w buteleczce było trzydzieści sztuk, a ona przez jakiś czas brała je codziennie, a potem przestała... ale mogłaby przysiąc, że została co najmniej połowa tego, co przepisywano jej na miesiąc – więcej niż piętnaście.

A może się myliła?

Ostatnie tygodnie były stresujące i od czasu do czasu wracała do leku, więc musiała robić to częściej, niż jej się wydawało.

Prawda?

Nikt nie przyszedłby do jej łazienki i nie ukradł tabletek, zostawiając kilka na dnie. Złodziej zabrałby całą tę cholerną fiolkę.

Chyba że Harper lub Dylan... nie, nie, nie! Jej dzieci nigdy by nie kradły jej lekarstw. Ani ich przyjacielle. Zastanowiła się nad dziećmi i ich przyjaciółmi, nastolatkami.

– Nie.

Ale tak naprawdę nie miała pewności.

Zostało sześć tabletek. Pamiętaj.

Odłożyła tę, którą miała w dłoni, i zakręciła plastikowe opakowanie, po czym zamknęła apteczkę i znowu zobaczyła swoje odbicie, dostrzegła niepokój w oczach. Prawda była taka, że jej dzieci stawały się obce, miały własne tajemnice, nie były już całkowicie od niej zależne, nie zawsze mówiły prawdę.

Wszystko to było normalne dla nastolatków.

Ale zniknęło kilka tabletek xanaxu. Wiesz o tym.

Nieprzekonana, zdjęła za duży T-shirt, który służył jej za piżamę, i założyła strój do biegania: sportowy stanik, koszulkę z długim rękawem i legginsy. Następnie w skarpetkach pospiesznie zeszła na dół i zatrzymała się przed pokojem Harper.

Wszędzie było cicho.

Zajrzała do środka. Pokój niedawno pomalowano na odcienie szarości, panował tam względny porządek, jeśli nie liczyć kontrolowanego bałaganu na toalecie, zastawionej buteleczkami, pędzlami i tubkami. Córnka spała, leżąc na kołdrze, jedna ręka zwisała jej z łóżka, blond włosy zasłaniały twarz. Douszne słuchawki tkwiły na swoim miejscu, oczywiście. Harper była martwa dla świata.

Rachel zamknęła drzwi, po czym przeszła na drugą stronę korytarza, do pokoju syna. Ignorując tabliczkę NIE WCHODZIĆ i niedorzeczną taśmę z napisem „miejsce zbrodni” rozciągniętą w poprzek drzwi, nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. Dylan był owinięty pogniecioną pościelą, widać było tylko jego głowę. Na podłodze stały butelki po napojach gazowanych i wodzie, opakowania po przekąskach, kontrolery do gier, jego nowoczesne biurko zagrażał wszelkiego rodzaju sprzęt komputerowy i gadzety do gier wideo, a wszystko to kurzyło się pod oknem.

Potrzebowałaby koparki, żeby posprzątać ten pokój, gdyby kiedyś w ogóle zdecydowała, że chce go sprzątać.

Nie, lepiej, żeby to *on* potrzebował ciężkiego sprzętu, to jego bałagan.

W jednym Dylan miał rację: jego pokój naprawdę wyglądał jak miejsce zbrodni. Było tam dość śmieci, żeby ukryć kilka ciał.

Cichutko zamknęła drzwi, po czym, z Reno idącym przy jej nodze, upewniła się, że ma w kieszeni pojemnik z gazem pieprzowym, sprawdziła zasuwkę na frontowych drzwiach, następnie przeszła przez kuchnię i tylnymi drzwiami wyszła na zabudowaną werandę. Wypuściła Reno. Kiedy pies węszył z nosem przy wilgotnej ziemi, Rachel znalazła buty do biegania, włożyła je i zaczęła się rozciągać. W końcu złapała kurtkę, zdjęła z wieszaka smycz psa i wyszła na dwór, zamykając za sobą drzwi na klucz i zastanawiając się, czy w razie czego stary alarm przeciwwłamaniowy zadziała. Zapięła psu smycz, rozejrzała się ponownie po podwórzu, odnotowała, że brama jest zamknięta, po czym ruszyła. Od razu dość szybko, ale Reno z łatwością za nią nadążał.

W powietrzu czuło się obietnicę deszczu, ulice były wilgotne, a na niebie mimo nadchodzącego poranka wciąż lśniło kilka gwiazd. Była sama, ale świadoma obecności innych osób: tych, którzy wyszli z psami, dostarczycieli gazet, innych biegaczy, ludzi zajmujących się swoimi sprawami. Biegła przez dzielnicę zbudowaną po drugiej wojnie światowej, między domami wzniesionymi, kiedy przemysł drzewny, tartaczny i rybny miał swoje najlepsze lata. Niektóre powstały później. Niestety, kwitnąca powojenna gospodarka z czasem zaczęła się zwijać, więc teraz Edgewater już nie tętniło życiem i nie prosperowało tak jak dawniej, lecz stało się raczej sypialnią dla Astorii leżącej kilkanaście kilometrów na zachód przy ujściu Kolumbii.

Rodzina Rachel mieszkała tu od pokoleń i prawdopodobnie dlatego właśnie ona sama tu została. Teraz gdy nie miała pracy, pomyślała, to mogło się zmienić. Schylając głowę pod nisko zwisającą gałęzią jodły i nie odrywając wzroku od popękanego, kruszącego się chodnika, kątem oka bacznie obserwowała otoczenie.

Na poprowadzonej równolegle do rzeki autostradzie ruch był niewielki, więc przebiegła przez nią z psem, następnie dostała się na tyły sklepu z łodziami, skąd wbiegła na ścieżkę rowerową, która ciągnęła się wzdłuż Kolumbii. W górę rzeki płynął tankowiec, jego potężna sylwetka była ledwie widoczna we mgle, która unosiła się nad taflą wody. Dalej na północ, na drugim brzegu, mrugało kilka światła.

To była jej ulubiona pora dnia, ten cichy czas tuż przed świtem, kiedy demony nocy ulatywały jej z głowy.

Boże, była dziwaczką.

Nic dziwnego, że Cade znalazł sobie inną.

Znowu Cade.

– Przestań.

Zacisnęła zęby, zmobilizowała się i zwiększyła tempo. Obok niej biegł Reno z językiem na wierzchu i powiewającymi uszami.

Mimo zimna zaczynała się pocić. Przyspieszyła, pies dostosował się do jej tempa. W ciągu kilku minut skręciła w ścieżkę za całonocnym barem Abe'a i w jej polu widzenia znalazła się wytwórnia konserw Sea View, a raczej to, co z niej zostało – rozpadający się olbrzym rozparty na spróchniałym pomoście i otoczony zardzewiałym, chylącym się ku ziemi ogrodzeniem, z tej samej siatki, przez którą przeszła tyle lat wcześniej. Zacisnęła zęby.

Dwadzieścia lat.

I nadal ją to nawiedzało.

Mimo to biegała tu, żeby patrzeć na wytwórnię każdego ranka, jakby pewnego dnia miała albo uzyskać odpowiedzi na pytania, które dręczyły ją przez pół życia, albo, co bardziej prawdopodobne, w końcu odpuścić i nigdy już nie przebiec przez teren położonej nad rzeką nieruchomości.

Odtworzyła tę scenę w głowie.

– Naprawdę muszę spotkać się z Lukiem – upierała się Lila, gdy tamtej nocy wyszły od niej z domu i skierowały się w stronę wytwórni. – To bardzo, bardzo ważne i musisz być przy mnie.

– Mogę poczekać na zewnątrz.

– Zapewne tak. Ale nie wiem, ile czasu mi zejdzie. Muszę go najpierw znaleźć, a jest tak ciemno. Nie można używać latarek. Poza tym, masz broń. Luke ci ją dał.

– Tak, wiem. – Rachel czuła ciężar wiatrówki w plecaku.

– Nie musisz się z nimi bawić. Po prostu... potrzebuję cię dzisiaj wieczorem. Nie chcę iść sama. – Lila z niepokojem przygryzała dolną wargę, jakby bała się, że Rachel się nie zgodzi.

– Dobrze. Pójdę – powiedziała Rachel, gdy zapach rzeki dotarł do jej nozdrzy.

I to był największy błąd w jej życiu.

Teraz gdy biegła bliżej tego miejsca, coraz starszy kompleks nabrzeżny zdawał się jeszcze większy i bardziej złowrogi. Co jakiś czas przechodził z rąk do rąk, ale ze względu na przepisy określające warunki zabudowy i problemy prawne nigdy nie został przebudowany. Obecnie miał się wreszcie doczekać zmian, o czym świadczyła kartka z napisem SPRZEDANE przyklejona do spłowiałej tabliczki ze słowami NA SPRZEDAŻ, gdzie widniało równie wypłowiałe zdjęcie i numer telefonu Lili Ryder. Dziwne, pomyślała Rachel, że to ona maczała palce w sprzedaży miejsca, gdzie jej życie, życie ich wszystkich, zmieniło się na zawsze. Ale udało jej się. O ile Rachel dobrze zrozumiała, w zeszłym roku konsorcjum inwestorów wystąpiło o pozwolenie na przekształcenie wytwórni konserw w przestrzeń biurową, restauracje i sklepy oraz apartamentowce wznoszące się na skraju wody. Dobrze. Nadeszła pora, by ten stary potwór zginął. Może wraz z nim minie ból i poczucie winy. Może to właśnie było częścią planów Lili.

– Rozwalcie tę budę – powiedziała Rachel, po czym zwolniła i przez chwilę truchtała w miejscu, parząc na budynek, w którym umarł Luke.

Zazgrzytała zębami, wpatrując się w rozległą, rozpadającą się budę. Wstręt wezbrał w jej przelyku, jak zawsze, gdy myślała o tamtej nocy. Mimo to zmuszała się do biegania tą ścieżką każdego cholernego dnia dotąd, aż ujrzała zniszczone ściany wytwórni konserw Sea View z nieczytelnym już szyldem kołyszącym się koło drzwi stodoly. To była jej pokuta. Osobiście zadana. Za odebranie życia bratu.

Smutek i poczucie winy ścisnęły ją za gardło.

– Dalej – wyszeptała do psa i jeszcze przez sekundę patrzyła na walący się budynek.

Reno znał trasę i już skręcał z wyasfaltowanej ścieżki na udeptany szlak, gdy dostrzegła ubranego na czarno mężczyznę stojącego za nią na drodze. Tkwił tam w bezruchu, jakby on też zatrzymał się, żeby popatrzeć na wytwórnię.

Powiedziała sobie, że to nic nie znaczy, wielu ludzi korzysta z tej ścieżki, ale znowu przyspieszyła. Biegła z Reno przez pustą działkę, gdzie rosa zbierała się na chwastach, a ścieżka była śliska po deszczu. Na wschodzie słońce dopiero wychylało się zza gór, miękkie światło skrzyło się na wodzie, krajobraz się wyostrzał. Lampy uliczne zaczynały się wyłączać, gdy dotarła na skraj miasta, gdzie przecięła dwie boczne uliczki, żeby dostać się na główną drogę.

Mężczyzna w czerni nie pobiegł za nią.

Oczywiście.

Wzięła ostatni zakręt i zwolniła do marszu, uśmiechając się na widok znajomego neonu. Pomiędzy biurem ubezpieczeń i pizzerią w starym hotelu przerobionym na lokale handlowe, znajdowała się jej ulubiona kawiarnia. Podświetlany szyld, duża, lśniąca filiżanka kawy, nad którą unosiła się biała smuga pary, wisiał wysoko nad markizą i wzywał wszystkich tych, którzy potrzebowali porannej kawy.

– Zaraz wracam – powiedziała do psa, jak zawsze, kiedy przywiązywała smycz Reno do ławki. Zauważyła uniesione brwi i spojrzenia wymienione przez niezliczonych gości siedzących na zewnątrz i sączących kawę z filiżanek.

Trudno.

Już przywykła do spojrzeń i szeptów za swoimi plecami. Kiedyś, kilka lat wcześniej weszła właśnie pod markizę zakładu fryzjerskiego, dokąd prowadziła Dylana na strzyżenie, kiedy usłyszała rozmowę dwóch kobiet wychodzących ze sklepu w tym samym pasażu.

– To ona... pamiętasz, mówiłam ci o niej?

Rachel obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że wyższa z nich wskazuje ją palcem.

– Hej! – powiedziała, ale kobieta pozostała niewzruszona. Była po pięćdziesiątce, miała zaciętą minę i właśnie podeszła do starego, poobijanego kombi.

– Zabiła brata w tej głównianej, starej wytwórni, tej na zachód od miasta.

– Ona? – Młodsza, zaokrąglona i zerkająca zza czerwonych okularów, patrzyła prosto na Rachel.

– Tak. Morderstwo uszło jej na sucho. Twierdziła, że to był wypadek. Poparły ją inne dzieciaki, które bawiły się tam w jakąś chorą grę. A jej stary był wtedy gliną. Detektywem. To on ją znalazł. – Cmoknęła, otwierając samochód. – Cholerna szkoda. – Jej przyjaciółka już wsiadła do starego chevy, ale ta, która miała prowadzić, wciąż stała przy otwartych drzwiach, patrzyła na Rachel czekając pod wypływiałym od słońca zadaszaniem i w milczeniu wyzywała ją do podjęcia jakiegoś działania.

– Jak może z tym żyć? – zapytała jej przyjaciółka i zamknęła drzwi od strony pasażera.

– Bóg wie.

– Mamo? – zniecierpliwził się Dylan i pociągnął ją za rękę.

Nie zrobiła sceny przy synu, zaprowadziła go do salonu, bo barber już na nich czekał. Wściekła, patrzyła przez witrynę, jak samochód wyjeżdża z miejsca parkingowego i powoli sunie ulicą. Nawet teraz, pięć czy więcej lat później, czuła, jak jeża jej się włosy na karku na samo wspomnienie tamtej sytuacji.

Nie знаła żadnej z tych kobiet.

Widziała tę starszą jeszcze tylko raz, jak jechała przez miasto tym samym starym kombi.

Ale każdy w tej miejscinie znał Rachel. Ze względu na tamtą noc.

I nikt nie zapominał.

Odchrząknawszy, odepchnęła od siebie to wspomnienie, po czym otworzyła drzwi i poczuła ciepły zapach kawy i świeżych wypieków. Ekspres bulgotał i syczał. W tyle siedziało czterech bywalców z iPhone'ami i gazetami na okrągłym stole.

Jedna ze szkolnych koleżanek Rachel, Brit Watkins, uwijała się za ladą. Wysoka i szczupła, miała blond włosy związane w ciasny koczek, w uszach duże, złote obręcze, pod fartuszkciem zaś rysował się jej ciężowy brzuch. Zerknęła znad filiżanki, do której nalewała właśnie kawy.

– Cześć, Rach – przywitała się i podała filiżankę mężczyźnie stojącemu w kolejce przed Rachel, face-towi po siedemdziesiątce ze srebrnym zarostem. Zapłacił co do centa, po czym zostawił ćwierćdolarówkę w słoiku na napiwki i odsunął się na bok, żeby dodać do kawy śmietanki i jakiegoś substytutu cukru.

– Co ma być? – zapytała Brit.

– Niech będzie duża kawa.

– Jasne. – Uśmiech Brit nie obejmował jej oczu, ale zawsze tak było. Od tamtej nocy. Wcześniej chyba nie. Brit należała do osób obecnych wtedy w fabryce i jak większość z tych, którzy znaleźli się w miejscu, gdzie doszło do tragedii, zachowywała się z pewną rezerwą w stosunku do tej, która została oskarżona o zabicie swojego przyrodniego brata.

– Proszę jeszcze batonik klonowy i czekoladowego pączka z posypką – dodała Rachel, a gdy jedna z brwi koleżanki wygięła się w łuk, uściśliła: – Dla dzieci. – Uśmiechnęła się. – Nie oceniam.

– Śniadanie mistrzów – stwierdziła Brit, unosząc jeden kącik ust, gdy nalewała kawę i pakowała wypieki.

– Miały ciężki tydzień. Nie, w sumie to nie tak. Ich życie to prawdziwa sielanka. To ja miałam ciężki tydzień.

Brit naprawdę się zaśmiała. Co za rzadkość.

– Rozumiem. Nastolatki. Mam czwórkę na liście płac, jeśli liczyć Mickeya, który nigdy nie przychodzi na zmianę. Więc... proszę. – Podała jej białą torbę i resztę.

Rachel z przyzwyczajenia wrzuciła monety od otwartego słoika na napiwki.

– Idziesz dzisiaj do Lili? Na zebranie?

– Słucham? Czekać, nie. – Brit zerknęła na kalendarz wiszący nad półką pełną ceramicznych kubków. – O szlag. Serio? To dzisiaj?

– Yhy.

– Kurde! Nie powinnam była dać jej się w to wciągnąć – powiedziała, marszcząc czoło w konsternacji. – Wygląda na to, że Pete będzie musiał się zająć dziećmi. – Głośno wypuściła powietrze z płuc. – Przez cały czas jestem taka zmęczona. Przychodzę tu przed piątą rano pięć dni w tygodniu i jeszcze to... – Poklepała wystający brzuch. – Ciągłe jestem zmęczona. – Westchnęła ponownie, gdy otworzyły się drzwi i do środka weszła kobieta w szpilkach, wąskiej spódnicy i skórzanej kurtce.

– Przyjdziesz? – zapytała Rachel.

– Nie mam wyboru. Powiedziałam, że zajmę się cateringiem, więc muszę to zrobić. Pete wściekł się, gdy usłyszał, że się zgłosiłam, ale skoro podjęłam taką decyzję, to się nie wycofam. To było w zeszłym roku, a teraz – zerknęła na brzuch – niespodzianka.

Rachel wiedziała wszystko o nieplanowanej ciąży Brit. Jej mąż, Pete, był podekscytowany, pragnął syna po trzech córkach. Brit natomiast nie podzielała tej radości.

– Nie wierzę, że Lila namówiła mnie na ten catering. Rany, dlaczego się zgodziłam? – Brit ze złością wytarła spieniacz w ekspresie. – Powinnam leczyć się na głowę.

– Potrafi być bardzo przekonująca.

– I to jak! – prychnęła Brit.

Lila. Zawsze zagadkowa. Dawniej najlepsza przyjaciółka Rachel. Matka syna Luke'a. Teraz zamężna z ojcem Cade'a. Co czyniło z niej byłą teściową Rachel i stwarzało sytuację, która wręcz wykraczała poza to, co dziwne i chore, jak stwierdził jej syn. W ocenie Rachel Dylan aż tak bardzo się nie mylił. Sześć lat po ukończeniu szkoły Lila potajemnie pobrała się z Charlesem Ryderem, starszym od niej o dwadzieścia pięć lat wdowcem. To małżeństwo jakoś trwało do dziś, chociaż Rachel i Cade'a się rozpadło.

Nie chciała o tym myśleć.

Nigdy.

ROZDZIAŁ 3

Cade wyciągnął rękę, palcami poskrobał po prześcieradle w poszukiwaniu Rachel, ale niczego nie znalazł. W półśnie otworzył zaspane oko i dotarła do niego proza życia. Był sam. W łóżku. W mieszkaniu w bloku.

– Cholera.

Ile czasu potrzeba, by przyjął wreszcie do wiadomości, że jest rozwiedziony, a jego była żona poszła swoją drogą i lepiej, żeby się z tym wreszcie pogodził? Spieprzył sprawę i teraz za to płacił. Każdego parszywego dnia.

– Skur... – Wstał z liczącego dwadzieścia lat małżeńskiego łóża, które dzielił z Rachel, zanim kupili nowsze i większe. Zostało w domu, kiedy żona go stamtąd wykopała. To zapadane, na którym teraz spał, wyciągnął z garażu.

Z tym też należałoby wreszcie coś zrobić.

Nowy materac, nowe życie.

No jasne.

Przeciągnął się i usłyszał, jak trzaska mu w kręgosłupie, po czym obszedł mieszkanie i zauważył otwarty laptop w salonie, gdzie zostawił zapalone światło. Telewizor wciąż był włączony i ustawiony na całodobowy kanał z wiadomościami, dźwięk był ledwie słyszalny. Na fotelu leżały gazety z trzech dni, a na stole różne akta spraw, którymi ostatnio się zajmował. Następnie jego spojrzenie padło na opróżnioną do połowy butelkę szkockiej i pustą szklankę tuż obok.

Nic dziwnego, że łupało go w głowie.

– Dureń – stwierdził, podnosząc butelkę. Wciągnął w nozdrza odurzający zapach alkoholu, po czym ją zakręcił i zaniósł do małej kuchni, gdzie trafiła do szafki nad lodówką, choć powinien był resztę wylać. Pozbyć się pokusy. Tak było od kilku lat. Z początku, zaraz po rozstaniu, pił, żeby zapomnieć albo żeby zaprotestować, albo żeby przytłumić zmysły. Nie chciał tego dogłębnie analizować. Ostatnio jednak trochę się to zmieniło. Już nie był to drink, którym delektował się wieczorem po pracy, ale raczej trzy, cztery lub więcej drinków. Podczas badań lekarskich przyznawał się do zaledwie jednego lub dwóch na tydzień, ale domyślał się, że lekarze potrafią przejrzeć go na wylot.

Kogo oszukiwał?

Zacisnął szczęki i powiedział sobie, że musi zająć się swoim pić, żeby nie mieć problemu, żeby nie być taki jak jego teść... wróć, jak były teść, Ned Gaston, który przez miłość do butelki został zmuszony do przejścia na emeryturę i opuszczenia wydziału. Ned? Ojciec Rachel? Ten to miał problem. Do tego jeszcze legendarny temperament.

Zatem nie idź tą drogą, Ryder. Bądź mądry.

Popił dwa ibuprofeny szklanką wody, następnie przez pół godziny robił pompki i podciągał się na drążku, który zawiesił w drzwiach do garderoby, na koniec użył wioślarsza. Dał sobie w kość i zdążył mocno się spocić. Potem szybki prysznic i golenie. Ubrał się tak jak zawsze i po jego kacu, jeśli to faktycznie był kac, nie było już śladu, kiedy, zgarnawszy akta i laptopa, wyszedł z domu, kierując się do zdezelowanego pick-upa, którego odkupił od starszego brata zaraz po rozwodzie. Dziesięcioletni chevy silverado nie był dokładnie tym, co, jak sądził, odpowiadało jego potrzebom, ale – ponieważ auto zostało już splecione – chyba się mylił.

Nie po raz pierwszy.

Kupił kawę i bułkę przy okienku dla zmotoryzowanych, po czym udał się na posterunek, mieszczący się w małym budynku w starszej części miasta, przy którym funkcjonowało miejskie więzienie. Zasiadł przy biurku, tym samym, przy którym niegdyś urzędował Ned, ojciec Rachel. Osuszył już pierwszy kubek, więc poszedł do pokoju socjalnego, który bardziej przypominał wnekę w połowie korytarza prowadzącego do więzienia. Na wyposażenie składały się dwa stoły, kilka krzeseł, ekspres do kawy oraz lodówka i często było tam pusto. Tego ranka jednak przy okrągłym stoliku siedziało dwóch oficerów, pomiędzy nimi leżała otwarta gazeta lokalna. Mendoza czytał dział sportowy, podczas gdy Nowak rozwiązywał codzienną łamigłówkę.

– Do cholery, co to za słowo? – mamrotał pod nosem, pstrykając długopisem. – R – A – Ń – K...

Cade zerknął na litery.

– Krtań.

– Co?

– Jak gardło.

– *Wiem, ale... do diabła.* – Nowak był napakowanym zastępcą szeryfa, po pięćdziesiątce, rude włosy miał ogolone na jeża, na jego mięsistej twarzy wszystko znajdowało się zbyt blisko siebie. Pracował w wydziale, odkąd Cade pamiętał „dożywnio”. Jeden z trzech czy czterech chłopaków z okolicy, którzy chodzili do liceum, może nawet na jakieś studia, ale skończyli w tym miejscu.

Mendoza, nie kryjąc uśmiechu, spojrzał w górę, jego ciemne oczy załśniły.

– Może jest od ciebie mądrzejszy, Ed – powiedział, w chwili gdy zjawiła się sekretarka Donna Jean Porter.

– Bądźcie grzeczni, chłopcy – upomniła ich ze znaczącym uśmiechem. Donna zbliżała się do pięćdziesiątki, była rozwiedziona, niską blondynką zawsze na jakiejś cudownej diecie, która miała pomóc jej pozbyć się zbędnych kilogramów. Pracowała tu dłużej niż Cade i zmieniała chłopaków równie często jak diety. Włożyła do lodówki pojemnik z czymś, co przypominało twaróg.

– Zawsze jesteśmy grzeczni – odparł Mendoza.

– Tak, jasne. – Zadzwoił telefon, więc wyszła z pokoju i skierowała się do swojego biurka, stukając w korytarzu obcasami.

– I gwoli ścisłości – zawołał za nią Nowak. – Ryder nie jest mądrzejszy ode mnie. Tylko lepszy w te pieprzone łamigłówki. – Napił się kawy i zapisał litery we właściwych miejscach. W tym czasie wzrok Cade'a padł na pierwszą stronę gazety, a do jego uszu dolatywał z recepcji głos Donny, która próbowała kogoś uspokoić przez telefon.

– Jestem pewna, że się znajdzie, ale tak, będziemy się za nim rozglądać. Dzwoniła pani do schroniska i weterynarza, tak, tak, wiem... proszę powtórzyć, jaka to rasa...? – Ryder przestał słuchać, gdy zauważył nagłówek:

TAJEMNICA SPRZED DWUDZIESTU LAT WCIAŻ NIE DAJE SPOKOJU

I mniejszymi literami:

KTO ZABIŁ LUKE'A HOLLANDERA?

Cade zamarł. Wpatrywał się w nagłówek, ścisłało go w żołądku, gdy czytał pierwszy akapit.

Równie dwadzieścia lat temu co do dnia Luke Hollander zmarł na skutek postrzału w opuszczonej wytwórni konserw Sea View oddalonej o milę na zachód od Edgewater. Grupa nastolatków zorganizowała niebezpieczną, jak się okazało, zabawę, gdyż około północy doszło tam do tragedii. Jeden z organizatorów, Luke Hollander, został postrzelony w wytwórni i chociaż został przewieziony do szpitala, stwierdzono jego śmierć. Zatrzymano jego przyrodną siostrę, Rachel Gaston, która została oskarżona o zabójstwo, chociaż później została oczyszczona z zarzutów. Ojczym ofiary, detektyw Ned Gaston, był pierwszym policjantem na miejscu...

– Jezu – wyszeptał Cade, gdy przeczytał artykuł, pierwszy z zapowiadanej czteroczęściowej serii, w którym cytowano kilka osób. Artykuł ilustrowały dwa zdjęcia. Pierwszym był portret Luke’a sprzed ukończenia szkoły. Uśmiechał się, niebieskie oczy lśniły, na czoło spadały mu jasne kosmyki włosów. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, a już silnie zaznaczały mu się męskie rysy twarzy. Drugie zdjęcie nie było tak wyraźne, ale Cade rozpoznał na ziarnistej fotografii Neda Gastona pomagającego swojej córce wsiąść do wozu patrolowego w noc tragedii, kiedy wszyscy, włącznie z Rachel, byli przekonani, że to ona postrzeliła przyrodniego brata. W tamtej chwili Luke wciąż żył, znajdował się w drodze do szpitala, ale po przybyciu na miejsce stwierdzono zgon, mimo desperackich wysiłków załogi karetki.

– Co? – zapytał Nowak, przywracając Cade’a do teraźniejszości.

– Nic – skłamał Ryder. Ale Nowak nie drażył.

Nie dobrze.

Odgrzebywanie horroru z przeszłości narobi jeszcze więcej kłopotów. Rachel będzie zdruzgotana. Miała już stany lękowe, a może nawet coś więcej. Kurwa, pomyślał. *Kurwa. Kurwa. Kurwa!* Artykuł napisała Mercedes Pope, jedna z byłych koleżanek z klasy Rachel. Cytowano w nim zarówno Nathana Morettiiego, jak i Lilę Ryder, kolejnych „przyjaciół”. Nathan był przyjacielem Luke’a i, tak jak on, sportowcem, podczas gdy Lila – cóż, chodziła z Lukiem i urodziła jego dziecko. Ona również poszła wtedy z Rachel do wytwórni Sea View. Teraz, za sprawą dziwnych kolei losu, Lila była cholerną macochą Cade’a.

To miasto było cholernie małe.

– Coś nie tak? – zapytał Mendoza, podnosząc wzrok znad tabeli wyników ligi bejsbola, lecz Cade nie odpowiedział, tylko wyszedł z pokoju socjalnego i udał się z powrotem do swojego biurka. Rano nie zwrócił uwagi na to, jaki jest dziś dzień, ale był przekonany, że Rachel to nie umknęło.

Zastanawiał się, czy już czytała artykuł.

Może.

Ale chyba nie.

I nie była w nim cytowana.

Mercedes Pope również była wtedy w wytwórni. Teraz należała do niej część gazety założonej jakieś pięćdziesiąt lat temu przez jej dziadka. I, jak się okazuje, postanowiła wygrzebać na światło dzienne starą sprawę.

– Świetnie – powiedział na głos. – Po prostu... świetnie.

Rachel nigdy nie otrząsnęła się z traumy po śmierci Luke’a.

– Niech to wszystko szlag.

Gdy wracał do biurka, poczuł, że wibruje jego telefon. Zerknął na ekran.

Wyświetlił się numer Kayleigh.

Cholera, nie.

Zacisnęła szczękę i zamknęła esemesa bez czytania.

Nie teraz.

Dzień już i tak wystarczająco źle się zaczął.

Żadnych dobrych wiadomości?

Nie było jeszcze ósmej.

Wiele wskazywało na to, że będzie tylko gorzej.

Rachel zdjęła buty na tylnym ganku, po czym weszła do kuchni i położyła na blacie torbę z wypiekami. Dzięki zaprogramowanemu ekspresowi właśnie parzył się świeży dzbanek kawy. Zapukała do drzwi dzieci i zawołała:

– Pora wstawać! Wstawać, pobudka! – Używała tego samego, starego zawołania, co jej matka ćwierć wieku temu, gdy wyciągała Rachel i Luke’a z łóżek. Działo tak samo wtedy jak i teraz. – Ruszać się! Bo

się spóźnicie.

Jęk z pokoju Harper.

Cisza w pokoju Dylana.

Nic, co by ją zaskoczyło.

Na górce wzięła prysznic, przebrała się, związała włosy w kucyk na czubku głowy, nałożyła szminkę i tusz do rzęs, a następnie stanęła przed łazienkowym lustrem i sprawdziła swoje odbicie. Powinna poruszyć temat brakujących leków. Właściwie musi to zrobić, pomyślała, po czym otworzyła szafkę, wzięła buteleczkę i włożyła ją do kieszeni. Potem zeszła na parter, gdzie zastała Harper z na wpół zamkniętymi oczami, stojącą przy kuchennym blacie.

– Pączek jest w torbie – powiedziała Rachel, wskazując na białe opakowanie. – Sok w lodówce.

– Wolę kawę.

– Pijesz kawę? – Rachel posłała córce zdumione spojrzenie. – Od kiedy?

– Nie wiem. Od jakiegoś czasu.

Rachel nie miała pojęcia.

Harper ziewnęła.

– Przez trzy dni, a potem oczyszczenie.

– Oczyszczenie? Czyli dieta? – Rachel przeszła dziewczynę wzrokiem, biorąc z szafki dwa kubki do kawy. Spojrzała na jej szczupłą sylwetkę i dorzuciła: – Nie potrzebujesz diety. – Po czym naala sobie ze szklanego dzbanka.

– Nie chodzi o utratę wagi, mamo.

Czy w głosie córki usłyszała pogardę?

Super.

– Chodzi o zdrowie. – Harper sięgnęła przez blat, wzięła cukiernicę, z szuflady wyjęła łyżeczkę i wyspała do kubka trzy łyżeczki cukru. Z lodówki wyciągnęła karton zabelacza o smaku orzecha laskowego, dołożyła sporą porcję do swojej kawy, po czym ponownie zajrzała do lodówki. – Nie mamy żadnego syropu? O, czekaj, jest tutaj. – Wyjęła brązową plastikową butelkę i dodała jeszcze dwie spore porcje czekolady.

Żołądek Rachel zrobił salto.

– No więc... na czym polega to oczyszczenie?

– Je się dużo dobrego. – Harper rozejrzała się po blacie, znalazła swoją komórkę, po czym doprecyzowała: – Na przykład, no wiesz, dużo soków... Może herbatę, świeże rzeczy, zero cukru... wiesz, żeby zrobić sobie detoks.

Rachel skrzywiła się, patrząc na kubek córki, wypełniony taką ilością cukru, jaka mogłaby powalić diabetyka.

– A teraz spożywasz toksyny?

Harper prychnęła z pogardą. Jakby jej matka była najgłupszą kobietą na świecie.

– Każdy spożywa – odparła i upiła łyk kawy, po czym skrzywiła się i ponownie sięgnęła po cukiernicę. Dosypała sobie kopiastrą łyżeczkę.

– Zawsze możesz wrócić do sportu. – Rok wcześniej Harper była gwiazdą biegni, jedną z najszybszych biegaczek w Edgewater High, ale gdy wzrosło jej zainteresowanie chłopakami, zmalała jej motywacja do sportu i w tym roku nie zawracała sobie głowy bieganiem. Nie dało się jej przekonać do powrotu na bieżnię.

– Jeśli nie chcesz pączka, mamy granolę, jogurt, jajka lub same białka, owoce i chleb wieloziarnisty na tosty – powiedziała Rachel.

Harper popatrzyła wilkiem, jej spojrzenie wyrażało jaśniej niż słowa: *Nic nie rozumiesz, mamo.*

Pewnie nie.

– Skoro zaczynam od poniedziałku, pączek będzie jak znalazł. – Otworzyła torebkę, a Reno podniósł wzrok, mając nadzieję, że Harper zrzuci mu kęs lub dwa.

– Twój brat wstał?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Dylan! – Rachel zerknęła na zegar i stwierdziła, że się spóźniła. Wzięła swój kubek, wyszła na korytarz i zapukała do drzwi. Ignorując ostrzeżenia przyklejone przed wejściem, zajrzała do środka. – Hej, dziecko! – zawołała, kiedy ujrzała go w takiej samej pozycji jak godzinę wcześniej. Oddychał w równym tempie, miał rozchylone usta, gęste rzęsy opadały mu na policzki. Głowę oparł o zwinięty róg kołdry, poduszka spadła na podłogę i wylądowała na papierowym talerzyku z resztkami pizzy. – Czas wstawać.

Poruszył się, naciągnął kołdrę na twarz.

– Szkoła.

Zajączał, odrzucił pościel i otworzył jedno oko. Przez chwilę wyglądał zupełnie jak jego ojciec, Rachel aż zamrugła. W żadnym wypadku nie był sobowtórem Cade'a, ale ewidentnie miał geny Ryderów. Cade i jego bracia zostali obdarzeni silnymi szczękami, gęstymi ciemnymi włosami, ostrymi rysami i piwnymi oczami, które zmieniały kolor w zależności od oświetlenia. Dylan niczym od nich nie odstawał.

Gdyby jeszcze odziedziczył po ojcu etos pracy!

– Opuść sobie – powiedział.

– Szkołę? Nie ma mowy. – Oparła się ramieniem o framugę i upiła łyk kawy. – Wstawaj, chłopie.

– Już prawie koniec roku.

– Tym bardziej trzeba zakończyć z przytupem.

– Faj. – Znowu zakrył głowę kołdrą.

– Jest piątek. Wiesz, co to znaczy. Byłam w piekarni.

– Nie obchodzi mnie to – wymamrotał.

– Skoro tak mówisz.

Wyszła, wróciła do kuchni i nasłuchiwała tupotu gołych stóp na podłodze za sobą, a potem chwicznych kroków, gdy Dylan wyszedł z pokoju i udał się do łazienki. Zawsze mogła liczyć na jego pusty żołądek i pełen pęczker, gdy chciała wypędzić go z barłogu pełnego konsol do gier wideo, monitorów komputerowych i figurek z nieproporcjonalnie wielkimi głowami przedstawiających sportowców. Jego łóżko było mniej ważne od sprzętu.

Teraz, na szczęście, wstał. Punkt pierwszy odhaczony.

W kuchni Harper siedziała przy stole, zapomniawszy o „kawie”, pączka zjadła do połowy i właśnie coś szybko pisała na komórce, jej palce śmigały nad ekranem telefonu.

Rachel usłyszała jęk starych rur i strumień wody, gdy syn włączył prysznic. Niecałe pięć minut później Dylan pojawił się z mokrymi włosami, ubrany w bluzę z kapturem i podarte dżinsy. Od razu skierował się do białej torebki i w trzech kęsach rozprawił się z batonem klonowym.

– Będziesz to jadła? – zapytał Harper, wskazując na połówkę pączka, po czym otworzył drzwi lodówki i wyjął karton soku pomarańczowego.

– Możesz dokończyć.

– Spoko. – Nie dając jej szansy na zmianę zdania, zabrał niedojedzonego pączka i wsadził go sobie do ust. Popił sokiem prosto z kartonu.

– O, fuj! Jezu, Dylan, jesteś cholernym neandertalczykiem. Nie słyszałeś o bakteriach?

– Mam je gdzieś.

– Jak widać. – Przesadnie się wzdrygnęła, po czym posłała matce zniesmaczone spojrzenie. – Nie możesz czegoś z nim zrobić? Jest taki... taki... megażenujący.

– Hej, Dylan, wiesz co – powiedziała Rachel.

Prychnął oburzony.

– Nie wiem, o co wam chodzi.

Odstawił do lodówki karton z mikroskopijną ilością soku.

– Nie wiesz? – powtórzyła Harper. Włożyła telefon do kieszeni. – Jesteś oblesny. Przerażasz mnie.

– Oj, oj, oj. Żadnych wyzwisk – wtrąciła się Rachel, po czym wyjęła buteleczkę z tabletkami, która wy-
palała jej dziurę w kieszeni. Bez słowa postawiła ją na blacie.

Dzieci porozumiały się wzrokiem.

Nie był to dobry znak.

– Co to? – zapytał wreszcie Dylan.

– Mój xanax, a raczej to, co zostało.

Zmarszczył czoło, jego brwi się zetknęły, a Harper zrobiła się blada jak ściana.

– No i? – pytał Dylan.

– No i sądzę, że brakuje kilku tabletek – powiedziała Rachel i czekała na reakcję.

– Co to znaczy? – znowu zapytał jej syn.

Harper posłała bratu spojrzenie wyrażające pogardę dla jego intelektu.

– To znaczy, że myślisz, że to my je zabraliśmy.

– My? – zdziwił się Dylan i zrzędał mu mina. Jakby był w szoku.

Czy to były prawdziwe emocje?

A może wyćwiczone zagranie?

Piętnastoletniego Dylana nie dało się łatwo rozszyfrować. Gdy był młodszy, czytała w nim jak
w otwartej księdze. A teraz? Nie za bardzo.

To samo można było powiedzieć o jego siostrze.

– Nie kradniemy twoich cholernych leków – oświadczyła Harper, dochodząc do siebie. – Co, według
ciebie, mielibyśmy z nimi robić? Sprzedawać je w szkole?

– Co? – Dylan naprawdę był wstrząśnięty.

Rachel pokręciła głową.

– Rany, mam nadzieję, że nie.

– Mamo, serio? – Harper była wkurzona.

Wspaniale. Doskonały początek dnia.

– Po prostu chciałam, żebyście wiedzieli.

– I nas oskarżyć. – Harper westchnęła. – Nie wierzę.

– Ja też nie – przyznała Rachel, nie dając się wciągnąć w tę grę. Nie oskarżyła ich, nie o to chodziło.
Po prostu poinformowała dzieci, co się dzieje. – Dobrze. – Wsadziła buteleczkę z powrotem do kiesze-
ni. – Dalej. Bierzcie plecaki i wsiadajcie do auta.

– A więc teraz mamy tak po prostu o tym zapomnieć? – Harper z powątpiewaniem uniosła brew
i z niesmakiem wydeła usta.

– Ależ nie. Nigdy o tym nie zapominajcie. Xanax może być niebezpieczny. Wiecie o tym – mówiła po-
ważnie.

– Tak, wiem. On też. – Harper wskazała brata kciukiem. – Boże, daj spokój. Dobrze? Już to wcześniej
słyszeliśmy. Od każdego. Od nauczycieli, od taty, a teraz jeszcze od ciebie. Rozumiemy.

No i... to by było na tyle. Rachel uznała, że zrobiła, co mogła, i nie zamierzała już tego ciągnąć. Wo-
bec tego zmieniła temat i zwróciła się do psa, czekającego przy drzwiach.

– Chcesz się przejechać? – Reno entuzjastycznie zamerdał ogonem. – Patrz, jest gotowy – powiedzia-
ła do Dylana, otwierając psu tylne drzwi.

Harper przewróciła oczami.

– Boże, mamo, to pies. Zawsze jest gotowy.

– Uczcie się od niego.

– Ta, jasne. – Wrzuciła komórkę do plecaka i szybko wyszła, trzaskając drzwiami. – Ja prowadzę.

– Nie dzisiaj. Jesteśmy spóźnieni.

Dylan ze słuchawkami w uszach i zarzuconym na ramię plecakiem moro minął lodówkę, nie biorąc niczego na drugie śniadanie. Poruszał głową do jakiegoś rytmu, nawet nie spojrzął na kurtkę wiszącą na wieszaku przy drzwiach i wyszedł na dwór.

– Nie twój problem – mruknęła do siebie Rachel, idąc w stronę wolnostojącego garażu, gdzie czekał jej dziesięcioletni ford explorer. Nauczy się, jak zmarznie i zgłodnieje. Dzieci znały zasady. Odkąd poszły do szkoły średniej, musiały brać za siebie odpowiedzialność. Ona z kolei musiała gryźć się w język i powstrzymywać od mówienia im, że temperatura nie wzrośnie powyżej dziesięciu stopni.

Na pewno się nauczy. Na pewno.

Wsiadli do SUV-a. Harper, oburzona, że nie mogła zasiąść za kierownicą, zajęła miejsce pasażera, a pies i Dylan usiedli na tylnej kanapie.

Ranek, jak zwykle, fantastycznie się zaczynał.

ROZDZIAŁ 4

Dzwoniła Kayleigh.

Nie wysłała wiadomości, ale zadzwoniła naprawdę.

Tym razem Cade odebrał. Głupio było tak jej unikać.

– No co? Nie odpowiadasz na esemesy? – zapytała, a on wyobraził sobie, jak jej zielone oczy błyszczą z rozbawienia połączonego z irytacją. Zawsze miała poczucie humoru, to także decydowało o jej atrakcyjności. To oraz długie noce, kiedy razem prowadzili obserwacje. Oboje byli detektywami z wydziału szeryfa. Nieświadomie potarł bliznę na szyi, która przypominała mu, że był o krok od śmierci.

– Pracuję – powiedział, co prawie nie było kłamstwem. – Dopiero co usiadłem za biurkiem.

– Nie rozsiadaj się. – Dzwoniła służbowo. – Coś się wydarzyło i wydaje mi się, że będziesz chciał to sprawdzić.

– Słucham? Gdzie?

– Zabójstwo. Przynajmniej na to wygląda. W Hillside Acres na Bonaventure Boulevard, na końcu ślepej ulicy.

Hillside Acres było osiedlem, które nigdy nie zostało przyłączone do miasta.

Kayleigh podała mu adres.

– Wiem, że to nie jest twoja jurysdykcja, ale pomyślałam, że może cię zainteresować – dodała. A on już wstał z krzesła i sięgał po kurtkę. – Ofiarą jest kobieta. Violet Sperry. Mąż był poza miastem, wrócił rano i znalazł ją w holu. Medycy już są, niedługo będą ją zabierać, więc się pospiesz.

– Jezu. Znam ją.

– Znałeś – poprawiła go Kayleigh.

– Ta, jasne. Znałem. Chodziła z Rachel do szkoły.

– I, jak rozumiem, także z wszystkimi innymi w mieście.

– Tak. Już jadę. – Rozłączył się i ruszył do tylnego wyjścia krótkim korytarzem obok pokoju socjalnego. Zaczynało padać, wzmógł się wiatr, gdy wyjeżdżał z miasta, spojrzął na rzekę, na której pojawiły się białe bałwany, jakby to był listopad, a nie maj.

Ktoś zabił Violet Sperry? Dlaczego? Niewiele o niej wiedział poza tym, że była w luźnej paczce przyjaciół Rachel w szkole średniej i zeznawała podczas procesu. O ile się nie mylił, ona i Rach nie były ze sobą blisko, chociaż Violet, jak wielu innych, zapuściła korzenie w Edgewater. Przejechał obok ogólniaka, przez chwilę pomyślał o swoich dzieciach, po czym minął starą wytwórnię konserw, gdzie umarł Luke Hollander, inna ofiara zabójstwa. Cade, starszy o kilka lat, uczył się wtedy w college'u, więc nie był zamieszany w tragedię, która przydarzyła się tamtej nocy, ale był tam zarówno jego młodszy brat, Court, jak i oczywiście Rachel. Rachel nawet oskarżono o zamordowanie swojego brata.

A ona nawet w to uwierzyła.

Zarzuty później zmieniono na nieumyślne zabójstwo, ale przestępstwo zostało usunięte z jej akt, gdyż sędzia powołał się na jej młody wiek, dezorientację i sprzeczne zeznania osób obecnych na miejscu.

Czy to zrobiła?

Czy popełniła błąd i zabiła przyrodniego brata, którego tak podziwiała?

Cade nie był pewien, ale gdy zwalisty, rozpadający się budynek zniknął w tylnym lusterku, zaczął się zastanawiać, czy w plotkach tkwiło ziarno prawdy. Te najgorsze mówiły, że ojciec Rachel, detektyw,

który jako pierwszy pojawił się na miejscu, ukrył dowody lub celowo dopuścił się zaniedbań, żeby ratować córkę.

Niewątpliwie tajemnicza sprawa.

I nigdy nie rozwiązana do końca.

Pomyślał o artykule w gazecie, napisanym przez kobietę obecną tamtej nocy na miejscu zbrodni. Dlaczego znowu to odgrzebywała? Czy chodziło jej tylko o to, żeby przypomnieć to sensoryjne zdarzenie?

Sensacyjna, nierozwiązana sprawa.

To nie do końca jest prawda, pomyślał, przełączając wycieraczki na szybszy tryb, ponieważ padało coraz mocniej. Chociaż sprawa nie została oficjalnie zamknięta, nie była też otwarta. Chyba „zamrożona” było najlepszym słowem na jej określenie. Zamrożona na kość.

W drodze do szkoły Rachel poruszyła temat zebrania dotyczącego zjazdu.

Co zaskakujące, syn jej słuchał.

– Czekaj... musimy tam iść? – zapytał z tylnego siedzenia. Po raz pierwszy wykazał jakieś zainteresowanie rozmową i wyjął z jednego ucha słuchawkę.

– Tak. Odbędzie się u Lili w domu. – Nawet po tych wszystkich latach nie była w stanie mówić o Lili jako babci swoich dzieci. Nie pasowało jej to.

– Przyszywanej babci – uzupełniła Harper kąśliwie. – Będzie Lucas? – Patrzyła przez boczną szybę i mazała po niej palcem.

– Nie wiem. Chyba tak. – Lucas jeszcze się nie wyprowadził z należącego do jego ojczyma wiekowego domu na wzgórzu, domu, gdzie wychował się Cade wraz z braćmi. Domu, w którym zmarła jego matka.

– Dobrze. – Harper w tych dniach jakby bardziej interesowała się starszym kuzynem. Jako dzieciaki byli ze sobą bliżej, ale oddalili się od siebie, gdy Harper poszła do gimnazjum, teraz jednak, gdy Lucas uczęszczał do lokalnego college’u, a Harper do ogólniaka, znowu nawiązali bliższe relacje, co cieszyło Rachel. Harper na początku drugiej klasy zaczęła się zmieniać. Trochę pogorszyły się jej oceny, przetasował się krąg jej przyjaciół. Ostatnio Rachel odnosiła wrażenie, że córka ma jakieś sekrety, i to ją martwiło. Jeśli chodzi o Dylana... to kto wie? Stał się zagadką.

Podobnie jak ona dla swoich rodziców, gdy była w tym wieku.

– Myślałam, że mamy iść do taty – powiedziała Harper, wytrącając ją z zamyślenia. Dylan natomiast znowu włożył słuchawkę do ucha i wylogował się z rozmowy.

– Idziecie, ale tata wróci późno do domu – wyjaśniła.

– Nie może nas odebrać?

– Słuchaj, tak jest łatwiej. Dla mnie. Wiec pogódź się z tym. Podrzucę was po spotkaniu, dobrze?

Brak odpowiedzi.

– Zatem jak wrócić ze szkoły, spakujcie to, co chcecie do niego zabrać – dodała.

– Nie będzie cię w domu?

– Raczej nie. – Nie rozwijała tematu.

– Super. – Harper westchnęła z oburzeniem.

– To jakiś problem?

– Bo ja, hm, mam plany na wieczór.

– Z kim?

– Jakie to ma znaczenie? Skoro muszę iść do taty? – Skrzywiła się tak, jakby zjadła cytrynę.

– Omów to z nim – odparła Rachel, chociaż chybaby padła, gdyby oddała kontrolę nad dziećmi. Tak by się nie dało. A siedemnastoletnia Harper była w niebezpiecznym wieku, podobnie jak siedemnasto-

letnia Rachel. Harper była „stara” w swojej klasie, nie załapała się do szkoły ze swoim rocznikiem, bo urodziła się w październiku. Wtedy Rachel sądziła, że dobrze się stało i jej córka będzie najdojrzalsza w grupie. Teraz już nie była aż tak przekonana. Harper zdawała się nudzić w szkole i interesowała się Bóg wie czym.

– Nigdy na nic mi nie pozwala – marudziła jej córka. Rozczarowana, oparła głowę o szybę.

Nieprawda, pomyślała Rachel. Przynajmniej nie cały czas. Mimo że Cade był gliną, potrafił być znacznie mniej wymagający od niej. Wszystko zależało od sytuacji. Ufał instynktom dzieci, pozwalał im popełniać błędy, podczas gdy ona większość swojego dorosłego życia poświęciła na zapewnianie im bezpieczeństwa, pilnowaniu, by nic im się nie stało, chyba wręcz – jak niechętnie przyznawała – do tego stopnia, że mogła podciąć im skrzydła i podkopać pewność siebie.

Kolejna sprawa, nad którą należało popracować. Kapitalnie.

– Wiesz co, Harper, nic by ci się nie stało, jakbyś się uśmiechnęła.

– Skąd wiesz?

Trafiła w sedno.

– Przynajmniej spróbuj.

– A ty? – Jej córka przewróciła oczami, po czym znów wbiła wzrok w widok za szybą, chodniki małego miasta, gdzie przed sklepami kręcili się przechodnie, osoby na zakupach, ludzie z psami i deskorolkowcy.

Znowu zaczęło padać, więc Rachel włączyła wycieraczki, gdy zatrzymała się na jedynych świetlach pomiędzy domem a szkołą, tym samym murowanym piętrowym budynkiem, do którego chodziła przed dwudziestu laty. Jakies pięć lat temu dobudowano nową salę gimnastyczną i skrzydło z laboratoriami do nauki przedmiotów ścisłych, ponadto wzmocniono go na wypadek trzęsienia ziemi, ale poza tym budynek wzniesiony pomiędzy dwiema wojnami zmienił się niewiele.

Podobnie jak reszta miasta, która najlepiej prosperowała po drugiej wojnie światowej. Jej dziadkowie opowiadali, że obozy drwali, tartaki i wytwórnia konserw rybnych pracowały na trzy zmiany. A potem pod koniec lat siedemdziesiątych gospodarka zaczęła zwalniać, miasto przestało się rozwijać, nadeszła stagnacja.

Gdy zbliżali się do szkoły, odezwał się Dylan:

– Chyba sobie odpuszczę wizytę u Lucasa. Zostanę w domu, potem podrzucisz mnie do taty.

– Nie ma takiej opcji. – Dylan już i tak spędzał zbyt dużo czasu samotnie. Prawdopodobnie więcej przebywał w Internecie, gdzie kontaktował się z innymi graczami, niż z prawdziwymi przyjaciółmi z krwi i kości. Poza tym jeszcze te brakujące tabletki przeciwłękowe. Gdyby zginęły następne...

– O rany – marudził Dylan. – Nienawidzę tam chodzić.

– Przeżyjesz. – Rachel skrzyła w ulicę, przy której stała szkoła. – Poza tym spotkanie nie powinno trwać zbyt długo.

Dylan wyciągnął szyję, żeby zajrzeć na przednie siedzenie, gdzie jego siostra wciąż siedziała osowiała i gapiła się przez pochłapaną deszczem szybę.

– Może być tutaj – oświadczył, mając na myśli to, że woli, by go wysadzić przecnicę od szkoły niż doświadczyć upokorzenia wynikającego z podwiezienia go pod drzwi wejściowe. – O tutaj.

Dobrze. Rachel bez dyskusji wjechała na wolne miejsce parkingowe. Jej dzieci wysiadły z explorera, Harper założyła kaptur kurtki, Dylan z gołą głową i ze słuchawkami w uszach pędził przez mokry trawnik do bocznego wejścia do szkoły.

Kiedy jej dzieci tak urosły? Jak to możliwe, że te lata minęły tak szybko, a jej jasnowłose bobasy, gadające o zabawkach i precelkach, dzieciaki, które patrzyły na nią z miłością i zaufaniem, stały się takie tajemnicze? Czyż to nie było zaledwie kilka lat temu?

Wówczas byli szczęśliwi, pomyślała z nostalgią. Młoda rodzina z dwójką dzieci...

Ktoś zatrąbił za nią, uświadomiła sobie, że zajęła dwa miejsca parkingowe, a kierunkowskaz jej SUV-a wciąż migał, gdy pograżyła się w myślach. Uniosła dłoń w przeproszającym geście i wyjechała na ulicę, podczas gdy ten drugi kierowca prawie w nią wjechał, zajmując zwolnione przez nią miejsce. We wstecznym lusterku Rachel zobaczyła, że ze srebrnego sedana wysiada pięcioro nastolatków. Za kierownicą siedziała ładna blondynka, która szybko rzuciła papierosa na mokry chodnik, przydepnęła go i pobiegła za swoimi przyjaciółmi, gdy zadzwonił dzwonek na pierwszą lekcję.

No właśnie. Jej dzieci olewały ją tak, jak ona olewała swoją matkę. Ile razy mówiła Melindzie, żeby parkowała dwie przecznice przed szkołą?

A co odpowiadała staruszka?

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie?

Amen.

ROZDZIAŁ 5

Cade zjechał z autostrady i jechał osiedlowymi drogami pomiędzy domami zbudowanymi w połowie lat dziewięćdziesiątych według jednego szablonu: wszystkie były piętrowe, wszystkie miały od frontu garaż na dwa samochody, a wszystkie ogrody zdążyły już zarosnąć niezgodnie z planami architektów krajobrazu.

Na końcu ślepej uliczki znajdował się dom Sperrych. Podobnie jak u pozostałych, do ścieżki prowadzącej do frontowych drzwi przylegało małe podwórko, na którym rosło kilka krzaków; niektóre zaczynały właśnie kwitnąć. Wiciokrzew piął się po treliżu, ale trawa była nierówna i pożółkła, bo zwierzęta używały jej jako toalety.

Podjazd blokowały dwa radiowozy z włączonymi kogutami, w poprzek chodnika rozciągnięto policyjną taśmę, a mundurowi starali się trzymać sąsiadów na dystans. Technicy byli już na miejscu, Cade widział ich furgonetkę, podobnie jak ekipę ratunkową. Zaparkował na ulicy, przebiegł kawałek w deszczu i pokazał odznakę jednemu z policjantów.

Na ganku zameldował swoje przybycie, założył ochraniacze na buty i wszedł do środka.

Ciało Violet Sperry leżało na marmurowych kafelkach w holu. Miała na sobie piżamę i leżała pod dziwnym kątem, jedną nogę zginała do tyłu w kolanie, z jednego łokcia wystawała kość, wokół kobiety krzepła krew.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Rozpoznał ją pomimo złamanego i zakrwawionego nosa, posiniaczonej twarzy i oczu zasłoniętych kawałkiem szerokiej, niebieskiej taśmy.

Dobry Boże.

Widział sporo martwych ludzi w pracy i podczas służby w Afganistanie, ale to... Mocno zacisnął zęby.

Fotografowie robili cyfrowe zdjęcia, operator kamery nagrywał film, podczas gdy inni technicy zdejmowali odciski palców i butów, a jeszcze inni szukali śladów i dowodów.

Po drugiej stronie pomieszczenia zauważył Kayleigh. Miała na sobie czarne spodnie i czarną, krótką kurtkę przeciwdeszczową, a rude włosy zakryła bejsbolówką. Zeszła po schodach, wyminęła technika pobierającego odciski palców i ruszyła w jego stronę, a on patrzył na jej szczupłą i wysportowaną sylwetkę. Gdy podeszła na tyle blisko, że widział wyraźnie jej duże, inteligentne oczy i piegi rozsiane na nosie, posłała mu przelotny uśmiech. – Zabójstwo? – zapytał. – Jesteś pewna?

– O, tak. – Pochyliła się i wpatrywała się w ciało, jednocześnie potakując. Nie okazywała emocji. – Chyba że kręciły ją jakieś wyuzdane gierki, na przykład zaklejanie sobie oczu taśmą.

– Nigdy nie wiadomo. – Ale jego próba błyśnięcia czarnym humorem nie spotkała się z uznaniem. Wręcz przeciwnie, dostał rykoszetem, gdy uniosła brwi i spojrzała na niego pytająco, jakby zastanawiała się, jakie są jego skłonności.

Zignorował napinające się mięśnie.

– To co macie?

– Wczoraj wieczorem miała być sama w domu – odpowiedziała Kayleigh, prostując się. – Jej mąż przebywał poza miastem, nie mieli dzieci. Wydaje nam się, że leżała już w łóżku i patrzyła w telewizor; wciąż był włączony. Pilot, telefon i iPad leżały w pościeli, jakby odłożyla je tylko na moment. Na stoliku nocnym stała butelka wina i kieliszek.

Z innego pomieszczenia dobiegło go szczekanie psów.

– To jej – wyjaśniła Kayleigh, zerkając w głąb korytarza. – Trzy cenne, małe... jakieś spaniele. – Zama-chała palcami w geście wyrażającym brak wiedzy w tej dziedzinie. – Chyba nie cocker-spaniele, ale podobne. King coś tam, coś tam...

– King Charles. A przed nim jeszcze cavalier – podpowiedział technik omiatający proszkiem barierkę schodów. Szczupły, lysiejący mężczyzna w rękawiczkach i okularach ochronnych uściślił: – Cavalier King Charles. Fajne psy. Są zamknięte w pralni.

– Właśnie – potwierdziła. – Długa nazwa dla małych psów.

– One... Te psy były... gdzie? Z nią? – zapytał Cade.

– Tak nam się zdaje. Wygląda na to, że wstała z łóżka i zostawiła je zamknięte w sypialni, gdzie, według męża, Leonarda Sperry'ego, wariacko drapały w drzwi. Powiedział, że wrócił do domu z wyprawy na ryby w Bend. Zjawił się wcześniej, niż zamierzał, wszedł przez garaż – Kayleigh wskazała na drzwi w głównym korytarzu – i znalazł ją tutaj. Prawie się o nią potknął.

– Boże.

– No wiem. Sprawdzamy jego alibi, ale na pierwszy rzut oka wygląda solidnie... a facet jest zrzeszony. Twierdzi, że od razu zadzwonił na dziewięćset jedenaście, choć wiedział, że ona już nie żyje. – Skupiła się tak uważnie na pytaniu w spojrzeniu Cade'a, że niemal powrócił do zakazanego wspomnienia. Jeśli to wyczuła, umiejętnie to ukryła. – Wierzę mu. Jak na razie – dodała. – Przekonamy się, jak sprawdzimy, gdzie był, ich finanse i resztę.

– Ślady włamania? – zapytał Cade.

Pokręciła głową.

– Nic. Ale drzwi do garażu od strony ogrodu oraz brama są otwarte. Mąż mówi, że nigdy nie otwiera-li bramy ze względu na psy, i obwinia się o to, że mógł nie zamknąć drzwi, gdy ostatnio wynosił śmieci. – Zmarszczyła brwi. – Jeśli on to zrobił, to jest cholernie dobrym aktorem.

– Mógł mieć kogoś do pomocy.

– Płatnego zabójcę?

– Tak. Może kogoś wynajął.

– Może tak. Już sprawdzamy jego konta, testament i polisy ubezpieczeniowe.

– A jego życie towarzyskie? Mógł być w coś wmieszany, mieć romans.

Zauważył, że Kayleigh się spina.

– Zawsze możliwe, co nie? – Jeśli mówiła o czymś innym niż ta sprawa, dobrze to ukryła. – Dowiemy się, ale z jego reakcji wnioskuję, że nie. Sprawdzamy ślady stóp i zaczęliśmy już rozpytywać sąsiadów, żeby dowiedzieć się, czy widzieli coś niezwykłego.

Cade rozejrzał się po wnętrzu – z jednej strony schody i pokój dzienny w głębi.

– Gdzie on jest?

– Mąż? Z Drummondem. – Wskazała drzwi wyjściowe. – Na zewnątrz, w radiowozie.

– Mogę z nim pogadać?

– Proszę bardzo.

– Najpierw bym się rozejrzał.

– Czuj się jak u siebie.

Przeszli przez schludny dom, gdzie wszystko miało swoje miejsce, w salonie i pokoju dziennym oraz w głównej sypialni znajdowały się legowiska dla psów. Duże łóżko nie było posłane, ktoś musiał niedawno zajmować jedną jego część, bo kremowa kołdra została odrzucona na bok, w poduszkach było wgłębienie. Na nocnym stoliku stała butelka wina i kieliszek, a na przeciwległej ścianie grał ściszony telewizor.

– Tak jak mówiłam, telewizor był włączony i wyciszony, gdy tu weszliśmy. Tak jak teraz. Jedyne, co się zmieniło, to psy, które Sperry zabrał do pralni i zamknął w kojcach. Powiedział, że niczego więcej

nie ruszał.

– Po tym, jak wezwał służby?

– Tak. – Wyszli z sypialni i stanęli na półpiętrze z widokiem na hol. – I chociaż ofiara nie została postrzelona, w suficie jest dziura po kuli. – Kayleigh wskazała miejsce nad nimi, gdzie widniał ubytek w tynku. – Już mamy kulę.

– Żadnych ran postrzałowych u ofiary? – Cade stanął obok barierki i patrzył na ponurą scenę na dole, gdzie medycy pochylali się nad ciałem.

– Niczego takiego nie znaleźliśmy. Laboratorium potwierdzi.

– To po co użyto broni? Ta dziura w tynku jest nowa, tak?

– Mąż mówi, że nie było jej, jak wyjeżdżał.

– Wobec tego albo zabójca ją tylko zastraszył, albo próbował ją zastrzelić, ale broniła się, więc mu się nie udało, stracił kontrolę nad bronią...

– ...albo to ona strzeliła – weszła mu w słowo Kayleigh. – W samoobronie. Miała pistolet. Smith & wesson kaliber dziewięć milimetrów. Zaginał. Według męża Violet zawsze trzymała go w szafce nocnej przy łóżku. Sprawdziliśmy tam i nie ma.

– A zatem napastnik go ukradł albo to ona się go pozbyła.

– Sperry jest przekonany, że gdy wyjeżdżał na ryby, pistolet był w szufladzie. Szukał pilota do telewizora dzień wcześniej i wtedy go widział. I magazynek. Też zniknął.

– Hm.

– A więc – ciągnęła Kayleigh, przyglądając się miejscu zbrodni – moim zdaniem usłyszała hałas, wzięła broń, wstała, zamknęła psy w pokoju, po czym wyszła na korytarz, żeby sprawdzić, co się dzieje. – Kiedy wyjaśniała mu swoją teorię, przesuwiała się w stronę otwartych drzwi, a potem przez nie przeszła. – Zabójca musiał ją zaskoczyć albo miał swoją broń i doszło do przepychanki, więc broń wystrzeliła. Może spanikował i wyrzucił ją za barierkę. – Była teraz na półpiętrze, przy zarysowanej poręczu.

– Po tym, jak zakleił jej oczy taśmą.

– Właśnie – potaknęła Kayleigh.

– Może. – Cade nie był pewien. – Powiedziałaś „on”. Sądzisz, że napastnik jest mężczyzną?

– Nie wiem na pewno. Ale musiał mieć dość siły, żeby przerzucić ją przez barierkę.

– Nie trzeba dużo... wystarczy pchnąć, a grawitacja zajmie się resztą.

Cade przyglądał się gładkiemu drewnu balustrady, dwóm złamanym szczebelkom, po czym spojrzął na podłogę poniżej, na ciało Violet.

– Więc była przyjaciółką Rachel? – zapytała Kayleigh.

– Kiedyś tak. – Ruszył na dół. – Kolegowały się w szkole średniej, chyba były w tej samej klasie. Violet zeznawała na procesie.

– Na którym Rachel została oskarżona o spowodowanie śmierci Luke’a Hollandera.

– Tak.

– A ty?

– Spotkałem ją tylko raz. Wpadłem na nią i jej męża na pokazie starych samochodów w Musial Park, jakieś siedem czy osiem lat temu. Zabraliśmy tam dzieci.

– Nie była blisko z Rachel, już się nie przyjaźniły? – spytała Kayleigh, a w jej głosie pojawiło się zdenerwowanie, gdy dotarli do parteru.

– Nie. Nie były już przyjaciółkami. – Prawda była taka, że od skończenia szkoły Rachel z nikim nie była blisko, ale nie widział powodu, żeby o tym mówić, skoro nie miało to nic wspólnego ze sprawą.

Medycy zakończyli pracę, a sanitariusze szykowali się do spakowania ciała. Ścisnęło go w dołku, gdy po raz ostatni spojrzął na Violet. Jej twarz była niemal nie do poznania, ciało pokryte krwią, połamane kończyny leżały każda pod dziwnym kątem, oczy miała zakryte szeroką taśmą.

Kto, do cholery, to zrobił?

Kto chciał jej śmierci?

I dlaczego?

– Chodźmy porozmawiać z mężem. – Wyszli na podwórze, gdzie pachniało wilgotną ziemią, ale przestało już padać. Burza na razie przycichła.

Dziwnie było nie iść do pracy. Odkąd Rachel skończyła szkołę, zawsze gdzieś pracowała, najpierw jako kelnerka, potem jako urzędniczka w banku, a następnie, będąc w ciąży z Harper, odkryła, że ma smykałkę do nowych technologii, i poszła tą drogą: zrobiła różne kursy w ośrodku kształcenia ustawicznego oraz online. Ostatnio była zatrudniona jako księgowa i specjalistka od komputerów w miejscowym sklepie ze sprzętem, który jednak został wykupiony przez krajową sieć z własnym systemem komputerowym i działem księgowości, więc ona została na lodzie.

Powinna szybko znaleźć kolejną pracę, przynajmniej miała taką nadzieję, albo zrobić coś, by jej poboczny interes przynosił więcej pieniędzy. Zastanawiała się też nad wyprowadzką, może do Portland lub Seattle, ale nie brała jej pod uwagę przed ukończeniem szkoły przez dzieci. Jeszcze trzy lata. Harper w przyszłym roku będzie w ostatniej klasie, Dylan w drugiej. Cały czas udzielała konsultacji jako doradca do spraw technologii, ale robiła to od niedawna i pozyskała tylko sześciu klientów. Miała trochę oszczędności, ale wiedziała, że gdy Harper pójdzie do college'u, szybko się one rozejdą.

Nawet o tym nie myśl; musi najpierw skończyć liceum.

Nalała sobie kolejny kubek kawy, usiadła przy kuchennym stole, włączyła iPada i przejrzała skrzynkę mailową. Żadnych ofert pracy. Następnie otworzyła portal z lokalnymi wiadomościami.

TAJEMNICA SPRZED DWUDZIESTU LAT WCIAŻ NIE DAJE SPOKOJU

KTO ZABIŁ LUKE'A HOLLANDERA?

Autor: Mercedes Pope

– Co? – Niemal stanęła jej serce, odstawiła kubek drżącymi dłońmi, aż kawa chlupnęła na listy rozrzucone po blacie stołu. Zignorowała to, ledwie zauważyła, co się stało. Skupiła się na dwóch zdjęciach towarzyszących tekstowi. Portret przedstawiał Luke'a w ostatniej klasie, wiele fotografii z tego okresu wciąż zdobiło półkę nad kominkiem w domu jej matki. Drugie, to, które obciążało Rachel, zostało zrobione tamtej nocy i przedstawiało Neda pomagającego córce wsiąść na tył radiowozu. Jej wyrażającą przerażenie twarz widać było z profilu, podczas gdy ojciec stał obok, przytrzymując otwarte drzwi. Oświetlały ich reflektory policyjnych pojazdów.

– O, Boże. Nie. – Pokręciła głową, przeleciała wzrokiem artykuł, miała gonitwę myśli. Dlaczego Mercedes to zrobiła? Dlaczego nie zadzwoniła, nie ostrzegła?

Przecież dzwoniła. I pisała. Pamiętasz? Zażożyłaś, że chodzi jej o zjazd klasowy, i postanowiłaś nie odpowiadać.

Jej żołądek zrobił salto. Przeczytała artykuł trzykrotnie, chociaż знаła wszystkie najważniejsze fakty; przesyłała je: głupie dzieciaki i ich niebezpieczna zabawa w starym magazynie. Ktoś ich zauważył i zadzwonił na policję, żeby zgłosić nieuprawnione wejście. Funkcjonariusze przybyli na miejsce i okazało się, że jeden z chłopaków umiera, postrzelony kulą z prawdziwej broni, użytej prawdopodobnie przez jego przyrodną siostrę. Dziewczynę aresztowano. Tą dziewczyną była ona.

Rachel nie mogła powstrzymać łez, które wypełniły jej oczy, nie potrafiła powstrzymać poczucia winy zagnieżdżonego głęboko w jej sercu. Nie umiała też stłumić gniewu, który się w niej budził, ponurej furii na myśl, że ktoś, kogo miała za przyjaciela, mógł zrobić jej coś takiego. Jej. Jej rodzicom. Jej dzieciom. Ale cóż, Mercedes, którą wtedy nazywano Mercy, zawsze waliła prosto w oczy, nieprawdą? I nigdy nie lubiła Luke'a. Była jedną z niewielu przyjaciółek Rachel, które potrafiły przejrzeć na wylot jego uśmiech i popisy.

Rachel odwróciła wzrok i odchrząknęła.

Nawet jeśli Mercedes zadzwoniła, żeby ją uprzedzić, artykuł był zdradą. Na miłość boską, Mercedes też była wtedy w wytwórni, sama chciała wziąć w tym udział, podobnie jak wielu innych uczniów z jej klasy i niedawnych absolwentów.

Minęło dwadzieścia lat, a wydawało się, jakby to było wczoraj.

Zamknęła aplikację z wiadomościami. Powiedziała sobie, że musi przejść przez ten dzień i przekłete zebranie, a potem sprawy wrócić na zwykłe tory. Jeśli można w ogóle nazwać je zwykłymi.

Chwila.

Ponownie wróciła do artykułu i zauważyła dopisek na dole.

Część pierwsza czteroodcinkowej serii.

– Słucham? Nie. Nie... nie. – A potem, jakby jej przyjaciółka była tu przy niej, wyszeptwała: – Boże, Mercedes, dlaczego?

Ponieważ nie jest twoją przyjaciółką. Zrozum to, Rachel, nigdy nią nie była.

Mercy na pewno wiedziała, że odgrzebanie tematu śmierci Luke'a będzie miało wpływ na Rachel i jej rodzinę. Tamtej nocy wszystko się zmieniło. Wszystko. Popękana rodzina Rachel ostatecznie całkowicie się rozpadła, a jej przyjaciele, dzieciaki, z którymi zadawała się w szkole, zaczęli jej nikać przez tygodnie pozostałe do zakończenia szkoły. Kto mógłby ich winić? Była w stanie szoku, wierzyła w to, że zamordowała brata. Oskarżono ją o popełnienie przestępstwa.

Zastanawiała się, jak na artykuł zareagowała jej matka, co pomyślał jej ojciec? Nie zostali zacytowani w gazecie. Wypowiedzieli się tylko Nate Moretti i Lila Ryder. Nate powiedział: „Wiesz, to nadal trudne. Luke był moim najlepszym przyjacielem i tak, byłem tam, ale nie wiem, jak to się stało”. Wypowiedź Lili była bardziej dramatyczna: „Tęsknię za nim każdego dnia. Luke jest ojcem mojego syna, Lucasa, który dostał po nim imię, ale jest mi ciężko, podobnie jak synowi, który nigdy nie poznał swojego prawdziwego taty”.

Piekły ją oczy, ale starała się powstrzymać od płaczu. Co zawsze powtarzała jej matka? „Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem”. Ale w tym przypadku rozlano wiadra łez. Po śmierci Luke'a wszyscy płakali.

Mama.

Czy to przeczytała? O, Boże.

To się nigdy nie skończy, pomyślała, po czym wyjęła telefon z kieszeni i z listy ulubionych wybrała numer matki.

Melinda odebrała po drugim sygnale.

– Cześć – rzuciła, wiedząc, kto dzwoni. Ale w jej głosie nie było życia.

Cholera.

– Cześć, mamó.

– Widziałam. To dlatego dzwonicz. Prawda? Ze względu na artykuł w gazecie lub dlatego że to... – Zamilkła, ale obie wiedziały, że chodzi jej o tę datę.

– Tak. Chciałam sprawdzić, jak się masz.

Pauza. Po chwili:

– No cóż...

Co tu powiedzieć?

– Jest ciężko.

– Tak. Prawda. Nam wszystkim... Tobie też – stwierdziła. – I twojemu ojcu zapewne też.

– Tak – przyznała Rachel i ponownie zauważyła, że jej matka nigdy nie mówi po imieniu o Nedzie Gastonie. To się chyba nigdy nie zmieni. Tolerowali się nawzajem... nie bez trudu. Na ślubie Rachel stali obok siebie, ale nie rozmawiali, unikali się podczas przyjęcia i przez lata, kiedy znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, stronili od rozmowy i udawali, że ta druga osoba nie istnieje.

Zachowywali się jak uprzejmi nieznajomi.

Niedorzeczne.

– Pojedziesz... na cmentarz? – zapytała Rachel.

Pauza.

– Tak.

Głupie pytanie.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Pojechałabyś?

Nie, nie brałam tego pod uwagę, ale...

– Tak. – Zerknęła na zegar i szybko policzyła, ile ma czasu, co musi jeszcze zrobić przed odebraniem dzieci ze szkoły. – Mogę przed południem.

– To może się zobaczymy. Nie jestem pewna... Po prostu nie wiem, jak mi się ułoży dzień.

Odmowa. Grzeczna.

– W porządku. – Rachel nie chciała naciskać.

Rozmowa się nie kleiła, więc gdy córka obiecała, że „niedługo” odwiedzi ją z dziećmi, Melinda zakończyła połączenie.

Myśli Rachel skupiły się na matce. Wysoka i szczupła Melinda o regularnych rysach twarzy, żyjących własnym życiem włosach do ramion i brązowych oczach, które zdawały się widzieć zbyt dużo, lata temu była kochającą matką. Wtedy jeszcze często się uśmiechała, puszczała oko, kiedy Rachel przyłapywała ją na ukradkowym paleniu papierosów. „Nie mów tacie”, mówiła, ale żartobliwie, bo w tamtym okresie Ned Gaston był zakochany w niej po uszy... To było dawno temu, zanim małżeństwo się posypało, na długo przed tym, jak odebrano jej jedynego syna, a zastrzeliła go...

– Oj, przestań! – wrzasnęła Rachel, a Reno, który już się umościł na swoim legowisku koło drzwi, głośno zaszczeakał. Boże, chyba jej odbiło? – Przepraszam. – A teraz jeszcze usprawiedliwia się przed psem. *Boże, Rach, odjeżdża ci peron. Spróbuj przeżyć ten dzień jak pozostałe, dobrze?*

Ale gdy spojrzała na plamy po kawie na rachunkach i reklamach, wiedziała, że się oszukuje.

ROZDZIAŁ 6

Rachel nie było w domu.

Jej auto nie stało w garażu, nie otwierała drzwi.

Cade bez namysłu wyjął z kieszeni breloczek z kluczami, wybrał ten, którego używał przez lata, i wszedł przez główne drzwi do budynku, który niegdyś nazywał swoim domem.

– Rachel?! – zawołał, przechodząc przez salon połączony z jadalnią do kuchni, gdzie na stole ładowały się jej tablet i komórka.

Nic dziwnego, że nie odebrała.

– Rachel?! – zawołał ponownie.

Będzie wkurzona, jeśli nakryje go w obrębie tego, co uznawała za swoje terytorium, w domu, który przypadł jej po rozwodzie. Bez żadnych haczyków prawnych. Bez zapisu, że będzie musiała go sprzedać, kiedy dzieci pójdą na studia, bez żadnych finansowych zobowiązań z jej strony. Uznał, że jej się należy.

– Rachel? Jesteś tu?

Najwyraźniej jej nie było. A mimo to czuł, że nie jest sam. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Nic. Poza cichym mruczeniem lodówki i szumem wiatru wpadającym przez uchylone okno koło stołu.

Hm.

Dzieciaki były w szkole, nawet pies zniknął razem z autem. Cade miał już wyjść, ale zatrzymał się i spojrzal na znajome przedmioty. Jej ulubiony, pęknięty kubek do kawy w zlewie, starty napis „najlepsza mama na świecie” już ledwie było widać. Prace plastyczne dzieci sprzed lat wciąż wiszące na tablicy korkowej, na podłodze spękane linoleum, którego nie cierpiała, a on obiecał, że je wymieni, posłanie psa koło drzwi.

Poczuł głupią falę nostalgii. Chciał osobiście powiedzieć jej o Violet, a kiedy nie odbierała jego telefonów i wiadomości, zatrzymał się tutaj w drodze na komisariat.

Może oddzwoni, kiedy wróci do domu.

Ale zanim to się stanie, pewnie będzie za późno.

Nim odjechał z miejsca zbrodni, media już zaczęły zbierać się pod domem Sperrych. Wciąż miał przed oczami pogruchotane ciało Violet, a szybka rozmowa z jej mężem, Leonardem, przywiodła go do takich samych wniosków, jakie wyciągnęła Kayleigh: niewinny. Albo powinno się go nominować do Oscara. Leonard Sperry był załamany, nie potrafił powstrzymać napływu łez i z trudem się komunikował, siedząc w policyjnym wozie. Mamrotał: „Nie, nie, nie... och, Vi... nie, nie”, wpatrywał się w swoje ręce, bezwiednie spoglądał przez okno samochodu lub wbijał wzrok w podłogę.

Jego relacja się nie zmieniła. Był w Bend z przyjaciółmi. Wcześniej wrócił do domu. Znalazł ją na podłodze, psy były zamknięte na górze w sypialni. Nie przychodził mu na myśl nikt, kto chciałby skrzywdzić ją lub jego, nie, wiedział, że na pewno sama by nie skoczyła przez barierkę. Leonard uważał chyba, że spadała ze schodów, chociaż Cade, widząc zadrapaną balustradę, podejrzewał coś innego.

Cade zerknął na wiszący na szafce przy tylnych drzwiach kalendarz ze słynną kotką Grumpy Cat, na którym Rachel robiła notatki. Chociaż pracowała w branży informatycznej, cały czas zaznaczała spotkania na tradycyjnym papierowym kalendarzu.

– Żebyśmy wszyscy mieli do tego dostęp – mówiła, ale notowała je także w cyfrowym terminarzu na telefonie i komputerze. A przynajmniej robiła tak, gdy byli małżeństwem. No i proszę. Dzisiejsza data. Dzień śmierci Luke’a... a teraz to samo można powiedzieć o Violet Osbourne Sperry. Dwa nagłe zgony.

W odstępie dwudziestu lat. Przez chwilę zastanawiał się, czy może być między nimi jakiś związek, ale odrzucił tę głupią myśl tak szybko, jak się pojawiła. Zwykły zbieg okoliczności. Podobnie jak to, że ktoś urodził się tego samego dnia.

Cóż, nie do końca.

Zerknął na telefon Rachel, wziął go do ręki i zauważył, że ekran się świeci. Jakby ktoś z niego korzystał. Ale nikogo nie było w domu.

Chyba...

Napiął mięśnie. Ponownie odniósł wrażenie, że nie jest sam, ale obszedł cały parter, rozejrzał się po pokojach i nikogo nie zauważył ani w części dziennej, ani w jadalni, ani w chlewie, który był sypialnią syna. Zatrzymał się na chwilę w pokoju Dylana, zauważył puste butelki, opakowania i niezasłane łóżko. Na dwóch krzesłach stojących przed biurkiem z komputerami leżały ubrania.

Ale nikt się tu nie ukrywał, podobnie jak u Harper, gdzie panował mniejszy chaos.

No to co?

Chodziło o zapach. Jakby dym papierosowy? A może to jego wyobraźnia? Nikt tu nie palił. Rachel nie. Dzieci też nie... no chyba że o czymś nie wiedział. Poza tym zapach był bardzo słaby... Nie.

Zignorował ucisk w piersi i, po raz pierwszy od rozstania, wszedł na górę. Pokoje się zmieniły, pościel i ręczniki stały się bardziej kobiece, niż wtedy gdy tu mieszkał. Ale Rachel wciąż miała ten sam szlafrok, znoszony, stary, niebieski łach, który rzuciła w nogi łóżka. Dotknął go. Przelknął ślinę i przypomniał sobie, jak kochali się pierwszej nocy po zakupie nowego materaca. Dzieci spały gdzieś poza domem, a oni spędzili tu całe godziny pod tym skośnym sufitem i szaleli w łóżku jak nastolatki. Przypomniał sobie smak jej skóry, słono-słodki i pachnący wodą kolońską, która doprowadzała go do szału, była taka śliska, kiedy...

Ciii.

Pstryk.

Co to? Zamarł, słysząc znajomy dźwięk otwierających się i zamykających drzwi na tyłach domu.

Jak to możliwe?

Zanim dokończył tę myśl, był już na dole i wpadł do kuchni. Tylne drzwi były zamknięte, ale wyszedł przez nie do ogrodu i zobaczył uchyloną furtkę, która bujała się lekko.

Czy tak było chwilę wcześniej?

Nie sądził, wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Z całą pewnością poruszał nią wiatr. Rachel nigdy tak jej nie zostawiała. I dlatego, do cholery, drzwi do ogrodu nie były zamknięte na klucz? Od czasu gdy dzieci były małe, a pies szczeniakiem, miała świra na punkcie zamykania furtki na cztery spusty.

Jego kroki chrzęściły na mokrym żwirze ścieżki. Przeszedł przez furtkę i zauważył, że ktoś się oddala, był już przecnicę dalej, mężczyzna w ciemnej kurtce i czarnych spodniach z nisko naciągniętą czapką, który pospiesznie przemykał pod gałęziami jodeł rosnących w sąsiednich ogrodach.

Czy to on był na podwórku?

A może to tylko któryś z sąsiadów udał się na spacer?

Czas się przekonać. Cade ruszył biegiem, wtedy mężczyzna zaczął grzebać w kieszeni kurtki.

O, kurwa, czyżby miał broń?

Zwolniejszy, wbił wzrok w faceta i był gotowy do przeskoczenia przez płot i ukrycia się w żywopłocie, ale dostrzegł, że przedmiot wyjęty z kieszeni to brelok kluczy, który mężczyzna wycelował w zaparkowanego na ulicy sedana. Samochód zapiszczał, rozbłyły światła, a Cade zawołał:

– Halo?!

Facet zatrzymał się i odwrócił. Miał jakieś sześćdziesiąt lat, był nieogolony, nosił okulary. Zmarszczył krzaczaste, siwe brwi pod czapką.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zapytał.

– Może. – Cade dotarł do samochodu, białego buicka. Z tablicami spoza stanu. Z Idaho. – Mieszka pan tu w pobliżu?

– Jakieś osiem czy dziewięć przecznic dalej. – Brodą wskazał główną drogę. – Na Toulouse. Frank Quinn.

– Cade Ryder.

Jeśli to nazwisko coś mu mówiło, nie dał po sobie poznać.

– Jestem tu, bo szukam psa. Cholerny beagle. Znowu uciekł, pewnie pobiegł za jakąś wiewiórką. Sam nie wiem. – Czoło przecięła mu bruzda, wyraz niepokoju. – Muszę mu kupić nadajnik albo postawić nowy płot. Zapewne pan go nie widział.

– Przykro mi. – Cade pokręcił głową. – Ale wydawało mi się, że był pan w tamtym domu, w tym z czerwonymi okiennicami?

– Byłem...

– W ogrodzie na tyłach?

– Nie. Ale zaglądałem przez płot.

– Przeszedł pan przez furtkę?

– Nie. – Oburzył się. – Po co?

– Była otwarta.

– Tak? – Potarł szczękę, jego zarost zaszeleścił. – Nie wydaje mi się. Oparłem się o nią, żeby zajrzeć do ogrodu.

– Ale nie otwierał jej pan?

– Nie. Nie chciałem wchodzić na cudzą posesję. No chyba że wypatrzyłbym Monty'ego. Wtedy bym wszedł.

– Widział pan kogoś jeszcze?

– Na tym podwórku?

– Wychodzącego z domu?

– Nie. Zauważyłbym, bo szukałem... cóż, o wilku mowa... – Zmartwiona twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu pełnym ulgi, gdy trzy domy dalej z krzaków wybiegł beagle. Pędził, ujadając, i przeskakiwał nad kałużami i pęknięciami w chodniku, które powstały na skutek wypychania ich przez korzenie drzew. – Wrócił pies marnotrawny. Ty mały smrodzie! – rzucił Quinn, pochyliwszy się, żeby pies mógł wskoczyć mu na ręce. – Wiesz, że jesteś złym pieskiem?

Monty polizał Quinna po srebrzystym zaroście, merdając zakończonym na biało ogonem jak trzepaczka.

– Ojoj, myślałby kto, że akurat mnie szukałeś – powiedział mężczyzna, otwierając drzwi samochodu i kładąc psa na fotel kierowcy. Po chwili przegonił go na miejsce pasażera. – Prowadziłby, jakbym mu pozwolił, ale lepiej niech mnie pilotuje.

Śmiejąc się z własnego dowcipu, Quinn wsiadł do auta, po czym odjechał.

Niewinny.

Cade wrócił do domu i swojego pick-upa zaparkowanego przed nim. Może tylko mu się wydawało. Może ogarnęło go zdenerwowanie po artykule o śmierci Luke'a Hollandera i scenie zabójstwa. Może wszystko było w porządku.

Może jednak nie.

Na przydrożnym straganie Rachel kupiła bukiet żonkili, po czym pojechała na cmentarz. Dzień był ponury, dopasował się nastrojem, i chociaż deszcz na razie ustał, ziemia była mokra. Od długiej, wilgotnej trawy przemokły Rachel tenisówki, gdy kierowała się wskaźnikami, by znaleźć nagrobek brata.

Na jednej z wyspanych zwirem alejek cmentarza w Edgewater parkował samochód firmy zajmującej się utrzymaniem zieleni, a jakiś mężczyzna ze szpadlem przekopywał ziemię obok jednej z sosen, które otaczały cmentarz. Na innym drzewie jakaś śmiała szara wiewiórka zbiegała po sękatych gałązkach.

Melinda Gaston już tu była, stała nieruchomo na górze, gdzie pochowano prochy Luke'a. Z pochyloną głową, ubrana w długi, czarny płaszcz i wysokie buty, wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Palce jednej dłoni zaciskała na rączce złożonego parasola, który służył jej za podparcie, i patrzyła na grób syna.

– Cześć – powiedziała Rachel, gdy podeszła bliżej i zobaczyła, że matka płakała, miała zaczerwienione oczy, chociaż wysiliła się na uśmiech.

– Cześć. – Melinda zamrugła, po czym znowu wbiła wzrok w ziemię, gdzie leżał bukiet białych róż.

Rachel położyła obok niego wędnące żonkile.

– To zawsze jest trudny dzień.

– Tak, wiem.

– Powtarzałam sobie, że powinnam przestać tu przychodzić.

– Ale...

– Ale chyba nie jestem na to gotowa. – Odchrząknęła i dodała: – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek to nastąpi.

– Mam nadzieję, że tak.

– Ja też.

Powiał wilgotny wiatr, szarpiąc dół płaszcza Melindy i wzdymając jej spódnice. Po chwili matka zaczęła:

– Wiesz, że cię nie obwiniam, prawda?

– Tak.

Melinda już wcześniej to mówiła.

– Postaraj się w to uwierzyć.

– Dobrze.

Matka obrzuciła ją spojrzeniem.

– Wobec tego powinnaś przestać się winić.

– Nie winię się – skłamała gładko.

Melinda uniosła brew i chociaż nadal opierała się o parasolkę jedną ręką, drugą złapała dłoń Rachel i lekko ją uściśnęła.

– Wiesz, że miałam wrażenie, że straciłam oboje dzieci tamtej nocy, syna i córkę. Luke... umarł, to prawda, a ty się oddaliłaś.

To nie do końca było prawdą. Owszem, poczucie winy sprawiło, że Rachel oddaliła się od rodziny. Po tamtej nocy opuściła ją większość przyjaciół, zajęli się własnym życiem. Rachel znalazła pocieszenie i siłę w ramionach Cade'a Rydera, kiedy wrócił do Edgewater.

– Ty i ja... straciłyśmy o wiele więcej niż tylko Luke'a – powiedziała matka szeptem, prawie niesłyszalnym, gdy wzmógł się wiatr.

– Pracuję nad tym.

– To bardziej się postaraj, dobrze? Minęło dwadzieścia lat. Czas odpuścić. – Następnie położyła na ustach odzianą w rękawiczkę dłoń, pocałowała swoje palce i dotknęła kamienia nagrobnego. – Musisz żyć dalej. – Pokiwała głową. – I ja też. – Z wahaniem przygryzła wargę, jakby coś przyszło jej na myśl.

– Co? – zapytała Rachel.

– Wyszedł, wiesz? – mruknęła Melinda, gdy ponownie się rozpadało. Duże krople przypominały łzy.

Łzy Boga, mawiała babcia Rachel. Płacze nad losem ludzi. Rachel nigdy jej nie wierzyła.

– Kto? – zapytała, przyglądając się matce. – I skąd? – O czym mówiła Melinda?

– Bruce.

– Bruce? – powtórzyła Rachel, zanim ją oświeciło. Bruce Hollander był biologicznym ojcem Luke'a. Rachel nigdy go nie poznała, poszedł siedzieć, zanim się urodziła. Jej tata, Ned Gaston, pracował przy sprawie Hollandera, gdy był początkującym detektywem. – Och.

– No właśnie.

– Skontaktował się z tobą?

– Nie. Nie może. A raczej nie powinien i do tej pory tego nie zrobił. Słyszałam o tym od swojego adwokata, który dostał informację od kuratora Bruce'a.

– Tata wie?

Melinda wzruszyła ramionami i, o ile to możliwe, jeszcze bardziej posmutniała.

– Nie mam pojęcia.

– Nie mówiłaś mu?

Pauza. Kolejne krople deszczu.

– Rzadko rozmawiamy.

Niedopowiedzenie roku.

– Może powinniście nad tym popracować.

– Mmm – wymamrotała Melinda w odpowiedzi.

Razem oddaliły się od miejsca ostatecznego spoczynku Luke'a, Rachel patrzyła, jak matka idzie po mokrej trawie, kierując się na parking, gdzie zostawiła swoje auto. Ona natomiast zaparkowała na ulicy, więc gdy wsiadła do swojego explorera, obejrzała się i spojrzała na cmentarz, po czym przypomniała sobie ten dzień dawno temu, gdy wszystko wciąż było świeże, a jej życie pogrążyło się w chaosie, gdy pochowali jej brata.

W pewnym sensie wydawało jej się, że minęły wieki, choć niektóre szczegóły tamtych dni nadal były wyraźne i bolesne.

Patrzyła, jak jej matka odjeżdża, i zauważyła, że zniknęła również furgonetka robotników. Została sama.

Reno zaskomlał na siedzeniu obok.

– W porządku – powiedziała i poklepała go po szyi, ale poczuła, że jego sierść się jeży, jakby coś go zaniepokoiło. – Co tam? – Pies gapił się przez pochłapaną deszczem przednią szybę, wbił wzrok w miejsce, gdzie był grób Luke'a.

– Widzisz wiewiórkę? – Przeszedł ją dreszcz.

Ale nie... ćwierkanie ucichło, szara wiewiórka też gdzieś poszła, na cmentarzu było cicho, słychać było jedynie kapanie deszczu i szelest wiatru.

Zaschło jej w gardle. Popatrzyła na samotne wzgórze, ale nikogo nie zauważyła. A mimo to... miała wrażenie, że nie jest sama.

– Nie strasz mnie – szepnęła do psa i poczuła, że zwierzę spina mięśnie. – Niczego tu nie ma.

Jedynie pusty cmentarz w ponury majowy dzień. Nie ma tu niczego wyjątkowego. Ale dalej nie była przekonana, gdy przekreśliła kluczyk w fordzie, a jego stary silnik od razu zaskoczył. Sięgnęła po telefon, ale uświadomiła sobie, że komórka ładuje się w kuchni, po czym ruszyła.

Wówczas zauważyła w tylnym lusterku, że białe auto parkujące kawałek dalej również włączyło się do ruchu. Jechało za nią przez kilka przecznic, dogoniło ją na światłach. Kierowca siedział pochylony nad kierownicą, widziała jego ciemną czapkę pomiędzy wycieraczkami zbierającymi wodę z szyby; przez częściowo otwarte okno pasażera jakiś pies wystawiał podłużny pysk.

To nic. Absolutnie nic. Masz zszargane nerwy.

Dostała zielone, więc skręciła w prawo, kierując się z powrotem do domu, żeby zabrać komórkę i zadzwonić w parę miejsc przed dzisiejszym zebraniem.

Biały samochód jechał za nią, więc próbowała przyjrzeć się kierowcy. Mężczyzna – ale czy go znała?

To jakiś nieznamy, którego nigdy wcześniej nie widziałas, nic strasznego. Weź się w garść, Rachel. Cały czas to robisz. Każdego cholernego dnia.

Ale gdy dodała gazu, serce jej biło jak szalone.

Białe auto trzymało się w zasięgu wzroku, także przyspieszyło, ale nie zmniejszało odległości między nimi.

Przecież to dziwne, prawda?

A może nie.

Na kolejnym skrzyżowaniu, zamiast pojechać prosto do domu, skręciła za miasto, w stronę drogi szybkiego ruchu, a biały samochód oczywiście zrobił to samo.

Nie panikuj.

Ale panikowała i weszła w zakręt nieco za szybko, wpadła w poślizg, opony zapuszczaly.

Weź się w garść!

Kiedy dotarła do wybranej drogi, praktycznie nie zwalniając, przejechała przez światła i dodała gazu, explorer wyrwał do przodu, zaryczał silnik.

Na szerokim łuku zauważyła tył ciągnącego się autokaru, jadącego z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie widziała, żeby z naprzeciwka coś jechało, więc przyspieszyła i go wyprzedziła. Kierowca zatrząbił z irytacją. Jak się okazało, autokar jechał za jakimś powolnym pick-upem. Wyprzedziła także jego, po czym w lusterku dojrzała dzikość w swoich oczach.

Droga pięła się pod górę, w przeciwnym kierunku jechała duża ciężarówka z naczepą.

Co robisz, Rachel?

Serce jej waliło, z trudem łapała powietrze. Była matką, osobą dorosłą... Zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła, że biały samochód wystawił nos zza kampera, ale schował się, gdy kierowca zauważył ciężarówkę.

– Dobrze. Zostań tam – powiedziała, po czym ugryzła się w język.

Co było z nią nie w porządku?

Zaczęła głęboko oddychać, włączyła radio i jednym okiem zerkając w lusterko, skręciła w następną wiejską drogę, wjechała między wzgórza i straciła białe auto z oczu.

O ile naprawdę cię śledziło.

Znowu spojrzęła na swoje odbicie.

– Nie rób tego – ostrzegła się, po czym zobaczyła w bocznym lusterku, że biały samochód zjeżdża z głównej drogi.

ROZDZIAŁ 7

Violet nie żyje?

O Boże.

– Nie. – Głos Rachel zabrzmiał piskliwie. Stała w kuchni w ociekającej wodą kurtce i wpatrywała się w wiadomości na telefonie. Od Cade'a, od Lili i Mercedes, wszystkie dotyczyły tego samego, we wszystkich pobrzmiwały szok i przerażenie.

Nie, nie, nie. To niemożliwe. Nie tak dawno widziała Violet na stacji benzynowej... jej samochód z wyłączonym silnikiem stał zwrócony w przeciwną stronę, kiedy Rachel tankowała. Violet, obciążona małym psem, pozdrowiła ją nieznacznym ruchem ręki. Rachel się spieszyła... zawsze się spieszyła, wtedy jechała odebrać dzieci ze szkoły. Nie pamięta nawet, czy jej odmachala.

A teraz ona nie żyje?

Opadła na jedno z kuchennych krzeseł i odpaliła komputer, ale jak na razie nie było zbyt wielu szczegółów. Jedynie informacja, że Violet Sperry została znaleziona martwa w swoim domu, odkrycia dokonał jej mąż wcześniej rano. Na miejsce przyjechała policja, która nie odniosła się do przyczyny śmierci, stwierdziła jedynie, że była „niespodziewana” i „prowadzone jest dochodzenie”. Co to znaczyło? Czy podejrzewali, że doszło do przestępstwa? Czy Violet stała się ofiarą przemocy? Zabójstwa? A może popełniła samobójstwo? Co się stało?

Wybrała numer komórki Cade'a, a kiedy odebrał po pierwszym sygnale, powiedziała:

– Cześć. Tu Rachel. Dostałam twoją wiadomość... o Violet. Co się stało?

– Rano zostałem wezwany na miejsce – odpowiedział. – Violet nie żyła od kilku godzin. Mąż znalazł ją w domu.

– Nie wierzę.

– To prawda.

– Jak umarła?

– Ciągłe czekamy na wyniki autopsji. Podlega jurysdykcji hrabstwa, ale zostaniemy poinformowani.

– Czyli nie z przyczyn naturalnych?

– Nie.

– Czy to było morderstwo? – Nie widziała powodu, by owijać w bawełnę.

– Na to wygląda.

– Jezu, Cade – wyszeptala i poczuła, że robi jej się zimno. – Dlaczego?

– Nie wiemy.

Oczywiście. Rachel oparła się o blat. Była córką detektywa, potem żoną innego; rozumiała.

– Jak... jak się trzyma jej mąż? O Boże, nawet go nie znałam. Sprzedawca mebli, zgadza się?

– Leonard Sperry. Tak, prowadzi rodzinny interes. – Westchnął. – Rozmawiałem z nim. Posypał się. Jest w szoku.

– Nic dziwnego – odpowiedziała. – Tak jak my wszyscy.

Milczenie.

– Chciałem ci o tym powiedzieć, więc przyjechałem. Byłem wcześniej. Żeby przekazać ci to osobiście. Nie było cię w domu. – Coś w jego głosie przykuło jej uwagę.

– Ganiałam po mieście. A właściwie kulałam. Explorer złapał gumę. Ale już naprawiłam.

Zawahał się. O co mu chodziło?

– I...? – ciągnęła go za język.

– Martwiłem się o ciebie. Chciałem, żebyś usłyszała to ode mnie, więc... pozwoliłem sobie wejść.

– Pozwoliłeś sobie... masz na myśli to, że wszedłeś tu jak do siebie? – zapytała zaskoczona. – Do mojego domu?

– Tak.

Nie mogła w to uwierzyć.

– Naprawdę? Wiedziałaś, że mnie nie ma, i tak po prostu wszedłeś? Jak? – Ale już wiedziała. Miał klucz. Nigdy nie wymieniła zamków, żeby mógł odbierać dzieci... do diabła. – Szok, Cade. Nie... nie możesz sobie wpadać do mojego domu. Wiesz o tym.

– Mówię ci, że się martwiłem. Jedna z twoich koleżanek z klasy zginęła, prawdopodobnie została zamordowana w rocznicę śmierci twojego brata, w gazecie pojawił się ten artykuł i...

– I sądziłeś, że jestem aż tak... niestabilna emocjonalnie, tak szalona, że sobie z tym nie poradzę – wybuchnęła ze złością.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale tak pomyślałaś! – wyrzuciła z siebie z większym jadem, niż chciała. *Uspokój się. Nie dolewaj oliwy do ognia.*

– Nie wiesz, co pomyślałem, ale widzę, że nic ci nie jest.

– No właśnie, nic mi nie jest – warknęła, po czym ugryzła się w język i dorzuciła: – Nie... to znaczy, przepraszam. Wyolbrzymiam to. Masz rację, dzisiaj wszystko jest... szokujące. Okropne. Jestem podminowana, bo to ten dzień. – Z trudem opanowała wściekłość, która buzowała jej w żyłach. Próbował jej pomóc. A Violet nie żyła. Zabita. Spokojniejszym tonem dodała: – Jestem zaskoczona tym, że wszedłeś do domu. To wszystko. Mieliśmy umowę, prawda? Wchodzisz tylko w nagłym wypadku.

– Śmierć twojej przyjaciółki to nie nagły wypadek?

Nie zamierzała połknąć tej przynęty.

– Słuchaj, nie możesz tu przychodzić, Cade. Chyba że sądzisz, że dzieciom grozi niebezpieczeństwo. Rozumiesz? Jesteśmy rozwiedzeni.

– Wiem.

Rozejrzała się wokół ze świadomością, że tu był. Może patrzył na jej komórkę i komputer i Bóg wie, gdzie jeszcze. Zabrała ze sobą telefon i poszła do pokoiów dzieci i na schody. Czy wszedł do sypialni? Pokoju ze skośnym sufitem, który kiedyś dzielili.

Była teraz bardziej opanowana, odezwała się tonem niskim, zimnym i niewzruszonym:

– To mój dom, Cade. Mój i dzieci. Sama go sobie organizuję, odkąd ty... odszedłeś, więc nie możesz tu przychodzić bez zaproszenia. – Wolną ręką odgarnęła włosy z oczu.

Reakcją na jej słowa było milczenie, więc na chwilę przymknęła powieki. Policzyła do tyłu, odhaczając w głowie kolejne uderzenia serca, żeby się opanować.

– Po prostu się martwiłem – powiedział w końcu oschle. – To wszystko. Wiem, że to dla ciebie trudny dzień, na dodatek Mercedes publikuje ten artykuł, pierwszy z serii o Luke’u, a Violet Sperry umiera. Obie były twoimi przyjaciółkami.

– W porządku – odparła. – Słuchaj... nie chcę się kłócić.

– Prawie uwierzyłem.

– Wkurzyłam się – przyznała. – Ustaliliśmy, że będziemy trzymać się zasad.

– Byłem zaniepokojony, Rach, nic więcej. Ale chyba nie powinienem się martwić. Z pewnością jesteś w stanie to ogarnąć i zmierzyć się ze wszystkim, co cię spotyka. – Następnie Cade się rozłączył, aż zadzwoniło jej w uchu.

Jesteś idiotką, przypomniał jej ten okropny głos. Jest ojcem twoich dzieci; martwił się i tyle. Nie musisz zawsze zachowywać się jak jakaś cholerna jędra.

– Wielki poszkodowany – powiedziała na głos.

Super. A więc ofiara.

– Nie!

A więc znowu mamy tu wariatkę, która miele jęzorem pod wpływem emocji?

– Oj, zamknij się! – zbeształa się głośno i szybkim krokiem wróciła do kuchni, gdzie otworzyła lodówkę, przyjrzała się butelce wina i zatrzasnęła drzwi. Do odbierania dzieci ze szkoły zostało jeszcze kilka godzin, a potem musiała jechać do domu Lili na to cholerne zebranie.

– Była najdroższa przyszywana babcia i była najlepsza przyjaciółka w jednym. – Pokręciła głową. – Zajebiaszco.

Weź się w garść, odpuść. Na miłość boską: Violet nie żyje. Prawdopodobnie została zamordowana! Pamiętaj: to zeznanie Violet pomogło przekonać sędziego, że nie była odpowiedzialna za śmierć Luke'a. Dzięki niej pojawiła się „uzasadniona wątpliwość”, chociaż sprawa nigdy nie została przedstawiona ławie przysięgłych.

Nowe zmartwienie przegnało złość na Gade'a. Taka była prawda. Tamtej nocy w ciemnej wytwórni krótkowzroczna Violet bez okularów przysięgła, że widziała błysk z lufy tuż przed upadkiem Luke'a, błysk pojawił się blisko Rachel, ale nie pochodził z jej broni. Wątpliwe zeznanie Violet pokrywało się z tym, że na dłoniach i ubraniu Rachel nie znaleziono śladów prochu, co pomogło obronie.

Niektórzy sądzili, że umyła ręce do czysta w drodze do komisariatu, że jej ojciec pomógł w zacieraniu śladów, ale to nie była prawda. Po upadku Luke'a była jak sparaliżowana i tak, cieszyła się, że jako pierwszy na miejscu zjawiał się jej ojciec. Ale w kalejdoskopie zamazanych, bolesnych obrazów i emocji z tamtej nocy nie pojawia się mycie. Te chusteczki, które dostała od ojca, żeby wytarła oczy i wydymuchała nos... nie zostały przebadane, a nawet jeśli, nie usunęłyby śladów prochu.

Co tak naprawdę pamiętała?

Nie myśl o tym.

Nie teraz.

Już nigdy.

To nie ma sensu.

Po prostu dotrwaj do końca tego parszywego dnia.

Łup!

Dylan uderzył tyłem głowy o szafkę, aż zawibrowały mu zęby.

– Zrób to! – rozkazał Brad Schmidt. Niemał stykał się nosem z nosem Dylana, jego silne palce wbijały się w ramiona chłopaka w śmiertelnym zwarciu, a muskularnym ciałem prawie przygniatał. Korytarz był pusty, znajdował się tam jeszcze tylko Dash Parker, który stał na czujce w miejscu, gdzie ktoś mógł nadejść ze skrzydła z laboratoriami do nauki przedmiotów ścisłych.

– Nie mogę. – Plecy Dylana wciskały się w drzwi szafki.

– Musisz! – Żrenice Schmidta się rozszerzyły. Jego oddech cuchnął pizzą, a pory na nosie przypominały kraterzy. – Obiecałeś. – Dla podkreślenia wagi swoich słów potrząsnął Dylanem. Schmidt w bluzie zdobywcy odznaki sportowej, czarnym T-shircie i szortach moro wyglądał groźnie, jego skóra przybrała czerwony odcień, rozszerzyły mu się nozdrza.

– Przylapie mnie.

– To znajdź sposób, żeby uniknąć wpadki. Jasne? Jesteś sprytnym, małym gnojem. Coś wykminisz.

– Nie, chyba... Wydaje mi się, że matka się domyśla.

– Wobec tego bądź zajebiaszco ostrożny, rozumiesz? – Zdawało się, że jeszcze raz nim potrząśnie, a Dylan przestanie panować nad sobą i zleje się w gacie. Schmidt był zawzięty, jego legendarny upór

sprawił, że stał się najbardziej rozpoznawalnym blokującym na boisku. – Była umowa.

– Mówię ci, że nie mogę.

Brad w złości wyszczerzył zęby, zmrużył ciemne oczy.

– Kogo się boisz, Ryder? Mnie? Czy mamusi?

– Potrafi być upierdliwa.

– Założę się, że nie aż taka jak ja. – Silne palce zagłębiły się w mięśniach Dylana. – Zapamiętaj to sobie.

– Hej! Schmidt! – zasyczał Parker, gwałtownie odwracając głowę. Był szczupły i wysoki, grał w obrobie w futbolu i na trzeciej bazie w bejsbolu, typ zagorzałego sportowca, który przypochlebiał się Schmidtowi, co w opinii Dylana czyniło go jeszcze gorszym. – Walsh idzie!

– Ja pieeerdolę.

Marlene Walsh była rzeczową wicedyrektorką. Dylan kilka razy dostał od niej opiernicz, gdy zrywał się z lekcji. Jak dotąd nie przyłapała go na niczym poważnym. Ale Parker i Schmidt, którzy, jak mówiono, mieli już zapewnione stypendia na miejscowych uczelniach, nie mogli sobie pozwolić na żadne kłopoty. A przynajmniej Dylan miał taką nadzieję.

– To jeszcze nie koniec – warknął Schmidt. Silnie pchnął Dylana na szafkę, po czym ruszył biegiem za szybszym od siebie Parkerem, kierując się w stronę schodów na końcu korytarza.

Cholera, pomyślał Dylan, bo został pośrodku korytarza, z jednej strony miał schody od frontu budynku i Schmidta, z drugiej nadchodzącą Walsh. Usłyszał miarowe stukanie jej obcasów. Otarł pot znad górnej wargi, obrócił się i otworzył szafkę. Następnie, zastanawiając się, co znajduje się w środku, złaapał książkę do algebry, zamknął drzwi i odwrócił się w stronę, z której nadchodziła Walsh.

– No, panie Ryder – powiedziała, wzdychając i zerknęła na zegarek. – Dlaczego się tu zacczaiłeś zamiast iść na lekcję? – Była drobną kobietą z siwymi pasmami w blond włosach, nosiła okulary bez oprawek i nieustannie miała łagodny wyraz twarzy. Dzisiaj była ubrana w czarne spodnie, białą bluzkę i czerwony blezer.

Dylan nie dał się nabrać na jej uśmiech. Plotkowano, że ma czarny pas w taekwondo. Wierzył w to. Pod maską bezbronności wyczuwał wewnętrzną hardość.

– Mam teraz godzinę samodzielnej nauki – powiedział i próbował ją wyminąć.

– Masz przepustkę?

– Nie... – Nie mógł dalej ściemniać.

– Rozumiem.

Nieskutecznie starał się nie okazywać paniki.

– Panie Ryder, wie pan, że podejmuję duże ryzyko. Jeśli się nie mylę, już drugi raz w tym semestrze wyszedł pan z lekcji bez przepustki.

Skąd wiedziała? Jak to możliwe, że pamiętała takie rzeczy? W szkole było około ośmiuset uczniów, a ona wiedziała, ile razy zwał z lekcji?

– Proszę za mną. – Ruchem głowy wskazała klatkę schodową, na którą uciekli Schmidt i Parker. – Zadzwonimy do twojej matki – oznajmiła. Kiedy nic nie odpowiedział i niechętnie za nią ruszył, dodała: – A może do taty.

Dylan się załamał. Jego rodzice, niezależnie od siebie i razem wzięci, zabiją go, gdy dowiedzą się, że opuścił lekcję.

– Ja, hm, nie mam teraz godziny na własną naukę.

– Wiem. Powinieneś być na angielskim u pani Marsden.

O Boże.

– Tak.

Dotarli do części administracyjnej i Walsh poprowadziła go pomiędzy dwoma biurkami do swojego prywatnego gabinetu, małego pomieszczenia z jednym oknem wychodzącym na trawnik przed szkołą. Na jej biurku panował porządek, trzymała na nim kilka stosów idealnie ułożonych dokumentów oraz monitor komputera, a w rogu parę zdjęć przedstawiających jej męża i córkę. Dylan już to wiedział. Był tu wcześniej. Jej oprawione w ramki dyplomy wisiały na ścianie za tyłem.

– Siadaj – powiedziała, wskazując jedno z dwóch krzeseł dla petentów upchniętych pomiędzy regalem i biurkiem.

Zastosował się do polecenia i starał się garbić. Sama zajęła miejsce za biurkiem.

– No więc, panie Ryder, jak zamierzamy zmienić to zachowanie?

Nienawidził, gdy mówiła w liczbie mnogiej, podobnie jak wzdygał się, gdy zwracała się do niego per pan. Wszystko to wydawało się takie nadęte, poza tym przecież nie było żadnych „nas”. Spojrzał jej w oczy.

– Już nie będę uciekał z lekcji. Obiecuję – oświadczył, a ona lekceważąco machnęła ręką.

– To już było. Dokładnie to samo deklarowałeś w... październiku, jak sądzę. – Poprawiła okulary, po czym wystukała coś na klawiaturze i uważnie popatrzyła na ekran. – Czekaj, czekaj. Pomyliłam się. To był pierwszy tydzień listopada. A potem znowu w lutym. I teraz ponownie. Trzy strzały.

Nie wiedział, co powiedzieć, ale ona zapełniła niezręczną ciszę.

– Jak już zapewne słyszałeś, okręg szkolny modernizuje starsze części szkoły i wyposaża je w kamery, ale jak na razie jeszcze tego nie zrobiono ze względu na ograniczony budżet, niedobór pracowników technicznych i biurokrację.

No i co, pomyślał, ale był dość rozgarnięty, żeby nie wypowiadać tego na głos.

– Słyszałam, że znasz się na takich sprawach. Pan Tallarico mówi, że masz wrodzoną smykałkę do komputerów, kamer i innych sprzętów.

– Tak? – zapytał powoli. Dokąd to zmierzało?

– Wobec tego pomyślałam... że mógłbyś nam pomóc.

Nie mógł pozbierać myśli. Czy proponowała mu jakieś rozwiązanie?

– A więc nie zadzwoni pani do mojej mamy? – Czyżby miał aż takie szczęście?

– O, nie. Zadzwonię do niej. Oczywiście. – Ponownie posłała mu swój charakterystyczny, pozbawiony humoru uśmiech. – W końcu to twoje trzecie przewinienie. – Oparła się plecami o krzesło. – No więc, co ty na to?

– Yy... jasne. Tak, jak najbardziej. – Spodziewał się, że złapie go w jakąś pułapkę, coś gorszego niż telefon do mamy, ale nic takiego się nie stało.

– Dobrze. – Walsh skinęła głową, jakby przytakiwała samej sobie. – Możesz zacząć w poniedziałek. Przyjdź do mnie po zajęciach. – Wstała, męczarnie dobiegły końca, po czym powiedziała: – Ufam, że pójdziesz prosto na lekcję pani Marsden. Zrobisz to ekspresowo i najlepiej jak potrafisz będziesz unikał pana Parkera i pana Schmidta.

Niemal opadła mu szczęka. Wiedziała? Bez kamer, jak...? Nie czekał dłużej, nie pytał, lecz czym prędzej ulotnił się z ciasnego, dusznego gabinetu, omal nie wywracając krzesła. *Matka dostanie szalu*, pomyślał, ale na razie udało mu się uniknąć lania z rąk Schmidta.

Dobra, a co zamierzasz z nim zrobić?

Dylan nie wiedział, ale zmierzając szybkim krokiem na angielski, postanowił, że znajdzie jakiś sposób, żeby dać Schmidtowi to, czego od niego chce. A potem może się od niego uwolni. Rok szkolny prawie się skończył, a Schmidt miał iść na studia. W przyszłości będzie mądrzejszy, będzie unikał pakowania się w takie bagno.

Serio?

Przecież wszyscy wiedzą.

Stałeś się dostawcą, weź na klatę to, że lubisz hajs.

Jak Schmidt odejdzie, znajdzie się inny gnojek. A potem kolejny, aż do końca twojego czasu w tej beznadziejnej szkole.

Jak, do diabła, się z tego wymigać?

– Kurwa – wymamrotał pod nosem, gdy znalazł się pod salą 107. Znajdzie jakiś sposób.

Jakiś.

Będzie musiał.

ROZDZIAŁ 8

Rachel odebrała dzieci ze szkoły, a one, nawet jeśli zauważyły jej zły humor, nie powiedziały ani słowa w drodze do domu. Harper nie odrywała się od komórki, cały czas pisała jakieś wiadomości, siedząc z tyłu koło Reno. Dylan miał nieodłączne słuchawki w uszach i wyglądał przez szybę, nic nie mówiąc. Jedynym sygnałem, że nie przebywa w swoim normalnym świecie fantazji było to, że jego zakapturzona głowa nie kiwała się w rytm muzyki, którą słyszał tylko on sam.

Być może tak zadziałała jego konfrontacja z administracją szkolną.

Rachel miała taką nadzieję.

Jej dzień zmienił się ze złego w jeszcze gorszy, gdy dowiedziała się o śmierci Violet. W drodze powrotnej z cmentarza złapała gumę w przednim kole, potem jej starszka drukarka wyzionęła ducha, gdy drukowała notatki na to cholerne zebranie, a w końcu, na domiar złego, zadzwoniono ze szkoły, żeby poinformować ją, że Dylan został przyłapany na wagarach.

– ...No i nie wiem, co się z nim dzieje – dodała pani Walsh, a Rachel wyobraziła sobie, że filigranowa dyrektorka z troski aż marszczy brwi. Albo z udawanej troski. Czasami podejrzewała, że Marlene Walsh napawa się swoją władzą, dającą jej możliwość dyscyplinowania innych. – Ale to jest trzeci raz, co kwalifikuje się do kary zawieszania.

– Czy to nie stoi w sprzeczności z celem, jaki chcemy osiągnąć? – zauważyła Rachel. – Jeśli mój syn ucieka z lekcji, to po co nagradzać go wolnym od szkoły?

Wicedyrektorka na chwilę zamilkła. Jakby wcześniej nie przyszło jej to do głowy, lecz Rachel sądziła, że jest wprost przeciwnie.

– Tak, wiem. Takie mamy zasady w szkole. Ale wymyśliłam inne rozwiązanie. – Następnie przedstawiła plan będący, w opinii Rachel, o wiele lepszym pomysłem. Czy zadziała? Kto wie? Jej dzieci oddalały się od niej, a mały chłopiec z sercem na dłoni, który kiedyś ze wszystkiego jej się zwierzał, stał się równie tajemniczy jak jego siostra.

Teraz zaparkowała w garażu i wypuściła Reno, który wziął się do obwąchiwania podwórka. Dzieci weszły do domu od tyłu, a ona podążyła za nimi. Gdy znaleźli się w środku, Harper, wciąż zajęta komórką, ruszyła do swojego pokoju, a Dylan cisnął plecak koło drzwi. Wtedy Rachel zrzuciła bombę.

– Dzwoniła dzisiaj pani Walsh.

Harper poszła do siebie, Dylan znieruchomiał. Następnie powoli wyjął słuchawki z uszu.

– Powiedziała mi, że przyłapała cię na korytarzu, kiedy powinienes być na lekcji – ciągnęła matka.

– Oj tam. Poszedłem po podręcznik do algebry.

Boże, naprawdę wyglądał jak ktoś winny.

– Wiem. Ale opuściłeś angielski.

– No tak.

Harper podsłuchiwała ich rozmowę, bo aż wyszła z pokoju, gdy Rachel zapytała syna:

– Co sobie myślałeś?

– Nie wiem.

– Rany, Dylan. – Rachel nawet nie starała się ukryć zniecierpliwienia. To był niebywale zły dzień i nie miała cierpliwości do niesubordynacji swojego nastolatka. – Musiał być powód, dla którego zwiałś z lekcji.

Zawahał się, w okolicach jego skroni pojawił się tik, po czym podał jej pierwsze z brzegu wyjaśnienie:

– Nie zrobiłem zadania.

– Wobec tego nie poszedłeś na lekcję? Bo nie miałeś zadania? Tak to rozwiązałeś?

Próbował zbyć problem wzruszeniem ramion, ale ona była przekonana, że ją okłamuje. Był kiepskim kłamcą jako dziecko i miała nadzieję, że ta cecha mu została, teraz jednak nie była już tego taka pewna. Kłamstwa ostatnio przychodziły mu o wiele łatwiej.

– To był trzeci raz, Dylan. Pani Walsh zamierzała cię zawiesić.

Znowu wzruszył ramionami.

– Ale nie zawiesiła.

– Jeszcze.

– Mam dla niej coś zrobić. – Zaczął otwierać drzwi lodówki, ale ona je zatrzasnęła, nim zdążył zająć do środka.

– Mówię poważnie. Zostało kilka tygodni szkoły, masz dokończyć zadanie, oddać je i nie opuszczać lekcji.

Jego oczy pociemniały, pomyślała, że chce jej coś powiedzieć. Ale zacisnął szczęki i popatrzył spod byka.

– Dobrze.

– Czekaj no – rzuciła. – Czy dzieje się coś, o czym nie wiem?

Odwrócił wzrok, gdy Harper posłała mu spojrzenie wyrażające... współczucie? Zmowę? Ostrzeżenie?

– Wiesz coś o tym? – zapytała, przekierowując uwagę na córkę. – Harper?

– Nie – odpowiedziała szybko. Zbyt szybko.

– Wobec tego, dlaczego odnoszę wrażenie, że coś przede mną ukrywasz? Oboje ukrywacie?

Czekała.

Nikt się nie odezwał.

Szumiała lodówka.

Na zewnątrz Reno szczerką przenikliwie.

– Czekam – powiedziała, patrząc gniewnie na dzieci, a jej żołądek skręcał się ze strachu. – *O co chodzi?*

– Mamo, to nic wielkiego – uspokoiła ją Harper. – Wszyscy czasem uciekają z lekcji.

– Ale nie moje dzieci.

– No pewnie. Bo ty nigdy nie zrobiłaś niczego złego w szkole. Zapomniałam, że byłaś aniołkiem. Wzorem cnót.

Rachel zamrugała. W oczach Harper dostrzegła bezczelność. Dziewczyna nic nie mówiła, ale to tkwiło między nimi. *Zostałaś oskarżona o morderstwo, nieprawdaż? Przyłapano cię na tym, że bez pozwolenia wymknęłaś się z domu, twój brat umarł, bo do niego strzeliłaś. A teraz się czepiasz, bo Dylan zwiął z jednej głupiej lekcji. Słyszała oskarżenie, logiczne argumenty, jakby Harper naprawdę wypowiedziała je na głos.*

– Nie chodzi o mnie. Skupmy się na meritum sprawy. Co się dzieje?

Harper skrzywiła się z niesmakiem, ale nie odwróciła wzroku. Nie potrafiła jednak powstrzymać naddających słów i jako pierwsza przerwała zmowę milczenia. Przeniósła spojrzenie na Dylana.

– Powiesz jej? – zapytała.

– O czym? – naciskała Rachel.

Dylan popatrzył na siostrę z niechęcią.

– O czym? – Rachel nie zamierzała ustąpić.

– Wielkie dzięki – zwrócił się do Harper, po czym westchnął głośno. – No dobrze. Powiem. Ja... starsi chłopacy mnie prześladują.

– Co to znaczy, że „prześladują”? Dręczą cię?

– Nie! Nie! Nie o to chodzi. – Kolejne pełne złości spojrzenie rzucone w stronę Harper. – Popeliłem błąd. Zagrałem z nimi o pieniądze i przegrałem. Chcą swoich pieniędzy.

– Oni? – powtórzyła. – To ilu ich jest?

Obliznął wargi.

– Jeden.

– Kto?

– O rany. Nie chcę mówić.

– Brad Schmidt – zdradziła Harper.

– Nie znam go.

Harper zerknęła na swój telefon.

– Nie znasz. To przegryw. Myśli, że jest twardzielem. Futbolista. Nie cierpię go.

– No dobrze. – Nic tu nie było dobrze. – Muszę z nim porozmawiać.

– Nie! – Dylan pokręcił głową. – Mamo, tylko pogorszysz sprawę.

– Więc czym ten chłopak ci grozi? – dopytywała zmartwiona. – Mów.

– To... to moja wina. Nie powinienem był się z nim zakładać. Wiem. Więcej tego nie zrobię, a tę sprawę rozwiążę.

Rachel nie była tego taka pewna i z trudem panowała nad nerwami. Kim był ten chłopak, Brad? Czy był agresywny? Czy skrzywdzi Dylana?

– Czy pani Walsh o tym wie?

– Tak – przyznał Dylan. – O większości tak.

– No więc założyłeś się z nim. Jak to działa? – W głowie ujrzała kasyna z automatami, kołami do ruletki i stołami do gry. Jaskrawe światła Las Vegas. A może gdzieś bliżej. Cokolwiek robiły nastolatki.

– To... chodziło o zakład w sieci. – Brzmiało sensowniej. Dylan przez cały czas wisiał na komputerze, iPadzie lub kontrolerze gier. – Graliśmy w taką grę. Wojenną. Interaktywną. Za pieniądze. Płaci się za strzały. I przegrałem.

Pomyślała, że jest blisko prawdy. Ale to nie cała prawda. Zwróciła się do córki:

– Wiedziałaś o tym?

– Wiedziałam, że ma kłopoty ze starszymi chłopakami.

Znowu skupiła się na synu.

– Co sobie myślałaś?

– Nie myślał. Głupio zrobił – wtrąciła się Harper, stwierdzając to, co oczywiste. – A teraz chcą, żeby im zapłacić.

– I co robisz? Grożą ci? – Rachel odtwarzała to sobie w głowie.

– Nie do końca. – Ale był wystraszony.

– Ile im wiesz? – zapytała Rachel, robiąc krok w tył i zakładając ręce na piersi.

Przelknął ślinę. Obliznął wargi.

Ścisnęło ją w żołądku.

– Sto – wyszeptał.

– Dolarów?

– Nie, euro. – Harper przewróciła oczami. – Oczywiście, że dolarów.

– Dobrze. – Zwróciła się do Dylana. – Więc co zamierzasz zrobić?

– Spłacić ich.

– Masz pieniądze?

– Trochę... Kasę z urodzin i...

Zawsze był splukany.

– Czy to by coś dało, gdybym ci je pożyczyła? – zapytała i od razu pomyślała, że nie jest to właściwe rozwiązanie w tej sytuacji. Powinien ponieść konsekwencje. I to szybko. Nie mogła mu tego ułatwić. A mimo to... – Podkreślam, że chodzi o pożyczkę. Mówię poważnie. Spłacisz ją. Najszybciej jak to możliwe. Niedługo wakacje, więc oczekuję, że ogarniesz podwórko i pomożesz w sprzątaniu piwnicy.

Zalśniły mu oczy.

– Zrobiłabyś to?

– Może. – Nie mogła tak łatwo mu odpuścić. – Ale będziesz musiał powiadomić tatę. A jeśli ten chłopak wciąż będzie cię niepokoił...

– Nie będzie, mammo. Naprawdę.

Zerknęła na córkę.

– Aha – potwierdziła dziewczyna. – Schmidt to osiłek, ale nie zrobi nic poważnego, bo mógłby stracić stypendium.

– Straciłby je, gdybym go zgłosiła?

– Nie rób tego, mammo! Po prostu odpuść! – powiedział Dylan, posyłając siostrze ponure spojrzenie. – I proszę, czy możemy nie mieszać do tego taty?

– Nie.

– No nie, naprawdę? – Dylan jęknął i przewrócił oczami. Jakby zeszło z niego powietrze. – Dlaczego?

– Bo jest twoim tatą.

– Ale... – Czy faktycznie zamierzał się o to kłócić?

– A to co? – zapytała Harper, podnosząc ze stołu otwartą gazetę. Artykuł o śmierci Luke'a Hollandera znajdował się na środku. – Czy Lucas o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Zapewne tak – mruknęła Rachel. *Całe cholerne miasto już to przeczytało.*

– Wow. No, wow. – Harper przebiegała wzrokiem artykuł. – Wkurzy się. Jest w sieci, prawda?

– Wszystko teraz jest w sieci.

– No więc na pewno go zobaczy. – Posłała spojrzenie bratu.

– Co? – zapytała Rachel.

– Nic – odparła. – Chodzi o to, że on nie lubi o tym mówić. Bo to sprawia, że czuje się dziwnie. Obco.

Chociaż Lila w artykule wspomniała, jakie to trudne dla jej syna, Rachel nie zastanawiała się nad tym, jak artykuł wpłynie na jej bratanek, chłopaka, który nigdy nie miał szansy poznać swojego ojca. Ale wiedziała, jak to jest czuć się innym. Czyż nie była świadkiem emocjonalnych reakcji Luke'a, gdy ktoś pytał go o „prawdziwego” ojca, czyli Bruce'a Hollandera? Luke zawsze próbował ukrywać fakt, że jego biologiczny ojciec siedzi w więzieniu. Ilekroć ktoś zapytał go o Hollandera lub gdy jego ojciec chciał się z nim skontaktować, Luke się złościł i dąsał, trudno się z nim wtedy żyło.

To była dziwna dynamika ich małej rodziny.

Lucasowi prawdopodobnie było równie trudno. Może nawet gorzej.

Harper skończyła czytać i podniosła wzrok, żeby spojrzeć na matkę.

– Tobie też nie jest łatwo, nie?

– Jak nam wszystkim – potwierdziła Rachel, a potem spróbowała opanować ściskanie w gardle, kiedy dostrzegła współczucie w oczach córki. Przez lata temat czasem wypływał; dzieci miały jakieś mgliste pojęcie o tym, co się stało, a Rachel nie zdradzała im szczegółów. Teraz dzięki Mercedes Pope mogły dowiedzieć się dużo więcej.

Tak się złożyło, że ten dzień okazał się punktem zwrotnym.

Dla nich wszystkich.

A co najgorsze, Violet Sperry została zamordowana.

ROZDZIAŁ 9

Zanim Rachel wyjechała na zebranie, o morderstwie Violet mówiono już we wszystkich wiadomościach.

Stojąc w salonie z dziećmi po obu stronach i wpatrując się w telewizor, Rachel czuła, że kluczyki wbijają jej się w zaciśniętą dłoń. Leciała konferencja prasowa, podczas której sztywny szeryf, jako pierwszy, wypowiadał się przed kamerą.

Roberto Valdez był wysokim, szczupłym mężczyzną o brązowych, siwiejących już włosach ostrzyżonych w stylu militarnym, kwadratowej szczęce i niemal czarnych, głęboko osadzonych oczach, którymi bez onieśmielenia wpatrywał się w kamerę. Stojąc w mundurze na betonowych schodkach przed masztami flagowymi i siedzibą wydziału, Valdez krótko streścił sprawę, po czym oddał głos rzeczniczce prasowej. Była nią kobieta po czterdziestce z brązowymi włosami wycienionymi na karku. Isa Drake nie była aż tak ponura jak szeryf, chociaż udzielała zwięzłych, konkretnych odpowiedzi.

– Tak, to z całą pewnością jest zabójstwo.

– Nie, nie mamy żadnych podejrzanych, ale śledztwo znajduje się dopiero w fazie początkowej.

– Jak zasygnalizował szeryf Valdez, wkrótce poznają państwo kolejne szczegóły.

– Prosimy o kontakt osoby posiadające jakieś informacje.

Dzieci patrzyły na Rachel, gdy wyłączyła telewizor.

– Znałaś ją? – zapytał Dylan.

– Tak. – Wysłuchanie konferencji, ujrzanie tego w telewizji sprawiło, że wszystko stało się bardziej realne.

– W sensie, że była twoją dobrą przyjaciółką?

– Nie najbliższą, ale czasem się spotykałyśmy. – Rzadko.

– Dziwne – odparł.

– Nie do pomyślenia – stwierdziła Harper. – Kto, według ciebie, ją zabił?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Musisz mieć jakieś podejrzenia. – To znowu jej syn. – Kto, mamó?

– Nie wiem. – Rachel zerknęła na zegarek. – Skąd miałabym wiedzieć? – powiedziała bardziej do siebie niż do nich. – Chodźcie, musimy iść. Już jesteście spóźnieni.

Przypuszczała, że spóźnią się wszyscy wchodzący w skład komitetu. Po południu dostała jakieś kilkanaście wiadomości o Violet – wiadomości grupowych, których nie cierpiała, jej komórka pikała za każdym razem, gdy ktoś coś napisał. Co gorsza, była to grupa stworzona przez Lilę i niektórzy jej członkowie wyświetlali się jako nieznanne numery telefonów, a nie pod swoimi imionami, co oznaczało, że nie do końca wiedziała, komu odpisuje. Więc nie odpisywała.

Podeszli do tylnych drzwi, pies w kilku susach znalazł się przy nich.

– Nie tym razem – oświadczyła Rachel.

– Znowu gadasz z psem. – Harper zatrzasnęła za sobą drzwi z moskitierą.

– Ej! – Dylan zawołał za siostrą. Zarzucił plecak na ramię. – Wszyscy z nim gadamy. Ty też! – Chyba przebaczył Rachel wcześniejsze przesłuchanie. Przynajmniej chwilowo. Suwak plecaka nie był zaciągnięty do końca, więc zajrzała do środka i jej wzrok padł na brązowe pudelko.

– Co to? – zapytała.

– Co?

– To pudelko. – Wskazała.

– Och. – Zacerwienił się i zapiął suwak. – Lucas potrzebuje myszki do komputera. Miałem nieużywaną, więc powiedziałem, że mu przyniosę. – To nie brzmiało przekonująco. – Już zamówił nową. Poczynam mu, dopóki nie przyjdzie ta zamówiona. To nic wielkiego – dodał i wyszedł.

To nic wielkiego.

Zastanowiło ją to, ale odpuściła.

Droga do domu Lili zajęła mniej niż dwadzieścia minut. Rachel pozwoliła prowadzić Harper, która dostała prawo jazdy dwa miesiące wcześniej, ale jej córka miała „ciężką nogę”.

Cecha rodzinna. Mimo to Rachel prawie przez cały czas zaciskała palce na podłokietniku.

Harper zaparkowała, z jakimś trudem, na ulicy przed domem Lili i Charlesa Ryderów. Był to dwupiętrowy wiktoriański budynek wzniesiony w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku na stromym wzgórzu. Dom od pokoleń należał do rodziny Ryderów i tutaj dorastał Cade z braćmi, tutaj zmarła jego matka.

Rachel go nie znosiła.

– Chodźmy – powiedziała. Zerknąwszy na wieżyczkę, z której rozciągał się widok na wszystkie strony miasta, przypomniała sobie, jak zakradła się z Cade’em po schodach do małego, oddalonego od innych, pomieszczenia. Nikogo wtedy nie było w domu. Patrzyli przez okna, jak światła miasta migoczą na szerokiej wstędze rzeki. Ścisnęło ją w gardle, kiedy pomyślała, jak ją wtedy całował, jak głośno dudnił jej puls w uszach, gdy czuła ciepło jego oddechu na karku, mrowienie skóry, gdy padli na podłogę, i wyczerpanie połączone z euforią, gdy skończyli się kochać.

Wszystko runęło sześć tygodni później, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

Wzięła kluczyki od córki, zgarnęła swoją torbę z laptopem w środku, podczas gdy jej dzieci już wchodziły po schodach prowadzących do opasanej werandą budynku o wysokich szczytach, z którego rozciągał się panoramiczny widok na miasto i rzekę.

Drzwi wejściowe otwarły się, zanim nacisnęła dzwonek, i na ganek wyszła Lila, zza której czmychnął biały kot.

– O, cholera! Sammy! Wracaj tutaj! – Ale kota już nie było, zeskoczył z ganku i zniknął w otaczających dom zaroślach. – Super – gderiała Lila z irytacją. Spojrzała na Rachel. Nie uśmiechała się jak zwykle, ale i tym razem była ubrana jak agentka nieruchomości spodziewająca się potencjalnego klienta: buty na obcasie, drogie spodnie, długa tunika i bransoletki pobrękujące na jej nadgarstkach. Uściskała Harper i Dylana i oznajmiła:

– Lucas jest z przyjacielem w swoim pokoju na górze. Pójdziecie do niego?

Dzieci weszły do środka i szybko pokonywały schody, podczas gdy Lila zamknęła za nimi drzwi, żeby zostać z Rachel na ganku.

– No nie wierzę – powiedziała, nie kryjąc zdenerwowania. – Violet? Nie żyje? Zamordowana? – Kręciła głową, jej duże oczy przybrały równie ponury odcień jak niebo tego dnia. – Kto mógłby coś takiego zrobić? – Zamrugowała, wsadziła rękę do kieszeni wąskich, szarych spodni i wyjęła papierosa i zapalniczkę. – Wiem, że nie powinnam. Rzuciłam wiele lat temu, ale... Violet. – Szybko zapaliła, zaciągnęła się głęboko, po czym w chmurze dymu dodała: – Po prostu tego nie rozumiem. Po co ktoś miałby...?

– Nie mam pojęcia.

Zastanowiła się przez chwilę, pomachała ręką, żeby dym nie przylgnął do jej tuniki i włosów.

– Niedawno ją widziałam, wiesz? Przyszła do mojego biura nieruchomości, niby interesowało ją mieszkanie w pobliżu rzeki, ale tak naprawdę chciała dać mi do zrozumienia, że choćby nie wiadomo co, nie da się wciągnąć w... to tutaj. – Lila wskazała dłonią okno w wykuszu salonu, gdzie miał się spotkać komitet do spraw zjazdu. – Nie tylko odmówiła udziału w organizacji, ale wyraźnie zapowiedziała, że nie zamierza nawet się pojawić na zjeździe.

– Powiedziała dlaczego?

– O, tak. – Ponownie zaciągnęła się papierosem i rozdmuchała dym. – Szkoła „się skończyła”. – Lila zaznaczyła w powietrzu, że to cytat ze słów Violet. – Chyba jej się wydawało, że zamierzamy wskrzesić nasze lata w Edgewater High.

– Cóż... niektórzy by chcieli.

– Chodzi o to, żeby spotkać się ze starymi przyjaciółmi – zauważyła Lila. – Ale według niej „nagabywałam” ją, żeby przyszła.

– A nagabywałaś?

– Nie, Rach. Oczywiście, że nie! – Przewróciła oczami i dorzuciła: – No wiesz, tylko ją „zachęcałam”, żeby wzięła udział, więc może poczuła się przymuszana. No ale daj spokój! – Westchnęła, spojrzała ponad dachami domów stojącymi niżej na wzgórzu i jej wzrok zatrzymał się na ciemniejących wodach Kolumbii. – Chyba będę musiała... och, sama wiesz, zamieścić ją na tablicy pamiątkowej.

Do takich wniosków doszła Lila? Porzuciła temat Violet, by powrócić do rozmowy o zjeździe i tablicy pamiątkowej dla nieżyjących kolegów i koleżanek z klasy?

Lila zaciągnęła się jeszcze kilka razy, po czym rzuciła papierosa, zgmiotła go butem i zwinnie kopnęła niedopałek w krzaki otaczające ganek.

– Policja chyba jeszcze nie wie, kto mógł to zrobić...?

– Nie mam pojęcia – powiedziała szybko Rachel. Jako córka i żona gliniarza nauczyła się trzymać gębę na kłódkę. Chociaż nie była już żoną Cade’a, milczała jak grób.

– No dobrze... Cóż, może Mercedes czegoś się dowiedziała. Zapewne ma jakieś źródła w wydziale szeryfa. Wiem, że już wyznaczyła jakiegoś młodego sprawozdawcę do pisania o tej sprawie.

Mercedes. Rachel przypomniawszy sobie artykuł w „Edgewater Edition” oraz to, że zaplanowano większą część tej historii.

– Przyszła już?

– Tak. Jakaś wkurzona. Nie odrywa się od cholernego telefonu. Ciągłe pracuje. – Lila znalazła w kieszeni pudełko tic taców, wysypała na dłoń kilka pomarańczowych pastylek i rozgniotła je zębami. – Chce z tobą porozmawiać.

– Wiem.

– Jak chcesz, możesz opowiedzieć to ze swojego punktu widzenia – zdradziła jej Lila, wchodząc do domu. – Opublikuje całą serię niezależnie od tego, czy zgodzisz się wypowiedzieć. Nawiasem mówiąc, ja byłam temu przeciwna, ale... – Wzruszyła ramionami. – Nie da się walczyć z władzą ani z prasą.

Naprawdę się nie da? Rachel zastanowiła się nad tym i w tym przypadku przysięgła sobie w duchu, że spróbuje.

– Nie wychodzisz jeszcze? – Patricia Voss, koleżanka z wydziału Rydera, zajrzała przez przepierzenie oddzielające biurko Cade’a od jej biurka. Była dużą kobietą z krótko obciętymi, siwymi włosami, bez makijażu, przez lata spędzone na słońcu nabawiła się zmarszczek. Teraz, spoglądając na zegarek, zrobiła z prostego gestu cały show.

– Za chwilę. – Cade rozparł się na krześle. Kubek z poranną kawą wciąż stał na jego biurku przed ramką ze zdjęciem dzieci. Kiedy je robiono, Harper miała jedenaście lat, była niezgrabną nastolatką w szortach i kurtce, próbowała ukryć się za kurtyną z włosów i wyglądała tak, jakby wolała być gdziekolwiek indziej niż tam, gdzie skupiała się na niej uwaga rodziców. Stała na kamienistym brzegu rzeki z Dylaniem. Chłopak ubrany był w bluzę i dzinsy, miał dziko rozczochrane włosy i uśmiechał się bez żadnych kompleksów. Był wówczas niższy od siostry i chudy, na nosie wyszły mu piegi, a jego zęby wciąż wyglądały na zbyt duże w stosunku do twarzy.

Wiele mogło się zdarzyć w ciągu sześciu lat. Dobre rzeczy. Złe rzeczy.

Głos Tricii przywrócił go do teraźniejszości.

– Dziś wieczorem temperatura ma spaść do jakichś dziesięciu stopni. – Wkładała ręce w rękawy kurtki przeciwdeszczowej. – Dasz wiare? To jest maj, na litość boską. – Z niesmakiem spojrzała przez okno na ponury wieczór.

– Mówisz jak prawdziwy kalifornijski zmarzluch.

– Dziesięć stopni, Ryder – powtórzyła. – Ciut powyżej temperatury zamarzania.

– Wiem.

– Co za brutal.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak jest. – Zapięła kurtkę na suwak, po czym założyła czapkę i udzieliła mu rady: – Idź do domu, Ryder. Dość pracy na dziś. Mam dziewięćdziesiąt zawodów, ale nawet ja wychodzę.

– Dziewięćdziesiąt? – zainteresował się. Rzeczywiście pełniła podwójną funkcję. W małym wydziale Tricia nie tylko była jednym z dwójga detektywów, lecz także pracowała jako wsparcie oficera patrolującego, jeśli dwóch lub więcej policjantów się rozchorowało. – Myślałem, że dwa.

Żachnęła się.

– Tak, cóż, wygląda na to, że to ja trzymam cały ten wydział w ryzach. – Kręcąc głową, wyjaśniła: – Pewnie nie zauważyłeś, ale powiedz, kto, według ciebie, wykonuje tu całą robotę? Kto myje dzbanek do kawy i zaparza nową? Kto sprząta w lodówce? Rany, zachowujecie się jak świnie.

– Uspokój się – ostrzegł. – Nie każdy glina lubi, gdy mówi się o nim...

– Och, przestań, Ryder. Wiesz, co mam na myśli. A tamci? – Wskazała duże pomieszczenie podzielone na opuszczone teraz boksy. – Tamci są najgorsi. Nie tylko faceci. Kobiety są nie lepsze!

Roześmiał się.

– No, proszę. Ale cię wkurzyli.

– Jak zawsze. Tu jest fatalnie, ale w domu jeszcze gorzej.

Wątpił.

– Do zobaczenia w poniedziałek – powiedziała, niedbale salutując.

– Jak będziesz miała szczęście.

– Zabawny facet – mruknęła pod nosem, idąc w stronę drzwi. – Naprawdę zabawny.

– Niektórzy tak uważają! – zawołała za nią, ale już go nie usłyszała. Pokręcił głową, żeby rozluźnić mięśnie karku, po czym spojrział na akta leżące na biurku. Zakurzone i pożółkłe, wyjęte z archiwum zamkniętych spraw i podpisane: HOLLANDER.

Nigdy wcześniej ich nie przeglądał, chociaż lata temu zajął w zdigitalizowane dokumenty, ale po chwili się zganil. Co się stało, to się stało, wszyscy sądzili, że Rachel zabiła swojego brata w wyniku okropnego wypadku. Ona też to potwierdziła tamtej nocy, chociaż później nie była aż taka pewna i sprawa się skomplikowała przez wykluczające się zeznania świadków, zwłaszcza Violet Osbourne i Annessy Bell, które były przyjaciółkami. Na dodatek nieprzekonujące dowody zostały nieco osłabione poprzez fakt, że na miejscu zdarzenia jako pierwszy zjawił się ojciec Rachel.

– Burdel od samego początku – powiedział wówczas partner Neda Gastona, co zostało podchwyczone przez innych.

Więc dlaczego ktoś miałby do tego wracać? Sprawa zamknięta. Zakończona. Przez dwadzieścia lat zbierała kurz.

Może dlatego że właśnie przypadała rocznica tej tragedii.

Może dlatego że, jego zdaniem, nigdy nie wyjaśniono niektórych wątków.

Może dlatego że to niesamowity zbieg okoliczności, że Violet Osbourne Sperry, kluczowy świadek w dochodzeniu, została zabita równo dwadzieścia lat od dnia, gdy zastrzelono Luke'a Hollandera.

Może dlatego że był cholernym durniem.

Niezależnie od powodu, wiedział, że gdy zagłębi się w tę sprawę, wdepnie na emocjonalną minę.

Cóż, niech tak będzie. Spojrzał na zegarek i rozważał, czy zadzwonić do Kayleigh i zapytać, czy mają coś nowego na temat zabójstwa Violet Sperry.

To nie twoje śledztwo.

Tak, wiedział o tym, ale... pochylił się nad biurkiem i wrócił do stosu starych notatek i raportów z zabójstwa Hollandera. Pierwszy od góry był raport z autopsji, który zawierał notatki, szkic ciała z zaznaczonymi wszystkimi ranami oraz zdjęcia.

Zacisnął szczęki, gdy przypomniał sobie Luke'a za życia – energicznego, pyszałkowatego, atletycznie zbudowanego – a teraz widział fotografie przedstawiające jego ciało. Przeglądając raport, zauważył, że stwierdzono śmierć Luke'a zaraz po przybyciu do szpitala, a akt zgonu został podpisany przez doktora Richarda Morettiego.

Przyjrzał się podpisowi; nie wiedział, że ojciec Nate'a Morettiego był lekarzem prowadzącym, ale miał to czarno na białym.

To nic wielkiego, pomyślał, gdy tak siedział samotnie przy biurku, ponieważ większość obsady komisariatu udała się już do domu. Szpital, do którego zawieziono Luke'a Hollandera, już nie istniał, jak wiele firm, które dawniej dobrze prosperowały w tym środowisku.

O ile wiedział, doktor Richard Moretti nadal tu mieszkał i pracował w klinice w Astorii.

Cade pomyślał o Violet Sperry i Luke'u Hollanderze. Oboje zmarli tego samego dnia w odstępie dwudziestu lat. Dwoje ludzi, którzy razem chodzili do szkoły średniej. Dwoje ludzi, którzy byli w wytwórni konserw Sea View w noc, gdy zastrzelono Luke'a – Luke był ofiarą, Violet jednym ze świadków, którzy widzieli, co się stało w ciemnym magazynie.

I co z tego?

To było małe miasto; ludzie się znali.

Po prostu dziwny, tragiczny zbieg okoliczności.

Nic więcej.

A przynajmniej próbował sobie to wmówić.

Zamknął akta, umieścił je w szufladzie pod kluczem.

Sprawa Luke'a Hollandera została zamknięta. Dawno temu.

Zabójstwo Violet Sperry było świeże.

Ale niepowiązane.

Ponownie przypominam: nie twoje.

– I co z tego? – powiedział na głos.

Kwestie jurysdykcji nie powstrzymały go w przeszłości.

Był przekonany, że obecnie będzie tak samo.

ROZDZIAŁ 10

Rachel weszła za Lilą do domu, przeszła po marmurowej podłodze przestronnego holu, skąd w górę pięły się schody i gdzie lśnił majestatycznie antyczny żyrandol odrestaurowany przez matkę Cade'a. Zawieszony nad głowami trzy piętra wyżej kryształowy gigant był ostatnią rzeczą, którą Sandy-Lou odnowiła w starym domu, zanim zabrał ją rak; teraz przypominał o kruchości życia.

Przynajmniej tak postrzegała go Rachel, gdy wchodziła do salonu, gdzie zebrali się członkowie komitetu, przygotowujący, według Lili, „najlepszy zjazd, jaki widziało to miasto”.

No jasne.

Zrobiła głęboki wdech, ominęła wzrokiem eklektyczny zbiór mebli z epoki, antyków i nowoczesnych elementów wyposażenia, które знаła z poprzednich wizyt, i spojrzała na fortepian gabinetowy przy oknie wykuszowym oraz lśniąca, zimne podłogi z drewna. Ściany ostatnio zostały przemalowane na zgaszony róż, który Lila odkryła i nazwała „autentykiem z epoki”. Grała nowa wieża stereo Lili i Rachel usłyszała znajome dźwięki piosenki z czasów szkolnych. Muzyka retro wydała jej się nachalna, wręcz przykra.

Oczywiście jako pierwszą Rachel zobaczyła Mercedes.

Przysiadła na skraju sofy i była pogrążona w prowadzonej szeptem rozmowie przez komórkę. Niska. Krągła. O egzotycznym wyglądzie. I niezwykle bystra. Czarne loki zarzuciła na ramię, ściągnęła brwi, skupiając się na rozmowie. Na jej nosie tkwiły okulary bez oprawek. Nadal miała nieskazitelną, gładką cerę w kolorze mokki; oczy duże i ekspresyjne, zaciśnięte usta. Wolną ręką pisała coś na klawiaturze laptopa leżącego na szklanym stoliku. Rachel taką ją pamiętała – wieczne szepczącą dziewczynę, wczuloną na wszelkie plotki, redaktorkę szkolnej gazety.

Uniosła wzrok, spojrzała na Rachel i kąciki jej ust niemal niezauważalnie się zaciśnęły, po czym przerwała pisanie na chwilę potrzebną, by podnieść puszkę dietetycznej coli i pociągnąć z niej duży łyk napoju.

– Chcę z tobą porozmawiać – wyszeptała, nadal słuchając osoby po drugiej stronie linii.

Świetnie.

Rachel spojrzała na twarze pozostałych i poczuła, jak ścisła jej się żołądek. Wszyscy ci dorośli ludzie byli tam tamtej nocy, wszyscy co do jednego. Przeniosła spojrzenie na Nathana Morettiego, siedzącego nieopodal Mercedes i zajętego swoim iPadem. Uniósł wzrok.

– Cześć, Rach! – Posłał jej przyjazny uśmiech, którym olśnił ją w dniu śmierci Luke'a.

Boże.

Niemal stanęło jej serce na to wspomnienie.

Tego dnia dwadzieścia lat temu Nate siedział za kółkiem swojego czarnego bmw zaparkowanego na podjeździe w pobliżu dużej sosny, gdzie zapewne czekał na Luke'a. Miał opuszczoną szybę po swojej stronie beemki, więc zobaczył Rachel pospiesznie idącą przez łąciaty trawnik.

– Przyjdiesz wieczorem? – zapytał.

– Ciii!

– Och, rozumiem, mama o niczym nie wie, tak? – Roześmiał się.

– Nie... ja... nie mogę. – Energicznie pokręciła głową i zatrzymała się koło jego sportowego auta.

– Boisz się?

Nie potrafiła się przyznać.

– Nie. – Czy on się wreszcie zamknie? Zaniepokojona spojrzała na dom.

Ale to nie było w stylu Nate'a.

– Oj, przestań. Będzie zajebiaszco. – Zerknął na dom, w którym mieszkała z Lukeiem, budynek w stylu rancza z lat pięćdziesiątych, taki sam jak pozostałe na ulicy. – Rozerwiesz się, obiecuję.

Zanim zdążyła zareagować, z domu wypadł Luke z plecakiem zarzuconym na ramię i gdy sadził susy po wybetonowanej ścieżce, wiatr szarpał jego jasnymi włosami.

Nate wychylił się przez okno, w chwili gdy na sękatych gałęziach sosny pojawiła się wiewiórka.

– Powiedz mamie, że będziesz spała u przyjaciółki – zasugerował. – Zadzwon do Lili. Będzie ci kryła!

Ale ona właśnie od niej wróciła.

– Próbuję namówić Rach, żeby przyszła wieczorem – powiedział Nate przyjacielowi, gdy Luke otworzył drzwi pasażera.

– Serio? – Luke zatrzymał się przy beemce i oparł o jej dach, żeby spojrzeć w twarz swojej przyrodniej siostrze. – Naprawdę dasz radę?

– Nie wiem – wykręcała się od deklaracji.

– Będzie fajnie.

– Na pewno.

– Mam nawet dodatkowy pistolet. – Spojrzała na dom, żeby mieć pewność, że mama nie patrzy przez okno lub nie wychodzi frontowymi drzwiami, po czym rozpiął plecak i wyjął małą, czarną kasetkę. – W środku. Jest też dodatkowa amunicja, za darmo. – Rzucił kasetką ponad dachem samochodu, a ona w panice ją złapała.

– Sama nie wiem. Nigdy nie...

– To bez znaczenia. – Nate przekręcił kluczyk, ale nadal na nią patrzył, jego ciemne oczy lśniły szelmowsko. – Daj spokój, Rach. Spodoba ci się. Zaszalejesz. Rozumiesz? – drażnił się z nią, uśmiechał się coraz szerzej. – Przyrzekam. Nigdy tego nie zapomnisz.

Cóż, amen.

Nigdy nie wypowiedziano prawdziwszych słów.

Przypomniała sobie, jak Nate zawracał na podjeździe, opony samochodu zapiszczały na ulicy, w chwili gdy do jej uszu dobiegł odgłos otwieranych do góry drzwi garażu.

Mama!

Prawie stanęło jej serce.

Pospieszenie schowała pudełko z bronią w rododendronie rosnącym pod sosną, gdy pojawiła się Melinda. Była ubrana w dżinsy i sweter; jedną dłonią osłaniała oczy.

– Najwyższa pora, Rachel. Czekałam.

– Przepraszam... straciłam poczucie czasu.

– Z Lilą. Nie dziwi mnie to – powiedziała matka, a następnie, widząc, że Rachel się rumieni, dodała: – Czy coś się stało?

– Nie. Nic. – Rachel szybkim krokiem weszła do garażu i usiadła na miejscu pasażera należącej do Melindy camry. Odwróciła się, żeby zerknąć na matkę przez tylną szybę, i zobaczyła, że ta w zamyśleniu spogląda na skrzyżowanie na końcu ulicy, gdzie przed chwilą zniknął samochód Nate'a.

Czy zdola to zrobić? Czy okłamać matkę? I ojca gliniarza? Był detektywem, umiał oddzielać fakty od fikcji. Zaczęły jej się pocić dłonie, ale obróciła się i popatrzyła przez upstrzoną owadami szybę na stół warsztatowy ojca stojący przy pustej, drewnianej ścianie.

Zaschło jej w gardle, więc przełknęła ślinę, po czym usłyszała kroki matki na żwirze, a następnie drzwi samochodu się otworzyły i Melinda usiadła za kierownicą. Z zakłopotanym uśmiechem spojrzała na córkę i przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Czujesz miętę do Nate’a?

– Słucham? Miętę? – zdziwiła się Rachel. – Boże, mam, to nie lata sześćdziesiąte.

– To nic złego – powiedziała Melinda ze zrozumieniem. – Wszyscy przez to przechodziliśmy.

– Nie czuję miętę ani niczego innego do Nate’a Morettiego – oświadczyła i odwróciła się, ukrywając fakt, że umiera ze strachu, a jej sploty oddech skraplał się w rogu szyby, gdy Melinda, cofając, pokonywała podjazd.

– Niech będzie. Jasne. Żadnych mięt. O, cholera! – Wcisnęła hamulec. Toyota stanęła, a jakiś dzieciak przejechał na rowerze o kilka centymetrów od błotnika. – Ja pierdzielę. Ten mały Farello kiedyś się zabił! Widziałaś to? Nawet się nie zatrzymał, w ogóle mnie nie widział. Boże święty. I nie ma kasku! Co na to jego mama? – Westchnęła z irytacją, powoli wcisnęła gaz i wyjechała na ulicę.

Zrób to. Teraz!

– Czy mogłabym spać dzisiaj u Lili? – wypaliła Rachel.

Wyraz twarzy jej mamy się zmienił. Nie lubiła Lili, chociaż nigdy nie przyznała tego otwarcie, jedynie kilka razy wspomniała: „ta dziewczyna niech lepiej ma się na baczości, bo źle skończy”. Lila zawsze chodziła ze starszymi chłopakami, niektórzy byli dużo starsi, ale teraz od pewnego czasu umawiała się z Lukiem. To nie podobało się mamie. W tej chwili jednak Melinda chyba sądziła, że udało jej się połączyć miłosne kropki.

– Och, rozumiem – powiedziała. – Zamierzacie się spotkać z Lukiem i Nate’em.

Rachel nie wyprowadziła jej z błędu, więc na skrzyżowaniu matka tylko ją ostrzegła:

– Bądź ostrożna, Rachel. Trzymaj się z dala od kłopotów. Dobrze? – Posłała córce zmartwione spojrzenie.

– Pewnie – obiecała Rachel.

Ale to było kłamstwo. Okropne kłamstwo.

– Hej? Wszystko w porządku? – zapytała Lila, przywracając Rachel do teraźniejszości, do zebrania oraz dźwięków znanej piosenki. Wilson Phillips śpiewały *Hold On*, kawałek popularny, gdy chodziła do podstawówki, harmonijna melodia sączyła się z ukrytych głośników. Lila, jakżeby inaczej, puszczała piosenki, które wskrzeszały te wszystkie okropne wspomnienia z czasów szkolnych. – Rachel, pytałam, czy wszystko w porządku – powtórzyła Lila.

W uszach słyszała swój puls. *Nie, nie jest w porządku. Nigdy nie będzie. Mam okropne koszmary, straciłam pracę, strasznie martwię się o dzieci, nasza koleżanka z klasy została zamordowana, poza tym jest ta cholerna rocznica dnia, kiedy postrzeliłam i zabiłam swojego brata.*

– Tak, w porządku, dziękuję. – Zmusiła się do uśmiechu. – Nic mi nie jest.

– Naprawdę? – Lila przewróciła oczami. – Daj spokój! Dzisiaj wieczorem nikt z nas nie czuje się „w porządku”. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak się poczujemy. – Zmarszczyła brwi i dodała: – Annessa nie była w stanie wziąć się w garść i przyjść. Twierdzi, że jest zbyt wytrącona z równowagi.

– Nie wiem, dlaczego Annessa nie mogła pozbierać się przez kilka godzin – powiedziała Lila. – Rany! Co za primadonna. O matko, przecież wszystkim nam ciężko.

Annessa Bell należała do grupy tych popularnych w szkole średniej, była jedną z bogatych nastolatek. Wyprowadziła się na kilka lat, ale po śmierci ojca wróciła do Edgewater, żeby upomnieć się o swój spadek, a przynajmniej tak plotkowano, chociaż, według Lili, jej mąż był „tak bogaty, że mógłby pożyczać kasę samemu Bogu”.

Lila westchnęła z niezadowolaniem.

– Po prostu nie rozumiem. Annessa nie ma monopolu na taki stan. Nie ona jedna jest wytrącona z równowagi. Wszyscy jesteśmy zszokowani i trochę przerażeni. Szczególnie w takiej chwili człowiek chce wyjść z domu, żeby pogadać z ludźmi, którzy znali Vi.

– Każdy inaczej radzi sobie z żalobą – zauważyła Rachel.

– No tak. Zejdź już z Annessy – wtrącił się Nate, stając w obronie ich nieobecnej koleżanki z klasy. – Pewnie ma własne problemy. Poślubiła faceta dwa razy starszego od siebie.

– I w czym problem? – odwróciła się Lila. – Ja też i jesteśmy szczęśliwi z Chuckiem. A nawet bardzo szczęśliwi.

Nate wzruszył jednym ramieniem.

– Tak tylko powiedziałem, nigdy nie wiadomo.

– Cóż, według mnie dziwnie się zachowuje w kwestii zjazdu. Annessa powinna łączyć społeczność, ale cały czas spędza w pracy. Uwierzyć? Mając tyle pieniędzy? Odkąd firma jej męża kupiła działkę w mieście, ciągle jeździ na inspekcję tych miejsc. Widziałam jej auto w wytwórni konserw, w St. Augustine i na farmie Reacherów. Wiedzieliście, że ją też kupił? – Lila z dezaprobatą zacisnęła wargi.

– Prawdopodobnie ma to więcej wspólnego z poszukiwaniem pomysłu na nowe budynki – poddała Rachel.

– Może. Chodzi o to, że powinna dziś tu być. Odpowiada za pieniądze, no wiecie... ma zapisywać, kto już zapłacił, a kto jeszcze wisi i... cóż, wysłała arkusz kalkulacyjny, więc będzie nam musiał wystarczyć. – Poirytowana Lila ponownie włożyła rękę do kieszeni, ale tym razem nie wyjęła papierosa.

Przyglądając się jej, Rachel przypomniała sobie, że Annessa i Lila nie przepadały za sobą w szkole średniej, ale to było dawno temu. Ostatnio Lila była wkurzona, bo Annessa i jej mąż nie skorzystali z usług jej biura, kiedy kupowali różne działki w okolicy, włącznie ze starą wytwórnią konserw i szpitalem St. Augustine, gdzie mieściła się kiedyś niedziałająca już prywatna szkoła.

Lila przestała wreszcie gderać.

– Nic na to nie poradzę. – Dotknęła ramienia Rachel. – Całe to gadanie o Vi. Przygnębia mnie i po prostu... po prostu jest okropne. – Lila się wzdrygnęła, jej bransoletki zadzwięczały. – Muszę się napić wina. A ty? – rzuciła do Rachel.

– Nie teraz. – Pokręciła głową.

– A może podwójna whiskey? – zaproponował Nate.

– Och. Nalać ci? – zapytała Lila, nieco się rozpromieniając. – Mam... chyba szkocką. Chuck zawsze trzyma butelkę Glenlivet...

– Nie. – Nate uniósł dłonie. – Żartowałem. Nie chcę. Serio.

Ale Lila już wyminęła kolumny oddzielające salon od jadalni. Na końcu długiego stołu Brit Watkins, Reva Santiago i Billy Dee Johnson wpatrywali się w otwarty laptop. Reva miała na sobie elegancki czarny kostium i białą bluzkę, ciemne, wycieniowane włosy opadały jej na ramiona. Billy Dee był ubrany bardziej na luzie, w spodnie dresowe i koszulkę, jakby właśnie zbiegł z boiska treningowego. Jego łysa głowa załśniła w świetle innego żyrandola, gdy wziął do ręki jedną z kopii menu dostarczonych przez Brit. Brit czuła się niekomfortowo, siedząc na krześle z prostym oparciem. Cała trójka, pochłonięta dyskusją nad zadaniami związanymi z jedzeniem, piciem, zabawami i konkursami, nie zwracała uwagi na Rachel.

– Ona nigdy nie słucha, co nie? – zapytał Nate, wkładając ręce do kieszeni spodni i brodą wskazując Lilę. Wciąż był wysoki i smukły, włosy miał tak samo brązowe i gęste jak kiedyś, wobec czego kandydował zapewne do tytułu najmniej zmienionej osoby od czasów ukończenia liceum. Kilka płytkich zmarszczek rysowało mu się w kącikach oczu, zaczątki kurzych łapek, ale poza tym wyglądał identycznie jak w szkole średniej.

– Nigdy.

Lila już napełniała dwie szklanceczki na lustrzanym stoliku zastawionym tacami z jedzeniem, lśniącymi kieliszkami i otwartymi butelkami wina, napojów i mocnych alkoholi.

Pośrodku stały trzy zapalone świece, ich małe płomienie migotały obok niewielkiego bukietu fiołków w szklanym wazonie, co było oczywistym hołdem dla Violet Sperry.

Rany. Lila miała niezłe tempo.

Rachel znowu poczuła smutek.

Lila wracała z drinkami, spotkały się wzrokiem. Podając szklaneczkę Nate'owi, wyjaśniła:

– Poczulałam, że muszę coś zrobić. – Dotknęła brzegu swojego kieliszka z winem, po czym upiła duży łyk. – Po prostu nie potrafiłam przejść do porządku dziennego nad tym, że dzisiaj umarła.

Rachel nic nie odpowiedziała.

– Słusznie? – ponagliła ją Lila.

– Tak myślę.

– Zabito ją, Rach. Zamordowano. W jej własnym domu. Wczoraj wieczorem, a może dzisiaj nad ramię. Pomyślałam... no wiesz, że musimy jakoś się do tego odnieść. Nie możemy tego zlekceważyć. Skończyła szkołę razem z nami.

– Jasne. – To było takie typowe dla Lili. – Chodzi o to...

– ...że to takie dziwne, wiem. – Kolejny łyk wina.

– Rachel! – Brit odsunęła krzesło od stołu. W końcu zauważyła przybycie Rachel i teraz przełykała łyżę, gdy niezgrabnie obchodziła stół wkoło. – To okropne. Okropne.

– Wprost niewiarygodne – powiedziała Rachel i ku jej zaskoczeniu Brit ją objęła, przyciskając do niej swój ciężowy brzuch.

Brit otarła oczy.

– Przepraszam. Targają mną emocje. Sama wiesz, hormony.

– Wszyscy czujemy się podobnie – uspokoiła ją Rachel, kryjąc zaskoczenie, nie spodziewała się bowiem przytulenia ze strony kobiety, która na jej widok zwykle z trudem zmuszała się do uśmiechu.

– To chore – zgodził się Nate.

Kątem oka Rachel zauważyła, że Reva i Billy Dee opuścili swoje miejsca przy stole i zbliżają się do nich. Reva niosła kieliszek z winem, a Billy Dee szedł od drugiej strony stołu.

Och. Fantastycznie. Wiedziała, że nie powinna przychodzić. W ciągu pół minuty cały komitet zgrupował się w salonie.

– Widziałam ją u psiego fryzjera, jak mu tam? Och, Doggie Bartique, na Trzeciej Ulicy. To było w zeszłym tygodniu. Mój sznaucer miał obcinane pazurki – oświadczyła Reva, dołączając do pozostałych przy zimnym kominku. – Była tam z trzema pieskami i czekałyśmy przy ladzie, zaczęłyśmy rozmawiać. Wprost nie wierzę. A teraz już jej nie ma. Od lat jej nie widziałam, naprawdę długo, i rozmawiałyśmy o głupich psach. Nie mogę, to takie surrealistyczne. Dlaczego ktoś miałby...?

Zamilkła. Chociaż raz Revie zabrakło słów. Była ładną i mądrą kobietą, która zawsze umiała wykorzystać swój intelekt i urodę. Oczywiście była cheerleaderką, należała do chóru i kółka teatralnego. W ostatniej klasie kruczowłosa Reva śpiewała i tańczyła w świetnym przedstawieniu *Bye, Bye Birdie*.

I przez pewien czas, zanim Lila zawróciła w głowie Luke'owi, była jego dziewczyną. Na wyłączność. Reva była zakochana w nim po uszy.

Teraz pracowała jako prawniczka, miała tak samo szczupłą sylwetkę jak w szkole, ale wraz z wiekiem wyostrzyły jej się rysy. Jeśli wciąż czuła niechęć do Lili, cholernie dobrze potrafiła ją ukrywać. No ale dwadzieścia lat temu była dobrą aktorką.

– Może była przypadkową ofiarą. – Billy Dee pomasaował się po karku. Mimo niskiej temperatury pocił się, na jego łysej głowie zbierały się kropelki potu. – Może wcale nie była celem. No wiecie, może coś poszło nie tak podczas włamania.

– Tak sądzisz? – zapytał Nate, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Kto wie? – Billy Dee wzruszył ramionami. – Teraz zdarzają się takie porąbane rzeczy.

– Według mnie to ma sens – zgodziła się Reva. – Prędzej uwierzę w to, niż że ktoś właśnie ją wybrał.

– Czekajcie chwilę. Czy możemy zapomnieć o tym na parę minut i może, no wiecie, porozmawiać o jeździe? – zapytała Lila. – Po to w końcu się tu zebraliśmy. To zbyt potworne. Poza tym niczego nie

wiemy.

– Po prostu trudno się skupić – wyjaśniła Brit.

Billy Dee przytaknął.

– Teraz bym się chyba napił – powiedział i podszedł do prowizorycznego baru; światło odbijało się od jego łysiny. W szkole średniej był biegaczem, zanim nie wyeliminowała go kontuzja, za sprawą Luke'a, który zablokował go podczas treningu. Rozwalił kostkę i spędził tydzień w szpitalu. Kontuzja sprawiła, że na cały sezon wypadł z drużyny i, jak później narzekał, zapłacił za to utratą stypendium na Uniwersytecie Kolorado. Teraz był nauczycielem w szkole średniej i trenerem futbolu nieosiągającej większych sukcesów drużyny Eagles.

Mimo że Lila próbowała skłonić ich do skupienia się nad pracami komitetu, nadal rozmawiali o Violet przy dźwiękach grającej w tle piosenki Bon Jovi.

Było więcej pytań niż odpowiedzi, przerzucali się różnymi teoriami i anegdotami, przypominając sobie historie związane z Violet, wspominając, kiedy ostatnio ją widzieli, zastanawiając się, jak i dlaczego umarła. Czy napastnik ją znał? Czy morderstwo zostało zaplanowane? A może Billy Dee miał rację, kiedy zasugerował, że mogło to być włamanie, które wymknęło się spod kontroli? Czy została wykorzystana seksualnie? Czy mógł stać za tym jej mąż?

– To takie okropne – stwierdziła Brit. – Przerażająca tragedia, a ja trochę znam Leonarda. Przychodzi na kawę i jakieś ciastko przed pracą. Niewiele rozmawiamy, ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby miał zabić Violet. Nie. – Wstrząsnął nią dreszcz. – Słyszałam, że to on znalazł ciało. Miał być na rybach. Wrócił wcześniej do domu.

– Miał być? – zapytał Nate. – To znaczy, że nie był?

– Och, nie, nie, nie. Nie wiem nic na ten temat. Tak mówili klienci w kawiarni. – Wypuściła powietrze z płuc. – Powtarzam, co słyszałam w pracy.

– Plotki – odezwała się Mercedes z kanapy, w chwili gdy do pokoju wszedł Lucas.

Zerknął na matkę, która skinęła głową, po czym podszedł do bufetu i zaczął nakładać jedzenie na parę talerzy.

Reva zakręciła czerwonym winem w kieliszku.

– Policja zawsze najpierw prześwietla rodzinę. Sądzę, że mieli problemy finansowe. Kiedy spotkałam ją u psiego fryzjera, Vi była podminowana. Wspomniała, że Leonard chciał odkupić sklep od rodziców, ale znaleźli się w impasie. Nie wydawała się jakoś bardzo nakręcona, ale kto wie? – Wzruszyła ramionami. – Ale zakładam, że Leonard jest podejrzanym *numero uno*.

Mercedes pstryknęła długopisem i wstała, okrążyła stół kawowy i dołączyła do reszty przed kominem.

– Reva ma rację. Gliny zawsze podejrzewają męża, a jeśli ofiarą jest mąż, to żonę albo walniętego dzieciaka, zaleźnie kto ma dziedziczyć. Czekajcie, aż sprawdzą testament.

– Nie mieli dzieci – przypomniała Lila. A potem, uważnie patrząc na Mercedes, dodała: – Kiedy ją widziałś po raz ostatni?

Mercedes wzruszyła jednym ramieniem.

– W zeszłym tygodniu. Dopadłam ją w sklepie meblowym.

Nate uniósł głowę.

– Dopadłaś?

– Próbowałam namówić ją na wywiad, do tego cyklu. Skoro była jednym ze świadków na procesie i znajdowała się w miejscu, gdzie zginął Luke, uznałam, że byłoby ciekawie dowiedzieć się, co ma teraz do powiedzenia.

– Niech zgadnę – wtrąciła Reva. – Kazała ci spadać.

Kamienne oblicze Mercedes nie zdradziło żadnych emocji.

– Nie chciała o tym mówić. Najgorzej – powiedziała, przenosząc spojrzenie z powrotem na Rachel – że nikt nie chce udzielić wywiadu.

– Zastanawiam się dlaczego? – rzuciła Reva. – Rany, nękałaś ją?

Mercedes otworzyła usta, po czym je zamknęła.

– Po prostu potrzebowałam jakichś informacji. Na tym polega moja praca.

– Wiemy o tym. – Nate zrobił sobie kolejnego drinka.

– I, jak wiecie, kolejny artykuł ma się ukazać w przyszłym tygodniu. – Mercedes patrzyła prosto na Rachel. – We wtorek.

– Słuchajcie, czy moglibyśmy, proszę, wziąć się do pracy? – zapytała Lila. – Całe to gadanie o Vi nam jej nie przywróci.

Billy Dee ruszył z powrotem do stołu, Reva poszła za nim.

Mercedes zbliżyła się Rachel.

– Próbowałam się z tobą skontaktować. Napisałam wiadomość i dzwoniłam, ale nie raczyłaś się odezwać.

– Bo nie chcę o tym mówić. – Miała zamiar dodać jakieś frazesy typu „byłam zajęta”, ale Mercedes nie dała jej szansy.

– Chciałam tylko zadać kilka pytań na temat morderstwa Luke’a. Do mojej serii.

– Jasne, Mercedes, rozumiem! Wszyscy rozumiemy – rzuciła nieco głośniejszym głosem, niż zamierzała, aż Brit uniosła brwi. Lila odwróciła się w ich stronę.

– Nie oddzwoniłaś.

– O tym też wiem – potwierdziła Rachel, a pokój zdawał się kurczyć.

– Dlaczego?

Boże, dlaczego Mercedes przypiera ją do muru w obecności innych osób? Nawet Lila i Billy Dee w jałdani odwrócili się, żeby popatrzeć na to, co się dzieje koło kanapy.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Mercedes nie dała się zbyć.

– Och, przestań. Byłaś oskarżona...

– Słuchaj – przerwała jej Rachel. – Nie chcę rozmawiać o tym, co stało się Luke’owi. Jasne?

– Mogę cię zacytować? – zapytała Mercedes.

– Nie!

– Jezu, Mercedes, daj spokój, dobrze? – powiedział Nate. – Okaż trochę szacunku. To nie czas i pora.

– W przypadku Rachel nigdy nie ma właściwego czasu i pory. – Dziennikarka się najeżyła.

Lila dotknęła ramienia Mercedes.

– Chodź, Mercy, odpuść. To i tak jest trudny dzień dla bliskich Luke’a, a jeszcze po tym, co przydarzyło się Vi, nikt... nie jest sobą. Ty i Rachel możecie to sobie wyjaśnić innym razem.

Oczy Mercedes błysnęły.

– Mam czas jutro. Lub w niedzielę przed południem. Pasuje ci? – zadała pytanie Rachel, stawiając ją w niezręcznej sytuacji.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Zostawiłam kalendarz w domu.

Mercedes posłała jej gniewne spojrzenie.

– Masz kalendarz w telefonie albo na iPadzie. Jesteś informatyczką.

Rachel nie dała się zbić z pantafyku.

– Jestem i mam, ale w tej chwili nie udzielę ci odpowiedzi.

– Wobec tego... – Mercy nie zamierzała się poddać.

– Na miłość boską, słyszałaś to, Lila? – Nate gwałtownie podniósł rękę, aż wychlapał drinka ze szklanki. Nie przejął się tym, z zaczerwienioną twarzą piorunował Mercedes wzrokiem. – Ja pierdole, Violet nie żyje. Więc przestań. Po prostu przestań!

– Nikt cię nie prosił o zdanie – odburknęła Mercedes.

– Słuchajcie, dajmy temu spokój. – Lila stanęła pomiędzy nimi. – Przełożmy to na później. Teraz musimy coś omówić. – Wtedy zauważyła, że jej syn wciąż pałęta się koło bufetu i ociągając się, nakłada jedzenie na talerze. – Nie za dużo? – zapytała.

Lucas podniósł wzrok i spojrzał na matkę.

– Aha – wymamrotał i szybko ruszył w stronę schodów.

Kiedy Rachel ponownie popatrzyła na Mercedes, filigranowa kobieta wciąż przesywała ją wzrokiem. Gdy były w szkole, Mercedes Jennings była jedną z nielicznych dziewczyn, które nie podkochiwały się w Luke’u Hollanderze, a wręcz nazywała go pozerem.

– Okej, Lila i Nate mają rację – powiedziała w końcu. – To nie jest właściwa pora, poza tym mamy coś do zrobienia. Zadzwoń do ciebie i porozmawiamy.

Rachel machnęła ręką, ale Mercedes nie dała się zbyć.

– Wobec tego sprawdź, czy pasuje ci poniedziałek, Rachel. Możemy się spotkać w biurze albo podjadę do ciebie do domu. Chyba tak będzie lepiej. Zabiorę ze sobą fotografa. Powiedz tylko o której.

– Poniedziałek mi nie pasuje – zaoponowała szybko.

– Jeszcze tego nie wiesz – odparowała dziennikarka.

– Przestań! – Nate z wściekłości zrobił się czerwony na twarzy. – Musisz się nauczyć, że nie to nie.

Brit zerwała się na nogi, zamknęła laptopa.

– Dłużej tego nie zniosę. Nie jestem w stanie się skupić. Cały ten wieczór nie ma sensu.

– Ale musimy... – nalegała Lila.

– Ja nie mogę. Nie dam rady tu być, rozmawiać o szkole i Violet... Spadam stąd.

– Nie, nie. Brit, posłuchaj, postaraj się zapomnieć o żalobie, dobrze? – Lila zaczęła się denerwować. – Violet chciałaby, żebyśmy...

– Gówno prawda! – wybuchnęła Mercedes. – Violet nie chciała brać udziału w tym zjeździe. Sama tak powiedziałaś.

– Próbowałam ją namówić – przyznała Lila. – Jak na ironię chciałam, żeby się zajęła tablicą pamiątkową, a teraz... teraz to ona się na niej znajdzie.

– Wiecie, co jest większą ironią losu? – rzuciła Mercedes, zwracając się do wszystkich. – Co wy na to? Violet została zamordowana dokładnie w tym samym dniu, w którym zabito Luke’a Hollandera dwadzieścia lat temu.

– Hola, hola. Nie rozpędzaj się. – Nate przewiercał ją spojrzeniem. – To prawda, ale... co z tego? Próbujeś połączyć te morderstwa? To szalone. Minęły dwie dekady.

Rachel miała wrażenie, że skręca ją w środku. Musiała stąd wyjść. Jak najszybciej.

– Nie wiem dokładnie, co zrobić, ale zamierzam o tym napisać. Oczywiście. Ktoś ode mnie już namierza główną śledczą w sprawie Violet, detektyw O’Mearę.

Kayleigh. Jej wnętrzości zacisnęły się jeszcze mocniej. Wypuściła powietrze z płuc, nie chciała myśleć o Kayleigh O’Mearze, o tym, jak jej mąż zakochał się w tej bystrej, rudej partnerce.

Było i, kurwa, minęło.

ROZDZIAŁ 11

Pach! Pach, pach, pach!

Kayleigh trzymała postawę, wyposażona w ochronne gogle, i strzelała do celu, przy każdym wystrzale podskakiwały jej ramiona i zaciskała się szczęka. Na uszach miała ochraniacze, które blokowały wszystko poza satysfakcją z trafiania w cel – zarys męskiego torsu zawieszony na końcu strzelnicy. Udało jej się odciąć od pozostałych osób ćwiczących w pomieszczeniu i całkowicie skupiła się na celu ustawionym w pobliżu tylnej ściany. Trafiała; trzy strzały weszły nieco poza środkiem, tam gdzie pod ochroną żeber powinno znajdować się serce mężczyzny.

Wystrzeliła kilka serii, zanim stwierdziła, że jest zadowolona ze swojej precyzji. Kiedy skończyła, zeszło z niej napięcie i poczuła przypływ nowej energii. To był długi dzień, a ona nie chciała wracać do domu w piątkowy wieczór. Sama.

Camille, przyjaciółka, z którą знаła się od początku studiów na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, zadzwoniła do niej, żeby powiedzieć, że w kilka osób umówili się na drinka w O'Callahan. Kayleigh znała ten irlandzki pub położony na jednym z pomostów. Mimo to wymówiła się od spotkania.

– Dlaczego? – dopytywała Camille. – Masz jakieś lepsze plany?

– Oglądałaś wiadomości? Pracuję nad sprawą zabójstwa.

– No tak, ja też mam pojebaną pracę i jeszcze gorszego szefa, który chce, żebym zostawała po godzinach, ale powiedziałam mu, że nic z tego. Jest weekend! Wypijmy kilka drineczków, pogadajmy i dajmy sobie trochę cholernego luzu. Nie zwrócisz życia tej martwej kobiecie. Nie żyje to nie żyje.

– Nie o to chodzi w mojej pracy.

– Jasne. Dobrze. Nie sądzę, by kilka godzin z przyjaciółmi mogło cię powstrzymać od wykrycia, co się jej przydarzyło.

Może. Może nie. Pierwsze godziny śledztwa są krytyczne.

– Daj się namówić, Kay!

Camille nie udało się jej przekonać. Zajmowała się pracą, aż minęła dwudziesta, po czym poszła na strzelnicę, wyładowała się i pozwoliła, by sprawa uleżała jej się w głowie.

Teraz zasunęła suwak kurtki i wyszła na zewnątrz, gdzie zauważyła mgłę nadciągającą znad oceanu. Zastanawiała się, czy zmienić plany i dołączyć do przyjaciółek ze studiów. Przeważnie zamężnych. Czasem dzieciatych. W sumie, czemu by nie?

Przydałaby jej się przerwa.

Przez wiele godzin czytała zeznania i przeglądała dowody, czuła, jak tyka zegar, jak zabójca się wymyka.

Przez cały czas próbowała nie myśleć o wrażeniu, jakie wywarło na niej ponowne spotkanie z Cade'em.

Wielki błąd.

Zadzwoniła do niego, ponieważ przez większość życia mieszkał w Edgewater. I ponieważ był jednym z najlepszych detektywów, z którymi pracowała.

I ponieważ chciałaś ponownie go zobaczyć. Bądź ze sobą szczerą, Kayleigh.

Rozłoszczona na samą siebie, otworzyła pilotem swoją hondę, wsiała i przekreśliła kluczyk. Tak, przyznała, ruszając, po czym włączyła radio i podgłośniła. Morderstwo Violet Sperry było wymówką, żeby skontaktować się z Cade'em, żeby go zobaczyć, żeby sprawdzić, jak zareaguje na niego, oraz przekonać się, jak on zareaguje na jej widok.

Źle się z tym czuła.

Nie chodziło o to, że nie mogła wykorzystać jego spostrzeżeń, ale o to, że jej ukryte motywy były podszyte oszustwem i nieszczerze. Nie są to jej ulubione cechy, pomyślała, jadąc drogą 101 i mijając oświetlone sklepy, które stały przy głównej arterii przecinającej Astorię.

Zakochała się w nim trzy lata wcześniej, kiedy razem prowadzili śledztwo, w Astorii właśnie. Był wówczas w separacji z żoną, a dochodzenie w sprawie morderstwa ciągnęło się przez kilka miesięcy. Stało się to podczas tych długich nocy, gdy prowadzili obserwację, kiedy spędzali razem wiele godzin, otaczała ich noc, a oni popijali kawę w samochodzie albo w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy, próbując nie spuszczać z oka domu podejrzanego. Wtedy się w nim zakochała.

To było głupie.

Był żonaty, wiedziała o tym.

I chociaż przyznawał, że jest w separacji, nigdy nie powiedział, że zamierza się rozwieść... Pograżała się w fantazjach o nim, chociaż wmawiała sobie, że otrząsnęła się z zauroczenia.

Czyżby?

A może to było tylko kłamstwo, które miało sprawić, żeby poczuła się lepiej w obliczu tej skazanej na porażkę sytuacji?

Dzisiaj się rozluźni. Przez godzinę lub dwie. Dzisiaj odłoży na bok sprawę zabójstwa Violet Sperry i na pewno przestanie myśleć o Cadzie Ryderze, chociaż teraz rzeczywiście był już rozwiedziony. Od kilku lat.

– Wciąż zakazany – przypomniała sobie, wjeżdżając na most Astoria–Megler, wysoką, ciągnącą się przez sześć i pół kilometra konstrukcję łączącą Oregon i Waszyngton tuż u ujścia rzeki.

Pub O'Callahan znajdował się na brzeżu, wciśnięty pomiędzy restaurację i księgarnię, w budynku, który dawniej był magazynem, a teraz dużym centrum handlowym, chaotycznym zbiorem sklepów mieszczących się na trzech poziomach.

Zaparkowała, zamknęła samochód, po czym ruszyła pędem przez parking ku szerokim, szklanym drzwiom głównego wejścia. W środku odnowione drewniane podłogi lśniły w blasku industrialnych lamp podwieszonych koło nieosłoniętych kanałów wentylacyjnych. Wspięła się po schodach prowadzących do irlandzkiego baru i weszła do środka, gdzie w przygaszonym świetle słychać było ciche rozmowy. Klienci stali przy barze, za którym dwóch barmanów nalewało drinki, rozmawiali i śmiali się przed lustrzanymi półkami z dziesiątkami błyszczących butelek. U góry wisiały dwa płaskie ekrany telewizyjne, trwał mecz bejsbola.

Kayleigh wypatrzyła Camille w dużej łóż w kącie pomieszczenia. Niesforne farbowane loki okalały jej twarz w kształcie serca. Popijała coś z malej miedzianej filiżanki, na ustach miała różowy błyszczący. Koło niej siedzieli trzej mężczyźni i dwie kobiety, pochylali się nad swoimi drinkami. Kayleigh zrobiła krok w ich stronę, po czym się zatrzymała. Może to był błąd. Kolejne kilka godzin mogła poświęcić na analizowanie sprawy, przeglądanie... *Och, do dupy!* Jednym z facetów okazał się Travis McVey.

Jej były.

Chodziła z nim, zanim zadruryła się w Cadzie.

Zakłuło ją w sercu.

A niech cię, Camille.

Przy barze zrobił się rwetes, bo jeden z bejsbolistów wypuścił mocną, płaską piłkę. Travis podniósł wzrok, jego spojrzenie padło na Kayleigh. Zaschło jej w ustach.

Mieszkali ze sobą przez sześć miesięcy.

Odeszła od niego, ale niczego tak naprawdę mu nie wyjaśniła. Nie miała sumienia powiedzieć mu, że zakochała się w innym. W żonatym. Na dodatek takim, który nie odwzajemniał jej uczuć, a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

Camille również ją zauważyła i zaczęła do niej machać, przywoływać ją do stolika, zagadywać przyjaciół, którzy także spojrzeli w jej stronę.

Decyzja zapadła.

Mercedes znowu popatrzyła gniewnie na Rachel.

– Chcę tylko powiedzieć, że dwa morderstwa popełnione tego samego dnia to strasznie dziwny zbieg okoliczności.

– Masz rację, to jest zbieg okoliczności – przytaknął Nate. – Paskudny, ale nic więcej się za nim nie kryje. Rany, Mercy, cały cholerny świat jest dla ciebie podejrzany.

– Taką mam pracę.

– Twoja praca jest do niczego. – Osuszył kieliszek, gdy do ich grupy przyłączyła się Reva.

Brit znowu z trudem hamowała łzy. Zerknęła na Revę.

– Rozumiesz to?

– Tak.

– Dobrze. – Pociągając nosem, Brit szybkim krokiem weszła do jadalni, skąd zabrała swoje notatki i tablet. – Słuchajcie. Zgadzam się ze wszystkim, co postanowicie. – Popatrzyła na Revę. – Tylko dajcie mi znać. Napiszcie do mnie.

– Co? Nie! – Lila poszła za nią do stołu. – Brit, nie możesz wyjść – powiedziała uspokajająco. – Potrzebujemy cię tutaj.

– Nieprawda. Reva i Billy Dee poradzą sobie beze mnie. – Niezrażona, wsadziła komórkę do kieszeni swoich ciężowych džinsów.

– Racja. Damy radę – potwierdził Billy Dee.

Brit próbowała powstrzymać łzy.

– Ja naprawdę... naprawdę muszę wrócić do Pete'a i dzieci.

– Ale... – Lila uniosła ręce. – Jeśli zostaniesz jeszcze kilka minut...

– Po prostu nie mogę – odparła Brit, wyminęła Lilę i zniknęła za drzwiami wyjściowymi. Zamknęły się z trzaskiem.

– Ja też powinnam iść. – Rachel usłyszała swój głos wymawiający te słowa.

– W żadnym razie. Dopiero przyszłaś. – Lila zacisnęła zęby, na jej policzkach pojawiły się rumieńce, starała się przejąć ster. Stała w sklepionym przejściu do holu, jakby chciała odciąć im drogę ucieczki. – Słuchajcie. Wszyscy jesteśmy podminowani. Rozumiem. Ja też. Boże, tak. Ale musimy uporać się z tą robotą. Siądźmy do tego i skróćmy to spotkanie tak, żebyśmy jak najszybciej mogli wrócić do swoich rodzin. Okej? Naprawdę nie mamy czasu na przekładanie tego zebrania. – Jako agentka nieruchomości umiała radzić sobie z mediacją i godzeniem dwóch stron. – Po prostu musimy to zrobić. Dobrze.

– Cholera, że tak powiem – odezwał się Billy Dee. – Sam nie wiem.

– Ależ wiesz. Jeszcze kilka minut i kończymy na dzisiaj – nalegała Lila.

– Jasne, nie chcę tego przekładać – powiedziała Reva i razem z Billym Dee ruszyła w stronę stołu w jadalni.

– Super. – Mercedes posłała Rachel ponure spojrzenie. – Miałas namierzyć pozostałe osoby z klasy. Udało ci się z kimś?

– Co za suka – szepnęła Reva, przechodząc koło nich, ale Rachel nie wiedziała, czy mówi o Lili czy o Mercedes, a może o nich obu.

– Słyszałam! – zawołała Lila.

– Rachel? – ponagliła ją Mercedes, po czym znowu usiadła na swoim miejscu na sofie.

– Tak. Z kilkoma. – Rachel przyciągnęła puf, siadła na nim i otworzyła laptop, podczas gdy Nate nalewał sobie drinka. – Mam nazwiska, adresy, maile i numery telefonów. Wszystko oprócz numerów

ubezpieczenia społecznego... marzenie hakera.

Mercy uniosła jedną brew, ale nie skomentowała. Wciąż była wkurzona.

Rachel spojrzała na laptop i otworzyła folder.

– Zostało jeszcze, niech sprawdzę... dziewięcioro zaginionych w akcji, ale chyba uda mi się namierzyć większość z nich. Mam już jakieś informacje, tyle że jeszcze nie odpowiedzieli mi na maile.

– Wysłałaś do nich esemesy? – Nate zajął swoje miejsce i sączył napój ze szklanki.

– Jak miałam numer.

– Czy ktoś na sto procent nie przyjdzie? – zapytała Lila. – Czy ktoś odpisał i powiedział, że nie da rady?

Rachel sprawdziła listę w laptopie.

– Mam jakichś sześciu, którzy w tej chwili są zdecydowani nie brać udziału.

– Kto? – dopytywała Lila. Wbiła sobie do głowy, że wszyscy powinni być obecni.

– Zaczniemy od tego, że dwie osoby siedzą. Larry Gorse jest w więzieniu stanowym w Walla Walla. No i Lavonne Tinker. Siedzi w Billings w Montanie.

– Za co? – zapytała Lila.

– Larry za napaść kwalifikowaną. Prawie zabił jakiegoś gościa – wyjaśnił Nathan. – Kilka lat temu spotkałem jego brata, stąd wiem.

Prawie zabił jakiegoś gościa... Rachel poczuła, że robi jej się zimno. Ona kogoś zabiła. Własnego brata. Wszyscy znajdujący się w tym pokoju byli przy tym.

– Mówili o tym w wiadomościach, chociaż zdarzenie miało miejsce w Waszyngtonie – przypomniała Mercy. – Napisałam na ten temat kilka linijek w rubryce *Teraz i dawniej*. Lavonne chciała minivanem z fotelikami dziecięcymi przejechać swojego niewiernego męża. Na szczęście nie w obecności dzieci, ale on trafił do szpitala, a ona do więzienia.

– Dobrze, wykreśl Larry'ego i Lavonne – powiedział Nate. – Mam nadzieję, że nie chcesz, żeby założyli podkomisję – drażnił się z Lilą.

Lila przewróciła oczami i zabrali się do roboty. W końcu.

Zgodnie z obietnicą zebranie szybko dobiegło końca. Po czterdziestu pięciu minutach Rachel wchodziła już na górę po dzieci. Energicznie zapukała do drzwi pokoju Lucasa, po czym otworzyła je i znalazła się w ciemnym pomieszczeniu oświetlonym tylko blaskiem dwóch monitorów komputerowych. Gdy jej oczy przywykły do ciemności, zobaczyła Lucasa i Dylana w słuchawkach z mikrofonami. Lucas siedział na krześle na kółkach z laptopem na kolanach i grał w jakąś interaktywną grę wideo, w której pojawiały się opuszczone budynki, wojsko, broń i dużo krwi.

Dylan siedział oparty o łóżko, na którym w słabym świetle ujrzała Harper i jakiegoś chłopaka, którego nie znała. Nie usłyszeli jej. Obejmowali się i całowali zapamiętane z rozchyłonymi ustami, on trzymał jedną rękę w jej włosach, splekli odziane w dżinsy nogi.

– Co tu się dzieje, do cholery? – Rachel weszła do pokoju, przewróciła kubek z niedopitym napojem i włączyła górne oświetlenie.

W pokoju od razu zrobiło się jasno.

– Mamo! – Harper, jakby raził ją prąd, oderwała się od chłopaka, niemal mężczyzny, jeśli sędzić po wyglądzie. Postawiła stopy na podłodze i wstała, na szczęście nadal w ubraniu, i mrużyła oczy w ostrym świetle. Jej twarz zmieniła barwę z rumianej na trupio bladą. – Co ty tutaj robisz?

Rachel zignorowała córkę, wbiła spojrzenie w nieznanego chłopaka – czy na pewno chłopaka? Miał dość gęsty zarost.

– A ty to kto?

– Xander. – Zszedł z łóżka, a Rachel starała się nie patrzeć na wypukłość w jego dżinsach, dowód erekcji. Przynajmniej miał dość przyzwoitości, żeby się zawstydić i starać zasłonić koszulką *oversize*.

Boże święty.

Rachel spojrzała ze złością na córkę.

– Wytłumacz mi to, Harper.

Dylan odwrócił głowę, jakby nagle zauważył, że w pokoju dzieje się coś poza wojną, którą toczył w grze. Zdjął słuchawki i wstał, cały czas posyłając Rachel skruszone spojrzenia.

– Mamo – powiedziała Harper cienkim głosem, unosząc wyzywająco podbródek. – To Xander Vale. Jest... jest przyjacielem Lucasa i... i moim.

– Dobrym przyjacielem, jak widzę – skwitowała cierpko. Kiedy Xander zrobił krok naprzód i podał jej dłoń, ujęła ją na ułamek sekundy. Co ma teraz zrobić? Nie istniała żadna instrukcja dla rodziców na wypadek takich sytuacji.

– Miło panią poznać – oznajmił ten prawie mężczyzna w szarej bluzie z logo uniwersytetu w Oregonie i podartych dżinsach, z których wystawały gołe stopy. Najwidoczniej próbował, z dość zadowalającym skutkiem, zapuścić brodę. Brodę! Miał ciemne oczy, w których oprócz zażenowania lśniła iskra arogancji.

Nie ufam ci, pomyślała Rachel. Ani trochę. *Co robisz z moją siedemnastoletnią córką?*

– Zabierz swoje rzeczy – mruknęła do Harper przez zaciśnięte gardło.

– Spadaj – prychnął Lucas, gdy Dylan trącił go czubkiem sportowych butów. – Trafiłem cię! Nie żyjesz, człowieku!

– Hej – rzucił Dylan do mikrofonu.

– Co...? – warknął Lucas, zdejmując słuchawki. – Jaki masz problem? – Następnie kątem oka zobaczył Rachel i uświadomił sobie, że ktoś włączył światło i zabawa się skończyła. – Oj.

– Tak, oj – powtórzyła Rachel i wtedy po raz pierwszy poczuła zapach dymu z marihuany. Wspaniale. Gestem przywołała oboje dzieci. – A teraz na dół. Szybko. Tata już jedzie.

– Tata? – Harper niemal wyskrzczała to słowo, panicznie rozglądając się po pokoju. – Moje rzeczy są w aucie.

– Idź po nie. – Rachel nie była w nastroju na wymówki.

– Chyba nie powiesz mu o... – niemal wyszeptwała Harper, patrząc przerażonym wzrokiem.

– O Xanderze? – zapytała Rachel. – O, tak. Na pewno powiem. Nie tylko o tym, a ty – wskazała palcem mężczyznę/chłopaka i spojrzała mu prosto w oczy, chociaż był o dobre kilkanaście centymetrów wyższy od niej. – Ty, Xanderze Vale, się z nim spotkasz.

Harper próbowała protestować. Miała rozmazany makijaż i wyglądała tak cholernie młodo.

W ciszy, która nastąpiła, Rachel nie spuszczała wzroku z Xandera i nie zwracała uwagi na hałasy dochodzące z dołu, muzykę i głosy dolatujące na górę przez otwory wentylacyjne. Z trudem panując nad emocjami, oświadczyła:

– Tata Harper jest świetnym facetem. – Zerknęła na córkę, która gwałtownie pokręciła głową. – Mam nadzieję, że już ci o nim opowiedziała – dorzuciła. Starła się nie tracić gruntu pod nogami.

Chłopak, spuściwszy wzrok, wsadził ręce do przedniej kieszeni bluzy i miał dość rozumu, żeby jej nie przerywać.

– Cade – ciągnęła. – Tak ma na imię ojciec Harper. Detektyw Cade Ryder. – Odczekała sekundę, żeby dać chłopakowi czas na przyswojenie tej ostatniej informacji. On zaś, trzeba przyznać, przyjął to bez mrugnienia. – Jak wspomniałam, jest gliną. I uwierz mi, na pewno zechce cię poznać.

ROZDZIAŁ 12

Ledwie Cade zamknął drzwi auta, gdy zobaczył, jak z domu jego ojca wypadają jego była żona z dziećmi i stoją na ganku. Był z nimi jeszcze jakiś chłopak. Ale nie Lucas. Chyba starszy. W bluzie Oregonu, dżinsach i klapkach, wyglądał na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Już nie dzieciak. Obok niego stała blada Harper, na jej twarzy malowała się wściekłość. Dylan był nadąsany i nieobecny w słuchawkach dousznych, mina Rachel mówiła, że jest wkurzona. A raczej okropnie wkurzona.

Super.

Kolejna rodzinna trauma.

Ile takich widział ten stary dom? Ile, kiedy tu dorastał? Cade wołał nie myśleć.

– Co się dzieje? – zapytał, wchodząc po znajomych schodach i czując zimny wiatr wiejący znanad Kolumbii. Drzwi domu pozostały otwarte, w holu paliło się światło, rzucając blask na grupkę zgromadzoną tuż za progiem.

– To – powiedziała Rachel, wskazując chłopaka, którego nie znał – jest Xander Vale. – Zatrzasnęła drzwi, więc ganek pograżył się w półmroku, jedynym źródłem światła były wewnętrzne lampy widoczne przez szyby w drzwiach i okna. – On i Harper dość intensywnie się zaprzyjaźniali w pokoju Lucasa. – Posłała chłopakowi wściekłe spojrzenie.

Nie zbiła Vale'a z tropu.

Harper niemal wiła się ze wstydu.

Cade poczuł, jak spinają się jego mięśnie.

Rachel dopiero się rozpędzała.

– I chociaż nie jestem w stanie tego udowodnić, wydaje mi się, że była grana marihuana.

Teraz wyrośnięty chłopak zbladł.

– Nie – rzucił i spojrział w oczy Cade'a. – Żadnej trawy.

Marihuana wiele by zmieniła. W Oregonie wciąż była nielegalna dla nieletnich.

– Serio – potwierdziła Harper, odzyskując głos. – Nie paliliśmy.

– Ale ty i Xander byliście... razem? – Cade zerknął na córkę.

Harper założyła ręce na piersi i wystawiwszy brodę, popatrzyła na niego prowokująco.

– Lubię Harper – oświadczył Xander Vale.

Cade kiwnął głową, zerknął na córkę. Boże, jak to się stało, że tak wyrosła?

– Ja też ją lubię – odparł, starając się zachować spokój.

– To daleko wykraczało poza „lubienie” – warknęła Rachel.

– Mamo! – zaoponowała przerażona Harper.

– Harper, obmacywałaś się z tym facetem. – Rachel oskarżycielsko wycelowała palec w Vale'a. – W obecności swojego brata i Lucasa oraz pod moim nosem! A więc nie udawaj teraz, że się wstydzisz. Na miłość boską, co ty sobie myślałaś?

– Mamo! Przestań! – wrzasnęła dziewczyna. – Boże, po prostu przestań!

Vale skrzywił się w półmroku, a Harper wyglądała, jakby natychmiast chciała zapaść się pod ziemię. Cade jej nie winił, chociaż miał ochotę udusić tego chłopaka. Zamiast tego wyciągnął rękę i przez zaciśnięte zęby powiedział:

– Cade Ryder.

Vale się zawahał, po czym z pewną rezerwą uściśnął jego dłoń.

Harper próbowała się nie rozplakać.

Dylan poruszał głową w rytm jakiejś piosenki, którą słyszał tylko on, chociaż Cade przyłapał go na rzucaniu ukradkowych spojrzeń na rodziców oraz Xandera Vale'a. Może jego syn nie był aż tak niezainteresowany, na jakiego pozował. Cade miał taką nadzieję.

– Panie Ryder... – zaczął Vale.

– *Detektywie* Ryder – wtrąciła się Rachel, posławszy Cade'owi ostrzegawcze spojrzenie, żeby przypomnieć mu, że ma zachowywać się jak ojciec. I bezwzględny glina. Jakby mógł zapomnieć swojej roli.

Mało prawdopodobne.

Vale głośno przetknął ślinę.

– Ona, pana żona, powiedziała, że jest pan... policjantem.

– Jestem – potwierdził Cade.

– Była żona – doprecyzowała Rachel, a potem zwróciła się do córki. – Rany, niczego mu o sobie nie powiedziałaś? Od jak dawna... się umawiacie... czy spotykacie czy jak tam to nazywacie?

– My... – Vale uciekał wzrokiem.

Unosząc lekko podbródek, prostując się, jakby połknęła kij od mioty, z włosami powiewającymi na wietrze, Harper odparła:

– Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu? – Rachel opadła szczęką. – Ja pier... Kiedy?

– Na meczu bejsbolowym. Przyszedł z Lucasem.

Rachel pokręciła głową.

– To absurdalne. Poznałaś go w zeszłym tygodniu, a dzisiaj już... O, rany, skarbie, co ty sobie myślałaś?

Cade nie podejrzewał, że w tej znajomości jakkolwiek rolę odgrywało myślenie. Pamiętał, jak to było w czasach młodości, jak szybko krążyła gorąca krew, jak szybko emocje wymykały się spod kontroli, jak on i Rachel nie byli w stanie utrzymać rąk z dala od swoich ciał, jak jedyne, co ich interesowało, to jak znowu się spotkać na osobności. I co się stało? Zaledwie rok po skończeniu szkoły Rachel zaszła w ciążę i niedługo potem urodziła tę samą córkę, którą teraz próbowała ostrzec.

– Ile masz lat? – zapytał chłopaka, gdy zza rogu wyjechał biały sedan. Wyglądał podobnie jak buick z tablicami z Idaho, którego wypatrzył wcześniej, więc przyglądał mu się w napięciu. Gdy ich mijał, silnik mruczał, a światła oświetlały ulicę, nim zaczął zjeżdżać w dół. Jakiś starszy ford taurus. Podświetlona rejestracja z Oregonu. Zupełnie inny pojazd.

– Niedawno skończyłem dwadzieścia – odparł Vale. – I, yy, studiuje na uniwerku, w Eugene. Właśnie tam poznaliśmy się z Lucasem. Graliśmy razem w piłkę. Przygotowuję się do studiów prawniczych. Jego stary, hm, jego tato powiedział, że mogę tego lata u niego pracować na cały etat. Teraz pracuję na pół.

Mój stary, pomyślał Cade.

– Harper ma siedemnaście lat – przypomniała cicho Rachel. Zmrużyła oczy i przez chwilę mierzyła wzrokiem Vale'a; następnie zerknęła na swojego byłego męża, jakby mógł rozwiązać ten problem.

Cade był kilka lat starszy od Vale'a, kiedy zaczął chodzić z Rachel. Studiował, służył w marines. Ale zakochał się w nastolatce.

– Słuchaj. Matka Harper zdaje się sugerować, że jeśli chcesz umawiać się z naszą córką, powinieneś zaprosić ją na randkę.

– Ona nigdzie mnie nie puści – wyrzuciła z siebie Harper, posyłając matce gniewne spojrzenie.

– Zapewne nie – przyznała Rachel.

Cade pojednawczo uniósł ręce.

– Wyluzujmy trochę, dobrze?

– Nic się nie stało, tato! – jęknęła Harper. – Nic. Tylko się całowaliśmy.

– Okej.

Vale potaknął.

– To prawda. Do niczego nie doszło. – W jego ciemnych oczach tlił się gniew i Cade nie ufał mu za grosz.

– I niech tak zostanie, dobrze?

– Tak. – Chłopak energicznie pokiwał głową, podczas gdy upokorzona Harper posłała ojcu wściekle spojrzenie.

Jego uwagę zwrócił zażenowany Dylan, który przestępował z nogi na nogę.

– Możemy już jechać?

– Tak – zgodził się Cade. – Zabraliście swoje rzeczy?

– Są u mamy w samochodzie.

– Przynies je. Poczekał tutaj. – Na te słowa Dylan zbiegł ze schodów i przeciął podwórze. Cade natomiast zmierzył wzrokiem Harper i Xandera. – Rozumiemy się?

Harper sztywno potwierdziła.

– Spoko – odparł Vale.

– Dobrze. – Cade wątpił w ich szczerość; sam kiedyś był w sidłach nastoletniego pożądania. „Spoko” tu nie pasowało. Co gorsza jednak, Harper ukradkiem posyłała chłopakowi figlarne spojrzenia. Jakby Xander Vale był darem niebios.

Tak, mieli problem.

– Okej. To chodźmy – powiedział.

Vale z ulgą uniósł rękę i pomachał Harper, odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wpadł do domu, gdzie od razu wszedł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Wyportowany. Przystojny. Trochę zbuntowany. Starszy.

Kłopoty.

– To jeszcze nie koniec – ostrzegła Rachel, a Cade nie wiedział, czy mówi do Harper, czy do niego, czy też do nich obojga. Uznał, że groźba dotyczy wszystkich.

– Czy możemy już jechać? – wyszeptła Harper.

– Tak, pewnie. – Zerknął na swoją byłą żonę, a ona nie oponowała. Zwrócił się do córki. – Widzimy się w aucie. Chcę chwilę porozmawiać z mamą.

– Jasne – mruknęła i przewróciła oczami, zanim ruszyła do jego pick-upa.

– Zrób z tym coś – rozkazała Rachel, celując palcem w jego pierś. – Mówię poważnie.

– Wiem. Zrobię.

– Dobrze. – Ruszyła za dziećmi, ale złapał ją za rękę, więc odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Słucham?

– Też kiedyś byliśmy w ich wieku – przypomniał jej, a ona spojrzała na jego palce zaciśnięte na swoim nadgarstku.

– Zgadza się. – Spojrzała mu w oczy. – I zaszłam w ciążę.

– I nie był to koniec świata. – Puścił ją.

– Ma tylko siedemnaście lat. Byłam starsza. Ale lepiej, żeby nie powielala naszych błędów, prawda? Ma przed sobą całą przyszłość.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytał.

– O czym? O seksie? A jak myślisz? – Pokręciła głowę, rude kosmyki jej włosów odbijały światło dochodzące z najbliższego okna. – Oczywiście. Już gdy była w szóstej klasie. A ty?

– W sumie to nie.

– A z Dylanem? – zapytała.

– On ma tylko...

– Piętnaście lat – dokończyła. Ukryła twarz w cieniu. – Jak często myślałaś o seksie, będąc w jego wieku?

Zbyt często. W zasadzie przez cały czas.

Chyba zdradziła go mina.

– No właśnie. To masz odpowiedź – powiedziała.

– Pogadam z nim. Dzisiaj wieczorem.

– W porządku. Ja już poruszyłam ten temat. Rozmawialiśmy o tym. Naturalnie, że nie czułaś się komfortowo, ale musiałam to zrobić. Zrozum, Cade, nie tylko o córkę powinniśmy się martwić. Dylan może być już aktywny seksualnie.

– Boże, mam nadzieję, że nie.

– Ja też. Ale... – Nie dokończyła zdania. Patrzył na jej profil – wąski nos, duże, zmartwione oczy, ciemne rzęsy muskające wydane kości policzkowe oraz usta, które zacisnęła w zamyśleniu.

– Postaramy się trochę zejść z tonu, dobrze? Nie wytaczajmy od razu najcięższej broni rodzicielskiej, okej? Zachowujmy się rozsądnie.

Uniosła jedną ciemną brew.

– Uważasz, że to robię? Wytaczam rodzicielską broń?

Poczuł, jak drgają mu usta.

– Cóż, nie powiedziałbym, że byłaś spokojnym głosem rozsądku.

Chyba jej to nie bawiło.

– Niech będzie. Wobec tego to twoja rola. Będziesz supertatą, który rozmawia, zachowując spokój. To twoje zadanie. Ale powinieneś wiedzieć, że Dylan ma problemy w szkole.

– Słucham?

Opowiedziała mu o tym, że ich syn uciekł z lekcji i że popadł w konflikt z jakimś starszym chłopakiem, który go prześladował za niespłacony dług.

– Dowiem się, co i jak.

– Świetnie. Zajmij się tym. Ja wolałabym nie musieć ciągle kontaktować się z Marlene Walsh. – Nie odpowiedział, więc wyjaśniła: – Z wicedyrektorką.

– Rozumiem. – Zamilkł na chwilę, wyczuwając, że to jeszcze nie wszystko. Czegoś jeszcze mu nie powiedziała. – Co?

Otworzyła usta, zawahała się.

– Po prostu jestem wkurzona. Wszyscy... – Wskazała na duży dom i ludzi w środku. – Wszyscy z nas znali Violet i... coś, to szok.

– Wiem. – W słabym świetle wyglądała krucho, jak dziewczyna, w której się zakochał. Poturbowana przez życie. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale wiedział, że go odtrąci. Na szczęście ktoś właśnie otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lila, wychodząc na zewnątrz.

– Ekstra – odpowiedziała Rachel i przez chwilę pomyślał, że tak to zostawi. Ale to nie było w jej stylu. Głową wskazała dom. – Mogłaś mi powiedzieć, że u Lucasa jest kolega.

Lila wzruszyła ramionami.

– Powiedziałałam. Kiedy przyszedł. Xander chodzi do szkoły w Oregonie, ale praktycznie tu mieszka, kiedy nie jest w Eugene. Korzysta z mieszkania, które Charles ma dla klientów spoza miasta. Co się stało?

– Nic – odparowała Rachel. Po czym dodała: – Chyba że masz na myśli wszystko. – Po czym weszła z powrotem do domu.

– Co z nią? – zapytała Lila szeptem.

– W porządku. – Łatwo było skłamać. Nie chciał, by ktokolwiek, zwłaszcza jego najdroższa macocha, wtrącał się w prywatne sprawy jego dzieci i byłej żony. Poza tym nigdy nie ufał Lili, nie kiedy udawała, że jest dobrą przyjaciółką Rachel, nie ufał jej także jako drugiej żonie swojego ojca. Było w niej coś, co kazało mu zachować ostrożność.

– Wszyscy... wiesz. Jesteśmy wytrąceni z równowagi. Zdenerwowani. Wystraszeni. Nie wiem, jak to nazwać. Chodzi o Violet.

Wróciła Rachel, przeszła obok nich.

– Gdyby dzieci mnie potrzebowały...

– To zadzwonią – dokończył, lecz jego była żona z torebką i laptopem pod pachą oraz kluczykami w dłoni zesła już ze schodów i szybkim krokiem zmierzała po wilgotnej trawie do swojego explorera.

Lila zmrużyła oczy, jakby chciała go jeszcze o coś zapytać, kiedy zauważył w świetle dochodzącym z domu, że zbliża się do niego Mercedes Pope.

– Cześć – rzuciła. – Chciałam z tobą porozmawiać. O zabójstwie Violet Sperry. Bo o tym mowa, prawda? O morderstwie?

– Tak. – To już zostało powiedziane podczas konferencji prasowej. – Nie podlega pod moją jurysdykcję. Będziesz musiała porozmawiać z kimś z wydziału szeryfa.

– Kim? I nie mów mi, że z rzecznikiem prasowym. Sama wiem.

– Wobec tego z prowadzącą śledztwo. Detektyw Kayleigh O'Mearą.

ROZDZIAŁ 13

Rachel wciąż kipiała ze złości, gdy zaparkowała pod wiatą i zgasiła silnik. Jej życie zdawało się rozchodzić w szwach. Była rozwiedziona, bezrobotna, jej syn miał problemy w szkole, córka się buntowała i miała chłopaka, od którego wręcz wyczuwało się kłopoty.

I jeszcze Violet.

Martwa.

Nie, zamordowana.

Przez szybę samochodu spojrzała na plot oddzielający wiatę od tylnego podwórza. Słuchając, jak silnik stygnie i pyka w ciemności, odmówiła cichą modlitwę za dziewczynę, która była jednym ze świadków na jej procesie, krótkowzroczną osiemnastolatkę, która przysięgła, że rozległ się wtedy jeszcze jeden strzał.

I miała rację. Strzelało wiele osób, wybuchały petardy i inne fajerwerki... To wszystko było takie głupie.

Ale nie dało się tego zmienić.

– Rusz się – powiedziała i otworzyła drzwi explorera; natychmiast poczuła na twarzy chłód wieczoru. Dawniej uwielbiała ciemność, kiedy półmrok przechodził w noc, ale to było dopóki jej sen nie został zakłócony nocnymi koszmarami.

Idąc do domu, usłyszała dzwonek komórki, a na ekranie wyświetlił się numer jej ojca.

– Cześć, tato – rzuciła, wchodząc przez tylne drzwi i słuchając szybkiego stukania pazurków Reno, który biegł korytarzem do kuchni.

– Cześć. – Mówił swoim zwykłym, niskim tonem. Rachel poklepała psa po głowie, po czym wypuściła go na dwór.

– Nie słyszałam, że dzwoniłeś – przyznała, patrząc, jak Reno wbiega na podwórko. – Właśnie wróciłam do domu. Byłam na zebraniu w sprawie zjazdu. Musiałam wypuścić Reno. – Włączyła światło na ganku z tyłu domu, oświetlając tę część podwórza, podczas gdy reszta pozostała w cieniu. Położyła torbę na kuchennym krześle.

– Dzwoniłem, żeby powiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, co stało się twojej przyjaciółce. Violet.

Wyobraziła sobie, jak siedzi na kanapie w swoim domu, twarzą do płaskiego telewizora dominującego na ścianie. Przytył, odkąd przeszedł na emeryturę, i przestał się codziennie golić. Co więcej, wydawało jej się, że stracił werwę i ochotę na to, by wstawać rano i zmagać się z dniem. Po rozwodzie i na emeryturze stracił cel w życiu.

– Dzięki. To... to smutne. Okropne. Dziwnie się czuję, bo spędziłam wieczór z dziećmi z klasy, w zasadzie już nie dziećmi, i wszyscy mówiliśmy o Violet. Nikt nie mógł w to uwierzyć.

– Rozumiem. To nie ma sensu, ale co ja tam wiem? – Zawahał się, a ona domyśliła się, że żałuje, że skoro nie jest już policjantem, nie może prowadzić tego dochodzenia. – W wiadomościach niewiele mówią o tym, co się wydarzyło. – I wtedy to usłyszała – kliknięcie otwieranej puszki z piwem. – Wygląda na to, że doszło do przestępstwa i badają zabójstwo.

– Wiesz, jak pracuje policja. Nie mówią wszystkiego.

– Już poprosili świadków o informacje. – Pauza, oczyma wyobraźni zobaczyła, jak pociąga z puszki. – Mogłoby się wydawać, że ktoś coś wie. Do licha, każdy łącznie z psami ma telefon z aparatem. W mieście są kamery na budynkach, na prywatnych domach, na skrzyżowaniach, ktoś zapewne coś zarejestrował.

– Edgewater to nie Chicago, tato, ani nawet nie Portland. Tutaj wielu ludzi wcale nie zamyka domów.

– Cholerni durnie.

– Sądzą, że potrafią się ochronić.

– Jak powiedziałem, cholerni durnie. – Spojrzała na podwórko, patrzyła, jak pies obwąchuje krzaki, wchodzi i wychodzi poza płamę światła rzucanego przez lampę na ganku. – A więc... jak się trzymasz? – zapytała. – Ciężki dzień.

– W porządku. – Cóż, nieco podkoloryzowała, ale nie chciała martwić ojca. Ten dzień też był dla niej ciężki, ostatecznie był pierwszym policjantem na miejscu przestępstwa, gdzie okazało się, że jego córka zastrzeliła swojego przyrodniego brata. Wciąż pamiętała, jak szeptał jej we włosy: „Jakoś przez to przejdziemy, kochanie, nic się nie martw”, gdy pomagał jej wsiąść do radiowozu. Chociaż też był w szoku, przejął nad wszystkim kontrolę. Ale potem wszystko się zmieniło. Na zawsze.

Jak mogłoby być inaczej?

– No więc zadzwoniłem, żeby powiedzieć, że myślę o tobie.

– Dzięki, tato.

– Do zobaczenia. – Rozłączył się, pozostawiając ją samą pośrodku kuchni, patrzącą przez okno z telefonem w ręce. Noc śmierci Luke’a była początkiem końca tak wielu rzeczy, w tym małżeństwa rodziców.

Więc nie tylko zabiła swojego brata, ale też zrujnowała małżeństwo rodziców.

– Przestań! – zbesztiała się na głos.

Poza tym to nie do końca była prawda. Rachel wyczuwała, że między rodzicami się nie układało jeszcze przed tamtą nocą, było między nimi nienazwane napięcie, którego nie potrafiła zidentyfikować. Ale było obecne w ostrych spojrzeniach, długich ciszach i zaciśniętych ustach.

Patrząc na ciemne podwórko, widziała cień psa węszącego koło płotu, pośród paproci i jodeł. Po chwili pies wskoczył na ganek i zaskamlał, żeby go wpuściła do środka.

– Najwyższy czas. – Otworzyła drzwi, a on wpadł do domu.

Nalała sobie kieliszek wina i rozkoszowała się pierwszym łykiem merlota. Co się z nią działo? Nie chciała pić z przyjaciółmi, a gdy wróciła do domu... ale czy jej znajomi z klasy byli prawdziwymi przyjaciółmi? Nie w ciągu tych dwudziestu lat.

Pomyślała o Harper i Xanderze Vale’u. Do czego by się posunęli, gdyby im nie przerwała? Z pewnością powstrzymałaby ich obecność innych w pokoju. Ale Dylan i Lucas byli tak zaaferowani grą... To przywiodło ją do myślenia o synu. Kłopoty w szkole. I jeszcze xanax – brakowało tych tabletek czy nie? Czy to był prawdziwy powód, dla którego Dylan wdał się w sprzeczkę? Czy to miało związek z lekami? Była pewna, że czuła marihuanę.

– Nie rób tego – powiedziała na głos i upiła łyk wina. Dzieci były teraz u Cade’a. Ich ojca. Miała ogromną nadzieję, że Cade pogada z Harper i jakoś do niej dotrze.

Tak, oczywiście.

Jakie są szanse, że tak będzie?

A co z Dylaniem?

Bóg jeden wie. Cade mógłby się nim zająć przez weekend.

Dzisiaj jednak miała inny plan.

Był prosty: sprawdzić tego Xandera Vale’a.

Upiła kolejny długi łyk, po czym dopełniła kieliszek, wzięła laptopa i w towarzystwie Reno udała się na górę. Rozebrała się w sypialni, rzuciła ubrania do przepelnionego kosza na bieliznę, a następnie założyła wygodną piżamę.

Gdy pies położył się na łóżku, przeszła do swojego gabinetu, który znajdował się po drugiej stronie klatki schodowej. Podobnie jak sypialnia, miał skośny sufit i został przerobiony ze strychu, za umeblowanie służyły szafy na dokumenty, regał i długi blat pod oknem wykorzystywany jako biurko. Położyła laptopa obok o wiele większego komputera. Dobrze sobie radziła z technologią i doprowadziła do perfekcji umiejętność wyszukiwania informacji o ludziach. W ostatniej pracy, oprócz księgowości, zajmowała się działem zasobów ludzkich, a także prowadziła na boku własną działalność, którą będzie musiała rozwinąć, jeśli sprawy nie zmienią się na lepsze w kwestii zatrudnienia.

No więc, jak trudno będzie coś znaleźć o Vale'u?

Wzdrygnęła się, ale tylko trochę. Czy przekraczała zakazaną linię i naruszała prywatność swojej córki?

Nie, do cholery!

A Vale'a?

Uznała, że zrezygnował z niej, kiedy zaczął całować z językiem jej córkę.

Kolejny łyk wina i zabrała się do pracy, jej palce śmigały po klawiaturze. W kilka sekund wyszukała wszystko, co mogła, na temat Xandera Vale'a – jego profile, zdjęcia, rozmowy. Na początek znalazła go na Snapchacie, Instagramie, Twitterze i Facebooku, a, co istotne, nie miał zaawansowanych ustawień prywatności, więc z łatwością mogła powęszyć.

Dokładnie przyjrzała się każdej stronie, szukając czegoś na temat tego tajemniczego faceta, który okazał się wcale nie aż tak tajemniczy. Krótko mówiąc, dorastał w Portland, chodził do szkoły w Wilson, obecnie odbywał studia przygotowawcze. Znalazła jego zdjęcia z imprez, meczów futbolu, pijącego piwo z puszki w obecności różnych dziewczyn, ale żadna z nich nie była jej córką.

Typowy student college'u.

Jego rodzice wciąż mieszkali w Portland, nadal byli małżeństwem i mieli dwoje młodszych dzieci: chłopca i dziewczynkę. Xander w szkole średniej grał w lidze futbolu.

Teraz uczęszczał do college'u na Uniwersytecie Oregońskim. Wobec tego przez większość tygodnia aż do końca semestru w połowie czerwca przebywał w Eugene, kilka godzin jazdy stąd. Chyba że uczył się online.

Co powiedział sam Xander? Że pracuje na pół etatu u Chucka i że podczas wakacji letnich zamierza pracować na cały etat w Edgewater?

– Niefajnie. – Pociągnęła łyk z kieliszka i odkryła, że jest już prawie pusty, co wyjaśniało, dlaczego w jej żyłach szybciej krążyła krew.

Może gorący romans Harper wypalił się do lata.

– Oby.

Mało prawdopodobne. Była już końcówka maja. Lato czaiło się za rogiem.

Z sypialni dobiegło warczenie Reno.

Rachel odwróciła się na krześle i strąciła kieliszek z resztką wina, która rozchlapała się na blacie.

– Cholera! – Reno zawarczał ponownie i tym razem popatrzyła na drugą stronę piętra, gdzie pies z wyprężonym ogonem i najeżoną sierścią wpatrywał się w okno.

– Nic tam nie ma – zapewniła bardziej siebie niż jego, chociaż nie potrafiła pozbyć się lekkiego niepokoju, dreszczu strachu, kiedy postawiła kieliszek i chusteczkami wytarła rozlane wino. Potem włączyła światło, przeszła przez piętro w ciemności i wyjrzała na tył domu.

Nic.

Wszędzie spokojnie.

Czyżby?

A może jakiś cień poruszył się w ciemności na dole?

Zmrużyła oczy, pies naprężył się tuż obok.

Czy kuciała tam jakaś postać, czy może wiatr poruszał żywotnikiem? Wszystkie mięśnie w jej ciele się napięły. Czy to coś się wyprostowało, nadal kryjąc się w cieniu? Boże. Przez milisekundę była pewna, że widzi sylwetkę mężczyzny, i przed oczami stanął jej Luke; tak by wyglądał, gdyby żył...

– Nie! – powiedziała na głos.

Weź się w garść.

Nikogo tam nie ma. Nikogo. Nie ma. To, co się stało dwadzieścia lat temu, już się skończyło.

Ale i tak uniosły się jej włoski na karku, piekła ją skóra i waliło serce. Obraz zafalował, a potem zniknął – to był cień, obłok dymu, nic ponad to.

To nie Luke. To nie duch Luke'a. To twoja cholerna wyobraźnia podsuwa ci obrazy, które nie istnieją!

Przygryzła wargę, nie widziała żadnego ruchu, nie słyszała niczego poza niskim burczeniem dochodzącym z gardła Reno.

Zasunęła żaluzje.

– Już dobrze – uspokoiła psa, który wciąż nie tracił czujności. Reno zaskomlał i wciąż wpatrywał się w okno. Ale uwagę psa mogło przykuć cokolwiek: wiewiórka, kot sąsiada, a nawet skunks lub szop.

Albo zupełnie nic.

– Nic się nie dzieje – oświadczyła i poszła do łazienki, gdzie pochyliła się nad umywalką i ochlapała twarz zimną wodą. – Niczego tam nie ma – stwierdziła, podnosząc głowę i patrząc na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. – Niczego! – Jej wyobraźnia robiła, co chciała. To wszystko. – *Weź się w garść.* – Ale nadal patrzyła na swoją bladą twarz, po jej policzkach i brodzie spływała woda, wyglądała jak ktoś śmiertelnie przerażony. – Dasz radę – upomniała kobietę w lustrze. – Jesteś matką. Samotną matką, która musi znaleźć pracę. Nie możesz się rozpaść na kawałki.

Ujęła krawędź umywalki i zamknąwszy oczy, skupiła się na oddychaniu.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Gdy poczuła się spokojniejsza, kontrolę przejął jej racjonalny umysł, więc poszła z powrotem do sypialni i ponownie odsunęła żaluzje.

Na podwórku było pusto.

Pies mościł się na łóżku, po czym znowu się położył.

Wszystko wróciło do normy.

Ale ten człowiek na zewnątrz, ten duch...

– Och, na miłość boską, Luke nie jest duchem! – wymamrotała, zła na siebie. To jakieś szaleństwo. Była zestresowana dziećmi, brakiem pracy, rocznicą śmierci Luke'a, artykułami w gazecie, tym, że musiała jakoś dogadywać się z byłym, całym cholernym życiem.

Kurwa mać, opamiętaj się!

Odetchnęła i poszła do gabinetu, gdzie nerwowo wyjrzała przez okno wychodzące na przód domu, ale ulica była pusta.

– Dobrze. – Zrobiła głęboki wdech, popatrzyła na komputer, wciąż otwarty na facebookowym profilu Xandera Vale'a. Wyrośnięty chłopak cały czas na nią patrzył. – Trzymaj się z dala od mojej córki – powiedziała, po czym usłyszała własne słowa.

Boże drogi, kiedy stała się swoją matką?

Wow. Starła resztę wina czystą chusteczką, zgmiotła ją i wyrzuciła do kosza na śmieci. Następnie zamknęła strony z Vale'em, upewniwszy się, że wykasowała historię wyszukiwania.

Na wszelki wypadek.

Pies znowu zaczął wariować, więc poszła do sypialni, gdzie Reno stał na tylnych łapach i próbował wyrzucić przez żaluzje.

– Dość! Reno, zejdź! – rozkazała i w tej właśnie chwili jej telefon zapiszczał i zawibrował na szafce nocnej.

Natychmiast pomyślała, że coś złego przydarzyło się jej dzieciom. Kto inny pisałby do niej tuż przed północą?

Zerknęła na ekran i zauważyła, że nie wyświetlił się numer Cade'a. Tak naprawdę w ogóle nie kojarzyła tego numeru. Wiadomość była prosta, składała się z dwóch słów. A mimo to miały taką moc, że przeszedł ją dreszcz.

Wybaczam ci.

Co?

Kto? Kto jej wybaczę? I co takiego?

Czekając, czuła strach. Minęła minuta. Potem kolejna. Pomyślała, że ktoś napisze, że przypadkowo wysłał do niej tę wiadomość, ale tak się nie stało, więc odpisała:

Kto to pisze?

I znowu czekała.

Pies przysiadł na podłodze, z nosem przy ścianie i wzrokiem wbitym w zasłonięte okno.

Oblizowała usta, gdy sekundy zmieniały się w minuty.

– Dobrze. – Zadzwoiła na ten numer i słuchała kolejnych sygnałów.

Nikt nie odebrał.

Serce jej dudniło, ale mówiła sobie, że jest śmieszna. To była pomyłka i tyle. Ale w domu nagle zrobiło się pusto, tykanie zegara na dole rezonowało w całym wnętrzu. Reno znowu zaczął skomleć.

– Cicho!

Odważyła się wyjrzeć jeszcze raz, rozsunęła palcami żaluzję i rozejrzała się po podwórku.

Nic. Żadnych duchów czających się w ciemności.

– Nie panikuj – ostrzegła samą siebie, ale było już za późno. Miała nerwy napięte jak struny, rozboleła ją głowa i w głębi ducha wiedziała, że coś jest bardzo, bardzo nie w porządku.

ROZDZIAŁ 14

Dzieci spały, Harper na łóżku w pokoju gościnnym, Dylan na rozkładanej sofie w małym pokoju. Cade wyjął piwo z lodówki i usiadł do laptopa w salonie przy dźwiękach jakiegoś starego kryminału leżącego cicho w telewizji.

Choć akta sprawy Hollandera zostawił w biurze, wciąż miał dostęp do zdigitalizowanych plików, więc przed pójściem spać chciał sprawdzić kilka wątków.

Dowiedział się, że Richard Moretti będzie w poniedziałek w szpitalu, więc uznał, że spróbuje dostać się do doktora i popytać o noc śmierci Luke'a Hollandera. W dokumentach była mała rozbieżność. Jeden z ratowników medycznych z karetki twierdził, że Luke żył, kiedy zostawili go w szpitalu St. Augustine, ale ta notatka została skreślona i lekarz dyżurujący na izbie przyjęć napisał, że Luke był martwy w chwili przyjęcia do szpitala. Został postrzelony w szyję, co przerwało tętnicę, więc chłopak się krwawił mimo wysiłków załogi karetki.

To niewiele, ale ten szczegół przykuł jego uwagę.

Ponadto z rozmów z Rachel wiedział, że kiedy Ned wsadził swoją córkę do radiowozu, ruszył za nim swoim samochodem i zatrzymał się przy szpitalu, żeby sprawdzić stan przybranego syna, ale okazało się, że przybył za późno. Luke już nie żył.

Wobec tego, gdy Rachel czekała na komisariacie pod czujnym okiem policjantki, Ned pojechał do domu, żeby przekazać wieść żonie i zabrać ją do szpitala, po czym oboje wrócili na komisariat.

Ned dopiero wtedy złożył zeznanie, które zgadzało się z tym, co opowiedział drugi z policjantów obecnych na miejscu.

Cade napił się piwa z butelki. Znał resztę tej historii. Rachel aresztowano, wniesiono przeciwko niej oskarżenie, ale została uniewinniona. Najgłośniej wspierał ją ojciec.

Myślał o Nedzie Gastonie, swoim teściu, który pracował w tym samym wydziale. Cade i Ned nigdy nie mieli bliskich relacji, ale to chyba nie było niczym zaskakującym. Ned i Melinda rozstali się rok po śmierci Luke'a i wkrótce potem Rachel zaszła w ciążę. Z Harper.

Pierwszy minus dla Cade'a.

Było ich więcej w kolejnych latach. Nie tylko rozwiedli się z Rachel, która oskarżyła go o romans z Kayleigh, ale też Cade obecnie przejął obowiązki Neda.

Nie, nie było między nim i byłym teściem wielkiej miłości.

Ale to i tak nie mogło go powstrzymać od rozmowy z Nedom o morderstwie Luke'a Hollandera. Zerknął na gazetę leżącą na ławie i ponownie przeczytał artykuł o zbrodni.

Przedstawiał zajście zgodnie z prawdą, według tego, co trafiło do akt, i trzeba przyznać, że Mercedes Pope nie naciągała faktów i nie powielała plotek oraz nie podjudzała czytelników.

Ale co będzie później? Jak Mercedes utrzyma poziom cyklu o tym zabójstwie, nie tracąc zainteresowania odbiorców, skoro jedynie powtarza to, co wszyscy już wiedzą?

Zmieni sposób pisania i napędzi dramacik?

Czy ubarwi opowieść o Violet Sperry, dziewczynie obecnej na miejscu przestępstwa, która złożyła najważniejsze zeznania w procesie Rachel Gaston, a teraz już nie żyła, bo zamordowano ją równo dwadzieścia lat po pierwszej zbrodni?

Nowa zagadka z pewnością nie zaszkodzi słupkom sprzedaży gazety.

Nie żeby sądził, że Mercedes Pope była zamieszana w którekolwiek z tych morderstw.

Był tylko przekonany, że kobieta wykorzysta je do zwiększenia sprzedaży „Edgewater Edition”.

Klik-klik.

Śmiertelnie zimne powietrze wdziera się przez szpary w ścianach, a Rachel, drżąc w ciemności, naciska cyngiel.

Klik-klik-klik-klik.

Strzela ponownie i po starej wytwórni konserw śmigają prawdziwe kule, chociaż z lufy jej broni nie wydobywa się żaden błysk, gdy puszcza kolejne serie.

Kule wciąż latają. Nie jest to śrut, jak obiecywał Luke.

Robi jej się zimno w środku.

Nie tak miało być.

Klik-klik.

Luke powiedział, że to będzie bezpieczne.

Luke ją okłamał, ale dlaczego? To była zabawa. Strzelanina nie miała być prawdziwa.

– Nie – szepcze, ale nie jest w stanie przestać strzelać; cały czas naciska spust, a ten cholerny pistolet wypływa z siebie serię za serią.

Klik-klik.

– Nie! – krzyczy. Odwraca się, próbuje biec, chce wyrzucić broń. Do kanału, do wody, o tak. Wali jej serce, zgrzytają zęby, rzuca tą cholerną bronią, trafia do rynny, która prowadzi do wód Kolumbii. Słyszy, jak się obija o porzewiałe ścianki.

Ale gdy znowu spogląda na swoje dłonie, wciąż zaciska na niej palce.

Czy to ten sam pistolet?

A może inny?

Prawdziwy?

Czy zabawkowy?

Ogarnia ją panika.

Słyszy za sobą jakiś dźwięk, szuranie buta.

Odwraca się, ponownie strzela, i jeszcze raz, i jeszcze.

Klik. Klik. Klik!

Przed nią stoi Luke, chwiejnie się cofa.

Nie!

Krwawi i pada, ma pobladłą twarz.

– O, Boże. Luke! Nie, nie, nie! – Z przerażeniem patrzy i widzi, jak światło przygasa w jego niebieskich oczach, powieki się zamykają.

– Nie... nie... nie chciałam... – Szlochając, klęka koło niego. To niemożliwe, że nie żyje, niemożliwe. Dotykając jego twarzy, czuje się tak, jakby ktoś ścisnął jej duszę. Zimna. Taka zimna. – Przepraszam. O, Boże, Luke. Tak bardzo cię przepraszam.

W tej chwili on unosi powieki i patrzy na nią.

– Skąd wzięłaś prawdziwą broń? – szepcze.

– Od ciebie. Ty mi ją dałeś.

– Ja? Nie sądzę. – Przed jej niedowierzającymi oczami jego twarz zaczyna gnić, skóra odpada nad zębami, tryska krew, widać przegrody nosowe, gałki oczne wychodzą na wierzch.

Krzyczy i odsuwa się rakiem po starej drewnianej podłodze, staje na nogi i wtedy słyszy pozostałych. Śmieją się. Krzyczą. Biegają.

Mimo tego całego rozkładu przerażająca rzecz leżąca przed nią szepcze chropowatym głosem:

– Wybaczam ci.

Co? Nie!

– Przestań. – Naciska spust. Mocno. Świadomie. Celuje w stwora, który kiedyś był Lukiem.

Klik. Klik. Klik!

– Wybaczam ci – mówi ponownie, ma paskudny, charczący głos, a mimo to odbija się echem od ścian wytwórni.

– Przestań! Po prostu przestań!

Rachel otworzyła oczy.

W głowie miała jeszcze echo swoich słów, tych, które ją obudziły.

Spocona, zasapana, z walącym sercem leżała w łóżku, a nie w wytwórni. Minęło dwadzieścia lat. Luke od dawna nie żył. Była bezpieczna we własnej sypialni. Nie było tu żadnej broni. Nikogo nie zastrzeli, nigdy więcej. Nie miała broni. Nikogo nie zastrzeli. Już nigdy!

Odgarnęła włosy z oczu, poczuła kropelki potu na czole. W zasadzie mokre miała całe ciało. Weź się w garść. Na miłość boską, Rachel, opanuj się.

W nogach łóżka leżał zwinięty Reno, ale uniósł łeb, żeby na nią popatrzeć. Jak zawsze, gdy nocne koszmary zmuszały ją do krzyku.

– Przepraszam – powiedziała z żalem, jakby pies mógł ją zrozumieć.

I rzeczywiście żalowała. Cholernie. Za wszystko, co zdarzyło się tej nocy. Gdyby tylko nie poszła do wytwórni. Gdyby tylko nie rozdzieliła się z Lilą. Gdyby tylko nie miała niewłaściwej broni.

Co takiego Luke powiedział w koszmarze? Kiedy oskarżyła go o przekazanie jej zabójczego, prawdziwego pistoletu.

Ja? Nie sądzę.

Zastanawiała się nad tym...

Gdyby tylko lepiej знаła się na broni... Jasny gwint, była córką policjanta. Powinna choćby z grubsza umieć odróżnić prawdziwą rzecz od atrapy. Ale prawda była taka, że przed tamtą nocą nigdy nie miała pistoletu w ręce. Ned Gaston naogładał się tyle nieszczęść spowodowanych bronią palną, że nigdy nie trzymał jej w domu. Nawet służbową spluwę zawsze przechowywał w komisariacie.

– Nie rób tego – przykazała sobie, przemawiając do ciemności panującej w pokoju. Było, minęło. Dawno temu. Luke nie żył.

Spojrzała na zegarek. 2.47.

Jej komórka leżała na szafce nocnej, sprawdziła ją.

Wybaczam ci.

Tajemnicza wiadomość wciąż tam była i przeniknęła do jej podświadomości i snu. Niestety, stała się częścią jej koszmaru.

Klik-klik!

Zamarła.

Czekała.

Klik-klik-klik!

Co, do cholery? Ostrożnie odrzuciła koldrę, przeszła do drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce. Czyżby usłyszała kroki? Inne niż...

Klik-klik!

W łazience.

Przygotowując się na najgorsze, odwróciła się w stronę łazienki, gdzie zostawiła uchylone drzwi. Do pokoju wpadł lekki podmuch wiatru, gdy weszła do środka i nikogo nie wyczuła. Włączyła światło. W tej chwili w oknie poruszyła się żaluzja i dwa razy zastukała o parapet.

Klik-klik.

Nic dziwnego.

Gdy ostatnio brała prysznic, uchyliła okno, powietrze zasysało roletę, która co chwilę uderzała o parapet, a ten dźwięk przekształcił się w jej śnie w wystrzały śrutówki.

Zauważyła swoje odbicie w lustrze nad umywalką: bladeść, dzikie oczy, rozczochrane włosy, widoczny strach.

– Do cholery – powiedziała i pokręciła głową, zwracając się do kobiety w lustrze. – Harper ma rację. Jesteś wariatką.

Odbicie wciąż wyglądało na śmiertelnie przerażone.

– Opanuj się – wymamrotała, zamykając okno, po czym wróciła do sypialni. Wiedziała jednak, że trudno jej będzie zasnąć, być może w ogóle jej się nie uda, bo wciąż była na skraju paniki.

Skoro zostawiła uchylone jedno okno, to co z pozostałymi?

Zamykając dom na noc, postępowwała według opracowanego schematu. Zaczynała w piwnicy, sprawdzała okna, drzwi prowadzące na klatkę schodową, potem szła na parter, gdzie robiła to samo, a w końcu dokładnie sprawdzała każdy pokój na piętrze. Zawsze zatrzymywała się, żeby włączyć alarm, ale potem przypominała sobie, że już od kilku miesięcy nie działa.

Wsunęła stopy w kapcie, zarzuciła na siebie szlafrok i, razem z nieodłącznym Reno, poszła do piwnicy, gdzie przekonała się, że wszystko jest pozamykane. Drzwi wiodące na zewnątrz były zamknięte na klucz i zasuwę, okna szczelne, jedno w pralni i dwa w pomieszczeniu służącym za graciarnię, gdzie znajdowało się mnóstwo rzeczy przeniesionych ze strychu, gdy przerobili go na część mieszkalną. Nic dziwnego, że ilekroć robiła przegląd zeznań podatkowych, starych zadań domowych, niepasujących ubrań i różnych starych sprzętów elektronicznych, stos plastikowych skrzynek i pudeł zdawał się rosnąć. Postanowiła w przyszły weekend zagnać Dylana do porządków w tym miejscu. I tak zawsze się tu kręcił.

Na parterze sprawdziła zarówno frontowe, jak i tylne drzwi i okna w jadalni, pokojach dzieci, kuchni oraz w salonie i łazience. Gdy Reno ją wyminął i podszedł do swojej miski z wodą, zauważyła wczorajsze wydanie „Edgewater Edition”, otwarte na artykule o śmierci Luke’a. Cholerna Mercy. To wspomnienie o morderstwie Luke’a niczym hak rybacki holujący ją z morza ciągnęło ją w mroczne rejony, które od lat starała się zostawić za sobą.

Nocne koszmary. Poczucie winy. A teraz morderstwo Violet i niepokojący esemes.

Odłożyła gazetę i uznała, że musi coś zrobić w tej kwestii. Artykuł jeszcze wszystko pogarszał. Musiała porozmawiać z Mercedes, przedstawić jej fakty i przekonać ją, żeby odpuściła sobie grzebanie w tej bolesnej historii. Rachel nie miała wpływu na koszmary czy śmierć Violet, ale ten artykuł był bykiem, którego mogła złapać za rogi.

ROZDZIAŁ 15

Pójście do O'Callahan nie było najmądrzejszym posunięciem.

Wypicie pierwszego mojito również nie było mądre.

Drugi drink był błędem.

A trzeci? Totalną klapą. Może nawet katastrofą, pomyślała Kayleigh, budząc się w niedzielny rano z bolącą głową i pragnieniem przypominającym jej, że od lat nie była taka pijana. W pokoju panował półmrok, przez gęstą mgłę i cienkie zasłonki do środka wpadała jedynie odrobina światła wczesnego poranka.

Po wypiciu trzech – a może czterech? – drinków podjęła słuszną decyzję, żeby nie siadać za kółko. Ale zamiast zadzwonić po Ubera, podjęła niezbyt rozsądną decyzję, żeby pozwolić się odwieźć do domu dużo trzeźwieszemu Travisowi McVeyowi.

Wobec tego teraz miała dwa źródła bólu głowy: jedno biło za jej oczami, a drugie cicho chrapało obok.

– Idiotka – wyszeptwała.

Chciała zamknąć oczy i umysł na wczorajszy wieczór, ale nie mogła. *Co się stało, to się nie odstanie, mówiła jej babcia. Trzeba połknąć tę żabę.*

Wstała z łóżka, włożyła wczorajsze dżinsy i koszulkę z długim rękawem, po czym na chwilę weszła do łazienki, żeby umyć twarz i zęby. Potem wypila szklankę wody i związała włosy w niesforny kucyk.

Teraz lub nigdy.

McVeya znalazła tam, gdzie go zostawiła, leżał na plecach, częściowo zanurzony w pogniecionej pościeli, miał zamknięte oczy, ciemne rzęsy opadały na policzki.

Boże, jaka była głupia.

Był nagi, oczywiście, wystawała mu jedna noga, rękę miał założoną na gołą pierś.

O, rany.

Co ty sobie myślałaś?

W tym był problem. Nie w niej.

– Hej, McVey – powiedziała, dźgając palcem jego ramię. – Pobudka.

– Co? – Zamrugnął i otworzył oczy, popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko, ale gdy dotarło do niego, gdzie się znajduje, uśmiech zniknął. – Jezu.

– No właśnie. Też tak myślę.

Żadne z nich nie spodziewało się, że jeszcze kiedyś obudzą się w tym samym łóżku. Ale wczoraj wieczorem wiele się zmieniło. Pamiętała, że namiętnie się całowali, ich języki się zderzały, gdy padli na kanapę. Jej ręce wślizgły się pod jego koszulkę i dotykały twardych jak kamień mięśni, poddała mu się, objęła go i poczuła jego dłonie na swoich pośladkach. Rozpiął suwak i nagle się zatrzymał. Wziął ją w ramiona, przytulił i wyszeptał w jej rozczochrane włosy:

– Chyba nie dam rady, Kay.

– Słucham? – wymruczała.

– Znienawidzisz mnie na zawsze.

– Już cię nienawidzę – droczyła się i pocałowała go ponownie.

– Nie, właśnie o to chodzi. Że mnie nie nienawidzisz.

– A więc mnie odrzucasz?

– Nigdy. – Patrzył na nią przez chwilę. – Idź spać, Kayleigh.

Miał rację. Wiedziała o tym wtedy i wiedziała teraz. Chociaż wczoraj wieczorem czuła jeszcze skutki wypitego alkoholu, dotarł do niej sens jego słów.

– Nie dbam o to – odparła i rzeczywiście wtedy tak sądziła.

Jęknął, mocno ją przytulił i zaniósł do niewielkiej sypialni. Razem padli na łóżko, gdzie zapomniała o całej rozwadze i przekroczyła most, o którym myślała, że dawno się zawałił.

Teraz gdy do pokoju wpadało coraz więcej światła, spotkały się ich spojrzenia, a ona przypomniała sobie dużą dłoń głaszczącą cień zarostu na szczęce. Silnej szczęce. Na przystojnej twarzy. Twarzy, którą kiedyś chyba kochała. Dawno, dawno temu.

Przed Cade'em.

– Co my sobie myśleliśmy? – zapytał, przeczesując włosy sztywnymi palcami.

– Myślenie nie miało z tym wiele wspólnego.

– Wczoraj wydawało się, że to dobry pomysł.

– Nie tylko to.

– Amen. – Jego oczy, głęboko osadzone i inteligentne, zadawały pytania, których nie chciał wyrazić słowami. Ale z pewnością zauważył, że założyła koszulkę i dzinsy, i z haczyka przy drzwiach zdjęła kurtkę.

– Gdzieś ci się spieszy.

– Mam dużo pracy. Ważne śledztwo.

– Tak. – Wstał, a ona odwróciła się, ale wcześniej zerknęła na jego długie nogi i zwarte pośladki.

Coś uwierało ją w gardle. Co było wprost niedorzeczne.

– Poczekam w salonie. – Czy to w ogóle powiedział jej głos, taki chropawy? Co, do cholery, było z nią nie w porządku?

Gdy weszła do salonu, usłyszała metaliczny dźwięk zamka błyskawicznego. Podeszła prosto do drzwi wyjściowych, gdzie przy ścianie stał jej rower, i tam czekała. Kiedy się odwróciła i zobaczyła, że się ubrał i niesie w ręce sportowe buty, które w nocy zrzucił z taką siłą, że jeden uderzył w drzwi szafy, aż się zatrzęsła, poczuła, że robi jej się sucho w ustach.

Kochała go kiedyś i wciąż miała złamane serce.

Ale nie chciała rozpamiętywać tego niezbyt długiego wspólnie przeżytego czasu, więc odepchnęła wspomnienia w ciemny kąt pamięci, gdy McVey usiadł na skraju kanapy, żeby zasznurować buty, po czym klepnął się w uda i wstał.

– Okej. Pojedźmy po twój samochód.

– Dobry pomysł.

Kilka minut później wiozł ją przez budzące się miasto, na ulicach panował niewielki ruch, przednie i tylne światła aut rozplywały się w gęstej mgłę nadciągającej z nad morza.

– Kupiłbym dla nas kawę – powiedział, wskazując gestem głowy kiosk, gdzie przystawały samochody przed spiralną rampą prowadzącą na most, który zdawał się znikać w mgłę.

– Może innym razem.

Ale oboje wiedzieli, że inny raz nie nadejdzie.

– Dobrze. – Zatrzymał się na prawie pustym parkingu przy centrum handlowym. Gdy sięgnęła do klamki, rzucił: – Fajnie było znowu cię zobaczyć, Kayleigh.

– Tak, ciebie też. – Wysiadła, nim zdążyła dodać coś jeszcze, coś, czego mogłaby później żałować. – Dziękuję.

On też wysiadł z auta, zostawiając je na wolnym biegu.

– Cześć.

Szybko mu pomachała i otwierając swój samochód, zastanawiała się, co najlepszego, do cholery, robi. Co zrobiła. Co chciała zrobić. Między nią i McVeyem od dawna wszystko było skończone; ta romantyczna łajba zatonała, zanim nabrała wiatru w żagle. Więc dlaczego wciąż w głębi duszy czuła tęsknotę? Dlaczego, do licha, tak chętnie, a wręcz tak nachalnie, się z nim kochała?

Zanim te myśli na dobre załęgły się w jej głowie, włączyła wycieraczki i zerknęła w tylne lusterko, ale jego postać była rozmazana przez parę na szybie.

– I dobrze – powiedziała. Ledwie rozróżniała jego sylwetkę, gdy stał oparty o samochód i patrzył, jak odjeżdża. W lusterku ujrziała swoje własne, zmartwione spojrzenie. – Boże – zwróciła się do patrzącej na nią kobiety. – Jak na bystrą babkę, jesteś straszną idiotką, gdy chodzi o facetów.

Zapomnij o Travisie McVeyu.

A skoro już przy tym jesteśmy, zapomnij również o Cadzie Ryderze.

Śródmieście wyglądało na równie pozbawione życia i zmęczone jak Rachel w ten sobotni poranek, gdy pełna determinacji szła do biura gazety, by wyprostować choćby tę jedną rzecz w swoim życiu.

Czas zmierzyć się z Mercedes i rozprawić z tymi głupimi artykułami o śmierci Luke'a.

Boże, dlaczego teraz?

Czy Mercedes musiała grzebać w przeszłości?

Oczywiście, że tak.

Niebo pociemniało, a Rachel nastroiła się mentalnie, po czym popchnęła drzwi prowadzące do biura gazety położonego na parterze jednopiętrowego budynku. Niektóre domy w tym kwartale zostały odrestaurowane, ale nie siedziba „Edgewater Edition”. Na szklanych drzwiach widniało to samo złote logo, a wewnątrz nadal znajdowały się wypłowiałe drewniane podłogi oraz zbyt duże biurka, które Rachel zapamiętała ze szkolnej wycieczki, gdy była dzieckiem. Duże pomieszczenie przedzielały ścianki poszczególnych boksów.

– Jak mogę pani pomóc? – zapytała dziewczyna pracująca na laptopie. Miała krótkie brązowe włosy, okrągłą twarz i patrzyła na nią z uśmiechem.

– Szukam Mercy – oznajmiła Rachel i nie zwalniając, wyminęła biurko młodej kobiety.

– Proszę zaczekać. Nie może tam pani wejść.

– Niech się pani nie martwi. Jesteśmy przyjaciółkami. – *Przynajmniej kiedyś byliśmy, zanim wyzwoliła moje najgorsze koszmary i podała je całemu, cholernemu miastu.*

– Ale tam nie wolno wchodzić.

– Mnie wolno. Naprawdę. Ona chce ze mną rozmawiać.

– Spokojnie – powiedział głos zza przepierzenia. – Zajmę się tym, Alexa. – Mercy wychyliła głowę zza ścianki, z beznamietnym wyrazem twarzy przesunęła okulary na włosy i gestem zaprosiła Rachel do swojego boksu. – Zaskoczyła mnie twoja wizyta.

– Mnie także. – Spojrzała na dawną przyjaciółkę. – Uznałam, że nie mam wyboru. Że przyparłam mnie do muru.

– Wszyscy mamy jakiś wybór, Rachel. – Mercy wskazała jej jedyne krzesło dla gościa, więc Rachel na nim usiadła, podczas gdy Mercy zajęła miejsce za biurkiem. – Ja chcę tylko usłyszeć prawdę.

– Ty chcesz tylko sprzedać gazetę.

– Prawda. To też.

– I nieważne, że to burzy spokój wielu osób.

– Wiadomości to wiadomości.

– Nawet te stare wiadomości?

– Nie aż takie stare – zaproponowała Mercy. – Violet tam wtedy była, a teraz ktoś ją zabił.

– No i? – zapytała Rachel, zaskoczona tokiem myślenia Mercedes. – Próbujesz połączyć te dwie śmierci? – To nie miało żadnego sensu.

– Twierdzą tylko, że to zbieg okoliczności i tyle.

– Wkurzysz wielu ludzi.

Mercy krótko się zaśmiała.

– Wiem. – Wyjęła gazetę ze stojaka na biurku. – Lila postanowiła, że będzie oburzona. Nie okazywała tego podczas zebrania, ale chyba ją podburzyłaś albo coś, bo się zdenerwowała. No więc zadzwoniła do mnie i zażądała, żebym przestała o tym pisać. I kazała swojemu mężowi wysłać do mnie wiadomość z „nakazem zaprzestania”. To tak na początek. Bo potem jeszcze zareagowała Annessa. Co prawda, nie przyszła na zebranie w sprawie zjazdu, ale jest święcie przekonana, że artykuły o morderstwie Luke’a będą miały negatywny wpływ i zrobią złą reklamę budynkowi, który jest teraz w posiadaniu jej i jej męża. Wysłała mi gniewną wiadomość i zagroziła podjęciem działań prawnych.

– Może mieć rację.

– Może, ale to taka historia, która zapewni gazecie nowych prenumeratorów. W przyszłym tygodniu puszcze kilka innych artykułów o wytwórni konserw Sea View. To historia dotycząca także złotych czasów działania fabryki, która była głównym źródłem dochodu miasta oraz upadku przemysłu. Teraz zyskałam także nową perspektywę związaną z morderstwem Violet Sperry. To dobre teksty i razem mają komplet tego, czego chcą czytelnicy: dramat, tragedię, ocalałych. A wszystko to zdarzyło się tutaj, w Edgewater.

– Sprzedałaś przyjaciół, z którymi dorastałaś.

– Och, przestań, Rach. Teraz tak naprawdę nikt się już nie przyjaźni. Owszem, znamy się. I mamy wspólną przeszłość. Ale w istocie moim zamiarem nie jest skrzywdzenie kogokolwiek. Moim celem jest odkrycie prawdy o tamtej nocy. To misja dziennikarza: dążenie do prawdy.

– Bzdury.

Mercy podniosła z biurka puszkę z dietetyczną colą, ale gdy stwierdziła, że jest pusta, wrzuciła ją do niebieskiego kosza na śmieci.

– Masz prawo do swojej opinii.

– Nie zbywaj mnie. Mam dwoje dzieci w szkole średniej, które za sprawą ostatniego artykułu zdążyły się dowiedzieć, że ich matka jest morderczynią. Jak się z tym czują? Masz dziecko, Mercy. Czy zamierzasz pozwolić Daisy przeczytać swoje sprawozdanie z tamtej nocy w magazynie? Jak to przyjmie, gdy inne dzieci zapytają, czy jej mama naprawdę była współwinną morderstwa?

– Nigdy formalnie o nic mnie nie oskarżono.

– A ja zostałam oczyszczona z wszystkich zarzutów. A mimo to przyszłam. – Rachel wbiła palec w stos świeżo wydrukowanych gazet. – W świecie Mercedes Pope jestem zabójczynią, której udało się uniknąć kary. Co, według ciebie, mam powiedzieć dzieciom?

Mercy westchnęła.

– To, co zawsze im mówiłaś. Słuchaj, przepraszam, jeśli to dla ciebie krępujące.

– Uważasz, że się wstydzę? – Rachel podniosła głos, oburzenie paliło ją w środku. – Pudło.

Mercedes uniosła obie ręce.

– Spokojnie, no więc teraz masz okazję powiedzieć, jak to wyglądało z twojej strony. Od kilku dni chcę przeprowadzić z tobą wywiad, zatem zróbmy to w tej chwili. Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz z tamtej nocy. I skoro piszę artykuł o ofierze, Luke’u, chciałabym się dowiedzieć, jak wyglądało życie waszej rodziny. Jak się ze sobą dogadywaliście, tego typu rzeczy. Luke nie był biologicznym synem Neda, więc zapewne były jakieś śpięcia na tym tle.

– Słucham? Skąd!

– Jego prawdziwym ojciec był przestępcą, prawda? Czyż nie bił swojej żony, a twojej matki, Melindy Hollander? Słyszałam też, że to twój ojciec był gliną, który wsadził Bruce’a Hollandera za kratki.

– To... to stara historia. Nikogo nie zainteresuje.

– Zarejestrujmy to. – Ku przerażeniu Rachel, Mercedes się odwróciła, wzięła swój telefon i zaczęła nagrywać.

– Nie!

– Potrzebuję szerszej perspektywy – nalegała Mercedes. – Żeby móc opowiedzieć historię chłopaka, który stracił życie w wytwórni. Kim dokładnie był?

Przez chwilę Rachel siedziała oszołomiona, milcząc, myślała o Luke'u takim, jakim naprawdę był: skomplikowanym. Lubianym, lecz tajemniczym. Sportowcem, który, jeśli było trzeba, zaciekle walczył z ojczymem, chłopakiem, który uwielbiał się droczyć i docinać innym, chociaż zawsze, zawsze, brał stronę siostry.

– Nie będę mówić o Luke'u.

– Wobec tego powiedz o tamtej nocy. Chętnie usłyszę, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia.

Rachel zatkało, pokręciła głową i wpatrywała się w telefon.

– „Mój punkt widzenia” jest w zeznaniu dla policji. Złożonym dwadzieścia lat temu. Nie zmienił się, a jestem pewna, że masz kopię tych akt.

– Ale chciałabym teraz poznać twoją perspektywę i jak się na to zapatrujesz dzisiaj. Może przypomniałaś sobie jakieś szczegóły, których nie ma w zeznaniach. No wiesz, powiedz mi, co myślisz, co pamiętasz, skoro twój tata nie jest już policjantem patrzącym ci przez ramię.

– Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. To, co powiedziałam, jest prawdą.

Jedna z brwi Mercedes uniosła się o milimetr.

– Wszyscy jesteśmy ostrożniejsi w obecności naszych rodziców. Zwłaszcza w dzieciństwie.

Rachel wstała.

– Moja opowieść się nie zmieniła. – Położyła obie dłonie na biurku Mercedes, popatrzyła jej prosto w oczy. – I jeśli wydrukujesz choć jedno słowo, które różni się od tego, co widnieje w raporcie policyjnym, pozwę cię, Mercedes, i tak, to możesz zacytować. – Po czym odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

– Zaraz umrę ze strachu! – zawołała za nią Mercy i nawet miała dość tupetu, by się roześmiać.

– Proszę bardzo – odparła spokojnie Rachel, przechodząc przez drzwi, odwróciła się od witryny sklepowej i oparła o ścianę pokrytą stiukami. Gęsta mgła już opadała, natychmiast zaczęła wsiąkać w jej włosy. Rachel objęła się rękami, próbując powstrzymać drżenie mające swoje źródło w zimnie ukrytym w głębi jej ciała. Tak wiele zostało zniszczone, a ona nie wiedziała, kiedy znajdzie w sobie energię na zatrzymanie tej lawiny.

Czy kiedy te artykuły się ukażą, uda jej się jeszcze znaleźć jakąś pracę? Czy jej mała firma straci klientów?

Czy dzieci stracą dla niej szacunek? Nie żeby teraz traktowały ją zbyt dobrze, ale nie była w stanie znieść myśli, że mogłyby posługiwać się tym przykładem jako wymówką dla swoich złych wyborów.

Czy spotkają się z ostracyzmem w szkole?

Rozpadało się na dobre, więc przyłgnęła plecami do budynku, rozważając, czy powinna pobiec do samochodu, czy przeczeć najgorszą ulewę. Nagle poczuła żal, że nie ma ze sobą dzieci w ten weekend. Zrobiłaby im coś pysznego do jedzenia – zupę pomidorową i grillowany ser – i spróbowałyby spędzić jedno spokojne popołudnie w tym chaotycznym tygodniu.

Właśnie wtedy zauważyła zarys sylwetki poruszający się po drugiej stronie ulicy w wąskim przejściu pomiędzy budynkami.

Ktoś tam stał z twarzą skrytą w cieniu. Chyba miał ciemną kurtkę, podniesiony kołnierz i nisko nasiunęty czapkę z daszkiem.

Czy wyszedł tam tylko na papierosa?

Nie. Po prostu stał i na nią patrzył.

Rozejrzała się w prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy może ma na oku kogoś innego. Nie. Była jedyną osobą stojącą w deszczu.

Lodowaty lęk, zimny jak deszcz, przeniknął jej ciało.

Powiedziała sobie, że tylko wymyśla, że nie ma w nim niczego złowrogiego, że musi zachować spokój. Ale piekła ją skóra, gdy ocierała wilgoć z twarzy i przytknęła dłoń do czoła, by osłonić oczy i skupić wzrok na tej osobie. Widok na chwilę przysłoniła jej przejeżdżająca ciężarówka.

A potem zniknął.

Uliczka była pusta.

Aż zaczęła się zastanawiać, czy ktoś w ogóle w niej stał.

ROZDZIAŁ 16

W poniedziałkowy ranek niebo było czyste, pojedyncze gwiazdy już traciły swoją jasność, a powietrze pachniało świeżością, gdy Kayleigh wchodziła tylnymi drzwiami do budynku z cedru i kamienia, w którym mieścił się wydział szeryfa. Przy telefonach dyżurował jedynie podstawowy personel, czekając na koniec zmiany, więc w biurach było spokojniej niż w ciągu dnia, słychać było tylko pojedyncze rozmowy i odgłosy kroków wybijające się ponad szum powietrza w wentylatorach umieszczonych pod sufitem.

Odwiesiła kurtkę do szafki i była już myślami przy sprawie Sperry, ale udała się jeszcze do stołówki. Po odebraniu samochodu w sobotę rano większość weekendu spędziła na przeglądaniu notatek i protokołów przesłuchań dotyczących zabójstwa Sperry, poświęciła czas dowodom i sprawdzaniu alibi, z chwilową przerwą na obejrzenie meczu.

Jak dotąd to, co zeznał Leonard Sperry, pokrywało się z dowodami. Kolega od łowienia ryb potwierdził jego alibi i powiedział, że Sperry był w pobliżu Bend w Centralnym Oregonie. Paragony z motelu i restauracji świadczyły o tym, że znajdował się czterysta kilometrów od domu. Policja wciąż czekała na billingi telefoniczne, lecz Kayleigh zakładała, że informacje z firmy telekomunikacyjnej potwierdzą jego alibi.

Tymczasem Sperry dostarczył kopię testamentu swojej żony, w którym wszystko, co posiadała, zapisała mężowi. Dodatkowo dostarczył też swój testament, w którym widniał zapis, że jeśli on umrze pierwszy, ona odziedziczy wszelkie dobra doczesne Leonarda Sperry'ego. Zawarł także zastrzeżenie, że jeśli umrą w tym samym czasie, cały ich majątek zostanie rozdzielony pomiędzy dziesięć instytucji charytatywnych.

Nie mieli dzieci, a jedynym rodzeństwem był mieszkający gdzieś poza Phoenix w Arizonie brat Leonarda, który trzymał się z dala od rodziny. Ani on, ani ich rodzice nie zostali wymienieni w testamentach, jako że zarówno Violet, jak i Leonard założyli, że ich przeżyją. Sperry dostarczył też kopie ich polis ubezpieczeniowych, dwóch na życie Violet na ponad trzysta tysięcy dolarów, dość, by Leonard wykupił interes rodziców lub ruszył w podróż dokoła świata.

W stołówce Drummond, szczupły zastępca szeryfa z fryzurą ściętą na płasko na czubku głowy jakby rodem z lat pięćdziesiątych, siedział przy jednym z okrągłych stolików, pochylając się nad dziełem sportowym. Kayleigh skupiła się na syczeniu ekspresu marki Keurig, który wypływał kawę do filiżanki. Dodała mleka i zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić, czy Leonard nie miał gdzieś kochanki na boku. Nie wyglądał na tego typu człowieka i wydawał się pogrążony w żalobie oraz przerażony morderstwem żony, ale w sumie, kto wie, co działo się za zamkniętymi drzwiami ich małżeństwa? Teoretycznie było możliwe, że Sperry wynajął zabójcę do brudnej roboty, zapłacił mu z ubezpieczenia i wciąż mógł przytulić niezłą sumkę.

Nieopodatkowaną.

Ale coś jej nie pasowało.

Po prostu nie potrafiła wyobrazić sobie Leonarda Sperry'ego planującego zabicie swojej żony.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Dmuchając na filiżankę, by ostudzić kawę, wróciła do biurka, schludnego miejsca, bez jednego zdjęcia leżącego na blacie czy przypiętego do wyściełanych ścianek boksu. Kayleigh lubiła mieć czyste i bezosobowe, niemal sterylne miejsce pracy.

Szybko przejrzała maile. Przy odrobinie szczęścia wkrótce dostanie nagrania z kamer wokół domu Sperry'ego. I broń Violet Sperry. Gdzie, do cholery, była? Co to za rabunek, skoro zginęła tylko jedna

rzecz? Nieprawdopodobna sprawa. Laptop Violet, pieniądze w jej toalecie – te rzeczy zostały. Zdaniem męża zginął tylko pistolet.

Wyobraziła sobie Violet, która słyszy jakiś hałas, może ostrzegają ją psy, więc bierze pistolet i idzie sprawdzić, co się dzieje, wtedy stawia czoła intruzowi. Dochodzi do walki, pistolet wypala, po czym zabójca przerzuca ją przez barierkę, następnie ucieka w panice, bo sprawy potoczyły się inaczej, niż planował.

No a jaki był plan?

I dlaczego miała na oczach taśmę?

Nakleił ją, bo zamierzał ją porwać lub zgwałcić, ale ona wyjęła pistolet i musiał ją zabić, wypychając za barierkę?

Przygryzła wargę, cały czas na nowo odtwarzała tę scenę w głowie.

Dlaczego nalepił jej taśmę na oczy? Dlaczego nie na usta, żeby nie mogła krzyczeć?

Czy zabójca wszedł do sypialni, wziął ją z zaskoczenia, zakleił jej oczy, żeby później nie była w stanie go zidentyfikować? A potem jakoś chwycił jej pistolet... no ale psy... i przecież by się obudziła... Nie.

Do walki doszło poza sypialnią; to było oczywiście dzięki uszkodzeniom barierki. Kayleigh miała tylko nadzieję, że Violet mocno się broniła, a jeśli tak, to zdołała zadrapać swojego zabójcę i pod jej paznokciami znajdą jego skórę. Jeśli tak, będzie ją można poddać analizie DNA.

– I wtedy cię dorwiemy – powiedziała, jakby zabójca mógł ją usłyszeć.

Czyjaś dłoń uderzyła w jej biurko, Kayleigh podskoczyła, prawie rozlała resztkę kawy.

– Dzień dobry, słoneczko – rzucił Jerome Biggs, a ona uświadomiła sobie, że siedzi tu od ponad godzin; zjawiła się już dzienna zmiana, ciszę zakłócają głosy i śmiechy.

– Nie czuję się jak słoneczko.

– Ciężki weekend? – Uśmiechnął się szerokim, pełnym zębów uśmiechem, który lśnił bielą na tle jego ciemnej skóry. Niedzisiejszy koszykarz, Jerome był teraz jej partnerem, który zeszły tydzień spędził na urlopie.

– Pracowity – odparła i przez głowę przemknął jej ciężar leżącego na niej spoconego ciała Travaisa McVeya.

Och. Dobry Boże.

– Niech zgadnę, urabiasz tu sobie ręce. Morderstwo Sperry.

– Pracowałam w domu, ale tak. Jako że ty w zeszłym tygodniu byczyłeś się na wakacjach, pozwól, że zapoznam cię ze sprawą.

– Nie wiem, czy malowanie domu przy tej pogodzie liczy się jako „byczenie się”, ale tak, słyszałem, że dostaliśmy tę sprawę. Zamieniam się w słuch.

Oparł się biodrem o jej biurko, a Kayleigh przedstawiła mu wszystkie szczegóły oprócz jednego.

Nie wspomniała, że zadzwoniła do Cade’a Rydera, by przyjechał na miejsce.

Nie potrzebowała wykładu o jurysdykcji ani o przekraczaniu granic, zarówno tych zawodowych, jak osobistych. Biggs i tak niedługo się dowie.

Na razie jednak zatrzymała tę informację dla siebie.

Ręce Rachel drżały, gdy patrzyła na fiolkę tabletek xanaxu i zastanawiała się, czy warto je zażyć, by w końcu odpocząć i trochę się przespać. Postawiła ją na półce w szafce z lekami, przycisnęła dłonie do piersi i próbowała zaczerpnąć głęboki oddech.

Musiała się opanować.

Ostatnie dwie noce zaczęły się dobrze, ale zmieniły w noc strachów, które nie pozwoliły jej ponownie zasnąć. Teraz był poniedziałkowy ranek, a ona czuła się jak wrak psychiczny, chociaż powinna szukać

w sieci ofert pracy i wysłać w świat swoje podania, a przynajmniej zabiegać o klientów dla swojej firmy.

Z ulgą powita dzieci w domu po południu, będzie wdzięczna za towarzystwo i rutynę związaną z opieką nad nimi. Wczorajsza noc była szczególnie zła, z kolejnego koszmaru wyrwało ją szaleńcze szczekanie psa, który drapał w drzwi sypialni, domagając się wypuszczenia.

– Reno, przestań! – zawołała i odrzuciła koldrę, czując rozdrażnienie i niepokój. Nie chciała wychodzić z łóżka, ale zwykle pies tak się nie zachowywał, gdy nic się nie działo.

Z jękiem zmusiła się do wstania, znalazła kapcie, wiedząc, że będzie musiała sprawdzić dom od góry do dołu. Jak tylko otworzyła drzwi sypialni, pies zbiegł po schodach, jakby po sznurku do celu.

Boże. Czy ktoś był w domu?

Zatrzymała się i złapała balustradę na piętrze, uważnie nasłuchiwała, ale słyszała tylko szczekanie rozjuszonego psa. W uszach dudnił jej puls, miała napięte mięśnie, ale pośpiesznie zeszła na dół.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała, gdy znalazła zaniepokojonego psa przy drzwiach wyjściowych, gdzie obwąchiwał próg.

Czy ktoś tam był?

Walcząc ze strachem, zignorowała szybkie bicie serca i sięgnęła do klamki w drzwiach, by upewnić się, że są zamknięte na klucz. Były, dzięki Bogu, ale to nie powstrzymało psa, który znowu zaczął szczekać.

Reno, podekscytowany, z nosem przy drzwiach był gotów wyskoczyć na zewnątrz. Drżał, zjeżył się i zaczął szczekać, głośno zaskamlał, gdy go nie wypuściła.

Jakby wyczuł wiewiórkę lub szopa albo jakieś inne nocne stworzenie, które ośmieliło się wejść na jego podwórko.

– O, rany – westchnęła Rachel. – Przestań.

Ale pies nie zamierzał się poddać i zaczął wariacko drapać drzwi, gotowy do skoku na dwór, żeby odstraszyć lub zabić intruza.

– Jesteś żałosny. Przestań! Natychmiast – rozkazała i stanęła na palcach, żeby wyrzeć przez trzy małe szybki, które wieńczyły drzwi. Częściowo spodziewała się zobaczyć kojota przyczajonego w cieniu. Zamiast tego zauważyła przemykającego małego psa, mężczyznę w ciemnym ubraniu z czapką naciągniętą na uszy, trzymającego smycz zwierzęcia w jednej ręce, a coś innego, jakąś torbę, w drugiej.

To tylko facet z psem na spacerze.

O trzeciej w nocy?

Kto wyprowadza psa w środku nocy?

Poczula ukłucie strachu, gdy zobaczyła, jak mężczyzna się odwraca i patrzy na jej dom, następnie wsadza psa do białego sedana zaparkowanego trzy domy dalej. Odjechał po kilku sekundach, jego tylne światła zniknęły za rogiem.

– To nic takiego – powiedziała psu, ale sama nie wierzyła w to ani przez chwilę.

To było dziwne.

Nietypowe.

Co jej ojciec mówił o rzeczach, które nie pasują do otoczenia? Że jeśli coś wydaje się niewłaściwe lub nieprzystające, to zwykle takie jest.

Usłyszała jego radę, jakby stał tuż obok: „Bądź uważna, Rach. Chodzi o drobne nieścisłości, o coś trochę odbiegającego od normy, jakiś mały szczegół, który zapada w pamięć, a potem okazuje się kluczem do rozwiązania sprawy”.

Od stania na palcach zaczęły ją boleć nogi, więc stanęła normalnie i spróbowała nacisnąć klamkę, by otworzyć drzwi. Ani drgnęły. Zamknięte na klucz. Rozpoczęła swój rytuał sprawdzania zabezpieczeń, ruszyła do piwnicy, żeby upewnić się, że wszystkie zamki zostały zamknięte, każda zasuwka zasunięta,

każde okno zabezpieczone, aż zyskała pewność, że do domu nie można się dostać. Mimo że wiedziała, że dom jest bezpieczny, wcale się tak nie czuła. Nie tej nocy.

– Będzie dobrze – oznajmiła psu i wróciła do łóżka.

Ale wiedziała, że to kłamstwo.

Jej ciało odczuwało zmęczenie, napędzał je stres.

Lęku nie dało się zignorować, przejść nad nim do porządku dziennego. Rachel zdawała sobie z tego sprawę. Patrzyła na tabletki w szafce z lekami i nie mogła się zmusić do zażycia jednej z nich. Od tygodni radziła sobie bez xanaxu, a wzięcie pigułki byłoby jak uczynienie kroku w tył. Choć miała świadomość, że nie o to chodziło, nie chciała dłużej polegać na lekach. Wysypała zawartość opakowania na dłoń, przeliczyła tabletki, upewniając się, że są wszystkie. Stwierdziła, że żadna nie zginęła, ale chyba powinna była mocniej przycisnąć dzieci. Czy była dla nich zbyt łagodna? Czy była złą matką? Cóż, dzisiaj zanim wróci do domu, będzie musiała przeszukać ich pokoje. Prawo rodzica.

Zakręciła fiolkę, założyła buty do biegania, wzięła smycz Reno i wyszła.

Wciąż była rozdygotana przez brak snu, przez weekend czuła się niepewnie, biegając sama wczesnym rankiem, ale odsunęła od siebie ten niepokój. Nie mogła sobie na niego pozwolić. Z psem u boku i gazem pieprzowym w kieszeni wyszła tylnymi drzwiami i przez furtkę wydostała się na ulicę. Reno trzymał jej tempo, gdy zbiegała ze wzgórza w stronę miasta, gdzie nad rzeką wciąż jeszcze wisiała mgła. Powietrze było rześkie, niebo obiecujące, intensywnie niebieskie, więc uznała, że mgła rozproszy się przed południem.

Zimne powietrze powinno ostudzić jej głowę, ale cały czas kołatała się w niej treść wiadomości.

Wybaczam ci.

Otrzymałej dwadzieścia lat od dnia śmierci Luke'a.

Oczywiście najpierw pomyślała o swoim bracie; był jedyną osobą, którą tak okropnie zawiodła, ale on od dawna nie żył, a nie wydawało jej się, żeby Święty Piotr rozdawał przy bramach rajy telefony komórkowe. Nie. Wiadomość pochodziła od kogoś żywego, oddychającego, ale mogła być pomyłką lub głupim żartem.

Sklaniała się ku myśli, że została wysłana przez pomyłkę. Ominęła kałużę i biegła dalej, zastanawiając się, kto mógłby ją przysłać. Jedna z osób obecnych na zebraniu? Ktoś bliski Luke'owi?

Lila, która została sama z dzieckiem?

Mercedes, która z determinacją pisała swoją serię artykułów o jego śmierci i wkurzyła się, że Rachel odmówiła jej wywiadu?

Nate, jego najlepszy przyjaciel, który po śmierci Luke'a jakby odzyskał wolność?

Jej własna matka?

Nie, nie. Nie Melinda!

Wobec tego jego ojciec? Niedawno wyszedł z więzienia.

A może jeszcze ktoś inny... bliscy mu przyjaciele?

Ale po co mieliby czekać tyle lat i nagle próbować ją zastraszyć?

Kto jej aż tak nienawidził?

Przebiegła koło wytwórni, nie zatrzymała się, tylko obiegła ją wkoło i ruszyła w stronę domu. Uśmiechnęła się, gdy Reno potruchtał znajomą ścieżką do tylnego wejścia. Zamknęła drzwi, zdjęła buty, odpięła psa ze smyczy, po czym sięgnęła po kubek.

Po kawie, prysznicu, opakowaniu jogurtu na chwilę zasiadła do komputera i zaczęła czytać odpowiedzi na swoje podania. Dwie. Z jednej dowiedziała się, że jeśli dostanie tę pracę, będzie musiała przeprowadzić się do Seattle. Nie, dzięki. Najpierw Dylan musi skończyć szkołę. Jeśli w ogóle.

Z tej drugiej dowiedziała się, że stanowisko, o które się ubiegała, zostało już obsadzone.

– Trafiony zatopiony – powiedziała. Przeskoczyła do swoich najnowszych zmartwień i zastanawiała się, czy powiedzieć Cade'owi o tym esemesie. Jako policjant mógł się temu przyjrzeć bliżej.

To nie była groźba.

Zapomnij o tym.

Musiała zająć się pracą. Dzieci nie było. Nie wróca do domu wcześniej niż po lekcjach, więc mimo wszystkich kazań, które wygłosiła na temat prywatności, postanowiła dokonać inwazji na ich pokoje. Była zdeterminowana, by dotrzeć do sedna tego, co ukrywał jej syn, więc zignorowała taśmę policyjną oraz tabliczkę z napisem „Nie wchodzić” wiszącą nad drzwiami Dylana i zaczęła przeszukiwanie.

Nie wiedziała, czego szuka.

Wzdrygała się na myśl o tym, co mogła znaleźć. Skrytkę z jakąś kontrabandą? Narkotykami? Bronią?

Czuła się jak złodziej zakradający się do domu, w którym wciąż ktoś mieszka.

Chociaż było to niedorzeczne, serce jej waliło i zdjął ją strach, mimo że miała pełne prawo przeszukać to pomieszczenie. To był jej dom i, co ważniejsze, także jej syn; była odpowiedzialna za jego zdrowie i dobrostan.

Martwiła się jednak, że ustawił kamery w pokoju i nawet w tej chwili przygląda się jej przez telefon.

Trudno.

W pokoju był chlew, ale z tym będzie musiał poradzić sobie sam po powrocie ze szkoły. To ona tu rządziła.

Wobec tego nie pozbierała puszek, talerzy i śmieci z podłogi. Ani nie zmieniła pościeli na jego łóżku, nie rozprostowała narzuty. Zajrzała za to pod materac, a potem pod łóżko. Leżał tam kurz gromadzony przez lata, a wraz z nim kolejne puszki, butelki i brudne papierowe talerzyki zmiecione z widoku. Sprawdziła też spodnią część łóżka.

Nic.

Otworzyła kratkę wentylacyjną.

Jedyne, co znalazła, to widelec, który wpadł przez otwór w pokrywie.

Regał Dylana był pełen rupieci, ale niczego nie skrywał. W szufladzie szafki nocnej znalazła pudełko plastrów, niedokończone zadanie domowe na zajęcia w szkole podstawowej, pilota od telewizora, balsam do ust, paczkę chusteczek, torebkę pastylek na kaszel i różne kontrolery do gier. W okolicy komputerów nie było niczego niezwykłego, a same komputery oczywiście były zabezpieczone hasłem, więc nie mogła sprawdzić, co robił w sieci.

W komodzie trzymał złożone ubrania, nic nie ukrywał pomiędzy ani pod nimi.

W garderobie miał kosz pełen brudnych, pogniecionych ubrań oraz pudła starych zabawek i skarbow, których, jak zakładała, już nie zauważał. Na wieszakach znalazła parę koszul. Było tam też kilka małych, pustych pudełek. Generalnie nic zaskakującego.

Zobaczyła, że jego buty leżą wkopane w kąt, i wtedy dostrzegła małe wybrzuszenie w dywanie, tuż za drzwiami garderoby, zgrubienie nie większe od myszy. Schyliła się i przejechała po nim ręką.

Na szczęście się nie poruszyło. Raczej nie było żywe.

Przyjrzała się uważniej i dostrzegła, że wykładzina przy drzwiach nie jest przybita, lecz przyklejona. I co tam było? Skarpeta zawierająca gruby zwitek pieniędzy: jedno-, pięcio-, dziesięcio- i dwudziestodolarówki. Osiemset trzynaście dolarów w sumie. Chociaż teoretycznie wisiał stówę temu dręczycielowi Schmidtwi za jakiś komputerowy zakład i zachowywał się tak, jakby nie był w stanie spłacić długu, a wręcz był gotów odpracować pożyczkę zaciągniętą u Rachel.

– Niedobrze – powiedziała na głos, bojąc się coraz bardziej. Wsadziła skarpetkę i pieniądze do tylnej kieszeni dżinsów, po czym kontynuowała przeszukiwanie garderoby, spodziewając się, że znajdzie zapas zioła, pigulek – Bóg wie jakich narkotyków – wetknięty w jego buty lub kieszenie kurtki. Przypomniały jej się tabletki z jej własnej fiolki xanaxu, pigułki, które uznała za brakujące, i to, jak Harper okazywała swoją pogardę.

Nie kradniemy twoich cholernych leków. Co, według ciebie, mielibyśmy z nimi robić? Sprzedawać je w szkole?

Dylan wyglądał na szokowanego, jakby to nigdy nie przyszło mu do głowy.

A może źle odczytała poczucie winy?

Jeszcze raz przeszukała pokój, ale niczego więcej nie znalazła, a następnie zaczęła główkować nad innymi możliwymi kryjówkami.

Tylny ganek, gdzie trzymał rower? Szybko sprawdziła, ale okazał się czysty.

Szopa obok garażu, gdzie miał narty, deskę i gdzie przechowywali sprzęt kempingowy?

Tam też nic.

Przez chwilę stała na podjeździe, a słońce przebijało się przez wysokie, powoli płynące chmury, podczas gdy na okapie krakała wrona.

Może chował coś u Cade'a? Czy odważyłby się igrać z instynktem gliny i zostawić coś pod nosem ojca?

Nie – przede wszystkim dlatego, że nie miałby tego pod ręką.

Problem z Dylanem nie był łatwy, ale wyczuwała, że u jej córki dzieje się jeszcze więcej.

Harper miała siedemnaście lat; była prawie dorosła. Rachel miała większe opory przed przeszukiwaniem jej rzeczy, ale i tak to zrobiła – zarówno w pokoju córki, jak i w jej łazience. Nie znalazła niczego nieoczekiwanego. Żadnego zioła. Żadnych papierosów. Żadnych niedopitych butelek z alkoholem. Żadnych zwitków pieniędzy nieokreślonego pochodzenia. Żadnej antykoncepcji, co, biorąc pod uwagę, jak się sprawy miały, nie byłoby aż tak złym pomysłem.

A więc gdy wrócą do domu, czekała ich jedna z tych rozmów, których dzieci tak nienawidziły. Ona tymczasem musiała uaktualnić stronę internetową i wznowić poszukiwania pracy.

Poszła do kuchni po telefon i już miała wyjąć go z ładowarki, gdy zaczął wibrować na blacie. Podniosła go i na wyświetlaczu zauważyła nieznajomy numer, bez przypisanego nazwiska. Pomyślała o wiadomości, którą dostała, ale był to całkowicie inny szereg cyfr; wiedziała, bo go zapamiętała.

– Halo?

– Cześć. Dodzwoniłam się do Rachel, tak? Rachel Ryder? – zapytała kobieta, a potem nie czekając na odpowiedź, dodała: – Pomyślałam, że do ciebie zadzwonię.

– Przepraszam, kto mówi?

– Och. To ja. Ella Dickerson. Z naprzeciwka. Żona Jima.

Rachel poczuła niepokój, gdy przypomniała sobie sąsiadkę, białowłosą kobietę dobijającą do osiemdziesiątki, która zawsze pracowała w ogródku i ciągle na coś narzekała. A to na reumatyzm, a to na swoje dzieci, a to na męża, którego ostatnim postępkiem, a przynajmniej ostatnim, o którym słyszała Rachel, był zakup siedemdziesięciodwucalowego telewizora, „żeby oglądać więcej sportu, jeśli to w ogóle możliwe. Przysięgam, że jest włączony dzień i noc bez przerwy!”. Ella była tą wścibską panią z sąsiedztwa, która wiedziała wszystko o wszystkich na ulicy.

– Twoje drzwi wejściowe – wyjaśniła Ella. – To znaczy, widziałaś je? Ojej. Lepiej na nie spojrz. Wydaje mi się, że ktoś dopuścił się wandalizmu, więc pomyślałam, że lepiej, żebyś wiedziała, jeśli jeszcze ich nie widziałaś, ale jak zobaczysz, to...

– O czym pani mówi? – zapytała Rachel, idąc już w stronę frontowego wejścia.

– Obawiam się, że ich nie widziałaś. Tak powiedziałam Jimowi. Ja je zobaczyłam, jak szłam rano po gazetę. Powiedziałam Jimowi, że na pewno o tym nie wiesz...

– Nie rozumiem, o czym mowa. – Rachel przekręciła zasuwę i otworzyła drzwi, po czym od razu zobaczyła, co wścibska sąsiadka ma na myśli.

Zrobiła krok i wyszła na ganek, po czym zatrzymała się i o mało nie stanęło jej serce, gdy przeczytała słowo nabazgrołone czerwoną farbą na jej czarnych drzwiach:

MORDERCA

ROZDZIAŁ 17

Cade przekroczył prędkość w drodze do domu Rachel. Kiedy zadzwoniła, natychmiast usłyszał, że jest zdenerwowana i spięta.

– Chyba powinienes tu przyjechać. – Była na skraju załamania.

– Dlaczego?

– Po prostu przyjeźdź, Cade. Pracujesz dzisiaj? Możesz teraz?

– Już jadę.

Nie podobało mu się to, co wyczuł w jej głosie.

Będąc przy jej domu, zobaczył, że Rachel stoi na ganku przy drzwiach frontowych, a tuż za nią widnieje brzydki napis.

– Jezu. – Zaparkował na ulicy i podbiegł przez podjazd, mając świadomość, że sąsiedzi z naprzeciwka, starsze małżeństwo, wyszli do ogródka, żeby śledzić rozwój akcji. Cade popatrzył na drzwi i ścisnęło go w środku. – Co się stało?

– Nie wiem. Nie zauważyłam tego, dopóki nie zadzwonili sąsiedzi. Nie zauważyłam, kiedy rano poszłam pobiegać, ale wiesz, wychodzę i wchodzę do domu tylnymi drzwiami. No więc zadzwoniła pani Dickerson, powiedzieć mi, że coś się dzieje, a gdy wyszłam, znalazłam takie coś.

Litery wymalowane czerwoną farbą, która przypominała mu krew, wyglądały jak wyjęte z horroru: MORDERCA.

Rachel była blada na twarzy, ale jakoś się trzymała.

– Chciałam od razu to zamalować, ale pomyślałam, że powinnam kogoś powiadomić...

– Dobrze zrobiłaś. – Już wyjmował telefon i próbował stłumić gniew. – Wandalizm to przestępstwo. Nie głupi żart. Ale sędzę, że zgłoszenie powinien przyjąć ktoś inny, nie twój były mąż. – Wybrał numer, a Voss, która była na służbie w tym rejonie, obiecała, że zjawi się za dziesięć minut.

– Voss już jedzie – poinformował Rachel, wsadził telefon do kieszeni i obejrzał zniszczone drzwi. – A więc to się stało w nocy? – zapytał, wskazując wejście do domu.

– Tak sędzę.

Rozejrzał się po ulicy i zobaczył, że Dickersonowie nie opuścili swojego punktu obserwacyjnego w ogrodzie. Stali obok siebie po drugiej stronie niskiego ogrodzenia z kutego żelaza, chroniącego rząd azalii i rododendronów, ona w długiej podomce, on w koszulce i dżinsach na szelkach, i patrzyli na rozgrywającą się scenę.

Rachel, z pewnością świadoma obecności Dickersonów oraz rowerzysty, który rzucił na drzwi drucie, uważniejsze spojrzenie, dotknęła jego ręki.

– Może powinienes wejść do środka.

Gdy znaleźli się w korytarzu, Reno go przywitał, a drzwi ze wstrętnym napisem zostały zamknięte, poprosił:

– Opowiedz mi.

– Nie wnikając w szczegóły, miałam zły sen, o Luke'u.

Oczywiście. Ale nie powiedział tego na głos.

– Ale to nie jest najgorsze.

– To znaczy?

– Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy. Słyszę jakieś hałasy, coś widzę, ale nie tylko ja. Reno też – mówiła, nakręcając się coraz bardziej. – I... dostałam dziwną wiadomość... Tak jakby wysłał ją Luke. Wiem, że to niemożliwe i szalone, ale... Patrz, pokażę ci. – Poklepała się po tylnej kieszeni dżinsów i skrzywiła. – Chyba zostawiłam ją... – Szybko weszła w głąb korytarza i udała się do kuchni, więc poszedł za nią. – Jest... – Podniosła komórkę z blatu, spojrzała na ekran, wcisnęła kilka ikonki, znalazła to, czego szukała, i podała mu telefon.

– Wybaczam ci – przeczytał na głos i aż go zmroziło. Zerknął na nią. – Kto to wysłał?

– Nie wiem. Próbowałam odpisać, ale nikt nie odpowiedział.

– To może być pomyłka. Wysłana na zły numer. – Ale nie wierzył w to ani przez sekundę, nie w przypadku takiego komunikatu, nikczemnego oskarżenia, wysprejowanego na drzwiach.

– Nie sądzę. – Zerknęła przez okno. – Powinam ci też powiedzieć, że coś widziałam w nocy.

– Co? – Prawdziwego? *Czy wymyślonego?*

Rozległ się dzwonek, pies zaczął szczekać.

Przyjechała Patricia Voss.

Dobrze. Chciał jej wysłuchać, ale uważał, że najlepiej będzie, jeśli ktoś jeszcze usłyszy tę historię. Ktoś z większym dystansem, ktoś, kto nie leżał koło Rachel w łóżku, gdy budziła się z nocnych koszmarów, ktoś, kto nie musiał uspokajać dzieci, kiedy matka ze strachu odchodziła od zmysłów, ktoś obiektywny i profesjonalny.

– Reno, cicho! – Rachel otworzyła drzwi, panie zostały sobie szybko przedstawione, a Voss włączyła dyktafon, by zarejestrować zgłoszenie Rachel. Były w salonie, gdzie nad kominkiem tykał zegar, niemal niewidoczny zza ramek ze zdjęciami Harper i Dylana ustawionymi na półce. Cade poczuł się niekomfortowo, wspominając sytuacje, w których zrobiono niektóre z tych fotografii. Boże Narodzenie, kiedy dzieci zaczynały szkołę podstawową, Harper bez zębów, Dylan we fryzurze na języka, której Rachel tak nie cierpiała.

Stanął w pobliżu kanapy, na której usiadła Rachel, Voss zajęła miejsce na fotelu stojącym na końcu ławy, a pies położył się na rogu dywanu.

– Domyśla się pani, kto mógł to zrobić? – zapytała Voss z długopisem gotowym do robienia notatek, które miały uzupełnić nagranie.

Rachel pokręciła głową.

– Nie. Ale chyba go widziałam.

– Jego? Czyli to mężczyzna? – upewniła się Voss, a Cade poczuł, że zaciska szczękę.

– To było zeszłej nocy, jakoś koło trzeciej. – Wyjaśniła, że miała zły sen, obudziło ją szczekanie psa. Na dole wyjrzała przez szybkię w drzwiach i zobaczyła mężczyznę z psem wsiadających do samochodu zaparkowanego na końcu ulicy.

– Psem? – powtórzył Cade, aż nim szarpnęło.

– Może pani opisać tego człowieka? – zapytała Voss.

– Nie, było ciemno; wyglądał... przeciętnie i coś niósł. I, jak powiedziałam, wyprowadzał psa.

– Jaki miał samochód? – dopytywał Cade, domyślając się odpowiedzi.

– Nie wiem. Wyglądał jak biały, może srebrny, sedan.

– Masz numery rejestracyjne albo może zauważyłaś, czy był z Oregonu? – naciskał.

– Nie.

Oczywiście, że nie, ale już wybiegał myślą do przodu.

– A pies? Jak wyglądał? Jakiej był rasy?

– Nie umiem powiedzieć. Mały lub średni, chyba, i jasno umaszczoney.

– Czy to mógł być beagle?

Uniosła ramię.

– Powtórzę, było ciemno, ale chyba tak. Mniej więcej tej wielkości.
– Znasz kogoś, kto nazywa się Frank Quinn? – zapytał Cade.
– Słucham? – Spojrzała na niego, skrzywiła się i powoli pokręciła głową. – Nie.
– Mieszka na Toulouse Street – dodał.
– Powiedziałam, że go nie znam. Dlaczego pytasz?
– Tego dnia, gdy tu przyszedłem... – Opowiedział o facecie, który szukał psa, człowieku jeżdżącym białym czterodrzwiowym sedanem na tablicach z Idaho, a gdy mówił, zauważył, że w oczach jego byłej żony zaczyna pojawiać się panika.
– Nie mam pojęcia, kim on jest – powtórzyła. – Sądziś, że to ta sama osoba?
– Może. – Zbeształ się w duchu za to, że nie sprawdził dokładniej tego Franka Quinna. – Powiedz Voss o wiadomości.
– Jakiej wiadomości? – zapytała Voss.
– Tej. – Rachel znalazła telefon i podała go policjantce.
– „Wybaczam ci”? Od kogo?
– No właśnie. Nie wiem. – Rachel powtórzyła to, co już opowiedziała Cade’owi, i dodała, że próbowała się skontaktować z nadawcą, dzwoniąc i pisząc do niego, ale bez skutku.
Odgarnąwszy włosy z czoła, westchnęła.
– Przyszła w rocznicę śmierci mojego brata. Dwudziestą.
– Czytałam w gazecie o tym, co się stało. – Voss zmrużyła oczy. – Sądzi pani, że osoba, która to napisała, wybacza, że przyczyniła się pani do jego śmierci?
– Nie wiem.
– Kto mógłby to wybaczyć? Ktoś, kto myśli, że jest pani winna, prawda? – naciskała Voss.
– Tak sądzę. – Rachel się spięła.
– Kto?
– Nie wiem. – Rachel uciekła wzrokiem. – Przecież Luke nie żyje, więc to nie on. – Nie wyglądała na przekonaną.
– Oczywiście, że nie – potwierdził Cade.
– Ale miałam takie przeczucie... sama nie wiem. To głupie, ale że ktoś chce, bym myślała, że to on.
– To nie był Luke – powiedział stanowczo. Nie mogła podążać tym absurdalnym tokiem myślenia.
– Wiem – odparła ostro. Obronnym tonem.
Chociaż to zdarzyło się dwadzieścia lat temu, nigdy do końca nie uwolniła się od śmierci brata; zawsze się o nią obwiniała.
– Prawdopodobnie jest to ktoś, kto przyjął osobowość Luke’a. – Voss myślała na głos, podkreślając coś w notatniku. – Ktoś mu bliski?
Cade od razu pomyślał o Lili. Starej, dobrej macosze. Matce syna Luke’a. Ale dlaczego miałyby to robić? Tak, w ciągu lat między Lilą i Rachel dochodziło do różnych napięć, zwykłe sprawy rodzinne, ale nie zaszło nic, co mogłoby doprowadzić do czegoś takiego. I dlaczego właśnie teraz? Nie.
– Sprawdźmy w firmie telekomunikacyjnej – zdecydowała Voss. – Dowiemy się, czy wiadomość została wysłana do pani omyłkowo, w co wątpię, czy był to jakiś głupi kawał.
– A jeśli to telefon na kartę? – Cadowi nie podobał się tor, którym biegły jego własne myśli. Nie kupował teorii o pomyłce. Zwłaszcza że na drzwiach nasmarowano ten groteskowy napis. Ktoś próbował straszyć Rachel, sądził, że może to być ten Frank Quinn.
– Wiesz, jak jest. Jeśli jest na karte, postaramy się namierzyć sklep, gdzie został kupiony. Jeśli nie ma śladu po tym, kto go kupił, żadnej karty kredytowej, płatniczej, czeku, jeśli gość użył gotówki, być może

będzie zapis z kamery przemysłowej. Wtedy sprawdzimy wszystkie kamery w okolicy i być może znajdziemy faceta z psem.

– A jeśli używał jakiejś aplikacji? – zapytała Rachel. – Można to zrobić. Są apki, które ukrywają numer, nie da się go wysledzić.

Cade już o nich słyszał.

– Musi być jakiś cyfrowy ślad.

Rachel pokręciła głową.

– Uważam, że może być zaszyfrowany.

– Przyjrzę się temu Frankowi Quinnowi. Dowiem się, czy mieszka w okolicy i czy ma buicka na numerach z Idaho – obiecał Cade. Ponownie pomyślał o Violet Sperry, zamordowanej we własnym domu, i zrobiło mu się zimno. Czy był jakiś związek?

– Chyba widziałam kamerę na ganku – powiedziała Voss.

– Nie działa – przyznała Rachel.

Cade aż się skulił w środku. Powinien był się tym zająć, gdy tu jeszcze mieszkał.

– Jest stara – wyjaśniła Rachel. – Zamontowali ją poprzedni mieszkańcy domu, ponad dwadzieścia lat temu. Nie działa, zawsze się wyłączała, więc zrezygnowałam z usługi i zamierzałam zainstalować nową, podłączoną do aplikacji w telefonie. – Lekko się uśmiechnęła. – Ale jeszcze się do tego nie zabralam.

Voss kiwnęła głową.

– Teraz być może powinna być priorytetem.

Amen, pomyślał Cade. Zadali jeszcze kilka pytań, nim pojawił się technik, który zebrał odciski palców i odjechał, a Voss parę minut po nim.

Został więc sam z byłą żoną. W salonie, który kiedyś należał do nich dwojga. Było w nim tak samo, ale trochę inaczej. Dziwnie. Prawie nic nie zmieniła w pokoju poza przemalowaniem go na jaśniejszy kolor, neutralną szarość, zamiast rozbielonego brązu. Na miejscu jego rozkładanego fotela postawiła mniejsze krzesło.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– A dobrze wyglądam?

– Yy, nie. Wyglądasz jak...

– Zmora. Wiem. Wyglądam jak zmora.

– Nie...

– Tak. Cholera. – Przechesała palcami włosy i wstała. – Wiesz, od śmierci Luke'a mam te koszmary.

– Tak. – Pokiwał głową, bywał przy tym.

– I zawsze powtarzam sobie, żeby o tym nie myśleć; że co się stało, to się nie odstanie, żeby żyć dalej. Próbuję. Ale to... Mercy znowu wszystko rozgrzebuje w gazecie, niedługo odbędzie się zjazd, na który przybędą wszyscy, którzy byli tamtej nocy i teraz... jeszcze to. – Komórką wskazała drzwi. – To mnie rozstraja.

– Masz rację, mnie też się to nie podoba.

– No i Violet. – Wzdrygnęła się, usiadła ponownie i podciągnęła nogi na kanapę. – Masz jakieś informacje o tym, co się jej stało?

– Nic nowego.

– Cóż, to straszne. Gorzej niż straszne. – Pocierała ramiona, jakby zrobiło jej się zimno.

– Wiem – przyznał.

– Obawiam się, że przez to robię się szaloną, nadopiekuńczą matką.

Krzywo się uśmiechnął i usiadł na krześle zwolnionym przez Voss, żeby móc patrzeć przez okno na puste już podwórko Dickersonów. – Dzieci chyba potwierdzają tę opinię.

– Sądziś, że to prawda? – zapytała i spojrzała na niego, podczas gdy Reno wstał, przeciągnął się i poszedł gdzieś na tył domu.

– Że jesteś szalona? Nie. Nadopiekuńcza? – Uniósł dłoń, po czym nią zafalował. – Czasami. Trochę. – Ale gdy to powiedział, znowu pomyślał o Violet Sperry i jej dziwnej śmierci. Zapewne nie łączyła się z tym, co się tu działo – Boże, miał taką nadzieję – ale nie chciał całkowicie tego wykluczyć. – Wszyscy musimy być ostrożni. – Nie miał zamiaru jej straszyć, dawać jej powodów do paniki, ale nie mógł udawać, że morderstwo Sperry go nie obeszło.

– Ostatnie, czego chcę, to być nadopiekuńcza. Po tym, co przeżyłam ze swoimi rodzicami. – Przewróciła oczami. – Przysięgam, że nigdy nie będę wścibską kwoką, jaką była moja matka, a jeśli chodzi o tatę, widziałam, co robi z człowieka małżeństwo z policjantem, którego nie ma w domu podczas świąt i uroczystości rodzinnych.

Ścisnęło go w żołądku. Zastanawiał się, czy jego własne wybory były słuszne.

– Czasami historia lubi się powtarzać. I wybory, których dokonujemy.

Zawahała się na moment.

– Wobec tego chyba muszę lepiej wybierać.

– Może oboje musimy.

Przez sekundę mierzyła go wzrokiem, potem zmieniła temat.

– Jak minął ci weekend z dziećmi? W piątek rozstaliśmy się w niezgodzie. Wkurzało mnie ich zachowanie. Dylana, bo opuszczał lekcje, a Harper ze względu na... no wiesz. Nowy chłopak, facet, czy kim jest dla niej!

– Z Dylanem wszystko w porządku; jeśli martwią go kłopoty w szkole, to tego nie okazuje i nie chce o tym mówić. Harper twierdzi, że zrobiłaś z igły widły, że tylko całowała się z Xanderem i że... Czekaj, muszę sobie przypomnieć, jak to ujęła. – Zastanawiał się przez chwilę. – O, już wiem. To samo, co mówiłem, będąc w jej wieku. Twierdzi, że ma prawie osiemnaście lat i że kiedy stanie się pełnoletnia, będzie mogła robić, co tylko zechce.

– Jakby osiemnastka cokolwiek zmieniała. Dzieje się magia: teraz jestem dorosła. – Uśmiechnęła się. – Sama zobaczy. Ale nie mogę za bardzo naciskać w sprawie tego chłopaka, bo tylko jeszcze bardziej wepchnę ją w jego ramiona. Och.

– Chce jechać z nim na koncert w Portland w przyszły weekend. W sobotę.

– Nie – westchnęła Rachel.

– Czemu nie?

– Po pierwsze, to dwie godziny drogi stąd.

– Już wcześniej tam jeździła.

– Ale znaleźmy i dzieci, i ich rodziców.

– Lila ręczy za niego.

– Odkąd to wierzysz opinii Lili?

– Okej, racja. Ale Harper ma siedemnaście lat. W październiku skończy osiemnaście.

– O czym cały czas nam przypomina.

– Wyjedzie na studia.

– To dopiero w przyszłym roku – zauważyła Rachel, po czym spojrzała na niego krytycznie. – Popierasz to? Nie wierzę.

– Może ten chłopak nie jest taki zły. Domyślam się, że sprawdziłaś go w sieci i przejrzałaś jego konta w mediach społecznościowych.

Nie ustosunkowała się do tego.

– Nie chodzi o to, czy jest dobry, czy zły, Cade. Wiesz o tym. Już to omówiliśmy. Po prostu nie chcę, żeby popełniła błąd, którego nie da się naprawić.

– Jak ty.

– To było co innego! Chciałam za ciebie wyjść. Chciałam tego dziecka! Po prostu sprawy potoczyły się w złej kolejności.

– Aż tak źle wyszło?

Założyła ręce na piersi i wbiła w niego wzrok.

– Chcę, by moja córka miała więcej możliwości w życiu, przecież nie jest zakochana w Xanderze Vale'u; to tylko pożądanie. Są na siebie napaleni. – W złości skrzyżowała ramiona pod biustem, nieświadoma, że w ten sposób go podnosi. – Mam jedynie nadzieję, że myślą, nie tylko działają.

– Harper nie jest idiotką.

– Ja też nie byłam. Ale gdy przyszło co do czego... Ale gdy ty...

Gorzko się roześmiał.

– I ja też. Wiesz, że cały czas coś wystukuje na komórce, a gdy ją o to pytam, zawsze odpowiada, że pisze do kogoś „znajomego” lub przyznaje, że esemesuje z Lucasem, ale jestem przekonany, że to Vale.

– Czy kiedykolwiek esemesowała z Lucasem?

– Byli zżyci jako dzieci – przypomniał jej. W czasach, gdy on i Rachel wciąż byli małżeństwem, a Lila i Rachel były ze sobą blisko. Od rozwodu wiele się pozmieniało.

– Czyli teraz odnowiła znajomość.

– Na to wygląda.

– Ze względu na Xandera Vale'a.

– Pewnie tak. Pamiętasz, jak to było. Kiedy nami też kierowało „pożądanie” i byliśmy na siebie napaleni.

Naprawdę się zarumieniła.

– Tak jak mówiłam, chodzi o „możliwości”. Na przykład studia. Żeby miała szerszą perspektywę na świat, niż daje jej Edgewater w Oregonie. Owszem, przyznaję, że nie była to najgorsza rzecz, jaka mi się przydarzyła. Urodzenie Harper i Dylana i ślub z tobą. Nic bym nie zmieniła. Lub większości bym nie zmieniła. – Odwróciła wzrok, bez wątpienia myślała o jego zdradzie. A potem, jakby rozmowa stała się zbyt poważna, machnęła ręką, jak gdyby chciała rozpedzić słowa. – No więc, słuchaj, nie martw się tymi drzwiami. Zajmę się tym – powiedziała z werwą, jakiej nie widział u niej od długiego czasu. – Spanikowałam, gdy Ella zadzwoniła, ale teraz już dobrze się czuję. – Zerknęła w stronę wyjścia. – Na razie spryskam to farbą w spreju, potem zamaluję całe drzwi. I tak chciałam zmienić ich kolor.

– A co z alarmem?

– Mój... nasz syn wisi mi przysługę i ma odpowiednie umiejętności. I sprzęt też chyba ma.

Wyjął kluczyki z kieszeni.

– A może pies obronny? – zapytał.

– Reno? – Roześmiała się gorzko, a pies, słysząc swoje imię, zamerdzał ogonem, po czym okrążył ławę, stanął koło Rachel i położył głowę na jej kolanach. Podrapała go za uszami. – Niezbyt się nadaje.

– Może powinnaś mieć nowszy model?

– No jasne. – A psa zapewniła: – Nie słuchaj tego. On tylko żartuje.

W kieszeni zawibrował jego telefon, więc sprawdził wyświetlacz. Wiadomość z komisariatu.

– Praca wzywa – oznajmił, wstając. – Sześć chce, żebyśmy wcześniej przyszedł.

– To idź już.

– Jesteś pewna, że się ogarniesz?

– Na bank – odparła, chociaż oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

- Mogę wrócić, pomogę ci z drzwiami. Swego czasu trochę machałem pędzlem.
- Nie, sama to zrobię – odmówiła stanowczo i wstała. – Musisz jechać do pracy.
- Chrzanić pracę. – Zamilkł, wiedząc, że chce uporać się z tym sama; to były jej sprawy. – Mam czas. Mogę zadzwonić i powiedzieć, jaka jest sytuacja.
- Nie. Nic mi nie będzie. – Posłała mu jeden ze swoich rzadkich uśmiechów i przez chwilę jej oczy rozbłysły złotem. – Mam Reno, pamiętasz?
- Niemal niezwykłego psa obronnego.
- Właśnie.
- Nie czuł się z tym komfortowo, ale widział, że nie ustąpi ani na krok.
- No dobrze. Ale wpadnę jeszcze, żeby upewnić się, że masz podłączony alarm.
- Naprawdę, Cade, nie musisz tego robić.
- Tak, uważam, że muszę – powiedział i uznał, że będzie brutalnie szczery. – Moje dzieci mieszkają tu z moją byłą żoną i w przeciwieństwie do tego, co ona uważa, zależy mi na niej i chcę, żeby była bezpieczna.
- Rachel zrobiła długi, głęboki wdech.
- Och... nie sądzę, żeby...
- Nie obchodzi mnie, co sądzisz, Rach, taka jest prawda. – Znowu chciała zaoponować, więc ruszył do wyjścia. – Tymczasem niech pies pilnuje i miej zamknięte drzwi i okna.

ROZDZIAŁ 18

Dylan pocił się jak świnia.

Co chwilę zerkał na zegar, z nerwów drgało mu kolano, gdy z każdą chwilą ubywało sekund lekcji, może też jego życia.

Mama coś na niego miała.

Wiedział, że szperała w jego pokoju i znalazła pieniądze.

Cholera! Cholera! Cholera!

Dziesięć minut do wyjścia z zajęć. Potem będzie musiał unikać tego zjeba Schmidta i jego zbirów, a na dodatek spotkać się z tą zadufaną w sobie wicedyrektorką.

Miał wrażenie, że ściany się zbliżają do niego, że nie ma jak się ruszyć, nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać.

– Dylan? – Z zamyślenia wyrwał go głos Tori Suzuki, znajdował się przy swoim stanowisku w sali medialnej biblioteki szkolnej, gdzie razem z klasą mieli kończyć swoje wypracowania na angielski.

Podniósł wzrok i zobaczył, że dziewczyna uśmiecha się do niego, siedząc obok przy swoim komputerze.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale...

Serce Dylana aż podskoczyło. Trudno mu się było skupić, kiedy Tori się do niego uśmiechała i patrzył w jej ciemne oczy i ładną twarz otoczoną lśniącymi czarnymi włosami. Miała chłopaka, więc nie sądził, by z nim flirtowała, ale w tym semestrze zawsze siadała koło niego w sali medialnej, a on nie miał nic przeciw temu.

– Słucham? – zapytał cicho, żeby nie przyczepiła się do nich bibliotekarka. Byli pilnowani na egzaminach, ale jako że podczas pisania wypracowania trudno było coś ściągnąć, nikt nie patrzył im na ręce.

– Zastanawiałam się, czy mógłbyś mi pokazać tę sztuczkę, jak sprawić, żeby twoja praca wyglądała na nieco dłuższą? Bez zmiany szerokości marginesów.

Wiedział, o co jej chodzi. Jeśli wypracowanie było krótsze niż pięć stron, nie miało się szans na ocenę A. Na początek warto było zmienić rozmiar czcionki znaków interpunkcyjnych na trzynaście. Znał jeszcze kilka innych trików.

– Pewnie.

Przechyliła się w jego stronę, czuł zapach jej perfum. Starał się o tym nie myśleć; nie mogło go nic rozpraszać, nawet Tori.

Głośno przełknął ślinę.

– Mógłbyś mi to ustawić? – wyszeptła.

– Pewnie – powtórzył. Jakby znał tylko jedno słowo. Dziewczyny takie jak Tori sprawiały, że się denerwował, nawet takie miłe, które już miały chłopaka. Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt na nich nie patrzy. Nie. Wstrzymał oddech, pochylił się nad jej klawiaturą i otworzył katalog systemowy. Kilka zmian, które zajęły mniej niż sześćdziesiąt sekund, i gotowe. – Spróbuj teraz.

Otworzyła swój plik, przeskrolowała go i posłała mu promienny uśmiech.

– Łał! Doskonale! Mam pięć stron. Fantastycznie.

Dylan kiwnął głową.

– Dziękuję bardzo! Masz do tego talent. – Zamilkła na chwilę, po czym wyszeptła znowu: – Hej, czy to prawda? O tym, co mówią o twojej mamie?

– Mojej mamie? – Dokąd to zmierzało?

– No wiesz, pisali o tym w gazecie. Że ona... że była aresztowana za popełnienie morderstwa. – Jej migdałowe oczy nieco się zaokrągliły, a jemu zrobiło się zimno. – Jest o tym w sieci.

Wiedział. Już to przeczytał, ale artykuł opisywał sprawę dość wiernie; po prostu opierał się na faktach dotyczących zabójstwa starego jak świat.

A więc Tori tak się nim nagle zainteresowała, żeby pomógł jej w zadaniu i dlatego, że jego matka była jakąś psycholką, a może nawet morderczynią? Czyżby teraz widziała w nim niegrzecznego chłopaka? Chuligana? Serio?

– Nikogo nie zabiła – powiedział szeptem, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Wiem, wiem, ale łał. Aresztowana pod zarzutem morderstwa. Wyobrażasz sobie?

– Nie. – Nagle poczuł, że powinien jej bronić.

– To niesamowicie...

Nie mów „zajebiste”.

– ...interesujące. – Posłała mu kolejny uśmiech. Znał artykuł i zastanawiał się, czy w szkole Edgewater High będzie sensacją, ale Tori była pierwszą osobą, która go o niego zapytała. Jeśli ktokolwiek go przeczytał i się nim zainteresował, on o tym nie wiedział.

Aż do teraz.

– Skoro tak mówisz.

– Przynajmniej możesz powiedzieć, że twoja mama nie jest nudna. – Tori pozbierała swoje rzeczy. – Moja mama jest rachmistrzem. Fuj. – Przewróciła swoimi niesamowitymi oczami, po czym wyjęła komórkę z kieszeni, spojrzała na ekran i nie obdarzyła go kolejnym spojrzeniem, do czasu aż rozległ się dzwonek kończący zajęcia, ostatnie tego dnia.

Wziął swój plecak, wmieszał się w tłum uczniów. Najgorsze, że nie wiedział, czy ona go choć trochę lubi, czy też kieruje nią wścibstwo.

Wyszedł na korytarz, gdzie wchłonał go tłum idących, krzyczących, śmiejących się, tłukących w szafki nastolatków. Poczuł cień dumy. Przecież miała rację. Co prawda, nie był dobry w wielu dziedzinach, ale rozumiał komputery, znał je na wylot. Miał ogromne umiejętności, już o nich mówiono. Nie była pierwszą osobą, która poprosiła go o pomoc. Niedobrze. Wolał się z tym nie afiszować. Nie popisywać. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, skoro zainteresowała się nim Walsh. Miał się z nią spotkać zaraz po lekcjach.

Na korytarzu obszedł z daleka swoją szafkę i trzymał się młodzieży idącej w stronę wyjścia przy biurach szkolnej administracji. Rozglądał się w poszukiwaniu Schmidta, ale nigdzie go nie widział. Dobrze. Jak będzie w dużej grupie, nic nie powinno mu się stać.

Oby.

Sekretarka gestem zaprosiła go do gabinetu pani Walsh.

– Zaraz przyjdzie. Powiedziała, że mam cię wpuścić.

Wszedł do niewielkiego pokoju i zastanawiał się, ile będzie czekał. Skoro miał czas...

Zerknął przez ramię i zobaczył, że sekretarka zajęła się czymś przy swoim biurku. Zanim zdołał się zastanowić, pchnął drzwi, tak że została tylko wąska szpara, po czym ruszył za biurko wicedyrektorki. Nie usiadł, odsunął fotel w tył, pochylił się nad klawiaturą i sprawdził komputer Walsh.

Nie dostał się do niego. Potrzebował hasła.

Wygaszacz ekranu przedstawiający szkołę od frontu kąpił z niego. Delikatnie, wstrzymując oddech, Dylan otworzył szufladę, szukając jakiejś karteczki, na której mogła zanotować kod dostępu. Na pierwszy rzut oka nic takiego nie znalazł. Rozejrzał się po blacie biurka, podniósł nawet zdjęcie i zajrzał na tył, gdzie mogłaby mieć zapisane hasło. Ani śladu w szufladach. Nic na schludnym biurku.

Naprawdę się teraz pocił.

Nie miał zbyt dużo czasu.

Gdyby tylko zdołał odgadnąć...

Mysł, myśł.

Zdjęcie jej córki... Boże, jak ta dziewczyna ma na imię?

Beth? Bethany? Brittany? Była kilka lat starsza od Harper, skończyła szkołę rok przed tym, jak on zaczął się tu uczyć. Więc miała chyba dziewiętnaście lat? Wypróbował każde z tych imion, pisane normalnie i wstecz, każdy rok, kiedy mogła się urodzić.

Nic.

Przygryzł wargę.

Zamyślił się.

Poczuł pot na czole.

Dalej, Ryder, myśł. Dasz radę.

Podniósł wzrok i zobaczył, że dziewczyna w sekretariacie zbiera swoje rzeczy.

Kurde. Mogła zajrzeć do środka i go przyłapać.

Walilo mu serce.

Uspokój się!

Jeszcze kilka sekund.

Gdyby wiedział więcej o Marlene Walsh, na przykład, jak nazywa się jej mąż albo czy ma jakieś zwierzątko, albo gdyby znał jej rok urodzenia lub ukończenia szkoły czy studiów... Potrzebował więcej informacji, żeby dostać się do jej komputera.

Ostatecznie nie stanowiło to wielkiego problemu. Wiedział, że mógłby włamać się do szkolnej sieci; to nie było takie trudne, ale świetnie byłoby się po prostu zalogować jako ta cholerna wicedyrektorka. Poczułby wielką satysfakcję, jakby napuł jej w twarz, nie ujawniając swojej tożsamości. Pogwałcenie przepisów i...

Za drzwiami rozległ się odgłos kroków.

Prawie stanęło mu serce.

Kurwa!

Podniósł wzrok.

Sekretarka odwracała się w stronę biurka.

Wrócił na krzesło za drzwiami dokładnie w chwili, gdy zostały pchnięte, wyjął telefon z kieszeni i udawał, że coś pisze.

– Dylan. – Marlene Walsh uśmiechnęła się tym samym plastikowym uśmiechem, którym posługiwała się, zwracając się do uczniów w jednym ze swoich durnowatych przemówień „Bla-bla Edgewater Eagles”, których nie znosił. Takie były nadęte. – Przepraszam za spóźnienie.

– Nie szkodzi. – Wstał. Tego nauczył go tata wiele lat temu.

– Siadaj, siadaj. – Gestem wskazała krzesło, obeszła biurko, stanęła po drugiej stronie i spojrzała na swój fotel.

Jezu, zapomniał przystawić go do biurka.

Wie! Domyśliła się, że tam byleś.

Próbował zachować spokój, gdy poprawiła na nosie okulary do czytania i szybko zastukała palcami w klawiaturę. *Beth2018Anne*. Przynajmniej tak mu się zdawało.

To właśnie imię jej córki. Beth Anne! Teraz sobie przypomniał. Założyłby się, że jeśli szkoła wymagała, żeby czasem zmieniała hasło, po prostu wstawiała inny rok albo coś i zostawiała te same litery... 2018, czyżby rok, kiedy Beth Anne ukończyła naukę? Kto wie? I kogo to obchodzi?

Dłonie położyła płasko na biurku.

– Ile czekałeś?

Unióśł ramię, próbując zachować znudzoną minę.

– Nie wiem. Jakąś minutę chyba.

– Hmm. – Nie wierzyła mu. Ale nadal coś pisała. Teraz czuł, że koszula przylepia mu się do pleców. – Dobrze, zobaczymy... Przeglądałam twoje dane. – Zerknęła na niego. – Nie frekwencję, to już przerobiliśmy, lecz wyniki.

Poczuł strach, a wraz z tym uczuciem uniosły się włoski na jego karku. O co tu chodzi?

Patrzyła na monitor, jakby czytała to, co widzi, po raz pierwszy, ale Dylan domyślał się, że robi to na pokaz, że już wie, co zamierza powiedzieć. – Odkąd w zeszłym roku zacząłeś chodzić do Edgewater High, twoje oceny stopniowo się pogarszają.

A więc nic nowego.

– A wyniki testów? Nic a nic. Są ponadprzeciętne, zwłaszcza z matematyki i informatyki. – Ściągnęła brwi ponad okularami i wygięła usta w dół. Kolejna wyćwiczona mina. – W zasadzie twoja praca bieżąca nijak się ma do tego, jak wypadasz na testach.

Spojrzała na niego, a on ponownie wzruszył ramionami. Wiedział, o co jej chodzi; twierdziła, że jest leniem.

Oderwała się od monitora i pochyliła nad biurkiem.

– Wiesz, Dylan, masz ogromny potencjał.

Tak, tak, już to kiedyś słyszał.

– Pan Tallarico prosił, żebyś w przyszłym roku został jego asystentem podczas zajęć z informatyki. Ta funkcja zwykle przypada uczniowi z ostatniej klasy. – Zamilkła na chwilę, czekając na jego reakcję, ale on tylko rozparł się na krześle. – A więc skąd ta różnica w wynikach? – zapytała, chociaż, według niego, było to pytanie retoryczne. Tak naprawdę nie oczekiwała, że na nie odpowie, więc nic nie powiedziała. Wyprostowała się na krześle i zapytała: – Jak leci w szkole?

– Dobrze.

– Żadnych problemów z kolegami, poza panem Schmidtem?

– Tak, wszystko w porządku.

– A w domu?

– Słucham?

– Mieszkasz z matką. – To nie było pytanie.

A więc o to chodziło. Słowo na literę R. Jego rodzice byli rozwiedzeni. Co nie było wielkim problemem; rodzice wielu jego kolegów się rozstali.

– Przez większość czasu, tak. – Podniósł wzrok i wytrzymał jej spojrzenie.

– Ale widzisz tatę. – Kolejny zbyt miły uśmiech.

– Tak.

– Wszystko w porządku w domu? – Lekko ściągnęła brwi.

– Tak. – Powiedział to z nieco większym entuzjazmem. Do czego zmierzała? Dodał: – Wszystko dobrze. Naprawdę.

Odczekała kilka sekund, po czym wstała.

– Rozumiem, ale wiesz, że w razie czego zawsze możesz porozmawiać ze mną lub panną Lindley.

Szkolną psycholożką? O rany.

– Nie muszę – odparł, czując, jak spinają się jego mięśnie.

– Jasne. Skoro tak twierdzisz. A teraz może mógłbyś pomóc nam uporać się z kamerami. Jak rozumiem, problem polega na przechowywaniu danych w komputerze. Pan Tallarico już coś zaczął robić w tej sprawie.

Och. A więc nie miał być sam. Żadnej niespodzianki. Ale szkoda. Z rozkoszą zostałby sam na sam ze szkolnym systemem monitoringu.

Gdy pani Walsh wyszła zza biurka, dopiero teraz zauważył schludnie złożoną gazetę w tacce na sprawy bieżące. Nagle wszystko zrozumiał.

Przeczytała artykuł o morderstwie jego wujka, o tym, że mamie postawiono zarzuty. Podobnie jak Tori Suzuki. Świetnie. I wicedyrektorka oczywiście uznała, że to nim wstrząsnęło. To dlatego wspomniała o szkolnej psycholożce.

W życiu do niej nie pójdzie.

To się, kurwa, nigdy nie stanie.

Pacjentka: Kłamałam. Wszystkich okłamałam.

Terapeuta: Tamtej nocy?

Pacjentka: Tak. I teraz. Okłamuję ich cały czas. Moich przyjaciół. I Luke'a.

Terapeuta: Opowiedz o tym.

Pacjentka, zmartwiona: Nigdy o tym nie mówiłam. Próbowalam, ale nie mogłam. Nie mogę. Dalej nie mogę.

Terapeuta: Wróćmy do tego. Do tej nocy w wytwórni.

Pacjentka: Nie chcę.

Terapeuta: To twoja decyzja.

Pacjentka, drżącym głosem: Dobrze, wróćmy tam. – Chwila milczenia. Pacjentka drży. – Już tam jestem. W wytwórni. Jest ciemno, tak... ciemno. Chyba czuję zapach ryb... nie, to tylko rzeka. Mokra. Cuchnąca. – Pacjentka się skupia, marszczy brwi. – Są tu ludzie, ale ja ich nie widzę, tylko słyszę. Jest ich wielu. Strzelają pistolety. I fajerwerki. Ktoś się śmieje. Ale ja się boję. Luke! Muszę znaleźć Luke'a. Zanim będzie za późno.

Terapeuta: Za późno na co?

Pacjentka: Zanim ktoś inny się dowie!

Terapeuta: Dowie o czym?

Pacjentka, z frustracją, zalamującym się głosem: O moich kłamstwach. Że go okłamałam. I rodziców. I przyjaciół. Wszystkich. Ale głównie... głównie jego.

Terapeuta: Gdzie się znajdujesz w budynku?

Pacjentka: Idę, mam pistolet w ręce, jest ciemno. Tak ciemno. Nic nie widzę. Ludzie biegną. Śmieją się. Słyszę, że ktoś wchodzi po drabinie, brzęczą stopnie, a potem... a potem... strzelam.

Terapeuta: I co potem?

Pacjentka, pobudzona, z szeroko otwartymi oczami, bliska paniki: A potem Luke się przewraca! Dostał! Wszędzie jest krew. O Boże! Nie może umrzeć. Nie może! Muszę z nim porozmawiać, muszę wyjaśnić... Muszę go uratować!

Terapeuta: A możesz?

Pacjentka w panice: Nie! Jest za dużo krwi. Luke! Luke!

Terapeuta: Wróćmy już.

Pacjentka z determinacją: Nie! Nie mogę go zostawić. Nie!

Terapeuta: Już pora. Wracasz.

Pacjentka: Nie, Luke, proszę, proszę.

Terapeuta przejmuje kontrolę: Wynurzasz się.

Pacjentka: Luke, o Boże, Luke. Wybacz mi!

Terapeuta bardziej stanowczo: Opuszczasz wytwórnię i Luke'a. Na razie. – Terapeuta kryje frustrację i mówi pewnym głosem. – Liczę.

Pacjentka, szybko oddycha, niemal dochodzi do hiperwentylacji: Ale...

Terapeuta, stanowczo: Trzy. Opuuszczasz budynek, oddalasz się od nabrzeża i Luke'a, zostawiasz za sobą przeszłość.

Pacjentka, wciąż w panice: Nie wiem. Mogłabym go ocalić...

Terapeuta, kontrolując sytuację: Dwa. Zaczynasz się budzić.

Pacjentka: Tak wiele muszę mu powiedzieć. – Wciąż się smuci, ale wychodzi z hipnozy.

Terapeuta: Jeden.

Pacjentka ma otwarte oczy, mruga, przyzwyczajają się do miękkiego światła i kojącej muzyki w pokoju. Kadzidło wpuszcza w powietrze leciutką nutę oleandra, pacjentka wierci się i skupia wzrok na terapii.

Terapeuta uśmiecha się z ulgą, jego głos jest miękki i pewny: Wróciłaś.

Pacjentka, zdyszana, zasnucona: Nie mogłam mu powiedzieć. Nie miałam okazji.

Terapeuta: Powiesz. Może podczas kolejnej sesji.

Pacjentka, wdychając: Może. Ale tak długo z tym żyłam.

Terapeuta: Potrzeba na to czasu.

Pacjentka z przekąsem: A czas leczy rany, nieprawdaż? Cóż, ta rana, ten ból trwa od zbyt dawna. Musi się skończyć.

Terapeuta, zerkając na zegar na antycznym biurku: Skończy się.

Skórzana sofa trzeszczy, gdy pacjentka podnosi oparcie do pozycji siedzącej.

Mam taką nadzieję. – Pacjentka wstaje. – Boże, mam taką nadzieję.

ROZDZIAŁ 19

Przez lata Rachel nauczyła się, że musi wybrać odpowiednią chwilę, więc w poniedziałek czekała, aż dzieci wrócą do domu ze szkoły. Obiad był w piekarniku, zrobiła lasagne; alarm został ponownie podłączony; a oni zasiadali do zadania domowego.

Dylan niewiele powiedział o tym, co robił po szkole dla pani Walsh, stwierdził tylko, że było „w porządku”. A Harper poświęciła kilka godzin na projekt u koleżanki, gdzie prawdopodobnie się uczyła.

Żadne z dzieci nie zapytało Rachel, jak minął jej dzień, chociaż gdyby to zrobiły, nie powiedziałyby im o drzwiach. Nowa warstwa czarnej farby już wyschła, a ona postanowiła, że informacja o tej groźbie może poczekać na inny dzień.

Teraz jednak nadeszła pora na prawdę o tym, czego dopuścił się jej syn.

Harper rozmawiała w pokoju przez telefon, drzwi były lekko uchylone, Dylan szedł właśnie do swojej nory, gdy Rachel go zatrzymała.

– Musimy porozmawiać – oświadczyła. – W salonie.

– O czym? – Nie wydawał się zaskoczony, nie oponował, po prostu na bosaka ruszył w tamtą stronę.

– O tym. – Z kieszeni wyjęła skarpetę ze zwitkiem pieniędzy i zauważyła, że syn zaciska szczęki. Żadnego zaskoczenia. Złości. Sądziła, że będzie zszokowany, ale z całą pewnością nie był. – Siadaj.

Przysiadł w rogu kanapy.

– Chcesz to wyjaśnić? – zapytała.

– Nie. – W jego oczach zapłonął bunt.

– Cóż, albo to wyjaśnisz, albo założę najgorsze. – Opróżniła skarpetę i wraz z obciążającymi go banknotami położyła ją na ławie. – Mów.

– Rany, mam, to nie tak, jak myślisz.

– To znaczy?

– Że sprzedaję narkotyki, prawda? Czy nie to myślałaś, gdy poruszyłaś sprawę xanaxu? – Przewrócił oczami. – Nie jestem aż tak głupi.

Ugryzła się w język, żeby nie zapytać, jak głupi wobec tego jest.

– Przekonaj mnie – zażądała zamiast tego i usiadła na fotelu.

Zawahał się, wyjrzał przez okno, westchnął przez nos, gdy do pokoju wszedł Reno i położył się na swoim posłaniu koło kominka.

– Twierdziłeś, że jesteś splukany, że potrzebujesz pieniędzy, żeby spłacić tego chłopaka, który cię przesładuje.

– Schmidta – podpowiedział Dylan.

– Właśnie. Pożyczyleś ode mnie stówę, bo wisiałeś mu pieniądze „z hazardu”. – Zrobiła w powietrzu znak cudzoźstwu.

– Tak! Przecież je spłacam! Rany, mam, czy nie pomogłem ci z alarmem? Czy nie powiedziałem, że skoszę trawnik i zrobię każdą durną rzecz, którą mi dasz do roboty?

– Ale miałeś pieniądze. O wiele więcej, niż potrzebowałeś. Te pieniądze. – Palcem wskazała nierówną kupkę banknotów. – Skąd je masz i nie... nawet nie mów, że zaoszczędziłeś z urodzin. Wszystko, co dostajesz, idzie na sprzęt komputerowy, jakieś gry czy coś w tym stylu.

– To moja sprawa.

– I moja. – Chcąc się trochę uspokoić, spytała: – A więc co się dzieje, Dylan? W co się wpakowałaś?

- Nie w narkotyki! - krzyknął, a potem dodał spokojniej: - Okej?
- To w co? Nie próbuj mnie przekonywać, że to jakieś zakłady online, ponieważ tego nie kupię. Założył ręce na piersi, nerwowo przytupywał stopą, ale nie odpowiedział.
- Wiesz, że nie jestem twoim wrogiem - przypomniała.
- Więc dlaczego tak się zachowujesz? Przesłuchujesz mnie?
- Bo się boję, Dylan. Robisz coś za moimi plecami, coś, o czym nie chcesz mówić, coś, co chcesz ukryć. Martwię się, że masz jakieś problemy.
- Nie mam.

Nie słyszała, kiedy Harper wyszła ze swojego pokoju i przeszła przez korytarz, ale właśnie się pojawiła i stanęła w wejściu do salonu.

- Powiedz jej - zachęciła brata.
 - Słucham? - Pokręcił głową, zrobił wielkie oczy.
 - Powiedz jej, że na boku pomagasz kumplom, no wiesz, z komputerem. - Patrzyła wprost na niego. - Przyszaj się, że jesteś kujonem, zapewne najlepszym w szkole.
- Dylan był biały jak ściana.
- Więc robisz to samo, co dzisiaj po południu dla mamy i pana Tallarico po szkole, naprawiasz komputery i inne sprzęty. Dla kumpli. - Weszła do pokoju, stanęła koło kominka.

- Ale...

- Powiedz albo ja to zrobię - zagroziła Harper, wbijając w niego wzrok. - No dobrze - oświadczyła w końcu i spojrzała na Rachel. - Rozkręcił na boku taki mały interesik, nic poważnego, ale rozeszło się, że pomaga dzieciakom przywrócić system, czy co tam trzeba, na komputerze.

To nie brzmiało dobrze.

- Zrobił coś dla mnie na telefonie, gdy nie mogłam sobie poradzić z taką jedną apką, pomógł Lucasowi i Xanderowi, mojej koleżance Julie i innym. - Machnęła ręką, jakby chciała włączyć w to całą społeczność szkolną z Edgewater High. - Czasami robił to bez wiedzy ich rodziców. Na przykład jak ktoś dostał od kogoś telefon.

- Czyli kradziony?

- Nie! - Energicznie pokręciła głową.

- Yhy. - Dylan szybko potwierdził.

Rachel próbowała zebrać to do kupy.

- To dlatego ten Schmidt się do ciebie przyczepił?

Dylan potaknął, zerkając na siostrę, jakby liczył na jej wsparcie.

- Jak do tego doszło? - zapytała Rachel.

- Coś, co dla niego zrobiłem, nie działało i on... chciał, żebym naprawił to tu i teraz, więc zerwałem się z lekcji, żeby się z nim spotkać, ale nie miałem ze sobą właściwego sprzętu. Chciałem przynieść to do domu, ale on się na mnie wkurwił, w sensie wkurzył się. Powiedział, że już zapłacił i... no i...

- Ale dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Bo ty robisz ze wszystkiego wielki problem, ze wszystkiego. Jesteś żywym przykładem nerwów na wierzchu.

- Nie jestem... - zaczęła protestować.

- Serio, mamó - przytaknęła Harper. - O niczym nie możemy ci powiedzieć, bo ty od razu... Cóż, dziwnie się zachowujesz i robisz się podejrzliwa.

- To prawda? - zapytała Rachel, zwracając się do syna. Obok niego, za oknem dojrzała Ellę Dickerson. W swoim ogródku na czworakach wyrwała chwasty. - Jestem aż tak zła?

Dylan przeknął ślinę i zerknął na siostrę, po czym spojrzal w oczy matki.

– Po prostu nie chcemy cię denerwować.

Nie wiedziała, czy usłyszała całą prawdę, podejrzewała, że coś przed nią ukrywają, że zmówili się, by przedstawić jej taką wersję zdarzeń, ale na pewno część była prawdą.

– Słyszemy cię, mamó – wyjaśniła łagodnie Harper, i po raz pierwszy, odkąd włączyła się do rozmowy, zdawała się całkiem szczerą. – W nocy, kiedy masz te sny. Słyszemy, jak chodzisz wkoło, mówisz do siebie, czasem nawet krzyczysz.

Zasmuciła się. Ostatnie, czego by chciała, to być zmartwieniem dla swoich dzieci.

– To nie twoja wina – dodała szybko córka. – Ja... Wiemy o tym, ale to... straszne.

– Tak – wtrącił Dylan. – I trochę dziwne, mamó.

Boleśnie ścisnęło jej się serce.

– O Boże. Nigdy nie chciałam...

Okropnie się poczuła i chciała przeproszać wszystkich naokoło, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku, niż oczekiwała, zamiast dotyczyć oczywistych mataceń Dylana, wpędziła ją w poczucie, że zawiodła w roli matki. Patrzyła to na córkę, to na syna. Choć raz zdawali się całkiem szczerzy. Mimo to była podejrzliwa. Nawet teraz mogli coś ukrywać. Ale co?

– No dobrze. – Klepnęła się w uda, po czym wstała. – To było... oświecające. I może wszyscy powinniśmy popracować nad prawdowością.

– I spokojem? – zasugerowała Harper.

– I nad tym także. – Rachel miała wrażenie, że nadeszła pora na grupowe przytulenie się jak w telewizyjnym sitcomie lub dramacie, ale ciszę przerwał Dylan.

– Mogę już iść?

– Tak. Ale kończymy z tajemnicami i z uciekaniem z zajęć. Możesz zajmować się tym w domu lub spotykać z kolegami przed lekcjami albo po nich.

– Okej. Mogę zabrać pieniądze? – zapytał.

– Tak, oczywiście. Są twoje – odparła. – Oprócz tej stówki, którą mi wisisz.

– Dobrze – zgodził się, zabrał banknoty i poszedł do swojego pokoju.

– Dzięki – zwróciła się do córki, ale nie czuła ulgi, którą spodziewała się odczuć.

Harper kiwnęła głową.

– Nie ma za co, ale mamó, naprawdę, nie wchodź więcej do mojego pokoju, dobrze? Nie, nie mów mi, że tam nie byłaś, bo przecież wiem. Potrafię to stwierdzić. Poza tym nie mamy żadnych innych sekretów. W porządku?

– Tak.

– Zresztą przeglądanie moich rzeczy jest nielegalne, prawda? Jest pogwałceniem prywatności, czy jak tam to się nazywa?

– Nie jest nielegalne. – Rachel zaprzeczyła gestem i poprawiła gumkę, która przytrzymywała jej włosy z dala od twarzy. – Ale następnym razem ci powiem.

– Nie. Nie będzie następnego razu. Potrzebuję swojej przestrzeni. Mam prawie...

– Osiemnaście lat. Wiem. I sądzisz, że, gdy staniesz się pełnoletnia, będziesz całkowicie niezależna. Ale nadal będziesz mieszkać ze mną.

– Albo z tatą. Mogę zamieszkać u niego. – Harper lekko wysunęła podbródek.

Rachel zakłuło w sercu, ale nie okazała tego po sobie.

– Tak, masz taką możliwość.

– Albo mogę wynająć mieszkanie – dorzuciła z przekorą córka.

– Sądzisz, że będzie cię na nie stać?

– Ze współlokatorem.

Oho. Dokąd to zmierza? Na przykład z Xanderem Vale'em? Przemilczała ostatnie słowa Harper. Nie chciała podpowiadać jej czegoś, na co być może sama jeszcze nie wpadła.

– Będziesz musiała iść do pracy, może nawet do dwóch, żeby się utrzymać, do tego szkoła, więc chyba lepiej się z tym nie spieszyć. Tu jest o wiele taniej.

– Ale mam wrażenie, że mieszkam w więzieniu. – Harper w dramatycznym geście wyrzuciła ręce w górę. – Nawet nie pozwalasz mi jechać na koncert. Bo nie lubisz Xandera!

– Nie znam go.

– No właśnie! – Sięgnęła do kieszeni, przeczytała wiadomość i powtórzyła: – Więzienie.

Rachel posłała jej spojrzeenie typu „chyba sobie żartujesz”. Nie mogła się doczekać, aż Harper zamieszka sama i dostanie nie tylek od życia, ale jeszcze nie teraz: wciąż była taka młoda i na swój sposób naiwna. Wobec tego powiedziała:

– Masz rację, to więzienie, a ja jestem strażniczką.

– Wiesz, co mam na myśli! – Nawet oderwała wzrok od telefonu.

– Tak, wiem. Pamiętam, że to samo mówiłam swojej matce i dam ci tę samą radę, którą od niej usłyszałam: „Nic nie poradzisz!”

Spóźniał się.

Znowu.

Annessa obeszała starą szkołę, nieużywane klasy, zapomniane korytarze z brudnymi oknami, z których wiele dawno zabito deskami. Znajdowała się w podstawówce St. Augustine, niegdyś pełnej śmiechu, krzyków, biegających dzieci, a teraz cichej, śmiertelnie cichej, pustej, zimnej i śmierdzącej stęchliną.

Jej mąż, Clint Cooper, kupił to miejsce razem z innymi nieruchomościami w mieście. Skoro ponownie zamieszkała w Edgewater, żeby zająć się niedomagającymi rodzicami, uznał, że uszczęśliwi ją zakupem kilku miejsc „z historią”, żeby „zrewitalizować” miejscowość, której nie przysłużył się upływ czasu. Ponadto Clint nabył też farmę w Astorii; tartak w jej okolicy; starą wytwórnię konserw na nabrzeżu i St. Augustine, w której skład wchodziła ta szkoła, mały kościół i przylegający do niego szpital.

– Zróbmy z Edgewater miasto turystyczne – powiedział Clint, sądząc, że to ją ucieszy. – Możemy przekształcić starą szkołę w hotel, kaplicę w restaurację, a w szpitalu zrobić mieszkania. – Znajdował się na tarasie ich penthouse'u, palił cygaro, za nim lśniły światła Seattle. Z narastającym entuzjazmem opowiadał jej o swoich planach. – A może przekształcimy wytwórnię Sea View w centrum handlowe z butikami? I mieszkania, skoro budynek stoi nad rzeką, są tam fantastyczne widoki, wspaniała przyroda! Wiem, że budynek trzeba będzie wyburzyć, ale możemy użyć starych planów i sprawić, żeby ludzie myśleli, że to wciąż to samo. Ma swoją historię, był miejscem pracy, a do tego jeszcze to morderstwo. Dopełnia atmosferę tajemniczości.

– Byłam tam – przypomniawszy mężowi, który włożył cygaro do ust, więc widziała rozżarzony koniec i dym wznoszący się nad jego lysiejącą głową. – Zadnej tajemniczości. Było okropnie.

– Ludzie lubią okropieństwa. – I poszedł, marząc o zbudowaniu czegoś niezwykłego.

Nie rozumiał jednego – że Edgewater jej nie obchodziło. A więc miasto umierało, no i co z tego? Tak, wróciła, opiekowała się tatą po śmierci matki, ale była tu tylko tymczasowo. A raczej taki był plan. Jej plan. Ale tam gdzie ona widziała obowiązek, jej mąż zauważał możliwości.

Pomyłka.

Będąc tu, w starej szkole, czuła zdenerwowanie. Weszła do pomieszczenia, które dawniej służyło za łazienkę dla uczniów podstawówki, znajdowały się tam nisko zawieszone umywalki i rząd kabin. *Łazienka dziewcząt*, stwierdziła. Żadnych brudnych pisuarów na ścianach. Zauważyła swoje odbicie w zakurzonym, popękany mustrze. Wysoka i szczupła, z lśnącymi, niemal czarnymi włosami i oczami

w kolorze intensywnego turkusowego dzięki kolorowym soczewkom. Wciąż atrakcyjna. Zamożniejsza niż dawniej. O wiele. I samotna jak diabli.

Bezdzietna.

Były wprawdzie odchowane przybrane dzieci oraz małe wnuczeta, które jej nie znały i miały to gdzieś.

Starzejący się lew, jej mąż, którego bardziej obchodziły punkty w meczu golfowym, nowa inwestycja oraz cyfry na kontach bankowych niż atrakcyjna żona.

Clint nigdy jej nie „ogarniał”. Nie rozumiał.

Nigdy nie zrozumie.

Trzydzieści dwa lata to gigantyczna różnica wieku. Na miłość boską, ona unikała zjazdu z okazji dwudziestolecia ukończenia szkoły, a on już dostawał świadczenie emerytalne! Ta myśl nie zaświtała jej piętnaście lat temu, kiedy zamoczyły ją jego pieniądze i on sam, miał wtedy pięćdziesiąt pięć lat, wciąż był pełen werwy, szczupły, światowy i... i to wszystko można było o kant dupy rozbić.

A teraz czekała na swojego kochanka, którego obchodziła tyle co swojego męża.

Zniesmaczona samą sobą, wsłuchiwała się w ciche kap, kap, kap dochodzące z niedokręconej rury, ponownie wyszła na korytarz i przypomniała sobie fartuszek, który nosiła, zabawy na podwórzu, częściowo zadaszonym, słupek do gry w speedballa, cztery kwadratowe boiska i kilka starych, i zapewne niebezpiecznych sprzętów. Teraz gdy wyrzała przez szybę w zamkniętych drzwiach, zobaczyła tylko gruz w miejscu, gdzie kiedyś bawiła się i śmiała.

Spędziła tu pierwszych osiem, a raczej dziewięć lat, gdy wliczyć przedszkole, zanim została zapisana do szkoły publicznej. Edgewater High.

Dwadzieścia lat temu.

Zapewne powinna pójść na zebranie w sprawie zjazdu u Lili, ale prawda była taka, że jej nie znosiła. Dwadzieścia lat temu miała takie same odczucia, bo Lila była zazdrosna o nią i pieniądze jej ojca. Ze swojej strony pilna Annessa nie lubiła zimnej blondynki, która przeskakowała z kwiatka na kwiatka, zawsze szukając chłopaka, który był trochę popularniejszy, bogatszy lub fajniejszy od poprzedniego. Lila w ogóle flirtowała z każdym, czy to chłopakiem, czy mężczyzną i miała skłonność do wybierania tych starszych.

Dlatego też Annessa była zaskoczona, kiedy Lila zaczęła chodzić z Lukiem Hollanderem. Nie miał majątku, był starszy tylko o parę lat i już nie był gwiazdą futbolu. A mimo to Lila zagięła parol na brata Rachel Gaston i została najlepszą przyjaciółką Rachel.

Na krótko.

Każdy, kto umiał myśleć, widział, że wykorzystwała dziewczynę, żeby zbliżyć się do Luke'a. Rachel prawdopodobnie też to widziała, ponieważ ich przyjaźń osłabła z czasem.

Annessa uśmiechnęła się na to wspomnienie. Cóż, kto mógłby winić Rachel? Lila stała się jej cholerną teściową.

Chore.

Użyła klucza, otworzyła drzwi na szkolne boisko i wyszła na zewnątrz. Panował tam półmrok, zaczynało się ściemniać.

Teren był zamknięty, z dwóch stron odgradzony skrzydłami szkoły. Dokładnie naprzeciw niej wznosiła się stara kaplica, teraz rozspływająca się pod spadzistym dachem, z którego wznosiła się wysoka wieża i dzwonnica przesywająca wieczorne niebo. Z czwartej strony boisko odgradzał wysoki drewniany płot z zamykaną na klucz furtką prowadzącą na parking szpitala.

Pamiętała, że w trzeciej klasie spadła z małego gaju i zwichnęła kostkę. Siostra Mary Rosarius, najwredniejsza z zakonnicek w szkole, przeniosła ją przez bramę i wzdłuż zadaszonych portyku do szpitala, cały czas mamrocząc, że wszystko będzie dobrze, że nie powinna być takim dzidziusiem i powinna przestać płakać.

– Oj, już, nie marudź. Pomódl się ze mną – rozkazała, idąc tak szybko, że jej habit aż szeleścił przy każdym kroku. – Zdrowaś Mario, łaski pełna. Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus...

Annessa się nie modliła i nie przestawała szlochać.

Teraz wyszła na podwórze, bzycały jakieś owady, a jedyna latarnia rzucała słabe, nierówne światło na upstrzone kępkami chwastów klepisko dawniej porośnięte trawą. Na gołej ziemi lśniły odłamki szkła.

Kiedys spędzała tu długie godziny, śmiała się, bawiła, knuła coś z przyjaciółmi. Pamiętała dzwony na wieży, które wzywały na mszę i obwieszczały koniec lekcji. Dyrektorem był ojciec Timothy i chociaż zatrudniał kilka zakonnic, większość kadry stanowili pracownicy świeccy.

Przypomniła sobie...

Skrzyyyyyyp.

Co to było?

Zamarła.

Czy to but szurający po ziemi gdzieś za nią?

Odwrociła się, spodziewając się zobaczyć, że to on kroczy przez boisko w szatańskim uśmiechem na twarzy i figlarnym błyskiem w oczach.

Ale przestrzeń za werandą była pusta. Pozbawiona życia. Cicha i spokojna. W oknach ponura ciemność.

Jezu.

Siępa się. Oblizła wargi. Obrzuciła spojrzeniem całe boisko, gdzie stały zniekształcone, połamane kawałki sprzętu sportowego, i zacienione zaułki, w których rozpleniły się jeżyny i chwasty. Gardło miała suche jak wiór.

Tym razem posunęli się za daleko. Te potajemne schadzki zawsze były ryzykowne, odrobina niebezpieczeństwa sprawiała, że seks zdawał się bardziej satysfakcjonujący. Zdradzanie partnerów im nie wystarczało; oboje lubili, gdy w ich żyłach krążyła adrenalina.

Ale to, co zaplanowali na ten wieczór, było przekroczeniem granicy.

Kolejnej granicy, przypomniała sobie, gdy ze starej wieży wyfrunął nietoperz.

Włoski na jej rękach się uniosły, usłyszała swój puls w uszach.

– Jesteś tu? – szepnęła.

Czekała.

Żadnej odpowiedzi.

Tylko wiatr szarpiący kawałkiem papieru, który tańczył na wyboistej, asfaltowej ścieżce.

Annessa już była spięta.

Czytała o śmierci Violet Sperry, oglądała wiadomości, słyszała plotki w kawiarni.

Wiedziała jedynie, że Violet została zabita przez nieznanego napastnika, zamordowana we własnym domu. Tu, w sennym Edgewater, gdzie nic się nie działo, do tego stopnia, że miejscowa gazeta musiała odgrzebać śmiertelny wypadek, w którym życie stracił Luke Hollander. Zrobiło jej się zimno. Była tam tamtej nocy, w wytwórni. Hałas. Zamieszanie. Odgłosy wybuchających petard, a może to była prawdziwa broń? Do tego strzały wiatrówek, krzyki i wrzaski. Widziała, jak Luke upadł, widziała, jak się wykrwawiał, sądziła, że zabiła go jego siostra, Rachel Gaston, ale potem uświadomiła sobie, że to nie takie oczywiste. Rozbłysk z lufy pojawił się z boku Rachel... a może się myliła? Wtedy nie była pewna, teraz miała jeszcze większe wątpliwości.

Owinęła się ciasniej kurtką i zastanawiała, ile jeszcze będzie musiała czekać.

Nie za długo.

Nie zamierzała tracić tu czasu.

Skrzyyyyp.

Dźwięk odbił się echem po boisku, szybko odwróciła się przez ramię i zobaczyła, że zepsuta, przechylona na bok karuzela zaczęła powoli się obracać, rzucając cień na ścianę za samotną latarnią.

Co, do cholery?

Czy to wiatr poruszył karuzelą?

Ale wiatru prawie nie było, nie był wystarczająco silny, by poruszyć starą, zardzewiałą konstrukcję. Przez chwilę pomyślała o historiach o duchach, które sobie opowiadali w dzieciństwie, twierdząc, że w kaplicy straszy.

– Takie są dzieci – wyszeptwała, ale skóra ją piekła, miała mięśnie napięte jak struny wiolonczeli siostry Catherine.

To nic takiego.

Uznała jednak, że na nią już pora. Co za idiotyczne miejsce na spotkanie.

Dlaczego w ogóle je zaproponował?

Dlaczego się zgodziła?

Ach, tak, bo oboje mieli związek z tym miejscem, z tym kompleksem, i chodzili tu do podstawówki.

I co z tego? Wychodzi.

Sięgnęła do kieszeni po klucze.

Karuzela zwolniła, zatrzymała się z jękiem.

Jej serce dudniło.

Ruszyła do drzwi szkoły i usłyszała szczękanie łańcucha. Co to?

Odwróciła się szybko, omiotła wzrokiem całe podwórze i zatrzymała spojrzenie na konstrukcji z rur, na której wisały huśtawki. Z trzech jedna była połamana, brakowało siedziska, druga nieruchoma, a trzecia lekko się kołysała, łańcuchy skrzypiały, jakby ktoś dopiero z niej wstał.

A więc tak.

Wychodzi.

Natychmiast!

Nawet jeśli tu przyszedł i próbował ją wystraszyć, ona miała już dość. Ich romantyczne schadzki były seksowne i ponętne, dzikie i niebezpieczne, ale to? Straszanie jej w taki sposób? Kiedy ktoś, kogo znała, został niedawno zamordowany?

O, nie.

Chyba upadła na głowę, że się na to zgodziła.

Idąc szybkim krokiem, dotarła do drzwi, którymi tu weszła, złapała dużą klamkę i pociągnęła.

Drzwi ani drgnęły.

Co?

Przecież je otworzyła...

Ponownie pociągnęła.

Nic.

Cholera!

Jeśli tu jest, a to miał być jakiś żart, zabije go. Uznała, że mu to powie.

– Jeśli uważasz, że podnieca mnie ta zabawa w strachy, to się mylisz.

Żadnej odpowiedzi.

Po plecach przeszedł jej dreszcz.

Czy coś poruszyło się koło drzwi kaplicy, w niszy prowadzącej do wejścia? Zadrzała.

Gmerła przy kluczach, wsadziła jeden do dziurki.

Zamek się przekręcił.

Dzięki Bogu!

Tup, tup, tup, tup, tup, tup!

Coraz szybciej.

Odgłos latających nietoperzy, krążących nad głową?

Nie!

Kroki, ktoś biegnie. Rozpędza się. Zbliża. Pociągnęła drzwi i...

Lup! Duża ręka w rękawiczce je zamknęła.

Ostra jak żyłotka krawędź zadrapała jej palec, głęboko, aż do mięsa.

– Aua! Cholera!

– Nie-ee-e. – Ktoś zawarczał jej do ucha, ciepłym, twardym głosem, innym niż się spodziewała.

Strach, który poczuła, też był inny.

Kim był ten facet?

Przywarł do niej ciałem. Poczuła jego wzwód w dole swoich pleców. Czowała jego pieprzoną erekcję wciskającą się w jej pośladki, przez ubranie, rękę w rękawiczce plączącą jej włosy, zaciskającą się na nich.

Nie, o Boże, nie!

Zaczęła krzyczeć, ale tak mocno walnął jej czołem o drzwi, że złamał jej nos. Zrobiło jej się jasno przed oczami. Ból sięgnął samego mózgu. Trysnęła krew. Była oszołomiona, ugięły się pod nią nogi. Upadłaby, lecz przytrzymała ją swoim ciałem, przygwoździł do drzwi.

Jej krzyk był słaby. Jak jęk. Słyszała, że wyjął z zamka jej klucze, rzucił je na beton.

Nie mdlej, Annesso. Nie! Walcz! Krzycz! Wrzeszcz! Ten facet chciał ją zgwałcić lub zabić, a może jedno i drugie. Otworzyła usta, żeby ponownie krzyknąć. Poczuła, że krew spływa jej do gardła.

Kim był? Dlaczego jej to robił?

Walcz, Annesso! Walcz, do cholery!

Próbowała się odwrócić, mimo że ją przyciskał, starała się wyrwać z jego uścisku, ale ledwie mogła się ruszyć. Bezradnie machała rękami; nogi miała przygwożdżone do metalowych drzwi.

Znowu próbowała krzyknąć.

Duża dłoń w rękawiczce objęła jej szyję.

Nie panikuj! Uwolnij się. Ucieknij mu jakoś! Teraz!

Przesunął się, mogła ruszyć nogami. Panicznie kopała i machała rękami, młóciła nimi powietrze, próbowała krzyczeć, ale tylko charczała, bo jego silne palce coraz mocniej zaciskały się na jej szyi. Wbiły się w ciało. Miażdżyły. Otumaniona, uświadomiła sobie, że nie czuje gruntu pod nogami. Kopała jak szalona! Spadł jej but. Słyszała, jak uderza o drzwi.

Kopnij go! Walnij! Ugryź! Niech cię puści, Annesso! Nie pozwól mu wygrać. Nie!

Walcz z całych sił. Zabije cię.

Walczyła.

Palily ją płuca.

Spadł drugi but.

Szaleńczo próbowała, ale nie mogła zaczerpnąć choć odrobiny powietrza.

Nic!

O Boże.

Zdawało się, że jej płuca zaraz wybuchną.

Czerń zaczęła pochłaniać jej świadomość.

Proszę, Boże, nie pozwól mi tu umrzeć. Pomóż mi!

Szarpała się najsilniej jak mogła, ale w końcu ręce jej opadły.

Palce wokół jej szyi zacisnęły się jeszcze mocniej.

Mimo bólu rozumiała, że zaraz zemdleje. Nie mogła nic zrobić, musiała się temu poddać. Gdy nadeszła ciemność, w jej umyśle pojawiła się stara modlitwa: *Zdrowaś Mario, łaski pełna. Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami...*

ROZDZIAŁ 20

W pokoju było ciemno.

Cicho.

Poza szaleńczym biciem jej serca.

No dalej. Zrób to. Teraz.

Wstrzymując oddech, Harper otworzyła okno i zebrała się w sobie. Nie śmiała nawet oddychać. Czełała i nasłuchiwała, ale nie słyszała żadnych syren ani nie widziała błyskających świateł. Zadziała! Dylan, ten kretyn, zrobił to, o co go poprosiła, i rozłączył przewody alarmu sięgające jej pokoju.

Bogu dzięki!

Popowoli wypuściła powietrze, wciąż jednak nie miała pewności, że nie zostanie przyłapaną, jak wymyka się z domu. Ale ani Reno nie zaczął szaleńczo szczekać, ani z sypialni na górze nie dobiegały kroki matki.

Jak dotąd, wszystko szło gładko.

Z walącym sercem założyła buty sportowe i weszła na parapet. Balansując na nim, odwróciła się i zsunęła się po ścianie domu. Następnie pchnęła okno tak, że prawie się zamknęło, i zatrzymała się na chwilę, żeby wysłać wiadomość. Gdy wcisnęła WYŚLIJ, ruszyła biegiem wzdłuż żywopłotu na tył domu, a następnie szybko przemierzyła ulicę, jakby biegła w wysięgu na sto metrów po bieżni.

Wiosenne powietrze było chłodne, noc pogodna, ciemność czałała się za światłami miasta. Biegnąc, czuła się dzika i wolna, jej włosy powiewały. Wątpliwości, które miała wcześniej, niemal zniknęły, tak jak zapewniał ją Lucas. Kuzyn przedstawił jej Xandera, chociaż twierdziła, że nie jest zainteresowana.

– Jest za stary, na studiach. Boże, i gdzie mieszka? Za siedmioma górami i siedmioma lasami.

– To tylko trzy godziny jazdy, może ciut więcej, i co z tego? – skwitował Lucas z błyskiem w błękitnych oczach. – To fajny gość. Tak, potrafi zaszczać, ale teraz cały czas tu jest, pracuje, czy ma staż u mojego taty. Widział cię, kiedy przyjechałaś tu kiedyś z mamą, kilka tygodni temu, powiedział, że jesteś seksowna, a potem chciał, żebym cię z nim umówił. Przecież to nic wielkiego. Chce cię tylko poznać; przecież nie musicie być ze sobą przez całe życie.

– Mama mnie zabije – broniła się, ale już była zaintrygowana.

– Nie musi wiedzieć. – Lucas szeroko się uśmiechnął. Sprawiało mu to przyjemność, odkąd pamiętała, był skonfliktowany ze swoją matką i ojczymem – jej dziadkiem. Zawsze ich wpieniał, uwielbiał to. – Przestań, Harper, co masz do stracenia? Nie wkurza cię, że ciągle musisz robić to, co jest dla ciebie najlepsze według twojej mamy? – Prychnął z niesmakiem. – Poza tym, może ci się w ogóle nie spodobać. Być może to tylko wielka strata czasu. – Wzruszył jednym ramieniem, a Harper uznała, że ma rację. Ona i Lucas nie byli ze sobą żżyci, ale w tym przypadku, uznała, że chłopak mówi sensownie. I dzięki temu poznała najcudowniejszego faceta na świecie. Swoją bratnią duszę.

Przebiegła pod nisko wiszącą gałęzią, igły jodły musnęły jej włosy.

Czy będzie na umówionym miejscu? Czy będzie czekał, jak obiecał? O Boże, miała taką nadzieję. Trzymając się z dala od światła rzucanego przez nieliczne latarnie, unikając wybrzuszeń na chodniku, wbiegła za róg i zobaczyła jego jeopa parkującego przy krawężniku z wyłączonymi reflektorami.

Zrobiło jej się miło na sercu.

Widziała, jak otwierają się drzwi od strony pasażera, górne oświetlenie było słabe, ale wystarczające, by rozpoznała Xandera pochylającego się nad siedzeniem. Jego ciemne, prawie czarne włosy opadły mu na czoło, zęby załśniły pomiędzy wargami, gdy posłał jej uroczy uśmiech.

Boże, ależ go kochała.

– Udało ci się – wyszeptał, gdy wsiadła i zamknęła za sobą drzwi.

– Tak. Łatwizna. Jedźmy.

– Jesteś pewna, że nie zajrzy do twojego pokoju?

– Nigdy tego nie robi. Nie po tym, co nazywa kontrolą bezpieczeństwa, kiedy idzie na górę. Każdej cholerniej nocy. To jak nerwica natręctw. – Zerknęła na chłopaka. – A może coś gorszego, ale potem zostawia nas w spokoju do rana, gdy przychodzi nas budzić.

– Super.

Pocałował ją pierwszy, a ona roztopiła się pod dotykiem ciepłych ust. Jego zęby błysnęły w ciemności. Boże, naprawdę to zrobiła. Mimo niebezpieczeństwa. Wymknęła się w środku nocy. Matka ją zabije, jeśli się dowie, ale ona dłużej tego nie znieśie. Jest traktowana jak więźniarka we własnym domu, a matka nie rozumie, co czuje do Xandera. On jest inny od chłopaków ze szkoły. Mądrzejszy. Zabawniejszy. Bardziej światowy. Przy nim jej poprzedni chłopacy – obaj – wyglądają jak gimnazjaliści.

Będąc przy nim, poczuła się lepiej.

Wrzucił bieg w jeepie, ale jeszcze nie ruszył.

– Nie chcę, żebyś miała kłopoty.

– Za późno.

– Jesteś pewna?

– Przyszłam tu, prawda? I tak, jestem pewna. – Oczywiście nie była, ale nie zamierzała mu tego mówić.

– W porzo. – Ponownie ją pocałował, po czym uśmiechnął się konspiracyjnie. Nie włączając światła, odbił od krawężnika. Włączył światła dopiero na skrzyżowaniu, następnie wyjechali z dzielnicy i po niezatoczonych ulicach udali się do miejsca, które wcześniej ustalili: małego mieszkania jej dziadka przy biurach, gdzie nocował Xander, zatrudniony przez Charlesa Rydera.

Kawalerka była rzadko wykorzystywana – przez gości lub klientów małej firmy, a czasem korzystał z niej sam Charles, gdy pracował do późna. Jednakże teraz spał w niej Xander, kiedy wykonywał jakieś prace dla firmy, czy to w biurze, czy poza nim, które obejmowały też drobne naprawy w budynku. Xander tak ułożył sobie grafik, żeby mieć więcej wolnych dni w tygodniu oraz czas podczas weekendu.

Doskonale!

To normalne, że chciał, aby Harper spędzała tam z nim trochę czasu. Dotychczas jeszcze tam nie była, ale dzisiaj...

Przelknęła ślinę, serce jej dudniło jak werbel, zastanawiała się, czy popełnia błąd, którego nie da się naprawić.

Ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Nie teraz. Była z Xanderem i chciała tu być, z nim, niezależnie od konsekwencji, miała prawo żyć własnym życiem, zakochiwać się, w kim chciała. Nie, nie zamierzała się obwiniać za to, co zrobiła. Przynajmniej nie dzisiaj.

Zatrzymał się na parkingu oddzielającym biuro prawnicze od nieruchomości na zachodzie, starej szkoły St. Augustine.

Zaprowadził ją do tylnych drzwi, którymi dostali się na klatkę schodową. Szybko weszli na piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie jej dziadka: pokój z łazienką i aneksem kuchennym ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian. W umieszczonym w kącie telewizorze z przyciszonym dźwiękiem leciał jakiś wieczorny teleturniej. Dwa krzesła stały przy stoliku obok okna, z którego rozciągał się widok na parking i ogrodzone podwórze należące do szkoły.

Obok sofy świeciła się lampa, ale Xander ją zgasił, podniósł pilota i wyłączył też telewizor. W pokoju zrobiło się ciemniej, jedyne światło dostawało się przez uchylone okno, które wpuszczało chłodną, niebieskawą poświatę reflektora z zewnątrz oraz chłodny wiaterek, rozpraszający zapach świeżej farby.

Objął ją i przyciągnął bliżej siebie, a następnie pocałował. Z początku łagodnie, tak że cała drżała, miała wrażenie, że się rozplywa. Jego język był czystą magią, dotykał jej języka i pieścił go, ona oddawała pocałunki, zamknęła oczy i zatracala się w bieżącej chwili.

Tak właśnie musiała wyglądać miłość. Prawdziwa miłość. Nie szczenięca, czy jak ją nazywano.

Ugiął kolana i padł na prowizoryczne łóżko, jakaś mała część Harper zastanawiała się, czy nie popełnia błędu, ale bardzo malutka.

To było taaakie cudowne.

– Cieszę się, że tu jesteś – oświadczył, zrzucając buty.

– Ja też. – Zsunęła jeden ze swoich najków, po czym zrobiła to samo z drugim.

Pocałował ją ponownie, jego dłonie wślizgnęły się pod jej bluzę, na brzuch, opuszkę palców muskały jej piersi. Sutki Harper naprężyły się w staniku. Oddychała szybciej niż normalnie, a on zdjął swoją bluzę i koszulkę, ukazując wyrzeźbione mięśnie na klatce piersiowej i brzuchu.

– No już – mruknął i pomógł jej wyswobodzić się z bluzy, po czym zaczął całować jej piersi nad stanikiem. Z jej ust wydobył się jęk, gdy musnął językiem koronkę biustonosza, ciepły oddech przenikał przez cienką tkaninę.

Zaczęła odczuwać pożądanie, pragnęła go.

Rozkoszowała się ciężarem jego ciała na sobie, tym, że przygwoździł ją biodrami i uniósł się na łokciach, żeby na nią patrzeć.

To niebezpieczne! – protestowała jakaś część jej mózgu, gdy lekko ją obrócił, sięgnął ręką za plecy i rozciął jej stanik, po czym lekko pociągnął za koronkową miseczkę, żeby go zdjąć.

Nie, nie, nie! Jest dobrze. Tak ma być, odpowiadała inna część jej umysłu.

Harper zignorowała swoje wątpliwości i powiedziała sobie, że musi mu zaufać. Kochać go.

Poczuła, że chłopak omiata wzrokiem jej ciało.

Twarz Xandera kryła się w cieniu, w ciemności odcinały się białka oczu, jej nozdrza wypełniał jego zapach, pokój zdawał się jeszcze mniejszy, bardziej intymny, miała wrażenie, że są jedynymi ludźmi we wszechświecie, dwiema bratnimi duszami.

– Kocham cię – wyszeptał z ustami przy jej piersiach, ciepło jego oddechu działało na nią uspokajająco, a słowa ją uwodziły. Językiem dotknął jej sutka, poczuła w sobie powoli narastające, pulsujące pożądanie. Instynktownie podniosła rękę i wplotła palce w jego gęste włosy, przyciągnęła bliżej jego głowę, wygięła ciało, żeby wyeksponować piersi, by wziął jedną z nich do ust, poczuła twardość w jego dżinsach.

Było jej dobrze, tak dobrze... i... i...

Skrzyyyyp, w pokoju rozległ się dźwięk przypominający odgłos kołyszącej się gałęzi.

Harper zamarła.

Jej serce biło tak głośno, że musiała wyteńczyć słuch.

– Pomocy. – Doleciał ją słaby głos.

Xander też skamieniał.

– Słyszałaś?

– Tak.

Czekali.

Nic.

– Co to było? – zapytał.

– Nie wiem.

Ściągnął brwi i zrobił zatrokaną minę. Odwrócił głowę i spojrzał na okno, po czym powoli wstał z łóżka.

– Wydawało się blisko. – Podeszedł do okna.

Skrzyyyyyp!

Harper zrobiło się zimno.

Bezcielesny kobiecy głos zabrzmiał głośnie:

– Proszę... pomocy.

– Jezu. Chodźmy – powiedział Xander, wyglądając przez szybę. Podniósł z podłogi bluzę i wciągnął ją na siebie.

– Dokąd?

– Musimy jej pomóc, kimkolwiek jest. – Zdjął kaptur. – Nie, czekaj. – Wycelował w nią palec. – Ty zostaniesz tutaj. Ja pójdę.

– Nie. Nie zostanę tu sama. – W ogóle nie dopuszczała do siebie tej myśli. – My... powinniśmy zadzwonić na policję.

Popatrzył na nią wymownie.

– A jak odbierze twój tato? Właśnie tego chcesz?

– Nie, ale... – Szukała swojego biustonosza, który spadł z łóżka.

– Zostań tu. Zamknij drzwi na klucz. Sprawdzę, czy warto wzywać policję. Tu będziesz bezpieczna. Ale nie otwieraj nikomu. Napiszę do ciebie.

– Nie! – Już zapinała na plecach haftki stanika. – Jeśli ty idziesz, ja też chcę.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. – Założył buty.

– Lepszy, niż gdybym miała tu zostać. Sama.

– Cholera. – Chciał zaprotestować, ale znowu rozległ się ten głos.

– Pomocy. Proszę, niech ktoś mi pomoże.

– Idę z tobą – oznajmiła Harper, zakładając bluzę. – Bez dyskusji. – Szukała butów. Jeden był pod łóżkiem... Kurde, a gdzie drugi? Włączyła lampkę nocną, zamruwała oślepiona przez światło, ale dojrzała czubek najka wystający spod ławy.

– Trzymaj się blisko. – Był już przy drzwiach, gdy zakładała buty.

– Jezu. – Wyszli na schody.

Szła krok za nim. Na zewnątrz przebiegli przez parking, wystraszyli grasującego tam kota, który szcząc wyskoczył na ulicę.

Xander spojrział na wysoki, ponadtrzymetrowy płot wokół kompleksu, na który składały się kościół St. Augustine, szkoła i szpital.

– Za wysoki – stwierdziła Harper.

– Nie. Poczekaj tu.

– Słucham? Nie! – Była przerażona. Przez jedną okropną sekundę sądziła, że chłopak chce ją tutaj zostawić.

– Przeparkuję jeepa.

– Co?

Podbiegł do pojazdu, wsiadł, przekręcił kluczyk, po czym podjechał tyłem w miejsce, gdzie stała Harper.

– Ja wejdę pierwszy. Ty za mną.

Nim zdążyła o coś zapytać, wspiął się na maskę auta, położył dłonie na szczycie słupka i przeskoczył na drugą stronę. Wylądował z hukiem.

– Teraz ty – zawołał cicho. – Świetnie. Harper nie podobał się ten pomysł, ale nie zamierzała zostać sama po drugiej stronie, więc poszła w jego ślady, weszła najpierw na dach jeepa i wyprostowała się,

żeby zajrzeć na drugą stronę płotu. Xander znajdował się na szkolnym boisku, zadarł głowę i rozłożył szeroko ramiona. – Skacz – wyszeptał i przywołał ją gestem. – Złapię cię.

To było chore.

Szalone.

Położyła jednak dłonie na słupku, zawahała się, ale zaraz przerzuciła jedną nogę przez płot, chwilę siedziała na nim okrakiem, a w końcu przełożyła drugą nogę. Spadając na ziemię, poczuła, jak silne ręce łapią ją tuż przed tym, jak jej stopy zetknęły się z gruntem.

– Widzisz, łatwizna. Idziemy. – Ramię przy ramieniu przebiegł przez ciche podwórze szkolne, gdzie w świetle jedynej latarni zauważyli połamane sprzęty na placu zabaw, kępy chwastów i stopy śmieci leżących pomiędzy szkołą, szpitalem i kościołem.

Lęk przebiegł dreszczem wzdłuż jej kręgosłupa.

To nie tak miało być. Nie tak.

Wyteżyła słuch, ale teraz oprócz swojego rozszalałego serca słyszała tylko przejeżdżające od czasu do czasu samochody na ulicy i łagodny szum wiatru.

Gdzie?

Gdzie ta kobieta?

Może już sobie poszła.

Być może w ogóle jej tu nie było.

A potem to usłyszała. Nie słowa. Tylko cichy jęk niesiony przez nocne powietrze.

Xander ujął ją za rękę i pociągnął w stronę kaplicy. Położył palec na ustach, a ona stanęła obok, desperacko próbując opanować swój strach.

Skrzyyyyp!

Znowu ten okropny dźwięk. Nie rosły tu duże drzewa, nie było silnego wiatru.

O Boże.

Strach jej nie opuszczał, trzymała się blisko Xandera, gdy ruszył przez boisko. Powinni stąd odejść. Natychmiast. Po prostu wezwać policję i pozwolić im się zająć tym, co tu mogli znaleźć. Ranną osobę? A może jakiegoś wariata? Co to?

Drzwi do kaplicy były uchylone, wisiały na jednym zawiasie, w środku panowały egipskie ciemności.

– Chyba nie... – zaczęła mówić szeptem, ale Xander energicznie pokręcił głową i wszedł do środka.

Zaschło jej w gardle, cała była spięta, ruszyła za nim. Za małym, rozpadającym się przedsionkiem znajdowało się większe pomieszczenie, niegdyś pełniące rolę nawy głównej, po obu stronach stały jeszcze nieliczne ławki, ale ołtarz pozostał nietknięty. Nad nim wciąż wisiał duży krzyż. Chociaż nie była katoliczką, Harper się przeżegnała.

Nie zaszkoździ przecież?

Przez zakurzoną podłogę przebiegł szczur, Harper krzyknęła.

– Cii! – Xander pociągnął ją w głąb kaplicy.

Przyłgnęła do jego dużej dłoni, wyteżyła wzrok, by ujrzeć coś w ciemnościach.

A jeśli ktoś tu był? I się im przypatrywał? Może z niewielkiego balkonu dla chóru nad wejściem...

Skrzyyyyp!

Ścisnęło ją w żołądku.

Wszystko było nie tak. Paraliżował ją strach, z nerwów aż się pocila, widziała postacie w popękanych witrażach, wyobrażała sobie zabójców czających się za ołtarzem lub między połamanymi ławkami.

Xander wyjął telefon i włączył latarkę.

Jęk rozległ się kolejny raz i rozszedł echem po pomieszczeniu, a Xander puścił rękę Harper i ruszył biegiem.

– Nie! – krzyknęła, sądząc, że w pobliżu jest napastnik, przygląda się im i czeka. Widząc latarkę Xandera, może ich namierzyć i skrzywdzić. To może być pułapka!

Pieprzyć to!

Wyjęła komórkę i wybrała numer 911.

Gdyby wpakowała się w kłopoty i miała... Trudno!

– O Jezu! – powiedział Xander, gdy w kaplicy kolejny raz rozległ się charkliwy jęk. Ruszył w bok od ołtarza, przeszedł przez drzwi wiszące pod dziwnym kątem na jednym zawiasie; jego kroki dudniły, jakby wchodził po schodach.

– Dziewięćset jedenaście. W czym mogę pomóc? – zapytał operator.

– Ktoś jest ranny. W kościele St. Augustine. Mówi... mówi Harper Ryder, jestem tu i ktoś potrzebuje pomocy... na Hawthorn Street. Nie znam dokładnego adresu, ale przyjdźcie tu szybko...

– Ożeż w mordę! – powiedział Xander. – To kobieta. O Boże. Proszę pani, jestem tu, pomogę pani.

Harper, wchodząc na schody prowadzące do dzwonnicy, wybierała numer komórki ojca. Nagle przystanąła, jej dłoń na telefonie znieruchomiała, oczy wyszły jej z orbit.

Na długim sznurze wisiła do góry nogami kobieta, przywiązana była za stopę, jej włosy zamiatały podłogę wieży, oczy miała zasłonięte, obracała się powoli i jęczała.

– Na litość boską, Harper, pomóż mi! – rozkazał Xander. – Musimy ją zdjąć!

Upuściła telefon.

ROZDZIAŁ 21

Cade od lat nie prowadził obserwacji, a teraz o pierwszej trzynaście w nocy siedział w aucie zaparkowanym kilka domów od miejsca, gdzie mieszkała Rachel z dziećmi. W jego starym domu. Na myśl o nim czuł większą nostalgię, niż gdy myślał o wielkim wiktoriańskim budynku, w którym się wychował, willi zajmowanej teraz przez jego ojca, Lilę i Lucasa.

– Małe miasteczko – przypomniał sobie i pociągnął łyk szybko stygnącej kawy. Był tu już od prawie godziny i jak na razie nie zobaczył niczego odbiegającego od normy. Ta obserwacja nie była oficjalna, po prostu pilnował domu swojej byłej żony, bo nie mógł spać ze względu na ostatnie wydarzenia, w tym morderstwo, akt wandalizmu i anonimową wiadomość.

To nie żaden stalking, powtarzał sobie. Po prostu pilnował bezpieczeństwa swoich dzieci i ich matki.

W okolicy było spokojnie, latarnie oświetlały jezdnię, po której obu stronach stały nieliczne samochody. Uchylił szybę i usłyszał ciche pohukiwanie sowy ukrytej w gęstych gałęziach jodeł rosnących przy drodze.

Domek, jak pozostałe przy tej ulicy, był pograżony w ciemności, jedynie okno jadalni z boku budynku było lekko rozświetlone. Przypomniał sobie, że sam nalegał, żeby zostawiać światło nad kuchenką. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Niektóre podlegają ciągłym zmianom.

Wcześniej tego dnia Rachel zadzwoniła do niego, żeby powiedzieć, że Dylan prowizorycznie naprawił stary alarm, a teraz mógł osobiście stwierdzić, że zamalowała ten okrutny napis na drzwiach grubą warstwą farby.

Mimo to Cade nie był przekonany, że są bezpieczni. Zwłaszcza w sytuacji, gdy sprawa brutalnego morderstwa Violet Sperry nie została jeszcze wyjaśniona, Rachel dostała dziwną wiadomość, a ponadto na jej domu ktoś napisał słowo MORDERCA.

Czy ktoś chciał ją wystraszyć? Bawił się terroryzowaniem jego eksżony? A może stroił sobie okrutne żarty żerujące na jej lękach? Już to było wystarczająco niedobre, podnosiło mu ciśnienie, ale możliwe też, że stanowiło początek czegoś groźniejszego, ostrzeżenie przed czymś straszniejszym, co miało nadejść.

Prychnął.

Zaczynał zachowywać się jak paranoik, podobnie jak Rachel.

Ale, argumentował, nie odrywając oczu od ulicy, miał dobry powód. Zauważył ruch w krzakach, jakiś ciemny cień, poczuł, że się spina, dopóki nie uswiadomił sobie, że liśćmi poruszył przerośnięty szop. Stał na tylnych łapach i oczami w czarnej masce gapił się wprost na auto Cade'a, po czym oddalił się, wskazując w zarośla rosnące wzdłuż płotu.

Cade w ciągu dnia próbował namierzyć nieuchwytnego Franka Quinna, który nie miał prawa jazdy ani białego buicka zarejestrowanego na swoje nazwisko, nie mieszkał też na Toulouse Street. Chociaż w Portland mieszkało czterech Franków Quinnów, dwóch po drugiej stronie gór, jeden w Bend i jeden w Pendleton, żaden nie był mężczyzną, którego w zeszłym tygodniu spotkał na tej ulicy. Sprawdził nawet zarejestrowane psy w urzędzie hrabstwa – wśród właścicieli też nie natknął się na żadnego Franka Quinna czy F. Quinna.

Pomyślał, że nazwisko mogło zostać zmyślone, i zbeształ się w duchu za to, że nie zrobił zdjęcia facetowi ani nie zadał mu więcej pytań.

Zauważył, że w gabinecie znajdującym się na górze od frontu zapaliło się światło. Za roletą widać było sylwetkę Rachel i przez chwilę poczuł się jak podglądacz, nastolatek próbujący podejrzeć dziewczynę.

czynę z sąsiedztwa, gdy bierze prysznic. Widział, że światło zgasło, zastąpiła je niebieska poświata – jej komputer. Wyobraził sobie, jak siedzi w za dużej koszulce, z włosami spiętymi w luźny kok, który rozpadnie się po kilku godzinach niespokojnego snu, jak ziewając, otwiera usta.

Boże, tęsknił za tym.

Tęsknił za nią.

Brakowało mu mieszkania z dziećmi – tworzenia rodziny.

– Zapomnij. – Spieprzył jedyną w życiu szansę.

Zastanawiał się, czy dostała kolejną wiadomość, która ją obudziła.

A może znowu śnił jej się koszmar?

A może nadal walczyła z bezsennością?

Był takim durniem.

– Za późno, za późno.

Patrzył na dom, obserwował i czekał, przypominał sobie dobre czasy... i te złe. Kiedy poślubił Rachel, była w ciąży i była przerażona; nie wiedział, jak głęboko zraniła ją tragedia, która przydarzyła się tamtej nocy, gdy umarł jej brat. Tak, wszystko sprowadzało się do śmierci Luke'a i tej głupiej, niebezpiecznej zabawy, którą wymyśliła grupa nastolatków.

Zawsze się obwiniała.

Mimo że większość ludzi znajdujących w tej pogrążonej w mroku wytwórni zeznała, że Rachel raczej nie wystrzeliła z broni. Violet Osbourne i Annessa Bell zgodnie twierdziły, że według nich Rachel nie jest zabójczynią.

Skończył kawę i zauważył, że w domu zgasło światło komputera. Na ulicy wciąż panował spokój. Cade rozmyślał o tym, jak to wszystko się rozpadło. Klócili się, oczywiście, zwłaszcza o jej pogłębiającą się paranoję. Wraz z macierzyństwem pojawiły się nowe lęki. Była nadopiekuńczą matką, a dzieci się buntowały. Rachel prawdopodobnie nie potrafiła się powstrzymać, coraz częściej śniły jej się koszmary. Panicznie się bała, że coś złego przytrafi się komuś z bliskich, i przerażało ją to, że jest policjantem, podobnie jak kiedyś jej ojciec. Obwiniała pracę ojca za jego problemy z alkoholem i rozpad rodziny. Była przekonana, że to samo stanie się z nimi, i ze względu na to, na jej lęk przed rozwodem, praktycznie wprawiła machinę w ruch.

Tak, Ryder, ale to ty siedziałeś za kółkiem, nieprawdaż?

Jego partner w wydziale śledczym hrabstwa Chinook został przeniesiony i zastąpiła go Kayleigh O'Meara, z którą zarywał noce na obserwacji, takiej jak teraz. Wspólnie spędzone godziny zbliżyły ich do siebie. Rozstała się z chłopakiem – Travisem Mcjakimstam – a małżeństwo Cade'a miało się ku końcowi. W te długie, ciemne noce zwierzał się jej częściej, niż powinien, a ona zaczęła się w nim zakochiwać. Powinien to przystopować, jakoś temu zapobiec.

Ale nic nie zrobił.

Pewnego razu Kayleigh odważyła się go pocałować w starym sedanie, a on jej nie powstrzymał. Jej ciepłe usta zrobiły na nim niebiańskie wrażenie po tygodniach odstawienia od żony, która przeżywała kolejny kryzys. Jeden pocałunek doprowadził do kolejnego i wkrótce potem gmerali przy swoich ubraniach, aż wreszcie wrócił mu rozum i powstrzymał to szaleństwo.

– Nie mogę – wykrztusił, szybko oddychając, Cade i odwrócił od niej wzrok. – Poza tym... Poza tym mieliśmy tu pilnować.

Prowadzili obserwację podejrzanego o handel narkotykami, w szemranej okolicy na południowy wschód od Astorii, w pobliżu zatoki, gdzie pomiędzy innymi domami w stanie rozkładu, niektórymi opuszczonymi i zabitymi deskami, stał mały jednopiętrowy budynek, wokół którego leżały hałdy śmieci. Być może produkowano w nim metę, a ta mała operacja miała szansę doprowadzić ich do innych zamieszanych w ten nielegalny interes.

Poprawił ubranie i kątem oka zauważył, że ona zrobiła to samo, zacisnęła usta i głośno przełknęła ślinę. Była zawstydzona. On też.

– Przepraszam – rzucił.

– Nie ma za co. – Patrzyła nieruchomym wzrokiem przez upstrzoną owadami szybę na dom, w którego rozbitym oknie świeciła się jedna lampa. – Mój błąd.

– Kayleigh...

– Nic nie mów. Po prostu nic nie mów. – Jej usta ledwie się poruszyły, ale w słabym świetle ulicznej latarni dostrzegł, że oczy jej lśnią, jedna łza popłynęła po policzku.

– O Boże, nie... nie wiem, co powiedzieć. Mam żonę.

– Serio? – Odwróciła się i spojrzała na niego. – Mówisz poważnie? Przez ostatni miesiąc jedyne, co robiłeś, to gadalesz, jak strasznie się czujesz, jaka ona jest okropna i nie wiesz, co robić.

Nie mógł zaprzeczyć. Przekroczył pewną granicę. Ale nie zamierzał przekraczać kolejnej.

– Sądziłam, że twoje małżeństwo się skończyło. Jezu, Ryder, zwykle nie popełniam takich błędów!

– Ja też nie.

– Och, daj spokój. – Głośno pociągnęła nosem, wbiła w niego spojrzenie swoich niemal fosforyzujących oczu, a jej ból zmienił się w namacalną furję. – Mam tego dość. Naprawdę dość. Rano poproszę o nowego partnera.

– Nie musisz...

– Tak – przerwała mu i wyjęła broń z kabury. – Tak, muszę. – Po czym otworzyła drzwi i wyszła z auta. – Kończę z tym.

– Co robisz?

– Idę się dowiedzieć, czy nie marnujemy tutaj czasu. – Zatrzasnęła drzwi i, niemal w półprzysiadzie, ruszyła w stronę domu.

– Nie. O, kurwa! – Spanikowany zadzwonił po wsparcie, wyszedł z samochodu, zamknął drzwi i pobiegł za nią. Co ona, do cholery, sobie myślała?

Mogła nie tylko spalić ich akcję, ale przy okazji jeszcze zginać! A jeśli ci goście robili metę...

A robili. Czuł ją, kwaśny odór przenikał przez szpary w oknach. Może dochodził ze strychu, gdzie znajdowało się małe okno mansardowe bez szyb.

Kayleigh dotarła do połamanego płotu z tyłu domu i właśnie przechodziła przez chylący się ku ziemi fragment ogrodzenia, gdy usłyszał skrzypienie drzwi.

Kurwa!

Sekundę później chudy facet z rzadkimi, pozlepianymi w strąki włosami pojawił się na ganku, żeby zapalić papierosa. Razem z nim wyszła bestia w ciele psa, z szarą, zjeżoną sierścią, rozejrzała się po podwórku i nagle się zatrzymała, odwróciła i zaczęła dziko szczeekać. Ostro i głośno.

Nie!

Mężczyzna obrócił się z papierosem w ustach, spojrzał w kierunku Kayleigh. W tej samej chwili pies zauważył Cade'a. Warcząc, zeskoczył z ganku, facet drgnął, przeniósł wzrok z płotu na ulicę. Uniósł splotę.

– Policja! – krzyknął Cade. – Rzuć broń.

– Słyszalesz! – wrzasnęła Kayleigh. – Rzuć broń! Już! – Celowała w gościa na ganku. A po chwili dodała: – Nie! Cade! Uważaj...!

Bum!

Jakaś broń wypaliła.

Ciało Cade'a podskoczyło, po czym się obróciło. Zrobił chwiejny krok w tył, zatoczył się, pistolet wypadł mu na popękany chodnik. Kolana się pod nim ugięły i poczuł ostry, piekący ból w szyi. Nie widział,

jak mężczyzna na ganku unosi broń, ale upadł i świat wokół niego zawirował, zaraz potem rozległy się kolejne strzały, a gdzieś w oddali zawyły syreny.

Później dowiedział się, że drugi strzelec stał w oknie na strychu i strzelił do niego, gdy „włosy w strąkach” i pies się wycofali. Gość rzucił broń i wydał psu komendę „zostań”, wołał nie ryzykować strzelania do policjanta. Kayleigh oddała kilka strzałów i trafiła faceta w oknie. Obaj podejrzani zostali aresztowani, oskarżeni i skazani; teraz siedzieli w więzieniu, ich mały biznes został zamknięty, a policja nigdy nie znalazła powiązania z tym, kto kierował operacją.

Teraz Cade patrzył na dom Rachel, ponownie ciemny, gdyż, jak przypuszczał, jego była żona wyłączyła już komputer i poszła do łóżka. Wiedział, że nie śpi. Kiedy dręczyły ją koszmary, nie potrafiła ponownie zasnąć. Wiedział. Był tam. Przytulał ją i szeptał, że „wszystko jest w porządku” i że musi się „uspokoić”, całował ją w czubek głowy i czuł, że drży w jego ramionach.

Sprawdził godzinę i okazało się, że minęła już czwarta w nocy, wszędzie panował spokój. Nawet szop nie zakłócał ciszy. Cade się przeciągnął, rozruszał mięśnie szyi, kręcąc głową, po czym ponownie zasiadł w tej samej pozycji. Pomyślał, że tamta obserwacja była początkiem końca.

Kiedy otworzył oczy, stwierdził, że wpatruje się w światła zamontowane na suficie oddziału intensywnej opieki medycznej.

W sali był z nim pielęgniarz. Na plakietce widniało jego imię i nazwisko: Ari Granger, pielęgniarz dyplomowany. Ari, mężczyzna o surowych, niebieskich oczach, z bródką pod dolną wargą i energią barmana, sprawdził jego funkcje życiowe. Cade się skrzywił.

– Co się stało? – zapytał zgrzytliwie przez wyschniętą krtąń. Przez chwilę niczego nie mógł sobie przypomnieć.

– Karetka przywiozła pana z raną postrzałową. Przeszedł pan operację. – Kolejne poważne spojrzenie.

Cade próbował poruszyć się na łóżku, ale rozmyślił się, gdy ból przeszył jego plecy.

– Jak pan ocenia ból w skali od jednego do dziesięciu? Mogę dać panu jakiś lek – powiedział Ari.

– Nie... niedobrze. – Cade przestał się poruszać, by nie pogarszać sprawy. – Moje plecy... – Górna część jego ciała zdawała się żywą raną.

– Kula weszła blisko kręgosłupa. Dwa centymetry dalej, a nie rozmawialibyśmy teraz. Ale jeśli będzie pan odpoczywał i przestrzegał zaleceń lekarza, za kilka dni wyjdzie pan stąd cały i zdrowy. Teraz podam panu coś na złagodzenie bólu – oznajmił pielęgniarz i dodał coś do kroplówki.

– Zrozumiano. Czy z moją partnerką wszystko w porządku? Kayleigh O'Meara? – zapytał, gdy zaczęło wracać wspomnienie zdarzeń przy wytwórni metamfetaminy.

– Chyba siedzi w poczekalni. Chce się panu pić?

Cade potaknął, czując suchość w ustach i palący ból obejmujący jego plecy, ramiona i klatkę piersiową.

Pielęgniarz zniknął na chwilę, a przynajmniej tak się wydawało Cade'owi, po czym wrócił z wodą w szklance i słomką.

– Doktor Kendris przyjdzie po południu, żeby omówić z panem rokowania.

Cade sączył lodowatą wodę przez słomkę, niosąc ukojenie suchemu jak wiór językowi i gardłu. Jego wspomnienia powoli stawały się coraz wyraźniejsze, przypominał sobie spieprzoną obserwację, jak razem z Kayleigh poddali się pokusie i jak niemal przekreślił swoje małżeństwo.

Co mu przyszło do głowy?

– Co z moją żoną? – zapytał, ale pielęgniarz ponownie zniknął za drzwiami. Oczywiście Rachel musiała wiedzieć, że tu jest. Zapewne powiadomiono ją jako pierwszą. Chciał do niej zadzwonić, ale jego cholerna komórka nie leżała nigdzie na widoku, a stary telefon stacjonarny stał na parapecie po drugiej stronie pokoju. Oparł dłonie o materac i próbował usiąść, wstać, dostać się do aparatu. Ale bezskutecznie. Ogarnęła go senność. Górę nad nim wzięły leki przeciwbólowe. Zamknął oczy i zasnął.

Kiedy ponownie je otworzył, miał wrażenie, że minęła zaledwie chwila, ale wyczuł, że musiało upłynąć więcej czasu.

Ktoś ścisłał jego dłoń.

Zamrugał.

To była Kayleigh, z bladą twarzą i zielonymi oczami przepelnionymi poczuciem winy.

– A więc jednak postanowiłeś nas nie opuszczać – stwierdziła. – Śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Nas wszystkich. – Odchrząknęła. – Ja... ja... cholera, nie wiem, co powiedzieć. To był błąd. Popeniłam wiele błędów zeszłej nocy. I, hm, przepraszam. Boże, bardzo cię przepraszam.

Przez chwilę milczał.

– Czy jest tu Rachel? – zapytał w końcu.

Odwrociła wzrok.

– Nie wiem. Ale zadzwonili do niej.

Zastanawiał się, czy przyszła. Ich ostatnia kłótnia...

– A więc, mów – zaczęła i odchrząknęła ponownie. – Jak naprawdę się czujesz? Boli cię?

– Wydaje mi się, że dali mi silne leki. Niewiele się ruszam. Muszę wstać i...

– Nawet nie próbuj, detektywie. – Żartując, starała się dodać sobie odwagi. – Jestem przekonana, że lekarz kazał ci leżeć. – Jej kasztanowe włosy, zwykle związane z tyłu, teraz były rozpuszczone, gęste, opadały na jego szpitalną koszulę, muskały jego pierś, gdy się nad nim pochylała. – Zostaniesz tu, gdzie jesteś, i będziesz wykonywał wszystkie polecenia lekarza, Ryder. Napędziłeś mi takiego stracha, że postanowiłam uczynić moją osobistą misją dopilnowanie, żebyś odpuścił, dopóki całkowicie nie wrócisz do zdrowia.

– Nie musisz tego robić.

– Za późno, decyzja już zapadła. – Opuściła gardę i w jej oczach ujrział głębsze emocje, coś, do czego żadne z nich nie chciało się przyznać.

– Kayleigh, przestań – wyszeptał, w chwili gdy drzwi sali się otworzyły i stanęła w nich Rachel, wyczerpana i wzburzona, z powiewającymi połami kurtki i kosmykami włosów, które uwolniły się z gumki.

Wszystko w niej mówiło: *Przyszedłam tu dla ciebie. Rzuciłam wszystko i przybiegłam.*

Ale w kolejnej sekundzie desperacja w jej oczach ustąpiła szokowi i bólowi, gdy dotarło do niej, co widzi.

Kayleigh puściła jego dłoń, jakby ją sparzyła.

– Co, do cholery? – wyszeptwała Rachel, robiąc wielkie oczy.

– Już wychodziłam. – Kayleigh ruszyła do drzwi.

– Cade? – powiedziała Rachel, po czym powoli pokręciła głową, gdy odgłos kroków Kayleigh nikał w korytarzu.

– Cześć, Rach. – Prawie dodał: *Wiem, że to nie wygląda dobrze*, co było prawdą, albo: *To nie tak, jak myślisz*, co biorąc wszystko pod uwagę, trochę się z nią rozmijało, ale nie chciał powielać frazesów.

– Cześć, Cade – odpowiedziała, nie podchodząc do łóżka, wysunęła szczękę do przodu i patrzyła oskarżycielsko. – Dobrze sobie radzisz? – zapytała, po czym odwróciła się i wyszła.

Próbowali ratować sytuację. Wrócił do domu, ale ich małżeństwo nigdy już nie było takie samo. Kilka miesięcy po strzelaninie, gdy znowu stanął na nogi, musiał rzucić pracę w hrabstwie Chinook i zatrudnił się w policji w Edgewater. Miał nadzieję, że dzięki temu uda mu się żyć normalniej. Sądził, że będzie w stanie załatać pęknięcia w związku, że dzięki bardziej uporządkowanemu grafikowi stanie się lepszym ojcem.

Sześć miesięcy później Rachel poprosiła go, żeby się wyprowadził, chociaż chyba uważała, że to on chce się rozstać. Ponownie. Nigdy nie byli udaną, zgodną parą. Wystąpiła o rozwód. Nie sprzeciwiał

się.

W ten okrutny sposób przekonał się, że co cię nie zabije, to cię wzmocni.

ROZDZIAŁ 22

Było późno.

Ned powinien już wyłączyć ten przekłęty telewizor i iść spać.

Ale wiedział, że nie zaśnie.

Nigdy mu się nie udawało.

Wobec tego rzucił do śmieci gazetę, którą właśnie czytał, poszedł do kuchni, zajrzał do lodówki i wyjął kolejne piwo. Stojąc nad zlewem, w którym tkwiło kilka brudnych talerzy i szklanek, wyrzwał przez okno na ciemne podwórko, ale widział jedynie nagłówek pogrubioną czcionką wypalony w jego mózgu:

TAJEMNICA SPRZED DWUDZIESTU LAT WCIĄŻ NIE DAJE SPOKOJU

– A żebyś wiedział, że tak – powiedział do siebie i zobaczył swoje odbicie w szybie. Zauważył, że linia jego szczęki nie jest tak napięta jak dawniej, więc skrzywił się i spojrzął w głąb podwórka, gdzie dostrzegł bezpańskiego kota skradającego się wzdłuż rachitycznego żywopłotu wyznaczającego zasięg podwórza. Chude zwierzę węszyło, wystawiając nos na nocne powietrze, i rzucało cień na tylny ganek domu Neda.

Pociągnął długi łyk z puszki, po czym zasunął żaluzje.

Noc śmierci Luke'a na zawsze zmieniła jego życie. Podobnie jak życie Melindy i Rachel.

Poruszony wrócił do swojego skromnie urządzonego salonu, wyjął gazetę z kosza i spojrzął na mniejszy druk:

KTO ZABIŁ LUKE'A HOLLANDERA?

– Jezu – wyszeptał na wpeł modlitewnie, gdy przypomniał sobie tę noc, zamieszanie w ciemnym wnętrzu wytwórni, krzyczące i biegające nastolatki, wybuchające petardy lub coś w tym stylu i oczywiście strzały z broni.

Prawdziwy pierdolnik.

Pojawił się głęboki smutek i dotkliwe poczucie winy za to, jak zajął się tą sytuacją, jako pierwszy policjant na miejscu i ten, który pomógł córce wsiąść na tylne siedzenie radiowozu.

Wydawało mu się, że to było milion lat temu.

I miał wrażenie, że zdarzyło się to zaledwie wczoraj.

Podejrzewał wówczas, że to powoli zniknie, ból złagodnieje, czas wygładzi krawędzie, i tak też było. Aż do teraz. Aż do chwili, gdy artykuł ponownie wzbudził zainteresowanie tą sprawą.

I to nie jeden artykuł.

Cała seria.

– Świetnie – wymamrotał, drapiąc się po brodzie. – Po prostu świetnie. – Tamta noc zabiła wszelką nadzieję, jaką żywił w kwestii uratowania swojego rozpadającego się małżeństwa. Śmierć Luke'a wstrząsnęła Melindą. Fakt, że jej córka została oskarżona o morderstwo, zepchnął ją w dół tak głęboki, że żadna pokuta, lzy czy psychoterapia rodzinna nie były w stanie jej z niego wyciągnąć.

Kto mógłby obwiniać Melindę, myślał, siadając na fotelu w niewielkim salonie. On z pewnością nie. Nie, Ned Gaston, policjant, który wsadził do więzienia jej pierwszego męża pod zarzutem napaści, męczyzna, którego uważała za swojego bohatera, okazał się zawodny, albo i gorzej. Melinda uświadomiła sobie ten przykry fakt nieco za późno.

Wobec tego ich małżeństwo umarło razem z ich synem.

Jeszcze jeden łyk, znowu powiedział sobie, że powinien rzucić picie, ale do cholery, to tylko piwo i na dodatek słabe.

Gdyby mógł coś zmienić, zrobiłby to, na miłość boską. Jego relacje z tym, co zostało z jego rodziny, córką i wnukami, były krucho, a czasami wydawało się, że ich wcale nie ma.

Zapewne to jego wina.

Powinien bardziej się starać. Czyż Rachel nie powtarzała mu, że jeśli chce poznać swoje wnuki, musi zdobyć się na jakiś wysiłek? Harper w przyszłym roku skończy szkołę, jest mniej więcej w tym samym wieku co Rachel, gdy zginął Luke. A Dylan? Ten chłopak jest tylko trochę młodszy. Prawdopodobnie było już za późno.

– Cholera. – Kolejny duży łyk.

Zauważył, że Melinda i Rachel mają wystarczająco dobre, choć nie doskonałe, układy. Biorąc wszystkich pod uwagę, to było więcej, niż on mógł oczekiwać.

Melinda wciąż obwiniała go o śmierć Luke'a. Wiedział o tym. Słyszał jej argument: Ned powinien częściej bywać w domu, bardziej angażować się w małżeństwo i rodzinę. Powinien mieć większy wpływ na Luke'a niż jego biologiczny ojciec, który był dupkiem i przestępcą. Powinien bardziej włączać się w wychowywanie Rachel, być kochającym, wiernym mężem. Może wtedy dzieci by jej nie okłamywały, tłumaczyła sobie Melinda, może wtedy nie znalazłyby się w wytwórni tamtej nocy, może nie doszłoby do tragedii, która zniszczyła ich życie.

– Może – powiedział, celując pilotem w duży, płaski telewizor. Ale nie wierzył w to ani przez sekundę.

Zastanawiał się, czy artykuł w gazecie wzbudzi zainteresowanie na komisariacie. Zapewne nie. Sprawa już dawno została zapomniana.

Aż do teraz.

Cholera.

Nie podobało mu się, że ktoś znowu ją rozgrzebuje. Jego rodzina, choć rozbita, nie zniesie kolejnego ciosu.

On też nie.

Wahał się przez sekundę, gapił na późnowieczorny program, którego gospodarz prowadził wywiad z jakąś piękną, młodą, nieznaną Nedowi gwiazdą, po czym sięgnął po laptopa.

Obecnie zatrudnieni w wydziale nawet nie przypuszczali, że wciąż ma dostęp do bazy danych policji w Edgewater.

Zanim przeszedł na emeryturę, przez jakiś czas chodził z pewną sekretarką, geniuszem komputerowym. Dużo przesiadywał u niej w biurze, spotykali się też po pracy, często u niej w domu. Znalazł hasła, już nieaktualne, ale nauczył się, jak wejść na jej konto i wiedział, gdzie trzyma listę użytkowników i ich hasła. Ilekroć zostawał zablokowany, logował się na jej konto, sprawdzał jej menedżera hasła i już mógł się dostać do bazy. Czuł się trochę nie w porządku, wykorzystując w ten sposób Donnę, ale jak mus, to mus.

Dokończył piwo, zgniótł puszkę i wrzucił ją do kosza razem z gazetą, zalogował się do bazy jako D.J. Larimer i wypróbował jej ostatnie hasło, które utworzyła z daty urodzenia swojej matki, symbolu i imienia pupila należącego kiedyś do jej rodziny. Wpisał 19Rosco46* i oto był w bazie. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, nie po raz pierwszy był wdzięczny za to, że ten senny wydziałik jest tak mały, że nie posiada najnowszych technologii. Przynajmniej na razie. Zaczął szukać i gdy prowadzący nocny program zapowiedział przerwę reklamową, wyszeptał:

– Dziękuję, Donno Jean.

Cade rozmasował napięte mięśnie na karku i nadal wpatrywał się w dom swojej byłej żony. Jak dotąd noc mijała spokojnie i zastanawiał się, czy nie marnuje tutaj czasu. Spojrzał na zegarek. Prawie druga.

Postanowił zostać jeszcze dwie godziny, potem pojechać do domu i przespać się trochę przed pracą. Przywykł do niedosypiania i był szczęściarzem, ponieważ potrafił nadrobić stracony sen, idąc kolejnego wieczoru wcześniej spać.

Jak na razie.

Powtarzał sobie, że wiadomość, którą dostała Rachel, mogła zostać wysłana do niej przez pomyłkę lub ktoś zrobił jej głupi dowcip, ale dlaczego były to słowa: „Wybaczam ci”? To nie miało sensu. A te bązgroły na drzwiach? To też mogło być złośliwym żartem w odpowiedzi na artykuł w gazecie; ostatnio wszędzie szerzył się hejt. Zastanawiał się, czy Frank Quinn miał z tym coś wspólnego – czy to w ogóle było prawdziwe nazwisko? Czy wchodził do domu Rachel? Z psem? A może pies był tylko przykrywką? Czy to Quinn zrobił napis na drzwiach? Jeśli tak, to dlaczego?

Rozparł się na fotelu. A do tego jeszcze morderstwo Violet Sperry. Kto ją zabił i dlaczego teraz?

Wciąż wracał do artykułu i dwudziestej rocznicy śmierci Luke’a Hollandera.

Czy wszystkie te zdarzenia, włącznie z dawnym zabójstwem, były ze sobą powiązane?

Nie wiedział, ale nie wydawało się to prawdopodobne.

Mimo to morderstwo, akt wandalizmu i dziwna wiadomość miały miejsce w odstępie kilku dni.

Zbieg okoliczności?

Nie sądził.

Postanowił, że rano skontaktuje się z Kayleigh i sprawdzi, jak tam śledztwo, a potem porozmawia z Richardem Morettim, lekarzem, który stwierdził zgon Luke’a w szpitalu. I skoro już jest przy tym, będzie musiał rozmówić się z Nedom Gastonem, swoim byłym teściem. Przypuszczał, że Ned nie zechce rozprawić o morderstwie przybranego syna ani o tym, że jego jedynaczka była główną podejrzaną o zabójstwo, ale jeśli te wydarzenia miały ze sobą jakiś związek, a tak się wydawało, Cade potrzebował wnikliwości Neda. Czy mu się to podobało, czy nie, stary Rachel pojawił się jako pierwszy na miejscu zdarzenia.

Ziewnął, odchylił się do tyłu i poczuł wibrację komórki. Zerknął na ekran i zobaczył nazwisko Eda Nowaka oraz jego numer.

– Ryder – odebrał.

– Tu Nowak. Jestem w St. Augustine – rzucił szorstko, służbiście. – Lepiej tu przyjedź. Mamy ofiarę. Nie żyje. Zabójstwo. Powieszona na linie w dzwonnicy, z zalepionymi oczami.

– Słucham?

– To nie wszystko. Do cholery, Cade, to twoja córka i jej przyjaciel znaleźli tę kobietę.

Harper?

– Czekaj... Co? – Ponownie zerknął na dom Rachel. – Moja córka? – To było niemożliwe. Harper była tutaj, w tym domu...

– To, co powiedziałem. Jest tu z jakimś młodym człowiekiem. Xanderem Vale’em. Nic im nie jest. Rozumiesz? Twojemu dziecku nic nie jest.

Cade ostatni raz spojrział na dom. Nie ma szans, żeby Rachel pozwoliła Harper przebywać z tym chłopakiem w środku nocy. I to jeszcze poza weekendem... Jezu. Czekaj.

– Kto to jest? Ta ofiara?

– Wciąż nad tym pracujemy.

– Ale Harper nic nie jest?

– Rany. Przecież dopiero to powiedziałem. Wszystko okej.

– Kurwa. – Już ruszał, strach ścisnął go w środku. – Będę za dziesięć minut.

Udało mu się w siedem minut, zaparkował w połowie przecznicy od kompleksu szkolnego, bo ulica była odgradzona. Auta policyjne z włączonymi kogutami blokowały na nią wjazd, podczas gdy kolejna

była zabarykadowana w najdalszym rogu. Pomiędzy nimi znajdowała się nieruchomość St. Augustine, zajmująca cały kwartał, oraz piętrowy budynek należący do jego ojca.

Te dwie posesje oddzielał jedynie parking. Przy płocie zaparkowany był starszy model jeepa, a przy bramie stały tyłem dwie karetki.

W co wplątała się Harper?

Cade błyskawicznie wysiadł i pobiegł do dużej, uchylonej bramy prowadzącej na szkolne podwórze; łańcuch, który ją zamykał, teraz był przecięty.

Znalazłszy się w środku kompleksu, odszukał Nowaka stojącego wraz z grupką ludzi, wśród których rozpoznał swoją córkę.

– Co, tu się, do cholery, stało? – zagrzemiał, a Harper aż się skurczyła. Xander Vale, obejmując jedną ręką ramiona Harper, stał wyprostowany, z bladą twarzą i ponurą miną.

– Tato! – Harper rzuciła mu się w ramiona. – Przepraszam. Nie gniewaj się.

– Ciii. Już dobrze – powiedział, tuląc ją do siebie i wiedząc, że kłamie. Cokolwiek tu się stało, na pewno nie wróżyło niczego dobrego. Z pewnością nie.

– Ale ja to widziałam. Widziałam ją... o, Boże! To straszne!

– Cii. No, już, już. – Objął ją ramionami i mówił wprost w jej włosy. – Będzie dobrze, spokojnie, tak? – Czekaj, aż jej ciało się uspokoi, ustanie szloch, obeschną łzy.

– Ale ona nie żyje. Nie żyje. – Harper się trzęsła. – Nie udało im się jej uratować. – Córka przyłgnęła do niego, płacząc, czkając i szlochając niemal histerycznie. – Próbowaliśmy jej pomóc. Naprawdę. Xander ją odciął. Ale było za późno. – Jej głos zmienił się w pisk, Cade nadal ją obejmował, ale jego wzrok powędrował nad jej głową i spoczął na Vale'u, który stał z zacziśniętą szczęką. Chociaż zdawał się marzyć o tym, by znaleźć się gdziekolwiek indziej na świecie, nie ruszał się z miejsca, podczas gdy policjanci i ratownicy medyczni chodzili po ciemnym boisku szkolnym. Promienie ich latarek oświetlały kupy śmieci i połamanego sprzętu.

Cade zmrużył oczy.

– Co się stało? – zapytał Vale'a.

– Tak jak mówiła...

– Od początku – przerwał mu Cade, a chłopak aż zeszywniał.

– Ci dwoje – zaczął Nowak, wskazując palcem Harper i Xandera – usłyszeli jęki, przyszli sprawdzić i znaleźli kobietę wiszącą do góry nogami na linie w dzwonnicy. Makabryczne, tak jak powiedziała. Słuchaj, wezwałbym również Voss. Jest w środku.

– Dobrze.

– Pomyślałem...

– Że skoro moja córka znalazła ciało, powinien zająć się tym ktoś, kto będzie miał szerszą perspektywę.

– Tak.

Cade go nie winił. Takie były przepisy. Żadnych powiązań. Nie jak wtedy, gdy Ned Gaston prowadził sprawę dotyczącą pasierba i córki.

Niemniej jednak potrzebował odpowiedzi. Cade spojrzał prosto na Vale'a.

– Chcę usłyszeć o tym od ciebie. Zacznij od tego, jak się tu znaleźliście.

– To moja wina – rzekł Vale.

– Twoja wina? – Kurczę, czyżby chłopak zamierzał się przyznać?

– Nie. Nie to, co się stało, ale przeze mnie się tu znaleźliśmy – wyjaśnił, wstrząśnięty słowami, które wcześniej wypowiedział. Uniósł dłoń. – To znaczy, że to ja namówiłem Harper, żeby się wymknęła z domu. Spotkaliśmy się na rogu Height i Grange chwilę po północy. Pisaliśmy do siebie, a ja po nią

przyjechałem i zabrałem do... mojego mieszkania. – Wskazał palcem budynek po drugiej stronie, gdzie znajdowała się kancelaria prawna Charlesa H. Rydera.

Cade'owi zrobiło się niedobrze. Znał to mieszkanie. Całkiem niezłe.

– Właśnie weszliśmy, gdy coś usłyszeliśmy, ktoś wzywał pomocy. Wobec tego przyszedliśmy tutaj, przeskoczyliśmy płot i znaleźliśmy ją w kaplicy. Wisiała głową w dół i... cierpiała.

– To było okropne! – powiedziała piskliwym głosem Harper.

– Tak – przytaknęła Xander z ponurą miną. – Odciałem ją, a Harper wezwała pomoc. Zjawili się szybko.

– Nie wystarczająco szybko – wtrącił Nowak. – Już nie żyła. Ratownicy się starali, ale było już za późno.

– Czy ktoś wie, kim ona jest? Ma dowód?

Nowak kiwnął głową.

– Telefon i prawo jazdy w tylnej kieszeni. Annessa Cooper. Auto jest zarejestrowane na Clintę Cooper, to mercedes, stoi dwie przecznice dalej. – Nowak spojrzał na niego. – Zapewne jej mąż. Czy nie należy do jakiegoś konsorcjum skupującego położone tu nieruchomości? Czytałem o tym. Pochodzi z Seattle albo Tacoma.

– Też tak mi się wydaje – odparł powoli Cade, przenosząc wzrok na wieżę kaplicy. Ścisnęło go w żołądku. Znał to imię. – Annessa była stąd. Stąd pochodziła. Jej nazwisko panińskie to Bell. – Czy to możliwe? Kolejna koleżanka z klasy Rachel, absolwentka Edgewater High, została zamordowana? Tydzień po śmierci Violet Sperry? – Mówiłeś, że miała związane oczy?

– Zaklejone taśmą – doprecyzował Nowak.

Jak Violet.

Kurwa.

Cade mocniej przytulił córkę. Myślał o dwóch morderstwach, dziwnej wiadomości wysłanej do Rachel, akcie wandalizmu na jej drzwiach. Czy miały związek? Możliwe. Z pewnością to coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Zebrałeś zeznania? – rzucił do Nowaka. – Jeśli tak, niech ta dwójka jedzie już do domu.

Poczuł, że Harper się spina.

– Nie powiesz mamie, prawda? – zapytała, odsuwając się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Tato, proszę...

– Jestem przekonany, że tego nie unikniemy. – Patrzył na Vale'a. – I szczerze mówiąc, uważam, że oboje powinniście być przy tym, gdy jej powiem. Dajcie mi dziesięć minut, muszę się tu rozejrzeć i pojedziemy. – Popatrzył na Nowaka. – Zostaniesz z nimi?

– Jasne. – Potaknął sztywno.

– Dobrze. Zaraz wracam, okej? – zwrócił się do Harper. – Muszę sprawdzić jeszcze kilka rzeczy. Zostań z oficerem Nowakiem.

– Ja też tu będę – dodał Vale, jakby jego obecność mogła ją pocieszyć.

– Nie zajmie mi to dużo czasu – zapewnił córkę Cade.

– Dobrze, tato. – Odsunęła się od niego, drobna i bardzo blada.

– Dajcie mi dziesięć minut – powtórzył, po czym ruszył przez wyboisty dziedziniec. Voss znajdowała się przy szkole, jej latarka oświetlała trawnik.

– Sądźmy, że atak rozpoczął się w tym miejscu – oznajmiła. – Widać ślady walki. – Omiotła latarką drzwi i popękana ścianę, na której były ślady krwi oraz otarcia. – Tu jest jeden but. – Oświetliła czerwona szpilkę. – Tu drugi. – Niedaleko na boku leżała druga szpilka. – Potem odciągnął ją w tamtą stronę. – Promień latarki padł na podłoże, gdzie na ziemi widniały płytkie, równoległe zagłębienia – szlak prowadzący przez boisko. Znikał w kępach trawy i pojawiał się tam, gdzie była goła, wilgotna ziemia. – Ma

podrapane pięty, więc wygląda na to, że ją ciągnął. – Voss powoli szła w stronę kaplicy. – Tutaj zapewne ją podniósł i zaniósł tam. Drzwi były otwarte, a w środku nie ma śladów ciągnięcia.

Cade kiwnął głową. Zastanawiał się nad tym, co mu powiedziała, próbował wyobrazić sobie przebieg zbrodni.

Gwałtowny atak.

Brutalny.

Zabójca był zdeterminowany.

Zerknął na wieżę kościoła, a następnie spuścił wzrok i spojrzął na pograżony w ciemności plot za kaplicą. Tuż za nim widział dach stojącego obok budynku, kancelarię swojego starszka. Jakiś miesiąc zaczął poruszać się w jego żuchwie. Dobrze znał to miejsce, zwłaszcza mieszkanie, w którym tymczasowo urzędował Vale.

Czyż sam nie korzystał z niego, gdy był młodszy?

Czyż nie spędzali nocy z Rachel w tej kawalerce?

Robili to samo, co jego siedemnastoletnia córka z Xanderem Vale'em?

Jakie ziarno, taki plon.

Skurwysyn!

– Tędy – przynagliła go Voss.

Weszli przez drzwi do przedsionka. Z jednej strony ołtarza widać było światło, jego snopy wpadały przez otwarte drzwi. Idąc za światłem latarki Voss, przeszli ostrożnie wzdłuż nawy i skręcili u podstawy wieży dzwonnicy, gdzie na podłodze leżała kobieta. Przecięta lina wciąż zaciskała się na jej kostce. Głowę otaczał wachlarz z włosów, oczy miała szkliste i nieruchome, do skóry wokół nich przylgnęła jakaś lepka substancja.

– Taśma – wyjaśniła Voss, jakby czytając mu w myślach. – Miała ją na oczach. Jako że wciąż żyła, Vale zdjął ją z jej twarzy, nim zaczął reanimację. – Wskazała drugą stronę pomieszczenia, gdzie do ściany przyklepiono kawałek niebieskiej taśmy. Wydawała się identyczna jak ta, którą znaleźli na twarzy Violet Sperry.

Dowód.

Zniszczony.

Dwójka ratowników, mężczyzna i kobieta, pochylała się nad denatką.

– Nikt nie był w stanie jej uratować – stwierdził mężczyzna. – Zapewne było za późno już w chwili, gdy zabójca ją przywiązał. – Był to wysoki dwudziestokilkulatek z twarzą pokrytą bliznami po młodzieńczym trądziku, z włosami krótko obciętymi po bokach i z rudą kępą na czubku. Potaknął, patrząc na martwą kobietę. – Wygląda na pękniętą tchawicę.

– Przerwana kość gnykowa? – zapytała Voss.

– Prawdopodobnie – potwierdziła kobieta. – Musimy czekać na wyniki autopsji, by podać przyczynę śmierci. Patolog jest już w drodze.

– Technicy też. Powinni się zaraz zjawić – powiedziała Voss, po czym dodała: – Opowieść Vale'a trzyma się kupy. – Zerknęła na Cade'a, jej twarz pozostawała w cieniu rzuconym przez upiorne światła. – Dzieciaki miały szczęście, że nie napatoczyły się na zabójcę.

– W przeciwieństwie do niej – skwitował Cade, zerkając na denatkę.

Ratownik wstał i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu papierosa.

– Jak już mówiłem, nic nie mogli zrobić.

Cade spojrzął na ciemne zakamarki wieży nad nimi i wyobraził sobie brutalną siłę niezbędną do wniesienia tam ofiary, która, być może, się broniła. Myślał o adrenalinie płynącej w krwi zabójcy. Dlaczego ją tu przyniósł? Dlaczego przywiązał? Dlaczego nie zostawił w miejscu ataku, po drugiej stronie przy szkole?

Zabójstwo z premedytacją.

To nie była przypadkowa zbrodnia.

– Miała przy sobie coś cennego?

Voss kiwnęła głową.

– Pierścionki wysadzane brylantami, kartę kredytową i czterdzieści dolarów w tylnej kieszeni razem z prawem jazdy. Rabunek nie był motywem.

Już to wiedział, wysnuł taki wniosek na podstawie brutalności tej zbrodni i tego, jak sprawca wyeksponował jej ciało.

– Czy powiadomiono jej męża?

– Tak, jest mężatką. Zgadywałaś? – zapytała Voss.

– Znałem ją. Edgewater jest małe.

– Skontaktowaliśmy się z jej mężem, ale on jest w Seattle. Już tu leci.

– Znaleźliście jej komórkę, prawda?

– Tak. Sprawdzamy ostatnie połączenia i listę kontaktów.

– Dobrze. – Po raz ostatni spojrzął na denatkę. – Muszę iść. – W drodze na parking rzucił: – Wróć, gdy zawiozę Harper do domu i upewnię się, że nic jej nie jest.

– Jasne.

Podeszli do Nowaka, który opierał się o swój samochód. Harper tuliła się do Vale'a, wyglądała tak młodo i była przerażona. Cade jej nie winił.

– Dobrze, jedziesz ze mną – zwrócił się do córki. – A ty? – Spojrzął w niespokojne oczy młodego mężczyzny. – Jedziesz do niej do domu. Swoim autem. – Potem, po namyśle, dodał: – Jeśli jesteś w stanie prowadzić.

– Jestem. – Chłopak wydawał się spokojny, więc Cade przyjął to za dobrą monetę.

Na razie.

Zanim wsiedli do jego samochodu, wysłał wiadomość do Kayleigh: **Sprawdź zabójstwo w kaplicy St. Augustine. Może mieć związek ze sprawą Sperry. Teraz nie mam czasu. Zadzwoń później.**

Wsadził telefon do kieszeni i usiadł za kierownicą. Nim przekręcił kluczyk, odwrócił się, żeby spojrzeć na córkę, opierającą się w ciemności o drzwi pasażera. Boże, była taka bezbronna, chociaż próbowała wziąć się w garść.

– W porządku? – zapytał.

– Nie. – Zamrugła, pociągnęła nosem i przewróciła oczami. – A u ciebie?

– Nie za bardzo.

– Nigdy nie będzie w porządku – wyszeptała i wbiła wzrok w widok za oknem.

Pęкло mu serce. Nie chciał, by doświadczyła czegoś tak traumatycznego. Wyciągnął rękę i przytulił ją na tyle, na ile pozwalał mu pas bezpieczeństwa.

– Będzie – zapewnił ją. – Będzie inaczej, nie tak samo. Ale dojdziemy do siebie.

– Nie sądzę. – Zadrżała.

– Daj sobie czas – poradził i puścił ją. – Jesteś twardsza, niż sądzisz.

– Skoro tak mówisz. No dobrze, jedźmy. Miejmy to już za sobą.

Uruchomił silnik, światła włączyły się automatycznie, rzucając złote snopy w ciemność nocy.

Harper głęboko westchnęła, gdy ruszył.

– Mama będzie odchodziła od zmysłów – wyszeptała na tyle głośno, by ją usłyszał.

– Nic jej nie będzie.

Córka posłała mu spojrzenie pełne niedowierzania.

– Tak? Kiedy ostatnio „nic jej nie było”? – W powietrzu zrobiła znak cudzysłowu, po czym swobodnie siadła na fotelu. – Uwierz, tato, sam się przekonasz. To nie będzie miało nic wspólnego z „nic jej nie jest”.

ROZDZIAŁ 23

– Anessa nie żyje? – wyszeptała Rachel, próbując ogarnąć umysłem to, czego się dowiedziała w swoim salonie od byłego męża.

Najpierw napisał esemesa, a potem zjawił się w drzwiach razem z Harper. Xander Vale przyszedł kilka minut później, gdy na prośbę Cade'a obudziła Dylana. Ze szczekającym Reno przy boku, Rachel otworzyła im drzwi, po czym ich córka niemal wpadła w jej objęcia.

Z początku Rachel tuliła Harper, jakby nigdy nie chciała jej puścić. Gdy zaczęło do niej docierać to, co jej mówiono, uświadomiła sobie głębię traumy, której doświadczyła Harper, więc uściśliła ją mocniej i dopiero wtedy wypuściła z ramion.

– Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało – powiedziała, gdy obie walczyły z napływającymi łzami, a Harper dzielnie udało się powstrzymać od płaczu.

A teraz Xander, Harper i Dylan siedzieli na kanapie, pobladli na twarzach, i wyglądali tak, jakby chcieli zapaść się pod ziemię. Dylan miał potargane włosy, ale oczy otwarte szeroko niczym ćwierćdolarówki, był czujny, mimo że dopiero co został wyrwany z łóżka. Harper otarła łzy, przerażona tkwiła w swoim koszmarze, podczas gdy Xander wbił wzrok w podłogę i trzymał dłonie między kolanami.

Niewiarygodnie zszokowana Rachel próbowała opanować drżenie, które wstrząsało jej ciałem, gdy siadła na swoim ulubionym fotelu. Wciąż jeszcze przetrawiała te okropne wieści.

Najpierw Violet, a teraz... Anessa? Nie mogła w to uwierzyć. Kolejna koleżanka z klasy. Kolejna młoda, pełna życia kobieta.

Martwa.

Zamordowana.

A jej dziewczynka była świadkiem horroru, widziała, jak kobieta umiera na skutek ran zadanych jej przez jakiegoś potwora. Rachel była rozdarta pomiędzy pragnieniem nakrzyczenia na Harper, że była taka bezmyślna, uczuciem ulgi, że córka jest już bezpieczna, i ochotą, by ją przytulić i chronić w ramionach. Harper wyglądała tak młodo, tak niewinnie... tak bezbrinnie. O Boże.

– Zaczynjcie od początku – poprosiła Rachel, gdy przeminął pierwszy szok, a jej serce zaczęło bić w miarę normalnym rytmem. Słuchała opowieści Harper o tym, jak wymknęła się z domu, spotkała się z Xanderem Vale'em, pojechała z nim do mieszkania należącego do firmy Chucka Rydera, a następnie usłyszała jęki dochodzące zza okna. Młodzi podążyli za tym dźwiękiem do St. Augustine, gdzie w od dawna niezynnej kaplicy znaleźli w dzwonnicy Annessę, jeszcze żywą i wiszącą głową w dół. Usilnie próbowali uratować prawie martwą kobietę, więc ją odcięli, wezwawszy 911, ale Anessa umarła przed przyjazdem karetki.

Rachel z całych sił starała się trzymać i wydobyć jakiś sens z tej historii.

Zachować spokój, chociaż ze strachu odchodziła od zmysłów.

Co by było, gdyby Xander i Harper usłyszeli wołanie, w chwili gdy zabójca wciąż tam był? Czy staliby się jego kolejnym celem? Czy oni też zawiśliby w dzwonnicy na linach? Czy by przeżyli? Zacisnęła jej się gardło, ścisnęła podłokietniki fotela na myśl, co mogłoby się stać. Zamiast jednej ofiary, byłoby ich więcej, w tym Harper.

Jej dusza zmieniła się w lód, musiała tłumić panikę, która wzrastała, gdy pozwalała myślom krążyć po ciemnych, krętych ścieżkach.

Nie mogła się tam zapuszczać... nie zrobi tego. A zatem skupiła się na tym, jak potoczyła się ta noc.

– Co ty sobie myślałaś? – zapytała córkę, a potem zauważyła, że Cade lekko kręci głową, ostrzegając ją, że to nie miejsce i pora na besztanie i tak przerażonej dziewczyny. – Nieważne, wrócimy do tego później – mruknęła, przyjmując radę i widząc, że Harper przełyka ślinę i walczy z napływającymi łzami. Drżąc w środku, dodała: – Cieszę się, że jesteście bezpieczni.

Po policzkach Harper ponownie popłynęły łzy. Pociągnęła nosem i szybko je otarła, na próżno starając się wyglądać na twardzielkę.

– Słuchaj, skarbie, może... może chcesz się położyć? – zaproponowała Rachel. – Możemy porozmawiać później.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy.

– Cii. Twoja mama ma rację. – Vale objął ręką szczupłe ramiona dziewczyny, po czym wyszeptał jej coś do ucha i pocałował ją we włosy. Tak delikatnie, że serce Rachel niemal pękło. Niemał. Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

– Przepraszam za to wszystko – wychrypiął. – To moja wina, że Harper wyszła z domu. To był mój pomysł... i więcej się to nie zdarzy.

Harper spojrzała przez łzy i położyła dłoń na piersi.

– Nie. To nie jest twoja wina. Poszłam, bo chciałam być z tobą.

– Możemy o tym porozmawiać później, kiedy wszyscy się wyśpimy – zauważył Cade. – Najważniejsze, że próbowaliście pomóc i że nic wam się nie stało. Rano spojrzemy na to z innej perspektywy.

Rachel w pełni się z tym zgadzała. Teraz gdy jej córka była cała i zdrowa w domu, chciała tylko zobaczyć się stąd Vale'a i zająć się swoją głową, by móc znowu sensownie myśleć.

– Możesz jechać – rzucił Cade do Vale'a. – Ale zapewne skontaktuje się z tobą ktoś z wydziału. Będą chcieli ci zadać kolejne pytania.

Harper jęknęła.

– Powiedzieliśmy już wszystko, co wiedzieliśmy.

– Tak, ale musi się odbyć dodatkowe przesłuchanie – wyjaśnił Cade. – Być może przypomnicie sobie coś jeszcze.

– Nie chcę sobie niczego przypominać – odparła Harper, gdy Vale wstał, a ona poszła w jego ślady. Z dziewczyną u boku podszedł do drzwi frontowych.

– Ja też nie, ale chyba będziemy musieli. – Spojrzał na salon i wymamrotał szybkie „dzięki”, chociaż nie sprzecyzował, komu i za co dziękuje. Nie pocałował Harper na pożegnanie, wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi. Cade podszedł do nich i przekręcił zatrzask.

Harper patrzyła na rodziców wojowniczo.

– Nie możecie go winić – stwierdziła. – Próbował pomóc tej kobiecie.

– Wcale go nie winimy – uspokoił ją Cade, ale Rachel nie rwała się aż tak do przebaczenia. Gdyby nie Vale, Harper nie wymknęłaby się z domu i nigdy nie znaleźliby się w tej sytuacji. Tak, Annessa została by zamordowana, ale jej córka byłaby bezpieczna i oszczędzono by jej traumy przyglądania się cudzej śmierci.

Podobnie jak ty się przyglądałaś.

Przypomniała sobie, że patrzyła na Luke'a na brudnej podłodze w pograżonej w ciemności wytwórni i widziała, jak światło w jego oczach gaśnie, gdy tracił przytomność, a wkrótce po tym umarł.

Teraz jej własna córka poznała ten sam rozdzierający strach towarzyszący patrzeniu na czyjaś śmierć.

Zmroziło ją w środku, gdy usłyszała pikanie i uświadomiła sobie, że to alarm. Zerwała się na nogi, podbiegła do tylnych drzwi i wprowadziła kod wyłączający alarm.

Wróciwszy do salonu, zobaczyła, że córka odwróciła się na kanapie i wygląda przez okno, odprowadzając wzrokiem oddalające się światła jeepa Vale'a. Z płynącym z głębi duszy westchnieniem Harper

opadła na poduszki i spojrzała w oczy matki.

Rachel poczuła, jak ściska jej się serce.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przejść.

– Wszystkim nam przykro – zgodził się Cade. – Ale zanim pójdziecie spać, jeszcze jedna sprawa.

– Oho – mruknął pod nosem Dylan.

Cade skupił się na córce.

– Jak wyszłaś z domu? Alarm był włączony, mama powiedziała, że wciąż jest włączony, gdy wstała, żeby go sprawdzić. Wylączyłaś go, a potem zresetowałaś?

– Nie. – Harper przygryzła wargę. – Ja, yy, poprosiłam Dylana, żeby odłączył kabel sięgający mojego okna.

– Słucham? A ty to zrobiłaś? – zapytała Rachel z niedowierzaniem, wbijając wzrok w syna. – Ale właśnie o to chodzi w alarmie, żebyście byli bezpieczni.

– I żeby zamknąć nas w środku. – Harper złożyła ręce na piersi, ponownie przyjmując buntowniczą postawę.

– No tak. – Rachel pokiwała głową. – W nocy. Bo to niebezpieczne, Harper. Powinnaś to zrozumieć po tym, czego dzisiaj doświadczyłaś. Czy nie widzisz, że ja... my, twój ojciec i ja... chcemy tylko zapewnić wam bezpieczeństwo?

– Ale...

– Żadnych „ale” w tej sprawie – powiedział Cade, patrząc na córkę. – Nie wiemy, co się dzieje, ale to drugie morderstwo w Edgewater w ciągu tygodnia.

– To nie ma nic wspólnego z nami.

– Nie wiesz tego na pewno – przerwał jej Cade i wskazał drzwi. – Ten dom padł ofiarą wandal...

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się nastolatka.

Rachel opowiedziała o drzwiach i kiedy zostały pomazane.

– Serio? – Harper była zaskoczona. – Nawet nie zauważyłam.

– Wiem – odparł Cade. – To się zdarzyło wczoraj w nocy. Wasza mama zamalowała napis, bo nie chciała was niepokoić.

– Rany. – Dylan zerknął na Rachel.

Cade mówił dalej.

– Nie koniec na tym. Wasza mama dostała co najmniej jedną dziwną wiadomość. Być może to nic nie znaczy, ale tego nie wiemy. Jeszcze nie. O to właśnie chodzi. My wszyscy – wykonał gest obejmujący całą rodzinę – musimy być wyjątkowo czujni. Więc nie próbuj wymykać się z domu. A ty – przeniósł spojrzenie na syna – nie próbuj rozbrajać alarmu. Co ci strzeliło do głowy?

Dylan nie odpowiedział.

Rachel nie mogła w to uwierzyć.

– Wyjaśnijmy to sobie. Zrobiłeś odrębny obwód do pokoju Harper, taki, który można odłączyć w razie potrzeby?

Żadnej odpowiedzi.

– Czy zrobiłeś to samo w swoim pokoju? – Nie ustępowała.

Dylan wpatrywał się w podłogę, Rachel zmrużyła oczy.

– Nie zajęło ci to zbyt wiele czasu. Byłam przy tym. – Kolejna niepokojąca myśl przemknęła jej przez głowę. – Proszę, nie mów, że to także robisz dla swoich kolegów – dodała, przerażona. Przerwała, żeby wyjaśnić wszystko Cade’owi, powiedziała o przeszukaniu pokoiów dzieci i że została przez nich oskarżona o naruszanie ich prywatności. – I znalazłam w pokoju Dylana plik pieniędzy niewiadomego pochodzenia. Harper twierdzi, że to kasa, którą dostał za naprawianie komputerów znajomych i takich tam, ale według mnie kryje się za tym coś jeszcze.

Dylan podniósł wzrok, po czym znowu go opuścił i przelknął ślinę, jakby coś utkwiło mu w gardle.

– Będziemy potrzebować listy alarmów, które naruszyłeś – oznajmił Cade, próbując opanować gniew.

– Nie zrobiłem tego nigdzie indziej. – Dylan w końcu spojrzał ojcu w oczy.

– On nie kłamie – dodała Harper.

Rachel nie była przekonana i wciąż drążyła temat.

– To czym się zajmujesz?

– Rany, mam – odparł Dylan. – Już ci mówiłem. Komputerami. Konsolami do gier.

– Dlaczego jakoś nie mogę w to uwierzyć? – Rachel z oburzeniem patrzyła na dzieci. – Wiecie, co może się stać, jeśli będziecie odwalali takie numery? Straciecie nasze zaufanie.

– I trochę potrwa, nim je odzyskacie – poparł ją Cade.

– A więc czy musimy ponownie zajmować się naszym alarmem? – zapytała Rachel, bliska rwania sobie włosów z głowy z frustracji. – Czy już działa jak trzeba?

Dylan potaknął.

– Wszystko działa. Podłączyłem go, gdy Harper napisała, że wieszysz ją do domu. To jeden prosty przełącznik.

– Którego szybko usuniesz – oświadczył Cade.

– Dobrze.

– Jutro.

– Tak! – odparł ze złością Dylan.

– A czy dzisiaj wszystko działa jak należy? – powtórzył Cade.

– Boże, tato, tak. Idź i sprawdź jak chcesz!

– Sprawdź. Ale ty mi to zademonstrujesz.

Dylan przewrócił oczami, zaprowadził ich jednak do kuchni, a potem do spiżarni, gdzie wisiała skrzynka kontrolna alarmu. Wyjaśnił im jej działanie, pokazał, że teraz jest włączony i wszystkie drzwi i okna są podłączone.

– Dobrze, rozłącz ją teraz, a ja włączę po wyjściu taty – powiedziała Rachel.

– Widzisz, jakie to trudne? – zapytał z sarkazmem Dylan, wpisując kod.

Cade wskazał na jeden z przełączników z napisem KND.

– A to co?

– Kamera na podwórko od frontu. Skrót od kamera nad drzwiami – wyjaśnił Dylan.

– Czy działała, kiedy pomalowano drzwi? – zapytał Cade.

Dylan pokręcił głową.

– Cały system nie działał.

Cade posmutniał.

– Szkoda. Moglibyśmy namierzyć tego gościa, który wysprejował drzwi, gdyby się to nagrało.

– Tak, ale obraz byłby zbyt ziarnisty. Ten system jest dinozaurom – stwierdził Dylan. – Chyba nawet nie da się dokupić do niego części.

– Najwyższa pora na modernizację – zauważył Cade. – Można kupić łatwy do instalacji system cyfrowy, który da się podłączyć do telefonu.

– Tak zrobimy. Ale już nie tej nocy – odparła Rachel, czując potworne zmęczenie. – Wy dwoje – wskazała dzieci – do łóżek. Jutro szkoła.

– Każesz nam iść? – Harper aż prychnęła z niedowierzaniem.

– Tak. – Być może nie. Chociaż jej córka zasłużyła na poważną karę za wyjście z domu, przeżyła dzisiaj traumę, i to taką, z którą Rachel mogła się łatwo utożsamiać. Czy taka kara wystarczy? Zapewne.

Mimo to Rachel musiała zająć w tej sprawie stanowisko.

Jutro.

Dylan ulotnił się w mgnieniu oka, Harper oddaliła się wolniej. Rachel czekała do chwili, aż usłyszała, że oboje zamykają drzwi swoich pokoi, po czym odezwała się do byłego męża:

– Witaj w moim koszmarze.

– Moim też. I mówię poważnie o nowym alarmie.

– Rozumiem. Ja też.

– Dobrze. – Ruszył w stronę drzwi wyjściowych od frontu.

– Po prostu nie wierzę, że Annessa nie żyje – rzuciła Rachel, idąc za nim. – Że ktoś mógłby to zrobić. Zostawić ją na śmierć powieszoną w dzwonnicy. Dlaczego?

– Nie wiem. Jeszcze. Ale się dowiemy.

– Mam taką nadzieję. Czy jej mąż już wie? – zapytała.

– Y-hy.

– Sądzisz, że ma to związek z tym, co przydarzyło się Violet?

– Tak. – Zastanowił się przez chwilę. – Wiesz, co mnie zaskoczyło? Nie to, że obie w tym samym czasie skończyły szkołę, nie to, że mogły być przyjaciółkami. Chodzi o to, że obie były tamtej nocy w wytwórni i zeznawały na twoją korzyść.

– To dość pochopne wnioski – powiedziała, ale poczuła, że ogarnia ją strach. – Przecież to się stało dwadzieścia lat temu.

– A teraz sprawa została wyciągnięta przez gazetę, prawda? Poza tym macie swój zjazd, wszyscy się na nim zjawią?

– Wydaje mi się, że Annessa i Violet nie planowały udziału.

– Mimo że nadal tu mieszkały?

– Może właśnie dlatego – odparła sarkastycznie. – Poza tym to naprawdę wkurzało Lilę. Chce zrobić imprezę najlepszą z najlepszych. Sam znasz swoją najdroższą macoszkę. Zawsze chce tego, co największe i najlepsze, żeby się pokazać.

– Uważaj, bo zadławisz się jadem.

– Tak tylko mówię. – Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

Ponownie weszli do salonu, a on zatrzymał się przy drzwiach.

– Czy jest coś jeszcze, co łączy Violet z Annessą?

– O, matko, nie wiem. Nie utrzymywałam z nimi kontaktu. – Zastanawiała się przez chwilę. – Wiem tylko, że obie się stąd wyprowadziły na jakiś czas, wyszły za mąż. Żadna nie miała dzieci i obie tu wróciły. Violet ze względu na interesy męża, Leonard Sperry ma sklep meblowy, a mąż Annessy, jak mu tam, Cooper...

– Clinton.

– Clint. Tak, właśnie, jest dużym deweloperem, który kupuje tu nieruchomości. Annessa dość niedawno się tu przeprowadziła, parę lat temu, żeby pomagać swoim rodzicom. Byli po siedemdziesiątce i... nie pamiętam, ale wydaje mi się, że oboje już nie żyją, choć głowy nie dam. Mogę się mylić. Annessa i Violet nie obracały się w tym samym towarzystwie w szkole i nie wydaje mi się, żeby ostatnio mogły się zaprzyjaźnić. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Ale obie były wtedy w wytwórni?

To nie było pytanie i oboje wiedzieli, co miał na myśli, mówiąc „wtedy”.

– Tak. – Spojrzała na swojego byłego. – Ale było tam dużo ludzi.

– Wiem.

– I co? Próbujesz mnie wystraszyć? Bo jeśli tak, to ci się udało.

– Nie. – Zrobił krok w jej stronę i przez moment wydawało jej się, że może zmniejszyć dzielącą ich odległość i ją objąć. Ale on został przy drzwiach. – Chcę tylko, żebyście byli ostrożni. – Złapał za klamkę, po czym wskazał Reno, który zwinął się na swoim posłaniu koło regału. – Wróć. Niech pies czuwa, włącz alarm i zamknij dom.

– Dobrze.

I wyszedł.

Żadnego pocałunku.

Żadnego przytulenia.

Żadnej oznaki intymności, która kiedyś była między nimi.

No i dobrze; na tym jej zależało.

Ale czy na pewno?

To skąd uklucie rozczarowania, kiedy przekręcała zatrzask w drzwiach?

– Bo jesteś idiotką – szepnęła, po czym uruchomiła alarm, a następnie rozpoczęła swój rutynowy nocny obchód, by sprawdzić wszystkie zamki i okna.

ROZDZIAŁ 24

Kayleigh już na niego czekała.

Cade rozpoznał jej szczupłą sylwetkę w błyskających światłach radiowozów blokujących kwartał zajmowany przez St. Augustine.

Zaparkował i przeszedł pod taśmą policyjną, omijając w ten sposób ekipę telewizyjną stojącą przy białej furgonetce z logo portlandzkiej stacji na bokach. Reporter wymienił rozczarowane spojrzenie z kamerzystą, który trzymał na ramieniu kamerę z mikrofonem i oświetleniem.

Kayleigh, ze związanymi włosami i czapką z daszkiem naciągniętą nisko na oczy, stała i rozmawiała z Nowakiem i Voss w pobliżu otwartej bramy. Miała na sobie obcisłe dżinsy i płaszcz sięgający jej do połowy uda. Pograżona w dyskusji, podniosła wzrok, gdy Cade się zbliżył.

– Cześć – rzuciła. – Dostałam twoją wiadomość.

Kiwnął głową.

– Widzę. Udzielili ci najnowszych informacji?

– Tak.

– Uważacie wszyscy, że to morderstwo może mieć związek ze sprawą Sperry? – zapytała Voss.

– Tak. – Cade miał co do tego pewność.

Voss prychnęła.

– Zaczynam się zastanawiać, co się odpięrdziła w tym miasteczku. Przez dwadzieścia lat żadnych zabójstw, a teraz dwa w jednym tygodniu.

– Dwie ofiary, które były świadkami strzelaniny przed dwudziestu laty – doprecyzował Cade.

– Na miłość boską – powiedziała Voss. – Nie próbujesz chyba połączyć sprawy Luke’a Hollandera z tym, co stało się dzisiaj?

– Jeszcze nie.

– Widziałam, że wyjąłeś akta tamtego dochodzenia.

– Chciałem tylko przypomnieć sobie, co tam się stało.

– Nie pierdól. Znam cię, Ryder. Wydaje ci się, że wpadłeś na jakiś trop.

– Może to nic takiego.

Voss spojrzała mu w oczy.

– W domu wszystko dobrze?

– Na tyle, na ile może być.

– Co za burdel – westchnęła Voss.

Kayleigh nie komentowała, ale uniosła jedną brew pod daszkiem czapki.

– Był patolog? – zapytał Cade, zmieniając temat na mniej osobisty.

– Był i wybył. Ciało też. Wiozą ją do kostnicy. – Voss pokręciła głową. – Też tam jadę. Na spotkanie z jej mężem. Ma ją zidentyfikować, ale to tylko formalność. Pasuje do zdjęcia na prawie jazdy, na którym wciąż widnieje jej adres z Seattle. Mąż wyjaśnił, że jeszcze nie wyrobiła sobie nowego w Oregonie. Wciąż nie wiedzieli, czy przeprowadzą się na stałe.

– Jakie zrobił wrażenie?

– Spoko. Biorąc pod uwagę okoliczności. Ale kto tam może wiedzieć, gdy rozmawia się przez telefon? Połączenie nie było najlepsze. Już jechał na południe. Razem z jakimś przyjacielem czy partnerem

biznesowym. – Spojrzała na zegarek. – Nie ma wielkiego ruchu, pogoda niezła. Powinien niedługo tu być.

– Czy technicy coś znaleźli?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Może coś będzie w samochodzie ofiary. Już został zabrany do warsztatu. Wystąpiliśmy po spis połączeń – odparł Nowak.

– Sprawdź dom ofiary, gdy skończymy w szpitalu. – Voss poklepywała się po kieszeniach kurtki, w końcu wyjęła kluczyki. – Muszę jechać, jeśli chcę złapać Clintę Coopera w kostnicy. Boże, nie cierpię tej części mojej pracy.

– Jak my wszyscy – zauważył Nowak, gdy kobieta ruszyła w stronę swojego auta. Wyjął z kieszeni komórki, żeby przeczytać wiadomość. – O cholera, Elwinowi Atkinsowi znowu odwaliło. Pijany wali w drzwi żony, mimo zakazu zbliżania się. Chyba i tak już tu skończyliśmy. Czas się zwijać – powiedział z westchnieniem.

– Chcę się jeszcze rozejrzeć – wyznał Cade.

– To dawaj – odparł Nowak. – W tej chwili rządzą tu kryminalni, a jak skończą, O’Neal wszystko pozamyka.

Gdy Nowak się oddalił, Cade i Kayleigh przeszli przez bramę na boisko, które wyglądało złowieszczo w świetle policyjnych lamp. Dwóch techników przeczesywało teren, szukając jakichś śladów.

– To twój dzieciak znalazł ciało? – zapytała Kayleigh, zakładając ochraniacze na buty, po czym ruszyła w stronę kaplicy.

– Ona i jej przyjaciel, Xander Vale, ale ofiara wciąż żyła. Wezwali dziewięćset jedenaście. Nie dali rady jej uratować. – Zerknął na nią, gdy wchodzili do kaplicy, teraz oświetlonej silnymi reflektorami dla pracujących tam śledczych.

– Z Harper wszystko dobrze?

– Mam taką nadzieję – odpowiedział, ale nie brzmiał tak pewnie, jak w obecności swojej córki. Dotarli do dzwonnicy, gdzie technicy kończyli swoje czynności i właśnie zwijali się z miejsca, gdzie znaleźli ofiarę.

– Wygląda na to, że została zaatakowana przy szkole – stwierdziła Kayleigh. – A potem, gdy zabójca ją obezwładnił, przyniósł ją do wieży i powiesił głowę w dół. – Uklękła, żeby przyjrzeć się zakurzonemu deskom na podłodze dzwonnicy, po czym spojrzała na sufit iglicy, teraz ciemny, gdzie niegdyś wisiały dzwony. Cade pamiętał ich bicie, gdy był młodszy, dźwięk niósł się przez całe miasto, wzywając na mszę. Pamiętał też krzyki i śmiechy dzieci uczęszczających do prywatnej szkoły. Był w tej kaplicy zaledwie kilka razy, jako dziecko. Jego matka była niepraktykującą katoliczką, ojciec ateistą, więc rzadko chodzili do kościoła.

Cade przyglądał się temu miejscu i myślał o zabójcy. Jak trafił na swoją ofiarę? Czy ją znał? Czy skłonił ją do przyjścia tutaj? Dlaczego znalazła się w St. Augustine – opuszczonym kompleksie – o tak późnej godzinie? I dlaczego zabójca marnował czas na zaciągnięcie jej do kaplicy? Jakby chciał zainscenizować jej śmierć. Po co podejmował takie ryzyko?

Ten kościół, pomyślał, musi mieć jakieś znaczenie.

– Naprawdę próbujesz znaleźć związek z morderstwem Hollandera? – zapytała Kayleigh, podnosząc się i otrzępując dłonie.

– Nie do końca. – Pokręcił głową.

– Sprawa została zamknięta. Ktoś się przyznał.

– To był wypadek – niemal warknął, czując, że powinien bronić Rachel. To było niedorzeczne.

– A więc jaki jest związek?

– Zbyt wiele zbiegów okoliczności.

Wyszli z kościoła i idąc wzdłuż plotu dotarli do bramy, gdzie pozbyli się ochraniaczy i odmeldowali. Rzadka mgła nadciągała z zachodu, zawisła nad parkingiem i rozmywała ostre linie budynków.

Cade popatrzył na zegarek. To była długa noc, a świt miał nadejść dopiero za godzinę, na wschodzie nawet nie zaczęło się jeszcze przejaśniać.

– Omówmy to – zaproponował. – Stawiam kawę w Abe’s. Śniadanie też, jak chcesz.

– Kawa wystarczy – rzuciła Kayleigh i wsiadła do samochodu na miejsce pasażera.

Przez chwilę Cade rozpamiętywał czas, gdy byli partnerami i zapadała nad nimi noc. A potem był pocałunek, potem następny i... przerwali, oboje szybko oddychając, deszcz kapał na przednią szybę, która zaczęła zaparowywać.

– Nie mogę – powiedział, a ona spojrzała mu w oczy.

– Ja też nie – odparła i był to koniec czegoś, co nawet nie zdążyło się dobrze zacząć. Nigdy nie przekroczyli tej kruchoj granicy jego rozpadającego się małżeństwa, dopóki nie podpisał dokumentów rozwodowych i potem też nie. Jakby mieli świadomość, że był to o jeden most za daleko.

Podjechał pod całonocną jadłodajnię przy autostradzie na zachodnim skraju miasta, miejsce uczęszczane przez tiorowców, którzy spędzali noce na ogromnym parkingu, otoczonym polami ciągnącymi się aż pod starą wytwórnię konserw. Sama restauracja zbudowana była w latach pięćdziesiątych z pustaków, miała wysoki, skośny dach i kuliste lampy nad ladą biegnącą wokół położonej w centrum kuchni. Zza ścianki dobiegało skwierczenie bekonu, odgłos ekspresu do kawy i brzdęk naczyń.

Usiedli w jednej z łóż w głębi budynku, chociaż i tak mieli wrażenie, że znajdują się w akwariu, bo restauracja miała okna sięgające od podłogi do sufitu. O tej porze dnia było tu prawie całkiem pusto.

Pojawiła się chuda kelnerka o blond włosach, która była zbyt ożywiona jak na piątą rano, i przyniosła dzbanek parującej kawy.

– Cześć. Jestem Livvie. Zakładam, że chcecie dobrej, gorącej kawy prosto z ekspresu. Śniadanie też podać?

– Na razie prosimy kawę – zdecydował Cade.

– Kucharz poleca pyszne farmerskie śniadanie – zachęciła, pokazując dołeczek w policzku. – Kiełbaski z bekonem.

– Tylko kawa – zastrzegł.

– Dla mnie też – dodała Kayleigh.

– Na pewno? Jest naprawdę bardzo, bardzo pyszne.

– Nie, dzięki – odparła Kayleigh.

– Jasne. – Nie przestawała się uśmiechać, gdy nalewała im parującego płynu do filiżanek. – Dajcie znać, jak zmienicie zdanie. – Oddaliła się z uśmiechem, gdy do restauracji weszła starsza para.

– Czaru-kuźwa-jąca – wymamrotała Kayleigh, przyglądając się siwowłosym przybyszom zajmującym stolik koło lady, gdzie powoli obracała się tacka z wyborem wypieków, a kelnerka czekała już z dwoma plastikowymi kartami dań.

– Tak, cóż, Livvie nie wróciła właśnie z ponurego miejsca zbrodni.

– Szczęściara. – Kayleigh położyła na siedzeniu swoją czapkę z daszkiem, jej kucyk się poluzował, kosmyki otoczyły twarz. – No to mów – zażądała, nalewając do swojej kawy śmietanki z małego mlecznika. – Skoro tu mieszkasz od dziecka, to wiesz, jak morderstwo Cooper wiąże się ze sprawą Sperry? Orientuję się w podstawowych faktach: razem chodzili do szkoły, były bardziej znajomymi niż przyjaciółkami, raczej nie zadawały się ze sobą i to tyle.

– Wszystko prawda. Obie były mężatkami, bezdzietnymi, i o ile wiem, nic więcej ich nie łączyło.

– Ale zostały zamordowane w ciągu tygodnia, zasłonięto im oczy tą samą niebieską taśmą.

– Sądzimy, że tą samą.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Oj, przestań. Jakie są szanse, że innymi? Dwa morderstwa po dwudziestu latach posuchy, obie ofiary nie zostały zakneblowane, lecz zaklejono im oczy niebieską taśmą. Niejeden psycholog miałby

używanie. – Zestawiła razem pieprzniczkę i solniczkę, po czym popatrzyła na niego swoimi zielonymi oczami. – Ojej, Ryder, przecież to ten sam facet, ta sama taśma, oboje o tym wiemy. Musimy tylko to udowodnić.

– Psycholog? – zapytał po chwili milczenia.

– Miejmy nadzieję, że technicy znajdą na taśmie odcisk.

– Czyli uważasz, że nasz zabójca jest w bazie.

– Jeśli nie, to szukaj wiatru w polu.

Wiedział, że to loteria, gdy przyglądał się, jak miesza kawę i upija łyk na próbę.

– Fakt, ale może poszczęści nam się z taśmą lub czymś innym. Zaczniemy od billingów telefonicznych.

Sfrustrowana opadła na oparcie łóża.

– No to zdradź mi, dlaczego uważasz, że te morderstwa mają związek z tym, co przydarzyło się Luke'owi Hollanderowi.

– Nie jestem pewien, czy tak jest; być może nie mam racji. Po prostu stwierdziłem, że przejrę sobie tę sprawę. Zdarzyło się kilka rzeczy, które wskazują na to, że ktoś jeszcze o niej pamięta.

– Może został sprowokowany przez ten artykuł w szmatławcu „Edgewater Edition”.

– Może – odparł, ale miał przeczcucie, że to coś poważniejszego niż jakiś czubek podniecony artykułem z gazety. Opowiedział jej o Franku Quinnie, napisie na drzwiach Rachel i wiadomości.

– „Wybaczam ci”? – powtórzyła i oparła się o czerwony zagłówek. – Ktoś nią manipuluje. Próbuje namącić jej w głowie.

Nie mógł się z tym nie zgodzić i wcale mu się to nie podobało.

– Po co?

– Ty mi powiedz.

– Nie wiem, ale postaram się dowiedzieć. – Upił łyk z filiżanki. Tymczasem do lokalu weszło kilku trowców. Zbliżyli się do lady. – Masz coś nowego w sprawie zabójstwa Sperry?

Skrzywiła się.

– Nic istotnego. Kula w ścianie była tego samego kalibru, co zaginiony pistolet Sperry. Nikt ze znajomych i krewnych nie powie o niej złego słowa. No wiesz, nagle Violet Sperry stała się świętą. Ciągłe sprawdzamy połączenia telefoniczne i komputery. Jak dotąd wygląda na to, że przede wszystkim zajmowały ją psy, spędzała sporo czasu na blogach i stronach poświęconych rasie Cavalier King Charles. Jej mąż oddawał się hazardowi w sieci i czasem oglądał porno. – Przewróciła oczami. – O ile nam wiadomo, ostatnią osobą, która ją widziała, był dostawca pizzy; w lodówce znaleźliśmy połowę pizzy z serem i pepperoni. Dostawca przyjechał o osiemnastej trzydzieści siedem, wtedy zapłaciła mu kartą, co potwierdzają wyciągi bankowe, które nie wskazują na nic niezwykłego. Przedtem była na zajęciach jogi o drugiej, ale instruktorka twierdzi że zawsze była skryta, przychodziła, robiła swoje i wychodziła. Nie miała żadnych kumpelek na zajęciach. Po prostu zwykły dzień.

– Który skończył się zrzuconiem ze schodów z niebieską taśmą na oczach.

– To taśma malarska. Można ją kupić w każdym sklepie z farbami albo w Home Depot. Kolejna igła w stogu siana. W garażu Sperrych były puszkki z niewykorzystaną farbą, ale żadnych rolek niebieskiej taśmy.

– Zabójca mógł ją wziąć, gdy wszedł do domu.

– Jest to możliwe, ale wydaje się nieprzemysłane; nie ma sensu, gdy weźmiemy pod uwagę, że zamierzał kogoś oślepić przed zabójstwem, więc co, pomyślał: „Kurde, zapomniałem, ale, o proszę, jest tu w garażu rolka taśmy”?

– Racja. Żadnych śladów na taśmie?

– Zero. Aż tak nam się nie poszczęściło. – Była równie sfrustrowana jak on, a teraz mieli drugie morderstwo. – Rozwiń wątek Quinna. Co na niego znalazłeś?

– Nie istnieje. – Wypił resztę kawy. – Przynajmniej ja go nie znalazłem. Ale szukamy zarówno jego, jak i samochodu oraz psa.

– Powodzenia.

Wróciła Livvie, żeby napełnić ich filiżanki, ale szybko odeszła, bo do lokalu zaczęli ściągać klienci. Razem z porannym tłumem pojawiła się druga kelnerka, która, w przeciwieństwie do Livvie, ledwie trzymała się na nogach. Nie mogła powstrzymać ziewania, gdy zaczęła krzątać się pomiędzy stolikami.

Kiedy Cade się poruszył, dotarły do niego aromaty smażonego bekonu, zaparzanej kawy i ciepłego syropu klonowego. Był głodniejszy, niż sądził. Kiedy zobaczył półmiskę z naleśnikami i jajkami, zaburczało mu w brzuchu.

– Jesteś pewna, że nie zjesz śniadania? – zapytał.

Kayleigh odstawiała pustą filiżankę.

– Nie mogę. Muszę lecieć. – Sprawdziła wyświetlacz telefonu i sięgnęła po czapkę. – Ale ty się nie krępuj. – Wychodząc z łóży, dodała: – Informuj mnie.

– Ty mnie też. Czekać. Nie trzeba cię gdzieś podrzucić? – Zaczął wstawać.

– Nie. Przejdę się. – Zatrzymała się jeszcze na chwilę przy stole i położyła palce na blacie.

– Mogę cię podwieźć.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Doprawdy – powiedziała – to niedaleko, a mnie przyda się trochę ruchu. Poza tym, muszę pomyśleć. A najlepiej mi się myśli, gdy chodzę.

– Nie podoba mi się to.

– Trudno. – Spojrzała w jego zaniepokojone oczy, zabrała rękę z jego rękawa. – Naprawdę, nic mi nie będzie.

Zawahał się, po czym uznał, że nie zdoła jej przekonać, więc z powrotem usiadł.

Stojąc pod ostrymi światłami okrągłych lamp, popatrzyła na niego z góry.

– Trzymaj się, Ryder – rzuciła, przybierając na moment czuły ton, po czym przełożyła kucyk przez otwór w tyle czapki. – I dzięki za kawę. Nie zapomnij zostawić kelnerce sutego napiwku.

ROZDZIAŁ 25

– O mój Boże, o Boże, czy to prawda? – Lila prawie krzyczała w słuchawkę.

Rachel, siedząc przy komputerze, uznała, że popełniła błąd, odbierając telefon i zaczynając tę – jak uznała – nieuniknioną rozmowę.

Lila brzmiała tak, jakby miała wpaść z histerię.

– Czy Annessa naprawdę nie żyje? Została zamordowana? O mój Boże, nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Ćwiczyłam, no wiesz, jak zawsze w domu i leciały wiadomości i... niech to szlag, wtedy o tym powiedzieli. Z początku mówili, że policja musi czekać z identyfikacją ofiary, aż poinformują jej krewnych, ale chyba już powiadomili Clinta, ponieważ potem ujawnili, że to Annessa Cooper, i mój Boże... Że to zdarzyło się w St. Augustine, tuż obok kancelarii Charlesa. A potem zszedł Lucas i powiedział, że dostał jakąś wariacką wiadomość od Xandera, z której dowiedział się, że razem z Harper znaleźli ją wiszącą w dzwonnicy! O mój Boże, o mój Boże. To okropne. Okropne. Najpierw Violet... O, matko. – Zapadła chwila ciszy, jakby coś przyszło jej do głowy. – Czekaj. Czy te morderstwa mają ze sobą związek? Założy się, że tak, normalnie mogę się założyć. Muszą mieć! Nie od razu na to wpadłam. To znaczy, kto by pomyślał, że w Edgewater grasuje seryjny morderca? Zabijający osoby z klasy... Och, muszą się ze sobą łączyć.

– Cade uważa, że mogą.

– Oczywiście, że tak. A więc już z nim rozmawiałaś? – Była zaskoczona.

– Przywiózł w nocy Harper.

– Och. Oj. Rany, Rach. – Milczenie, a po nim głęboki oddech. Rachel domyślała się, że Lila zapaliła kolejnego papierosa utrzymanego „na nagły wypadek”. – A więc... Co się stało? W wiadomościach mówili tylko ogólnie, głównie to, że znaleziono ją w kaplicy. Nie wierzę. – Kolejne zaciągnięcie się papierosem.

– Ja też. No tak, rozmawialiśmy – przyznała Rachel, ale postanowiła, że zachowa szczegóły dla siebie. – Ale Cade niewiele zdradził. Tylko to, co słyszałaś w wiadomościach.

– To okropne! Chuck wychodzi z siebie, Lucas też ma stracha. Naprawdę! Wyobrażasz to sobie, że jego przyjaciel i kuzynka znaleźli Annessę? To jego wina, że Xander w ogóle tu przyjechał. – Nakręcała się stopniowo. – Kolejna osoba z klasy? Czy my będziemy następane? Czy ktoś żywi do nas jakąś urazę? Do naszego zjazdu?

– Nie sądzę...

– I komitetu organizacyjnego? Co z komitetem? Annessa zajmowała się pieniędzmi... O, nie. Była jedną z osób, które założyły konto. Potrzeba dwóch podpisów, jak wiesz. Ale ja też się podpisałam i Reva... O, Boże. To nam wszystko skomplikuje. Będę musiała znaleźć kogoś innego, kto zajmie się pieniędzmi z rejestracji. Och! Może ty byś się tego podjęła? Już i tak próbujesz namierzyć osoby, z którymi nie mamy kontaktu...

– Hej, przestań. Nie.

– Ale...

– Lila, daj spokój. Jak sama zauważyłaś, nie żyją dwie osoby z klasy, zostały zamordowane, a moja córka znalazła Annessę... Mam tu dom wariatów.

– No, racja. Przepraszam. Słyszałam, że pomazano ci drzwi, ale dla kogoś takiego jak ty to może być sposób na oderwanie się od kłopotów. Komuś tak zorganizowanemu nie sprawiłoby trudności.

– Znajdź kogoś innego! – powiedziała Rachel gwałtowniej, niż zamierzała, aż Reno podniósł się z posłania i przeciągnął, po czym podbiegł na szczyt schodów. – Nie mogę. I naprawdę nie jestem w stanie

myśleć w tej chwili o zjeździe.

– Ale to była koleżanka z klasy! – Kolejna pauza. Kolejne zaciągnięcie się. – Nie mam nikogo, kto mógłby ogarnąć stolik pamięci, a teraz... teraz musimy tam dodać kolejne imię. O mój Boże, to takie strasznie smutne.

– Bardzo. Wiesz, Lila...

– I straszne jak diabli. Gdy się pomyśli, że dwie osoby z klasy zastały zabite w ciągu tygodnia. Normalnie w głowie się nie mieści.

Jasne. Reno zaskamlał i zbiegł na dół. Rachel wstała i ruszyła za nim.

– Możesz rozważyć przełożenie zjazdu lub go odwołać – poddała, gdy zeszła na parter, i ściszyła głos, bo dzieci jeszcze spały.

– Słucham? – Lilę aż zatkalo. – Nie! Oszalałaś?

– A ty? Nie widzisz, co się dzieje?

– Ale to zjazd na dwudziestą rocznicę ukończenia szkoły. Okrągłą.

– Możesz poczekać do dwudziestej piątej.

– Nie! W żadnym razie. Wszyscy włożyliśmy w to mnóstwo pracy. Słuchaj, Rachel, rozumiem, że jesteś wytrącona z równowagi tym, co się dzieje, ale musimy nadal żyć. Robić, co do nas należy. Niczego nie przekładamy ani nie odwołujemy, ale być może będziemy musieli jeszcze raz się spotkać. Wycofanie się Annessy w tej chwili to poważna sprawa.

– Jakie wycofanie, Lilu? Ona nie żyje. Ktoś ją zabił.

– Wiem... to znaczy, nie chcę być oschłą, tylko praktyczna. A więc w piątek wieczorem u mnie. Powiadomię pozostałych członków komitetu. – Rozłączyła się, pozostawiając Rachel z telefonem przy uchu.

Nie wierzyła. Lila żyła jakby nigdy nic i dalej organizowała ten cholerny zjazd. Och, oczywiście, jest zszokowana i zmartwiona, ale zamierza zamieść dwa brutalne morderstwa pod dywan, żeby nic nie zagroziło obchodom dwudziestolecia ukończenia szkoły. Dwa morderstwa!

– To chore – powiedziała Rachel do psa, który łapami drapał tyłne drzwi. Wpuściła go na dwór i próbowała pozbyć się uczucia grozy, które wsączyło się w jej kości. Była potwornie zmęczona, nie mogła zasnąć i postanowiła dać dzieciom wolne, zwłaszcza Harper. Zostaną dziś w domu; już wysłała wiadomość do szkoły i poprosiła o przysłanie zadania domowego, teraz jednak pozwoliła im się wyspać, chociaż zaglądała do nich dwa razy, żeby upewnić się, że bezpiecznie leżą w swoich łóżkach.

Ciągle spali, chociaż było już po dziesiątej.

Dzień zaczął się ponuro, mgłą, która przetoczyła się przez miasto, gęstniejąc z każdą godziną. Teraz Rachel ledwie widziała płot.

Nalała sobie zimnej kawy z dzbanka, po czym podgrzała kubek w mikrofalówce. Oczu ją piekły z braku snu, czuła nadchodzący ból głowy i chociaż próbowała odpowiedzieć na maile i pracować nad stroną dla miejscowego sklepu z winem, nie miała na to siły. Jej myśli wciąż wracały do śmierci Annessy i Violet.

Dlaczego?

Kto?

Odstawiła na kuchenny stół parujący teraz kubek z kawą i skrolowała po ekranie komórki, żeby połączyć się z siecią. Pojawiło się wtorkowe wydanie gazety i, jak obiecywano, było w nim więcej opowieści o wytwórni. Na pierwszej stronie znajdowały się cztery historie bezpośrednio i pośrednio powiązane z przetwórcią ryb Sea View. Jako pierwszy wpadł jej w oko biogram zatytułowany: *Kim był Luke Hollander?*

Tekst był słaby, jako że nikt z najbliższej rodziny Luke'a nie wypowiedział się na temat jego młodości i dorastania w rodzinie Gastonów. Nie było żadnych cytatów pochodzących od Melindy czy Neda, a Rachel też okazała się nieprzydatna podczas przerwane wywiadu w biurze Mercedes. Żeby wypełnić

luki w życiorysie Luke'a, Mercedes opierała się na informacjach od przyjaciół, nauczycieli i trenerów. Jakieś anonimowe źródło określone jako ktoś „bliski rodzinie” opisywało życie domowe Luke'a.

Jej matka będzie zdruzgotana, gdy to przeczyta.

– Super – westchnęła Rachel.

Drugi artykuł w całości dotyczył historii samej wytwórni, opisywał jej powstanie na przełomie wieków, kiedy odlawiano łososia za pomocą siatek łapiących ryby za skrzelą, zanim rozwinął się przemysł przetwórczy tuńczyków. Wspominał, że wytwórnia Sea View stała się głównym pracodawcą w okolicy, a następnie powoli chyliła się ku upadkowi, aż w końcu została zamknięta, po czym stała się sceną okropnej tragedii dwadzieścia lat temu.

Trzeci artykuł zatytułowano: *Deweloper zamierza odnowić i przebudować nabrzeże*. Zajmował pół strony i był typowym opisem nowego dewelopera, który zamierzał przebudować stary budynek wytwórni konserw. Oprócz treści znajdowały się w nim komputerowe wizualizacje centrum handlowego, które przypominało jej atrakcję turystyczną rodem z Portland lub Seattle, a także plany mieszkań w budynku na nabrzeżu; podano również, że deweloperem jest Bell Cooper i Wspólnicy. Zacytowano nawet Clinta Coopera, który zapewniał, że nowe sklepy, mieszkania i biznesy „tchną nowe życie w tę część Oregonu”. Najwyraźniej został zacytowany, zanim jego żona padła ofiarą morderstwa.

Morderstwo jednak nie umknęło „Edgewater Edition”. Ostatni artykuł zaczynał się na pierwszej stronie i był kontynuowany w środku wydania, a dotyczył sprawy Violet Sperry. Była to oparta na faktach analiza przestępstwa, ale Mercy udało się wpleść informację, że Violet była obecna tamtej tragicznej nocy w wytwórni Sea View i była świadkiem w dochodzeniu dotyczącym strzelaniny.

– Zgrabne zagranie – pomyślała na głos Rachel.

Obok tekstu znajdowała się fotografia Violet Sperry siedzącej na dużym fotelu w towarzystwie trzech małych psów z długimi uszami i łagodnymi oczami.

Ścisnęło jej się gardło, musiała odwrócić wzrok od tego zdjęcia.

Przejrzała resztę gazety i nic nie znalazła na temat morderstwa Annessy, sprawa była zbyt świeża, by mogła załapać się do tego wydania. Szukając uaktualnionej wersji, w której byłaby wzmianka o Annessie, odebrała wiadomość od Cade'a. Pytał o dzieci: **Z Harper w porządku?**

Odpisała: **Ciągle śpi. Dałam im dzień wolny od szkoły.**

Cade: **Dobrze. Wysłałem do nich esemesy. Zadzwoń później.**

Rachel: **Są jakieś informacje o Annessie?**

Cade: **Jeszcze nie. Przyjdzie facet z ochrony?**

Wzdrygnęła się i odpisała: **Postanowiłam zamówić przez Internet – z własną instalacją. Powinno przyjść jeszcze w tym tygodniu.**

Cade: **OK. Odezwe się później.**

Oczywiście skłamała, ale teraz szybko złożyła zamówienie na nowszy model alarmu, takiego z cyfrowymi kamerami, które można było podglądać przez aplikację w komórce. Dopiero gdy skończyła, uświadomiła sobie, że Reno jeszcze nie drapał w drzwi, żeby go wypuścić. Odsunęła krzesło i zerknęła przez okno. Psa nie było na jego zwykłym miejscu.

Podeszła do drzwi i go zawołała, czekała, aż się pojawi, ale z podwórka nie przybiegła żadna płowa bestia.

– Chodź – powtórzyła, po czym głośno zagwizdała.

Nadal nic.

– Reno? Reno, chodź! – Wołała go głośnym, poirytowanym tonem, po czym założyła chodaki i zeszła na mokrą trawę.

– Gdzie jesteś? – Po bezsennej nocy łatwo było ją wyprowadzić z równowagi, wisząca nad miastem mgła dodatkowo wzmagala jej lęk. Nie miała ochoty na zabawę w chowanego z niesfornym zwierzęciem. – Wracaj tutaj.

Poruszając się we mgle, obeszła zarośla i krzaki, wszystkie ulubione miejsca psa, ale nigdzie nie dostrzegła merdającego ogona ani błyszczących ślepi.

– Reno? – Zaczęła mieć złe przecucia, ale odpychała je od siebie. Czasem łobuz uwielbiał bawić się w chowanego. – Chodź!

Nic.

Nie panikuj.

Gdzieś tu jest. Musi być.

Albo...

Podeszła do bocznego podwórka i bramy, którą rzadko otwierali, jedynie kiedy kosili trawnik, gdyż znajdowała się daleko od domu i oczywiście – była otwarta. Szeroka na piętnaście centymetrów luka wystarczyła psu. Zakłuło ją w sercu. Nie dość, że brama została otwarta, to jeszcze Reno gdzieś się wymknął. Przypomniała sobie dziwną wiadomość i brzydki napis na drzwiach. A na dodatek te morderstwa...

Jej ręce pokryły się gęsią skórką.

Nie idź tam!

– Reno, wracaj! – Ostrożnie poruszała się we mgle, próbowała dostrzec coś w cieniu i przeklinała zmienną pogodę. Ani śladu psa na bocznym podwórku. Serce jej waliło. Zastanawiała się, czy obudzić dzieci do pomocy, ale nie chciała marnować czasu. Nie chciała też niepokoić sąsiadów.

Jej głos był poważny, gdy wydawała komendę, starała się stłumić narastającą panikę.

– Wracaj!

Nic.

Żadnej odpowiedzi.

Rabatki przed jej domem były puste. Czas wejść na posesję Pittów. Ostrożnie stąpała po bujnie rosnącej trawie. Sprawdziła zacienione miejsca przy kamiennym murze i duże donice z niecierpkami po obu stronach ganku.

Psa tam nie było.

Ruszyła w stronę kolejnego domu, gdzie mieszkali państwo Giordanowie. Nie знаła ich zbyt dobrze. Miała nadzieję, że nie widzą, jak wchodzi na ich podwórze.

– Reno!

Wtedy doleciało ją ciche, niespokojne skamlenie.

Zamarła.

Reno? Albo...

Przez mgłę usłyszała szelest liści za sobą. Prawie stanęło jej serce. Dłaczego, do diabła, nie zabrała gazu pieprzowego albo... Odwróciła się, wyteżyła wzrok i zobaczyła ruch ogona szaleńczo merdającego pod bujnym krzakiem hortensji, a wraz z nim kształt swojego psa.

Reno niecierpliwie zawodził, podbiegał do płotu i stawał na tylnych łapach. Zaszczekał głośno, a z góry, ukryta we mgle odpowiedziała mu wiewiórka.

– O, rany. Przez ciebie prawie dostałam zawału – zbeształa go Rachel. – Reno, chodź tu. I to już. – Pojawiło się dwoje ciemnych oczu, gdy pies podbiegł do niej, wcielenie rozbrzykanej niewinności. – Nie jestem w nastroju – oświadczyła Rachel, poczucie ulgi zastąpiło strach. – Chodź, idziemy. – Pstryknęła palcami, a Reno ruszył za nią w stronę frontowego podwórza Giordanów. – Cholerne mnie wystraszyłeś, wariacie – strofowała psa, a on maszerował koło niej z wywalonym językiem i zadartym do góry ogonem.

Rachel poruszała się teraz szybko, tym razem szła ulicą, żeby nie trącić cudzych trawników i kwiatów. Wróciła do siebie tylnym wejściem i robiąc sobie wyrzuty, zamknęła furtkę.

Wtedy zobaczyła odcisk buta. Duży. Wyraźny. Odbity w podłożu obok słupka. Nie było go tutaj tej nocy, gdy zniszczono jej drzwi. Prawda? Na pewno by go zobaczyła. Przypomniała sobie, ile razy miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, że gdzieś czai się podglądacz, i znowu pokryła się gęsią skórką.

To tylko ślad buta. Nic więcej. Może zrobił go Dylan albo któryś z jego przyjaciół? Nawet to wydaje się naciągane.

Weź się w garść!

Zacisnęła zęby, uznała, że przesadza, i poszła za Reno na ganek, skąd dostała się do kuchni.

Harper czekała na nią w piżamie, rozczochrana i z zapadniętymi oczami.

– Gdzie byłaś? – zapytała, otwierając szafkę i szukając kubka.

– Reno uciekł. Hej, czekaj! – zwróciła się do psa, który obtańcowywał Harper, nadal szaleńczo merdając ogonem. Rachel wzięła ręcznik, który trzymała na haczyku w szafie przy tylnych drzwiach, żeby wytrzeć mokre psie łapy. Udało jej się to tylko połowicznie. – Stój, Reno. Nie utrudniaj.

– Boże, gadasz do psa przez cały czas.

– A ty ciągle to powtarzasz. Przecież to normalne.

– Może. – Harper wyjęła kubek.

– Zostawiłaś otwartą bramę? – zapytała Rachel. – Wczoraj, kiedy wymknęłaś się z domu? Czy Xander tu wchodził?

– Nie.

– Mówię o bramie na boczne podwórko. – Rachel wskazała palcem w stronę domów Pittów i Giordanów.

– Powiedziałaś, że nie. W ogóle tam nie podchodziłam. Rany, co to jest? Hiszpańska inkwizycja? Boże. – Napelniła kubek wodą i wsadziła go do mikrofalówki.

– Była otwarta.

– I co?

– Nigdy nie jest.

– O rany, nie mów mi, że teraz będziesz wściekać się o bramę. To pewnie Dylan i któryś z jego durnowatych kumpli.

– Nie zaczynaj z wyzwiskami, dobrze?

– Dobrze. Ale przecież oni tacy są. Same nerdy komputerowe – stwierdziła, po czym dodała: – Myślałam, że obudzisz nas do szkoły. – Mikrofalówka się wyłączyła, dziewczyna wyjęła kubek i wsadziła do niego torebkę herbaty.

– Uznałam, że przyda wam się wolny dzień. – Rachel oparła się biodrem o blat, a Reno podszedł do swojej miseczki z wodą. – Jak się czujesz?

– Dobrze! – odburknęła. – Rany! Tato wysłał mi z milion esemesów dziś rano. To znaczy, nie jest fajnie, jeśli spojrzeć na to, co się stało, ale... nie musicie traktować mnie jak dziecka. To było okropne. Potworne przeżycie, ale – podniosła wzrok – czy moglibyśmy już o tym zapomnieć?

– Dobrze, wobec tego porozmawiajmy o tym, że bez pozwolenia wyszłaś z domu, żeby spotkać się z chłopakiem.

– Ojej. Boże. – Harper przewróciła oczami, wciąż nie odrywając się od herbaty. – Serio?

– Serio. – I, jako że nadarzyła się właściwa chwila, Rachel poszła za ciosem: – Bierzesz pigułki?

– Słucham? – Spojrzała na matkę i pokręciła głową. – Mamo, nie, nie rozmawiajmy o tym.

– Uprawiasz seks?

– O mój Boże! Nie, nie mówmy na ten temat!

– Bez zabezpieczeń?

– Przestań! Po prostu przestań! To, że ty i twoja mama obie zaszyście w ciążę przed ślubem, nie oznacza, że ja zrobię to samo. Tego nie przekazuje się w genach.

– Ale to się zdarza. Chcę tylko powiedzieć, bez żadnego osądzania, że jeśli chcesz, żebym...

– Nie chcę! Mamo, potrafię się sobą zająć. Odpuść.

Rachel pojęła, że źle to rozegrała, więc zrobiła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Nie mogę. Być może nie jest to właściwa pora na tę rozmowę, ale nie wiem, czy kiedykolwiek uda nam się porozmawiać bez zażenowania.

– Nie zając w ciążę. Rozumiesz? I nie zarazę się chorobą weneryczną, jeśli do tego zmierzasz! – Harper maczała torebkę herbaty z takim rozmachem, że aż rozchlapała wodę z kubka. – Cholera! Ja pier... – Urwała kawałek ręcznika papierowego z rolki i zaczęła wycierać blat. – Po prostu nie mogę! – Rzuciła ręcznik do kosza, zostawiła herbatę i poszła do swojego pokoju.

Rachel nie wiedziała, czy udusić córkę, czy ją przytulić i nie wypuszczać z objęć. Na ile zachowanie Harper związane było z traumą poprzedniej nocy, a na ile wynikało z tego, że była zapatrzonym w siebie bachorem?

Zapewne po trochę z każdego.

Ty tu jesteś dorosła, przypomniała sobie, ale czasem po prostu wcale się tak nie czuła. Zastanowiła się, czy nie wylać herbaty do zlewu, ale jednak wzięła kubek, przeszła przez korytarz i zapukała do drzwi Harper.

Jej córka wrzasnęła:

– Czy mogłabyś zostawić mnie w spokoju?!

Rachel otworzyła drzwi.

– Mamo! – Nadąsana Harper pisała wiadomość na komórce i leżała na łóżku owinięta kołdrą.

– Nie będę ci prawa kazała – obiecała Rachel. – Ale masz przestać wrzeszczeć i zachowywać się jak dziecko. Wiem, że wiele przeszłaś. Wszyscy wiele przeszliśmy. Ale nie musisz mnie wciąż krytykować ani źle wyrażać się o bracie i jego kolegach. Musimy trzymać się razem.

– Chyba powiedziałaś, że nie będzie kazała.

– Skończyłam. – Rachel postawiła herbatę na szafce nocnej córki. – Jeszcze jedno – dodała, gdy Harper wydeła usta. – Rozumiem, że chcesz być traktowana jak osoba dorosła. Pamiętam o tym. Wobec tego... umowa jest taka: zaczynasz zachowywać się jak dorosła, a ja przyrzekam, że zacznę odpowiednio cię traktować.

Harper podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Sądziś, że naprawdę ci się uda? – prychnęła z niedowierzaniem. – Przestań, mamo, jesteś... Cóż, sama wiesz.

– Jaka, Harper? No jaka?

Harper wysunęła podbródek.

– Jesteś paranoiczką. Panikujesz z najmniejszego powodu. Panikujesz, nawet jak ci ucieknie pies. Słyszałam, jak go wołałaś. To pies. Poszedł węszyć w ogrodzie sąsiada. To nic poważnego.

Rachel się spięła. Podeszła do drzwi, ale odwróciła się jeszcze i stanęła w progu pokoju.

– Ostatnio dzieją się straszne rzeczy. I dziwne.

– Wiem, przecież sama widziałam! – Harper wzdrygnęła się na łóżku. – Rozumiem, dlaczego się boisz. Ludzie umierają, zostają zabici. To straszne, mamo, ale... pies?

– W porządku, może przesadziłam – przyznała, myśląc o tym, jak ostatnio poruszające się w nocy żaluzje doprowadziły ją do paniki i jak wydawało jej się, że wyczuwa, że ktoś ją obserwuje, chociaż w okolicy nikogo nie było, jak głupia wiadomość sprawiła, że na poważnie zastanawiała się, czy jej martwy brat pisze do niej z grobu – i to jeszcze przez komórkę. Cały czas była podminowana, o krok od wybu-

chu. Potem wydarzyły się te morderstwa, pomazano jej drzwi, a teraz znalazła odcisk buta. Odchrząknęła. – Postaram wziąć się w garść.

– Naprawdę? – zapytała Harper ze szczerą nadzieją, nie patrząc w komórkę, lecz wbijając proszący wzrok w matkę.

Rachel wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy mi się uda, ale spróbuję.

– Dobrze. – Harper wciąż była sceptyczna, ale gdy Rachel się odwróciła, dodała: – Dzięki za przyniesienie herbaty.

– Nie ma sprawy. – Gdy Rachel zamknęła drzwi pokoju córki, pomyślała, że musi znaleźć sposób na to, żeby się jakoś ogarnąć. Pozwoliła, żeby jej zmartwienia, obawy i niepokój przejęły nad nią władanie. *Bądź silna. Bądź silna. Bądź silna.* Ruszyła na górę, cały czas powtarzając tę mantrę w głowie, ale wiedziała, że nie tak łatwo zapanować nad umysłem, nie można sobie kazać porzucić niepokój, ale postara się, tak jak obiecała Harper.

Już prawie udało jej się przekonać samą siebie, że to w sobie zwalczy, kiedy w kieszeni zawibrował jej telefon, a nowa wiadomość zawierała znany jej tekst:

Wybaczam ci.

ROZDZIAŁ 26

Rachel prawie potknęła się o ostatni schodek, gdy przeczytała tę wiadomość. Jej serce pracowało na najwyższych obrotach, gdy weszła do swojego gabinetu i siadła na krzesło przy biurku. Rozedrganymi palcami wcisnęła ikonę, żeby oddzwonić na numer, z którego przyszedł esemes.

Nikt nie odebrał.

Tego się spodziewała.

Spróbowała jeszcze raz.

Nic.

– Ty skurwysynu – zaklęła i odpisała:

Kto tam?

Bez odpowiedzi.

Kim jesteś?

Oczywiście nadal cisza.

Dlaczego to robisz?

Nie spodziewała się już odpowiedzi i faktycznie żadna nie nadeszła.

Nie poddała się jeszcze i wysłała kolejną wiadomość:

Przestań do mnie pisać!

No tak, jakby to mogło powstrzymać tego chorego żartownisia. Zejdź na ziemię.

Wyrzała przez okno na zamglone podwórze od frontu i ulicę. Czy nawet teraz gapił się na jej dom? Ukryty w gęstej mgle?

– Chory gnojek. – Obeszła całe piętro domu, wyglądając przez każde okno i sprawdzając, czy na pewno wszystkie są zamknięte. Oczywiście były, ponieważ upewniła się co do tego, zanim poszła do łóżka. To samo zrobiła na parterze, ignorując szydercze pytania za strony Harper.

– Oj, mam, co teraz? Sądysz, że próbuję się wymknąć? Myślałam, że zaczynasz traktować mnie jak dorosłą?

W pokoju Dylana nastąpiła na jakieś śmieci i pudełka nie wiadomo po czym, kiedy sprawdzała jego okno, po czym zeszła na dół do piwnicy, odsunęła kartony, które miała przejrzeć w pokoju do ćwiczeń, i dopiero wtedy uznała, że jej rodzina jest bezpiecznie zamknięta w domu.

– To niedorzeczne – powiedziała sobie, wracając na górę.

Ponownie zajrzała do spiżarni, żeby mieć pewność, że ten cholerny, tandetny alarm wciąż działa. Działał, zielone światło wskazywało, że wszystkie systemy są włączone.

Dom był zamknięty i podłączony do alarmu, ale, gdy szła do swojego gabinetu, uświadomiła sobie, że ten napędzany strachem rytuał ją wykańcza. Weszła na szczyt schodów, gdy jej telefon zawibrował, a ona, spodziewając się kolejnej okrutnej wiadomości, wyjęła go z tylnej kieszeni.

Poczuła ulgę, gdy zobaczyła na ekranie numer swojego ojca. **Wiem, co zdarzyło się zeszłej nocy. Harper znalazła ciało tej kobiety. Jak się czuje?**

Rachel: **Złe wiadomości mają skrzydła.**

Tato: **Małe miasto, a ja wciąż mam kumpli w policji.**

Oczywiście. Rachel: **Jest trochę wstrząśnięta, ale wyjdzie z tego. Będzie dobrze.**

Tato: **Mam nadzieję. Słyszałem o nowych artykułach w tym szmatławcu. U ciebie wszystko w porządku?**

Rachel: **Chyba tak. A u ciebie?**

Tato: **Też. Jestem twardszy, niż się zdaje. Nie podoba mi się, że moja rodzina znów musi przez to przechodzić. Mam ochotę uduśić Mercedes Pope.**

Mimo zmartwień, Rachel nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Ustaw się w kolejce.

Tato: **A jak matka? Jak sobie radzi z tymi bzdurami o Luke'u?**

Rachel: **Nie dzwoniłam do niej.**

Tato: **Musi być jej ciężko. Może powinnaś dryndnąć?**

Bo ty nie możesz, pomyślała ze smutkiem. Wy dwoje nie jesteście w stanie wytrzymać ze sobą w jednym pomieszzeniu.

Rachel: **Dobry pomysł.**

A potem dodała: **Słuchaj, może byśmy się spotkali?**

Miała ochotę porozmawiać z ojcem; chciała omówić z nim kilka spraw. Kiedyś był policjantem, dawno temu pracował jako kryminalny.

Tato: **Jestem u siebie.**

Rachel: **Zadzwoń później.**

Tato: **Czekam.**

Gdy skończyła pisać, usłyszała dźwięk wody puszczonej w łazience na dole. Ktoś brał prysznic. Jakiś postępek. Ponownie otworzyła anonimową wiadomość i ścisnęło ją w żołądku.

To nie ma nic wspólnego z Lukiem.

Na tym polegał problem.

Podświadomie wiedziała, że to szaleństwo, ale jakaś jej cząstka zastanawiała się, czy wiadomość nie pochodzi od jej martwego brata. Kto inny mógłby chcieć jej wybaczyć?

Cade?

Jedno z dzieci?

Jej matka?

Tato?

Kto?

Ponownie próbowała dodzwonić się na ten numer, ale znowu spotkało ją rozczarowanie. Ktokolwiek wysłał jej wiadomość, teraz urwał kontakt. Jednego esemesa można uznać za pomyłkę, ale dwa? W żadnym wypadku.

Wpatrując się w wiadomość, myślała o wszystkich ludziach, których skrzywdziła w życiu, było ich killkoro, ale nigdy nie zrobiła niczego, co zasługiwałoby na to dziwne rozgrzeszenie. *Wybaczam ci.* Jakby zgrzeszyła, na litość boską.

Pierwsza wiadomość nadeszła równo dwadzieścia lat od dnia, kiedy nacisnęła ten nieszczęsny spust i umarł jej brat.

Zbieg okoliczności?

Jeśli nie... to kto mógłby zrobić jej ten chory, okrutny kawał?

I dlaczego?

A co było szczególnego w dzisiejszej dacie? Ten dzień nie miał nic wspólnego z tragedią sprzed lat.

I wtedy coś sobie uświadomiła. Obie wiadomości przyszły w dniu publikacji artykułów o wytwórni.

Co gorsza, dostała je po morderstwach swoich koleżanek z klasy, dwóch kobiet, które zeznawały na jej korzyść. W jej żołądku załagał się zimny strach. Czy to prawda? A może jej rozbudzona wyobraźnia dochodzi do absurdałnych wniosków?

Nieważne, musi się upewnić.

Niech diabli wezmą rozkołatane nerwy, nie pozwoli, żeby ktoś zagrażał jej rodzinie i kontrolował jej stan emocjonalny.

Wzięła torebkę i zbiegła na dół, prawie wpadła na Harper, która, ubrana w szlafrok i z włosami w turbanie z ręcznika, właśnie wychodziła z łazienki. Zza drzwi wydobywała się ciepła para, szybkoje spojrzanie do środka ujawniło, że lustro jest całkowicie zaparowane.

– Słuchaj, jadę na parę minut do dziadka – rzuciła do córki, wyjmując kluczyki z kieszonki w torebce. – Zabierzesz się ze mną? – To miało sens. Obudzi również Dylana. Mogą wszyscy pojechać.

– Chyba żartujesz – odparła Harper, wskazując na turban na swojej głowie. – No jak? Poza tym mam dużo zadań domowych. Czasami pan Gorson daje dwa razy tyle, jak nie przyjdzie się na lekcję.

Tata mieszkał po drugiej stronie miasteczka, niecałe piętnaście minut jazdy. Jako że było jeszcze dość wcześnie, Rachel chciała przekonywać córkę, ale to nie była pora na wzbudzanie w niej paniki. Nie mogła zachowywać się zbyt emocjonalnie, nie przez jedną wiadomość.

Dwie wiadomości i dwa morderstwa.

– Mamo. Nic nam się nie stanie – zapewniła Harper, jakby czytając jej w myślach. – Przecież działa alarm, co nie? I mamy psa. Poza tym są komórki. – Spojrzała jej w oczy, ta dziewczyna, która niecałe dwanaście godzin temu była świadkiem okropnej śmierci. – Nic nam nie będzie.

Rachel się zawahała.

– Serio? – zapytała Harper, widząc niezdecydowanie matki. – Zawsze możemy zadzwonić do taty. Przecież jest glina. A jeśli wszystko inne zawiedzie, to na dziewięćset jedenaście. Komisariat jest jakieś dziesięć minut stąd.

– Dobrze – uległa Rachel. – Nie zajmie mi to długo. Napisz, jak będziecie czegoś potrzebować.

– Nie martw się – odparła Harper. – Mam zachowywać się dorosłe. Pamiętasz? – Posłała matce coś, co wydawało się prawdziwym uśmiechem.

– Okej. Tylko powiem Dylanowi.

– Na pewno mu na tym zależy, ale proszę cię bardzo.

Rachel zapukała do drzwi Dylana i weszła do jego zabałaganionego pokoju. Rolety miał zaciągnięte, w środku było ciemno, ale on już nie spał. Siedział na łóżku, oparty o zagłówek, miał na uszach słuchawki, a w rękach bezprzewodowy kontroler do gier i gapił się w monitor komputera. Na ekranie rozgrywał się jakiś militarny scenariusz, uzbrojeni żołnierze ukrywali się za częściowo zburzonymi murami, stosami cegieł i wielkimi beczkami, podczas gdy gracz skradał się przez labirynt budynku.

– Cześć – rzuciła.

– Yhy. – Nie oderwał wzroku od ekranu.

– Jadę do dziadka. Wrócę za godzinę. Okej? – Nie poprosiła go, by z nią jechał, wołała, żeby dzieci ostatecznie stały razem.

– Aha.

– Nie zamierzasz nawet zapytać o szkołę?

– Domyślam się, że już się nią zajęłaś. – Nadal przyciskał guziki kontrolera, co ją zaczęło irytować.

– Nie możesz zapauzować tego czegoś?

– Właśnie toczy się najważniejsza bitwa o... – Zamilkł; jego kciuki i palce zastygły, a on w końcu na nią spojrział. – Przepraszam.

– Tak lepiej. Masz zadanie do odrobienia. Widziałam, że doszło mailem. Zajmij się nim. Na śniadanie, a raczej lunch, są płatki, tosty i inne rzeczy w lodówce.

– Dobrze.

– Napisz, jak będziesz czegoś potrzebował. I nie otwierajcie drzwi.

– Yhy.

– Dylan? – dodała. – Zrób coś z tym pokojem. Mamy umowę, że posprzątasz. Chodzi o umowę, którą zawarliśmy, gdy w zeszłym tygodniu wpakowałeś się w kłopoty. Nie kiwnąłeś palcem. Więc jak wrócę, chcę zobaczyć odgruzowaną podłogę. A także odkurzoną i umytą.

– Dobra.

– Mówię poważnie.

– Zrozumiałem.

Chyba jej słuchał, ale czasami sama już nie wiedziała.

– Nigdzie nie wychodź.

W końcu na nią spojrział.

– Na przykład dokąd miałbym iść? Wszyscy moi kumple są w szkole.

Racja. Wyszła z postanowieniem, że wróci za pół godziny, no może za czterdzieści pięć minut. Co złego może się stać w tym czasie?

Biorąc wszystko pod uwagę, Cade czuł się nie najgorzej. Skończył „bardzo, bardzo pyszne” farmerskie śniadanie w Abe’s, pojechał do domu, padł na łóżko i spał przez cztery godziny. Kiedy zadzwonił budzik, wszedł pod zimny prysznic, darował sobie golenie, ubrał się i odkrył puszkę red bulla, zostawioną w lodówce przez Dylana. Wypiwszy energetyk, przejrzał maile, napisał esemesa do Rachel i kilka do dzieci, po czym przeklikał najnowsze wydanie lokalnej gazety. W drodze do pracy kupił sobie kawę i gdy wszedł do biura po jedenastej, czuł się prawie jak nowy.

Usiadł za biurkiem i logował się do komputera, gdy zjawiła się Voss. Jak zwykle była ubrana w czarne spodnie i kurtkę na szarej bluzce, i uśmiechała się niczym kot, który połknął kanarka, co nieco go zirytowało, gdyż wciąż odczuwał skutki wczorajszej nocy.

A precyzyjniej mówiąc, braku snu.

– Cześć, śpiąca królowo – wbiła mu szpilę.

Nie był w nastroju do żartów, ale nie odgryzł się.

– Zgadnij, kto był ostatnią osobą, do której pisała Annessa Cooper? – Jej oczy aż błyszczały za szklami okularów.

– Sądząc po twojej minie, zapewne nie jej mąż.

– Nie. – Voss pokiwała głową w przód i w tył, nadal uśmiechając się z zadowoleniem. – Pomyślałam, że może miała kochanka, z którym się umówiła, i trafiłam w dziesiątkę. Sprawdź pocztę – dodała, pokazując palcem na monitor. – Właśnie wysłałam ci transkrypcję wiadomości, które znaleźliśmy w jej komórce. Ciekawe rzeczy. – Uniosła siwiejącą brew.

Cade odwrócił się, żeby ponownie spojrzeć na monitor, po czym kliknął w maila od Voss i przeskrolował w dół.

– To się nazywa seksemesami – wyjaśniła.

Przejrzał długą konwersację o tym, co jeden rozmówca zamierza zrobić drugiemu. A mówiąc bardziej obrazowo, co działo się z ich ciałami, gdy do siebie pisali.

– Ludzie naprawdę się tym podniecają?

– Cały czas – odparła Voss. – Jedną ręką się dotykają lub wyobrażają sobie, że robi to ta druga osoba, i voilà, orgazm. Ale spójrz na końcówkę tej rozmowy, ostatnie linijki. – Obeszła biurka i wskazała miejsce, gdzie wymiana esemesów stawiała się bardziej konkretna.

Rozmówca: **Spotkajmy się w St. Augustine. Masz klucze.**

Annessa: **Dlaczego tam?**

Rozmówca: **Przez wzgląd na dawne czasy. Pomyśl, co powiedziałyby zakonnice.**

Annessa: **Och. Chciałyby mnie ukarać.**

Rozmówca: **Ja też chcę cię ukarać. Byłaś niegrzeczną dziewczynką, bardzo niegrzeczną.**

Annessa: Okej. **Przekonałeś mnie. O której?**

Rozmówca: **Koło północy. Godzina duchów.**

Annessa: **Dziwne.**

Rozmówca: **Ale lubisz, jak jest dziwnie, co nie? Lubisz, jak cię kręci. Już się zaczynasz podniecać. Na samą myśl.**

Annessa: **Clint wraca do domu. Jutro. Wczesnie rano. Może będzie jeszcze dzisiaj.**

Rozmówca: **To tym bardziej cię nakręca. Lubisz niebezpieczeństwo, prawda?**

Annessa: **Wiesz, że tak.**

Rozmówca: **Dojdę na samą myśl o tym.**

Annessa: **Nie. Poczekaj na mnie.**

Rozmówca: **Och, będę czekał.**

Cade wpatrywał się w monitor.

– No więc do kogo należy ten anonimowy numer? Znamy go?

– O, tak. – Voss, niemal eksplodowała. – To numer pana Nathana Morettiego. Kawalera. Z własną firmą. Sprzedaje sprzęt medyczny w Astorii.

I jest kolegą z klasy Rachel. Najlepszym przyjacielem Luke'a Hollandera i synem doktora Richarda Morettiego, lekarza, który stwierdził zgon Luke'a.

– Podejrzewam, że Annessa nie opisała go imieniem i nie miała w telefonie jego zdjęcia, na wypadek gdyby Clint odebrał jej telefon. – Voss skrzyżowała ręce na piersi, zadowolona ze swoich odkryć. – Zakładam też, że chcesz go przesłuchać.

– Z przyjemnością.

Już odsuwał krzesło do biurka.

– Chcesz jechać ze mną?

– Nie przegapiłabym tego za żadne skarby świata. – Wsadziła komórkę do kieszeni spodni i założyła kaburę na ramię. – A przy okazji, Ryder?

– Tak?

– Ja będę zadawać pytania. Ty chyba jesteś zbyt blisko związany z tym śledztwem. Gdyby nie fakt, że jest nas tu tak niewielu, szef wykopałby cię z tego dochodzenia. – Sięgnęła po kurtkę. – A więc proszę: zachowuj się.

– Niby jak, do diabła?

– Ni chuja nie wiem. Ale tłumaczę to sobie tak: nie wchodź mi drogę. – Założyła kurtkę i ruszyła do wyjścia.

– Gdzieżbym śmiał – powiedział, dotrzymując jej kroku, gdy szli w stronę tylnych drzwi przy kanciapie.

– Taa.

ROZDZIAŁ 27

Harper odczekała, aż matka wyjdzie z domu, po czym ruszyła do pokoju Dylana. Nadeszła pora, żeby skonfrontować się z tym idiotą. Boże, co on robi? Skłamała mamie, żeby kryć mu dupę, ale potwornie się martwiła tym, w co się wpakował.

Wczoraj w szkole potwierdziły się jej największe obawy. Po zajęciach koła dramatycznego schodziła po schodach z przyjaciółką, kiedy zauważyła Dylana. Nie był sam. Julie udała się na następne zajęcia, ale Harper czekała i obserwowała z półpiętra powyżej poziomu sali gimnastycznej, jak dwóch chłopaków zasada się na jej brata.

Ich język ciała nie pozostawiał wątpliwości co do ich zamiarów. Wysoki, mocno zbudowany chłopak w spodenkach gimnastycznych i ciemnej bluzie z kapturem patrzył bykiem na Dylana, a ten drugi, chudszy w dzinsach i polarze, odprowadzał go wzrokiem przez cały korytarz. Nie знаła ich – zapewne chodzili do drugiej klasy. Na pewno nie był to ani Schmidt, ani Parker.

Ale nie wyglądało to najlepiej.

Boże, spraw, żebym nie musiała ratować żalostnego dupska tego durnia.

Dylan wsadził rękę do plecaka. Wyjął z niej coś, inny chłopak wstał, a Dylan podał mu jakąś małą, czarną torebkę. Chłopak zajrzał do niej, chwilę mu to zajęło, jakby sprawdzał, co jest w środku, po czym szybko wsunął coś w dłoni jej brata.

Forse.

Dylan spojrział na banknoty, szybko je przeliczył i kiwnął głową.

Narkotyki. Jej brat dilował dragami.

Cholera! Już wcześniej widziała kilku pierwszo- i drugoklasistów, jak wsuwali w dłoni Dylana banknoty dwudziestodolarowe, gdy mijali się w drodze do swoich klas. Sądziła, że pożyczal kasę kolegom, ale teraz już wiedziała.

Głupi, głupi, głupi dzieciaki! Przecież to się mogło nagrać na kamerach, uchwycić go w trakcie transakcji. Chyba miał nie po kolei w głowie.

Dilował na terenie szkoły. Co za dzban! Wszyscy wiedzieli, jakie to niebezpieczne. Jeśli sądził, że ujdzie mu płazem coś tak durnego i bezczelnego, zasługiwał na więzienie! Ale na to ona nie pozwoli. Ten idiota nie ma za grosz zdrowego rozsądku. Błyskotliwy i głupi, cały Dylan.

Ktoś musi go uratować przed samym sobą.

Okazuje się, że to ją kopnie ten zaszczyt.

Otworzyła drzwi do pokoju Dylana, te z tą kretyńską taśmą policyjną, która nikogo nie odstraszała, i zobaczyła, że pólżyła na łóżku z kontrolerem do gier w dłoni, telefonem przed sobą, otwartą paczką doritos i chrupkami wysypującymi się na pościel oraz talerzem z niedojedzonym kawałkiem wczorajszej lasagne na szafce nocnej.

– Cześć! – rzucił, podnosząc wzrok. – Następnym razem zapukaj.

– Wiem, co robisz – oznajmiła. – I masz przestać.

– A co takiego robię? Gram sobie.

– Nie o tym mówię – odparła, wskazując kontroler w jego ręce. – Chyba nie załapał, o co chodzi. – Mam dość chronienia twojej dupy, żeby mama się nie dowiedziała, i nie zamierzam ciągnąć tego dalej. Masz z tym skończyć jak najszybciej.

– Z czym? – Ale lekko zbladł, co potwierdzało jej najgorsze przypuszczenia.

– Oj, przestań. Z dragami. Wiem, że dilujesz.
– Co? – Był autentycznie zszokowany.
– Mama cię zabije, jak się dowie – ostrzegła Harper. – Tata też cię zabije, o Boże, wiesz co? Może i ja cię zabiję!
– Ale ja nie...
– Przestań! Nie kłam. To koniec. Wczoraj cię widziałam. – Weszła do pokoju cuchnącego serem, sosem pomidorowym i nastoletnim chłopakiem.
– Co widziałas? – Aż otworzył usta.
– Transakcję. Dwóch tyków koło sali gimnastycznej? Czarny worek.
Dylan powoli kręcił głową.
– To nie tak.
– A jak? Może wyjaśnisz?
Zawahał się. Głośno przełknął ślinę.
– Tak właśnie myślałam. – Poczuli, że za nią wchodzi Reno i zaczyna wachać podłogę.
Dylan opadł na łóżko, zamknął oczy i dwa razy uderzył głową o zagłówek.
– Boże, jestem takim idiotą.
Nie zaprzeczyła.
– To nie narkotyki – oświadczył, wzdychając.
– I super.
– Nie, nie super. – Znowu przełknął. – Gorzej.
– Jak może być gorzej? – zapytała, a on przygryzł wargę i odwrócił wzrok. Nie chciał się przyznać. Przez chwilę pomyślała o dwóch ostatnio zabitych kobietach. Z pewnością jej brat nie zrobił niczego takiego. Ze strachu mocniej zaczęło bić jej serce.
Spojrzał jej w oczy. Nie odwrócił spojrzenia. Był blady jak ściana.
– Nie możesz powiedzieć mamie.
– Nie powiem.
– Przysięgasz?
– Tak, przysięgam. – Ani mi się śni. Skrzyżowała palce.
– Włamałem się do szkolnego systemu komputerowego – wyznał. – Sprzedaję sprawdziany, notatki nauczycieli, a nawet... nawet poprawiam oceny.
– Co takiego?
– Słyszałaś. Można za to zostać zawieszonym, wydalonym albo jeszcze gorzej... I masz rację, mama i tata mnie zabiją.
– Tylko jeśli się dowiedzą. – W jej głowie już obracały się trybiki, zmrużyła oczy, rozważając różne opcje. – Wobec tego, co wczoraj było w tej torebce?
Wzruszył ramionami.
– Tylko twardy dysk, który naprawilem. Naprawiam różne rzeczy i potem je sprzedaję. Modernizuję je.
– Na przykład komu?
– Nie mam pojęcia.
– Sądzisz, że ci uwierzę?
– Nie chcę wpakować innych w kłopoty!
– Obiecałam, że nikomu nie powiem. Czyli komu? – nalegała.
– Takim chłopakom.

Nie zamierzała odpuścić.

– Przyjaciołom. Na przykład tym, z którymi mnie widziałaś. Ryanowi. I Brentowi, sama wiesz, mieszka kilka przecznic dalej. I Xanderowi.

– Sprzedałaś Xanderowi sprzęt komputerowy?

– Jemu i Lucasowi też. Nie możesz powiedzieć rodzicom, Harper. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Przyrzekałaś.

Zrobiła jeszcze jeden krok w głąb obłęsnego pokoju.

– Dlaczego to jest tajemnicą? – zapytała. – Kogo to obchodzi?

Spuścił wzrok i westchnął.

– Niektórzy nie chcą, by dowiedzieli się o tym ich starzy. To na przykład szpiegowski sprzęt albo dodatkowe kamery z mikrofonami. Tego rodzaju rzeczy. Nic wielkiego.

– A co ze Schmidtem? Za co cię ściga?

– O, rany. – Już chciał przerwać tę rozmowę, ale przewrócił oczami i odpowiedział: – Chce, żebym mu podniósł oceny z kilku przedmiotów przed końcem roku. Chce, żebym mocno je zmienił, na przykład z D lub F na A... Nie mogę tego zrobić. Ktoś to może zauważyć; na przykład rodzice, jeśli często sprawdzają. Ale zależy mu na wysokiej średniej. Powiedziałem mu, że się w to nie będę bawił, a on się wkurzył. Oddałem mu pieniądze, ale dalej jest wkurwiony. Mówi, że to wpłynie na jego przyjęcie na studia czy coś w tym stylu, na przykład stypendium, a może starzy mu powiedzieli, że ma podnieść oceny, bo nie opłacą mu czteroletnich studiów.

– Zrobiłaś to?

– Jeszcze nie. Jeśli się zdecyduję, będę musiał poczekać do ostatniego dnia, gdy wpisują oceny, a nawet wtedy... – Znowu się położył. – Jestem po uszy w gównie.

Nie wierzyła w to. Dylan zawsze umiał wykręcić się od kłopotów. Zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Mogła to wykorzystać.

– Obiecałaś, że nikomu nie powiesz – przypomniał jej nerwowo.

– Nie powiem. Ale chcę coś w zamian. – Spojrzała mu w oczy. – Muszę mieć A z chemii.

Mając świadomość uciekającego czasu, Rachel pojechała prosto do domu swojego ojca, chociaż mgła ograniczała widzialność.

Nie mogła zabawić zbyt długo, ale musiała z nim porozmawiać, wobec tego przygazowała na autostradzie i prawie przegapiła zjazd, zwołniała dopiero wtedy, gdy wjechała na jego ulicę. Przez cały czas myślała o morderstwach, których ofiarami padły jej koleżanki, o głupich artykułach w gazecie i oczywiście o Luke'u, chwili, gdy nacisnęła cyngiel i patrzyła, jak chłopak upada.

Nie rób tego, rzuciła do siebie w myślach, zaciskając palce na kierownicy. Starala się trzymać przy dzieciach, ale teraz zaczynała się sypać.

– Weź się w garść – przykazała sobie. Jej explorer trząsł trochę na nierównym i nieutwardzonym podjeździe do domu ojca, gdzie przy szopie stał jego wóz. Wyłączyła silnik i wbiegła na tylne schody, którymi zwykle wchodziła do tego domu.

Wchodząc na ganek, wystraszyła kota, który wyskoczył spod drabinki otoczonej puszkami z farbami i ścierkami.

– Super – powiedziała, gdy czarny kot przebiegł jej drogę, uciekając na wyboiste podwórko, a ona omal nie przeszła pod drabiną.

Zastukała do drzwi, złapała za klamkę i bez czekania na zaproszenie weszła do kuchni.

– Cześć, tato, to ja!

– No proszę, kogo ja widzę! – Wyszedł z salonu z „Edgewater Edition” w ręce. – Właśnie o tobie czytałem w tym szmatławcu.

– Mercedes nie odpuści. – Przewróciła oczami.

Wrzucił gazetę do kosza na śmieci stojącego przy drzwiach.

– Postaraj się tym nie przejmować. Po prostu chce sprzedać gazetę. – Na nosie miał okulary do czytania, więc spojrzął na nią ponad szklami. – Dobrze się czujesz?

– A jak sądzisz?

– No tak. – Rozłożył szeroko ręce, a ona wtuliła się w niego, czując wdzięczność za jego siłę. Zawsze na nim polegała i zapewne nadal będzie dla niej opoką. Zaciśnęła powieki, walczyła ze łzami, a kiedy znowu otworzyła oczy, popatrzyła przez okno i zobaczyła kota siedzącego na słupku przy płocie z ogonem podwinętym pod nogi. Wokół niego wznosiła się mgła, cała sceneria wydawała się nie z tej ziemi.

– Chyba przestraszyłam twojego kota.

– Nie jest mój. Przybłąda. Dałem mu jedzenie, a teraz wydaje mu się, że tu mieszka. Cóż, jak się nad tym zastanowić, to chyba tak jest. No więc dziecko, jak się trzymasz?

– Nie za dobrze i nie mogę długo zostać. Dzieciaki są w domu same, a to niebezpieczne nawet w lepszych czasach. A teraz...

– Rozumiem. Masz czas na kawę?

Zauważyła ekspres na starej szafce.

– Na szybką. Masz bezkofeinową?

– To nie kawa – prychnął – tylko czarna woda. Ale mam.

Sięgnął do kredensu po pudełko z kapsułkami i skrzywił się z bólu.

– Co ci się stało?

– Nic. Starzeję się. Naciągnąłem ramię... malowałem i kafelkowałem łazienkę. – Znalazł odpowiednią kapsułkę, włożył ją do ekspresu, włączył go i zaczął pocierać bark. – Robię się miękki. – Pokręcił ramieniem, a następnie zdjął z parapetu buteleczkę z ibuprofenem, wytrząsnął na dłoń dwie tabletki i włożył je do ust. – Chyba naderwałem nerw, a może to jakiś reumatyzm. Nic wielkiego.

Ekspres zasyczał i prychnął, po czym ojciec podał jej filiżankę i zaczął robić kawę dla siebie.

– Prawdziwa kawa – oświadczył i zastąpił zużytą kapsułkę nową, opakowanie po starej wyrzucił do kosza.

– Skoro tak twierdzisz.

– Bezkofeinowa jest dla mięczaków.

– Czyli dla mnie.

– Nie wierzę – oburzył się.

Usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości, potem kolejnej, ale widząc, że nie są od dzieci, zignorowała je. Zerknęła na zegar nad kuchenką, czas uciekał, więc upiła łyk kawy i usiadła przy kuchennym stole, podczas gdy Ned wciąż czekał na swoją.

– Jak się miewa Harper?

– Lepiej, niż sądziłam.

Zerknęła na napelniającą się filiżankę.

– Uważaj na nią. Czasami to przychodzi później, gdy mijają pierwszy szok.

Sunąc palcem po starych zarysowaniach na białej ścielce, pomyślała, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Jak dobrze znałaś ofiary?

– Tylko ze szkoły. Sam pamiętasz. Violet bardziej niż Annesę. Przychodziła do mnie czasami. – Ale gdy odwrócił się do niej z kawą w ręce, uświadomiła sobie, że nie pamięta jej szkolnych koleżanek. Jak

możliwy pamiętać? Pracował wówczas na pełen etat w policji, często brał nocki, jego rodzina się rozpa-
dała, a on i Melinda coraz częściej myśleli o rozwodzie. – Ale potem nie utrzymywałam z nimi kontak-
tów. Co prawda mieszkaly w pobliżu, ale się nie znałyśmy.

– Obie cię broniły, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak – odparła, wpatrując się w filizankę.

– Żyły sobie. – Powoli upił łyk. – A teraz ich nie ma.

– Zostały zamordowane. – To brzmiało surrealistycznie, okropnie i potwornie smutno. Pamiętała Violet w ciemnej wytwórni, dziewczyna nie założyła okularów i miotała się w chaosie, który przypominał strefę wojenną, pamiętała, jak próbowała wyciągnąć ją z budynku, gdzie nastolatki strzelały, rzucały petardy, a potem Luke... upadł. Na samo wspomnienie serce zaczęło walić jej w piersi, puls przyspieszył, na linii włosów zebrały się kropelki potu.

– Wczoraj w nocy, gdy zamordowano Annesę, gazeta pewnie była już w druku – powiedziała Rachel. – Ale tylko czekaj. O morderstwie piszą już wszędzie. Znajdą Harper, chociaż nie jest jeszcze pełnoletnia. Mercedes ją dorwie.

– Masz to jak w banku.

– Czy to się kiedyś skończy? – Jęcząc z frustracji, położyła głowę na stole.

– Nigdy – odparł cicho, po czym odchrząknął. – Jak zareagowała na to Lila?

– Lila? – powtórzyła. – Jak to Lila, przesadnie, niemal histerycznie chce mieć wszystko pod kontrolą. Nie uwierzysz, ale najbardziej panikuje, że odbije się to na zjeździe szkolnym.

– Uwierzę. Według mnie ona nigdy nie otrząsnęła się po tym, co się stało.

– Nikt z nas się nie otrząsnął – wyznała Rachel. – Tyle że ona ma syna Luke'a. Żyją pamiętkę, blogo-
sławieństwo oczywiście, ale też ciągle przypomnienie.

Potaknął, patrząc zmrużonymi oczami przez okno znajdujące się nad zlewem. Podążyła za jego spoj-
rzeniem i zobaczyła, że przygląda się kołującemu jastrzębiowi, który obniżał lot, przez chwilę był wi-
doczny, lecz potem ponownie zniknął we mgłę. Wątpiła jednak, żeby kupiał się na ptaku. Nie, zrozumi-
ała, że jego myśli są daleko od teraźniejszości, powędrowały w inny czas i inne miejsce.

– Twój brat i ja mieliśmy swoje problemy. Często braliśmy się za łby – przyznał, po czym upił kawy, a ona zauważyła, że jego włosy, niegdyś rudawo-złote, stały się srebrzyste. – Zbyt często.

Chcąc nie chcąc przypomniiała sobie ich kłótnie. Krzyki. Często spowodowane bezczelnością Luke'a i wybuchowym temperamentem Neda, niekiedy podsycanym szklaneczką whisky. Luke był pierwszy do bijatyki, a Ned nigdy nie ustępował o krok.

– Byłem wymagający wobec niego – powiedział Ned. W jego słowach słyszała żal. – Zapewne zbyt wy-
magający. Dzieciak i tak miał pod górkę. Pomyśl. Ja, jego ojczym, facet, który go wychowywał, byłem odpowiedzialny za to, że nie poznał swojego ojca. – Skóra na jego karku się napięła. – Nie żeby Bruce Hollander był kimś wartościowym. – Potaknął, zgadzając się sam ze sobą, a potem jego ramiona nieco opadły. – Mimo to... mogłem być łagodniejszy w stosunku do chłopaka. To ja aresztowałem jego starego za bicie żony, a później sam ją poślubiłem. Luke był wtedy małym dzieckiem, nie pamiętał innego ży-
cia, ale potem to już inna historia: mijają lata, chłopak dorastał, dowiedział się prawdy, a dzieciaki przeżywały go za to, że jego ojciec siedzi w więzieniu. – Zatopiony w myślach, ponownie napił się kawy. – Do diabła! Nic się już z tym nie zrobi.

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Czyżby? Może. – Spojrzała na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. – Cóż, trzeba sobie jakoś radzić, co nie? Tak jak przez cały czas. – Odsunął krzesło i usiadł naprzeciw niej. – Słyszałaś, że wyszedł z wię-
zienia? Hollander?

– Tak, od mamy.

Zobaczyła, jak szczeka mu się porusza na wspomnienie Melindy, i pożałowała, że ci dwoje nie potrafią się dogadać.

– Dzwoniłaś do niej?
– Nie, powiedziała mi, kiedy ostatnio się widziałyśmy.
– To wszystko – wskazał gazetę leżącą w śmietniku – też musi być dla niej trudne. – Spojrzał Rachel w oczy. Zrozumiała niewypowiedziany przekaz.
– Zadzwoń do niej. Obiecuję, naprawdę.
– Czy Hollander kontaktował się z twoją matką?
– Nic o tym nie wiem. A raczej by mi powiedziała.
– Dobrze. – Napił się kawy. – Jak by na to nie patrzeć, Luke nie miał szczęścia do męskich autorytetów.
– O czym ty mówisz? Byłeś świetnym ojcem.
– Może. Może nie.
Ponownie spojrzała na zegar, po czym wyjęła telefon z kieszeni.
– Chcę, żebyś coś zobaczył. Dostałam tego esemesa parę dni temu i od razu pomyślałam o Luke’u. Ojciec zmarszczył brwi, aż zetknęły się nad nosem.
– Wiem, że to głupie, ale... Cóż, trochę spanikowałam.
Podała mu telefon, spojrzał uważniej i odczytał wiadomość.
– Oddzwoniłaś lub odpisałaś?
– Żadnej odpowiedzi. Policja już się tym zajęła, ale Cade mówi, że to zapewne jakiś trefny telefon. Nie do wykrycia.
– A może to pomyłka?
– Nie sądzę. Czas ma znaczenie. Pierwsza przyszła około północy równo dwadzieścia lat po śmierci Luke’a. Tej nocy, kiedy zamordowano Violet. Pomyślałam, że to pomyłka, dziwny zbieg okoliczności, ale potem dostałam kolejną. – Przeszkolowała do następnego esemesa. – Przyszła rano, kilka godzin po zamordowaniu Annessy.
– Ktoś próbuje cię zastraszyć.
– Udało mu się – przyznała, po czym opowiedziała mu resztę: że czuła na zewnątrz czyjąś obecność, o śladzie buta, popisanych sprejem drzwiach.
Oddał jej komórkę.
– Zgłosiłaś to na policję?
– Tak. Cade nalegał.
– Mają już coś?
– Jeszcze nie.
– Jezu. Pomyślałbym, że to jakieś nastolatki, no wiesz, znudzone dzieciaki, ale morderstwa sprawiają, że należy brać to na poważnie.
– Wiem. – Opowiedziała mu o środkach ostrożności, które stosują, po czym wstała, bo zrobiło się późno.
– Chcesz, żebym coś zrobił? – zapytał, gdy odstawiała do zlewu w połowie opróżnioną filiżankę kawy.
– Nie. Chciałam tylko przegadać to z tobą. – Pocałowała go w kłujący policzek. – Muszę lecieć.
– Dobrze, ale bądź ostrożna – powiedział. – I jeśli będziesz czegoś potrzebowała...
– Dam ci znać.
Odprowadził ją na ganek.
– Koniecznie. Informuj mnie o wszystkim.
Pomachała mu, zbiegła z dwóch schodków i zadrzała. Nie było zimno, tylko ponuro. Miała tyle do zrobienia.

Na przykład co?

Zadbać o bezpieczeństwo dzieci?

Bądź poważna.

Pacjentka, leżąc na kozetce: Nie wiem, co się dzieje.

Terapeuta: To znaczy?

Pacjentka: Umierają ludzie. Ludzie, których znam.

Terapeuta, spokojnie: Śmierć jest częścią życia.

Pacjentka, lekko zaniepokojona: Ale oni są mordowani! Zabijani.

Terapeuta: I jak się z tym czujesz?

Pacjentka, szeptem: Czuję się odpowiedzialna.

Chwila ciszy.

Terapeuta, pochyla się, jest zatroskany: Dlaczego czujesz się odpowiedzialna?

Pacjentka, walcząc ze łzami: Ponieważ sądzę... Mam wrażenie, że gdyby nie ja, gdyby nie moje kłamstwa, dalej by żyli. Zaczęło się od Luke'a. – Zaczynają płynąć jej łzy. – Okłamałam go, o Boże. Okłamałam go, a nie powinienam. Chcę z nim porozmawiać, ale nie mogę go znaleźć. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że on się przede mną chowa.

Terapeuta, patrząc na zegar: To już dawno minęło.

Pacjentka: Ja tak nie sądzę, to mnie dręczy. On mnie dręczy.

Terapeuta: Luke cię dręczy?

Pacjentka: Przez moje kłamstwa. Powiedziałeś mi, że mogę z nim porozmawiać.

Terapeuta po chwili milczenia: To może nie być możliwe. Musisz pozwolić mu odejść.

Pacjentka, przełykając łzy: Próbuję, ale to trudne.

Terapeuta, nieco się odprężając i wdychając zapach trawy cytrynowej z palącego się kadzidelka: Wiem, ale możesz to zrobić. Teraz już musisz się wynurzyć.

Pacjentka: Nigdy mi nie wybaczysz.

Terapeuta: Nie przywrócisz mu życia. Nie da się odwrócić tego, co się stało, ale możesz żyć dalej. Patrzeć w przyszłość.

Pacjentka, zdezorientowana: Słucham? Jak?

Terapeuta: Po prostu spróbuj. Po pierwsze, spójrz w przeszłość. Co widzisz?

Pacjentka jest wciąż nieprzekonana.

Terapeuta, zachęcająco: Po prostu popatrz.

Pacjentka odwraca głowę w lewo, koncentrując się, marszczy brwi: Widzę ciemne chmury. Burzę nad górami. Deszcz i pioruny nad doliną.

Terapeuta, pochylając się nad pacjentką: Dobrze. A co widzisz, patrząc w przyszłość?

Pacjentka powoli odwraca głowę w prawo, rozluźnia brwi, na ustach uprzednio wygiętych w podkówkę, pojawia się uśmiech: Jest jasno. – Odczuwa ulgę. – Nad górami świeci ciepłe słońce, oświetla dolinę, w której płynie rzeka niczym płynne złoto.

Terapeuta z zadowoleniem: Wobec tego pozwól odejść przeszłości. Burzy. Zaakceptuj światło. Pora wracać. Trzy: zaczynasz się wynurzać.

Pacjentka: Ale nadchodzi burza. Ludzie umierają.

Terapeuta: Pozwól im odejść.

Pacjentka: Ale Luke. Mówisz, że mam o nim zapomnieć. Nie wiem, czy potrafię...

Terapeuta: Dwa: zostawiasz ich za sobą. Zostawiasz za sobą przeszłość. Zostawiasz Luke'a.

Pacjentka potakuje, jej włosy ocierają się o skórzaną tapicerkę, twarz się odpręża: Dobrze.

Terapeuta z ulgą: O, tak. – Milczenie. – Jeden. Wracasz.

ROZDZIAŁ 28

Rudowłosy dwudziestokilkulatek w niebieskim fartuchu z plaketką, na której widniał napis „Will Hart, obsługa klienta” stał za ladą punktu sprzedaży wyrobów medycznych Ace w Astorii. Układał kartony na półkach za kasą, ale odwrócił się, gdy Cade i Voss weszli do niewielkiego sklepu należącego do Nate’a Morettiego. Lokal nie należał do przestronnych, wypełniały go regały z różnego rodzaju zaopatrzeniem medycznym, takim jak bandaże, aparaty do mierzenia ciśnienia, lateksowe rękawiczki, glukometry i wiele innych. Przy jednej ze ścian stał rząd balkoników, a za nim porządnie ułożone i lśniące w świetle świetlówek kule ortopedyczne.

– W czym mogę państwu pomóc? – zagadnął Will Hart. Był wysoki i miał perkaty nos upstrzony piegami, ciemne oczy i minę osoby, która chętnie spełni każde życzenie klienta.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem Nate’em Morettim – oznajmił Cade. – Jesteśmy z policji. – Pokazał legitymację i odznakę, Voss wyjęła swoją i położyła ją na ladzie.

– Oho. – Hart zerknął na odznaki i głośno przełknął ślinę. – Jest... To znaczy pana Morettiego teraz nie ma.

– Wie pan, gdzie można go znaleźć? – zapytał Cade, wkładając portfel do tylnej kieszeni.

– Nie. Yy... O, rany. Czy ma jakieś kłopoty?

– Chcemy tylko z nim porozmawiać – odparł Cade.

– Wie pan, gdzie on jest? – powtórzyła pytanie Voss.

– Nic nie powiedział. – Will wzruszył ramionami.

– Ale kontaktował się z panem? – pytała dalej.

– Tak. – Energicznie potakiwał, najwidoczniej obecność policji w sklepie wyprowadzała go z równowagi. – Ale... to był dziwny kontakt. Po pierwsze, on nigdy nie robi sobie wolnego. Nigdy. A zostawił wiadomość o, niech sprawdzę – wyjął komórkę z kieszeni i przesunął palcem po wyświetlaczu – trzeciście czterdzieści siedem w nocy. Kto w ogóle wtedy pisze ememesy?

– Co napisał?

– Tylko że dzisiaj nie przyjdzie. Że źle się czuje. – Z drzeniem podał komórkę Cade’owi. Wiadomość była prosta: **Nie śpię całą noc. Wirus żołądkowy. Otwórz, w południe przyjdzie Wendy.**

I rzeczywiście, esemes wysłano o 3.47.

Odpowiedź Harta z 8.13 brzmiała: **OK.**

Rydera kusilo, żeby przeskrolować wyżej, ale powstrzymał ten odruch.

– Kim jest Wendy?

– Pracuje tutaj. Lepiej, żeby przyszła.

– A dlaczego miałyby nie przyjść?

Obejrzał się przez ramię, jakby spodziewał się, że ktoś może ich podsłuchiwać, chociaż oprócz nich nikogo nie było w sklepie.

– Bo jest leniem i tyle. Czy jest tutaj? Nie. Czy odpowiedziała na moje wiadomości? Nie. Czy sądzę, że nadejdzie i mnie zastąpi? Zgadnijcie. – Zerknął na zegarek, na którym była 12.28. – Już jest spóźniona. Zakładam, że w ogóle nie zjawi się w pracy. – Jego miła, chętna do pomocy postawa powoli zaczynała się pruć w szwach.

– Cóż, gdyby Nate się skontaktował, proszę dać mu znać, że go szukamy – powiedziała Voss i położyła na ladzie swoją wizytówkę.

– Dobrze – odparł Hart, wrzucając kartonik do szczeliny w tylnej części kasy fiskalnej. W tej chwili otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł tyłem siwowłosy mężczyzna, wioząc na wózku jakąś kobietę.

Cade przytrzymał mu drzwi, a mężczyzna w czapeczce z daszkiem, dzinsach na szelkach i koszuli w kratę, wchodząc, odwrócił wózek przodem.

– Dzieki – rzuciła siedząca na nim kobieta. Na pierwszy rzut oka dobiegała osiemdziesiątki. Miała krótkie, białusienkie jak śnieg włosy, była ubrana w podomkę, nogę w gipsie trzymała na podnóżku.

– Szukamy Nate'a – oznajmił mężczyzna, stając wraz w wózkami przy ladzie, gdzie czekał Hart.

– Ustawcie się w kolejce – wyszeptła Voss, gdy zamykały się za nimi drzwi. – Jedźmy sprawdzić, czy dobry, stary Nate leży w łóżku w swoim domu i leczy bóle brzuszka. – Posłała Cade'owi wymowne spojrzenie. – Kto wie? Może nie jest sam?

Znali jego adres i gdy Voss wprowadzała go do telefonu, by ustawić nawigację, Cade usiadł za kierownicą jeeпа należącego do wydziału, pozbawionego wszelkich wygód, ale zaopatrzonego w nowinki techniczne. Chociaż Voss preferowała swoją komórkę, on wpisał adres do nawigacji w jeepie, po czym wyjechał z parkingu przy centrum handlowym.

Mgła bardziej osiadła, niż się rozproszyła, więc Ryder musiał jechać wolniej niż zwykle, choć miał ochotę dodać gazu, wiedział jednak, że porusza się równoległe do rzeki i gdzieś w pobliżu niszczyje stara wytwórnia konserw, teraz niewidoczna. Wmawiał sobie, że naciąga fakty, próbując połączyć śmierć Luke'a Hollandera z zabójstwami, które wydarzyły się ostatnio, ale nie potrafił zignorować tego, że na drzwiach Rachel ktoś wymalował napis MORDERCA, ani wiadomości, którą otrzymała, sugerującej, że wysłał ją ktoś bliski Luke'owi lub sam jej przyrodni brat, chociaż od dawna nie żył.

Kayleigh miała rację – stał za tym jakiś chory kutas, ale po co? Kogo kręciło terroryzowanie Rachel?

Mocniej zacisnął dłoń na kierownicy i zdawało mu się, że kątem oka dostrzegł wytwórnię, potężny budynek skrywający własne tajemnice, ale, oczywiście, to tylko wyobraźnia płatała mu figla. Widział nie dalej niż piętnaście metrów przed sobą, więc nie mógł dostrzec wytwórni położonej kilkaset metrów od drogi.

Nawigacja pokazała zakręt. W tej samej chwili Voss powiedziała:

– Skręć w lewo tutaj... tam. – Wskazała skrzyżowanie, więc przyhamował, upewniając się, że nikt nie nadjeżdża z naprzeciwka. Po czym wjechał na wznoszącą się drogę podporządkowaną, gdzie mgła nie była aż tak gęsta. W niektórych miejscach jodły i świerki rosły tu rzadziej, las został przetrzebiony, a w zasięgu wzroku pojawiały się słupy ogrodzeń niczym wartownicy na służbie.

– Co, według ciebie, ukrywa? – zapytała Voss. – Zapewne wie, że już go namierzaliśmy. Musi mieć świadomość tego, że znaleźliśmy jej komórkę i będziemy go szukać. Boże, może by tu trochę narząca? – Poprzestawiała kontrolki. – Koniec maja, a ciągle jest zimniej niż w psiarni.

– Sądzisz, że to Moretti zabił Annesę?

– A kto inny? Według mnie zaplanowali spotkanie na boisku szkolnym, sprawy potoczyły się inaczej, niż planowali, wymknęły im się spod kontroli, a ona przyplaciła za to życiem. – Kiwnęła głową, jakby zgadzając się z własnymi słowami, po czym popatrzyła przez przednią szybę. – Może nie wyszła im jakaś zabawa erotyczna.

– Wobec tego jak to się łączy z Violet Sperry?

– Nie mam przekonania, że te dwa zabójstwa są ze sobą związane.

– Serio? Od lat nie było żadnych morderstw w okolicy, a teraz mamy dwa w ciągu tygodnia, kobiety, które się znały...

– Każdy zna każdego w tej mieścinie – przerwała mu.

– ...obie miały na oczach niebieską taśmę malarską.

– Tak, wiem. – Westchnęła z niesmakiem. – No dobrze, tylko się z tobą drażniłam, bawiłam się w adwokata diabła. Ale Moretti może być sprawcą, znał także Violet Sperry.

– Nie byłby zbyt bystry.

- Kiedy chodzi o seks, nikt nie jest Einsteinem. - Zerkając na mapę w telefonie, zasugerowała: - Może miał romans z obiema, nigdy nie wiadomo.
- W komórce Violet nie było żadnych seksemesów.
- O w mordę. Może była ostrożniejsza niż tamta. Może mąż sprawdzał jej komputer i telefon. A może po prostu była mądrzejsza od Annessy Cooper.
- A i tak marnie skończyła.
- Fakt, masz rację. I to by było na tyle.
- Zabójca musiał wiedzieć, że znajdziemy go dzięki zapisom w telefonie, ale go nie zabrał. Nie, chciał, żebyśmy ją znaleźli, ustalili, kim jest; była wystawiona na pokaz.
- W kościele.
- W dzwonnicy - uściślił, skręcając w nieco bardziej płaską drogę. - Jej panięskie nazwisko brzmiało Bell⁴.
- Oho, teraz to już przesadzasz.
- Tak sądzisz?
- Zwolnij, zaraz będziesz skręcał - ostrzegła Voss.
- Wyteżył wzrok, szukając drogi w mlecznej zupie, po czym wypatrzył skrzynkę na listy.
- Jesteśmy. - Skręcił w zwirową drogę, wiodącą w mgłę, przestrzeń pomiędzy wyjeżdżonymi śladami kół wypełniały chwasty i kępy trawy.
- Miejmy nadzieję, że jest w domu.

Rachel wjechała exploerem do garażu. Wyłączyła silnik, ale nie wysiadając zza kierownicy, postanowiła przeczytać esemesy, które dostała. Wcześniej je przejrzała, upewniła się, że nie są od Cade'a ani dzieci, więc zignorowała przychodzące jedna po drugiej wiadomości. Teraz przeczytała je z większą uwagą.

Pierwsza została wysłana przez Mercedes, no oczywiście: **Słyszałam o Annessie Bell i że Harper zna-**

lazła ciało. Zadzwoń.



- W życiu - powiedziała i skasowała esemesa.

Następna była od Brit: **OMG! Nie Annessa! Po prostu nie wierzę. Co do k... się dzieje? Czy z Harper wszystko OK?**

Lila naturalnie napisała kilka razy. Najpierw: **Wciąż jestem wstrząśnięta. Masz jakieś wiadomości? Chuck i Lucas też są przerażeni! Przerażeni! Zadzwoń!**

Potem: **Lucas chce wiedzieć, czy wszystko okej z Harper. Widziałas Xandera? Gałkiem się zała-**

mał!!! To okropne. OKROPNE!!!



Za trzecim razem: **Zadzwoń, dobrze? Musimy wiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku. Nie wie-**

rzę. Kryzysowe zebranie w PIĄTEK U MNIE. 19.30!!!



Serio?

Napisała nawet Reva: **Właśnie dowiedziałam się o Annessie. Nie do uwierzenia. Boże, co się dzieje i kto będzie następny? To absurdalne i niepokojące. Mam nadzieję, że twoja córka nie przeżyła zbyt wielkiej traumy. OMG - na pewno przeżyła. Przepraszam. Nie wierzę, że według Lili musimy mieć zebranie w sprawie zjazdu. Ta kobieta jest bezwzględna. (Ech). Pewnie tam się zobaczymy.**

Przy kasowaniu pozostałych wiadomości Rachel poczuła odrobinę satysfakcji, widząc, jak znikają gładkie emotikony. Czasami te zbyt słodkie grafiki ją irytowały – cóż, w zasadzie zawsze tak było. Ale teraz, tuż po takiej tragedii? Wydawały się bezmyślne.

Wyszła z SUV-a i ujrzała promienie słońca przesywające mgłę. Może jednak pogoda się poprawi. Odkład wyszła z domu ojca, miała w głowie rozmowę z Nedem i była tak pograżona w rozmyślaniach, że prawie przegapiła skręt w własną ulicę.

Co takiego nie pasowało jej w tej rozmowie?

Tak, ojciec był uprzejmy, a nawet wnikliwy, poprosił ją, żeby odpuściła, ale w klimacie rozmowy było coś, coś ukrytego pod słowami, jakieś przeczucie, że kryje się za nią coś więcej.

Może dlatego, że zapytał o matkę. To zawsze sprawiało, że atmosfera robiła się napięta.

– Ech, cholera. – Obiecała, że zadzwoni.

Znalazła imię Melindy na liście kontaktów i dotknęła zielonej słuchawki. Kilka sekund później została przekierowana na pocztę głosową.

– Cześć, mamó – zaczęła, otwierając bramę i wchodząc na podwórko. – To ja. Dzwonię, żeby sprawdzić, co u ciebie słychać. Oddzwoni, jak będziesz mogła. – Weszła po schodkach z tyłu domu, otworzyła drzwi i krzyknęła: – Wróciłam! – Reno wybiegł jej na powitanie. Podrapała go po karku i krzyknęła znowu: – Wróciłam!

Zamknęła drzwi, włączyła alarm i czekała na odpowiedź.

Nic.

– Harper! Dylan?

W domu było cicho, powiedziała sobie, że nie ma się czym martwić. No bo co mogło się stać? Zapewne mieli słuchawki na uszach albo spali, albo coś oglądali. Z Reno przy nodze, przeszła korytarzem do pokoju Harper i otworzyła drzwi. Pusto. Przeniknął ją dreszcz, ale skarciła się za niedorzeczne zachowanie. Otworzyła drzwi pokoju Dylana. Jego też nie było, na łóżku leżała napoczęta paczka chipsów, a pokój jak zawsze przypominał chlew. Ale był pusty. Cichy. Kontroler do gry leżał na poduszce.

Niedobrze.

– Dzieci? – rzuciła, myśląc, że mogą być na górze albo na dole. Ale w domu było zbyt cicho, słychać było jedynie łapy psa na podłodze i mruczenie lodówki. Nie panikuj.

Nigdzie nie poszli.

Dom był zamknięty na klucz, alarm działał...

Wobec tego, gdzie, do cholery, się podziali?

Dom Nate'a Morettiego w kształcie litery A z przybudówką, która obejmowała podwójny garaż, wznosił się pomiędzy zagajnikiem drzew iglastych. Dróżka wijąca się przez młodniak jodeł i klonów dochodziła do polany, na której wystawiono budynek, zapewne jakoś na początku lat siedemdziesiątych.

W żadnym z okien nie paliło się światło, w to mgliste popołudnie dom wydawał się opuszczony.

Cade zapukał do drzwi frontowych i czekał na dźwięk kroków lub szczekanie psa, może nawet kaszel.

Nic.

Zapukał znowu, tym razem głośniejsze.

Nikt nie otworzył.

– A pieprzyć to. – Voss złapała klamkę, nacisnęła ją, popchnęła drzwi, ale nawet nie drgnęły. – Pfff.

– Sprawdźmy z tyłu.

Tak zrobili, zajrzeli przez okna, stąpali po wybetonowanym chodniku, który skręcał za dom, gdzie trawa nie była przycięta. Kawałek od ścieżki ujrzeni ruinę tego, co musiało niegdyś być kurnikiem oto-

czonym siatką z drutu: ściany próchniały, chwasty sięgały powyżej podniesionej podłogi, wszędzie leżało odbarwione siano.

– Przydałby mu się ogrodnik – zauważyła Voss. – Albo żona.

– Seksistowska uwaga.

– Fakt. – Weszła po dwóch schodkach na tylny ganek, który służył także jako oszklony taras, bo zabudowany był oknami. Zapukała do drzwi z moskitierą, które zachybotwały, następnie spróbowała je otworzyć i tym razem jej się udało.

Wewnętrzne drzwi były jednak zamknięte.

– Pech – westchnęła i oboje zajrzeli przez okno w tylnych drzwiach. W środku ujrzeli kuchnię, dość czystą, chociaż niezbyt nowoczesną, jedno z krzeseł było nieco odsunięte, a na stole stał mały telewizor.

– Nikogo tu nie ma – mruknęła Voss, gdy podeszli do kolejnych okien, żeby zajrzeć przez częściowo odsunięte rolety i zasłony, ale nie zauważyli żadnych oznak życia.

Następnie poszli do garażu. Również był zamknięty, ale okno z boku odślaniało widok na ciemne wnętrze, gdzie przy tylnej ścianie ujrzeli nieskazitelnie czysty stół warsztatowy i nic poza nim.

– Tutaj go nie ma – powiedział Cade.

– W pracy też nie. Skłamała, że jest chory – stwierdziła Voss, stając na palcach, żeby zajrzeć do środka i dla równowagi trzymając się zewnętrznego parapetu.

– Chyba że jest na pogotowiu ratunkowym. Albo u znajomego. Może wziął dzień wolnego i nie chciał, żeby pracownik wiedział, że zrobił sobie węgry.

– Albo rozplynał się w powietrzu, bo zdawał sobie sprawę, że jest na naszym celowniku.

– O ile jest zabójcą.

– Fakt. Na razie stawiam na niego.

– Dość niechlujnym, jeśli chciał, by mu to uszło na sucho.

– Jak mówiłam, za daleko posunęli się w zabawie erotycznej.

– Możliwe. – Ale Cade tego nie kupował. Coś mu nie grało w założeniu, że Nate Moretti zabił obie kobiety. – Zadzwońmy do niego. – Cade już wyjął komórkę z kieszeni. Zapisał sobie numer Morettiego, ale kiedy go wybrał i uzyskał połączenie, od razu włączyła się skrzynka głosowa. Nagrał wiadomość, prosząc o oddzwonienie.

– No to wracamy do punktu wyjścia – zauważyła Voss, puściła parapet i znowu stanęła na całej stopie. – Chyba że chcesz się włamać.

– Jeszcze nie. – Wrócili do swojego auta zaparkowanego przed domem. – Wystawmy list gończy za jego pojazdem. To toyota, prawda? SUV?

– RAV cztery, rocznik dziewiętnaście, hybryda.

– Odrobiłaś zadanie.

– Jak zawsze.

– Wobec tego sprawdźmy, czy jego ojciec wie, gdzie go szukać. – Rzucił kluczyki Voss. – Zaraz go namierzę. – Znowu zajął się telefonem, usiadł na miejscu pasażera, podczas gdy Voss siadła za kierownicą.

Gdy ruszyła i wjechała w boczną drogę, powoli zaczynało się przejaśniać, chmury i mgła się podnosiły, widzialność stawała się coraz lepsza. Jechali po krętej drodze pomiędzy zalesionymi wzgórzami, aż w końcu dotarli do autostrady numer 30 i udali się w stronę Astorii.

Cade niewiele działał swoim telefonem do ojca Nate'a. Recepcjonistka, która odebrała w klinice Morettiego, powiedziała mu, że „pan doktor” przyjdzie dopiero po szesnastej. Sfrustrowany, poinformował o tym Voss, po czym zawrócili na następnym skrzyżowaniu, żeby wrócić na komisariat.

W drodze do Edgewater Voss przez cały czas upierdliwie trzymała się poniżej limitu prędkości, aż miał ochotę krzyknąć. Myślał o zniknięciu Nate'a Morettiego tuż po dziwnym morderstwie, którego

ofiara padła jego kochanka.

Czy spotkali się w St. Augustine i, jak wywnioskowała Voss, ich pożądanie przybrało bardzo zły obrót?

Czy ktoś inny tam na nich czyhał?

Żył i gdzieś się ukrywał? A może uciekał?

Czy mógł już nie żyć?

Cade'owi nie podobała się żadna z tych możliwości.

ROZDZIAŁ 29

Spanikowała, pomyślała, że nie usłyszała, jak dzieci do niej zadzwoniły, i ponownie sprawdziła telefon, przejrzała wiadomości, esemesy, nieodebrane połączenia. Nic. W salonie było pusto. Jej serce zaczęło galopować, gdy zobaczyła, że w jej sypialni i biurze też nikogo nie ma, wróciła na parter, a następnie zbiegła do piwnicy, gdzie nacisnęła włącznik na ścianie, żeby oświetlić pomieszczenie.

Żadnych głosów. Zero szumu starej bieżni. Żadnych dźwięków. Ale poczuła nieznaną zapach. Jakby piżmo. Zamarła i uświadomiła sobie, że niektóre z kartonów, które przeznaczyła do recyklingu, zostały przestawione.

A przynajmniej tak jej się zdawało.

Ale dlaczego?

I gdzie, do cholery, byli Harper i Dylan?

Piżmowy zapach zniknął, jeśli w ogóle tu był, ale Rachel czuła strach. Stała bez ruchu i nasłuchiwała, ale słyszała jedynie skamlącego Reno przy drzwiach piwnicy i nic więcej.

Kurwa.

Ponownie się rozejrzała. Spoglądała na półki z kartonami wypełnionymi rzeczami, których nie wyrzuciła – starymi lampami, puszkami z farbą, kartonami płytek, które zostały po remoncie łazienki – i uznała, że za bardzo się przejmuje. Omiotła spojrzeniem trzy pomieszczenia, gdzie, była przekonana już w chwili, gdy schodziła po stromych schodach, nie mogła nikogo zastać.

Czarny strach wsączył się do jej krwiobiegu. Gdy ruszyła na górę, zaczęła pisać wiadomość do Harper, ale usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, a potem rozległy się kroki osób wchodzących do domu. Następnie usłyszała głosy. Harper i Dylan i ktoś jeszcze, męski głos. Bez wątplenia Xander Vale. Nie zrozumiał aluzji.

– Mamo? – zawołała córka, gdy Rachel wyszła na parter. Drzwi do ogrodu zostawili uchylone, właśnie zaczynał wyc alarm, na dodatek zadzwonił telefon Rachel. Popatrzyła na wyświetlacz, gdzie ukazał się numer jej matki.

Melinda do niej oddzwaniała.

Rachel nie mogła odebrać. Nie teraz, gdy zobaczyła, że do kuchni wchodzi Lucas, nie Xander Vale. Wkładał do kieszeni komórkę i kluczyki, podczas gdy Harper niosła torby z jedzeniem na wynos, a Dylan wpadł do spiżarni, żeby wyłączyć alarm.

Byli bezpieczni.

Dzięki Bogu!

– Chyba prosiłam, żebyście zostali w domu – zwróciła się do dzieci i usłyszała panikę w swoim głosie. Panikę i trochę złości.

– Moja wina. – Lucas posłał jej zażenowany uśmiech. Mimo zimna był ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem. – Napisałem do Harper. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko u niej w porządku. Mama powiedziała, że ona... – Nie dokończył zdania.

Rachel rozumiała jego intencje. Ale i tak była wkurzona.

– Powinniście dać mi znać.

– Sądziliśmy, że wrócimy przed tobą – wyjaśniła Harper.

– Mimo to...

– Słuchaj, nie chciałam cię niepokoić, wiesz? – odpysknęła jej córka. – To znaczy, byłaś taka przerażona, w sensie, że przez cały czas i tak, wiem, rozumiem. Dzieją się chore i dziwne rzeczy, ale nie czaję, jak można tak przeżywać wyjście po jedzenie i colę w środku dnia. – W jej oczach lśniło wyzwanie.

– Ale po wczorajszej nocy...

– Mamo. Rozumiem. – Wytrzymała spojrzenie matki, ale na jej szyi pojawił się rumieniec, który powoli wspiął się wyżej. Czyżby się zawstydziła? Bo została przyłapana na nieposłuszeństwie? Bo Lucas był świadkiem kłótni? A może sądziła, że jej matka jest świruską, że odjechał jej peron.

– Dobrze – skapitulowała Rachel. – Następnym razem, proszę, daj mi znać. Przestraszyliście mnie i tyle.

– Wszystkiego się boisz! – Harper wysunęła brodę do przodu, niemal prowokując matkę do kłótni.

Ponownie rozdzwoniła się komórka Rachel.

– Muszę odebrać. To babcia. Oddzwania do mnie. – Dotknęła ekranu, a następnie z telefonem przy uchu przeszła do salonu, gdzie miała więcej prywatności. – Cześć, mamo.

– Odsłuchałam twoją wiadomość – zaczęła Melinda.

– Dzwoniłam, żeby sprawdzić, co u ciebie. – Rachel siadła na podłokietniku sofy, by patrzeć przez okno, gdzie mgła, teraz już rzadsza, częściowo zasłaniała frontową część podwórka Dickersonów.

– Słyszałam o twojej przyjaciółce.

W zasadzie Annessa nie była jej „przyjaciółką”, ale nie zaprzeczyła.

– Wiem. Boże, to straszne.

– I Harper tam była? – Skąd już wiedziała? W sumie, nieistotne. Edgewater było małą mieścina, informacje rozprzestrzeniały się po sklepach, kawiarniach, restauracjach i małych biznesach niczym ogień niesiony wiatrem.

– Tak.

– Traumatyczne doświadczenie. – Pauza. – Jak ona się czuje?

Rachel wyciągnęła szyję i spojrzała w głąb korytarza, do kuchni, gdzie Harper siedziała przy stole, Lucas przy drzwiach, a Dylan zniknął z jej pola widzenia, zapewne stał gdzieś za rogiem koło lodówki lub kuchenki.

– Trudno stwierdzić. Mówi, że dobrze i tak też się wydaje, ale z pewnością nie było to dla niej łatwe przeżycie. Zatrzymałam oboje w domu, nie poszli do szkoły. – Harper się uśmiechnęła, po czym parsknęła śmiechem. Podała swój telefon Lucasowi, a sama piła przez słomkę z kubka z logo lokalnej meksykańskiej restauracji z jedzeniem na wynos. Raczej nie trzymała się swojego detoksu. Lucas zerknął na komórkę Harper i jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, który upodabniał go do Lili. Syn Luke'a bardziej wdał się w rodzinę swojej matki.

– Dobrze, że zostali w domu – powiedziała Melinda. – Po tym, co się stało, lepiej mieć ich przy sobie. To wszystko jest takie straszne. Dla nas wszystkich.

– Czytałaś dzisiaj gazetę? – zapytała Rachel.

– Tak, tak, czytałam. Mówiłam sobie, żeby jej nie czytać, że tylko się zdenerwuję, ale... oczywiście przeczytałam i oczywiście się zdenerwowałam. – Długie westchnienie. – To nic w porównaniu do mordstw. Ich rodziny na pewno strasznie cierpią, a ja wiem, jak to jest, ale...

– To wciąż boli – dokończyła Rachel.

– Boli jak cholera, a ta Mercedes Jennings, to znaczy Pope, cały czas do mnie wydzwania i chce, żebym zgodziła się na wywiad do tej szmatławej gazety. Ale ja się nie zgodzę. – Melinda była stanowcza.

– Nie winię cię.

– Wydaje mi się, że jej zainteresowanie tym, co przydarzyło się Luke'owi, jest co najmniej dziwne – wyznała Melinda. – Przyznała mi się kiedyś, że go nie lubiła.

– No tak. – Rachel westchnęła i pokręciła głową. – To jedna z niezliczonych moich przyjaciółek, która się w nim nie podkochiwała. Boże, wszystkie się w nim bujały, jakby był jakimś darem niebios.

– Może był – mruknęła Melinda.

Rachel się wzdrygnęła.

– Tak go widziała Lila Kostas – stwierdziła gorzko Melinda.

– Przynajmniej urodziła ci wnuka – zauważyła Rachel szeptem.

– Tak, cóż, to prawda. – Melinda mówiła beznamiętnym tonem. Nigdy nie była blisko z Lucasem. Straciła syna. Lucas stracił ojca, którego nigdy nie poznał. Ale to nie zbliżyło jej do pierworodnego wnuka, Melinda wolała zdystansować się od niego i jego matki, i nawet nie wysłała Lili kartki z gratulacjami, kiedy ta poślubiła Chucka.

Rachel musiała przyznać rację matce: ich rodzina była strasznie skomplikowana. Chociaż Lucas trzymał się ze swoimi kuzynami. Był tu teraz, śmiał się i żartował z Harper i Dylanem.

Rachel zerknęła ponownie do kuchni i zobaczyła, że Dylan sięga do otwartej torby, wyjmując owinięte w papier taco, po czym zgniata pustą torbę i rzuca nią w starszego kuzyna, który z łatwością łapie lecący pocisk i odrzuca go z większym impetem.

– Jakoś sobie poradzimy – oznajmiła Melinda.

– Musimy. Przy okazji, mam, mówiłaś, że tata Luke’a został zwolniony z więzienia.

– To prawda.

– Próbował się z tobą skontaktować?

Milczenie.

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu jestem ciekawa. No wiesz, w końcu to ojciec Luke’a.

Niemal czuła, jak po drugiej stronie matka się najeża.

– Ojciec tylko z nazwy. Ten człowiek to bestia, Rachel. Ktoś, kto rozmawia przy użyciu pięści. Cieszę się, że Luke nigdy go nie poznał. Bóg wie, co mogłoby się stać... O, Panie...

Tak, stało się najgorsze. Luke zmarł. A Bruce Hollander nie miał z tym nic wspólnego.

– Nie odpowiedziałas mi.

Matka się wahała.

– Dostałam esemesa od niego, przynajmniej wydaje mi się, że to on pisał. Nie odpisałam. Zablokowałam ten numer.

Esesema? Rachel poczuła, jak skacze jej ciśnienie.

– Co napisał?

– Nic takiego. Wiadomość przyszła w rocznicę śmierci Luke’a. Przedstawił się i powiedział, że jest mu przykro. Nic więcej. Domyślałam się, że ukończył jakiś program resocjalizacyjny i to był pierwszy z warunków, które miał spełnić.

– Masz ten numer?

– Wykasowałam go.

– Ale czy mogłabyś go znaleźć... może wciąż jest w „ostatnio usuniętych” w twojej komórce? Albo w jakimś innym miejscu?

– Może, ale po co? Nie miałam z nim kontaktu od ponad dwudziestu lat. Nie widzę sensu.

– Może być jakiś, mam – powiedziała. – Ja, hm, dostałam kilka dziwnych wiadomości, a pierwsza przyszła w rocznicę śmierci Luke’a.

– Co? Och, to okropne. Jakiej treści?

– „Wybaczam ci”.

– Wybaczam ci co?

– Nie podano. To cała wiadomość. Dostałam ją dwa razy. – Rachel opowiedziała o dwóch esemesach od nieznaney osoby.

– Wow. Wiesz, nie znam teraz Bruce’a, ale nie kupuję tego, że się zmienił. Nie sędzę, by dwadzieścia lat w więzieniu zmieniało osobę, ale to nie jest w jego stylu, a raczej nie było. Nie znał się na subtelnościach, na pewno nie wtedy, gdy go znałam, kiedy byłam jego żoną. A gdyby to rzeczywiście był on i gdyby napisał do ciebie, podobnie jak do mnie, ze względu na program, który realizował, to dlaczego nie miałby się przedstawić? Po co miałby robić to z ukrycia? Anonimowo. Tego nie zaleca się w żadnym programie, który znam, i na pewno nie jest w jego stylu. A przynajmniej kiedyś nie było – powtórzyła. – Ale – zawahała się – postaram się odzyskać ten numer.

– Dobrze. – Jeśli jej się uda, Rachel zamierzała przekazać go Cade’owi. Jak najszybciej.

Porozmawiały jeszcze chwilę, a gdy się rozłączyła, zauważyła, że Ella Dickerson w rękawiczkach na dłoniach kłęczy koło rabaty z różami, które zaczynają wypuszczać pąki. Dzieci wciąż były w kuchni, z której dochodził zapach kminu rzymskiego i ostrego sosu. Gdy wyszła na korytarz, zobaczyła Lucasa, który właśnie wkładał komórkę do kieszeni i wyjmował kluczyki.

– Wracam do domu – oznajmił na jej widok.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz zostać.

Pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi.

– To nie tak. Mama ostatnio jest bardzo nerwowa, a ja mam końcowe egzaminy i powinienem się uczyć. – Do Harper rzucił: – To do zo. – Po czym zerknął na Dylana i skinął do niego. – Musimy znowu razem zagrać.

Dylan potaknął i wystawił palec w kierunku kuzyna.

– Na stówę.

– Wyjdę z tobą – powiedziała Rachel, gdy Lucas otworzył tylne drzwi. – Wyłączcie na chwilę alarm. Muszę wyprowadzić Reno – zwróciła się do dzieci.

Pies, słysząc swoje imię, stanął u jej boku. Zapięła smycz na jego obroży i wyszła tylnymi drzwiami, po czym okrążyła dom, by dojść do samochodu Lucasa zaparkowanego na ulicy. Uderzyło ją to, że Lucas ma teraz prawie tyle samo lat, co Luke, kiedy umarł, więc gdy szła z nim przez trawnik, poczuła, że ożywają wspomnienia. Chociaż Lucas był nieco niższy i bardziej muskularny niż Luke, miał blond włosy. Gdy wsiadał do czarnego porsche, przypominał Luke’a wsiadającego do bmw należącego do Nate’a Morettiego w to nieszcześnie popołudnie.

Serce zakłuło ją jak wiele razy przedtem. Odsuwając wspomnienie do najdalszych zakątków pamięci, zapytała:

– A ty jak sobie z tym wszystkim radzisz?

Siedząc w aucie, spojrzął na nią przez uchyloną szybę.

– Z czym wszystkim? – odpowiedział pytaniem, po czym załapał, o co jej chodzi. – Och, masz na myśli te wstrętne artykuły w gazecie? I to, że giną ludzie?

– Tak.

Zmarszczył brwi, wyglądał poważniej niż zwykle.

– To dziwne.

– To duże niedopowiedzenie.

– Okej, cholernie dziwne. – Zmrużył oczy. – Czy sądzisz, to znaczy, czy to możliwe, że ludzie, którzy zostali zaatakowani, mieli coś wspólnego z moim tatą?

– Nie wiem – przyznała, trzymając smycz Reno, który chodził z nosem przy trawie obok krawężnika. – Może. Może nie. Dlaczego pytasz?

– Chodzi o coś, co powiedziała mama. No wiesz. O tym, co się stało. O tym, że te kobiety... że były świadkami, kiedy on... umierał.

– Wielu z nas było.

– Domyślam się. – Następnie zerknął na nią kątem oka, a ona ujrzała w jego spojrzeniu nigdy nie zadane pytania. *Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego zabiłaś własnego brata, ojca, którego nigdy nie miałem szansy poznać?*

– Wiesz co, Lucas – zaczęła, jej palce chwyciły się kurczowo drzwi sportowego samochodu, dławilo ją w gardle. – Przykro mi z powodu twojego taty. Przepraszam za swój udział w tym zdarzeniu, przepraszam za... to wszystko.

Zacisnął usta. Nie pytał dlaczego, tylko potaknął. Jakby wiedział, o czym mówi.

– Nie przejmuj się – rzucił w końcu i odpalił potężny silnik porsche.

Reno odskoczył, gdy Lucas wyjechał na środek jezdni i skierował się w stronę miasta. Rachel natomiast wyminęła swój dom i udała się w kierunku domu Dickersonów. Ella wciąż klęczała, patrzyła na oddalające się auto Lucasa, które ledwie przyhamowało na skrzyżowaniu i zniknęło w gęstniejącej mgle.

– Niedobrze tak rozpieszczać dziecko – powiedziała, wstając i otrzepując dłonie w rękawicach z ziemi i kory.

– Pewnie tak – zgodziła się Rachel, po czym przeszła do tego, co ją tu sprowadziło. – Ma pani dobry widok na mój dom, więc zastanawiałam się, czy widziała pani kogoś, kto się tu kręcił.

– Mówiłam policji, że jedyne, co widziałam, to ten napis na drzwiach. – Poprawiła okulary na nosie i dodała: – To ja cię o nim zawiadomiłam.

– Tak, wiem i dziękuję. Nie zauważyłam go.

– Paskudna sprawa. Czasami zastanawiam się, do czego zmierza ten świat.

Reno pociągnął za smycz.

– Siad – wydała mu komendę Rachel. – Ale nie chodzi mi o tamtą noc, lecz o inne. Czy widziała pani, żeby ktoś kręcił się na przykład przy naszej bocznej furtce? – Wskazała pas trawy prowadzący do tylnej bramy z boku domu, skąd można było przejść do ogrodu Pittów.

– O, tak. – Ella zdjęła rękawice.

Rachel zaschło w ustach.

– Kogo? Kiedy?

– Nie wiem, zwykle jest ciemno. Widziałam tu kogoś kilkakrotnie, ale nie zastanawiałam się nad tym. Wiele osób wchodzi i wychodzi z twojego domu. Nastolatki. Samochody. – Wzruszyła ramionami. – Nigdy nic nie mówiłam, ponieważ sądziłam, że wiesz. Wydawało mi się, że to jacyś znajomi twoich dzieci.

Serio?

– O której... kiedy?

– O, rany, ostatnio chyba przedwczoraj. – Zrobiła minę, jakby się zastanawiała. – Trochę po północy lub jakoś tak.

– W niedzielę?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Jestem niemal pewna.

– Chłopak?

– Albo mężczyzna... Być może nawet wysoka kobieta.

– Czy rozpoznabyła pani tę osobę? – zapytała Rachel, jej puls podskoczył, gdy patrzyła na swój dom ze źle pomalowanymi drzwiami; paskudne oskarżenie było zakryte, ale farba odcinała się od reszty. Postanowiła, że nazajutrz przemałuje całe drzwi.

– Nie sądzę. Było ciemno, ale bez mgły jak dzisiaj, jednak to środek nocy. A wszystkie nastolatki wyglądają teraz podobnie: czy chłopak, czy dziewczyna noszą te luźne bluzy z kapturem i dzińsy z dziurami na kolanach. To nawet mógł być twój syn. Wiesz, nie widziałam twarzy.

Wcale nie wiedziała, ale skoro jedno z jej dzieci wyszło z domu przez okno, mogła założyć, że jej syn też wchodzi i wychodzi tą drogą, kiedy chce. Zaczęła rozmyślać o wszystkich tych nocach, kiedy zdawało jej się, że ktoś zakrada się na podwórko, gdy Reno zachowywał się, jakby kogoś tam wyczuł. Pomyślała, że odchodziła od zmysłów, podczas gdy... powodem jej traumy mogły być jej własne dzieci.

– Znałaś tę zabitą kobietę? – zapytała Ella. – Oglądałam wiadomości w południe. Była mniej więcej w twoim wieku i mówili, że dorastała tu w okolicy.

– Chodziłyśmy ze sobą do klasy.

– I z tą drugą też? Tą, która została zamordowana w zeszłym tygodniu?

– Razem kończyłyśmy szkołę.

– Co się według ciebie stało? – zapytała starszka, a jej oczy zaświeciły się na myśl o plotkach, lecz Rachel nie chciała dać się w nie wciągnąć.

– Nie wiem – odparła, po czym dorzuciła: – Muszę wracać. Dzieci są w domu, więc muszę przypilnować, żeby odrobiły zadanie domowe. Dziękuję! – Zanim sąsiadka zdążyła zadać kolejne pytanie, pociągnęła smycz Reno i przeszli przez ulicę, żeby porozmawiać z dziećmi, które, jedno lub oboje, wciąż ją okłamywały.

ROZDZIAŁ 30

Cade wrócił na miejsce przestępstwa, by ostatni raz się tam rozejrzeć, ale na parkingu przy następnej posesji wypatrzył mercedesa należącego do Rydera seniora. Wszedł do biura, pomachał Doris, recepcjonistce i sekretarce Chucka, po czym udał się wprost do gabinetu ojca.

– Och, Cade, proszę, poczekaj. – Doris zerwała zestaw słuchawkowy z perfekcyjnie wymodelowanych siwych włosów.

– Spokojnie, Doris. Rozumiem. – Doris była stałym pracownikiem kancelarii Chucka, odkąd Cade był nastolatkiem, ale teraz wyglądała na oszołomioną tym, że Cade nie posłuchał jej polecenia i nie czekał w recepcji.

Wręcz przeciwnie, wszedł do gabinetu Chucka. Charles Ryder obecnie był jedynym prawnikiem w tym budynku, odkąd jego partner kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

Ojciec miał na sobie spodnie i elegancką białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Zawsze był opalony, siwiejące włosy już mu się przerzedzały, a ostatnio musiał nosić okulary, ale jego smukłe ciało długodystansowego biegacza zachowało sprawność fizyczną. Właśnie ćwiczył uderzenia golfowe i posyłał piłkę do dołka przez długą, zieloną matę rozłożoną na dywanie. Piłka trafiła do celu, więc urządzenie posłało ją z powrotem po macie w miejsce, gdzie stał Chuck, przyjmując odpowiednią pozycję. Zatrzymał piłkę kijem, ustawił ją ponownie i jedynie zerknął na syna, nie chcąc tracić koncentracji.

– Ciężki dzień?

– Dziesięć minut temu skończyłem spotkanie z ostatnim klientem. Przed powrotem do domu chciałem sobie chwilę pograć. I, prawdę mówiąc, domyślałem się, że wpadniesz – odparł, po czym krótkim, energicznym ruchem posłał pileczkę do urządzenia podającego. Odbiła się i tym razem Chuck się wyprostował, podbił piłkę główką kija, po czym ją podrzucił i zwinnie złapał drugą ręką. Oparł kij o regał z książkami, a piłkę włożył do naczynia, w którym leżało kilka innych.

– Chcesz, żebym uwierzył, że czekałeś na mnie?

– Och, nie, skądże. – Machnął ręką, jakby mógł przepędzić ten pomysł. – Oczywiście, że nie. Ale nie dziwi mnie, że tu jesteś, skoro po sąsiedzku doszło do zabójstwa. Przechodząc do sedna. Oczywiście nic nie wiem o tym, co stało się wczorajszej nocy na sąsiedniej posesji. – Usiadł na twardej, skórzanej sofie, która stała w tym gabinecie, odkąd Cade pamiętał. – Ale zanim do tego dojdziemy, jak się ma Harper? – Jego twarz wyrażała prawdziwą troskę.

– Radzi sobie.

– Czyżby? – Wciągnął powietrze przez zęby i pokręcił głową. – Ciężka sprawa. W ogóle nie powinno jej tu być. To wina Xandera, że się tu znalazła. – Zrobił groźną minę. – Dajesz chłopakowi szansę, pracę na pół etatu i dach nad głową, a on co robi? Przywozi tu sobie swoją siedemnastoletnią wnuczkę w środku cholernej nocy!

Uderzył dłońmi w kolana, wstał, podszedł do biurka, odsunął fotel i usiadł na nim.

– Siadaj, siadaj – rzucił, wskazując Cade'owi jedno z krzesel. – Napijesz się?

– Jestem na służbie.

– A ja jestem twoim ojcem.

– To bez znaczenia.

– Do licha, ja się napiję. – Ze znajdującego się za nim barku wyjął karafkę szkockiej i do niskiej szklanceczki nalał sobie sporego szota. – A wracając do tematu, kazałem Vale'owi pakować manatki. Powiedziałem mu, że dam mu dobre referencje, ale musi sobie znaleźć inną pracę. – Pociągnął łyk. – Jestem

pewien, że Harper się zmartwi, ale, do cholery, nie mogą sobie na to pozwolić. – Kolejny długi łyk. – No więc, czy usłyszałeś już wszystko, czego się spodziewałeś?

– Prawie. Czy widziałeś, żeby ktoś się kręcił na posesji obok?

– Tylko ludzie od Bell-Cooper, co za dziadostwo. Od lat próbowałem kupić tę nieruchomość, ale niczego nie załatwiłem w archidiecezji, a potem zjawia się ten burak z Seattle i zaczyna kupować, co chce. Wiesz, że ma umowę na zakup farmy Reachera i stary tartak Galloway, nawet tę pieprzoną wytwórnę konserw, Sea View, i Bóg wie, co jeszcze? Wszystko to sprawiło, że Lila odchodzi od zmysłów. No wiesz, zaczęło się od tego, że nie dostała tych ofert, a potem Annessa, która miała być jej przyjaciółką, nie skorzystała z jej pośrednictwa przy zakupie. – Wycelował palcem w Cade'a i dodał: – Lila jest cholernie dobrym pośrednikiem, jak wiesz. Powinna zajmować się tymi ofertami, o rany, jaka była wściekła, że wszystko ją ominęło! Nie winię jej. Taka przyjaciółka. – Cmoknął. – Cóż, ale to chyba nie ma związku. Nieszczęsna kobieta nie żyje. Nie wyobrażam sobie tego.

– Widziałeś tu srebrną toyotę? RAV cztery hybrid z dziewiętnastego roku?

Pokręcił głową.

– Nie zwracam na takie rzeczy uwagi, ale nie, nie sędzę. Zapytam Doris. – Nacisnął przycisk na przestarzałym interkomie. – Doris, czy możesz przyjść na chwilę?

– Już idę – zabrzmiała metaliczna odpowiedź i, zgodnie z obietnicą, kobieta pojawiła się w drzwiach. Jak zawsze ubrana była w spodnium, tym razem czarne, z różową bluzką i apaszką w odcieniach szarości.

Cade powtórzył swoje pytanie, a ona w skupieniu zmarszczyła czoło.

– Nie sędzę, ale od biurka nie mam widoku na tamtą stronę, a nawet gdybym miała, z tej strony budynku nie ma okien tu na dole. Żeby coś zobaczyć ponad ogrodzeniem, trzeba by wejść na wyższe piętro. – Wzruszyła ramionami. – Przykro mi.

– Nic się nie stało.

– Czy coś jeszcze? – zapytała Chucka. – Jeśli nie, zwijam się do domu. Wieczorem przyjeżdżają dzieci i wnuki. Będziemy grać w bezika. – Rozpromieniła się na myśl o rodzinie.

– Boże, oczywiście. Jest wtorek, prawda? Naturalnie. Idź, idź. Wszystko w porządku. Ja też zaraz będę wychodził. Pozamykam. Dzięki, Doris.

– Dobranoc – powiedziała do szefa, po czym skinęła głową i wyszła z biura.

– W przyszłym roku chce przejść na emeryturę – mruknął Chuck w zamyśleniu. – Trudno ją będzie zastąpić.

– Coś wymyślisz.

– Pewnie tak. – Skończył drinka. – A może Rachel? – zapytał. – Słyszałem od Lili, że szuka pracy, a chyba kiedyś pracowała w kancelarii w Astorii.

– Lata temu.

– Dobrze sobie radzi z komputerem.

Cade nie chciał kopać dołków pod Rachel, ale uznał, że to zbyt kumoterskie, by jego była żona pracowała u jego ojca.

– Częściej widywałem wnuki.

– Może.

– Warto spróbować.

– Zadzwoń do niej – poradził Cade, ale nie sądził, by Rachel rzuciła się na ofertę pracy u swojego byłego teścia i męża Lili.

– Chcesz jeszcze o coś zapytać? Jeśli nie, będę się zbierał. U nas też ma być dzisiaj rodzina, ale sądząc po humorze Lili, nie będzie zbyt zabawnie. No i jeszcze Lucas. – Wstał zza biurka. – Gdyby to zależało ode mnie, dopilnowałbym, żeby poszedł na czteroletnie studia, jak ty i twoi bracia, ale Lila nie chce

o tym słyszeć, poza tym chłopak z tymi ocenami i tak by się nie dostał. – Pomasał sobie kark. – Naprawdę sądziłem, że Vale ma na niego dobry wpływ. Szkoda, że tak to się skończyło.

– Tak, ale może wszystko wyjdzie na dobre. Daj mi znać, jeśli przypomni ci się coś, co odbiega od normy.

– Jasne – obiecał jego ojciec, a gdy Cade podszedł do drzwi, zobaczył, że znowu nalewa sobie drinka i sięga po kij do golfa. Nie spieszyło mu się do domu.

Kayleigh czuła frustrację. Siedziała przy biurku w pracy, skrolowała różne raporty wyświetlające się na ekranie, ledwie do niej docierały hałasy i poczynania innych ludzi w komisariacie, gdy ponownie czytała stenogramy przesłuchań osób, które znały, mieszkaly obok lub były związane z Violet Sperry.

Nic. Przystudiowała także wstępny raport z autopsji i nie znalazła niczego nowego, do niczego nie mogła się przyczepić.

Śledztwo niedługo stanie w martwym punkcie.

Czuła to w kościach.

Sąsiedzi nic nie widzieli. Ofiara, według wszystkich, nie miała żadnych wrogów. Jej mąż, Leonard, miał niepodważalne alibi, na liście podejrzanych nie było żadnych chytrych dzieci. Pistolet Violet wciąż nie został odnaleziony, nikt w okolicy nie miał kamer, na które nagrały się podejrzany pojazd przejeżdżający lub parkujący w sąsiedztwie i jak dotąd nie znaleziono na miejscu zbrodni żadnych fizycznych dowodów – krwi nienależącej do ofiary, odcisków palców, niedopalków ani rękawiczek porzuconych w krzakach – i żadnych dowodów na to, że miała romans. Brak wiadomości i połączeń z nieznanym numerem.

Wszystko, co na razie mieli, to ta cholerna taśma malarska.

No i kolejną ofiarę, która także miała zaklejone oczy, dopóki nie zjawiły się nastolatki próbujące ją ratować. Odciski Xandera Vale'a znalazły się na kawałku taśmy na miejscu zbrodni, ale on usiłował ratować Annesse Cooper, a nie ją zabić.

Obie zbrodnie musiały mieć ze sobą związek, dokonał ich ten sam zabójca, ale podczas gdy ciało Violet Sperry leżało w kałuży krwi, a ona na skutek upadku z wysokości miała złamany kark, roztrzaskaną czaszkę, żebra, miednicę, obie kości łokciowe i promieniowe oraz prawą kość strzałkową, Annessa Cooper została częściowo przeniesiona, częściowo odciągnięta z miejsca, gdzie nastąpił atak w pobliżu wejścia do szkoły, do dzwonnicy w starej kaplicy i zawieszona na od dawna nie używanych linach.

Dlaczego?

Dlaczego jedna tak, a druga inaczej?

Śmierć Violet nastąpiła szybko, poprzedziła ją walka. Być może zabójca zaplanował, że zabierze ją w inne miejsce, że wystawi ją na widok publiczny jak Annesse, nie zamorduje jej szybko, lecz każe jej cierpieć, do czasu aż zostanie odnaleziona, ale walka okazała się gwałtowna i zakończyła się jej śmiercią.

Według wiadomości z telefonu, Annessa znalazła się w szkole, żeby tam spotkać się z kochankiem. Rozmawiała z Nate'em Morettim, kolegą z klasy, który znał obie kobiety, chociaż prawdopodobnie z Violet Sperry nie łączyły go żadne relacje oprócz tego, że kiedyś razem chodzili do szkoły.

Przygryzła wargę i myślała, docierały do niej jakieś odgłosy z korytarza, zastępca szeryfa kłął, że trzeba się ruszyć i zająć wypadkiem, w którym ktoś zderzył się z losiem.

– Autostrada numer trzydzieści, jakieś dziesięć kilometrów za miastem, utrudnienia w ruchu. Cholera. – Wyglądało na to, że zgłoszenie odebrała Claire Donahue. – Nienawidzę tej części swojej pracy – mówiła, towarzyszył temu odgłos szybkich kroków w korytarzu. – Azure, jedziesz ze mną? Na miłość boską, nie mam pojęcia, czemu to by było nie trzymać się stada w Gearhart!

– Jadę. – Trace Azure rozbrzmiał barytonem, który zdawał się nieco rozbawiony w przeciwieństwie do sfrustrowanego tonu jego partnerki. – Zwijamy się.

Donahue kłępa pod nosem na tyle głośno, że każdy w pobliżu mógł ją usłyszeć.

– Jebany łoś.

– Więc, jak ci się zdaje, gdzie jesteś? W pieprzonym Nowym Jorku? Nie przeżywaj tak, Donahue – powiedział Azure, zresztą słusznie. Chinook to duże hrabstwo, o charakterze rolniczym, z kilkoma małymi miastami, w tym Edgewater. Ich głosy się oddaliły, a dzwoniące telefony, rozmowy prowadzone półgłosem i kroki w korytarzu ponownie stały się szumem w tle.

Kayleigh próbowała wrócić do pracy, do przeglądania raportów, szukania czegoś, jakiegogo przekłętego szczegółu, który mógł jej umknąć za pierwszym razem.

Zadzwoił Cade, żeby poinformować, że Moretti zaginał w akcji.

Świetnie.

W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że zdradzany mąż mógł szukać zemsty na młodszym chanku swojej żony, ale okazało się, że Clint Cooper również miał niepodważalne alibi. Nie było go w tym stanie. I tu także nie było napalonych na spadek potomków czekających na śmierć Annessy. Jej przybrane dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa Clinta nie dostaną ani centa, póki nie kipnie sam Clint.

Zabębniła palcami w biurko, po czym zorientowała się, co robi, i przestała, ale jedynie po to, żeby wziąć ołówek i nerwowo obracać go w dłoniach. Była poirytowana ze względu na zbyt małą ilość snu i zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Gdzie, do cholery, podział się Moretti? Czy zeszłej nocy został spłoszony? Czy gdzieś się ukrywał ze strachu o swoje życie po tym, co zobaczył na boisku szkolnym? Ale dlaczego nie zadzwonił na 911 ani nie próbował powstrzymać napastnika? Więc jak zaginięcie łączyło się z morderstwem?

I po co była ta inscenizacja? Dlaczego zostawiono ją żywą? Czy ktoś wystraszył zabójcę? Czy doszło do konfrontacji z Nate'em Morettim?

Ponownie wróciła do tej samej myśli: ofiary skończyły Edgewater High dwadzieścia lat temu i obie były w opuszczonej wytwórni konserw rybnych, kiedy umarł Luke Hollander. Obie były świadkami zeznającymi na korzyść Rachel Gaston.

Ale ta teoria wydawała się naciągana.

Kogo to obchodziło po tylu latach?

Nate'a Morettiego? Rzekomo najlepszego przyjaciela Luke'a Hollandera? Dlaczego nagle miałby wpaść w szal zabijania? Ze względu na artykuły w gazecie? Prychnęła na samą myśl. Ze względu na dwudziestą rocznicę zabójstwa, a może powodem był zbliżający się zjazd absolwentów? Prawie się uśmiechnęła. Wielu ludzi nienawidziło takich zjazdów, bo nie chcieli przypominać sobie szkoły średniej, ale zabijanie koleżanek z klasy wydawało się nieco ekstremalnym posunięciem.

Pomyślała o Harper. Biedna dziewczyna. Żaden nastolatek nie chciałby zostać świadkiem przerażającej śmierci innego człowieka. Cóż, ale śmierć się oczywiście zdarza, często zadana ręką innej osoby. Widzieć ją na miejscu przestępstwa, taką młodą i roztrzęsioną, tulącą się do Cade'a, było dla Kayleigh mocnym przeżyciem. Gdy patrzyła na relację córki i ojca, utwierdziła się w swojej decyzji, że zerwanie z Cade'em, zanim cokolwiek się między nimi zaczęło na dobre, było jedynym właściwym rozwiązaniem.

Ale mimo to było jej ciężko. Odczuwała ból.

Patrzyła, jak zwraca się do córki, i serce jej pękało, zapragnęła Cade'a Rydera jeszcze bardziej niż wcześniej. Dlaczego?

Ponieważ jesteś jebaną kretynką, jeśli chodzi o Cade'a Rydera.

Z odrazą rzuciła ołówek na biurko i patrzyła, jak powoli toczy się na podłogę, następnie go podniosła i z powrotem umieściła w kubku z innymi materiałami piśmienniczymi, które trzymała przy monit-rze.

Musiała coś zrobić. Wyjść z biura. Oddalić się od biurka. Oczyszczyć umysł. Zyskać nową perspektywę. Czowała zmęczenie wynikające z braku snu poprzedniej nocy i z tego, że nic się tu nie działo. Zawibrowała jej komórka i zobaczyła, że to Travis McVey. Przez sekundę w jej wyobraźni mignął jego nagi tors i umięśnione ręce, przypomniała sobie, jak z łatwością przewrócił ją na łóżko i jak gładził ją po kręgosłupie i niżej. Głęboko w środku poczuła dreszcz pożądania, ale szybko się od niego odcięła.

– Nie teraz – powiedziała i pozwoliła, żeby dzwoniący przełączył się na pocztę głosową. Następnie dodała w duchu: – *I nigdy więcej.*

ROZDZIAŁ 31

O 16.47 Cade miał już dość czekania.

Siedząc przy biurku w swoim pokoju, ponownie zadzwonił do gabinetu dra Richarda Morettiego i dowiedział się, że „pan doktor” jeszcze nie wrócił. Tak, recepcjonistka zapewniła Cade’a, że przekazała mu wiadomość, ale wspomniała też, że Moretti został wezwany do szpitala. Potwierdziła, że dostał numer Cade’a.

– Proszę mu powiedzieć, że to ważne – zakończył Cade i usłyszał rozkojarzone „oczywiście” w odpowiedzi.

Czując frustrację, zadzwonił do sklepu z zaopatrzeniem medycznym należącym do Morettiego. Telefon odebrała znużona kobieta, która mówiła tak, jakby żuła gumę.

– Nie ma go tutaj. Chce pan zostawić wiadomość? – zapytała wprost.

– Już zostawiłem – odparł i wyluszczył swoją sprawę.

– Okej. Rozumiem – skwitowała i się rozłączyła.

– Drugie pudło. – Zerknął na biurko, zauważył spłowiałą manilową teczkę z aktami dotyczącymi śmierci Luke’a Hollandera i zadał sobie pytanie, dlaczego to wciąż go zajmuje, dlaczego wydaje się mieć związek z ostatnimi morderstwami.

Tak, obie ofiary razem z innymi nastolatkami były w wytwórni w nocy, gdy zabito Luke’a. Łączyło je to, że obie zeznawały na korzyść Rachel.

Czy to miało jakieś znaczenie?

W tej chwili go nie dostrzegał.

Ponownie otworzył akta, przerzucał kartki z zeznaniami, aż dotarł do osób, które znał.

Lila Kostas, obecnie jego macocha, przysięgała, że znajdowała się w innej części wytwórni, w chwili gdy padły strzały, chociaż przyznała, że szukała Hollandera, który wówczas był jej chłopakiem.

Nate Moretti, najlepszy kumpel Luke’a, palił w pobliżu wybitego okna i widział zbliżających się policjantów. Przysięgał, że nie słyszał wystrzałów z broni, nie widział błysku, bo znajdował się zbyt daleko od przyjaciela.

Reva Augustus, obecnie Santiago, znajdowała się w pobliżu zsypu, przez który wyrzucano odpady rybne, gdy wytwórnia konserw była czynna. Ale ona też miała związek z Lukiem. To właśnie ją rzucił dla Lili i, według wszelkich doniesień, dziewczyna nie umiała się z tym pogodzić. Ale życie dobrze jej się ułożyło, została prawniczką.

Mercedes Jennings Pope ukrywała się na wyższym poziomie, co potwierdził Billy Dee Johnson, który był tam z nią, gdy ludzie zaczęli krzyczeć: „Gliny! Chodu!”. Mercedes nigdy nie lubiła Luke’a i wcale tego nie ukrywała. Billy Dee był jej przyjacielem, odkąd „wypadek” podczas treningu futbolu zrujnował jego szanse na otrzymanie stypendium. To Luke Hollander przyczynił się do jego kontuzji oraz pośrednio do tego, że musiał pójść na dwuletnie studia przygotowawcze.

Annessa Bell Cooper znajdowała się blisko miejsca, gdzie upadł Luke. Przysięgała, że widziała inny rozbłysk, za Rachel, i według niej ktoś inny go zabił. Chociaż Rachel sądziła, że postrzeliła swojego brata z pistoletu, który od niego otrzymała tego samego dnia.

Tę część zeznań trudno było przelknąć.

Po co to robił?

Mogła zabić lub zranić kogoś innego. Poza tym okazało się, że broń była niezarejestrowana i nie została wykorzystana w żadnym innym przestępstwie. Skąd miał ją Luke? Nikt nie wiedział; nikomu

o tym nie powiedział lub też nikt nie przyznał się do tej wiedzy.

No i wreszcie brakowało jednego pistoletu: tego, z którego zabito Luke'a Hollandera.

Jednak zeznanie Rachel, że strzeliła, próbując opuścić budynek i ciągnąc za sobą Violet, stało się podstawą jej aresztowania. Spanikowana tym, co zrobiła, to jest, że strzeliła i trafiła swojego brata, upuściła pistolet po wystrzale. Nie znaleziono żadnych innych kul, żadnych łusek ani naboji.

Jeden strzał dosięgnął Luke'a, który się wykrwawił i w lokalnej klinice, która wówczas dysponowała oddziałem ratunkowym przypisanym tej okolicy, został uznany za martwego w momencie przybycia. A kto był lekarzem, który wtedy dyżurował i podpisał akt zgonu? Richard Moretti.

Sprawa nie była oczywista. Zeznanie Rachel niemal przypieczętowało jej los, ale sprzeczne relacje jej przyjaciół, jej młody wiek i wyrozumiały sędzia odwróciły bieg zdarzeń.

A ona nigdy się z tego nie otrząsnęła, nigdy sobie nie wybaczyła.

Teraz mieli kolejny zaginiony pistolet: ten zarejestrowany na Leonarda Sperry'ego.

Ponownie zerknął na zegar i odłożył akta. Moretti nie oddzwaniał.

– Pieprzyć to. – Pora wziąć sprawy w swoje ręce.

Wyłączył komputer, zabrał portfel, odznakę i broń.

– Wychodzę znowu – rzucił do Voss, która siedziała przy swoim biurku, popijała herbatę mrożoną i przeglądała nagrania z kamer monitoringu należących do firm z siedzibami w pobliżu miejsca zbrodni. – Chcę namierzyć ojca Morettiego.

– Daj znać, jak ci idzie. Będę tutaj, jakby co.

– Jasne.

Kiwnęła głową.

– Zapowiada się długa noc, ale wydaje mi się, że kamera z tawerny The Right Spot zarejestrowała samochód podobny do auta Nate'a Morettiego. Stał wczoraj na ich parkingu do dwudziestej trzeciej trzydziści. Kopia już została przekazana do laboratorium, by ją powiększyli. Okazuje się, że Moretti często tam przychodził, więc muszę zadzwonić do barmana, który miał wczorajszą zmianę, żeby dowiedzieć się, czy rzeczywiście tam był. Może nam się poszczęści.

– Miejmy taką nadzieję. Przydałby się jakiś przełom.

Tawerna The Right Spot była speluną położoną trzy przecznice na wschód od St. Augustine; w tej mordowni Cade spędził wiele wieczorów po rozwodzie.

Voss podniosła kciuk, po czym Cade udał się do swojego auta. Nie było sensu brać służbowego samochodu – po odbyciu rozmowy z lekarzem zamierzał jechać do siebie. W końcu. Ale najpierw, postanowił, sprawdzi jeszcze, co u Rachel i dzieci. Wiedział, że zostały w domu, ale chciał zobaczyć, jak znosi to Harper, jak sobie radzi i upewnić się, że Rachel zamówiła nowy alarm.

Teraz jednak Richard Moretti.

Po południu mgła prawie zniknęła, chociaż przy rzece wciąż unosiła się cienka smuga. W schowku znalazł okulary przeciwsłoneczne, założył je i ruszył w stronę zachodzącego słońca, tam gdzie leżała Astoria, a w niej szpital. Zatrzymał się na parkingu zarezerwowanym dla lekarzy i czekał, ale nie zajęło mu to dużo czasu. Rozpoznał Morettiego w chwili gdy ten wyszedł z windy i pilotem otworzył drzwi srebrnego audi. Światła pojazdu zamrugwały.

Cade wysiadł z pick-upa, zatrzasnął za sobą drzwi i dopadł Morettiego, zanim lekarz dotarł do samochodu.

– Richard Moretti? – zapytał.

– Kim pan jest? – Moretti od razu stał się ostrożny. Czujny. Był wysoki i szczupły, a w spodniach w kolorze khaki i niebieskiej koszuli przypominał swojego syna. Miał ciemne włosy siwiejące na skroniach i okulary bez oprawek na orlim nosie.

Cade pokazał mu odznakę.

– Detektyw Cade Ryder, policja Edgewater.

– Ach tak. – Zmrużył oczy za szklami okularów. – Jest pan jednym z chłopaków Charliego. – Pokiwał palcem. – Mężem córki Neda Gastona.

Cade uznał, że nie będzie go wyprowadzać z błędu.

– Szukam pana syna – oznajmił. – Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

– Nate’a? Podejrzewam, że w pracy, może w drodze do domu.

– Nie pojawił się dzisiaj w pracy. Poinformował, że jest chory.

– Wobec tego jest w domu.

– Nie sądzę. Pojechałem tam, ale nikogo nie zastałem. Jego samochodu też nie było.

– No to wyjechał z miasta. – Richard Moretti zrobił gest wyrażający niewiedzę. – Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale może postanowił udać się na kemping albo na wycieczkę, sam nie wiem.

– Ale uprzedziłby o tym swoich pracowników. On jednak zostawił im wiadomość, że źle się czuje i dzisiaj nie przyjdzie.

– Słucham? – Moretti zrobił zdumioną minę. – To nie w jego stylu.

Na tyłach parkingu pojawił się starszy model camaro, zmierzał w ich stronę na pełnym gazie, z głośników dochodziła głośna muzyka.

Cade pospiesznie zrobił krok w stronę auta Morettiego, żeby zejść z drogi chevroletowi.

Moretti panicznie pomachał ręką, pokazując kierowcy, żeby zwolnił, ale ona – bo to była kobieta – go nie zauważyła, zbyt zajęta zapalaniem papierosa przemknęła obok nich, pozostawiając za sobą smugę spalin.

– Chyba ma coś z głową? – powiedział Moretti zniesmaczony. – Pracownica służby zdrowia!

– Zna ją pan?

Zaprzeczył bezgłośnie.

– Nie. Pracuję tu tylko kilka dni w tygodniu, a to duży szpital, cóż, jak na nasze standardy. Ale zapewne mógłbym ją znaleźć po samochodzie. – Skrzywił się, patrząc w stronę ulicy, gdzie auto zatrzymało się przed najbliższym znakiem stopu, po czym kierująca dodała gazu i wcisnęła się przed minivana. – Co takiej babie siedzi we łbie? Zabije kogoś, jak tak będzie jeździć. A teraz – zwrócił się do Cade’a, tym razem już nie tak wyniośle. – Sprawdź, czy uda mi się złapać Nate’a. – Z kieszeni wyjął telefon, wybrał zapisany numer i przyłożył go do ucha.

Cade słyszał sygnał połączenia, a następnie tę samą nagraną na poczcie wiadomość, którą odsłuchał już wcześniej.

– Aha – zadumał się Richard, po czym ponownie wybrał jakiś numer, a kiedy ktoś odebrał, rzucił: – Cześć, tu ojciec Nate’a, doktor Moretti. Czy mogę go prosić? – Pauza, a potem: – A kiedy ma przyjść?... Tak, wiem, że niedługo zamykacie... aha, nic nie wiesz... Dobrze, zadzwonię do Willa. – Rozłączył się. – Chyba powinniśmy pojechać do niego do domu. – Poglębili mu się zmarszczki na czole. – W drodze zadzwonię do Willa Harta. Już skończył pracę.

– Będzie pan mógł otworzyć drzwi? – zapytał Cade.

– Tak. – Lekarz usiadł za kierownicą. – Wiem, gdzie chowa zapasowy klucz.

Cade wrócił do swojego samochodu i pojechał za audi do domu Nate’a Morettiego położonego wśród wzgórz. Dom i okolica wyglądały na tak samo wyludnione, a kiedy Moretti senior znalazł klucz schowany na belce sufitowej na ganku, weszli do środka.

– Nate? Co się dzieje? – Ojciec mówił jednak do pustego domu. Nikt nie odpowiedział, a niestarannie pościelone łóżko okazało się puste. Podobnie jak łazienka i pokój na dole. Poddasze ze spadzistymi ścianami było wykorzystywane jako biuro, które zajmowało całą długość budynku, w szczytowych ścianach znajdowały się okna.

Nate’a Morettiego nigdzie nie było.

– Dziwne – powiedział jego ojciec i wysłał do niego wiadomość. Bez słowa przeszedł przez drzwi kuchenne, skierował się do holu służącego za pralnię i udał się do garażu.

Który, oczywiście, też był pusty.

– Wyjechał – stwierdził oczywistość. A następnie, po chwili zadumy, wrócił do domu i poszedł do sypialni, gdzie otworzył szafę pełną bagaży – z zestawem walizek i innymi mniejszymi torbami. – Chyba niczego nie brakuje... ale mógł pojechać na ryby... – Przez chwilę wpatrywał się w zapełnioną szafę, po czym zamknął drzwi. – Gdyby naprawdę był chory, zadzwoniłby do mnie. – Gdy wrócili do salonu, oba wa pogłębiła zmarszczki w kąciach oczu Morettiego. – Zadzwonię do żony – oświadczył i zanim Cade zdążył coś powiedzieć, wybrał jej numer, a ona odebrała.

Rozmowa nie trwała długo, okazało się, że ona również nie wie, gdzie może być ich syn. Lekarz odłożył telefon do kieszeni.

– Co pan wie o jego związku z Annessą Cooper? – zapytał Cade.

– Z Annessą? Kobieta, którą wczoraj znaleźliście? Owszem, była jego koleżanką z klasy, ale żeby związek? – odparł całkowicie zdezorientowany. – Był w jakimś? Ma pan na myśli związek uczuciowy? – Zamyślił się, marszcząc czoło. – Twierdzi pan, że on i Annessa się spotykali? – Zastanowił się nad tym i pokręcił głową. – Ja, hm, spodziewałem się, że ma jakąś nową dziewczynę, ale nic nie mówił. – Następnie westchnął. – Była mężatką, prawda?

– Tak. A teraz nie żyje.

– Och. Nate nie miał z tym nic wspólnego. Mój syn... nie jest zabójcą. Czy właśnie to pan sugeruje?

– Mieli się spotkać. Wczoraj wieczorem.

– Nie... – Kręcił głową, zaprzeczenie było jego pierwszą reakcją, ale w jego oczach pojawił się strach. – O, Chryste. – A potem, gdy sytuacja wyklarowała się w jego umyśle, spojrzał uważnie. – Zaraz, zaraz. Do czego pan zmierza? Co dokładnie pan sugeruje, detektywie?

– Sądzę, że pana syn zaginął w związku z tym, co stało się wczoraj w nocy. Albo był zamieszany w zabójstwo Annessy Cooper i uciekł, albo zobaczył coś, co go przeraziło i wyjechał. Być może jest również ofiarą.

– Słucham? – Doktor był wstrząśnięty, zbladł. – Nie może być – wyszeptał, ale ewidentnie składał w myślach do kupy elementy tej układanki.

– Pojedźmy na posterunek, opowie mi pan wszystko, co wie, co może pomóc odnaleźć pana syna – zaproponował Cade.

– Dobrze – zgodził się. – Będę tam za pół godziny.

– W porządku. I proszę przywieźć żonę. – Wyszedł z domu, wszedł do swojego auta i zjechał ze wzgórza, sprawdzając we wstecznym lusterku, czy audi Morettiego podąża za nim. Moretti chyba coś mówił, ale jako że w jego samochodzie nikogo nie było, zapewne rozmawiał z żoną przez zestaw głośnomówiący.

No chyba że Moretti wiedział, gdzie przebywa jego syn, i właśnie go ostrzegął, ale Cade wykluczył taką możliwość; facetowi ugięły się kolana, gdy usłyszał, że jego chłopak nie tylko był w związku z ofiarą morderstwa, lecz także jest osobą zaginioną. W drodze do Edgewater zadzwoniła komórka Cade'a; widząc, że to Voss, podniósł ją ze stojaka na napoje, gdzie ją wcześniej odłożył.

– Tak? – odebrał połączenie.

– Wracasz?

– Będę za niecałe piętnaście minut. Coś się stało?

– Być może. Rozmawiałam z barmanem z The Right Spot i wiesz co? Pamiętał Nate'a jako stałego bywalca. Nate wdał się w rozmowę z facetem, którego barman nie znał. Nate wyszedł, facet skończył drinka i też się zmył. Sprawdzam teraz nagrania i to jest ciekawe. Nate wyszedł sam z baru, zostawił tam auto, zegar pokazuje dwudziestą trzecią czterdzieści sześć, a kiedy wrócił, mniej więcej godzinę

później, nie był sam. Obok niego siedział jakiś facet. A Nate nie usiadł za kierownicą. Zrobił to ten drugi. Musisz to zobaczyć.

– To ten sam gość? – zapytał Cade i poczuł to mrowienie, które być może zwiastowało przełom w sprawie.

– Być może. Nie jestem pewna. Obaj mieli bejsbolówki, ale barman nie potrafi lub nie chce powiedzieć, czy to ten sam człowiek. Według niego klient, który rozmawiał z Nate'em, był w dżinsach, kurtce i bejsbolówce. Facet na nagraniu ma bluzę z kapturem, ale można dostrzec daszek czapki wystający spod kaptura. Twarz jest w cieniu, oczywiście. Będę prosiła laboratorium o powiększenia.

– Czy damy radę zidentyfikować gościa, który rozmawiał z Morettim? On jako ostatni go widział przed zniknięciem.

– Jeśli on i ten gość na parkingu to ta sama osoba. Ale nie, jak na razie bez szans.

– Nie mamy numeru karty kredytowej z paragonu?

– Nie. Zero szczęścia tutaj. Płacił gotówką.

– Dupa. – Zmarszczył brwi i popatrzył przez przednią szybę, bo właśnie znalazł się na ostatnim zakręcie, zauważył nabrzeże i miasto Edgewater leżące na brzegu Kolumbii.

Dziesięć minut później był już w biurze, a Voss na monitorze komputera pokazywała mu taśmę z Nate'em Morettim siadającym na miejscu pasażera swojego samochodu. W rzeczywistości zataczał się, niemal wpadł do auta, jego towarzysz mu pomógł, zamknął za nim drzwi, po czym usiadł za kierownicą. Czy Moretti został do tego przymuszony? Kazano mu wsiąść, a on posłuchał? A może nie prowadził, ponieważ za dużo wypił?

– Barman powiedział, że Nate wyszedł o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, co potwierdza film, zobacz: jest dwudziesta trzecia czterdzieści sześć – tłumaczyła Voss, gdy oglądali ziarniste, czarno-białe nagranie. – Ale patrz tutaj: wracają pięćdziesiąt siedem minut po północy. Godzinę i jedenaście minut później. Nate powinien już trzeźwieć.

– Mmm. Chyba że poszli pić gdzie indziej, upili się bardziej lub naćpali. Kto wie?

– Nate wygląda tak, jakby miał problemy z utrzymaniem równowagi, ten drugi go podtrzymuje.

– Albo zmusza, by wsiadł do samochodu. Może mieć broń.

– Brakująca godzina. – Odtworzyła taśmę ponownie, tym razem w spowolnieniu. Morettiego dało się rozpoznać. Tego drugiego faceta już nie bardzo. Był mniej więcej podobnego wzrostu, dość szczupły, ale twarz miał w cieniu, ukrytą pod kapturem bluzy i czapką bejsbolową.

– Co tam się stało? Jeśli Moretti miał się spotkać z Annessą Cooper, to dlaczego łączy z tym facetem? Razem ją zabili? Czy Moretti jest ofiarą? I kim, do cholery, jest ten drugi?

Voss zmarszczyła czoło i wpatrywała się w ekran.

– Nie wiemy.

– Jeszcze – odparł Cade. – Znajdziemy go.

– Tak, ale czy znajdziemy żywego, czy powieszzonego jak jego dziewczyna?

Cade wołał nie roztrząsać tych opcji.

ROZDZIAŁ 32

Z czubka nosa kapał jej pot, ale Kayleigh dalej pedałowała na rowerku stacjonarnym w siłowni, realizowała zaprogramowany plan ćwiczeń obejmujący przejazd przez wzgórza i doliny, zaczynały boleć ją nogi, ponieważ zanim wskoczyła na siodełko na zmierzającym donikąd rowerze, odbyła trening kick-boxingu i podnoszenia ciężarów. Powinna była pójść na basen, jako że na studiach zawsze lubiła uczucie przedzierania się przez wodę, regularny oddech i oddalenie od zmartwień tego świata.

Ale nie dzisiaj.

Trening siłowy w pewnym sensie naśladował jej życie: nakręcał ją, ale prowadził donikąd.

Słuchała jak Axl Rose wykrzykuje ostatnie wersy *Sweet Child O'Mine*, kiedy rozdzwonił się jej telefon i ujrziała na ekranie numer Cade'a. Jej głupie serce podskoczyło, a ona cicho się zbeształa i przyjęła połączenie.

– Cześć, co tam? – zapytała i usłyszała swój ciężki oddech w ciszy, która zapadła, gdy Guns N'Roses przestali nagle grać.

– Pomyślałem, że zechcesz wiedzieć, co nowego.

– Na jaki temat?

– Zaginięcia Nate'a Morettiego. To...

– Annessa Cooper, kochanek ofiary, tak, wiem.

– Zaginał. Przynajmniej tak sądzimy. – A potem opowiedział jej, że Nate Moretti poinformował w pracy o chorobie, ale nie było go w domu i nie odbierał komórki.

– Sądzicie, że uciekł?

– Możliwe.

– Albo sam został ofiarą. W złym miejscu o złej porze.

– To też możliwe. Jadę na posterunek. Przesłucham jego ojca. On również miał związek z zabójstwem Luke'a Hollandera.

– Nadal próbujesz połączyć te dwie sprawy? – zapytała z dezaprobatą. – Połączyć nieistniejące kropki?

– Bardziej wypełnić istniejące luki.

– Okej, do zobaczenia na miejscu. – Rozłączyła się i przestała pedałować, po czym zauważyła pogardliwe spojrzenie czterdziestoletniego faceta ćwiczącego na rowerku obok. *Och, daj sobie spokój*, pomyślała i wytarła twarz ręcznikiem, który trzymała na szyi.

I co z tego, że komórki były zabronione na siłowni? Zignorowała wymizerowaną kobietę w doskonałym dobranym stroju do ćwiczeń i niemal pobiegła pod prysznic, gdzie się rozebrała, weszła pod gorący natrysk, następnie zmieniła temperaturę na zimną, a na koniec zakręciła wodę. Kilka sekund później już się wycierała. Ubrana wyszła z siłowni w niecałe pięć minut po telefonie od Cade'a. Bez makijażu, z mokrymi włosami, które zaczynały się kręcić, mimo że związała je w kucyk.

Wystarczy.

W drodze do Edgewater myślała o zaginięciu Nate'a Morettiego.

Widziała wiadomości, wiedziała, że planował spotkanie z Annessą w szkole.

Czyżby nawalił?

A może coś mu wypadło?

Albo dotarł na schadzkę, ale został odstraszony?

Albo stał się kolejną ofiarą?

– Czas pokaże – mruknęła, jadąc po autostradzie przy rzece. Gdy zbliżyła się do Edgewater, ujrzała starą wytwornię, poczerniały budynek wynurzający się z mgły, która zawisła nad Kolumbią, chylącą się ku upadkowi konstrukcję, gdzie, według Cade'a, dwadzieścia lat temu zaczął się cały ten horror.

– Serio? – powiedziała na głos i przeniosła uwagę na drogę, gdzie ciężarówka, za którą jechała, właśnie zwolniła przy wjeździe do miasta. Na następnym zakręciła w inną stronę i przejechała przez dzielnicę biznesową, kierując się w stronę małego parkingu przy komisariacie.

W środku znalazła Cade'a w pokoju przesłuchań, gdzie przebywał z mężczyzną i kobietą, oboje byli spięci i nieszczęśliwi, ale ubrani tak, jakby należeli do tego samego klubu. On był szczupły i opalony, na głowie miał dużo włosów, które dopiero zaczynały siwieć; ona była równie zadbana, miała rude włosy, obcięte krótko i nastroszone, kilka piegów; niepokój sprawiał, że szeroko otwierała oczy i lekko jej drżały usta.

– Detektyw O'Meara – dokonał prezentacji Cade. – To pan i pani Moretti, rodzice Nathana Morettiego. Detektyw O'Meara pracuje w biurze szeryfa i prowadzi sprawę zabójstwa Violet Sperry. Sprawy morderstw Annessy Cooper i Violet Sperry mogą się łączyć, wobec tego poprosiłem ją, żeby dołączyła do przesłuchania. Czy nie mają państwo nic przeciw?

– Nie, nie, oczywiście. Po prostu powiedzcie mi, że znaleźliście Nathana – odparła pani Moretti. Siedziała na krześle obok męża, trzymała go za rękę i była śmiertelnie przerażona.

– Jeszcze nie. Ale wiemy, że zamierzał spotkać się z Annessą Cooper; wysłali sobie wiadomości, poza tym właśnie potwierdziliśmy, że tamtej nocy samochód państwa syna parkował przed The Right Spot.

– Boże Przenajświętszy. – Głos pani Moretti zabrzmiał niepokojąco wysoko.

– Ale potem odjechał.

Zamrugła, a Cade zaczął zadawać pytania:

Czy ktoś z nich wiedziało, że ich syn miał romans z Annessą Cooper?

Nie wiedzieli.

Czy domyślali się, dokąd mógł pojechać?

Ponownie odpowiedź brzmiała „nie”.

– Zaczęliśmy obdzwaniać wszystkich jego przyjaciół i cóż, zadzwoniliśmy też ponownie do pracy, do każdego, kto przyszedł nam do głowy, ale nikt go nie widział od wczoraj – oznajmił doktor Moretti. – Ostatnią osobą, która go widziała, jest Will Hart, jego pracownik.

– Ja... ja po prostu tego nie rozumiem – zapiszczała matka Nate'a, ale próbowała wziąć się w garść, kiedy opowiadali policjantom, co wiedzą o swoim synu: że nigdy nie poszedł w ślady ojca i nie został lekarzem, chociaż, na Boga, był wystarczająco bystry; że nigdy się nie ustatkował z jedną dziewczyną; że był „trochę” szalony; i że nie mają pojęcia, gdzie się znajduje.

Ostatecznie przesłuchano ich oddzielnie, a Kayleigh była obecna przy obu rozmowach, ale nie dowiedziała się niczego nowego ani od zrozpaczonej matki, ani od zmartwionego ojca. Kayleigh wyszła z obu przesłuchań z przeświadczeniem, że nie ma żadnych nowych informacji na temat zniknięcia Nate'a Morettiego ani morderstw Violet Sperry i Annessy Cooper.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałbym pana zapytać – powiedział Cade, gdy został w pokoju przesłuchań sam z Richardem Morettim. Żona lekarza po przesłuchaniu poprosiła o udostępnienie jej lazienki, a Voss poszła pokazać jej drogę, natomiast Kayleigh odebrała telefon i wyszła.

Zostawiając Cade'a sam na sam z lekarzem.

– O co? – zainteresował się Moretti, stojąc przy drzwiach i podzwaniając kluczykami w kieszeni.

– Chodzi o noc śmierci Luke'a Hollandera.

– Słucham? Luke’a Hollandera? – Moretti zbladł. – To jakieś pytanie od czapy, prawda? Znalazłem się tu ze względu na zagięcie mojego syna.

– Ale był pan lekarzem, który miał z nim wtedy styczność.

– Zgadza się. Przywieźli go prosto do St. Augustine. Tam wtedy mieścił się oddział ratunkowy i intensywna terapia. Miałem dyżur i czekałem na ambulans.

– Stwierdził pan, że umarł przed przyjazdem do szpitala.

Moretti zamilkł na chwilę, odwrócił wzrok, jakby coś odtwarzał z pamięci.

– Tak. To prawda. To była chaotyczna noc. Strzelanina w wytwórni, wszystkie dzieciaki były zamieszane, w tym mój chłopak. – W okolicy jego skroni pracował jakiś mięsień. – Przyjechał Ned... – Nie do końca zdania, przypominał sobie.

– Ned zawiózł Rachel na komisariat. – Co nie było zgodne z procedurą.

– Tak... tamtej nocy wszystko stanęło do góry nogami. Nic nie miało sensu.

– Czy Luke był martwy, gdy go przywieźli? – zapytał Cade.

Moretti wbił wzrok w swoje stopy, zamyślił się; nagle poderwał głowę.

– Tak właśnie napisał pan w raporcie i na akcie zgonu – zauważył Cade.

Mężczyzna potaknął.

– To prawda. – Powiedział to jednak powoli, jakby przewidywał, jakie będzie kolejne pytanie.

– Jednak ratownik medyczny, który go przywiózł, złożył zeznanie pod przysięgą, że pacjent jeszcze żył.

– Jeden z nich – uściślił szybko Moretti. – Ten drugi zgodził się ze mną.

– Więc skąd ta rozbieżność? – Cade uważnie przyglądał się lekarzowi.

Jego grdyka się poruszała. Podrapał się w policzek.

– Tak jak powiedziałem, to była szalona noc. Zgarnięto wszystkie dzieciaki, niektóre przywieziono tutaj, na ten komisariat, Luke nie żył, jego siostra pociągnęła za spust. Ned Gaston był w rozsypce.

Cade w to nie wątpił. Noc śmierci Luke’a była końcem kariery Neda i przyczyniła się do rozpadu jego małżeństwa. Od momentu, gdy przywiózł swoją córkę na komisariat, pił coraz więcej, coraz szybciej tracił cierpliwość, jego życie zaczęło się walić. Cade wiedział o tym. Był tego naocznym świadkiem, gdy wzenił się w tę rodzinę.

– No więc, co się stało?

Lekarz wyprostował plecy.

– Luke Hollander umarł.

– Kiedy? – naciskał Cade.

Moretti otworzył i zamknął usta.

– Żył jeszcze, kiedy go przywieźli, prawda?

– On... już nie żył.

– Niech mi pan powie. – Nie kupował tej wersji historii.

Moretti odwrócił wzrok.

– Co się stało?

– On był... on był... już martwy.

– Czyżby?

– Tak.

– Jasne. Dobrze wiedzieć. Ponieważ ponownie otwieram to śledztwo – oświadczył Cade, naciągając prawdę. – Już rozmawiałem z ratownikiem, który go przywiózł, a nawet z dyżurującą wtedy pielęgniarką, niedługo się tu zjawią, żeby potwierdzić pana wersję.

– Dlaczego? Ma pan teraz na głowie sprawy morderstw i zaginięcie mojego syna. Po co to odgrzebywać?

– Ponieważ wszystko się łączy.

– To niedorzeczne. Luke umarł dwadzieścia lat temu.

– I ktoś teraz się wkurwił. Te przestępstwa są powiązane, Moretti, a pana syn ma z nimi coś wspólnego.

– O, Jezu. Nie. Nie sądzi pan chyba, że Nate... Nigdy by nikogo nie skrzywdził. Nie, nie, nie...

Cade tylko na niego patrzył. Pytania wciąż wisiały w powietrzu.

– No dobrze, przesłuchamy personel obecny wtedy w szpitalu i ratowników medycznych. Ktoś coś będzie pamiętał i może, być może, uda nam się dzięki temu odnaleźć pana syna.

– Nie wiem, w jaki sposób – powiedział Moretti słabym głosem. Przez uchylone drzwi dobiegł odgłos kroków. Wyrzał na korytarz i zmartwił się na widok swojej żony. Nabrał powietrza do płuc. – Nie chcę, żeby Janine się dowiedziała – zastrzegł. – Zabiorę ją do domu i...

– Teraz, Moretti – ponaglił go Cade i otworzył drzwi. Zwrócił się do Voss: – Kończymy za chwilę. Możesz odprowadzić panią Moretti do samochodu?

– Pewnie – zgodziła się i posłała mu pytające spojrzenie, po czym ujęła matkę Nate'a za łokieć i rzuciła: – Tędy.

– Richard? – zaniepokoiła się żona Morettiego.

– Będę za chwilę. – Uśmiechnął się do niej, gdy przechodziła.

Cade zamknął drzwi.

– No więc – powiedział. – Czy pomógł pan Luke'owi Hollanderowi zejść z tego świata, doktorze?

Pod Morettim ugięły się kolana, więc Cade go podtrzymał.

– Pomógł mu pan?

– O, Boże. – Moretti usiadł na pustym krześle. – Nie. – Pokręcił energicznie głową. Ale jego ciało zdawało się załamywać, zakrył twarz dłońmi. – Ale... ale nic nie zrobiłem, żeby go uratować. Było już za późno, stracił zbyt wiele krwi, do mózgu nie dochodził tlen, był w stanie śpiączki, zupełnie nie reagował na bodźce. Żył, ale byłby warzywem... Kiedy Ned zasugerował, „żeby pozwolić mu odejść”, ja... ja biłem się z sumieniem, z przysięgą lekarską, zadawałem sobie pytanie, co można nazwać prawdziwym życiem... o, Jezu...

– Nie zrobił pan nic, żeby go uratować – powtórzył Cade i w końcu zaczął rozumieć.

– Było za późno... a Ned twierdził, że dla Melindy żywy syn, ale niezdolny do samodzielnego funkcjonowania byłby śmiercią za życia...

– Więc nie dał mu pan szansy.

Moretti zamknął oczy.

– Próbowałem... owszem... ale...

– Pozwolił mu pan umrzeć.

Telefon Rachel wibrował przez całe popołudnie, dostawała wiadomość za wiadomością.

Lila: **Słyszałam, że zaginał Nate! Czy to prawda? Nie wierzę. Jakby cała nasza klasa stała się celem**

atak. Co się dzieje? Zadzwoń!!



Była w szoku i pewnie pomyślałaby, że Lila przesadza po usłyszeniu jakiejś plotki, która nie ma żadnych podstaw, ale nadszedł kolejny esemes:

Brit: **W kawiarni byli przyjaciele Nate'a. Podśledzałam ich, że zaginął, nie zjawił się w pracy i że**



szuka go policja. Wiesz coś o tym?

Mercedes oczywiście miała mnóstwo pytań. Nie tylko nagrała się na pocztce głosowej, prosząc Rachel i Harper o udzielenie wywiadu, ale również napisała:

Wiesz coś o zaginięciu Morettiego? Moje źródło podaje, że miał się wczoraj wieczorem spotkać z Annessą. Czy to prawda? Czy to ma coś wspólnego z morderstwem Annessy? Czy Harper go widziała? MUSZĘ z tobą porozmawiać! O dowolnej porze. Wysłałam ci maila, ale proszę, ZADZWOŃ!

Esesema przysłał nawet Billy Dee:

Co się dzieje z Morettim? Co jest grane? Dzwonił do mnie jego tato. Twierdził, że zaginął. Masz jakieś info? Martwię się.

– Ja też – powiedziała Rachel na głos, po czym napisała do Cade'a:

Właśnie się dowiedziałam, że Nate Moretti zaginął. Czy to prawda?

Wróciwszy do domu, zamierzała porozstawiać dzieci po kątach, ale ją zaskoczyły. Dylan ogarnął swój pokój i chociaż pomieszczenie nie spełniało standardów białej rękawiczki, przynajmniej nie groziło skażeniem i nie wyglądało już jak wysypisko śmieci. Harper odrabiała zadanie.

– Chciałabym mieć lepszą ocenę z chemii – oznajmiła, kiedy Rachel do niej zajrzała. Dziewczyna siedziała na łóżku, rozłożyła wokół siebie książki i pisała coś na laptopie. – Może załapię się na listę wyróżnionych.

– Byłoby świetnie – odparła Rachel, a gdy Harper wróciła do nauki, zamknęła drzwi i wyszła na korytarz. Odkąd Harper tak zależała na średniej? Chyba pod koniec pierwszej klasy, więc skąd to nagle zainteresowanie...?

Oh.

Wtedy zrozumiała.

Xander Vale studiował na Uniwersytecie Oregońskim, a średnia Harper była nieco za niska, by móc się tam dostać. Może Cade się nie mylił i Xander nie miał na nią aż tak złego wpływu.

A może powinnaś w końcu zaakceptować to, że twoja córka dojrzewa i robi się dorosła, co tak często podkreśla.

Dziwne, że jej dzieci robiły dokładnie to, o co poprosiła.

Miała wrażenie, że są wręcz zbyt grzeczne, po czym złała się za nadmierną podejrzliwość. Zrobiły to, o co je poprosiła, Harper zaś, chociaż była poważniejsza niż zwykle, czuła się dobrze, a jej sumienność i przygaszenie mogły wynikać z ostatnich tragicznych przeżyć.

Zerknęła na zegarek i odgrzała w piekarniku resztę lasagne, przygotowała sałatkę i poszła na górę, żeby sprawdzić maile. Nie miała żadnej odpowiedzi w sprawie pracy, ale, oczywiście, czekał na nią e-mail od Mercedes.

– Odwal się – wymamrotała pod nosem, ale pokonała ją ciekawość, więc otworzyła wiadomość.

Rachel,

bardzo bym chciała przeprowadzić z tobą wywiad do ostatniego z artykułów, dać ci szansę przedstawienia swojego punktu widzenia na to, co stało się tamtej nocy, gdy umarł Luke Hollander. Mam nadzieję uzyskać podobne wypowiedzi od osób, które tam były. Chcę przygotować obszerny artykuł o tym, kim naprawdę był Luke, kto krył się za maską szkolnego sportowca (i łamacza kobiecych serc), więc przydałyby mi się jakieś informacje o jego życiu prywatnym. Twoja mama i tato mnie unikają, więc przydałyby mi się jakieś informacje o jego życiu prywatnym. Twoja mama i tato mnie unikają, więc przydałyby mi się jakieś informacje o jego życiu prywatnym. Twoja mama i tato mnie unikają, więc przydałyby mi się jakieś informacje o jego życiu prywatnym. Twoja mama i tato mnie unikają, więc przydałyby mi się jakieś informacje o jego życiu prywatnym. Proszę, zadzwoń.

Mercedes

W mailu były trzy załączniki, same zdjęcia. Jedno przedstawiało ich rodzinę i było użyte na kartce świątecznej, którą rozsyłali bliskim, gdy Rachel miała jakieś jedenaście lat. Pamiętała brzydki, czerwony sweter, który kazała jej założyć mama. Luke miał zielony. W tamtym czasie rodzina wciąż jeszcze

była ze sobą blisko, więc gdy na nie spojrzała, przypomniała sobie lepsze dni. Druga fotografia przedstawiała Luke'a, był to jeden z portretów z ostatniej klasy licealnej, brat patrzył wprost w obiektyw, jego usta wyginały się w górę w figlarnym uśmiechu, a na trzeciej był ktoś nieznamy. Okazało się, że to zdjęcie policyjne z podpisem: Bruce Hollander.

– O, nie – wyszeptwała. Mercy nie mogła wyciągać na światło dzienne pierwszego małżeństwa jej matki. – Cholera. – Wzięła telefon i wybrała numer.

Mercy odebrała po drugim sygnale.

– Nie możesz pisać o prawdziwym ojcu Luke'a, to znaczy o jego biologicznym ojcu – zaczęła Rachel, patrząc na zdjęcie na swoim monitorze. Nigdy wcześniej nie widziała fotografii Bruce'a Hollandera, ale dostrzegła podobieństwo do Luke'a i coś jeszcze.

– Moim zdaniem mogę – odpowiedziała Mercedes. – Wszyscy próbujecie mnie powstrzymać, nie udzielacie mi żadnych informacji, cały czas się miotam. Ale coś ci powiem: ten tydzień nie tylko był rekordowy pod względem sprzedanych egzemplarzy gazety, lecz także subskrypcja wydania internetowego poszybowała w kosmos. To historia, o której ludzie chcą czytać – dodała z takim zadowoleniem, że Rachel aż ścisnęło w żołądku.

– Ale to moi bliscy.

– I warto o nich pisać.

– To było dwadzieścia lat temu.

– Może, ale ludzie uwielbiają historie retro z odrobiną tajemnicy i skandalu.

– Nieważne, kogo krzywdzą.

– Tylko na chwilę – odparowała Mercy. – Do czasu aż pojawi się kolejna duża historia, a skoro teraz doszło do morderstw, nie musisz się przejmować za bardzo. Ludzie nie będą rozpamiętywać. Tajemnica sprzed dwudziestu lat nie ma szans w wyścigu o uwagę czytelników z tym, co teraz się dzieje.

– Rany, Mercy, to, co się teraz dzieje, dotyczy ludzi, których znasz.

Mercedes westchnęła.

– Nic nie poradzę. Wiadomości to wiadomości.

– A gdyby to była twoja rodzina?

– Napisałabym o tym.

– No jasne.

Rachel patrzyła na fotografię Bruce'a Hollandera. Coś ją niepokoiło. Zdjęcie było stare, ale umiała w programie graficznym dodać kilka zmarszczek i odjąć nieco włosów, sprawić, żeby był ogolony...

Niemal stanęło jej serce.

Widziała tego faceta.

Ostatnio.

I pamiętała gdzie.

Dodała czapkę z daszkiem do zdjęcia i poczuła, jak napinają się mięśnie jej karku. Tak, ten facet kręcił się koło biura „Edgewater Edition” i ją obserwował. Zaczęło szumieć jej w głowie, przypominało to szum oceanu. Czy był też tą osobą, która wyprowadzała psa na ulicy tej nocy, gdy pomazano jej po drzwiach? Ale dlaczego?

Ponieważ uważa, że zabiłaś jego syna.

Mercedes pytała ją o coś, ale Rachel jej przerwała.

– Bruce Hollander wyszedł z więzienia.

– Tak, wiem.

– Rozmawiałaś z nim?

Cisza.

– Rozmawiałaś? – naciskała Rachel, wirowało jej w głowie. Strach paraliżował duszę.
– Tak – odparła Mercedes. Jakby to nie było nic ważnego. A był to człowiek, który tak pobił swoją żonę, że trafiła do szpitala. – Nie było trudno go namierzyć.

On jest niebezpieczny! To przestępca!

– Mieszka w pobliżu? – Serce Rachel biło jak szalone, ale starała się mówić normalnie. – Masz jego adres?

– Nie... Tylko numer telefonu. On, w przeciwieństwie do ciebie i reszty twojej rodziny, nie miał nic przeciwko rozmowie o uczuciach do syna, którego ledwie znał.

– Daj mi ten numer.

– Och... nie, nie mogę tego zrobić.

– Właśnie powiedziałaś, że z nim rozmawiałaś. Wobec tego nie podpada to pod ochronę źródła. I pokażesz jego cholerne zdjęcie w gazecie.

– Hola, nie rozpędzaj się. I co z tego? Słuchaj, nie rozdaję adresów i numerów telefonów. Nie dałam bym mu, gdyby poprosił mnie o twój.

– A poprosił? Chciał mój numer?

– Nie! Boże, Rach. Uspokój się, dobrze? Co się dzieje?

Wszystko. Każda jedna cholerna rzecz. Moje małżeństwo się rozpadło, moje dzieci dorastają i oddalają się ode mnie. Ktoś wziął mnie na cel. Ludzie, których znam, są zabijani, cholera jasna, a ty odgrzebujesz najgorszą część mojego życia, wystawiasz ją na widok publiczny, żeby zobaczyły ją moje dzieci, żeby całe miasto mogło sobie o tym poczytać i się rozerwać.

– Nic się nie dzieje – skłamała.

– Mam taką nadzieję. – Mercedes na pewno jej nie uwierzyła, ale jej głos zabrzmiał łagodniej, gdy dodała: – Słuchaj, Rachel, od dawna jesteśmy przyjaciółkami. Byłam tam tamtej nocy; widziałam, jak śmierć Luke’a wpłynęła na ciebie i twoją rodzinę. Pamiętam, jaka byłaś zdruzgotana i jak twój tata cię pocieszał i próbował pocieszyć Lilę, która odchodziła od zmysłów, wiem też, że według ciebie żerują na tobie i twojej rodzinie, ale ja tylko opowiadam tę historię lub opowiadam ją na nowo, ponieważ jest to część historii tego miasta. Ta wytwórnia, gdzie to wszystko się stało, była kiedyś sercem i duszą Edgewater. W jej najlepszych czasach jedna na trzy rodziny miała kogoś bezpośrednio lub pośrednio związanego z przetwórstwem tuńczyka i lososia. Od rybaków po pracowników wytwórni, kierowców, woźnych i inspektorów, fabryka razem z tartakiem i obozami drwali trzymała miasto przy życiu. A potem wszystko się skończyło, wytwórnię zamknięto, nigdy nie została sprzedana, aż pewnej nocy zakradła się tam grupa nastolatków, żeby się zabawić, i jeden z chłopaków, sportowiec, został tam zabity. To część historii Edgewater. Obecnie wytwórnia ma być odnowiona i zmieniona w nowy kompleks restauracji, sklepów, mieszkań i biur, o czym mówi się z dumą, że ma ożywić miasto. To ważne. – Westchnęła. – Oczywiście, obecnie można na to spojrzeć inaczej.

Rachel przypuszczała, dokąd to zmierza, i pomyślała, że chyba zwymiotuje.

– Przez przymat morderstw Violet i Annessy.

– No właśnie. Jest to okropne, ale takie są wiadomości. A twoja córka znalazła Annessę. Wobec tego powinnam porozmawiać z Harper.

– Dlaczego powinnaś? Nie wyrażam zgody.

– Sądzę, że to powinna być jej decyzja.

– Słucham? Nie! Boże, Mercy, odwal się. To dziecko.

– Ma tyle samo lat co ty, kiedy zginął Luke.

– Jestem tego świadoma – powiedziała Rachel przez zaciśnięte usta.

– To moja praca, Rach.

– A to moje życie. I życie mojego dziecka.

– Pozwól mi z nią porozmawiać. Nie użyję jej imienia.

– Na to już chyba jest za późno. – Rachel usłyszała kroki za sobą i zerknęła przez ramię. Na szczycie schodów stała Harper i zaglądała do jej biura. – Słuchaj, Mercy, muszę kończyć...

– Porozmawiam z nią – oznajmiła Harper i Rachel uświadomiła sobie, że jej córka podsłuchiwała na schodach. – Nie rozłączaj się.

– Nie, Harper. – Rachel pokręciła głową. – Według mnie nie jest to dobry pomysł.

– Ale ja chcę.

– Nie.

– Boże, mam, czego się boisz?

Wszystkiego.

No właśnie.

– Zadzwońę później – rzuciła Rachel do telefonu i się rozłączyła. – O co ci chodzi? Dlaczego pytasz, czego się boisz? Nie pamiętasz wczorajszej nocy?

– Pamiętam – odparła Harper i weszła do pokoju, gdzie oparła się biodrem o krawędź biurka Rachel. – I tak wydrukuję tę historię. Musi. Nie sądzisz, że lepiej będzie, jak dostanie relację z pierwszej ręki?

– Owszem, tak. Racja. Ale od policji. Mają rzecznika prasowego, który zajmuje się tego rodzaju sprawami i podaje do publicznej wiadomości tylko to, co policja chce przekazać, aby nie zaszkodzić dochodzeniu. W ten sposób chroni się śledztwo oraz świadków, ludzi takich jak ty.

– Nie tylko ona dzwoniła – zauważyła Harper, zakładając ręce na piersi. – Dzwonił do mnie reporter z wiadomości w Portland.

Nie.

– Skąd miał twój numer?

– Nie wiem – odparła – ale wygląda na to, że jest ogólnodostępny.

ROZDZIAŁ 33

Cade odebrał telefon od Rachel, gdy wychodził z komisariatu przez frontowe drzwi. Nie tylko on pracował do późna. Voss czekała na zamówione poprawki jakości filmu, dzwoniła Kayleigh i powiedziała, że pójdzie tropem taśmy malarskiej, nawet Donna Jean siedziała przy swoim biurku w recepcji i rozmawiała z kobietą w średnim wieku o zaginionym psie.

– Cześć – rzucił, myśląc o wyznaniu Morettiego i o tym, co mogło dla niej znaczyć, o poczuciu winy, z którym żyła, oraz o konsekwencjach faktu, że w sprawę zaangażował się jej własny ojciec. Richard Moretti, lekarz, którzy złożył przysięgę obligującą go do opieki nad rannymi, i Ned Gaston, policjant, który przysięgał chronić życie ludzkie, zmówili się, by nie udzielić pomocy jej bratu, i sprawili, że sądziła, iż strzeliła i zabiła Luke’a, chociaż mógł przeżyć. Cade chciał to z nią omówić, ale to wymagało rozmowy twarzą w twarz. Na razie zatrzymał się w holu i zapytał: – Co tam?

– Bruce Hollander – odpowiedziała spanikowanym głosem. – Biologiczny ojciec Luke’a! Wyszedł z więzienia i... I wydaje mi się... Nie, wiem, że go widziałam. Kręcił się tutaj. W domu!

– Słucham?

– Mercedes wysłała mi jego zdjęcie. Było stare, ale za pomocą Photoshopa dodałam mu lat, żeby zobaczyć, jak mógłby wyglądać teraz, i jestem pewna, że to ktoś, kogo widziałam koło domu i w mieście! – Mówiła coraz szybciej, brakowało jej tchu. – Wydaje mi się, że był tutaj tamtej nocy. To znaczy, jestem pewna, że to był on. To on pomalował mi drzwi, Cade. Bruce Hollander. I... i... widziałam go też przy biurze gazety i... i jeszcze w innych miejscach. Zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi, a kilka dni temu, gdy byłam na cmentarzu, jechał za mną biały samochód. Nic ci wcześniej nie wspominałam, bo bałam się, że tylko to sobie wymyśliłam, odchodziłam od zmysłów, bo to była rocznica śmierci Luke’a, sam wiesz, ale potem rozmawiałam z Mercy i ona powiedziała, że przeprowadziła z nim wywiad i że w gazecie będzie jego zdjęcie oraz sprawa z jego perspektywy i... i... O, Boże, czy sądzisz, że... Czy sądzisz, że on może mieć związek z tym, co stało się Annesie i Violet? Może Nate zaginał i...

– Hola, hola – przerwał jej spokojnym tonem. Bez ekscytacji. – Zwolnij na chwilę, Rachel – poprosił i zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał o Hollanderze, oraz tym, że widziała go w białym samochodzie. – Przyjadę. Zaraz ruszam. Przyślij mi tę fotkę, którą Mercedes chce zamieścić w gazecie.

– Dobrze... przyślę. Pospiesz się!

– Już jadę. – Rozłączył się, miał gonitwę myśli. Czyżby to było rozwiązanie? Czy biologiczny ojciec Luke’a mógł być ich podejrzanym? Czy sprowokowało go zainteresowanie starą zbrodnią lub sama rocznica tej tragedii? I ten biały samochód. Oczyma duszy wyobraził sobie białego sedana na blachach z Idaho i faceta, który szukał psa. Gdy pchnął drzwi, do jego uszu dobiegł urywek rozmowy prowadzonej przez Donnę Jean ze zrozpaczoną kobietą. Jego komórka zapiszczała, sygnalizując przychodzącą wiadomość. Od

Rachel. Ze zdjęciem.

Zacisnął zęby, gdy rozpoznał osobę na przerobionej fotografii: Frank Quinn, czyli Bruce Hollander. On też spotkał tego faceta, teraz podejrzanego, koło domu Rachel.

Docierały do niego fragmenty toczącej się obok rozmowy.

– ...pani Sanders, tak jak wspomniałam, robimy co w naszej mocy, żeby odnaleźć pani psa.

– To przez to, że jest taki przyjazny, poszedłby z każdym – odparła kobieta w średnim wieku. Była niska, miała na sobie spódnice i żakiet, wyglądała, jakby właśnie wyszła z pracy w biurze, szarpały nią emocje, walczyła ze łzami. – Czasami ucieka, beagle tak robią, podążają za węchem, ale Freddy zawsze wracał, a minął już tydzień. Kontaktowałam się ze wszystkimi weterynarzami w okolicy i schroniskami

dla zwierząt stąd do Seaside i nikt, absolutnie nikt go nie widział. – Przelknęła lzy. – Wiem, że nie jest to typowa sprawa dla policji, ale czy mogliby państwo coś zrobić, proszę?

Cade poczuł, jak ściska mu się żołądek.

– Przepraszam – zagadnął, podchodząc bliżej kobiety, żeby się przedstawić. – Przypadkiem usłyszałem, że zaginął pani pies. Beagle, tak?

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Tak.

Wyświetlił zdjęcie na telefonie i odwrócił go w taki sposób, żeby kobieta mogła zobaczyć ekran.

– Proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek widziała pani tego mężczyznę?

Zamyśliła się i zaczęła kręcić głową, ale nagle się powstrzymała.

– Wie pan, chyba tak. Czy on jeździ białym buickiem, podobnym do leSabre dziewięćdziesiąt siedem? Nie jestem fanką motoryzacji, ale mój mąż miał kiedyś taki model. Wówczas to był dla nas duży wydatek. Ale nasz był... beżowy metalik, tak, właśnie, taki miał kolor. Ale co to ma wspólnego z Fred-dym?

– Nie wiem. – Wycofał się, bo nie chciał rozbudzać nadziei tej kobiety. – Ale proszę zostawić Donnie swoje nazwisko i numer.

– Och, już je zapisałam – odparła Donna z przyklepionym uśmiechem. – Kilka razy.

Ale on ledwie ją słyszał, otwierał już drzwi i biegł do auta. Zamierzał po drodze zadzwonić do Voss, poprosić ją, żeby dowiedziała się od kuratora sądowego, gdzie przebywa Bruce Hollander, a gdy się upewni, że u Rachel i dzieci wszystko w porządku, dopaść tego gnoja.

To była ta łatwiejsza część planu.

O wiele trudniej będzie oznajmić byleją żonie, że jej ojciec skłamał, że był współwinny śmierci jej brata, ale nie wziął na siebie ani odrobiny winy za tę tragedię, tylko pozwolił, by cały ciężar spadł na ramiona Rachel.

Postanowił, że dopóki nie będzie pewien faktów i nie porozmawia z Nedem, nie obciąży tym Rachel, ale wiedział, że w końcu prawda wyjdzie na jaw, a wtedy rozpęta się piekło.

W Astorii Kayleigh zatrzymała się przy McDonaldzie, gdzie zamówiła colę dietetyczną, podwójnego cheeseburgera i małe frytki. Zamierzała ignorować przez chwilę całe zło przypisywane fast foodowi i napojom gazowanym. Potrzebowała czegoś na szybko, wobec tego prowadziła auto i sączyła colę z kubka z lodem oraz podjadała frytki, kiedy zadzwonił jej telefon. Wytarła palce o dzinsy i odebrała, w chwili gdy ujrzała imię Cade'a na wyświetlaczu.

– Chyba mamy przełom. – Słyszała odgłosy dochodzące z ulicy, więc domyśliła się, że on też prowadzi.

– Słucham?

– Szukamy Bruce'a Hollandera, ojca Luke'a Hollandera.

– Nadal twierdzisz, że jest związek pomiędzy nim i tym, co się teraz dzieje? – spytała, kolejny raz rozważając tę kwestię. Czy to możliwe? Pewnie tak. Ale...

– Jestem o tym przekonany. Musimy skontaktować się z jego kuratorem, dowiedzieć się, gdzie mieszka, zarządzić poszukiwania jego samochodu, buicka leSabre, białego, z końcówki lat dziewięćdziesiątych. Na numerach z Idaho. Może mieć ze sobą psa.

– Psa?

– Beagle. – Następnie Cade wyjawiał swoją teorię, która zdawała jej się nieco naciągana, jakoby Bruce Hollander wyszedł z więzienia i w ciągu miesiąca przeprowadził się do Edgewater, żeby zemścić się na wszystkich, którzy byli blisko jego syna, którego on nigdy nie poznał, zwłaszcza tych, którzy złożyli zeznania pod przysięgą pozwalające na niewinność Rachel, którą obwinia za zabicie Luke'a. Był pewien, że Hollander pomalował drzwi Rachel, obserwował i zapewne też śledził ją w buicku na blachach

z Idaho. Cade sam wpadł na niego, kiedy mężczyzna szukał psa koło domu Rachel, i podejrzewał, że pies, który według Hollandera wabił się Monty, tak naprawdę był Freddyem.

– Sama nie wiem – odparła, stwierdziwszy, że motyw jest mało przekonujący. – To znaczy, tak, jeśli Rachel może go zidentyfikować jako osobę, która dopuściła się wandalizmu, możemy go zatrzymać. Ale cała reszta? Od pomazania drzwi do zamordowania dwojga ludzi wiedzie długa droga.

– Był notowany. Siedział za pobicia, ostatnią jego ofiarą była matka Luke’a.

– To było dawno temu.

– Bandyta zawsze będzie bandytą. Więzienie zwykle ich nie resocjalizuje.

– Możliwe. – Zamilkła, żeby zatrzymać się przed światłami, napiła się coli i próbowała to sobie ułożyć w głowie, ale wy tłumaczenie miało luki, takie z poszarpanymi krawędziami, i nie składało się do kupy.

– Znajdźmy go i doprowadźmy na posterunek, zobaczymy, co ma do powiedzenia.

– Dobrze. Chciałabym przy tym być – zaznaczyła, gdy zmieniło się światło. – Przy okazji, dzwonił do mnie z laboratorium w sprawie taśmy malarskiej.

– Namierzyli sklep, gdzie została zakupiona?

– Nie. Ale znaleźli na niej włosy.

– Mają DNA?

– Nie, na tym polega niespodzianka. Sądzą, że nie należy do człowieka.

– To do kogo?

– Jeszcze nad tym pracują. Niedługo będą wiedzieć. Ale nie możemy się za bardzo tym ekscytować. Jeśli pochodzi od psa, może to być jeden z psów Violet Sperry. To według mnie najbardziej prawdopodobny scenariusz, ale kto wie? Może będziemy mieć szczęście. Jadę teraz do laboratorium. Mają już próbki z cavalierów Sperrych, więc pewnie czegoś się dowiem. – A jeśli włos na taśmie, nienależący do człowieka, nie będzie pochodził od psów ofiary? Ta myśl lekko ją pobudziła i chociaż trochę wychodziła przed szereg, wyczuwała, że zbliża się do prawdy, do dowiedzenia się, co dokładnie się dzieje, mimo brakujących kawałków i poszarpanych krawędzi.

Zmieniła pas i pomyślała, że są pewne szanse na to, że włos zwierzęcia i DNA powiążą Freddy’ego, znanego także jako Monty’ego, z Hollanderem. Warto było sprawdzić, choć nie spodziewała się sukcesu.

– Posłuchaj tego – zaczął Cade. – Okazuje się, że Luke Hollander nie był martwy, kiedy przyjęto go do szpitala St. Augustine.

– Znowu do tego wracamy, próbujemy połączyć to, co stało się dwadzieścia lat temu ze świeżymi morderstwami? – zapytała, chociaż jej też przeszło przez myśl, że nie można oddzielić tragedii z przeszłości od tego, co się dzieje obecnie.

– Tak, wiem, to trochę naciągane.

– Raczej mocno naciągane. – Po chwili dodała: – Ale rozumiem. Jest coś...

– Nie jestem w stanie przestać o tym myśleć. Według mnie wszystko zaczyna się łączyć. Ned Gaston był pierwszym policjantem na miejscu zdarzenia. Dotarł tam bardzo szybko, twierdził, że został wezwany.

– Tata Rachel, tak, pamiętam.

– I ojczym Luke’a. – W głosie Cade’a usłyszała cień ekscytacji, znała go z poprzednich przestępstw, które rozpracowywali razem. – Więc okazuje się, że on i doktor Moretti, ojciec naszego zaginionego, postanowili nie robić wszystkiego, co w ich mocy, żeby uratować chłopaka.

– Żartujesz sobie? – Była zszokowana, zdjęła nogę z gazu, żeby zwolnić przed kolejnym czerwonym światłem.

– Wy tłumaczenie było takie, przynajmniej według Morettiego, że chłopak stracił zbyt wiele krwi, zostałby roślinką, a Ned Gaston nie chciał, by jego żona musiała opiekować się przykutym do łóżka sy-

nem z praktycznie niedziałającym mózgiem.

– Sądzisz, że to nie jest cała prawda? – zainteresowała się.

– Jestem tego pewien.

– Wobec tego dowiedzmy się, jaka jest prawda – podsumowała i gdy światło zmieniło się na zielone, wcisnęła pedał gazu. W końcu chyba coś zaczęło się klarować.

Rachel z trudem odparła atak paniki, który pojawił się, gdy rozpoznała Bruce'a Hollandera jako mężczyznę, który kręcił się koło jej domu. Jej mozolnie wypracowane opanowanie zniknęło, gdy usłyszała zbliżającego się pick-upa Cade'a i witającego go skamleniem psa, który domagał się wypuszczenia na dwór.

– Chwila – rzuciła do psa, a kiedy jej były pojawił się przy tylnych drzwiach, otworzyła je na oścież i pozwoliła, by wziął ją w ramiona, podczas gdy Reno odtańczył dziki taniec u ich stóp.

– Najwyraźniej cię zaakceptował – stwierdziła, wysuwając się z objęć Cade'a i powtarzając sobie w myślach, że są rozwiedzeni, przez duże R. Nie mogła pozwolić sobie wpaść w pułapkę zależności od niego. Nie teraz. W ogóle nigdy. Poza tym, radziła sobie, sama opanowała atak paniki. Z tym też sobie poradzi. Musi.

Jako że drzwi były uchylone, Reno wykorzystał sytuację i wybiegł na dwór, zeskokczył z ganku, zakręcił się w koło i kilkukrotnie obiegnął całe podwórze.

– Jak dzieci? – Cade zamykał właśnie drzwi, gdy Harper wyszła z pokoju.

Wyglądała, jakby płakała, miała opuchnięte policzki i czerwone oczy. Widząc ojca, wbiegła do kuchni.

– Jak mogłeś? – zapytała, pociągając nosem.

– Jak mogłem co? – spróbował ustalić. – A przy okazji, ja również mówię ci „Cześć!”.

– Przestań, tato. Po prostu przestań. I nie zachowuj się, jakbyś nie wiedział, co się dzieje. Wiesz! Przecież wiesz. Jak mogłeś zakaż dziadkowi odesłać Xandera?

– Zaraz, chwila, co? – Cade uniósł ręce, dłońmi do góry, jakby zamierzał się poddać. – Mnie oskarżasz?

– Sam wiesz, że to nie była wina Xandera – przerwała mu Harper – że wyszłam z domu, tylko moja. Ani to, co stało się tej kobiecie. Wow, to było okropnie dziwne! Ale ty... – Spojrzała na Cade'a z furią. – To ty sprawiłeś, że musiał wyjechać! Już go tu nie ma, a ja nie wiem, kiedy znowu go zobaczę! – Coraz bardziej się nakręcała, ale Cade zachował spokój.

– Nie wiedziałem, że dziadek każe mu się pakować...

– Proszę? – zapytała Rachel. Pierwsze słyszała.

Harper skupiła się na ojcu.

– Jesteś synem dziadka! – zauważyła z nadzieją w głosie.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Dziadkowi nie podobało się jego zachowanie...

– To nie jego interes!

Cade uniósł brwi.

– Ależ wręcz przeciwnie. Xander pracował u niego i mieszkał za darmo w jego mieszkaniu.

– Ale jesteś policjantem!

– To nie ma żadnego związku.

– O, nieee! – Sapnęła ze złością, ale widząc, że niczego nie wskóra u ojca, spojrzała na matkę i zaczęła ją urabiać. – Mamo, proszę. Przecież nigdy więcej go nie zobaczę! – Znowu zbierało jej się na łzy.

– Oczywiście, że zobaczysz. Jeśli oboje będziecie chcieli się spotkać – powiedziała Rachel, nieco młękając; Harper tyle ostatnio przeszła. – Na pewno wam się uda. Eugene nie leży tak daleko.

– Ale ja nawet nie mam samochodu!

Ten sam argument co zawsze.

– Obiecaliśmy, że zastanowimy się nad tym, gdy skończysz szkołę, wtedy ci pomożemy.

– „My”? A od kiedy znowu jesteście „wy”? – zapytała przerażona perspektywą tego, że rodzice znowu się w czymś mogą zgadzać.

– Xander ma samochód – odpowiedział Cade.

– Więc jeśli tu przyjedzie, będzie mógł się u nas zatrzymać? – W jej oczach pojawiła się nadzieja.

– Według mnie nie jest to dobry pomysł – odparł ojciec.

– Zgadzam się.

Harper zmrúżyła oczy.

– To co zrobi? Nie może już spać u Lucasa. Dziadek dostałby apopleksji!

– Jestem pewien, że coś wymyśli.

Znowu o mało się nie popłakała.

– Myślałam, że zrozumiesz, ale się myliłam! – Odwróciła się na pięcie i uciekła do swojego pokoju.

Rachel zrobiła krok za nią, ale Cade złapał ją za rękę, po czym usłyszeli trzaśnięcie drzwiami.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Oboje musimy, ale niech najpierw ochłonie i się nad tym zastanowi – zaproponował. – W przeciwnym razie skończy się to wielką kłótnią. A teraz powiedz mi o Brusie Hollanderze.

– Racja. Boże, prawie zapomniałam o nim przez ten dramat. Mam informacje – oznajmiła i ruszyła na górę. Będąc już na schodach, Cade zauważył Dylana w salonie, gdzie chłopak oglądał telewizję.

– Cześć, stary – rzucił do niego.

– Cześć. – Dylan przewrócił oczami. – Słyszałem, co się działo w kuchni, i pomyślałem, że przeczekam burzę.

– Dobra decyzja.

– Słuchaj – powiedziała Rachel – wpuść Reno, dobrze?

– Okej. – Ale się nie ruszył.

– Teraz – dodał Cade.

– Aha. Tak. Jasne. – Naprawdę wstał z kanapy, wyłączył telewizor i poszedł na tyły domu. Rachel zaprowadziła Cade'a do swojego gabinetu. Przez kilka minut pochłaniał ją młodzieńczy gniew córki, lecz teraz znowu wrócił poczucie zagrożenia. Z pełną siłą.

W gabinecie odsunęła krzesło od biurka i otworzyła plik z informacjami, które zgromadziła o Hollanderze, w tym jego zdjęcie przed obróbką w Photoshopie i po niej. Cade oświadczył, że policja już go poszukuje i że on sam spotkał mężczyznę, który podawał się za Franka Quinna i twierdził, że szuka psa.

– Rozmawiałem z nim. Pozwoliłem mu odejść – przyznał Cade. – Chociaż od samego początku miałem złe przeczucia.

– A więc byłeś tu wtedy i wczoraj też? – Boże święty, czy naprawdę od znalezienia Annessy przez Harper i Xandera nie upłynęła jeszcze doba? Zdawało jej się, że minęła wieczność. – Obserwowałeś mój dom?

– Tak.

– Czy nie przyszło ci do głowy, żeby mnie o tym uprzedzić?

– Wiedziałem, że się wkurzysz.

– Wkurzyłabym się, ale gdybym cię zobaczyła i pomyślała, że ktoś nas obserwuje, no wiesz, zaczają się na mnie lub na dzieci.

– Racja, to byłby problem.

– Łagodnie mówiąć.

- Powiedz, widziałeś mnie?
- Cóż... nie...
- I nie rozpoznalabyś mojego pick-upa?
- W ciemności? Pewnie tak. Ale i tak bym się wkurzyła.
- Uśmiechnął się.
- To jedna z twoich ujmujących cech.
- Gnojek. Wiesz o tym, prawda?
- Uważam, że gnojek prima sort. I tak, wiem.

Boże, nie cierpiała, gdy był taki czarujący, taki nazbyt skromny i bystry. I nie podobało jej się, że pomyślała o zarostcie na jego twarzy, że jest seksowny. Gdy pochylił się nad jej ramieniem, żeby spojrzeć w monitor, zobaczyła, że kręca mu się włosy za uchem. Zawsze intrygował ją ten wicherek.

Przestań natychmiast!

Harper była wściekła.

Co rodzice sobie myśleli?

Zmówili się przeciw niej?

Wszystko w jej życiu zamieniało się w gówno, a Xander był tak daleko. Z bólem serca spojrzała na telefon w nadziei, że do niej napisał, ale jak dotąd cisza w eterze.

Zaświtało jej, że być może chłopak chce z nią zerwać. Na uczelni miał na pęczki ładnych dziewczyn; nie potrzebował laski z ogólniaka z mnóstwem problemów, która mieszkała za siedmioma górami i siedzioma lasami. Siedząc w łóżku, znowu do niego napisała, łudząc się, że nie wyjdzie na desperatkę, którą oczywiście była.

Nie napisał, odkąd wyszli z komisariatu dzisiaj rano, a ona usychała – usychała – z tęsknoty.

Sama już do niego zadzwoniła i nagrała się dwa razy, prosząc, żeby oddzwonił. Wysłała też kilka wiadomości, które teraz przejrzała.

Pierwsza: **To było okropne i dziwne. Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?**



Następna: **Tęsknię**



Godzinę później: **Czy coś się stało? Napisz do mnie.**

Może zgubił telefon lub wyczerpała mu się bateria, a może ładował komórkę lub... mimo to było jej przykro.



Napisała ponownie: **Słyszałam, że musiałeś wrócić do Eugene. To straszne!!!**

Dalej nic. Minęło kilka godzin. To nie było podobne do Xandera. Czy policja skonfiskowała mu telefon? Czy zaginął w zamieszaniu, gdy znaleźli tę umierającą kobietę w okropnym, starym kościele, który stał się miejscem zbrodni?

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy coś mu się nie stało, aż ścisnęło ją w żołądku. Nie, nie, nie! Xander jest wysoki, mądry i... cały i zdrowy. Prawdopodobnie już mu na niej nie zależy. Zakłuło ją w sercu i poczuła, że rozpada się na milion małych kawałków. Nie podobał jej się ten kierunek myślenia.

Nie, musi być jakiś inny sposób. Musi.

Wtem, cud nad cudami, odpisał.
I wszystkie jej zmartwienia i ból zniknęły.

ROZDZIAŁ 34

Komórka Cade'a zadzwoniła, gdy sięgał po trzeci trójkąt pizzy. Postanowił zjeść kolację z rodziną, i pozwolił, żeby córka, która tymczasem odzyskała humor, przywiozła jedzenie do domu. Harper poprawiła swoje umiejętności kierowcy, odkąd ostatnio siedziała za kółkiem, ale wyglądało na to, że podobnie jak on lubi dodawać gazu. Wrócili do domu i zajęli miejsca przy kuchennym stole, tak jak to robili przez lata, by dzielić między siebie dwie pizze ulubionych rodzajów – zamówili wersje dla miłośników mięsa i wegetarian – a Dylan pożerał kawałek za kawałkiem.

– Muszę odebrać – oznajmił, widząc numer Voss, po czym odezwał się do telefonu: – Zaraz wracam, co się dzieje?

– Wiemy, gdzie mieszka Hollander – odparła zaaferowana Voss. – Złapałam jego kuratora i dał mi adres, to mieszkanie w Astorii. Jest zarejestrowane na Denise Aimes, kuzynkę Bruce'a Hollandera.

– Jedźmy tam. – Już wstał i ruszył do tylnych drzwi. Rachel, która siedziała naprzeciw niego, też wrwała się na nogi. – Będę na komisariacie za dziesięć minut. Czekaj na mnie.

– Za osiem. Chcę przyskrzynić tego gościa.

Rozłączył się, a Rachel zapytała ze śmiertelną powagą:

– Co?

Zerknął na dzieci.

– Wygląda na to, że mamy zamiar na Hollandera. – Zrobił taką minę, jakby chciał dodać coś jeszcze, coś ważnego, ale rzucił tylko: – Dam ci znać. Tymczasem nie wychylaj się. – Zarówno Dylan, jak i Harper patrzyli na niego, pies nadal czekał pod stołem na jakieś resztki. – Wy dwoje zostańcie dzisiaj w domu.

– Przecież my i tak nigdzie nie chodzimy – poskarżył się Dylan.

– Siedzimy tu jak w więzieniu. – Najwyraźniej wrócił zły humor Harper.

– Miejmy nadzieję, że już niedługo.

Wyciągnął Rachel na ganek za domem, zamknął drzwi i przykazał:

– Nic nie rób. To może być koniec, ale tego nie wiemy na pewno. Zadzwonię do ciebie. Mamy dużo spraw do obgadania.

– Słucham?

– Teraz nie mogę, ale jak wrócę...

– Wychodzisz sobie i zostawiasz mnie z niezaspokojoną ciekawością, żebym się martwiła?

– Nie martw się. Ogarniam to. – Puścił do niej oko.

Jej oczy wypełniała troska, ale uśmiechnęła się odważnie, a on nie mógł się dłużej powstrzymywać. Pod wpływem impulsu przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nie był to pocałunek, który wstrząsnąłby ziemią, po prostu lekkie muśnięcie jej zaskoczonych, miękkich warg.

– Trzymaj się. – Wypuścił ją z objęć. Rachel zamrugnęła, cofnęła się i dotknęła ust.

Pomyślał, że powie coś na temat tego, że całowanie jest „nie w porządku” lub „niefajne” albo zaprotestuje w jakiś inny sposób. Ona jednak tylko patrzyła za nim, gdy szybkim krokiem poszedł do samochodu zaparkowanego naprzeciw garażu i odjechał z piskiem opon.

– Zamknij drzwi! – krzyknął przez otwartą szybę pick-upa, po czym skupił się na drodze przed sobą i na odnalezieniu Hollandera. Jeśli ten kutas okaże się mordercą, który uwziął się na jego rodzinę, z całych sił będzie musiał się powstrzymać, żeby nie sprać sukinsyna na kwaśne jabłko.

Voss czekała przed komisariatem i wskazała policyjnego SUV-a, którym wcześniej jeździli.

– Ja prowadzę! – zawołał, wyjmując broń z zamykanego schowka, wsadził pistolet do kabury, zabrał dodatkowy magazynek, po czym wysiadł ze swojego auta. Stwierdził, że nie znieśie jej jazdy dwa kilometry poniżej limitu. Zanim zdążyła zaprotestować, on już siedział za kierownicą, więc podała mu kluczyki i gdy zapinała pas, on już ruszał z parkingu, samochód podskoczył, gdy wyjeżdżał na ulicę, gdzie od razu dodał gazu. – Powiedz, co wiesz – poprosił, wjeżdżając na autostradę i kierując się na zachód. Włączył światła i postanowił nie używać koguta. Zapadał zmrok, słońce właśnie zaszło, panował mały ruch.

– Według kuratora sądowego, jak na razie Hollander jest czysty. Nie wpakował się w żadne kłopoty.

– Tak, pewnie – mruknął Cade, pędząc w stronę wolniej jadącego pick-upa z przyczepą. Wysunął się, sprawdził, czy z naprzeciwka nic nie jedzie, wyprzedził go, po czym wrócił na swój pas, ale nie zwolnił.

– Do pożaru jedziesz? – zapytała Voss, trzymając się podłokietnika.

– Gorzej. Co z nagraniem z The Right Spot? I autem Morettiego?

– Wciąż nic nie wiadomo. Może prowadził ten Hollander, może nie.

– I wciąż ani śladu Morettiego. – Cade zacisnął szczęki. Chciał przyskrzytnić recydywistę, wsadzić go za kratki i rozwiązać tę sprawę. Wydawało mu się cholernie prawdopodobne, że Hollander mścił się za śmierć swojego syna.

Tylko że...

Dlaczego nie skontaktował się z Lucasem, swoim wnukiem? Czyż nie byłoby to normalnym zachowaniem? Lucas był jego jedynym wnukiem, przynajmniej o ile Cade'owi było wiadomo, i jedynym powiązaniem z Lukiem. No ale co było normalne w przypadku Hollandera?

I po co zacząć zabijanie od Violet i Annessy?

Mogą być pierwszymi. Rozgrzewką przed dalszym ciągiem.

Droga zakręcała przed Astorią, nad rzeką rozbłysły światła.

– Południowy kraniec miasta – poinstruowała go Voss. – Przed rondem i mostem nad zatoką, nie tym dużym na Kolumbii.

– Wiem. – Musiał zwolnić, jadąc przez miasto, gdzie powitały go tylne światła samochodów i światła hamowania. Przejechał pod wiaduktem prowadzącym do mostu Astoria-Megler łączącym Oregon z Waszyngtonem, wyminął sklepy i firmy ciągnące się wzdłuż drogi, samochody zjeżdżały na bok, gdy go zauważyły.

– Tam! – Wskazała równoległą ulicę, którą już zdążył dostrzec na GPS-ie, skręcił, jechał pod górę przez kilka przecznicy, po czym Voss wskazała kolejny zakręt, gdzie stał zniszczony, piętrowy budynek mieszkalny. Miał kształt litery L, zakręcał wokół parkingu i był obecnie dwukolorowy, bowiem właśnie go przemalowywano.

Cade, parkując, zlustrował okolicę. Nie zauważył białego buicka. Szybki rzut oka na pobliskie ulice również niczego nie przyniósł.

Zaczynał mieć złe przeczucia.

– Na gorze. Mieszkanie dwieście jeden, na końcu, przy schodach.

– Rozumiem. – Cade wysiadł z SUV-a i ruszył na schody, Voss szła za nim. Zapukał do drzwi, stanął z boku i czekał. Palce zacisnął na broni. Voss już wyjęła pistolet z kabury i kciukiem go odbezpieczyła.

Na wszelki wypadek.

Ze środka dobiegł ich odgłos kroków i głośne szczekanie psa, wręcz ujadanie, gdy drzwi się uchyliły i przez szparę ograniczoną łańcuchem wyjrzała niska, krągła kobieta koło sześćdziesiątki. Wyglądała tak, jakby dopiero co wstała, siwiejące włosy miała pospinane pod dziwnymi kątami i mrużyła oczy za babcinymi okularami w drucianych oprawkach.

– Denise Aimes? – zapytał Cade.

– Tak.

– Detektyw Cade Ryder, a to moja partnerka, detektyw Patricia Voss. – Zerknęła, gdy wyjął portfel i pokazał jej swoją odznakę. – Szukamy Bruce’a Hollandera.

– No jasne – skwitowała kwaśno, przekrzykując ujadającego psa. – Monty, zamknij się! – wrzasnęła na niego, ale nie posłuchał. Potem zwróciła się do Cade’a: – Przypuszczalam, że się zjawicie, podobnie jak Bruce. Wyjechał wcześniej rano. Jeszcze nawet nie wstałam, ale słyszałam, jak w pośpiechu wyjeżdża tym swoim gruchotem. I wiecie co? Zostawił mi prezent. Monty’ego. Szczęściara ze mnie.

W szparze pojawił się nos beagle’a.

– Wie pani, dokąd mógł się udać?

– Nie – odparła.

– Możemy wejść i porozmawiać?

Denise zerknęła na Voss.

– Mogłaby pani schować tę cholerną broń? Tylko mnie denerwuje. – Ale odpięła łańcuch. Opadł z grzechotem. Otworzyła drzwi i kazała psu zostać, żeby nie wybiegł na schody.

Była ubrana w kimono w kolorach tęczy. Zaprowadziła ich do oddalonego o trzy kroki małego pokoju dziennego zastawionego niepasującymi do siebie meblami.

– Słuchajcie, wiem, że chcecie się dowiedzieć wszystkiego o Brusie, ale nie za wiele mam do powiedzenia. Wyszedł z paki, potrzebował miejsca na przewaletowanie, więc stwierdziłam: „Dobra, ale masz znaleźć sobie robotę, płacić czynsz i wyprowadzić się za dwa miesiące”. Tak mu powiedziałam. Cóż, dotrzymał tylko jednej obietnicy: zmył się stąd. – Przewróciła oczami i gestem zachęciła ich do zajęcia dwóch foteli, a sama siadła na wysiedzianej kanapie. Monty nie ruszał się spod drzwi.

– Czy może nam pani powiedzieć, gdzie przebywał w ciągu ostatnich kilku dni? Chodzi nam o to, w jakich godzinach pani go widziała.

– Cóż, nie bardzo. Mieliście szczęście, że złapaliście mnie pomiędzy zmianami. W ciągu dnia pracuję na kasie w Tommy’s Boat Dock, a cztery wieczory w tygodniu kelneruję w Barbie’s Ales and Eats w Warranto po drugiej stronie zatoki. Wiąże się z tym zabawna rzecz. Tommy i Barbie byli małżeństwem, gdy się u nich zatrudniłam, ale rozstali się kilka lat temu, a ja wciąż pracuję dla nich obojga. – Roześmiała się na samą myśl i sięgnęła po e-papierosa leżącego na ławie, po czym wypuściła z ust chmurę aromatycznej pary, która szybko się rozproszyła w powietrzu. – Przez większość czasu Bruce’a nie było w domu, nie wiem, co robił. Twierdził, że szuka pracy lub że spotyka się ze swoim kuratorem albo... – Zamilkła, bo nagle coś przyszło jej do głowy. – Hej, czekajcie. Po co tu przyjechaliście? Narobił sobie jakichś kłopotów? Jezu, wiedziałam, że źle robię, pozwalając mieszkać tu temu sukinkotowi. Bruce przez całe życie był jednym wielkim problemem, ale pomyślałam, że może już mu przeszło. Co za idiotka ze mnie. – Kolejne potężne zaciągnięcie się parą i Cade przeszedł do konkretów.

– Widziała go pani z tym człowiekiem? – zapytał, przesuwając po stoliku zdjęcie Nate’a Morettiego.

– Nigdy z nikim go nie widziałam. Jak mówiłam, mijaliśmy się jak statki nocą, tylko że mój płynął do pracy, a jego... Bóg wie gdzie. – Podniosła fotografię i zmarszczyła brwi, zaciągając się e-papierosem. – To ten facet, który zaginął, co nie? Widziałam go w wiadomościach.

– Tak.

– Sądzicie, że Bruce miał z tym coś wspólnego? – W miarę jak docierała do niej prawda, jej oczy robiły się coraz większe. – Czekajcie chwilę, do diaska. Chyba nie próbujecie połączyć go z tymi morderstwami, co nie? – Zaciągnęła się papierosem. – Nie zrobiłby tego. – Zanim Cade zdążył zadać kolejne pytanie, dodała w chmurze dymu: – Tak, wiem, że w przeszłości miał kłopoty, ale to dlatego, że był młody i głupi, brał narkotyki i Bóg wie, co jeszcze, ale już z tego wyrósł. – Zerknęła na psa, który wciąż warował pod drzwiami z nosem przy panelach. – Podejrzewam, że Bruce teraz zajmuje się kradzieżą psów, które potem odsprzedaje. Zapytałam go, skąd wziął Monty’ego, a on odpowiedział, że ze schroniska, ale taki pies? – Wskazała beagle’a pulchnym palcem z niebieskim lakierem na paznokciu. – Założę się,

że jest czystej krwi i że jest czyjąś własnością. Pracowałam kiedyś jako fryzjerka psów, więc potrafię rozpoznać, że ten był kochany. I że ktoś gdzieś za nim tęskni.

– Jesteśmy w kontakcie z właścicielką – oświadczyła Voss.

– Wobec tego zabierzcie go, jak będziecie wychodzić. – Aimes spojrzała na psa. – Monty za bardzo mnie nie lubi, Bruce'a też nie. Rozpieszczony mały beagle.

Cade skierował rozmowę z powrotem na jej kuzyna.

– Czy wie pani, gdzie Bruce był w piątkowy wieczór i wczoraj w nocy?

– O, rany... już wam mówiłam, nie ręczę za niego, bo kto wie, dokąd laził, ale niech pomyślę, piątek...?

Zastanawiała się przez chwilę, zaciągając się co jakiś czas.

– No cóż, chyba wiem. Pracowałam na dzienną zmianę w restauracji i wróciłam do domu przed dziewiątą, i wiecie co, siedział tu na kanapie i oglądał jakiś film, któryś z tych o Rockym, część czwartą albo piątą. Nie jestem pewna. Ile ich nakręcili, chyba za dziesięć? I dalej kręcą. Tak czy owak, Bruce ani na chwilę nie wstał z kanapy. Na bank. Nie za dobrze się czułam i poszłam spać koło północy, a on tu dalej siedział koło wpół do drugiej czy o drugiej, gdy wstałam, żeby przynieść sobie szklankę wody i pastylki na żołądek, oglądał jakieś gołe cyce. Wyłączyłam telewizor, ale o siódmej rano, gdy wstałam do łazienki, znalazłam go w tej samej pozycji. – Zapewne zauważyła sceptyczne spojrzenie Cade'a, ponieważ dodała: – Nie wierzy mi pan, niech pan sprawdzi u administratora mieszkań. Mają tu kamery monitoringu.

– Sprawdźmy. – Wyrzwał przez okno, zauważył, że nawet z tego miejsca widać kamerę zawieszoną pod okapem dachowym. – Kiedy spodziewa się pani powrotu Bruce'a?

– Nie słuchał pan? Wyjechał. Zmył się stąd. Szukaj wiatru w polu. – Machnęła ręką, aby zobrazować, że zniknął. – Zabrał swoje rzeczy, pewnie też parę moich, i poszedł w cholere.

– A co z telefonem komórkowym? Miał jakiś?

– Och, pewnie. Jasne. Kto nie ma? Ale to był taki model na kartę. Chciał podłączyć się do mojego konta u operatora komórkowego, ale powiedziałam: „Po moim trupie!”. Rozumiecie, że nie chciałam w żaden sposób wiązać się z nim pod względem finansowym. Może i się zmienił pod tym względem, że nie rwał się do bicia, ale wyludzac to wyludzac i nie ma szans, żeby coś się poprawiło. To dlatego postawiłam warunki i kazałam mu znaleźć pracę.

Kiedy zapytali, gdzie spał, pokazała im dodatkowy pokój, którego używała głównie jako przechowalnię, ale w kącie znajdowało się tam łóżko i telewizor.

– Tu nocował. – Wskazała łóżko papierosem elektronicznym. – Słuchajcie, jestem przekonana, że nie wróci. Miał plecak z kilkoma zmianami odzieży, komórkę, o którą pytaliście, zestaw do golenia w łazience i to wszystko teraz zniknęło.

– Da nam pani jego numer?

– Jasne. Ale on nie odbierze. Nie mam pewności, czy docierają do niego esemesy i czy da się do niego dodzwonić. Chyba musiałby opłacić jakiś pakiet rozmów czy danych. Do końca nie wiem, jak to działa, ale jestem przekonana, że właśnie tak to wygląda. Ten człowiek nigdy nie śmierdział groszem, więc zakładam, że telefon będzie nieczynny, dopóki nie kupi sobie minut. – Mimo to dała im numer, a kiedy zapytali o przyjaciół, nie mogła sobie przypomnieć żadnego imienia. – Och, mówił o jakichś kolesiach, z którymi siedział, ale nikt tu nie przychodził.

– A ten samochód, którym jeździł? – zagadnęła Voss.

– Buick? Gruchot. Nie wiem, skąd go wziął, miał go, gdy się tu zjawił. Był na tablicach z Idaho. Mówił, że musi go przerejestrować, chyba nawet przyniósł jakieś papiery z biura pojazdów, ale potrzebował adresu zamieszkania, a ja nie zgodziłam się na podanie mojego.

– Widziała pani te dokumenty? – zapytał Cade.

– Tak. – Zamyśliła się, przekładając e-papierosa pomiędzy palcami. – Jak się nad tym zastanowić, to może jeszcze tu są... chwilunia. – Zaprowadziła ich z powrotem do kuchni, gdzie zimna kawa w szklanym dzbanku wyglądała tak, jakby zaczynała gęstnieć, a brudne naczynia wywędrowały ze zlewu i zajmowały cały nieduży blat aż do kuchenki. – Chyba gdzieś tutaj. – Otworzyła małą szufladę wypełnioną śmieciami, przejrzała jej zawartość, po czym otworzyła kolejną, pełną papierów, kopert i paragonów. – Zobaczmy... tak, jest tutaj. – Podała mu częściowo wypełniony wniosek, gdzie czarno na białym widniał numer tablicy rejestracyjnej z Idaho oraz numer VIN starego buicka.

– Chcielibyśmy to zatrzymać – oznajmił Cade.

– Proszę bardzo. Ja tego nie potrzebuję. – Spojrzała na przepelnioną szufladę. – Prawdopodobnie nie potrzebuję połowy rzeczy z tej szuflady, może nawet wszystkiego.

– Czy kiedykolwiek wspominał swojego syna? – zapytał Cade. – Luke'a?

Zmarszczyła brwi, zastanawiała się.

– Nie. Nie ostatnio. O ile wiem, praktycznie nie znał tego dziecka, może widział go, gdy był niemowlakiem, a Melinda, ta suka, nie pozwoliła Luke'owi pisać do ojca ani go odwiedzać. Nie był u niego ani razu.

– A jak on się z tym czuł? – Znowu weszli do ciasnego pokoju.

– A jak pan myśli? Był wkurzony, a jakże. Ale chyba już mu przeszło. Tak jak mówiłam, zmiękł w pudle, wyszedł spokojniejszy, nie wpadał w złość z byle powodu. I przestał chlać. Przynajmniej nie pił niczego mocnego. – Znowu zapaliła e-papierosa. – Oj, jest leniwy jak cholera, zawsze był i zawsze będzie, ale naprawdę próbujecie wmanewrować go w te najnowsze morderstwa? Posłuchajcie wobec tego: cholernie się mylicie.

ROZDZIAŁ 35

Ostatnią osobą, którą Rachel by podejrzewała, że o dwudziestej pierwszej trzydzięści będzie dobijała się do drzwi, była Lila, ale oto się zjawiała we własnej osobie – jej niedydysiejsza najlepsza przyjaciółka i była teściowa. Zdenerwowana Lila w kremowym sweterku, spodniach pod kolor i złotych szpilkach przestępowała z nogi na nogę i zaciskała usta. Lucas był ubrany swobodniej, miał dżinsy i T-shirt, ale wiercił się obok niej i był wyraźnie skrępowany. Na szczęście przed domem nie było żadnej furgonetki z pismakami, chociaż Rachel spodziewała się, że wrócą, ponieważ reporterzy wydzwaniali do niej cały dzień, prosząc o wywiad z nią i Harper. Informacje się rozeszły; Mercedes nie była już jedyną dziennikarką relacjonującą sprawę zabójstw.

Rachel otworzyła drzwi i zanim cokolwiek powiedziała, Lila, pachnąca perfumami i niedawno wypalonym papierosem, weszła do środka, a za nią jej syn.

– Cześć – rzuciła Rachel. – Co się...?

– Jest Dylan? – przerwała jej Lila podniesionym tonem. – Powinien brać w tym udział.

– W czym?

– Przyprowadź go! – rozkazała, po czym wypuściła powietrze i wrzasnęła w stronę pokoi: – Dylan! – Chwilę odczekała. – Dylan? Chodź tutaj! Natychmiast.

Rachel nigdy nie widziała jej tak poirytowanej i napastliwej.

– Rany, mamo. – Lucas się ożywił. – Uspokój się! Pójdę po niego – oznajmił i zanim matka go zatrzymała, wyszedł na korytarz. Policyjna taśma rozpięta na drzwiach Dylana nie powstrzymała go przed wejściem bez pukania.

– Uspokój się! – powtórzyła Lila. No pewnie.

– Co się dzieje? – zapytała Rachel.

– Czekaj. Zaraz się dowiesz – warknęła.

Po dwóch minutach obaj chłopcy wrócili do salonu, gdzie Lila krążyła niespokojnie, a Rachel czekała, stojąc koło fotela. Harper usłyszała zamieszanie i też wyszła ze swojego pokoju.

– Siadajcie! – rozkazała Lila, wskazując kanapę. – Ty też. – Ruchem palca przydzieliła Harper miejsce pomiędzy chłopakami, a dziewczyna zrobiła, co jej kazano.

– Mamo, przestań – prosił Lucas. Oprócz niepokoju w jego głosie słychać było wzbierający gniew, który, jak podejrzewała Rachel, dorównywał wściekłości matki. Kiedy cała trójka siedziała już na kanapie, Lila wyjęła z torebki jakieś przewody komputerowe dołączone do urządzenia, które wyglądało jak nagrywarka czy coś w tym stylu.

– Możesz to wyjaśnić? – zapytała Dylana.

Chłopak przelknął ślinę i spojrzał na swoje dłonie, które ścisnął między kolanami.

– Dobrze, skoro zabrakło ci języka w gębie, to może Lucas się wypowie.

– Mamo, proszę... – Lucas był przygnębiony, ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, Lila znalazłaby się w tej chwili sześć stóp pod ziemią.

– Nie, nie. Ja powiem. – Dylan spojrzał na swoją matkę. – Sprzedaję sprzęt komputerowy.

– Szpiegowski sprzęt, jak rozumiem – uściśliła Lila. – Nie wybielaj się! Rozumiesz? – zwróciła się do Rachel. – Twój syn sprzedaje małe kamerki, mikrofony i nagrywarki, i Bóg wie co jeszcze!

Dylan ukrył twarz w dłoniach.

– Po co im to było? – nakręcała się Lila, zrobiła się czerwona, gniew sprawiał, że pulsowała jej żyłka nad elegancko wyskubaną brwią. – Podsluchiwali. Po to! Podglądali. Nagrywali. Znalazłam cholerne nagranie z naszego ostatniego spotkania! Dasz wiarę? Dlaczego? Twój syn zamontował małą kamerę, którą przelożył przez kratkę wentylacyjną łączącą piętra. Rozumiesz, co mówię? W naszym domu jest kilka miejsc, gdzie piętra połączone są kratką. Wobec tego nasi chłopcy wymyślili, że fajnie będzie zabawie się w Jamesa Bonda. – Teatralnie przemierzyła długość pokoju, jej obcasy stukwały w drewnianą podłogę, po czym wręczyła Rachel kable i urządzenie, którego funkcję Rachel od razu rozpoznała.

– Czy to prawda? – zapytała syna, ale z jego mowy ciała wywnioskowała, że Lila trafiła w dziesiątkę, i nagle uświadomiła sobie, skąd wzięły się te wszystkie małe kartoniki na stosie rzeczy do recyklingu w piwnicy. Na żadnym nie było nalepki adresowej, zostały usunięte. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Teraz pojęła.

– Dylan?

– Tak. – Jego grdyka poruszyła się w górę i w dół.

O, cholera.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Żeby zarobić trochę kasy.

Znowu to samo: pieniądze.

– A komu to sprzedawałeś?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Temu, kto chciał.

– Uwierzysz? – dziwiła się Lila wysokim tonem. – No i po co to? Który licealista chce szpiegować swoich rodziców?

– Nie chodzi o rodziców – zasugerowała cicho Rachel.

– No co ty mówisz? Lucas nagrywał... Czekaj – powiedziała Lila, trybiki w jej głowie się obracały. – Masz na myśli to, że szpiegują innych nastolatków? Swoje dziewczyny i chłopaków albo... Boże! Montują ukryte kamery, żeby mieć nagie zdjęcia lub nagrania z... – Zesztywniała i wzniosła oczy do nieba, jakby chciała osobiście porozmawiać z Bogiem. – To gorsze, niż sądziłam!

– Nie! – Dylan poderwał głowę i energicznie nią pokręcił. – Nie po to! Absolutnie nie.

– To po co? – zapytała Rachel i patrzyła, jak kombinuje, co odpowiedzieć, zapewne szukając jakiegoś wiarygodnego kłamstwa lub być może po raz pierwszy zastanawiając się, jakich szkód może narobić sprzęt, który sprzedawał. – Wiesz co, Dylan, jeśli twoi koledzy, klienci, zwał jak zwał, chcieli taki sprzęt... – uniosła kable, które wcisnęła jej do ręki Lila – a są tacy porządni, to dlaczego po prostu nie zamówili go ze sklepu internetowego? – Nie czekając na odpowiedź, stwierdziła: – Oj, Dylan, niedobrze.

Potaknął.

Pomyślała o chuliganach, którzy chcieli go pobić. Schmidcie i jego kumplu Parkerze.

– To nie jest nielegalne – odparł Dylan. – Sprzedawanie takich rzeczy.

– Nie, ale co z etyką? – zapytała. – Dasz mi listę osób, które to od ciebie kupiły.

– O, nie, mamu. Moi klienci zasługują na poufność usług.

– Co? – uniosła się Lila, a Rachel posłała jej ostrzegawcze spojrzenie, by zamilkła. Lila nie posłuchała. – Nie mówimy tu o kwestiach związanych z klientami prawników czy lekarzy! Komu to sprzedawałeś? Są nieletni? Ich rodzice powinni wiedzieć.

– Dlaczego? Wiek tu nie ma nic do rzeczy – odparł Dylan. – Każdy może posiadać aparat, mikrofon czy nagrywarke. Przecież każdy ma komórkę, która potrafi to samo.

– To coś innego! – upierała się Lila. – Te urzędnienia podsłuchujące są przeznaczone do szpiegowania, naruszają prywatność innych ludzi.

– Wobec tego to sprawa ich właściciela – bronił się Dylan, myśląc na głos. – Nie moja.

Lila podeszła bliżej kanapy i zmierzyła go wzrokiem.

– Ty jesteś dostawcą!

– Nie, nie. On ma rację – wtrąciła się Harper, chociaż raz stając w obronie brata. – To zupełnie coś innego niż gdyby mając ponad dwadzieścia jeden lat, sprzedawał piwo nieletnim, prawda? To nie jest sprawa między nim a tobą albo nawet tobą – wskazała najpierw na Lilę, potem na Rachel – i nie musi tłumaczyć się policji, co robią jego „klienci”.

Miała rację.

– Ich rodzice muszą wiedzieć! – upierała się Lila, chociaż jej wściekłość zaczynała powoli wyparowywać. – Słuchaj, chciałam, żebyś wiedziała, co się dzieje – wytłumaczyła Rachel.

Rachel zmusiła się do uśmiechu, choć wcale nie było jej wesoło.

– No to już wiem.

– Możemy już odejść? – zapytał Dylan.

– Możecie. – Lila gestem dłoni pokazała im, żeby wyszli, więc cała trójka wstała z kanapy i pośpiesznie się oddaliła. Reno poszedł za nimi. Zabunkrowali się w pokoju Dylana.

Lila, która patrzyła, jak wychodzą, westchnęła. Opadły jej szczupłe ramiona.

– Ojej, czasami nie cierpię być matką. Lucas doprowadza mnie do szału swoimi humorami. Kiedy Chuck pozbył się Xandera, mogłoby się wydawać, że to koniec świata. – Przygryzła wargę, ściągnęła brwi i spojrzała w głąb korytarza. – Ma temperament ojca.

– A może matki? – zasugerowała Rachel. O Luke’u można było wiele powiedzieć, ale pominąwszy rzadkie wybuchy agresji na boisku, nie był gwałtowny. Nic takiego nie pamiętała.

– Pewnie tak – zgodziła się. – Czy byliśmy aż tak przebiegłe i skryte? – zapytała i w zamyśleniu pokręciła głową. – Nie odpowiadaj. Byliśmy gorsze. – I znowu ta przeszłość, ich własne lata nastoletnie, a raczej noc, która zmieniła ich życie, gdy bez pozwolenia oddaliły się od domu, a Luke umarł. – Chyba przesadziłam.

– Tak sądzisz?

Lila spojrzała na nią, lekko uniosła kącik ust.

– Okej, okej. Wiem, że czasem bywam panikarą, ale na miłość boską, odkąd znaleziono Violet, ledwie się trzymam. Najpierw ona, potem Annessa, a teraz Nate... Boże, mam nadzieję, że z nim wszystko w porządku. – Uniosła bezradnie jedną rękę. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co też mogło mu się stać. Gdzie on, do cholery, jest?

– Znajdzie się. Może jest u swojej dziewczyny.

– Annessa była jego dziewczyną.

– Może miał jeszcze jedną.

– To dlaczego nie daje znaku życia? Wszędzie w wiadomościach mówią, że zaginęła. – Potarła przedramiona, jakby nagle poczuła chłód. – To takie denerwujące, co nie? I takie cholernie straszne. – Ponownie spojrzała z troską w głąb korytarza. – Trudno uwierzyć, że minął niecały tydzień, odkąd to się zaczęło. A jeśli to jeszcze nie koniec? Zanim dojdzie do zjazdu, pół klasy może zginąć.

– Nawet tak nie mów!

– Wiem, ale to prawda! Pomyśl tylko, co się wydarzyło od zeszłego piątku!

Od rocznicy śmierci Luke’a, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos, tylko w duchu zgodziła się z Lilą, że życie w Edgewater stało się dziwne i straszne.

Lila spojrzała na zegarek.

– Muszę lecieć. Chciałam tylko osobiście się przekonać, co kombinuje Dylan. – Wysłała na korytarz. – Lucas! Chodź tutaj. Musimy jechać! – Lekko zapukała do drzwi pokoju Dylana i sięgnęła do klamki, lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Lucas.

– Tak, wiem – rzucił, a w tonie jego głosu było coś, co Rachel kogoś przypominało... Luke'a? Nie, raczej nie jego, nie potrafiła wskazać tej osoby, bezskutecznie próbowała znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Nie udało się. Umysł płał jej figle.

Harper spojrzała na kuzyna, szybko się pożegnała, po czym poszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Lila i Lucas odjechali nowym mercedesem. Rachel patrzyła, jak się oddalają, po czym wyłączyła światła na ganku i w duchu zapragnęła, żeby Cade już przyjechał. W domu było bezpiecznie, gdy miała go blisko.

Kiedy zamknęła drzwi i przekreślała zasuwkę, przypomniał jej się ich ostatni pocałunek, tak delikatny i subtelny.

Zaschło jej w gardle, ale pozwoliła, by pamięć podsunęła jej inne, bardziej zmysłowe pocałunki z otwartymi ustami, szybkimi językami i niecierpliwymi wargami. Gorące i spocone ciała. Szaleńczo bijące serca, ciekawskie dłonie, krótki oddech.

– O matko – wyszeptala, czując ciepło w żyłach i tęsknotę rodzącą się gdzieś głęboko w jej wnętrzu. Pożądanie, którego nie doświadczyła od dawna.

Tyle czasu minęło...

Nie myśl o tym! – głos w głowie przywołał ją do rzeczywistości.

To koniec.

Czego nie rozumiesz?

Zdegustowana swoimi myślami, zacisnęła zęby, upewniła się, że drzwi zostały zamknięte, i włączyła alarm. Następnie powiedziała sobie, że jest idiotką, skoro marzy o swoim byłym i żałuje, że go tu nie ma. Nie był już jej mężem i nie stało się to bez powodu. Jej fantazje seksualne były tylko wspomnieniami, które nigdy ponownie się nie ziszczą.

Na razie ona i dzieci pozostawali sami.

Poza tym musiała wreszcie odbyć długo odkładaną rozmowę z Dylanem.

Wyczuwała, że jej syn nie tylko dorasta, ale oddala się od niej, a na to nie mogła pozwolić. Jeszcze nie. Był wciąż cholernie młody.

Zapukała do drzwi jego pokoju i weszła do środka.

Siedział przy jednym z komputerów i gapił się w ekran. Nie podniósł głowy, ale rzucił:

– Wiem, mam kłopoty, na pewno dostanę szlaban na całe życie i powiesz tacie.

– To na początek.

– Super. Nie wystarczy, że mam kłopoty w szkole. – Boczył się, patrząc na monitor. – I pewnie jesteś wkurzona, ponieważ dotyczy to też Lili i Lucasa. Mam rację?

– Masz.

Stała w nogach łóżka i patrzyła, jakie emocje pojawiają się na jego oświetlonej światłem monitora twarzy. Jak na razie wydawało jej się, że dotarło do niego to, co chciała mu przekazać.

– Dobrze, Dylan, to mniej więcej sedno sprawy. Mniej więcej.

– Czyli?

– Powiesz mi, dlaczego zaopatrywałeś znajomych w sprzęt szpiegowski?

– Już mówiłem: dla pieniędzy, mamo. Bez kitu. – Ściągnął brwi nad nosem i przypomniał jej: – To ty zawsze powtarzasz, jak kiepsko stoimy z forszą, a teraz, gdy szukasz pracy, będzie jeszcze gorzej. Co nie? Harper nie dostanie samochodu, dopóki nie uzbiera połowy ceny czy coś w tym stylu. A ja w przyszłym roku kończę szesnaście lat, więc domyślam się, że mnie będzie obowiązywała taka sama umowa.

Stwierdziłem, że nie zaszkodzi już teraz o tym pomyśleć. I tyle. Bo przecież nie pozwoliś mi pójść do prawdziwej pracy, nie teraz w każdym razie. Co nie? Więc wymyśliłem, że tak mogę trochę zarobić. To wszystko.

– To nie wszystko – zaprzeczyła. – Ponieważ zrobiłeś to za moimi plecami.

– Tak, wiem. – Westchnął przez nos. – Ale ty byś mi nie pozwoliła.

Nie zaprzeczyła, przyglądała mu się, temu chłopakowi, który niedługo miał stać się mężczyzną.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała, a on spojrzał na nią spłoszony.

– Nie. Nic – mruknął po chwili.

Dostrzegła kłamstwo w jego oczach.

– Jesteś pewny?

– Tak. Yhy. – Szybko pokiwał głową, jakby chciał przekonać sam siebie.

– Dobrze. Ale daj mi znać, jak sobie o czymś przypomnisz.

Pauza. Milczenie.

– Dylan?

– Tak – potaknął. – Jasne. – A potem: – I nic nie mów. Wiem, że musisz powiedzieć tacie.

Ned włączył na telefonie swoją ulubioną playlistę z kawalkami hardrockowymi i zaczął nakładać ostatnią warstwę farby w łazience, upewniając się, że nie zostawia na położonych samodzielnie i z mozołem kafelkach najmniejszej smugi; jego robota wyglądała całkiem dobrze.

Kiedy odsunął się o krok i przyglądał efektowi, ujrzał swoje odbicie w lustrze: starzejący się mężczyzna z wystającym brzuszkiem, dawniej z jasną czupryną, teraz posiwiąłą i przerzedzoną, z okularami na nosie, który wyglądał jak mapa złożona z popękanych naczynek tuż pod skórą. Dawniej policjant z dobrą reputacją, przyzwoitą kobietą u boku i uwielbianą przez siebie córką, teraz pracował w ochronie, głównie przechadzał się po centrum handlowym w Astorii; był rozwiedziony, mieszkał z nieodłączną zgrzewką piwa i duchami przeszłości.

Co za upadek.

Wszystko przez kobietę.

Boże, jakim był głupcem.

Okłamał siebie i każdą cholerną osobę, która coś znaczyła w jego życiu.

Ponad dźwiękami Janies's Got a Gun Aerosmith usłyszał jakiś przytłumiony odgłos.

Czyżby ktoś nasisnął kłamkę?

Dziwne. Zaskoczony, wyłączył playlistę i wyrztał na ciemny korytarz.

– Halo? – zawołał, czując się jak dureń. Był sam. Wiedział o tym. Ale i tak wyrztał, bo wzięły nad nim górę policyjne przyzwyczajenia. W domu panowała cisza, więc uznał, że tylko mu się wydawało. Jak mógł cokolwiek słyszeć, skoro głośno grała muzyka? Znowu włączył „play” na telefonie i Steven Tyler dalej śpiewał w niewielkiej łazience.

Ned sięgnął po na wpół opróżnioną puszkę budweisera, która stała na pokrywie rezerwuaru toalety obok glocka, tego, którego zdobył wiele lat temu, skonfiskował go i zagarnął dla siebie podczas nalotu, gdy był jeszcze przed trzydziestką. Użył tej niezarejestrowanej broni tylko raz.

Do dzisiaj.

Zapewne.

Do łazienki wszedł kot i kręcił ósemki między jego nogami.

– Lepiej wracaj do domu, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

Ale ten chudzina prawdopodobnie nie miał żadnego innego domu. Nazwał go lub ją – kto wie? – Inky. Kto zajmie się walecznym kotem, gdy jego zabraknie?

Nieważne; zwierzak potrafił o siebie zadbać.

Pociągnął długi łyk i osuszył puszkę, zgniótł ją i rzucił na podłogę, wyścieloną folią malarską.

Ponownie spojrzął na swoje dzieło w łazience i potarł szczękę. Jeśli rzeczywiście znajdzie dość odwagi, by strzelić sobie w usta, czy udałoby się zrobić tak, żeby krew i mózg nie zachlapały ścian?

Do diabła, jakie to ma znaczenie? Ktoś znajdzie twoje gnijące truchło z odstrzeloną w połowie głową. Czy sądzisz, że będą zwracać uwagę na równo położone fugi?

Jeszcze raz popatrzył na zarośniętego mężczyznę w lustrze, faceta, który wyglądał dużo starzej niż w rzeczywistości. I był przekłętym durniem.

Być może pistolet był tchórzliwym wyjściem z sytuacji.

Chyba powinien zachowywać się jak facet z jajami. Pora powiedzieć prawdę. Od dawna skrywaną.

Powinien obnażyć swoją duszę.

Zmierzyć się z konsekwencjami.

Zaakceptować je – każdą z nich.

Jego córka go znenawidzi i trudno będzie mieć jej to za złe. Dźwigała ciężar, sądząc, że zabiła swojego przyrodniego brata, podczas gdy on, detektyw Ned Gaston, który poszedł za swoimi dziećmi do wytwórni, wszedł w grobową ciemność budynku i wyjął broń. Ukryty w cieniu, korzystając z zamieszania, niezauważony stanął koło Rachel. Strzelił równocześnie z nią. Wystrzeliły prawdziwe kule i śrutowe kulki. Zadbał o to, żeby Glocka, który teraz leżał na pokrywie rezerwuaru toalety, nigdy nie znalazł, podczas gdy broń Rachel została kopnięta do zsypu nad rzeką. To on przekonał Richarda Morettiego, żeby na akcie zgonu napisał, że chłopak był martwy w chwili przywiezienia do szpitala, i by pozwolił mu umrzeć. I tak byłby roślinką. Ned miał wtedy co do tego pewność, teraz już nie był aż tak przekonany. Ale pozwolił, by jego córka przez całe swoje dorosłe życie zmagala się z poczuciem winy za uśmiercenie brata. Jezusie, Boże, chyba powinien z tym skończyć.

Tak naprawdę nie zamierzał zabijać Luke'a... chyba. Czy skłoniło go do tego jego rozpadające się małżeństwo? Jego duszę trawiło poczucie winy. Chodziło o coś więcej. Coś innego niż krnąbrny, zbuntowany nastolatek, mówiący mu takie rzeczy jak: „Nie jesteś moim prawdziwym ojcem”. Nie, to tylko wymówka, a kiedy tamtej nocy poszedł za dziećmi do wytwórni, zamierzając zaciągnąć go do domu, był uzbrojony po zęby. Ze względu na to, co odkrył, bo wiedział, że chłopak... Boże święty, nie powinien był pociągnąć za spust; powinien był go opierniczyć i odesłać ich gdzieś w cholerę. Ale napędzany kilkoma szklanceczkami dżinu z tonikiem i świadomością, że jego życie się sypie, stracił umiejętność właściwej oceny sytuacji i panowanie nad sobą. Postradał zmysły. Faktem było, że Luke okłamywał swoich rodziców i pieprzył Lilę Kostas, przyjaciółkę Rachel. Nawet teraz, gdy o tym myślał, zacisnął dłonie w pięści.

Jako ojczym Luke'a Hollandera przechodził drogę przez mękę, ale mimo to nie powinien był wyjmować broni, strzelać ani pozwolić na to, by jego córka wzięła odpowiedzialność za jego zbrodnię, jego działanie pod wpływem wzburzenia.

Czyżby?

Z pewnością nie zrobił tego z premedytacją.

Nie, nie, nie...

Boże, był durniem i tchórzem. Pomasażował kark i powstrzymał się od popadania w coraz bardziej ponure i niebezpieczne myśli.

Kot zamiauczał. Ned zauważył, że kiedy on rozważał swoje opcje, zwierzę wyszło z łazienki, a z telefonu zaczęła lecieć piosenka Bon Jovi *Wanted Dead or Alive*. Świetnie. Pochłonęły go słowa tego kawałka, gdy nagle zdał sobie z czegoś sprawę. Kot powinien być na dworze. Nie zostawił otwartych drzwi.

A może jednak?

Przypomniał sobie hałas sprzed chwili, cichy dźwięk, który zignorował. Teraz napiął mięśnie ramion i ruszył korytarzem do kuchni, gdzie było tylne wyjście z domu.

Zamknięte.

Aha.

Coś tu nie grało.

Włoski na jego karku się uniosły, gdy pomyślał, że ktoś mógł wejść do środka. Ale kto? Czyżby nie zamknął drzwi na klucz? Nie... raczej nie. Pamiętał, jak wychodził na dwór do samochodu, żeby zabrać folię malarską, ale nie pamiętał, czy zamknął drzwi na klucz.

Więc ktoś mógł być w środku.

Skradając się, wrócił do łazienki, żeby zabrać pistolet, wszedł do pomieszczenia i spojrzał na rezerwuwar toalety.

Na pokrywie nie było glocka.

Spuścił wzrok na podłogę, zamknął klapę toalety, sądząc, że spadł, ale nie...

Usłyszał za plecami skrzypiącą deskę podłogową. Zastygł.

– Nie ruszaj się – powiedział niski głos tuż za nim. Lufa pistoletu – bez wątpienia należącego do niego – wbijała się pomiędzy jego łopatki. – Nawet, kurwa, nie oddychaj.

W lustrze dostrzegł cień stojącego za nim mężczyzny, ale jego rysy pozostawały niewidoczne.

Jakiś wariat wszedł do jego domu i na dodatek miał nad nim przewagę!

Puls dudnił mu w uszach, gdy próbował wymyślić, co zrobić. Gdyby zamachnął się do tyłu łokciem, może udałoby mu się przewrócić gościa, a strzał być może ominąłby najważniejsze narządy i...

– Nadszedł czas zapłaty, brudny glino – wyszeptał głos tak blisko, że Ned poczuł gorący oddech napastnika na swoim uchu.

Chciał się odwrócić, ale było za późno.

Poczuł, że broń się porusza, przesuwa z pleców na jego skroń. W lustrze zobaczył wyraźniejsze odbicie napastnika i o mało nie stanęło mu serce.

– Nie! – krzyknął, nagle desperacko pragnąc żyć. – Synu, nie!

Jego błagania nie przyniosły żadnego skutku.

Zabójca pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ 36

O dziewiątej wieczorem Cade przeciągnął się na krześle przy biurku. Był zmęczony, poprzedniej nocy prawie nie spał. Zadzwonił do Neda Gastona, ale jak dotąd nie udało mu się połączyć ze swoim byłym teściem.

Od rozmowy z Richardem Morettim Cade chciał namierzyć byłego policjanta. Czegoś mu brakowało w tej historii o śmierci Luke'a Hollandera, czegoś tu nie rozumiał. Ta zagadka i uczucie, że coś mu umyka, wciąż go niepokoiły, nawet podczas rozmowy z Denise Aimes.

Razem z Voss przywieźli beagle'a na posterunek. Po wyczesaniu Freddy'ego, czyli Monty'ego, i zebraniu jego sierści Voss oddała psa wdzięcznej właścicielce, która nie posiadała się z radości, gdy odzyskała swojego „niegrzecznego chłopczyka”. Przynajmniej tak opowiedziała mu o tym Voss, przewracając oczami.

– Jakby był dzieckiem – zauważyła. – Oj, cóż, dla każdego coś dobrego. Przynajmniej laboratorium ma coś do porównania z tym włosem znalezionym na miejscu.

– Razem z próbkami psów Sperrych.

– No tak, to mają więcej próbek – skwitowała z kwaśną miną.

Miał już kończyć pracę – jechać do domu i wreszcie się przespać lub pojechać do Rachel i sprawdzić, co u nich – kiedy zadzwonił telefon na jego biurku. Ziewając, odebrał, a Donna Jean oznajmiła, że łączy rozmowę z wydziałem policji w Seaside.

– Mówi Ryder – rzucił, gdy go przełączyła.

– Tak. Tu Max Swanson z policji Seaside. Znaleźliśmy pojazd, buicka leSabre z dziewięćdziesiątego siódmego na tablicach z Idaho. Ten sam numer, którego szukacie. – Żeby potwierdzić, odczytał numer rejestracyjny.

Cade w jednej chwili się rozbudził, zapomniał o śnie.

– Dokładnie tak.

– W porządku. Auto parkuje przed Luxor Apartments, wynajem krótkoterminowy, ale wydaje nam się, że kierowca poszedł na miasto. Jeden z chłopaków na patrolu zauważył pojazd i widział, jak mężczyzna oddała się w stronę Broadwayu, więc poszedł za nim. Obecnie znajduje się w Wooden Nickel na Czwartej Ulicy. To blisko rzeki. Jeden z moich ludzi będzie miał go na oku w środku.

– Już jedziemy. To Bruce Hollander, niedawno wyszedł na wolność.

– Rozumiem.

– Uważajcie na niego. Może być uzbrojony. – Pomyślał o zaginionym pistolecie Violet Sperry. – A raczej prawie na pewno jest uzbrojony. Będę za pół godziny, może trochę później. – Jechało się tam czterdzieści pięć minut, ale doda gazu.

– Mamy go zatrzymać?

– Beze mnie nie, ale nie zgubcie go. – Cade chciał porozmawiać z Hollanderem, zanim będzie miał do czynienia z innymi policjantami i postanowi skorzystać z usług prawnika. Jako były skazaniec Hollander dobrze się na tym znał, ale może coś chlapnie, nim zamilknie na dobre. – Sądźmy, że to facet z nagrania, wobec tego byłby ostatnią osobą, która widziała Nathana Morettiego, zaginionego, chociaż sam Moretti może okazać się podejrzanym. Hollander znajdował się w pobliżu miejsca, gdzie doszło do brutalnego morderstwa, i, pewnie nie uwierzysz, jest głównym podejrzanym w sprawie kradzieży psa, która już została rozwiązana.

– Słucham?

– Nie pytaj, tylko nie spuszczaaj go z oka. – Cade już sięgał po służbową broń.

– Masz to jak w banku.

– Okej. Jedziemy – powiedział, po czym podał Swansonowi numer swojej komórki, założył kaburę i upewnił się, że ma dodatkowy magazynek. – Zaczyna się – poinformował Voss. – Bruce’a Hollandera namierzili w Seaside. Weź broń.

– Jak to koci? – zdziwiła się Kayleigh. Właśnie wróciła do domu i zaczęła się rozbierać, kiedy odebrała telefon od Akiry Wu, techniczki badającej włos znaleziony na taśmie malarskiej. Wu obiecała ją poinformować, nieważne o której, i słowa dotrzymała. – Mówisz, że włos na taśmie należy do kota?

– Właśnie to mówię.

– Jesteś pewna? – zapytała Kayleigh, a cisza w słuchawce była niezwykle wymowna: Akira rzadko kiedy się myliła (być może nawet nigdy). – Dobrze, niech będzie, tylko że kobieta, którą zabito, mieszkała z trzema psami, a jeden z podejrzanych uprowadził beagle’a i...

– Koci włos. Bez wątpienia.

– Dobrze, rozumiem. – I co miała z tym zrobić? – Dzięki.

– Nie ma za co. – Akira się rozłączyła, pozostawiając Kayleigh bez nadziei i z pytaniem, co dalej.

– Odpuść – powiedziała sobie; ta kocia sierść to na pewno fałszywy trop. Włosek mógł się przyczepić dosłownie wszędzie, taśma przecież ma niekończący się okres przechowywania. Sprawdziła u producenta, że taka taśma malarska jest produkowana od przeszło dziesięciu lat i można ją kupić w całym kraju i w Kanadzie.

I co z tego mieli? Nic, okrągłe zero.

Wrzuciła ubrania do kosza na brudy i poszła pod prysznic, gdzie zamierzała zmyć z siebie zmartwienia całego dnia. I pomyśleć. Była przemęczona, gdy weszła pod ciepły natrysk i namydliła ciało i włosy. Sprawa dawała jej się w znaki, jej myśli krążyły wokół ofiar – dwóch kobiet, a teraz być może także mężczyzny, którzy znali się nawzajem, kończyli szkołę w tym samym roku i obecnie zajmowali się cholernym zjazdem z okazji dwudziestej rocznicy tego wydarzenia.

Chyba że trzecia ofiara, Nate Moretti, w rzeczywistości nie była ofiarą, lecz zabójcą.

Czy to miało sens?

Czy zawiesiłby swoją kochankę w dzwonnicy?

Jak ta zbrodnia łączyła się z zabójstwem Violet Sperry?

Pieprzoną taśmą malarską.

– Wrrrr. – Zachnęła się, splukując nagie ciało ciepłą wodą. W końcu zakręciła kurki, wytarła się i założyła oversizowy T-shirt na świeżą bieliznę. Spać. Tego jej było trzeba. Osiem godzin. Może dziewięć. Albo i dziesięć. Będzie spała, ile się da.

Dzwonek telefonu usłyszała, gdy rozczesywała mokre włosy. Na ekranie wyświetlił się numer Cade’a. Podskoczyło jej serce, ale wytłumaczyła sobie zaraz, że to przez wzgląd na śledztwo i nie ma nic wspólnego z jej uczuciami. Nic a nic.

– Cześć.

– Dzwonię, żeby coś ci powiedzieć – oznajmił poważnie, czyli dzwonił służbowo. – Namierziliśmy Bruce’a Hollandera.

– Mów. – Przełączyła na tryb głośnomówiący i spięła włosy w kok, zabezpieczyła je gumką, po czym założyła czyste dżinsy i bluzę, podczas gdy on streszczał rozmowę z policją w Seaside i opowiedział jej o spotkaniu z Denise Aimes, kuzynką Hollandera.

– A więc ma alibi na noc, kiedy zamordowano Violet Sperry?

– No właśnie.

Westchnęła.

- No cóż, kolejna niespodzianka. Jak ten włos z taśmy malarskiej.
 - Słucham?
 - Nie należy do psa. Jest koci.
 - Koci?
 - Bingo.
 - Ale...
 - Wiem... wszędzie same psy.
 - Kurwa. - Zamilkł na chwilę, po czym stwierdził: - I tak musimy z nim pogadać. Hollander jest w to zamieszany. Musimy dowiedzieć się w jaki sposób.
 - Zgoda - przyznała. - Mogę być za dwadzieścia minut.
 - Do zobaczenia na miejscu. - Zakończył rozmowę, a ona, nie tracąc czasu, zadzwoniła do Biggsa, żeby zrelacjonować mu najnowsze wydarzenia i dodać: - Już tam jadę.
 - Podjedź po mnie. Jestem gotowy. - W tle usłyszała zaspiany głos protestującej żony Biggsa, ale policjant już się rozłączył i kiedy podjechała pod jego dom pokryty świeżą warstwą szarej farby, czekał na nią, oparty o słupek przytrzymujący zadaszenie nad gankiem. Na widok jej hondy zatrzymującej się przy krawężniku, podbiegł i usiadł na miejscu pasażera.
 - Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego jesteśmy zainteresowani zgarnięciem tego gościa. - Biggs zapiał pas, a ona ruszyła w stronę autostrady, gdzie dołączyła do niezbyt licznych aut jadących na południe. - Co ten recydywista ma wspólnego z zabójstwem Sperry?
 - Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. - Zwolniła przed rondem, po czym dodała gazu i wjechała na most nad Young Bay, gdzie czarna jak atrament woda ciągnęła się po obu stronach drogi 101.
 - Puls jej przyspieszył, odczuwała zarówno niepokój, jak i ekscytację. To może być punkt zwrotny w śledztwie. Skupiona na ciemnej drodze przed sobą, wsłuchana w szmer opon sunących po suchym asfalcie, upomniała się, że powinna zachować zimną krew. Bruce Hollander może nie mieć absolutnie nic wspólnego z morderstwem Sperry. To może być tylko daremny trud. Cade Ryder już kiedyś się mylił. Mimo to, co miała do stracenia?
- Cade wisił na telefonie przez całą drogę do Seaside. O tym, co się dzieje, powiadomił nie tylko Kayleigh, ale także był w kontakcie z miejscową policją.
- W miasteczku panowała karnawałowa atmosfera, ponieważ było to miejsce, gdzie portlandczycy od ponad stu lat przyjeżdżali na plażę i posurfować. Długa promenada ciągnęła się wzdłuż brzegu Pacyfiku, oddzielając centrum miasta od plaży. Broadway była główną ulicą, łączyła autostradę Pacific Coast z dzielnicą biznesową i skręcała za promenadą. Stały przy niej sklepy, centra handlowe przypominające magazyny, tawerny i centra rozrywki z minigolfem i samochodzikami. Latem po chodnikach przechadzali się turyści, a na jezdniach tłoczyły się auta, rowery i dorożki.
- Teraz koło północy pod koniec maja na ulicach panował spokój, samochody stały na parkingach lub wzdłuż krawężników, po chodnikach spacerowało niewiele osób. Palacze trzymali się blisko wejść do klubów, skąd dobiegały odgłosy muzyki i gwar ludzi, ale samochodziki, sklepy z koszulkami i pamiątkami oraz lodziarnie już się pozamykały.
- Choć miał nadzieję, że Hollander pójdzie z nimi, nie stawiając oporu, spodziewał się, że sprawy przybiorą inny obrót. Żeby nie ryzykować strzelaniny w browarze, gdzie mogliby postrzelić lub zabić przypadkowych gości, policjanci zajęli pozycje przed i za budynkiem, gdzie mieli na oku wyjścia. Dillinger, policjant znajdujący się w lokalu, kontaktował się z nimi przez ukryty mikrofon. Wszyscy mieli możliwość komunikowania się między sobą.
- Całkiem fikuśnie jak na takie małe miasteczko - zauważył Cade, gdy dostał douszną słuchawkę.
 - Właśnie z fikuśności jesteśmy znani - stwierdził sarkastycznie Swanson.

Przybyła Kayleigh ze swoim partnerem. Oni również mieli zestawy słuchawkowe i zajęli pozycje na ulicy.

Teraz to już była tylko kwestia czasu.

Wobec tego czekali.

Cade stanął w drzwiach zamkniętej restauracji obok pubu i sprawdził godzinę.

Prawie pierwsza w nocy.

Niedługo będą zamykać knajpę.

Dobrze.

Czas płynął powoli. Ulicą przejechało kilka samochodów, które skręciły na końcu Broadwayu i zniknęły. Grupa roześmianych, przeklinających nastolatków, zapewne pod wpływem narkotyków, przemieszczała się hałaśliwie pomiędzy zaparkowanymi autami i zniknęła za rogiem, nie mając pojęcia, że właśnie wyminęła kilku uzbrojonych policjantów.

Nagle w drzwiach Wooden Nickel zrobił się ruch.

Cade napiął mięśnie, trzymał broń w pogotowiu.

Wyszła jakaś para przed trzydziestką. Nie mogli oderwać od siebie rąk, całowali się zachłannie, idąc w stronę lśniącego czterodrzwiowego nissana zaparkowanego koło mostu, gdzie na pozycji stała Kayleigh. Ktoś, zapewne Swanson, wyszeptał w słuchawkę:

– Jezu, jedźcie do motelu!

– Dobry pomysł – odpowiedział inny policjant. – O! je.

– Cii! – Ktoś przywołał ich do porządku.

Mężczyzna pomógł zamroczonej alkoholem dziewczynie wsiąść do auta, po czym pospiesznie zajęł miejsce za kierownicą, a gdy zamknął drzwi, przyciągnął ją do siebie. Znowu się migdalili, aż zaparowały szyby ich wozu.

Cade przez większość czasu nie zwracał na nich uwagi, skupiał się na drzwiach knajpy.

Nissan z rykiem silnika odjechał z parkingu, przejechał ulicę, a gdy skręcił za róg, stracili z oczu czerwone tyłne światła.

Na ulicy znowu zrobiło się spokojnie, dziwną ciszę zakłócał tylko szum pojazdów jadących autostradą, odgłos morza na zachodzie i od czasu do czasu wybuch śmiechu w pubie.

Cade czekał.

Ale nie za długo. Po kilku minutach w słuchawce rozbrzmiał głos.

– Płaci rachunek – wyszeptał Dilinger. – Szykujcie się. Ma kaszkiet i kurtkę moro.

Cade zacisnął palce na pistolecie.

– Idzie w stronę drzwi. – To znowu Dilinger.

Cade kątem oka ujrzał jakiś ruch w cieniu.

Inni członkowie zespołu podeszli bliżej wyjścia. Powiedział sobie, że ma się uspokoić, chociaż wszystkie mięśnie i nerwy miał napięte jak struny.

Zacisnął zęby.

W otwartych drzwiach stała jakaś postać, facet w bejsbolówce i kurtce dzinsowej. Hollander? Wzrost się zgadzał, ale jego twarz była ukryta pod daszkiem czapki. I czy policjant w środku nie mówił, że ma być w kurtce moro?

Jego serce dudniło jak szalone.

– Cholera – zaklął Dilinger, gdy podejrzany wyszedł na ulicę, stanął w neonowym świetle szyldu pubu, i, jakby wyczuwając, że coś tu nie gra, przechylił głowę w jedną stronę. Nasłuchiwał i włożył rękę do kieszeni kurtki.

Czyżby sięgał po broń?

– Wstrzymać ogień! – wyszeptał Dilinger. – To nie on! To nie on!

Zza rogu wyszedł Swanson i gdy mężczyzna ruszył przez ulicę, przeszedłszy pomiędzy dwoma zaparkowanymi autami, wycelował w niego z broni.

– Policja!

Cade oderwał się od bramy sąsiedniego budynku. Coś tu nie grało.

– Brusie Hollander, trzymaj ręce tak, żebyśmy je widzieli! – krzyknął Swanson.

– Słucham? – powiedział facet w czapce i podniósł wzrok. – O, Jezu. – Wyglądał tak, jakby miał się zaraz poszczać w gacie. – Kim, do cholery, jesteście?

– To nie on! To nie on! – powtarzał Dilinger. – To nie Hollander. Wstrzymać akcję. To nie Hollander! Pojawili się jeszcze trzej policjanci z bronią.

Przez słuchawkę Cade słyszał spanikowany głos Dilingera.

– Teraz wychodzi! Uważajcie! Ktoś inny wyszedł przed nim, ale teraz pojawi się Hollander!

– O, cholera – rzucił Swanson.

– Co, do kurwy? – zapytał facet w czapce.

– Zabierz go stąd – rozkazał Cade Swansonowi, a następnie zwrócił się do mężczyzny: – Niech pan się odsunie! Już! Na ziemię! Na ziemię!

– Co? – Facet rozejrzał się wkoło i zobaczył innych policjantów. – O, kurwa!

W drzwiach stanął drugi facet – w moro i bejsbolówce.

Hollander!

– Cholera! – powtórzył Swanson.

– Idę za nim – oświadczył Dilinger.

Hollander, zobaczywszy, co się dzieje, zlustrował otoczenie i zaczął się wycofywać w stronę pubu.

– Policja! – krzyknął Cade. – Brusie Hollander, ręce do góry!

– Już! Ręce tam, gdzie je będę widział, i na głębę – wrzasnął Dilinger. W słuchawce rozległy się też inne głosy, także należące do bywalców baru, którzy próbowali wydostać się na zewnątrz.

– Klienci wychodzą tyłem – zauważył jakiś gliniarz.

– Mieście ich na oku – rozkazał Cade, sądząc, że Hollander będzie próbował uciec. – Sprawdźcie, czy go tam nie ma.

Ale to nie było konieczne.

Hollander, jakby go ktoś potraktował prądem, rzucił się do przodu, w chwili gdy facet w dżinsowej kurtce położył się na chodniku, z tysej głowy spadła mu czapka i potoczyła się po ziemi.

– Nie strzelajcie! – prosił leżący.

Hollander, widząc, że znalazł się w pułapce, wyjął z kieszeni pistolet.

– Cofnąć się! – wrzasnął gorączkowo, wytrzeszczając oczy pod daszkiem czapki. – Cofnąć się, kurwa!

– Broń! Ma broń! – ostrzegł Cade, celując jednocześnie do Hollandera. Potem zwrócił się do podejrzanego: – Rzuć broń! Już!

W drzwiach stanął Dilinger z pistoletem w dłoni.

– Nie strzelaj! Na miłość... Nie strzelaj! – Facet na ziemi zasłonił głowę rękami.

Hollander wycelował w Cade'a.

Bum!

Kula trafiła go w ramię, zatoczył się w tył, ale nacisnął spust. Chybił, ugięły się pod nim nogi, chodnik przybliżył się w szybkim tempie. Łup! Uderzył głową w twardy beton. Ból przeszył jego mózg. Rozbił nos, zalewała go ciepła krew.

– Nie! – usłyszał krzyk jakiejś kobiety. – Nie! Nie! Nie!

– Dostał! Ryder dostał! – krzyczał Swanson.

– Brać go! Brać Hollandera – wrzasnął jakiś inny mężczyzna, ale Cade nie potrafił się skupić, nie rozpoznał tego głosu. Świat wirował, latarnie uliczne i gwiazdy... i... ciężko się myślało. Jego umysł pływał, ciągnęło go w bezpieczne objęcia braku świadomości.

Usłyszał kolejne strzały, przez kilka sekund było głośno, ledwie do niego docierało, że ludzie biegają, krzyczą i świat się kręci.

Jęknął, starał się nie stracić przytomności, nagle poczuł, że ktoś go dotyka, wyczuł, że ktoś się pochyla nad nim. Oddycha szybko. Kobieta. Znał ją. Zamrugął, zszokowała go myśl, że to może być Rachel, próbował się skupić. Schylona nad nim, delikatnie go dotykała.

– Rachel? – wyszeptał.

– Nie... – powiedziała załamującym się głosem. – Kayleigh. Detektyw O'Meara.

Nie potrafił się skoncentrować, wciągała go ciemność.

Kazała mu odpowiedzieć, krzyczała na niego, może płakała, ale nie był w stanie mówić, nie chciał mówić. Gdyby tylko mógł zamknąć oczy...

– Ryder! Zostań ze mną! – wrzeszczała. – Ryder! Cade? Słyszysz mnie? Cholera, zostań ze mną! Ani się waż odchodzić!

ROZDZIAŁ 37

Łup!

Rachel uniosła powieki.

Pociła się, jej serce biło jak po biegu, sen był tak prawdziwy i wyraźny. Pod wieloma względami przypominał wcześniejsze. Była dwadzieścia lat młodsza i znajdowała się wraz z innymi w ogromnej wytwórni. Spojrzała w dół i zobaczyła, że w ręce trzyma broń, potem upadł Luke, ale tym razem, gdy popatrzył na nią, zmienił postać, jego twarz zmieniała się z jednego mężczyzny z jej życia w innego, od Luke'a po Lucasa, Dylana, potem w jej ojca, a wreszcie w Xandera Vale'a. mimo to nacisnęła cyngiel, pistolet wystrzelił w jej ręce, z podłogi znowu patrzył na nią Luke.

Teraz się ocknęła. Coś ją obudziło. Jakiś nietypowy dźwięk.

Wystrzał?

Nastuchiwała przez chwilę, leżąc w łóżku, wyęzając słuch i starając się usłyszeć coś ponad szybkim biciem swojego serca, gdy dobiegł ją warkot silnika samochodu. Więc zapewne obudził ją gaźnik pojazdu, który wdarł się w jej sen i tak ją przestraszył, że otworzyła oczy. Ale to było zaskakujące. Jak często się teraz słyszy strzelające gaźniki?

Poza tym dźwięk był inny, jakby stłumiony.

I pochodził ze środka domu.

W nogach łóżka przeciągnął się Reno, potem zeskoczył i potupał w stronę drzwi. Obejrzał się do tyłu, jakby chciał powiedzieć: „Na co czekasz?”. Sygnalizował, że chce wyjść na dwór.

– Jest środek nocy – marudziła, odgarniając włosy z oczu.

Nie ustąpił. Zaczął skamleć.

Już miała go przywołać z powrotem do łóżka, kiedy coś usłyszała. Jakiś chrobot na panelach? Kroki? Ktoś wstał? Jej serce zrobiło fikołka, chociaż powtarzała sobie, że to zapewne Dylan poszedł po coś do lodówki. Czasami tak robił – siedział długo przy komputerze i nagle czuł taki głód, że musiał przetrzebić lodówkę.

Ale ten strzał?

Co to było?

Reno zaczął drapać drzwi.

– Dobrze, już dobrze – wyszeptwała. Włożyła dżinsy i zarzuciła sweter na koszulkę.

Zgrzyyyt.

Usłyszała zgrzytanie metalu o metal.

Co to było?

Nie poruszyła ani jednym mięśniem. Wyęzzyła słuch, ale nie zarejestrowała niczego niezwykłego. O, i znowu, ciche zgrzytanie metalu... jakby ktoś powoli przesuwiał zasuwę, otwierając i zamykając... okno?

Nie!

Czy Harper znowu wychodziła przez okno?

Nie odważyłaby się!

A może?

Pies zbiegł pierwszy ze schodów, zaraz za nim Rachel, prawie potykając się w ciemności, na dół włączyła światło. Otworzyła drzwi do pokoju Harper, nacisnęła kontakt i spojrzała na puste łóżko z po-

gniecioną pościelą. Zerknęła na okno i okazało się, że jest uchylone. Co, do cholery? Co się dzieje z tym pieprzonym alarmem?

Wybiegła z pokoju Harper i wpadła do Dylana. Tu też włączyła światło. Spał w łóżku, miał otwarte usta i jedną rękę trzymał nad głową. Natychmiast otworzył oczy i zamrugał.

– Mamo? Co tu robisz?

– Gdzie twoja siostra?

– Co? Śpi... – I wtedy się rozbudził. – Oj.

– No właśnie, oj. Nie ma jej. Znowu wyszła z domu, zapewne na spotkanie z Xanderem. Gdzie poszli?

– Nie... nie wiem.

– Nie wiesz?

– Boże, nie!

– A alarm?

Jęknął.

– Dylan? – powiedziała, brnąc po zaśmieconej podłodze w stronę łóżka.

– Dobrze! Już dobrze – uspokajał ją, jakby zbiła go na kwaśne jabłko, podczas gdy ona tylko przewiercała go wzrokiem. – Tak. Kazała mi przy nim pomajstrować, więc znowu to zrobiłem.

– To znaczy pomajstrowałeś tak, żeby nie zadziałał, kiedy będzie wychodzić przez okno. Przerwałeś układ, żeby mogła się wymknąć.

Potaknął bez słowa.

Ogarnęła ją wściekłość.

– Masz przerąbane – oznajmiła, nieskutecznie próbując się uspokoić i przekonać samą siebie, że dopóki Harper jest z Xanderem, nic jej nie grozi.

Ale to nie była prawda.

Ginęli ludzie, których Rachel знаła, ludzie jej bliscy, zaginął jej kolega z klasy. Bruce Hollander, znany przestępca, przebywał na wolności i prawdopodobnie ją śledził, jeździł za nią i być może krył się w cieniu i obserwował jej dom, żeby nasmarować na drzwiach to burzające oszczerstwo. Czy Harper nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia?

Tak naprawdę nigdzie nie było bezpiecznie.

– Zostań tu! – rozkazała synowi, który wyglądał tak jakby nigdzie się nie wybierał, chyba że znowu spać. – Podłącz alarm i upewnij się, że działa, ale nie ruszaj się stąd!

Wbiegła na górę i zdjęła telefon z ładowarki. Napisała wiadomość do córki: **Zadzwoń! Wracaj do domu! Natychmiast!**

Po jej wysłaniu ponownie weszła do pokoju Dylana, który już przysypiał.

– Napraw to! – rozkazała, po czym pobiegła do kuchni, skąd wzięła portfel i kluczyki. Reno szczełał w kuchni, gdy zamknęła za sobą drzwi, włożyła buty do biegania, które stały na ganku, i w mniej niż minutę znalazła się za kierownicą explorera.

Wiedziała, że próba odnalezienia córki jest szaleństwem, ale była zdesperowana, waliło jej serce, ogarniała ją panika.

Przy znaku stopu sprawdziła komórkę; chociaż nie słyszała sygnału przychodzącej wiadomości, modliła się, żeby córka odpisała.

Nic z tego.

Zadzwoiła do Cade'a, dodając gazu i skanując wzrokiem puste ulice miasteczka. Włączyła się poczta głosowa, więc zostawiła krótką wiadomość: „Tu Rachel. Harper znowu wyszła z domu z Xanderem. Próbuj ich znaleźć. Oddzwoń”.

Jakaś część mózgu mówiła jej, że to, co robi, to totalna głupota, że nie jest w stanie ich namierzyć, że powinna wrócić do domu i czekać. Ale to było niemożliwe. Wiedziała, że wtedy by oszalała.

A jeśli Harper nie wróci do domu przed świtem? A jeśli w ogóle nie wróci? A jeśli Xander namówi ją do wyjazdu do Eugene lub postanowią po prostu ruszyć przed siebie, opuszczając ich wszystkich? Czy zachowałyby się inaczej, gdyby Cade zaproponował jej coś takiego, gdy miała siedemnaście lat?

Wobec tego próba ich odnalezienia była szaleństwem, wręcz paranoją.

Bolała ją serce, miała ściśnięty żołądek, pocily jej się dłonie na kierownicy. Musiała coś zrobić. Cokolwiek. Nawet jeśli miałyby to nic nie dać. Wspomnienie snu i lęków, które zawsze były jej częścią, dawały jej siłę do działania. W nocy ruch był praktycznie żaden, jedynie od czasu do czasu przez miasto sunął jakiś samochód lub ciężarówka. Przejechała obok St. Augustine i kancelarii Charlesa Rydera, sądząc, że mogli wrócić w znajome miejsce, ale na parkingu ani na pobliskich ulicach nie parkowało żadne auto. Charles wykopał Xandera z kawalerki i zapewne odebrał mu klucz lub wymienił zamki, miała nadzieję, że nie postanowili się tam włamać.

Jednak okna mieszkania były zupełnie ciemne, a budynek wyglądał na opuszczony.

Powoli jechała przez puste ulice, zaglądając w boczne uliczki, przeczesując miasteczko w poszukiwaniu jeepa należącego do Xandera. Nie mogli odjechać daleko, jeśli zamierzał przywieźć ją do domu przed świtem, żeby zdążyła do szkoły.

Może pojechali na wzgórze, pomyślała, zerkając na południe, gdzie nad starymi wiktoriańskimi domami, podobnymi do domu Lili, wznosiły się gęste lasy iglaste, a wiejskie drogi i ścieżki wity się pomiędzy wzgórzami. Pojechaliby tak daleko? A może do Astorii? A może do domu Lili? Czy Lucas przemyciłby ich do środka?

Nie sądziła. Nie po tym, co się stało, kiedy Charles go zwolnił i dosłownie wykopał. Rachel wątpiła, by chłopak zaryzykował taką akcję; pomimo swojej fascynacji Harper, Xander Vale wydawał się dość przyzwoitą osobą, zbyt inteligentną, żeby popełnić taki błąd.

Tylko że był napalonym nastolatkiem. A tacy nie mieli w zwyczaju myśleć mózgiem.

– Gdzie jeste? – zapytała, krążąc po ulicach i z każdą sekundą czując coraz większą beznadziejność tej sytuacji. Dodawała sobie otuchy myślą, że jej córka jest bezpieczna ze studentem. Wjechała na parking przy Abe's, gdzie stały trzy auta – jeden SUV i dwa sedany. Przez duże okna widziała łozę i stoliki, przy których siedzieli nieliczni goście.

Harper tam nie było.

Oczywiście.

Postała chwilę na parkingu i napisała wiadomość do Cade'a: **Harper zniknęła. Nie odbiera. Martwię się. Przeszukałam Edgewater, ale nigdzie ich nie widziałam. Jestem przy Abe's i jeszcze trochę pojedź. Zadzwoń.**

Wsadziła komórkę do torebki i podniosła głowę, bo zauważyła światła jakiegoś pojazdu zmierzającego rzadko używaną drogą do wytwórni.

Dziwne.

Kto by tam jechał w środku nocy?

Dwójka nastolatków, którzy chcieli pobyć sami?

Gdzie znaleźliby lepsze miejsce na obmacywanki?

Droga była prywatna, a tego właśnie szukaliby Harper i Xander.

Światła przecięły ciemność, pojazd nagle się zatrzymał, zapewne przed starą bramą.

Kierowca wyłączył przednie światła.

Rachel wrzuciła bieg, a następnie, zaciskając palce na kierownicy, wyjechała z parkingu i ruszyła prosto na drogę prowadzącą do starej wytwórni.

– Nie rozumiem – powiedziała Harper, marszcząc brwi, gdyż miała wrażenie, że została wystawiona – dlaczego Xander sam po mnie nie przyjechał. – Ryzykowała życie i zdrowie, i co gorsza gniew matki, ponownie wychodząc z domu przez okno, kiedy do niej napisał, ale gdy dotarła do jego auta, okazało się, że nie ma go w środku. Zamiast niego za kierownicą jeepa Xandera siedział Lucas.

– Przygotowuje miejsce.

– Jakie miejsce? – zapytała, ale zaczynała się denerwować. Skąd, do cholery, wziął się tu Lucas? Miała być sam na sam z Xanderem. O to przecież chodziło, nieprawdaż? I dlaczego Lucas prowadził samochód Xandera, a nie swój?

– Zobaczysz – odparł Lucas z uśmiechem, który ją zaniepokoił; zachowywał się tak, jakby wiedział więcej od niej i szykował dla niej jakąś niespodziankę. Wrzucił bieg i odjechał, dodał gazu aż opony zapisały.

Nagle uznała, że to był zły pomysł.

Czyż matka nie mówiła: „Jeśli oboje będziecie chcieli się spotkać, na pewno wam się uda”, odnosząc się do jej związku z Xanderem? Wobec tego, kiedy Xander w końcu do niej napisał, ucieszyła się, że będzie mogła się z nim spotkać, jak ostatnio.

A potem pojawił się Lucas.

Nie powinna była wsiadać z nim do jeepa, pomyślała, gdy jechali przez Edgewater.

Coś tu śmierdziało.

Postanowiła napisać do Xandera, wobec tego wyjęła komórkę z kieszeni i szybko wystukała: **Gdzie jesteś? Jadę twoim samochodem z Lucasem. Co się dzieje?**

I wtedy ją zobaczyła. Na desce. Komórkę Xandera, która zaświeciła się, gdy przyszła jej wiadomość. Co? *Nigdy* nie ruszał się bez telefonu.

Złe przeczucia uderzyły w nią z większą siłą.

– Co jest grane? – zapytała.

W świetle z deski rozdzielczej ujrzała lekki uśmiezek na twarzy kuzyna.

– Telefon Xandera jest tutaj – obwieścił to, co oczywiste. – Musiał go tu zostawić. – Nadal jechał.

– Nieprawda.

– Ojej. – Wzruszył ramionami.

– Ojej? Co to znaczy? – Zachowywał się, jakby był uczestnikiem jakiejś dziwnej zabawy. Co za kutas! Oparła się o drzwi pasażera i założyła ręce na piersi. Spojrzała na niego z niechęcią. – Gdzie on jest?

– Czeka – odparł Lucas, drażniąc się z nią.

Zmrużyła oczy i miała wrażenie, że jej zmysły wchodzą na najwyższy stopień czujności. Coś się tu nie zgadzało. I to bardzo.

– To mi się nie podoba.

Żadnej odpowiedzi.

– Zabierz mnie do domu.

– Nie da rady.

– Co? Lucas, naprawdę – powiedziała z taką stanowczością, o jaką by się nie podejrzewała. – Zawieź mnie do domu. Natychmiast!

– Chcesz zawieźć Xandera? – Pokręcił głową, jego blond włosy dziwnie lśniły w świetle kontrolki na desce. – Nie sądzę.

Spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła, że wyjechali z miasta i zwolnili w ciemności, po czym skręcili w długą, wyboistą boczną drogę prowadzącą do starej przetwórnicy ryb. Majaczyła w oddali, podupadający olbrzym stojący na starych pomostach nad rzeką.

– Dlaczego tu przyjechaliśmy? – zapytała, jej złość zmieniała się w strach.

– Rany, Harper. Po co te wszystkie pytania? Tak jak mówiłem, przyjechaliśmy na spotkanie z Xanderem. – Nie odrywając rąk od kierownicy, posłał jej krzywy uśmiech. Chyba chciał ją uspokoić.

Nie udało mu się. Z Lucasem coś było nie tak. Coś w nim ją przerażało.

Jeep podskakiwał na drodze, aż dotarli do metalowej siatki oddzielającej teren wytwórni od reszty nabrzeża. Chyląca się ku ziemi metalowa brama, częściowo zardzewiała, była otwarta, a łańcuch, który zwykle ją zabezpieczał, został przecięty i wisiał na słupku, o który ktoś oparł wielkie nożyce do cięcia metalu.

Włamał się. Do tego przeklętego miejsca, gdzie jego ojciec zginął z rąk jej matki.

– To mi się nie podoba – powtórzyła. Do jej krwiobiegu zakradł się lęk. Musiała jakoś powiedzieć matce, gdzie się znajduje. Albo tacie; tak było sensowniej. Będzie wiedział, co zrobić. Przełknęła ślinę i chociaż bardzo się bała i niemal trzęsła się ze strachu, wymacała swoją komórkę, zerknęła na nią i wybrała z listy kontaktów imię ojca. Jej telefon wciąż miał wyciszony dźwięk, więc liczyła, że Lucas nie zobaczy jej manipulacji.

– Ale ci się spodoba. Będziesz zachwycona. Przynrzekam.

Kłamał. Wiedziała o tym.

– Włamałeś się do wytwórni? – zapytała, podając swoją lokalizację.

– Chyba tak, jeśli chodzi o szczegóły. Cóż, tak jest.

– Nie wejdę do środka, jeśli tego chciałeś – zastrzegła i wskazała wytwórnię. Co to, do cholery, miało znaczyć? Musiała stąd uciekać. Uwolnić się od niego. Trzymać się z dala od tego przeklętego miejsca. Wszystko było nie tak. Wszystko.

Ale co z Xanderem? Gdzie był? W tym potwornym, starym budynku? Na samą myśl ścisnęło ją w żołądku.

– Gdzie twoja żądza przygody? – zapytał kuzyn, wyłączając silnik.

– Gdzie twój zdrowy rozsądek? – odpysknęła, po czym pomyślała, że powinna użyć jego imienia. – Lucas, to wariactwo!

– Nie sądzę. – Po wesołości nie zostało ani śladu. Teraz był śmiertelnie poważny, a ona starała się powstrzymać panikę. Musiała się stąd wydostać. Uciec jak najdalej.

Myśl, Harper, myśl. Był gwiazdą futbolu, pamiętasz? Biegaczem czy kimś takim? Jest od ciebie szybszy, chociaż biegasz na długie dystanse. Musisz być sprytniejsza od niego.

– No dobrze, chodźmy. – Silnik się chłodził, więc chłopak wyjął kluczyczek ze stacyjki, a kiedy otworzył drzwi i zapaliło się światło, zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni pistolet.

O, Boże. Tylko nie to.

– Masz broń? – zapytała, mając nadzieję, że telefon nagrywa jej słowa.

– Pomyśl o nim jak o ubezpieczeniu.

– Na wypadek czego?

Ogarnął ją zimny, paraliżujący strach.

– Żebyś robiła to, co ci każe. – Spojrzał na nią zza przedniego siedzenia, jego twarz skrywał cień. Przez chwilę pomyślała o innym mężczyźnie, tym, którego znała całe swoje życie, tym, który nie był z nim w żaden sposób spokrewniony. Oblicze dziadka, a raczej przedstawiające go zdjęcie z młodości, rozplynęło się. Oblizła usta. Lucas nie żartował. Jego twarz była poważna, miał oczy zabójcy.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz zwisającej z lin w dzwonnicy kobiety, która wczoraj w nocy wydała ostatni oddech, i w ułamku sekundy wiedziała, że musi uciekać. Natychmiast.

– Rusz się! – rozkazał, kiwając pistoletem. – Pójdiesz ze mną do tej pierdolonej wytwórni, żeby spotkać się z Xanderem, a potem napiszesz do matki ze swojego telefonu, żeby przyjechała cię uratować, a ja poczekam.

– Na...? – Poczula kolejną falę strachu.

Spojrzał na nią, jakby była najgłupszą osobą na świecie.

– Na zemstę, Harper. Nie czytałaś gazet? Nie wiesz, że zabiła mojego ojca i nigdy za to nie zapłaciła? Że wszystko uszło jej płazem, chociaż pociągnęła za spust? Zabiła go, Harper. Twoja matka jest jebaną morderczynią, a nie została skazana z jednego cholernego powodu: bo była dzieckiem gliniarza, a jej głupie, pierdolone przyjaciółki skłamały na jej korzyść, skłamały na temat tego, co widziały i słyszały. Więc one też musiały za to zapłacić.

Harper skuliła się, przerażona. Gdyby tak również miała broń! Xander nie posiadał pistoletu, ale coś mogło być w jeepie. Trzymał skrzynkę z narzędziami i sprzęt turystyczny w tylnej części auta, za kanapą, ale tam też nie była w stanie sięgnąć.

– Nie było tak jak mówisz – zaoponowała.

– Było dokładnie tak! – odwarknął Lucas. – I musi za to zapłacić.

– Dlaczego teraz? Po tylu latach?

Mysł, Harper, mysł! Zerknęła na deskę; wiedziała, że w schowku może być otwieracz do butelek, może jakiś długopis. To za mało.

– Ponieważ niewiele o tym wiedziałem, bo skąd? Wszyscy, łącznie z moją mamą, mydlili mi oczy. Kiedy pytałem, opowiadali mi jakąś wymyśloną historyjkę o „wypadku” z „głupimi nastolatkami”, a następnie ostrzegali, żebym nie bawił się bronią, żadną bronią. Ale ostatnio zaczęła do mnie docierać inna, prawdziwa wersja. – Aż mu się napięła skóra na twarzy.

Parasol! Xander włożył go pod siedzenie pasażera. Pamiętała, bo używała go niedawno. Pokonawszy strach, zmieniła pozycję na fotelu i nie odrywając oczu od Lucasa, szybko opuściła rękę na podłogę.

Ogarnięty gniewem Lucas nadal perorował:

– Znam prawdę. Podsluchiwałem za pomocą sprzętu, który kupilem od Dylana, wszystkim słyszałem. Moja matka rozmawiała ze wszystkimi jebanymi ludźmi z tego pierdolonego komitetu, bo chciała stworzyć specjalną kapliczkę dla mojego ojca, więc dużo o nim gadali, także o tym, jak zginął. Słyszałem, jak rozmawiała z koleżanką, do której należy gazeta, kiedy udzielała jej wywiadu i nieco zboczyły z tematu. Wszyscy o tym wiedzieli, Harper. Wszyscy wiedzieli, że twoja matka go zabiła, i ją kryli. – Wykrzywił usta, jakby zjadł coś wstrętnego, podczas gdy ona palcami dotknęła nylonowego materiału parasola. – Muszą za to zapłacić!

Wyciągnęła rękę, wsadziła ją głębiej pod siedzenie i złapała za rączkę. Boże, pomóż mi. Musiała ją kosć się stąd wydostać. Ale musiała też znaleźć Xandera. Boże, co Lucas mu zrobił?

Lucas się rozkręcał, tłumiona wściekłość znalazła ujście, wycelował cholerny pistolet w jej twarz, gadał, jakby nigdy nie miał przestać, jego głos aż ochrypl z furii.

– Ned Gaston zadbał o to, żeby jego cudowna córeczka nie poszła siedzieć. – Wydał wargi z niesmakiem. – A wszyscy jej przyjaciele przysięgli, że nie wiedzą na pewno, jak on umarł, ale to ona do niego strzeliła.

O, Boże, to było chore, pokręcone, ale niech gada. Musiała wyjąć parasol tak, żeby nie zauważył.

– Więc dlaczego Xander jest w wytwórni? Co mu zrobiliś? – Starła się grać twardą, chociaż w środku odchodziła od zmysłów, pociła się, waliło jej serce, modliła się o czas i wyprężyła palce.

Musisz się po niego schylić, Harper, wiesz, że musisz. Lucas cię skrzywdzi lub posunie się do czegoś gorszego.

A co z Xanderem? Czy naprawdę tu był? Czy był ranny? Czy żył? Boże drogi...

– Ja... muszę zobaczyć Xandera.

– Zobaczysz! Już ci mówiłem, jest w środku. – Ze złością wskazał budynek. – Ale zanim pójdziemy się z nim zobaczyć, jeszcze jedno. Chcę wysłać kolejną wiadomość do twojej mamusi.

– Mamy?

– Tak. Twojej słodkiej, małej morderczynie. Uśmiech proszę. – Zanim zdążyła zareagować, zrobił jej zdjęcie, oślepiła ją lampa. – Doskonale. – Skupił uwagę na telefonie, szybko coś napisał i wysłał esemesa.

Teraz! Wyskakuj!

Chwyciła parasol i wyjęła go spod siedzenia.

Zauważył ruch. Uświadomił sobie, że został wyprowadzony w pole, i skupił się na niej.

– Co, do kurwy?

Teraz! Upuściła telefon i chwyciwszy oburącz parasol, z całej siły pchnęła go nim jak włócznią, celując ostrym końcem w szyję!

– Aaaaaarghhh! – krzyknął. Trysnęła krew, ale nie wypuścił pistoletu z dłoni. – Ty suko! Ty jebana suko!

Pchnęła jeszcze mocniej, a on wil się z bólu, próbował wyszarpnąć parasol z szyi.

– Kurwa! Ja pierdołę! – Machał jedną ręką, o włos ją omijając, podczas gdy ona jedną ręką puściła parasol i odpięła pas bezpieczeństwa.

Zanim się pozbierał, znalazła na ręczce parasola przycisk, nacisnęła go i czasza się otworzyła ze świstem, choć zaostrzona końcówka wciąż tkwiła w jego szyi.

Nie widziała go, ale metalowe rozporniki parasola odbijały światło z kabiny samochodu.

Wrzeszczał z bólu, jedną ręką próbując przełożyć pistolet obok czaszy, a drugą wyszarpnąć czubek z szyi. Gdy tak się rzucił, wcisnął klakson. Harper włączyła światła awaryjne, po czym otworzyła drzwi i wypadła na zewnątrz, jej stopy dotknęły asfaltu drogi.

Telefon!

Pieprzyć to!

Chciała go podnieść, ale zobaczyła lufę pistoletu i rzuciła się biegiem po nierównej nawierzchni.

Za sobą słyszała wrzaski i wycie Lucasa.

Światła jeepa mrugały. Piszczął alarm sygnalizujący otwarte drzwi.

Harper spodziewała się, że usłyszy strzał, że poczuje w plecach ostre żądło kuli.

Ale dopóki to się nie stało, biegła.

Harper Ryder biegła tak, jak nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 38

Na ulicy przed pubem Wooden Nickel panował chaos. Bywalcy knajpy zebrali się w grupki, rozmawiali i palili, byli też przesłuchiwanymi przez policjantów, którzy pojawili się po strzelaninie, oraz dziennikarzy, którzy szybko przyjechali na odgrodzone miejsce. Robiono zdjęcia i nagrywano wideo, a Kayleigh w rozpaczy patrzyła, jak wkładają Cade'a do karetki, która po chwili odjechała na sygnale.

Boże, miała nadzieję, że przeżyje.

Kiedy leżał nieprzytomny na chodniku i krwawił, strzeliła do tego sukinsyna Hollandera; gdy upadł, pistolet wypadł mu z ręki, od razu zajęło się nim dwóch gliniarzy z Seaside.

Kayleigh podbiegła do Cade'a i bojąc się, że rana może okazać się śmiertelna, mówiła do niego, starała się, by nie stracił przytomności.

– Zostań ze mną! – krzyczała. – Ryder? Cade? Słyszysz mnie? Cholera, zostań ze mną! Ani się waż mnie zostawiać!

Ale i tak odpłynął mimo jej wysiłków, nim powiedziała mu, że go kocha, że zawsze go kochała, że nie może jej umrzeć.

Zanim ratownicy go zabrali, usłyszała sygnał jego komórki, wyjęła ją i przeczytała desperacką wiadomość od Rachel, a potem odsłuchiwała nagrania z poczty głosowej. To nie miało sensu. Ujęli zabójcę. Hollander ledwie żył, może nawet już nie żył, kiedy w towarzystwie uzbrojonych policjantów zabierali go karetką do szpitala.

Więc dlaczego Rachel tak panikowała?

Bo jej córka wymknęła się z domu, żeby spotkać się ze swoim chłopakiem?

Tak, to nie było fajne, ale przecież nie odbiegało od normy. Nastolatki robią to przez cały czas. Rachel była histeryczką, kobietą pełną lęków.

Mimo to...

Odsłuchiwała pocztę głosową, wiadomość nagrany przez Rachel, w której prosi Cade'a o telefon, a potem odsłuchiwała kolejną, dłuższą... o wiele dłuższą i zmroziło ją. Nagranie trwało kilka minut i było zapisem przerażającej konfrontacji Harper i Lucasa Rydera. Strach pobudził ją do działania, biegiem ruszyła do samochodu.

Nie wahała się ani sekundy, chociaż była przekonana, że jej zachowanie dzisiejszej nocy, czyli oddanie strzału do Hollandera, będzie dokładnie prześwietlone. Być może ją zawieszą. Chociaż kiedy strzeliła do Hollandera, wszystko zarejestrowała kamera policyjna, jej działania zostaną przeanalizowane, a ona zawieszona na co najmniej kilka dni, żeby wydział mógł stwierdzić, czy jej zachowanie było uzasadnione.

Ale na razie... policja z Seaside zajmowała się sprawą, więc ona mogła się zmyć. Miała swój samochód. Musiała jak najszybciej dostać się do wytwórni.

Koło jednego z radiowozów znalazła Biggsa.

– Muszę jechać. To pilne.

– Czekaj.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Ani na biurokrację i pytania. Kryj mnie – powiedziała szeptem.

– W czym?

– We wszystkim.

– Oho! Co ty kombinujesz, O'Meara?

– Po prostu mnie kryj. Zadzwoń. – Już biegle do auta. Odwróciła się przez ramię i dorzuciła: – O, tak, lepiej jedź do domu.

Dylan, siedząc na łóżku, wpatrywał się w ekran laptopa i marszczył brwi. W zamyśleniu coś oglądał, przeżuwał twardy kawałek suszonego mięsa i ignorował Reno, który kręcił się koło łóżka, próbując skamieniem wymusić kawałek jedzenia.

Co, do cholery, robiła jego matka?

Przejechała po ulicach miasta, po czym stanęła gdzieś na zachodnim końcu Edgewater. Blisko Harper, ale nie w tym samym miejscu.

Śledził je obie, już od sześciu miesięcy, żeby mieć je na oku. Widział niesamowitą ironię w tym, że on śledzi telefon matki zamiast ona jego. W przeciwieństwie do wielu kolegów, inwigilowanych przez swoich rodziców.

To cholerstwo szpiegujące było fantastyczne!

Ale teraz się martwił.

Mama znowu zaczęła się poruszać w stronę Harper, która znajdowała się w starej przetwórni ryb na skraju miasta. Co tam, do licha, robiła? Tak, znowu jej pomógł, odcinając stary alarm, żeby mogła wyskoczyć oknem i spotkać się z Xanderem, ale nie sądził, że pojadą w miejsce, które przysporzyło ich matce tylu lęków.

Co to wszystko miało znaczyć?

Nic dobrego.

Prawda?

Matka nadal jechała, kierowała się w stronę wytwórni.

Dziwne, dziwne, dziwne.

Coś tu nie grało.

Doprawdy, wyglądało to bardzo źle.

Sięgnął po ostatni kawałek suszonego mięsa z opakowania niedorzecznie opisanego jako „megapaka”, po czym, kątem oka zauważywszy Reno, odgryzł kawałek i resztę rzucił psu, który złapał datek w locie i połknął go w całości.

Z rękami splecionymi za głową, Dylan patrzył w ekran. Widział, że matka skrzyła w drogę prowadzącą do wytwórni, więc powinna natknąć się na Harper. Co nie? Harper się nie ruszała... a przynajmniej jej telefon leżał w tym samym miejscu.

Nie zostawiłaby swojej komórki.

Była z nią zrośnięta.

Ale...

Przygryzł wargę i przełączył GPS na widok z góry, lecz nie dostrzegł niczego więcej.

– Dalej, Harper – powiedział, wytężając wzrok. Zaczynał odczuwać niepokój. – Co robisz?

Rachel ścisnęła w gardle, gdy jechała po wyboistym, dziurawym asfalcie prowadzącym do wytwórni. W świetle samochodowych reflektorów widziała porośnięte chwastami koleiny, a im bliżej budynku się znajdowała, tym mocniej biło jej serce. Czuła mrowienie skóry, nie potrafiła nie myśleć o ostatnim razie, gdy tu była, dwadzieścia lat wcześniej, oraz tragedii, która się tu rozegrała.

Przejechała przez most i przed sobą ujrziała tylne światła jeepa Xandera. Był zaparkowany przy uchylonej bramie; zabezpieczający ją łańcuch został przecięty nożycami do metalu pozostawionymi w kępie trawy.

Boże święty.

Zatrzymała się za jeepem. Auto było zamknięte. Nikogo w środku. Nikogo na zewnątrz. Noc była duszna, do nosa Rachel docierał zapach rzeki, w powietrzu wyczuwało się złe wibracje.

Wybrała numer Cade'a.

Odebrał.

Dzięki Bogu.

– Tu detektyw O'Meara – przedstawiła się Kayleigh.

To zbiło Rachel z tropu. Byli razem? Cade i Kayleigh? Dlaczego odebrała jego telefon? Od razu wyobraziła ich sobie w łóżku, śmiali się i całowali, dotykali i... nie, nie, nie. Pracowali ze sobą. I tyle. Nie miała teraz czasu na nic innego poza odszukaniem córki. Ponownie zerknęła na złowieszczy budynek stojący na próchniejącym pomoście.

– Chcę rozmawiać z Cade'em.

– On... jest niedostępny.

– A pani ma jego telefon?

Co się, do cholery, działo?

– Na razie tak. Wiem, że Harper zaginęła, i wydaje mi się, że wiem, gdzie jej szukać.

– Jest w pieprzonej wytwórni. Właśnie to chciałam powiedzieć Cade'owi. Niech ktoś tu przyjedzie jak najszybciej.

– Chodzi o coś więcej. Jest z Lucasem Ryderem i sądzę, że on jest zabójcą. – Kayleigh z nerwów aż zatykała, gdy mówiła. A Rachel słyszała w słuchawce szum, jakby policjantka prowadziła samochód. Gdzie, do diaska, był Cade?

– Lucasem? Nie, jest z Xanderem. Przy bramie stoi jego auto, włamali się do środka.

– Nie, na pewno nie. Odsłuchałam nagranie na poczcie głosowej Cade'a. Harper nagrała swoją rozmowę z Lucasem Ryderem.

– Dlaczego, do cholery, czyta pani wiadomości mojego męża... byłego męża... i słucha jego poczty głosowej? Zresztą nieważne. Nic mnie to nie obchodzi i nie mam czasu na dyskusje na ten temat. Muszę znaleźć córkę.

– Rachel, poczekaj na mnie lub na kogoś z wydziału. On... on jest uzbrojony. Niebezpieczny. Czekaj na mnie. Już jadę do was. Wezwałam posiłki, więc po prostu czekaj. Nie wchodź do wytwórni. Za jakieś trzy, może cztery minuty będzie tam funkcjonariusz, drugi jest w drodze.

– Tam jest moja córka. I Cade'a. Nie mogę czekać.

Rachel się rozłączyła, po czym zobaczyła esemesa, który przyszedł, kiedy rozmawiała.

Z tego samego anonimowego numeru, który już do niej pisał. Teraz jednak wiadomość była inna i gdy ją przeczytała, skamieniała ze zgrozy.

Kłamałem. Nie wybaczyłem ci. Przy okazji, suko, mam twoją córkę.

Razem z przerażającą wiadomością przyszło zdjęcie bardzo przestraszonej Harper.

Ugięły się pod nią kolana. Przez chwilę patrzyła na zdjęcie, po czym wróciła jej siła. Ponieważ zauważyła coś, co wyglądało jak krew. Ciemne plamy na trawie i żwirze, od których odbijało się słabe światło, prowadziły do budynku.

Do cholery z Kayleigh.

Do cholery z Cade'em.

Podniosła nożyce do metalu.

Postanowiła wejść do środka.

ROZDZIAŁ 39

– Niech to jasny szlag! – zakleła Kayleigh, włączyła koguta i jechała na złamanie karku, kierując się autostradą 101 na północ. W drodze do Edgewater wezwała posiłki do starej wytwórni.

Mylili się.

Cały czas się mylili!

Sądziła, że zabójcą był Bruce Hollander, który teraz walczył o życie w szpitalu Seaside Mercy. Nie tylko śledził Rachel i pomalował jej drzwi, lecz także zamordował Violet Sperry i Annessę Cooper, mszcząc się na nich za to, że pomogły Rachel uniknąć skazania za morderstwo Luke'a Hollandera. Jednak w tej teorii od samego początku były nieścisłości. Kayleigh sprawdziła. Chociaż Hollander nie miał alibi na czas, kiedy mógłby zabić Annessę Cooper, to noc, gdy zginęła Violet Sperry, spędził w domu.

Mylili się. Z nagrania w telefonie Cade'a wysłuchiwała wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że Hollander, teraz poważnie ranny, nikogo nie zabił... może oprócz Nathana Morettiego, jako że nadal go nie odnaleziono.

– Skurwysyn – powiedziała na głos.

Przygryzła dolną wargę.

Hollander był uzbrojony, ale jego pistolet miał inny kaliber niż ten, który skradziono z domu Sperrych.

Wobec tego przypuszczała, że pistolet Violet Sperry znajdował się w rękach Lucasa Rydera. Jak mogli na to nie wpasnąć? Nigdy nie pomyśleli o Lucacie jako o podejrzanym.

Musiała zwolnić, gdy przejeżdżała przez Astorię, zjechała na autostradę numer 30, która ciągnęła się wzdłuż Kolumbii. Na tym odcinku nie było dużego ruchu, nieliczne samochody zjeżdżały na bok, więc mogła je szybko wyprzedzić.

Zadzwonił zastępca z informacją, że dojechał do wytwórni i przed otwartą bramą stoją dwa pojazdy.

Ani śladu Rachel Ryder.

Widocznie pokonała strach i paranoję, by ratować własne dziecko.

Wsadziła komórkę do kieszeni. Następnie mocniej zacisnęła dłonie na nożycach do metalu, w jej mózgu wrył się obraz przestraszonej twarzy Harper, więc tłumiała narastającą panikę. Nie mogła tam wejść. Nie teraz. Później przyjdzie pora na przekroczenie progu budynku, ale na razie musiała pokonać swój strach z przeszłości, który ją paraliżował, strach, który sprawiał, że traciła rozum.

Rusz się, Rachel. Dasz radę. Ona cię potrzebuje!

Wstał księżyc w nowiu, na nocnym niebie błyszczały gwiazdy, jedyna latarnia nie rozpraszała ciemności. Rzeka, wciąż w ruchu, rozciągała się ciemna i szeroka; po drugiej stronie, gdzie znajdował się południowy brzeg stanu Waszyngton, mrugały nieliczne światła.

Teren wokół budynku był tak samo nierówny jak dwadzieścia lat temu, o ile nie gorzej, a duże drzwi, przez które weszła tamtej fatalnej w skutki nocy, były lekko uchylone – widziała wąską lukę między nimi a ścianą.

Widziała też krew: ciemne rozbryzgi na ziemi.

Dasz radę.

Weszła przez szparę i natychmiast uderzył ją zapach pleśniejącego wnętrza wytwórni, ten słonawy zapach, który przypominał odór martwych ryb. Od razu przeniosła się do chwili, gdy strzelały wiatrówki na śrut, nastolatki śmiały się i krzychały, a za rogiem czaiła się śmierć.

Jej mózg zalały niezliczone wspomnienia. Lila, Violet, Nate, Reva i Luke, ich herszt, jej brat przyrodni, obiekt westchnień wszystkich jej przyjaciółek oprócz Mercy. To było tak dawno temu. Ale wydawało się, jakby było wczoraj.

Teraz znalazła się tu Harper.

Gdzieś tu była.

Została zmuszona przez Lucasa do wejścia do tego groźnego budynku.

Szybkim krokiem przeszła po starych deskach podłogowych, mając nadzieję, że jej oczy przyzwyczają się do ciemności, że nie będzie musiała użyć latarki w komórce i stać się widocznym celem. Dotarła do połowy pomieszczenia, gdzie niektóre okna nie zostały zabite i przez brudne szyby wpadało trochę światła. Zatrzymała się, wyjęła słuch i wzrok.

Miała ściśnięte gardło, dłonie pocily jej się na rączkach nożyc.

Gdzieś w głębokim cieniu coś się poruszyło, zaszurało na deskach, to przelknął szczur. Zaciśnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Oczywiście, musiały tu być szczury i Bóg wie co jeszcze kryło się w kątach lub czaiło na belkach stropowych.

Przelknęła strach.

W oddali – wciąż za daleko – usłyszała cichy dźwięk syren.

Pospieszcie się. Szybciej. Błagam.

Zrobiła krok do przodu, po czym stanęła jak wryta, bo w ogromnym, niemal pustym budynku rozległ się niski, szorstki głos.

– No proszę, kto tu przyszedł – niemal wycharczał Lucas. – Mamusia jednak się zjawiała.

Jak ten demon, ten morderca mógł być jej bratankiem? Synem Luke'a? Chłopcem, którego znała, od kąd nosił pieluchę, aż do teraz, gdy stał się wysokim, postawnym mężczyzną. Teraz był potworem.

– Gdzie jest Harper?

– Ty mi powiedz.

O, Boże, czy to jakaś gra?

– Słuchaj, przyszedłam tu po swoją córkę.

– Jak na zawołanie.

Usłyszała za sobą ruch i włoski na jej ciele się zjeżyły. Odwróciła się i wbiła wzrok w egipskie ciemności.

Nic.

– To nie jest śmieszne.

– Nikt się nie śmieje, ciociu.

Brzmiało to tak, jakby był istotą bezcielesną, jakby wyzbył się wszelkich ludzkich emocji. Ścisnęło jej żołądek.

– Gdzie jest Harper? – powtórzyła. – I Xander? – Gdy zadała to pytanie, przesunęła się kawałek w bok, podeszła do drabiny prowadzącej na wyższy poziom, tej, pod którą się chowała lata temu.

Żadnej odpowiedzi.

Wydawało jej się, że słyszy kroki, lekkie i szybkie, musiała stłumić strach.

– Lucas? Co się dzieje? – Musiała skłonić go do mówienia, żeby namierzyć miejsce, gdzie się ukrywał, gdzie przetrzymywał Harper.

– Och, przestań, ciociu, przecież nie jesteś głupia. Wiesz, co zrobiłaś. Zabiłaś mojego ojca, swojego własnego brata, właśnie tutaj, w tym budynku. Prawda? To jest miejsce, gdzie morderstwo uszło ci płazem.

– Masz rację. Zabiłam. Harper nie miała z tym nic wspólnego.

Krew. Czyją krew widziała przy bramie i na drodze do wytwórni?

– Straty uboczne.

Boleśnie zakłuło ją w sercu.

– Jak te dwie suki, które chciały ci pomóc. Twoje przyjaciółki.

O, Boże. Chępił się zabiciem Violet i Annessy.

Gdzie był? Na górze, dokąd prowadziła drabina, czy gdzieś w głębi, za rynną, po której lata temu spływały odpady rybne? Zamknęła oczy, zacisnęła palce na nożycach do metalu.

– A jego najlepszy przyjaciel? – ciągnął Lucas.

Pociła się, próbowała myśleć, przypomnieć sobie rozkład budynku po tylu latach. Czy znajdował się na samym końcu hali, gdzie woda była najgłębsza i cumowano łodzie, żeby rozładować złowione ryby?

Sluchaj uważnie, Rachel. Postaraj się namierzyć jego głos.

– Wiesz, kogo mam na myśli. Nate’a Morettiego. Co z tym kutasem? Dlaczego nic nie zrobił, żeby go uratować, skoro byli sobie tak bliscy? Jaki przyjaciel nie robi nic, by ratować kumpłowi życie?

To nie miało sensu. Jak Nate, jak ktokolwiek, mógł uratować Luke’a?

Ale Lucas jeszcze nie skończył.

– I jeszcze twój ojciec. Gliniarz, który pozwolił swojej najukochańszej córce oczyścić się z zarzutu morderstwa.

Jej ojciec? Czy Lucas zrobił coś Nedowi? Zadrzała, już wierzyła, że to Lucas.

– Zgraja zniewieściałych przegrywów! – krzyknął.

Miała ściśnięte gardło, ale musiała wydusić z siebie słowa.

– Ale nie – powiedziała, a raczej wyszeptala, zanim nabrała powietrza. – Ale nie Harper. Ona nie miała z tym nic wspólnego. Nie było jej jeszcze na świecie.

– Mnie też nie! – wrzasnął, jego fasada spokoju zaczęła pękać. Rachel się odwróciła, wiedziała, gdzie się schował, gdzieś koło zszpu. Na zewnątrz syreny wyły coraz głośniejsze, przez okna wpadały czerwono-niebieskie światła kogutów. – Wezwałaś gliny? Jezu, czy całkiem cię pojechało? Wszystkich pozabijają!

– Nie, jeśli ją wypuścisz.

– Kurwa! – Wówczas go zobaczyła, stał w pozycji strzeleckiej, przodem do niej. Padła na ziemię, gdy rozległ się wystrzał, huk z broni był ogłuszający, widziała lufę i słyszała krzyki z zewnątrz.

– Policja! Lucasie Ryder, rzuć broń!

Przez chwilę się nie ruszała, a potem usłyszała zduszony krzyk, głos osoby cierpiącej, więc nie mogła dłużej czekać. Nieważne, że to jej bratanek, nie pozwoli mu skrzywdzić swojej córki. Wijąc się po podłodze jak wąż, zbliżyła się do niego.

– Ciociu! – krzyknął, gdy w budynku rozległ się łomot butów. Drzwi się otworzyły.

Rachel wciąż się poruszała, pełzła naprzód, ciągnęła za sobą nożyce do metalu, na skórze i ubraniu czuła piach, brud, tłuszcz i maź zbierające się tu od lat, w nos wwiercał się jej zapach tłuszczu, pleśni i zgnilizny.

Ponownie rozległ się cichy, przepelniony bólem jęk, a ona pomyślała o krwi i wyobraziła sobie swoją krwawiącą córkę czekającą gdzieś w tym nieprzyjaznym budynku. Pod sobą słyszała odgłos płynącej rzeki, a gdy zbliżyła się do zszpu, poczuła mokry, słonawy smród.

Już była blisko.

– Lucasie Ryder! – krzyczał żeński głos. *Kayleigh*. – Policja! Rzuć broń! Wyjdź z rękoma w górze!

– Pieprz się! – odpowiedział Lucas, odwracając się plecami do Rachel. W ciemności zdawało jej się, że trzyma kogoś przed sobą, jako żywą tarczę. Ta druga osoba jęknęła.

Harper! O, Boże, nie!

Mogła zginąć, jak rozpocznie się strzelanina.

Rachel musiała to powstrzymać. Coś zrobić. Sięgnęła do tyłu, wyjęła telefon z kieszeni i z desperacji rzuciła nim w niego. Uderzyła go w ramię, podskoczył zaskoczony i przez chwilę wpatrywał się w leżącą przed nim komórkę.

– Co do...

Rachel się zerwała, wyskoczyła prosto z przysiadu, celując ostrzem nożyc prosto w jego plecy, w miejsce pomiędzy łopatkami. Uderzyła z dużą siłą i próbowała nimi poruszyć. Użyła swojego ciężaru, żeby ostrza się złączyły, modląc się, by przecięły mięsień, tkankę lub kość, aby go unieruchomić, aby wypuścił broń z ręki, aby upadł na ziemię! Krótkie ostrza przypominające szczęki zwarły się, przecięły mięśnie i pogruchotały kość. Chłopak wrzeszczał z bólu.

To jest Lucas. Twój bratanek!

Nadał ścisłała, uwiesiła się na rączkach nożyc, chociaż próbował się wyrwać. Jego wrzaski słychać było w całym budynku, staniał się, strzelał na oślep. Jej dłonie były mokre od potu i śliskie od krwi.

– Nie strzelać! – krzyczała Rachel, spodziewając się gradu kul ze strony policji. – Nie strzelać!

Jeszcze raz się szarpnął i udało mu się wyrwać nożycy z jej dłoni; zatoczyła się i upadła na plecy, pośliznęła się na krwi, która była chyba wszędzie. Z impetem rąbnęła w podłogę, okazało się, że trafiła do zsyphu. Nogami w dół wpadła do dziury prowadzącej do rzeki.

Nie, nie, nie! Ratując się, jedną ręką złapała metalową krawędź, gdzie rynna była przymocowana do podłogi, ale ciężar ciała ciągnął ją w dół, rozciąła skórę na dłoni i palcach, spadała coraz niżej, aż znalazła się w lodowatej wodzie. Omal się nie zachłusnęła, ale udało jej się wstrzymać oddech, zamknęła się nad nią ciemna toń. Próbowowała dosięgnąć dna, ale Kolumbia była zbyt głęboka.

Płyn.

Walcząc z prądem, ruszyła ku górze, jej dłoń zapulsowała bólem, gdy otarła się o coś miękkiego i śliskiego. Wzdrygnęła się, gdy jasny promień światła mocnej latarki dotarł do powierzchni przez otwór w podłodze wytwórni i oświetlił mętną rzeczną wodę. Ponownie ugięła i rozprostowała nogi i uderzyła w ten sam miękki obiekt. Odwróciła się i przez pęcherzyki powietrza uciekającego z jej płuc ujrzała obrzmiałą twarz mężczyzny. Nie miał oczu, zostały jedynie otwory po nich, i unosił się w wodzie z otwartymi ustami. Mimo to rozpoznała Nate'a Morettiego.

O, Boże. Zabulgotało jej w żołądku, wiele wysiłku kosztowało ją utrzymanie zaciśniętych warg. Ciało, zaplątane w rośliny i stare sieci rybackie, podskakiwało w toni i uderzało ją jedną ręką. Odpłynęła, miała ochotę krzyczeć, świat wokół niej wirował. Wszystkie okropieństwa z jej życia połączyły się w jej mózgu i poczuła, że traci powietrze zgromadzone w płucach.

Harper, pomyślała przerażona, starała się zachować skupienie. Zostawiła córkę z tym potworem. Pękało jej serce, gdy na resztkę wydechu zdążyła jeszcze pomyśleć: *Och, dziecko, tak cię zawiodłam.*

W świetle latarki Kayleigh rzuciła okiem na Lucasa Rydera, krewnego Cade'a. Z jego pleców wystawały cholerne nożyce do metalu, a w szyi miał dużą dziurę, z której wciąż wypływała krew. Bóg wie, co go zaatakowało. Wciąż żył, ale jego stan był bardzo ciężki.

Drugim mężczyzną był Xander Vale, którego Lucas użył jako żywej tarczy. Vale także był w oplakany stanie – ranny w nogę, zapewne postrzelony. Jak to się, do cholery, stało?

– Gdzie jest Rachel Ryder? – zapytała.

– Wpadła pod podłogę! – krzyknął jeden z policjantów. – Ja pierdzielę, widziałaś to?

Kayleigh podeszła do zsyphu w podłodze i zobaczyła metalową rynnę.

– Tędy?

– Tak.

– Kurwa.

Wskazała obu rannych.

– Zajmijcie się nimi. Wezwijcie karetki i pilnujcie podejrzanego. Wezwijcie Pogotowie Wodne. Jak najszybciej potrzebuję tu motorówki. I, na litość boską, trzymajcie mnie i poświęćcie tu latarką! – Następnie, przeklinając swój los, zeszła do zardzewiałego zsypu i ześlizgnęła się rynną za żoną Cade'a Rydera.

Jak jej się uda, ocali Rachel.

Jeśli nie, obie utoną.

Wpadła do Kolumbii, poczuła lodowate szarpnięcie, gdy prąd porwał ją na zachód, w stronę Pacyfiku.

Zamrugła, próbowała coś zobaczyć w ciemności. Szlag, gdzie Rachel i światło? No dalej, gdzie to światło? Wypłynęła na powierzchnię.

– Gówno tu widzę! – wrzasnęła, po czym zaczerpnęła powietrza i zanurkowała. Światło z góry rozproszyło ciemność w wodzie, prawie krzyknęła, gdy zobaczyła ciało mężczyzny unoszącego się nad dnem, jego stopa zahaczyła o jakieś skały, skóra na twarzy była cała w strzępach.

Chore!

Czuła mrowienie skóry, gdy wycofywała się z tego miejsca, i wtedy zobaczyła kobietę niesioną przez prąd.

Nie na mojej zmianie!

Kayleigh szybko cięła wodę, płynąc w ciemne głębiny, gdzie nie sięgało światło. Dotarła do Rachel, która miała białą jak mleko twarz, jej włosy wily się wokół niej niczym chmura, a z ust wydobywały się pęcherzyki powietrza. Dalej, pomyślała, wyciągając ręce i obejmując Rachel. Było lodowato, płuca jej się kurczyły, prąd wyczuwalnie nią szarpał. Mocno pracowała nogami, ciągnęła Rachel w górę, w stronę światła, które czekało na powierzchni.

Dalej, Rachel. Walcz, do cholery. Masz po co żyć. Masz córkę. Syna. I Cade'a.

Rachel poruszyła nogami, ale jej wysiłek niewiele dawał; Kayleigh przeklinała ją w duchu, ciągnąc z całych sił, paliły ją płuca, w łydkach czuła skurcz.

Kop, kop, kop!

Płynęły w górę, światło było coraz jaśniejsze, płuca Kayleigh paliły żywym ogniem. Przebiły się na powierzchnię, Kayleigh odetchnęła, trzymając głowę Rachel nad atramentową głębią i mlóąc wodę jednym ramieniem. Wypłynęły za starą wytwórnią, gdzie ponury kompleks oświetlały czerwone i niebieskie koguty karetek i radiowozów.

Rachel zakaszłała i wypluła wodę, ale wciąż unosiła się na powierzchni, jej zęby szczykały tak samo jak zęby Kayleigh, ale Kayleigh z ulgą dojrzała zbliżającą się łódź, która skierowała reflektory w ich stronę, zmieniając noc w dzień.

Żaloga krzyknęła i łódź zatrzymała się w pobliżu, rzucono im koła ratunkowe i wciągnięto je na pokład. Nie była to motorówka ratowników wodnych, ale łódź należąca do kogoś, kto wypłynął nocą, łódź motorowa z kabiną, w ocenie Kayleigh jacht z suchymi ręcznikami i gorącą kawą. Rachel wyglądała jak śmierć, miała niebieskie wargi, Kayleigh jednak stwierdziła, że powinna z tego wyjść. Zawrócili do wytwórni, a stamtąd Rachel, podobnie jak wcześniej Lucas Ryder i Xander Vale, została zabrana karetką.

Chociaż o włos uniknęła utonięcia i cała drżała, z początku nie pozwalała się sobą zająć, ale błagała Kayleigh, żeby znalazła jej córkę, i upierała się, że musi zadzwonić do syna.

– Dobrze, tylko najpierw muszę ci powiedzieć o Cadzie – odparła Kayleigh. O ile to możliwe, Rachel zbłądła jeszcze bardziej, dopóki nie dowiedziała się od detektyw Voss obecnej w wytwórni, że rany Cade'a nie zagrażają życiu. Ma złamany nos, dwa pęknięte żebra i rozerwane mięśnie ramienia, ale będzie żył. Następnie Kayleigh oddała jej telefon Cade'a, a ona połączyła się z Dylanem i odkryła, że Harper bezpiecznie dotarła do domu. Kiedy zakończyła rozmowę, przekazała Kayleigh, że dziewczyna uciekła Lucasowi, zaatakowawszy go parasolem.

– Parasol i nożyce do metalu – zadumała się Kayleigh na głos – dały radę pistoletowi. Kto by pomyślał?

W tym momencie do Rachel wreszcie dotarło, że jej dzieci i eksmąż są bezpieczni, i z ulgi prawie się przewróciła. Zgodziła się jechać do szpitala na badania i na opatrzenie rozciętej dłoni, ale chciała zaraz potem wracać do domu.

– Chyba nie musisz się tym martwić – zauważyła Kayleigh, gdy Rachel wkładano do ambulansu. – Obecnie wypisują do domu od razu po wymianie kolana.

Z tymi słowami odsunęła się od karetki i patrzyła, jak pojazd sunie drogą dojazdową do wytwórni, a później włącza się do ruchu na autostradzie. Postanowiła wrócić do Seaside. Kiedy Cade dojdzie do siebie, będzie musiała mu opowiedzieć o wszystkim.

A potem, przysięgła sobie, zapomni, że kiedykolwiek się w nim kochała.

ROZDZIAŁ 40

Cade otworzył zaspane oko. Był pod wpływem leków, wciąż zamroczony po operacji. Minęło już kilka godzin i był późny ranek, ze szpitalnych korytarzy dochodziły odgłosy rozmów oraz miękkich podszew butów personelu medycznego.

Dużo się wydarzyło, odkąd tu trafił poprzednim razem.

Kayleigh zachowywała się bardzo oficjalnie; była tu wcześniej i widziała jego nos w sztywnym opatrunku oraz zaczątki czarnych siniaków pod oczami. Nie czuł się bardzo źle dzięki lekom przeciwbólowym, chociaż przypuszczał, że minie trochę czasu, zanim żebra mu się zrosną. Mimo bólu pamiętała większość tego, co powiedziała, począwszy od:

– Chłopie, wyglądasz fatalnie.

Zaśmiał się, a jego żebra przypomniały mu, że to zły pomysł, po czym jej podziękował, bo wiedział od Voss, że Kayleigh zanurkowała w rzece i uratowała jego żonę. Opowiedziała mu o Lucasie, a on poczuł odretwienie w całym ciele, bo znał tego chłopaka od urodzenia. Ani razu przez myśl mu nie przeszło, że kuzyn ich dzieci jest zdolny do takiej nienawiści, zemsty i przemocy.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ale na tym nie koniec. Było tego dużo więcej.

Siedząc na jedynym krześle w sali, Kayleigh, która wyglądała tak, jakby nie spała od tygodni, zrelacjonowała mu wszystkie wydarzenia: Bruce Hollander wciąż żył, znajdował się na oddziale intensywnej opieki, gdzie pilnowali go policjanci. W chwilach, gdy odzyskiwał przytomność, przyznawał się do terroryzowania Rachel z powodów, które podejrzewali, ale to Lucas był zabójcą, który odebrał życie Violet Sperry, Annesie Cooper i, jak się okazało, także Nate'owi Morettiemu. Xander Vale, którego Lucas zranił, leżał w szpitalu w Astorii i powinien wrócić do zdrowia. Kula o włos minęła tętnicę udową, ale strzaskała kość.

Wydawało mu się sprawiedliwe, że Lucas, który przysporzył im tyle bólu i cierpienia, sam ucierpiał z rąk zarówno Harper, jak i Rachel, które zaatakowały go parasolem i nożycami do metalu. Uśmiechnął się, gdy się o tym dowiedział; dopiero później dotarła do niego informacja, że Lucas nie przeżył – zmarł po drodze do szpitala w Astorii.

Kayleigh umniejszała swoją rolę w ratowaniu jego bylej żony, ale wyjaśniła, że znaleźli auto Nate'a Morettiiego za jednym z budynków w kompleksie należącym do wytwórni, a samego Nate'a, w stanie rozkładu, wyciągnęli z Kolumbii z kulą w sercu, czy raczej w tym, co po nim zostało. Oszczędziła Cade'owi obleśnych szczegółów.

Kolejną szokującą informacją, która długo do niego nie docierała, było to, że tego dnia rano najbliższa sąsiadka Neda Gastona, samotna kobieta Kathy Ortega, usłyszała głośnie miauczenie kota u niego w domu. Okazało się, że tylne drzwi nie są zamknięte, a gdy weszła do środka, znalazła jego ciało z najwyraźniej śmiertelną raną postrzałową w głowie; prawdopodobnie było to samobójstwo, chociaż zeznała, że widziała podjeżdżającego jeepa, który wyglądał podobnie jak ten zarejestrowany na Xandera Vale'a, miał nawet logo drużyny Oregon Duck na ramce tablicy rejestracyjnej.

Cade nie kupował samobójstwa. Ned Gaston, mimo swojego mataczenia w tym, co naprawdę wydarzyło się dwadzieścia lat temu, mimo poczucia winy, był wojownikiem. Według Cade'a Ned także mógł paść ofiarą gniewu Lucasa. A może uświadomił sobie, że prawda może wyjść na jaw, skoro Cade badał śmierć Luke'a?

Luke Hollander.

Wszystko się z nim wiązało.

OD AUTORKI

Pisałam *Paranoję* w tym samym czasie, gdy moja siostra, Nancy Bush, pisała *Bad Things*, swój najnowszy thriller. Rozmawiałyśmy o tym, że nasze książki mają się ukazać prawie w tym samym czasie, i pomyślałyśmy, że niespotykanym pomysłem będzie zmiana struktury książek, by w każdej z nich zamieścić sceny z terapeutą. Po czym to zrobiłyśmy! Bardzo nam się to spodobało! Mam nadzieję, że rozumiesz dlaczego. Przeczytaj też *Bad Things* Nancy Bush, jest to książka, przez którą zarwiesz noc!

PRZYPISY

[1](#) bell (ang.) - dzwon